ROCZNIK II.

KALENDARZ „OJCZYZNY“

na rok

1911.

M. DZIERZBICKI

Kraków — 1910. Nakładem „Ojczyzny“.

Kalen.

KALENDARZ „OJCZYZNY“

na rok

1911.

Biblioteka Jagiellońska
1003123202

KRAKÓW.
NAKŁADEM „OJCZYZNY“.
DRUK W. KORNECKIEGO i K. WOJNARA W KRAKOWIE
pod zarządem Adolfa Nowaka.
1910.

BIBLIOTHE[CA] VNIV. IAG[ELL.] CRACOVIENS[IS]

5456
II CZASOP.
2[illegible] (1911)

ROK 1911.

Kalendarz gregoryański (nowego stylu). Rok 1911 jest rokiem zwyczajnym, **ma** dni 365.

Rosyanie i Rusini trzymają się starego kalendarza rzymskiego, niepoprawionego, który wprowadził Juliusz Cezar, i stąd zwie on się Juliańskim. Od kalendarza naszego poprawionego przez papieża Grzegorza XV (i stąd zwanego Gregoryańskim) pozostaje on w tyle o 14 dni.

Kalendarz juliański (starego stylu). Rok 1911 jest rokiem zwyczajnym, ma dni 365, rozpoczyna się 1 stycznia starego stylu, a 14 stycznia nowego stylu.

Kalendarz żydowski. Żydzi, licząc czas od stworzenia świata, mają rok 5672. Rozpoczął się on 23 września 1910, a skończy się 22 września 1911. Dnia 23 września rozpocznie się rok żydowski 5672.

W roku 1911 będą dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca.

I. Zaćmienie całkowite słońca: dnia 28/29 kwietnia, niewidzialne w Krakowie. Zaćmienie to będzie widzianem we wschodniej części Australii i Nowej Gwinei, na Nowej Zelandyi. w środkowej części Oceanu Spokojnego i w południowej części Ameryki Północnej. Początek zaćmienia całkowitego o godz. 9 min. 44·9 wieczór, — koniec o godz. 1 min. 9·9 w nocy.

II. Zaćmienie obrączkowe słońca: dnia 22 października, niewidzialne w Krakowie. Zaćmienie to będzie widzialnem prawie w całej Azyi, Australii i zachodniej części Oceanu Spokojnego. Początek zaćmienia obrączkowego o godz. 3 min. 23·8 rano, koniec o godz. 7 min. 2·4 rano.

I. Zaćmienie księżyca przez półcień dnia 13 maja. Wejście w półcień o godz. 4 min. 45·6 rano, — wyjście z półcienia o godz. 9 min. 7·2 rano. Ponieważ księżyc zachodzi w Krakowie tego dnia o godz. 3 min. 51 rano, zatem zaćmienie to u nas będzie niewidzialne.

II. Zaćmienie księżyca przez półcień dnia 6 listopada. Wejście w półcień o godz. 2 min. 39·3 po południu, — wyjście z półcienia o godz. 6 min. 34·0 wieczór. Ponieważ księżyc w Krakowie tego dnia wschodzi o godz. 3 min. 59 po połud., przeto widzialny u nas będzie tylko koniec zaćmienia.

Święta ruchome w r. 1911.

(Podług kalendarza nowego).

Popielec	1 marca
Wielkanoc (Niedziela po 1-szej pełni po wiośnianem porównaniu dnia z nocą)	16 kwietn.
Wniebowstąpienie Pańskie w (40 dni po Wielkanocy)	25 maja
Zielone Święta (w 2-gą niedzielę po Wniebowstąpieniu Pańskiem)	4 czerwca
Św. Trójcy (w 1-szą niedzielę po Zielonych Świętach) . .	11 czerwca
Boże Ciało (we czwartek po Św. Trójcy)	15 czerwca
Uroczystość Serca Jezusowego (w piątek po oktawie Bożego Ciała)	23 czerwca
Uroczystość Różańca św. (1-sza niedziela w październiku) .	1 paździer.
Uroczystość św. Stanisława Kostki (w 1-szą niedzielę po 13 listopada)	19 listopada
Niedziela pierwsza Adwentu .	3 grudnia

Suchedni.

Przypadają co kwartał, a mianowicie:

a) w środę, piątek i sobotę po pierwszej niedzieli postu, to jest: 8, 10 i 11 marca;
b) w środę, piątek i sobotę po Zielonych Świątkach, to jest: 7, 9 i 10 czerwca;
c) w środę, piątek i sobotę po Podwyższeniu św. Krzyża, to jest: 20, 22 i 23 września
d) w środę, piątek i sobotę po święcie św. Łucyi, to jest: 20, 22 i 23 grudnia.

Dnie krzyżowe.

W poniedziałek, wtorek i środę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, t. j. 22, 23 i 24 maja.

Posty nakazane ścisłe.

1. Wielki post, trwający od Środy popielcowej do Wielkanocy.
2. Post adwentowy w środę, piątek i sobotę po 1-szej Niedzieli adwentowej do Bożego Narodzenia.

Wigilje.

a) do Zielonych Świątek;
b) do śś. Apostołów Piotra i Pawła;
c) do Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny;
d) do Wszystkich Świętych;
e) do Niepokalanego Poczęcia N. M. P.;
f) do Bożego Narodzenia.

Wigilia przypadająca na niedzielę, bywa przenoszona na sobotę poprzedzającą.

Jeżeli uroczystość Bożego Narodzenia przypada w piątek lub w sobotę, w owych dniach postu niema.

Wesel małżeńskich kościół zabrania:

1) Od pierwszej niedzieli Adwentu do Trzech Króli.
2) Od Środy Popielcowej do Poniedziałku Przewodniego.

Patronowie ziem polskich.

Patronem Królestwa Polskiego, Wielkiego Księstwa Krakowskiego i Wielkopolski jest św. Stanisław, biskup krakowski; Patronem Galicyi i Rusi św. Michał; Patronem Litwy św. Kazimierz, królewicz polski.

Ważniejsze daty z dziejów powszechnych i polskich.

W roku 1911 upływa:

5911	lat od	stworzenia świata według rachuby opartej na Piśmie Św.
4255	„ „	potopu.
1911	„ „	narodzenia Chrystusa Pana.
946	„ „	zaprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce.
547	„ „	założenia Akademii krakowsk.
531	„ „	wynalezienia prochu.
525	„ „	połączenia Litwy z Polską przez Jadwigę i Jagiełłę.
501	„ „	*Pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem.*
471	„ „	wynalezienia druku.
436	„ „	urodzenia Mikołaja Kopernika.
419	„ „	odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba.
329	lat od	wprowadzenia kalendarza gregoryańskiego.
254	„ „	wprowadzenia zegar. ściennych
213	„ „	odkrycia siły parowej.
122	„ „	wybuchu wielkiej rewolucyi francuskiej.
120	„ „	ogłoszenia w Polsce Konstytucyi Trzeciego Maja.
116	„ „	trzeciego rozbioru Polski.
74	„ „	wynalezienia telegrafu.
48	„ „	ostatniego powstania polskiego (1863)
34	„ „	wynalezienia telefonu.
11	„ „	„ telegrafu bez drutu.
6	„ „	pogromu Rosyi pod Czuszymą (w wojnie z Japonią).

STYCZEŃ

Siczeń, Januarius, Jänner, ma dni 31.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	ŚWIĘTA Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zachód g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zachód g. m.	Odmiany księżyca i słońca
1.	Ewang. u Łuk. św. w R. 2. Z ewang. „Nowego Roku“.	Knyha Rożdż. Chrysta. Mat. 1.	Długość dnia 8 g. 14 m. Przybyło dnia 10 m. Zmierzch trwa 40 m.				
1 N.	**Nowy Rok** Miecz.	19 **N. 4 Adw.** Wonyf.	7 41	3 46	8 47	4 07	
2 P.	Makarego	20 Ihnatyja	7 41	3 47	9 26	5 14	
3 W.	Genowefy	21 Júłyanny M.	7 41	3 48	9 55	6 29	
4 S.	Tytusa b.	22 Anastazyi M.	7 40	3 49	10 18	7 45	☽
5 C.	Szymona bł.	23 10 Muczennikow	7 40	3 50	10 36	9 01	
6 P.	**Trzech Króli**	24 † *Wig. do Rożd.*	7 40	3 51	10 52	10 17	Pierwsza kwadra dnia 8 o godz. 7 m. 20 rano.
7 S.	Juliana i Lucyana	25 **Rożd. Chrysta**	7 40	3 52	11 08	11 34	Mrozy.
2.	Ewang. u Łuk. ś. w R. 2. 12-letni Jezus naucza w kośc.	Jisus uchodyt do Egyptu. Mat. 2.	Długość dnia 8 g. 25 m. Przybyło dnia 21 m. Zmierzch trwa 39 m.				
8 N.	**I po 3 Kr.** Sewer. ☽	26 **Sobor Pr. Bohor.**	7 39	3 53	11 23	—	○
9 P.	Marcyanny Panny	27 **Stefana Mucz.**	7 39	3 54	11 41	0 55	Pełnia dnia 14-go
10 W.	Pawła	28 2000 Muczenn.	7 38	3 56	0 01	2 18	o godz. 11·26
11 S.	Higiniusza pap.	29 14000 ubit. Mład.	7 38	3 58	0 29	3 46	wieczór.
12 C.	Ernesta i Honoraty	30 Anysyi	7 38	4 59	1 08	5 12	Mroźna pogoda.
13 P.	Łucyana	31 Mełanyi	7 37	4 —	2 01	6 32	
14 S.	Feliksa M. ○	1 **Siczeń N. R. 1911**	7 36	4 01	3 11	7 38	☾
3.	Ewang. u Jana św. w R. 2. O godach w Kanie gal.	Joan prepowidajut widpust. Mark. 1.	Długość dnia 8 g. 41 m. Przybyło dnia 37 m. Zmierzch trwa 38 m.				Ostatnia kwadra dnia 22 o godz.
15 N.	**2 po 3 Kr.** Pawła P.	2 **N. pered Prośw.**	7 35	4 03	4 33	8 27	7·21 rano.
16 P.	Marcelego Pap.	3 Małachyja Pr.	7 34	4 04	5 57	9 02	Mrozy.
17 W.	Antoniego	4 Sobr. 70 Ap.	7 33	4 06	7 19	9 26	
18 S.	Kat. św. Piotra	5 Naw. Bohojawł.	7 32	4 08	8 36	9 45	●
19 C.	Teodora i Ferdyn.	6 **Bohojawł. (Jord.)**	7 31	4 10	9 51	10 01	Nów dnia 30-go
20 P.	Fabiana i Sebastyan.	7 Sobor ś. Joana	7 30	4 11	11 02	10 15	o godz. 10·45
21 S.	Agnieszki Panny	8 Heorhija	7 29	4 13	—	10 29	przed południem. Deszcz i śnieg.
4.	Ewang. u Mat. ś. w R. 8. Jezus uzdrawia chorego.	Josyf opuszczajet Nazaret. Mat. 4.	Długość dnia 9 g. 0 m. Przybyło dnia 56 m. Zmierzch trwa 37 m.				
22 N.	**3 po 3 Kr.** Winc. ☾	9 **N. I po B.** Połyj.	7 28	4 14	0 12	10 42	
23 P.	Zaślubiny N M. P.	10 Hryhoryja Jep.	7 27	4 16	1 21	10 59	
24 W.	Tymoteusza	11 Teodożija	7 26	4 17	2 31	11 18	
25 S.	Nawr. św. Pawła	12 Tatiany M.	7 25	4 19	3 40	11 43	
26 C.	Pauli	13 Ermyła	7 24	4 21	4 47	0 16	
27 P.	Jana Chryzostoma	14 S. S. Otec w S.	7 22	4 23	5 50	0 59	
28 S.	Karola W. i Wal.	15 Pawła pop.	7 21	4 25	6 43	1 55	
5.	Ewang. u Mat. św. w R. 8. O łodzi Chrystusowej.	O zachowuwaniu zapowidej Bożych. Łuk. 91.	Długość dnia 9 g. 17 m. Przybyło d. 1 g. 13 m. Zmierzch trwa 36 m.				
29 N.	**4 po 3 Kr.** Franc. Sal	16 **N. 2. po B.** Petra	7 19	4 26	7 25	3 02	
30 P.	Martyny Panny ●	17 Antonyja Weł.	7 18	4 28	7 57	4 15	
31 W.	Ludwiki	18 Aftanazya Pr.	7 17	4 29	8 22	5 32	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

Dnia 30 stycznia 1 Szebat 5.671 roku.

Kalendarzyk historyczny. 1. Urodzenie Zygmunta I. Starego 1467 r. — 3. Ugoda Austryi i Rosyi co do zupełnego rozbioru Polski w r. 1795. — 9. Jenerał Henryk Dąbrowski formuje legiony we Włoszech 1797 r. — 11. Władysław Jagiełło obrany królem polskim 1386 r. — 22. *Wybuch powstania w r. 1863 w Król. pol.* — 26. Koronacya Zygmunta I. Starego w Krakowie 1507 r. — 29. Król Stefan Batory wydaje uniwersał, urządzający poczty w r. 1583.

LUTY

Lutyj, Februarius, Februar, ma dni 28.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	ŚWIĘTA Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.	Odmiany księżyca i słońca
1 Ś.	Ignacego B.	19 Makarya	7 16	4 31	8 43	6 49	
2 **C.**	**N. M. P. Gromnicz.**	20 Ewfymii	7 14	4 33	9 —	8 07	
3 P.	Błażeja B.	21 Maksyma Jep.	7 13	4 34	9 11	9 25	
4 S.	Weroniki	22 Tymofteja Apost.	7 11	4 36	9 29	10 44	☽
6.	Ewang. u Mat. św. w R. 13. O kąkolu w pszenicy zasian.	Uzdorowłenie ślipca w Jerychoni. Łuk. 93.	Długość dnia 9 g. 42 m. Przybyło d. 1 g. 38 m. Zmierzch trwa 36 m.				Pierwsza kwadra dnia 6-go o godz. 4·28 po poł. Pochmurno.
5 **N.**	**5 po 3 Kr.** Agaty P.	23 **N. 3 po B.** Kłym.	7 09	4 38	9 46	—	
6 P.	Doroty Panny ☽	24 Xenyi Prep.	7 08	4 39	10 05	0 06	
7 W.	Romualda	25 Hryhorija	7 06	4 41	10 29	1 29	
8 S.	Jana z Malty	26 Ksenofonta	7 05	4 42	11 02	2 54	🌕
9 C.	Apolonii Panny	27 Per mosz. Joana	7 04	4 44	11 47	4 15	
10 P.	Scholastyki P.	28 Efrema Syr.	7 02	4 46	0 49	5 24	Pełnia dnia 13-go
11 S.	Dezyderyusza	29 Ihnatyja Mucz.	7 —	4 48	2 04	6 18	o godz. 11·37 przed południem.
7.	Ew. u Mat. św. w R. 20. O robotnikach w winnicy.	O Mytary i Faryseju. Łuk. 79.	Długość dnia 10 g. 5 m. Przybyło d. 2 g. 1 m. Zmierzch trwa 35 m.				Pogodnie, mroźno.
12 **N.**	**Starozap.** Eulalii	30 **N. 4. po B. Trech S.**	6 59	4 49	3 27	6 58	
13 P.	Katarzyny Rici 🌕	31 Kyra i Joan.	6 57	4 51	4 51	7 26	☾
14 W.	Walentego	1 **Lutyj.** Tryfona	6 55	4 53	6 11	7 48	Ostatnia kwadra
15 S.	Faustyna M.	2 **Strytenje Hosp.**	6 53	4 55	7 28	8 05	dnia 21-go o godz.
16 C.	Julianny Panny	3 Symeona	6 51	4 57	8 42	8 19	4 m. 44 przed południem.
17 P.	Konstancyi	4 Izydora	6 49	5 59	9 54	8 33	Mrozy.
18 S.	Flawiana	5 Ahaftyi Mucz.	6 47	5 —	11 05	8 47	
8.	Ewang. u Łuk. św. w R. 8. O nasieniu i wielorakiej roli.	O Błudnom Syni. Łuk. 69.	Długość dnia 10 g. 29 m. Przybyło d. 2 g. 25 m. Zmierzch trwa 35 m.				
19 **N.**	**Mięsop.** Konrada	6 **N. o Bł. S.** Wuk.	6 45	5 02	—	9 02	
20 P.	Flawiana	7 Parftenija	6 43	5 03	0 16	9 20	
21 W.	Eleonory P. ☽	8 Fteodora	6 42	5 05	1 21	9 43	
22 S.	St. Piotra	9 Nykyfora	6 40	5 07	2 35	10 12	
23 C.	Romany P.	10 Charłampija	6 38	5 08	3 39	10 51	
24 P.	Macieja Ap.	11 Własija Mucz.	6 36	5 10	4 35	11 41	
25 S.	Anastazyi	12 Mełetya Arch.	6 34	5 12	5 21	0 44	
9.	Ewang. u Łuk. św. w R. 18. O uzdrowieniu ślepego.	O Zakcheju. Łuk. 94.	Długość dnia 10 g. 51 m. Przybyło d. 2 g. 47 m. Zmierzch trwa 34 m.				
26 **N.**	**Zapustna.** Aleksand.	13 **N. Miasop.** Mart.	6 31	5 14	5 58	1 56	
27 P.	Juliana	14 Kiryła	6 29	5 16	6 26	3 12	
28 W.	Romana	15 Onysyma	6 27	5 17	6 47	4 31	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

13 lutego = Chamisza — Asar.

Kalendarzyk historyczny. 2. Posłowie czescy zapraszają na tron Władysława Jagiełłę 1421 r. — 9. Slub Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Austryaczką, matką Jagiellonów w r. 1434. — 14. Chrzest Władysława Jagiełły w Krakowie 1386 r. — 16. Koronacya Władysława IV. w Krakowie 1633 r. — 17. Pierwsze złączenie Litwy z Polską 1386 r. — 21. Koronacya Zygmunta Augusta 1530 r. — 25. *Bitwa pod Grochowem w czasie powstania 1831 r.* — 26 Obiór Jadwigi królową polską 1383 r.

MARZEC

Mart, Martius, März, ma dni 31.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	ŚWIĘTA Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.	Odmiany księżyca i słońca
1 S.	*Popielec.* Albin ●	16 Pamfiła	6 25	5 19	7 05	5 50	
2 C.	Heleny ces.	17 Fteodora	6 23	5 21	7 21	7 10	●
3 P.	† Kunegundy K.	18 Lwa Pap.	6 21	5 22	7 36	8 31	Nów dnia 1-go
4 S.	Kazimierza	19 Archyppa	6 19	5 24	7 51	9 53	o godz. 1 min. 31 przed południem.
10.	Ewang. u Mat. św. w R. 4. O kuszeniu P. Jezusa.	O strasznom sudi. Mat. 106.	Długość dnia 11 g. 17 m. Przybyło d. 3 g. 13 m. Zmierzch trwa 34 m.				Zmiennie, wietrzno
5 **N.**	**I postu.** Euzebiusza	20 **N. Syr.** Lwa Jep	6 17	5 25	8 10	11 18	
6 P.	Kolety Panny	21 Tymoftyja	6 15	5 27	8 32	—	☽
7 W.	Tomasza z Akwinu	22 Obrit. Moszcz.	6 13	5 29	9 01	0 43	Pierwsza kwadra
8 S.	Jana B. † *Such.* ☽	23 *Pist Weł.* Połyk.	6 10	5 31	9 42	2 05	dnia 8-go o godz. 0 m. 1 przed poł.
9 C.	Franciszki P.	24 **Ob. Joanna Kr.**	6 08	5 33	10 38	3 17	Zimno.
10 P.	40 Męcz. † *Such.*	25 Tarasia Arch.	6 06	5 34	11 47	4 16	
11 S.	Herakliusza † *Such.*	26 Porfyrya	6 04	5 36	1 07	4 58	○
11.	Ewang. u Mat. ś. w R. 17. O przemienieniu Pańskiem.	O Posti. Mat. 17.	Długość dnia 11 g. 43 m. Przybyło d. 3 g. 39 m. Zmierzch trwa 33 m.				Pełnia dnia 15-go
12 **N.**	**2 Suoha.** Grzegorza	27 **N. I Posta.** Prok.	6 02	5 37	2 28	5 29	o godz. 0 m. 58 przed połud.
13 P.	Krystyny Panny	28 Wasyłyja	6 —	5 39	3 48	5 51	Pogodnie
14 W.	Matyldy	1 **Mart.** Kasyana	5 58	5 41	5 06	6 09	
15 S.	Longina ○	2 Fteodora	5 56	5 42	6 22	6 25	☾
16 C.	Cyryaka	3 Ewtropia	5 54	5 44	7 34	6 39	Ostatnia kwadra
17 P.	Gertrudy Panny	4 Harasyma Pr.	5 52	5 46	8 46	6 51	dnia 23-go o godz. 1 m. 26 przed poł.
18 S.	*7 Boleści NMP.*	5 Konona Mucz.	5 49	5 48	9 58	7 06	Powietrze zimne.
12.	Ewang. ś. Łuk. w R. 11. O wypędzeniu djabłów p. P. Jez.	O Natanaiłu. Joan. 5.	Długość dnia 12 g. 9 m. Przybyło d. 4 g. 5 m. Zmierzch trwa 33 m.				●
19 **N.**	**3 Głucha.** Józefa Ob.	6 **N. 2 Posta.** 42 M.	5 47	5 49	11 09	7 23	Nów dnia 30-go
20 P.	Joachima i Klaudyi	7 Wasyłyja	5 45	5 50	—	7 43	o godz. 1 m. 38
21 W.	Benedykta	8 Teofilakta	5 43	5 51	0 20	8 09	po południu.
22 S.	Oktawiana	9 SS. 40 Mucz.	5 41	5 52	1 26	8 43	Nieprzyjemnie zimno.
23 C.	Wiktoryna M. ☾	10 Kondrata M.	5 39	5 54	2 27	9 29	
24 P.	Gabryela	11 Sofronya	5 37	5 55	3 17	10 26	**Słońce** wstępuje
25 S.	**Zwiast. N. M. P.**	12 Fteofana prep.	5 35	5 57	3 56	11 33	w znak Barana dnia 21-go
13.	Ewang. u Jana ś. w R. 6. O nakarmieniu 5000 ludzi.	Uzdorowłenie rozsłabłennoho żyłamy. Mark 6.	Długość dnia 12 g. 33 m. Przybyło d. 4 g. 28 m. Zmierzch trwa 34 m.				Początek wiosny.
26 **N.**	**4 Srodop.** Emanuela	13 **N. 3 P.** Nykyfora	5 33	5 58	4 27	0 47	
27 **P.**	Ruperta	14 Wenedykta	5 30	6 —	4 50	2 06	
28 W.	Sykstusa	15 Ahapia Mucz.	5 28	6 02	5 09	3 26	
29 S.	Cyryla	16 Sawyna	5 25	6 04	5 26	4 46	
30 C.	Kwiryna Męcz. ●	17 Ałeksa P.	5 23	6 05	5 41	6 07	
31 P.	Bogufała	18 Kiryła Arch.	5 21	6 07	5 57	7 32	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

1 marca = 1 Addar.	15 marca = Addar (Suszam Purim).
13 „ = 13 Addar (Post Estery)	30 „ = 1 Nisan.
14 „ = 14 Addar Purim.	

Kalendarzyk historyczny. 3. Austryacy zajmują Kraków 1846 r. — 7. *Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Polsce 966 r.* — 8. Sławny sejm prawodawczy w Wiślicy za Kazimierza Wielkiego 1347 r. — 12. Król Władysław Łokietek umiera 1333 r. — 24. Przysięga Kościuszki w Krakowie 1794 r. — 28. Rakoczy, książę Siedmiogrodzki wkracza do Krakowa jako sprzymierzeniec Szwedów 1657 r. — 29. Stefan Czarniecki zwycięża Szwedów pod Warką 1656 r. — 31. Przymierze Jana III. Sobieskiego z Austryą przeciw Turcyi 1683 r.

KWIECIEN

Cwiteń, Aprilis, April, ma dni 30.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.	Odmiany słońca i księżyca
1 S.	Hugona Bisk.	19 Chrysanfta	5 19	6 08	6 14	8 58	
14.	Ewang. u Jana ś. w R. 8. O żyd. chcących ukam. Jezusa.	O wyreczeniu sia samoho sebe. Mark. 37.	Długość dnia 13 g. 3 m. Przybyło d. 4 g. 59 m. zmierzch trwa 34 m.				
2 N.	**5 Czarna.** Franc.	20 **N. 4 P.** Ot. ś. Sawy	5 17	6 10	6 35	10 27	
3 P.	Ryszarda Bisk.	21 Jakowa	5 15	6 11	7 02	11 53	
4 W.	Izydora	22 Wasyłija	5 13	6 13	7 40	—	☽
5 S	Wincentego Fer	23 Nykon. i 200 ucz.	5 11	6 14	8 31	1 11	Pierwsza kwadra dnia 6 o godz. 6 m. 55 przed poł. Czas zmienny.
6 C.	Sykstusa ☽	24 Zacharya Prep.	5 09	6 16	9 36	2 14	
7 P.	Hermana	25 **Błah. P. Bohor.**	5 06	6 18	10 53	3 —	
8 S.	Dyonizego	26 Hawryiła	5 04	6 20	0 13	3 34	
15.	Ew. u św. Mat. w R. 21. Wjazd Jezusa do Jerozolimy.	O uzdorowłeniu bisnowatoho nimoho. Mark. 40.	Długość dnia 13 g. 24 m. Przybyło d. 5 g. 20 m. Zmierzch trwa 36 m.				○
9 N.	**6 Palmowa.** Maryi	27 **N. 5 P.** Matrony	5 02	6 21	1 43	3 58	Pełnia dnia 13-go o godz. 3 m. 36 po poł. Pogodnie.
10 P.	Terentya	28 Iławisyja	5 —	6 23	3 51	4 16	
11 W.	Leona Pap.	29 Marka	4 58	6 24	4 05	4 32	
12 S.	Juliusza	30 Iwana	4 56	6 26	5 18	4 45	
13 C.	*Wieczerza P.* ○	31 Ipatya Ep.	4 54	6 27	6 31	4 58	☾
14 P.	*Wielki Piątek*	1 **Cwiteń.** Maryi	4 52	6 29	7 42	5 12	
15 S.	*Wielka Sobota*	2 Tyta Prep.	4 50	6 30	8 54	5 28	Ostatnia kwadra dnia 21-go o godz. 7 m. 36 po poł. Ciepło.
16.	Ew. u św. Marka w R. 16. O zmartwychwstaniu Jezusa.	Torżestwennyj wjizd Isusa do Jerusalem. Joan 41.	Długość dnia 13 g. 50 m. Przybyło d. 5 g. 46 m. Zmierzch trwa 36 m.				
16 N.	**Wielkanoc**	3 **N. Cwitn.** Nykyty	4 48	6 32	10 05	5 47	
17 P.	**Poniedz. Wiel.**	4 Josyfa Prep.	4 45	6 34	11 14	6 09	●
18 W.	Apolonii	5 Teodula	4 43	6 36	—	6 11	
19 S.	Krescencyi	6 Ewstachia	4 41	6 37	0 17	7 21	Nów dnia 28-go o godz. 11 m. 25 po poł. Pogodnie i ciepło.
20 C.	Wiktora	7 Heorh. *W. Czetw.*	4 39	6 39	1 11	8 13	
21 P.	Anzelma Bisk. ☾	8 **Wełyka Piatn.**	4 37	6 40	1 55	9 16	
22 S.	Kajusa	9 Jewpsychia Jep.	4 35	6 42	2 28	10 26	
17.	Ewang. u Jana ś. w R. 20. O ukazaniu się P. Jezusa Apost.	O Bożestwi Isusa. Joan 1.	Długość dnia 14 g. 15 m. Przybyło d. 6 g. 11 m. Zmierzch trwa 37 m.				
23 N.	**I po W.** Wojciecha	10 **Woskresenie Chr.**	4 33	6 43	2 54	11 42	
24 P.	Grzegorza	11 **Ponedłok Switłyj**	4 31	6 45	3 13	0 59	
25 W.	Marka Ew.	12 **Wtorek Switłyj**	4 30	6 46	3 30	2 17	
26 S.	Kleta i Marcelina	13 Artemona	4 28	6 48	3 46	3 38	
27 C.	Peregryna	14 Martyniana	4 26	6 59	4 01	5 01	
28 P.	Witalisa M. ●	15 Arystarcha	4 24	6 50	4 17	6 27	
29 S.	Piotra M. i Hugona	16 Ahapii Mucz.	4 22	6 52	4 36	7 58	
18.	Ewang. u Jana ś. w R. 10. O Chrystusie dobrym pasterzu.	O newirnom Ftomi. Joan 65.	Długość dnia 14 g. 39 m. Przybyło d. 6 g. 35 m. Zmierzch trwa 38 m.				
30 N.	**2 po W.** Katarzyny	17 **N. I po W.** Sym,	4 21	6 53	5 01	9 29	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

13 kwietnia = **Początek Paschy.**
14 „ = **Drugie święto Paschy.**
19 „ = **Siódme święto Paschy.**

20, 22 kwietnia = **Osme święto Paschy.**
29 „ = 1 Ijar.

Kalendarzyk historyczny. 1. Smierć Zygmunta I. Starego w Krakowie 1548 r. — 3. Smierć Bolesława Chrobrego w Poznaniu 1025 r. — 4. *Zwycięska bitwa pod Racławicami w powstaniu Kościuszki 1794 r.* — 6. Założenie Akademii krakowskiej przez Kazimierza W. 1361 r. -- 9. Klęska Polaków pod Lignicą za pierwszego najazdu Tatarów 1241 r. — 10. Zwycięstwo pod Iganiami w powstaniu 1831 r. — 25. Koronacya Kazimierza W. 1333 r. — 26. *Trzeci rozbiór Polski 1795 r.*

MAJ

Maj, Majus, Mai, ma dni 31.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	ŚWIĘTA Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zachód g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zachód g. m.	Odmiany księżyca i słońca
1 P.	Filipa i Jakóba	18 Joana Prep.	4 19	6 55	5 35	10 54	
2 W.	Zygmunta	19 Chrysanta i Daryi	4 17	6 56	6 22	—	
3 S.	Znalez. św. Krzyża	20 Nykity	4 15	6 58	7 24	0 06	
4 C.	Floryana M.	21 Januarya M.	4 14	6 59	9 40	1 00	
5 P.	Piusa V. P. ☽	22 Teodora	4 12	7 01	10 01	1 38	
6 S.	Jana w Oleju	23 Heorhija	4 10	7 02	11 22	2 04	
19.	Ewang. u Jana ś. w R. 16. O odejściu Chrystusa do Ojca.	O Myronosnycach. Mark. 69.	Długość dnia 15 g. 1 m. Przybyło d. 6 g. 57 m. Zmierzch trwa 39 m.				☽ Pierwsza kwadra dnia 5-go o godz. 2 m. 14 po poł. Zmiennie.
7 **N.**	**3 po W.** Domiceli P.	24 **N. 2 po W.** Sawy	4 08	7 04	0 41	2 25	
8 **P.**	**Stanisława Bisk.**	25 Marka Jew.	4 06	7 06	1 55	2 41	
9 W.	Grzegorza	26 Wasyłyja M.	4 05	7 07	3 07	1 54	
10 S.	Izydora	27 Symeona	4 03	7 09	4 18	3 07	
11 C.	Adolfa	28 Jasona Ap.	4 02	7 10	5 30	3 20	🌕 Pełnia dnia 13-go o godz. 7 m. 10 przed połud. Czas zimny.
12 P.	Pankracego	29 Dewiat mucz.	4 01	7 11	6 41	3 34	
13 S.	Serwacego 🌕	30 Jakowa Ap.	3 59	7 13	7 53	3 51	
20.	Ewang. u Jana ś. w R. 16. O przyczynie odejścia Jezusa.	O rozsłabłennom. Joan 14.	Długość dnia 15 g. 23 m. Przybyło d. 7 g. 19 m. Zmierzch trwa 40 m.				
14 **N.**	**4 po W.** Bonifacego	1 **Maj.** Jeremy	3 58	7 14	9 08	4 13	☾ Ostatnia kwadra dnia 21-go o godz. 10 m. 23 przed poł. Ciepło.
15 P.	Zofii i 3 Córek	2 Borysa	3 57	7 15	10 08	4 41	
16 W.	Jana Nepomucena	3 Teodozya	3 55	7 17	11 05	5 18	
17 S.	Paschalisa	4 Pelachii	3 53	7 19	11 52	6 06	
18 C	Szczęsnego	5 Iryny Mucz	3 52	7 20		7 04	
19 P.	Piotra Celst.	6 Meftodyja	3 50	7 22	0 28	8 11	🌑 Nów dnia 28-go o godz. 7 m. 24 przed południem. Oziębia się.
20 S.	Bernarda	7 Jowa Moh	3 49	7 23	0 56	9 23	
21.	Ewang. u Jana św. w R. 16. O modlitwie w imię J. Chrys.	O Samaryanyni. Joan 12.	Długość dnia 15 g. 39 m. Przybyło d. 7 g. 35 m. Zmierzch trwa 41 m.				
21 **N.**	**5 po W.** Feliksa ☾	8 **N. 4 po W.** Iwana	3 48	7 24	1 18	10 39	
22 P.	Julii Panny	9 Izaiji Prep.	3 47	7 25	1 35	11 55	
23 W.	Dezyderyusza	10 Sw. Otciw 318	3 46	7 27	1 49	1 12	
24 S.	Joanny w.	11 Mokija	3 45	7 28	2 05	2 31	
25 **C.**	**Wniebowstąpienie P.**	12 Jepyfanya Jep.	3 44	7 39	2 20	3 55	
26 P.	Filipa Ner.	13 Glikdryi m.	3 43	7 30	2 38	5 22	
27 S.	† Jana Pap. m.	14 Izydora Mucz	3 42	7 31	2 59	6 54	
22.	Ew. u Jana ś. w R. 15 i 16. O przyjściu Pocieszyciela.	O śliporożdennom. Joan 34.	Długość dnia 15 g. 54 m. Przybyło d. 7 g. 50 m. Zmierzch trwa 42 m.				
28 **N.**	**6 po W.** Wilhel. 🌑	15 **N. 5 po W.** Pachom.	3 41	7 32	3 28	8 24	
29 P.	Maksyma	16 Fteodora Ośw.	3 40	7 34	4 08	9 46	
30 W.	Ferdynanda	17 Andronika op.	3 40	7 35	5 06	10 50	
31 Ś.	Petroneli	18 Teodyta	3 39	7 36	6 19	11 36	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

6 maja = Lag-Bomer. — 28 maja = 1 Siwan.

Kalendarzyk historyczny. 1. Koronacya Stefana Batorego i Anny Jagiellonki 1576 r. — 3. *Ogłoszenie wiekopomnej Konstytucyi 3-go Maja 1791 r.* — 8. Śmierć męczennika św. Stanisława Szczepanowskiego 1078 r. — 17. Wojska zaborcze wkraczają do Warszawy 1773 r. — 18. Jan III. Sobieski obrany królem 1674 r. — 20. Śmierć Władysława IV. w Mereczu 1648 r. — 24. Śmierć Kopernika, najznakomitszego astronoma 1543 r. — 26. Przyłączenie Wołynia do Korony na sejmie 1569 r. — 31. Śmierć Władysława Jagiełły w Gródku 1434 r.

CZERWIEC

Czerweń, Junius, Juni, ma dni 30.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	ŚWIĘTA Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.	Odmiany słońca i księżyca
1 C.	Nikodema Męcz.	19 **Woznes. Hosp.**	3 38	7 37	7 24	—	
2 P.	Erazma B.	20 Ftatatea M.	3 38	7 38	9 07	0 08	☽
3 S.	Klotyldy *Wigil.* ☽	21 Konstantyna	3 37	7 39	10 28	0 30	Pierwsza kwadra d. 3-go o godz. 11 m. 4 po połud. Zimne poranki.
23.	Ewang. u Jana ś. w R. 14. O zesłaniu Ducha św.	O prosławłenyi Isusa. Joan 56.	Długość dnia 16 g. 4 m. Przybyło d. 8 g. — m. Zmierzch trwa 43 m.				
4 **N.**	**Zielone Święta**	22 **N. 6. po W.** Was.	3 36	7 40	11 44	0 47	
5 **P.**	**Pon. Ziel. Świąt.**	23 Mychaiła	3 35	7 41	0 58	1 02	
6 W.	Norberta	24 Symeona Prop.	3 34	7 42	2 10	1 15	○
7 S.	Lukrecyi † *Such.*	25 Ob. hł. ś. Iwan.	3 34	7 43	3 20	1 29	Pełnia dnia 11-go o godz. 10 m. 51 po południu. Pogoda.
8 C.	Medarda B.	26 Karpa Ap.	3 33	7 44	4 30	1 42	
9 P.	Felicyana † *Such.*	27 Fteraponta	3 33	7 44	5 41	1 58	
10 S.	Małgorzaty † *Such.*	28 Nykyty *Sub. zad.*	3 33	7 45	6 53	2 18	☾
24.	Ewang. u Łuk. św. w R. 6. O miłości bliźniego.	O Duchu światom. Joan 27.	Długość dnia 16 g. 11 m. Przybyło d. 8 g. 7 m. Zmierzch trwa 44 m.				Ostatnia kwadra dnia 19-go o godz. 9 m. 51 po południu. Zmiennie.
11 **N.**	**I po Św. Prz. Tr.** ○	29 **Sosz. ś. Ducha**	3 33	7 46	7 59	2 43	
12 P.	Onufrego W.	30 **Preśw. Trojcl**	3 32	7 47	9 00	3 17	
13 W.	Antoniego	31 Herwiny	3 32	7 47	9 50	4 02	
14 S.	Bazylego	1 **Czerw.** Justyna	3 32	7 48	10 29	4 57	●
15 **C.**	**Boże Ciało**	2 Nykyfora M.	3 32	7 48	10 59	6 02	
16 P.	Brunona	3 Łukityana	3 32	7 49	11 22	7 13	Nów dnia 26-go o godz. 2 m. 19 po południu. Powietrze niestałe.
17 S.	Adolfa	4 Mytrofana	3 32	7 49	11 41	8 26	
25.	Ew. św. Łukasza r. 14. O wezwaniu na wieczerzę.	O Smyrennosty. Mark. 47.	Długość dnia 16 g. 16 m. Przybyło d. 8 g. 12 m. Zmierzch trwa 45 m.				
18 **N.**	**2 po Św.** Marka	5 **N. I S. Wsich S.**	3 32	7 50	11 57	9 40	Słońce wstępuje w znak Raka dnia 22-go czerwca. Jestto początek lata.
19 P.	Gerwazego i Pr. ☾	6 Hyłariona	3 32	7 50	—	10 55	
20 W.	Sylweryusza	7 Fteodota jep.	3 32	7 50	0 11	0 11	
21 S.	Alojzego	8 Kiryła Arch.	3 32	7 51	0 25	1 29	
22 C.	Paulina B.	9 **Tiło Chr.**	3 32	7 51	0 40	2 52	
23 P.	*Serca Jezusa*	10 Tymoftea jep.	3 33	7 51	0 59	4 20	
24 S.	Jana Chrzciciela	11 Warftołomea	3 33	7 51	1 23	5 50	
26.	Ewang. u Łuk. ś. w R. 15. O zaginionej owcy.	O hradenji po Christi. Mark. 8.	Długość dnia 16 g. 13 m. Ubyło d. 3 m. Zmierzch trwa 44 m.				
25 **N.**	**3 po Św.** Prospera B.	12 **N. 2 po S.** Onufrya	3 33	7 51	1 57	7 17	
26 P.	Jana i Pawła ●	13 Akiłyny	3 34	7 51	2 46	8 31	
27 W.	Władysława	14 Jełysija	3 34	7 51	4 53	9 27	
28 S.	Leona II. P. *Wig.*	15 Amosa	3 35	7 51	5 14	10 05	
29 **C.**	**Piotra i Pawła**	16 Tychona	3 35	7 51	6 41	10 32	
30 P.	Emilii i Lucyny	17 Manuiła Mucz.	3 36	7 51	8 07	10 51	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

2 czerwca = 6 Siwan — **Zielone Święta.** — 3 czerwca = 7 Siwan — **Drugi dzień Zielonych Świąt.** — 27 czerwca = 1 Tamuz.

Kalendarzyk historyczny. 2. Urodzenie Jana III. Sobieskiego w Olesku 1624 r. 3. Śmierć Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana 1605 r. — 13. Zdobycie Smoleńska na Moskalach przez Zygmunta III. 1611 r. — 15. Smierć królowej Jadwigi 1399 r. — 17. Smierć Jana III. w Wilanowie pod Warszawą 1696 r. — 23. Sprowadzenie zwłok z Szwajcaryi i pogrzeb Kościuszki w Krakowie 1818 r. — 25. Kazimierz Jagiellończyk wstępuje na tron 1447 r. — Bitwa pod Beresteczkiem 1651 r.

LIPIEC

Łypeń, Julius, Juli, ma dni 31.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.	Odmiany księżyca i słońca
1 S.	Juliusza	18 Łeontyja	3 36	7 51	9 28	11 08	
27.	Ewang. u Łuk. ś. w R. 5. O obfitym połowie ryb Piotra.	Nahoroda za wiru w Isusa Chrysta. Mat. 38.	Długość dnia 16 g. 8 min. Ubyło d. 8 m. Zmierzch trwa 43 m.				
2 N.	**4 po Św.** *Naw. NMP.*	19 **3 po S.** Judy Tad.	3 37	7 50	10 46	11 22	
3 P.	Anatola ☽	20 Meftodya	3 38	7 50	11 58	11 35	
4 W.	Prokopa	21 Juliana	3 39	7 50	1 10	11 49	
5 S.	Cyryla i Metodego	22 Ewsewija	3 40	7 49	2 21	—	☽ Pierwsza kwadra d. 3-go o godz. 10 m. 20 przed poł. Gorąco.
6 C.	Izajasza Pr.	23 Agrypyny M.	3 41	7 48	3 32	0 05	
7 P.	Pulcheryi P.	24 **Roż. ś. Iwana Chr.**	3 42	7 48	4 42	0 22	
8 S.	Elżbiety król. wd.	25 Fewronyi	3 43	7 47	5 51	0 46	
28.	Ewang. u Mat. ś. w R. 5. O Sprawiedliwości.	Peter ide wo ślid Isusa. Mat. 9.	Długość dnia 15 g. 59 min. Ubyło d. 17 m. Zmierzch trwa 43 m.				
9 N.	**5 po Św.** Łucyi	26 **4 po S.** Dawyda	3 43	7 47	6 54	1 18	🌕 Pełnia dnia 11-go o godz. 1 m. 53 po południ. Pogoda.
10 P.	7 braci śpiących	27 Samsona	3 44	7 46	7 47	1 58	
11 W.	Piusa I. Pap. 🌕	28 Kyra i Iwana	3 45	7 46	8 30	2 51	
12 S.	Jana Gwalb.	29 **Petra i Pawła**	3 46	7 45	9 03	3 54	
13 C.	Małgorzaty P.	30 Sob. S. S. 12 Ap.	3 47	7 44	9 28	5 04	
14 P.	Bonawentury	1 **Łyp.** Kosmy i D.	3 48	7 43	9 47	6 17	☾ Ostatnia kwadra dnia 19-go o godz. 6 m. 31 rano. Czas zmienny.
15 S.	Henryka	2 Poł. Ryzy Boh.	3 49	7 43	10 03	7 31	
29.	Ewang. u Marka ś. w R. 8. O nakarmieniu 4000 ludzi.	Nykto ne może dwom hospodynom służyty. Mat. 18.	Długość dnia 15 g. 47 min. Ubyło d. 29 m. Zmierzch trwa 42 m.				
16 N.	**6 po Św.** *NMP. Szk*	3 **5 po S.** Jakywta	3 50	7 42	10 17	8 44	
17 P	Szymona	4 Andreja	3 51	7 41	10 31	9 59	
18 W	Fryderyka	5 Kyryła i Met	3 52	7 40	10 46	11 15	🌑 Nów dnia 25-go o godz. 9 m. 12 po południu. Gorąco.
19 S.	Wincentego á P. ☾	6 Atanazya	3 53	7 39	11 03	0 34	
20 C.	Czesława i K.	7 Tomy Prep.	3 55	7 38	11 23	1 56	
21 P.	Daniela i Praksedy	8 Prokopija	3 56	7 37	11 50	2 23	
22 S.	Maryi Magdaleny	9 Pankratija	3 57	7 36	—	4 49	
30.	Ewang. u Marka ś. w R. 7. O fałszywych prorokach.	O sotnyku. Mat. 25.	Długość dnia 15 g. 30 min. Ubyło d. 46 m. Zmierzch trwa 41 m.				
23 N.	**7 po Sw** Apolinar.	10 **6 po S.** Antonija	3 58	7 35	0 31	6 08	
24 P.	Krystyny	11 Ewfymii	3 59	7 34	1 28	7 12	
25 W.	Jakóba Apost. 🌑	12 Prokła i Ilaryja	4 00	7 32	2 42	7 58	
26 S.	Anny	13 Sobor Hawryiła	4 03	7 30	4 08	8 31	
27 C.	Natalii P.	14 Onysyma	4 04	7 29	5 37	8 54	
28 P.	Innocentego P.	15 Wołodymyra	4 05	7 28	7 03	9 12	
29 S.	Marty Panny	16 Atynogena	4 06	7 26	8 24	9 26	
31.	Ewang. u Łuk. ś. w R. 16. O niesprawiedliwym szafarzu.	O dwoch bisnowatych. Mat. 28.	Długość dnia 15 g. 10 min. Ubyło d. 1 g. 06 m. Zmierzch trwa 40 m.				
30 N.	**8 po Sw.** Abdona	17 **7 po S.** Martyny	4 08	7 25	9 41	9 40	
31 P.	Ignacego Lojoli	18 Emiliana	4 09	7 24	10 55	9 54	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

13 lipca = 17 Tamuz (Zdobycie świątyni) post. — 26 lipca = 1 Abh.

Kalendarzyk historyczny. 3. Wkroczenie Szwedów do Polski za króla Jana Kazimierza 1655 r. — 4. Książę Konrad Mazowiecki nadaje Krzyżakom Prusy 1228 r. — 7. Smierć Zygmunta Augusta, ostatniego z rodu Jagiellonów 1572 r. — 14. Zwycięstwo nad Moskalami pod Orszą 1508 r. — 15. *Pogrom Krzyżaków przez Wład. Jagiełłę pod Grunwaldem 1410 r.* — 25. Koronacya Władysława Warneńczyka 1434 r. — 27. Wybór Augusta II. Sasa na króla 1697 r.

SIERPIEN

Serpeń, Augustus, August, ma dni 31.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zachód g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zachód g. m.	Odmiany księżyca i słońca
1 W.	Piotra w okowach	19 Makryny	4 11	7 22	0 08	10 09	
2 S.	*N. M. P. Aniel.* ☽	20 Iłyi P.	4 12	7 21	1 20	10 26	☽
3 C.	Bolesława	21 Symeona i Iwana	4 13	7 19	2 31	10 48	Pierwsza kwadra
4 P.	Dominika wyz.	22 Maryi Mahdał.	4 15	7 18	3 41	11 17	d. 2-go o godz. 10
5 S.	*NMP. Śnieżnej*	23 Trofyma	4 17	7 16	4 46	11 54	m. 29 przed poł. Mgły ranne.
32.	Ewang. u Łuk. ś. w R. 19. O zburzeniu Jerozolimy.	O rozsłabłennom żyłami. Mat. 29.	Długość dnia 14 g. 49 min. Ubyło d. 1 g. 27 m. Zmierzch trwa 39 m.				
6 **N.**	**9 po Sw.** *Przem. P.*	24 **8 po S.** Chrystyny	4 18	7 14	5 43	—	🌕
7 P.	Kajetana Wyzn.	25 Uspen. ś. Anny	4 20	7 12	6 29	0 43	Pełnia dnia 10-go
8 W.	Zbigniewa	26 Jermołaja	4 21	7 11	7 05	1 44	o godz. 3 m. 55
9 S.	Romana i Juliana	27 Pantełejmona	4 22	7 09	7 32	2 52	przed połud. Pogoda i gorąco.
10 C.	Wawrzyńca M. 🌕	28 Prochora i Nik.	4 24	7 07	7 53	4 06	
11 P.	Zuzanny Panny	29 Kałłynyka M.	4 25	7 06	8 10	5 20	☾
12 S	Klary	30 Syły Ap.	4 27	7 04	8 25	5 35	Ostatnia kwadra
33.	Ewang. u św. Łuk. w R. 18. O faryzeuszu i celniku.	O dwoch ślipcach. Mat. 33.	Długość dnia 14 g. 27 min. Ubyło d. 1 g. 49 m. Zmierzch trwa 38 m.				dn. 17-go o godz. 1 m. 11 po poł.
13 **N.**	**10 po Sw.** Hipolita	31 **9 po S.** Jewdok.	4 28	7 02	8 38	7 49	Gorąco.
14 P.	Euzebiusza	1 **Serp.** Per. moszcz.	4 29	7 01	8 52	9 05	
15 **W.**	**Wniebowz. NMP.**	2 Stefana M.	4 31	6 59	9 08	10 23	🌑
16 S.	Rocha i Jacka	3 Izaakija	4 32	6 57	9 26	11 43	Nów dnia 24-go
17 C.	Anastazego B. ☾	4 7 Otrok. w Efez.	4 33	6 55	9 51	1 07	o godz. 5 m. 14
18 P.	Heleny	5 Ewsygnia	4 35	6 53	10 25	2 32	przed południem. Gorąco.
19 S.	Ludwika Tol.	6 **Preobr. Hosp.**	4 36	6 52	11 13	3 52	
34.	Ewang. u Marka ś. w R. 7. O uzdrowieniu głuchoniem.	O piaty chlibach i dwoch rybach. Mat. 58.	Długość dnia 14 g. 3 min. Ubyło d. 2 g. 13 m. Zmierzch trwa 37 m.				☽
20 **N.**	**11 po Sw.** Stefana	7 **10 po S.** Dometya	4 38	6 50	—	5 00	Pierwsza kwadra dnia 31-go o godz.
21 P.	Joanny Frem.	8 Emilijana	4 39	6 48	0 19	5 52	5 m. 21 po poł.
22 W.	Tymoteusza	9 Matyja Ap.	4 41	6 46	1 39	6 28	Powietrze niestałe.
23 S.	Filipa Biskupa	10 Ławrentyja M.	4 43	6 44	3 06	6 55	
24 C.	Bartłomieja Ap. 🌑	11 Ewpla	4 44	6 42	4 34	7 14	
25 P.	Ludwika Kr.	12 Fotya M.	4 46	6 39	5 57	7 31	
26 S.	Zefiryny	13 Maksyma P.	4 47	6 37	7 18	7 45	
35.	Ewang. u Łuk. ś. w R. 9. O miłosiernym Samarytaninie.	O małowirstwi Petrowom. Mat. 59.	Długość dnia 13 g. 39 min. Ubyło d. 2 g. 37 m. Zmierzch trwa 36 m.				
27 **N.**	**12 po Sw.** Józefa K	14 **11 po S.** Michea	4 49	6 35	8 34	7 59	
28 P.	Augustyna B.	15 **Uspenije Bohor.**	4 50	6 33	9 49	8 13	
29 W.	Scięcie św. Jana	16 Obr. Hosp.	4 52	6 31	11 03	8 29	
30 S.	Róży L.	17 Myrona M.	4 53	6 29	0 17	8 49	
31 C.	Rajmunda Wyz. ☽	18 Flora i Ławra	4 54	6 27	1 28	9 15	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

3 sierpnia = 9 Abh — spalenie świątyni (post). — 25 sierpnia 1 Elul.

Kalendarzyk historyczny. 1. Urodzenie Zygmunta Augusta 1520 r. — 10. Zwycięstwo Bolesława Krzywoustego pod Nakłem 1113 r. — 11. *Uroczyste zatwierdzenie Unii Litwy z Polską na Sejmie w Lublinie 1569 r.* — 14. Bolesław Chrobry zdobywa Kijów 1018 r. — 20. Kamieniec podolski dostaje się w ręce Turków 1672 r. — 22. Zwycięstwo hetmana Tarnowskiego nad Turkami pod Obertynem 1531 r. — 29. Wyparcie Szwedów z Krakowa 1656 r.

WRZESIEN

Weresеń, Septembris, September, ma dni 30.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	ŚWIĘTA Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zachód g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zachód g. m.	Odmiany księżyca i słońca
1 P.	Idziego	19 Andreja	4 56	6 25	2 36	9 49	
2 S.	Stefana kr.	20 Samuiła Prep.	4 57	6 23	3 36	10 34	
36.	Ewang. u Łuk. ś. w R. 17. O uzdrowieniu 10 trędowat.	O bisnowatym na nowom misiacy. Mat. 72.	Długość dnia 13 g. 14 min. Ubyło d. 3 g. 2 m. Zmierzch trwa 35 m.				
3 **N.**	**13 po Sw.** Bronisł.	21 **N. 12** Tadeja	4 59	6 21	4 26	11 30	Pełnia dnia 8-go o godz. 4 m. 57 po południu. Pogoda i ciepło.
4 P.	Rozalii Panny	22 Ahaftonika	5 01	6 19	5 05	—	
5 W.	Wawrzyńca	23 Iryneja	5 02	6 16	5 34	0 36	
6 S.	Zacharyasza	24 Ewtycha	5 04	6 14	5 58	1 48	☾
7 C.	Reginy Panny	25 Wart. i Tyta op.	5 05	6 12	6 17	3 03	Ostatnia kwadra dnia 15-go o g. 6 m. 51 po poł. Zmiennie.
8 **P.**	**Narodzenie NMP.**	26 Adryjana M.	5 07	6 10	6 32	4 19	
9 S.	Piotra Klaw.	27 Pimena	5 08	6 08	6 45	5 36	
37.	Ewang. u Mat. ś. w R. 6. O służeniu Bogu i mamonie.	O dwoch dołżnykach Mat. 78.	Długość dnia 12 g. 49 min. Ubyło d. 3 g. 27 m. Zmierzch trwa 34 m.				
10 **N.**	**14 po S.** Mikołaja	28 **N. 13** Mojseja m.	5 10	6 05	6 59	6 52	
11 P.	Im. N. M. P.	29 Uś. bł. ś. I.	5 11	6 03	7 14	8 10	Nów dnia 22-go o godz. 3 m. 37 po południu. Pogodnie.
12 W.	Jacka	30 Aleksandra	5 12	6 01	7 32	9 32	
13 S.	Waleryana	31 Poł. Poj. Pr. D.	5 14	5 59	7 54	10 55	
14 C.	Podwyż. ś. Krzyża	1 **Weres.** Symeona	5 16	5 56	8 24	0 20	
15 P.	Nikodema ☾	2 Mamanta	5 18	5 54	9 07	1 42	
16 S.	Ludmiły M.	3 Anftyma	5 19	5 52	10 06	2 53	☽
38.	Ewang. u Łuk. ś. w R. 7. O wskrzeszeniu syna w Naim	O Junoszi bohatym. Mat. 79.	Długość dnia 12 g. 23 min. Ubyło d. 3 g. 53 m. Zmierzch trwa 34 m.				Pierwsza kwadra d. 30-go o godz. 12 m. 6 po południu. Deszczowno.
17 **N.**	**15 po Sw.** Lamberta	4 **N. 14** Wawyły	5 20	5 50	11 19	3 49	
18 P.	Tomasza	5 Zacharyi	5 22	5 48	—	4 29	Słońce wstępuje w znak Wagi d. 24 września. Jestto początek jesieni.
19 W.	Januarego	6 Czudo Arch. M.	5 23	5 46	0 43	4 57	
20 S.	Eustachego † *Such.*	7 Sozanta	5 25	5 43	2 08	5 19	
21 C.	Mateusza	8 **Rożd. Bohor.**	5 26	5 41	3 33	5 36	
22 P.	Mauryc. † *Such.*	9 Joakyma i Anny	5 38	5 39	4 53	5 50	
23 S.	Tekli Pan. † *Such.*	10 Mynodyry	5 29	5 37	6 11	6 04	
39.	Ew. św. Łukasza R. 14. O uzdrowieniu opętanego.	O złych diłatelach wo wynohradi Mat. 87.	Długość dnia 11 g. 56 min. Ubyło d. 4 g. 20 m. Zmierzch trwa 35 m.				
24 **N.**	**16 po Sw.** Gerarda	11 **N. 15** Teodory P.	5 31	5 35	7 28	6 18	
25 P.	Kleofasa M.	12 Awtemona	5 32	5 33	8 43	6 33	
26 W	Cypryana	13 Kornylija	5 33	5 30	9 57	6 52	
27 S.	Kosmy i Damiana	14 **Wozn. cz. Kresta**	5 35	5 28	11 11	7 14	
28 C.	Wacława Kr.	15 Nykyty M.	5 36	5 26	0 22	7 44	
29 P.	*Michała Arch.*	16 Jemfimyi	5 38	5 24	1 26	8 25	
30 S.	Hieronima ☽	17 Sofii Mucz.	5 39	5 22	2 20	9 16	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

23. Września = 1. Tiszri **Nowy rok 5672.** — 24 Września **Drugie Sw. N. Roku.**

Kal. hist. 1. Jan III. Sobieski oswobodza Trembowlę od oblężenia Turków 1674 r. 2. Urodzenia Bolesława Krzywoustego 1085. — 3. Zwycięstwo Karola Chodkiewicza pod Moskwą 1612. — 4. Wjazd Jana Kazimierza do Krakowa po wypędzeniu Szwedów 1656. — 6. Stefan Batory zdobywa na Moskalach Wielkie Łuki 1580. — 7. Wybór na króla Stanisława Augusta Poniatowskiego 1764. — 11. Powtórne zwycięstwo Karola Chodkiewicza pod Chocimem nad sułtanem tureckim Osmanem 1621. — 12. Sławna odsiecz Wiednia przez Jana III. Sobieskiego 1683. — 21. Ustąpienie Turków z Kamieńca Podolskiego 1699. — 24. Karol Chodkiewicz umiera w obozie pod Chocimem 1621. — 27. Zwycięstwo Karola Chodkiewicza nad Szwedami pod Kirchholmem 1605. — 29. Koronacya Michała Korybuta Wiśniowieckiego.

PAZDZIERNIK

Żowteń, Octobris, October, ma dni 31.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	ŚWIĘTA Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zachód g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zachód g. m.	Odmiany księżyca i słońca
40.	Ewang. u Mat. ś. w R. 22. O miłości Boga i bliźniego.	O zwanych na wesile. Mat. 79.	Długość dnia 11 g. 32 min. Ubyło d. 4 g. 44 m. Zmierzch trwa 35 m.				
1 N.	**17 po Sw.** Remig.	18 **N. 16.** Ewrema	5 41	5 20	3 04	10 19	
2 P.	Leodegara	19 Trofyma	5 42	5 18	3 37	11 28	
3 W.	Kandyda	20 Ewstachia	5 44	5 15	4 02	--	
4 S.	Franciszka Sal.	21 Kondratya	5 46	5 13	4 21	0 43	
5 C.	Flawiana	22 Foky i Jona	5 48	5 10	4 38	1 58	
6 P.	Brunona	23 Zacz. ś. Iwana	5 49	5 08	4 52	3 14	○
7 S.	Justyny i Marka	24 Tekli Perw.	5 51	5 06	5 05	4 32	Pełnia dnia 8-go o g. 5 m. 11 przed poł. Pogodnie.
41.	Ewan. św. Mateusza r. 9. O uzdrowieniu paralityka.	O myłosty Boha i błyznych. Mat. 92.	Długość dnia 11 g. 6 min. Ubyło d. 5 g. 10 m. Zmierzch trwa 36 m.				
8 N.	**18 po Sw.** Bryg. ○	25 **N. 17.** Ewfrozyny	5 52	5 04	5 19	5 51	
9 P.	Dyonizego	26 Iwana B.	5 54	5 02	5 36	7 31	☾
10 W.	Franciszka Borg.	27 Kałyxtrata	5 55	5 00	5 57	8 38	Ostatnia kwadra dnia 15-go o godz. 0 m. 46 przed poł. Pochmurno.
11 S.	Wincentego K.	28 Charytona	5 57	4 58	6 24	10 05	
12 C.	Maksymiliana	29 Kyriaka	5 59	4 56	7 04	11 31	
13 P.	Edwarda Kr· la	30 Hrehorya weł.	6 00	4 54	7 58	0 46	
14 S.	Kaliksta Pap.	1 **Żowt.** Pokr.	6 02	4 52	9 03	1 47	●
42.	Ewang. u Mat. ś. w R. 22. O wezwaniu na gody.	O rozdiłeniu tałentiw. Mat. 105.	Długość dnia 10 g. 40 min. Ubyło d. 5 g. 36 m. Zmierzch trwa 36 m.				Nów dnia 22-go o g. 5 m. 09 przed południem Pogodnie.
15 N.	**19 po Sw.** Jadw. ☾	2 **N. 18.** Kypryana	6 04	4 50	10 28	2 31	
16 P.	Gawła Ap.	3 Dyonysia	6 05	4 48	11 53	3 03	
17 W.	Małgorzaty	4 Jeroteja	6 07	4 46	—	3 25	
18 S.	Łukasza	5 Charytyny M.	6 08	4 44	1 15	3 42	☽
19 C.	Piotra z Alk.	6 Tomy Ap.	6 10	4 42	2 35	3 57	Pierwsza kwadra d. 30-go o godz. 7 m. 42 przed poł. Zimno.
20 P.	Felicyana	7 Serhya M.	6 11	4 40	3 53	4 11	
21 S.	Urszuli	8 Pełahyi M.	6 13	4 38	5 08	4 24	
43.	Ewang. u Jana ś. w R. 4. O uzdrowieniu syna królews.	O żeni chananejskoj. Mat. 62.	Długość dnia 10 g. 16 min. Ubyło d. 6 g. — m. Zmierzch trwa 37 m.				
22 N.	**20 po Sw.** Kord. ●	9 **N. 19.** Jakowa Ap.	6 15	4 36	6 23	4 38	
23 P.	Jana Kapistrana	10 Eewlampia	6 16	4 34	7 38	4 55	
24 W.	Rafała Arch.	11 Fyłypa	6 18	4 32	8 53	5 16	
25 S.	Bronisława	12 Prowa i Andr.	6 19	4 30	10 06	5 43	
26 C.	Wandy	13 Karpa M.	6 21	4 28	11 14	6 19	
27 P.	Sabiny	14 Paraskewei	6 22	4 27	0 13	7 05	
28 S.	Szymona i Judy	15 Lukijana	6 24	4 25	1 00	8 04	
44.	Ewang. u Mat. ś. w R. 18. O dłużniku złośliwym i słudze	O łowitwi ryb. Łuk. 17.	Długość dnia 9 g. 51 min. Ubyło d. 6 g. 25 m. Zmierzch trwa 37 m.				
29 N.	**21 po Sw.** Euzebyusz	16 **N. 20.** Łonhijana	6 25	4 23	1 36	9 10	
30 P.	Klaudyusza ☽	17 Osyi Pr.	6 27	4 21	2 04	10 21	
31 W.	Marcelego *Wig.*	18 Łuky jew.	6 29	4 20	2 26	11 35	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

2. październ. 10 Tiszri **Swięto pojednania.** | 8. październ. 16 Tiszri **Drug Sw. Kuczek.**
7. „ 15 „ **Plerw. Sw. Kuczek.** | 13 „ 21 „ **Swięto palmowe.**
14. październ. 22 Tiszri **Konlec Kucz.** — 15. październ. 23 Tiszri **Radość z prawa.**

Kalendarzyk hist. 2. Sejm w Horodle utwierdza połączenie Litwy z Polską 1413 r. — 7. Klęska i śmierć hetmana Stanisława Żółkiewskiego pod Cecorą 1620 r. — 10. *Klęska pod Maciejowicami 1794 r.* — 15. *Śmierć Tadeusza Kościuszki w Solurze w Szwajcaryi 1817 r.* —

LISTOPAD

Padołyst, Novembris, November, ma dni 30.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zachód g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zachód g. m.	Odmiany księżyca i słońca
1 **S.**	**Wszystkich Św.**	19 Joiła	6 30	4 18	2 43	—	
2 C.	*Dzień zaduszny*	20 Artemija	6 32	4 16	2 57	0 50	
3 P.	Huberta	21 Iłaryona	6 34	4 14	3 10	2 06	
4 S.	Karola Borom.	22 Glikervi	6 36	4 12	3 20	3 24	
45.	Ewang. u Mat. ś. w R. 22. O oddawaniu podatku cesarz.	O lubowy worohiw. Łuk. 26.	Długość dnia 9 g. 28 min. Ubyło d. 6 g. 48 m. Zmierzch trwa 38 m.				○ Pełnia dnia 6-go o godz. 4 m. 48 po południu. Pogodnie.
5 **N.**	**22 po Sw.** Elżbiety	23 **N. 21.** Jakowa	6 38	4 10	3 40	4 45	
6 P.	Leonarda Wyz. ○	24 Arefty	6 39	4 09	3 59	6 09	
7 W.	Herkulana	25 Markyana	6 41	4 07	4 24	7 37	
8 S.	Bogumiła	26 **Demetrya**	6 43	4 06	4 59	9 08	☾ Ostatnia kwadra d. 13-go o godz. 8 m. 19 przed połud. Zmiennie.
9 C.	Teodora M.	27 Nestora M.	6 44	4 05	5 49	10 31	
10 P.	Andrzeja Aw.	28 Paraskewyi	6 46	4 03	6 55	11 40	
11 S.	Marcina B.	29 Anastazyi	6 47	4 02	8 15	0 32	
46.	Ewang. u Mat. ś. w R. 9. O uzdrowieniu córki Jaira.	O woskres. syna wdowy w Naim. Łuk. 30.	Długość dnia 9 g. 06 min. Ubyło d. 7 g. 10 m. Zmierzch trwa 38 m.				
12 **N.**	**23 po Sw.** Marcina P.	30 **N. 22** Zynowija	6 49	4 00	9 39	1 06	● Nów dnia 20-go o godz. 9 m. 49 po południu. Pogodnie.
13 P.	Eugeniusza ☾	31 Stachija Ap.	6 51	3 53	11 04	1 32	
14 W.	Serafina	1 **Padoł.** Kosmy	6 53	3 56	—	1 50	
15 S.	Leopolda	2 Akyndyna	6 55	3 55	0 24	2 05	
16 C.	Edmunda	3 Ajtala i Jos	6 56	3 54	1 40	2 19	
17 P.	Grzegorza	4 Joanykija	6 58	3 53	2 55	2 32	☽ Pierwsza kwadra d. 29-go o godz. 2 m. 42 przed poł. Oziębia się.
18 S.	Salomei Panny	5 Hałaktyona	7 00	3 52	4 09	2 45	
47.	Ewang. u Mat. ś. w R. 13. Królestwo jest podob. ziarnu.	O sijaniu nasinia Łuk. 35.	Długość dnia 8 g. 47 min. Ubyło d. 7 g. 26 m. Zmierzch trwa 39 m.				
19 **N.**	**24 po Sw.** Elżbiety	6 **N. 23.** Pawła Ar.	7 01	3 51	5 23	3 01	
20 P.	Feliksa de Wal. ●	7 Jerona	7 03	3 49	6 37	3 19	
21 W.	*Ofiarowanie NMP.*	8 **Mychajła Arch.**	7 04	3 48	7 50	3 43	
22 S.	Cecylii P.	9 Onysifora	7 06	3 47	9 00	4 16	
23 C.	Klemensa Pap.	10 Erasta Ap.	7 07	3 47	10 03	5 00	
24 P.	Jana od Krzyża	11 Myny Mucz.	7 09	3 46	10 55	5 54	
25 S.	Katarzyny	12 Josafata	7 10	3 45	11 36	6 57	
48.	Ewang. u Mat. ś. w R. 24. O końcu świata.	O bohaczu i Łazari. Łuk. 83.	Długość dnia 8 g. 31 min. Ubyło d. 7 g. 45 m. Zmierzch trwa 40 m.				
26 **N.**	**25 po Sw.** Konrada	13 **N. 24.** Iwana Złot.	7 11	3 44	0 06	8 06	
27 P.	Waleryana	14 Fyłypa Ap.	7 13	3 43	0 30	9 18	
28 W.	Zdzisława	15 Hurija Samona	7 14	3 43	0 47	10 31	
29 S.	Saturnina ☽	16 Mateja jew.	7 16	3 42	1 02	11 44	
30 C.	Andrzeja Ap.	17 Hryhorya Neok.	7 17	3 41	1 16	—	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

1 listopada = 1 Mercheszwan. — 29 listopada = 1 Kislew.

Kalendarzyk historyczny. 1. Bitwa Konfederatów Barskich pod Lanckoroną 1769 r. — 3. Śmierć Kazimierza Wielkiego 1370 r. — 4. Rzeź Pragi po upadku powstania Kościuszki 1794 r. — 8. Ziemia spiska drogą zastawu przyłączona do Polski 1412 r. — 11. Władysław III. ginie pod Warną w bitwie z Turkami 1444 r. — 16. Wcielenie Rzeczypospolitej krakowskiej do Austryi 1846 r. — 17. Wybór na króla Jana Kazimierza 1648 r. — 18. Szwedzi rozpoczynają oblężenie Częstochowy 1655 r. — 28. Przyłączenie Inflant do Polski 1561 r. — 30. Polacy jako legioniści Napoleońscy zdobywają wąwóz Samo-Sierrę w Hiszpanii 1808 r.

GRUDZIEN

Hrudeń, Decembris, Dezember, ma dni 31.

Dni tygod.	ŚWIĘTA Rzymsko-katolickie	ŚWIĘTA Grecko-katolickie	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zachód g. m	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zachód g. m.	Odmiany księżyca i słońca
1 P.	Eligiusza B.	18 Platona	7 18	3 41	1 29	0 59	
2 S.	Aurelii M.	19 Awdyja	7 19	3 40	1 44	2 15	
49.	Ewang. u Łuk. ś. w R. 21. O znakach na niebie i ziemi.	O bisnowatym w misti Gałara. Łuk. 38.	Długość dnia 8 g. 17 min. Ubyło d. 7 g. 50 m. Zmierzch trwa 40 m.				
3 **N.**	**I Adw.** Franciszka	20 **N. 25.** Hryhorja	7 21	3 39	2 00	3 36	○
4 P.	Barbary Panny	21 **Wow. Boh.**	7 23	3 38	2 22	5 02	Pełnia dnia 6-go o g. 3 m. 52 rano. Mróz.
5 W.	Sabby Op.	22 Fyłymona	7 24	3 38	2 51	6 30	
6 S.	Mikołaja Bisk. ○	23 Hryhoryja	7 25	3 37	3 34	8 02	
7 C.	Ambrożego	24 Kataryny	7 26	3 37	4 35	9 21	☾
8 P.	**Niep. Pocz. N. M. P.**	25 Kłymentya	7 27	3 37	5 52	10 22	Ostatnia kwadra dnia 12. o godz. 6 min. 46 po poł. Śniegi.
9 S.	Leokadyi	26 Ałypija	7 28	3 37	7 20	11 05	
50.	Ewang. u Mat. ś. w R. 11. O poselstwie Jana do Jezusa.	O woskr. doczki Jaira. Łuk. 39.	Długość dnia 8 g. 9 minut. Ubyło d. 8 g. 07 m. Zmierzch trwa 41 m.				
10 **N.**	**2 Adw.** *NMP. Lor.*	27 **N. I. Adw.** Jakow.	7 29	3 37	8 47	11 34	●
11 P.	Damazego Pap.	28 Stefana M.	7 30	3 36	10 11	11 56	Nów dnia 20-go o godz. 4·40 pop. Zmiennie.
12 W.	Aleksandra ☾	29 Paramona	7 31	3 36	11 30	0 13	
13 S.	Łucyi i Otylii	30 Andreja	7 32	3 36	—	0 26	
14 C.	Nikazego	1 **Hrud.** Nauma	7 33	3 36	0 46	0 39	
15 P.	Waleryana	2 Awakuma	7 34	3 36	1 59	0 43	☽
16 S.	Adelajdy	3 Sofronija	7 35	3 37	3 13	1 08	Pierwsza kwadra dnia 28-go o godz. 7 min. 47 po poł. Mroźno.
51.	Ewang. u Jana ś. w R. 1. O poselstwie żydów do Jana.	O wpadłom meży rozbijnyki Łuk. 33.	Długość dnia 8 g. 4 minuty. Ubyło d. 8 g. 12 m. Zmierzch trwa 42 m.				
17 **N.**	**3 Adw.** Łazarza B.	4 **N. 2. Adw.** Warw.	7 35	3 37	4 26	1 26	
18 P.	Gracyana M.	5 Sawwy Os.	7 36	3 37	5 39	1 48	
19 W.	Faustyna	6 **Nykołaja**	7 37	3 38	6 50	2 18	Słońce wstępuje w znak Koziorożca dnia 22 grudnia. Początek zimy.
20 S.	Krystyny *Such.* ●	7 Amwrozya	7 37	3 38	7 55	2 57	
21 C.	Tomasza Ap.	8 Patapia	7 38	3 38	8 51	3 47	
22 P.	Zenona M. *Such.*	9 **Zaczat. Bohor.**	7 38	3 39	9 35	4 47	
23 S.	Wiktoryi P. *Such.*	10 Myny	7 39	3 39	10 08	5 55	
52.	Ewang. u Łuk ś. w R. 3. W 15 r. pan. ces. Tyberyusza.	O bohaczu, kotoromu nywa mnoho zarod. Łuk. 66.	Długość dnia 8 g. 5 m. Przybyło d. 2 minuty. Zmierzch trwa 41 m.				
24 **N.**	**4 Adw.** Ad. i E. *Wig.*	11 **N. 3. Adw.** Danyiła	7 39	3 40	10 33	7 07	
25 **P.**	**Narodzenie Chr. P.**	12 Spirydyona	7 40	3 40	10 52	8 18	
26 **W.**	**Szczepana Męcz.**	13 Ewstachia	7 40	3 41	11 08	9 30	
27 S.	Jana Ew.	14 Fyłymona	7 40	3 42	11 21	10 41	
28 C.	Młodzianków ☽	15 Ełewterya	7 40	3 42	11 34	11 54	
29 P.	Tomasza B.	16 Ahheja	7 41	3 43	11 47	—	
30 S.	Dawida Kr.	17 Danyiła św.	7 41	3 44	0 02	1 11	
53.	Ewang. u Mat. ś. w R. 2. W onym czasie, gdy Herod.	O mnoho zwanych na weczeru. Łuk. 14.	Długość dnia 8 g. 6 m. Przybyło d. 3 minuty. Zmierzch trwa 42 m.				
31 **N**	**I po B. N.** Sylwestra	18 **N. 4. Adw.** Sewast.	7 41	3 45	0 21	2 31	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

23 grudnia = 25 Kislew — poświęcenie świątyni. 29 grudnia = 1 Tewreth.

Kalendarzyk historyczny. 8. Wybór Zygmunta I. Starego na króla w Piotrkowie 1507 r. — 9. Jan Kazimierz gromi Tatarów pod Żwańcem 1653 r. — 11. Koronacya Aleksandra I. 1501 r. — 13. Śmierć Stefana Batorego w Grodnie na Litwie 1586 r. — 15. Wybór na króla Stefana Batorego 1576 r. — 23. Odparcie napadu Tatarów na Kraków 1286 r. — 24. Nadanie Konstytucyi Polsce kongresowej 1815 r. — 25. Szwedzi z hańbą i wstydem uchodzą z pod Częstochowy 1655 r. — 26. Nadanie Inflantom przywilejów i tytułu księstwa 1566 r. — 27. Koronacya Zygmunta III. 1587 r. — 29. Konfederacya tyszowiecka 1655 r. dla wyparcia Szwedów z kraju.

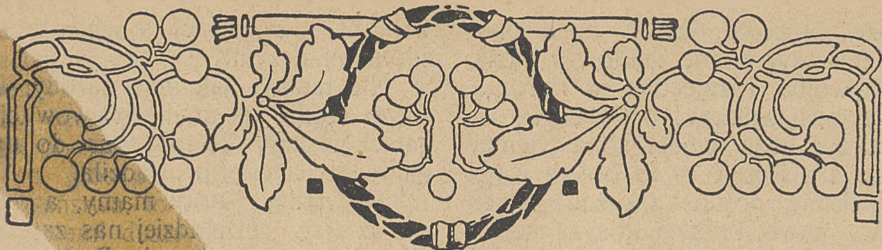

Na rok 1911.

Do dziś istnieje w wielu okolicach ładny, stary nasz zwyczaj, że wczesnym rankiem w pierwszy dzień Nowego Roku biegnie, uboższa zwłaszcza, młodzież od domu do domu, wita mieszkańców i życzenia im składa...

...Na szczęście, na zdrowie na ten Nowy Rok...

Rok nowy... dwa uczucia w nas się budzą. Jedne są odblaskiem przeszłości, tego, cośmy przebyli, wycierpieli, tego, co nas podniosło, uszlachetniło, zahartowało. Drugie myśl naszą w przenikliwe oczy zaopatrzyć usiłują i z wiarą, nadzieją, ufnością prześwidrować pragną, odgadnąć przyszłość usiłują, jakim też będzie rok nowy: dobrym czy złym dla nas, dla innych, dla wszystkich...

Dla wszystkich...

Jest nam źle; Ojczyznę nam zabrano, dobrobyt nasz zrujnowano — obcy krew naszą piją i potem naszym się tuczą...

Źle nam jest...

Czy Rok Nowy przyniesie nam jaką zmianę? — A jeśli tak, to jaką: złą czy dobrą? Szczęśliwą czy nieszczęśliwą?

I myśl nasza usiłuje przebić zasłonę, przyszłość okrywającą, usiłuje z różnych oznak odgadnąć, dobrze-li będzie, czy gorzej jeszcze?

Oznaki „na ziemi i na niebie“ nie wróżą nic dobrego na teraz. Opiekuńcze skrzydła mocarstw rozbiorowych gniotą i duszą nas, że ledwie tchu nam starczy i — zapewne nie ulżą naszej doli i zapewne ssać będą nasze soki dalej...

Trzeba się pozbyć raz tych mrzonek, że przyjdzie nam z pomocą Francuz albo Anglik, albo Japończyk i on z jednej strony, a my z drugiej i — razem zwyciężymy wroga... Dobrze by to było — ale nie będzie. Dziś każdy człowiek dba o swoją skórę, a cóż dopiero cały naród! Za drugiego napewne skóry nie nadstawi...

Ale sami przecież coś zrobić możemy. Jest nas razem 24 miliony ludzi. Jest w nas siły widocznie dużo, kiedy wrogowie mimo starań, mimo wysiłków nie zdołali nas zjeść i strawić — a nawet choćby tylko osłabić. Choć nie mamy ni własnego rządu ni wojska, ni okrętów, ni skarbu i oręża — przecież o polskiej sprawie i o Polakach głośno dziś w świecie. Głośno u naszych przyjaciół, głośniej jeszcze u nieprzyjaciół. Czują wszyscy, że z rozbiorem Polski, że nawet po stłumieniu powstań polskich, sprawa nasza nie skończyła się. Czują, że lada podmuch, lada iskra, lada sposobność rozniecić może w Europie całej pożar

straszny — pożar, który jedne państwa zniszczyć, a inne zbudować może. Pożar - wojna, rozniecona w Europie, prawie musi zahaczyć o Polaków. Jeśli walczyć będą między sobą Niemcy i Austrya z Rosyą — to polem walki będą ziemie polskie i każde z tych państw, nawet Prusy i Rosya, schlebiać będą Polakom, bo od zachowania się ludności na terenie wojny wiele zależy. Wtedy i o powstanie polskie nie trudno. Niechaj się dwóch bije — byle skorzystali z tego Polacy... Jeśli wybuchnie wojna z Francyą czy Anglią, to znowu te państwa będą się starać wysunąć Polaków i zahaczyć Prusaków od tyłu...

Wszyscy czują, że w walkach Europy i Polacy swój głos mieć będą i mieć go muszą...

*
* *

Gdy zbliżają się święta — cały dom w ruchu. Wszystko gotuje się, by święta uroczyście święcić — by wszystko wyglądało czysto i schludnie. Wszyscy gotują się, by święta przyjąć i spędzić uroczyście.

I na przyjęcie Polski wolnej stroić i czyścić się nam trzeba. Trzeba być gotowym, bo nie wiadomo dnia ani godziny, kiedy nadejść może święto dla wszystkich, święto, w którem wielcy i mali, bogaci i ubodzy udział wziąść muszą — jeśli pragną, by jutrzenka swobody nie zniknęła — nie uleciała w dal znikomą i mroczną, jeśli pragną pozbyć się Niemców i Moskali na zawsze...

Gotować się nam trzeba do wielkiego święta — do walki o wolność Ojczyzny naszej.

Miłości i zaparcia potrzeba nam wiele — aby odrobić to, co zaniedbali przodkowie, aby wykonać to, co na nas z kolei zrobić przypadło...

Budzić nam trzeba śpiących i ociężałych, aby stanęli w szeregu narodowym, oświecać ciemnych i nieświadomych, przekonywać i zachęcać niechętnych, usuwać i nieszkodliwymi czynić wrogów — wszystkich do walki i czynu zdolnymi uczynić.

Nie mamy, jak inne narody, własnego rządu, nie mamy prawowitej legalnej władzy, któraby nas do upragnionego celu poprowadziła.

Te władze, które mamy, a mamy ich aż trzy, gdzieindziej nas zaprowadzić pragną — jedna do Berlina, druga do Petersburga, trzecia do Wiednia, abyśmy tam trzem służyli panom. Te władze zwalczać, ich wpływ ograniczać należy wszędzie i zawsze.

A władza, naczelne kierownictwo potrzebne. Mieć je Polacy muszą! Gdy przyjdzie chwila stanowcza — co zrobimy? Będziemy jako owce bez pasterza! Jak rozhukane konie wóz w różne strony świata ciągnąć zechcemy — zgody nie będzie.

Potrzeba nam rządu narodowego, nie tego, co bierze rekruta i nie tego, co ściąga przez egzekucyę podatki i nie tego, co posłuch choćby armatami i bagnetem sobie wymusza.

Taki rząd, taką władzę mogą mieć i rzeczywiście często mają narody wolne, w państwo zorganizowane. My jej mieć nie możemy.

Potrzeba nam stworzyć rząd narodowy, którvby miał nad nami władzę moralną, którego rozkaz wykonałby bez wahania każdy, choć żadna kara nie spotkałaby go za niewykonanie rozkazu, choć nie byłoby żadnego przymusu. Gdy ulicą jedzie ksiądz z ostatnim Sakramentem, klękają wszyscy wierni i kornie schylają czoła. Coby ludzie powiedzieli o takim, który wtedy stałby w kapeluszu na głowie i z fajką w zębach? Wnetby wszyscy odsunęli się od niego. Jeśli w parafii stawiają kościół i wszyscy za darmo pracują — a znalazłby się jeden, co zapłaty żądał, coby powiedziała reszta? Palcami by go wskazywano!

Przymusu do pracy za darmo nie było! Nikt by go nie zmusił ani żandarmem, ani sekwestratorem do tego — a przecież każdy, komu imię dobre

i uczciwe miłe, nie wyłamuje się od powszechnego obowiązku, każdy czapkę z głowy zdejmie i uklęknie, każdy, ile może, bezpłatnie około budowy kościoła pomoże.

Ten głos powszechny, ta opinia społeczeństwa, to jest władza moralna nad naszemi duszami.

Takiej władzy, jednej dla wszystkich Polaków, nam trzeba.

Będzie ona bez wojska i bez pieniędzy — ale na jej wołanie w jednej godzinie we wszystkich kątach Polski chwycić muszą za broń. Na jej wołanie nie wolno będzie prowadzić konszachtów z obcymi nam państwami na szkodę państwa. Ona wskazywać będzie narodowi, co robić i jak robić, aby zbliżyć się do celu.

Takiej władzy, takiej kierowniczki w naszem dążeniu nam trzeba.

Głosowi jej wszyscy podlegać muszą — bo ona rządzić ma drogami naszemi.

I oto główne życzenia nasze dla wszystkich Polaków — aby w Polsce rychło wytworzył się taki głos ogólny, z pod którego wpływu nikt by się nie odważył uchylić pod grozą hańby. Oby w Polsce wszystkie sprawy narodowe, a nie osobiste cele i korzyści, kierowały tymi, którzy zajmują w naszem społeczeństwie kierownicze, naczelne stanowiska.

Kiedy przy końcu czerwca w austryackim parlamencie przyszły pod głosowanie wnioski czeskie, żądające, aby nawet w Wiedniu dzieci czeskie otrzymały rządowe czeskie szkoły, a niemieccy socyaliści w głosowaniu oświadczyli się przeciw tym wnioskom, czescy socyaliści nie cofnęli się przed walką we własnym obozie — ostro wystąpili przeciw temu postępowaniu niemieckich socyalistów i zagrozili rozbiciem klubu socyalistycznego, gdyby się to raz jeszcze powtórzyło.

Czescy socyaliści musieli tak postąpić — bo w kraju ich wyborcy ukamienowaliby ich za zaprzedawanie dzieci czeskich Niemcom, za zaniedbanie spraw narodowych.

W Czechach jest silną opinia narodowa, w Czechach tworzy się silny rząd narodowy...

U nas nie ma jeszcze opinii narodowej — u nas nie ma rządu narodowego — u nas prywatne zawiści i kłótnie ogłuszyły nas i oślepiły.

A tak być nie może.

Gdzie nie ma ładu — tam źle się dzieje. Gdzie nie ściga się złodziei dobra ogólnego, gdzie z obojętnością patrzy się na rozpanoszenie się różnych szarlatanów, na marnowanie grosza publicznego, na nadużywanie imienia narodu, miłości Boga, Ojczyzny, społeczeństwa do celów niekiedy osobistych — tam o potędze i myśleć niemożna.

Więc rządu narodowego nam trzeba koniecznie. Twórzmy go codziennie.

Oto najważniejsze życzenia noworoczne dla polskiego narodu...

BUDUJMY DOM!

Budujmy miłej Ojczyźnie dom,
Wolności dom i siły;
Każda pierś bratnia — granitu złom
Z jednej rodzinnej bryły.
Każda pierś bratnia — cegła na mur
Dźwignięty mocą ducha,
A hasło nasze jedności chór,
Co wiarą w jutro bucha.

Od fundamentu aż po szczyt,
Otwórzmy światłu wrota;
Niech nam jutrzenny jarzy świt,
Niech wzmaga dech żywota;

Niech dni, co idą z wierzchnych dróg
Zluzować czasów wartę,
Przez nasze odrzwia, przez nasz próg
Wstąpią na dziejów kartę.

Z wzrokiem utkwionym w oną biel,
Co nocy mrok przegania,
Patrzmy, o bracia, w jeden cel,
W cel wielki zmartwychwstania.
Cokolwiek czynim, czyńmy tak,
By przyszłość rosła z pracy...
Polska — to pion nasz i nasz znak,
Budujmy dom, Rodacy!

Marya Konopnicka.

MODLITWA

(na obchód żałobny poległych w Warszawie 27 lutego 1861 r.*).

Wejrzyj ku nam z niebios, Panie!
Z łaską Twą;
Idziem po Twe zlitowanie
Z łzą i krwią.
Co cierpliwość Twoją zbudzi?
Sprawiedliwość co obudzi?
Wróg bezbronnych ścina ludzi,
A Ty gromy w ręku masz,
Boże nasz!

Patrz, na co się już ośmiela
Hardy wróg!
My się modlim, a on strzela
Do Twych sług!
Na uczczenie wielkiej doby
Nie daszże nam już żałoby
Nieść na ojców sławne groby?
A Ty żałość naszą znasz,
Boże nasz!

Ach! piekielnej serca męce
Koniec zrób!
Jasny oręż daj nam w ręce
Albo grób!
Nadziejamiś błyskał z dali
Wśród łez fali i krwi fali,
Tyle lat my wiernie stali,
A Ty wiarę naszą znasz,
Boże nasz!

W górę dłonie! niech okowy
Brzękną wraz!
Okrzyk wrogom ponad głowy:
„Boże! czas!“
Czas nam, Boże, strząść kajdany,
Czas wyleczyć nasze rany,
Bo już szydzą z nas szatany,
A rozpaczy moc Ty znasz,
Boże nasz!

Panie! chylim ci się w skrusze,
Wielbim krwią;
Ty pocieszysz sług Twych dusze
Zorzą Twą!
Kornie gniemy w proch kolano,
Bądź pochwalon krwią rozlaną!
Wnet mściciele z krwi tej wstaną,
A Ty grom nam w ręce dasz,
Boże nasz!

Miecz. Romanowski.

---

*) Podczas procesyi po nabożeństwie tego dnia wojsko rosyjskie dało ognia do bezbronnego ludu i pięciu ludzi padło od kul moskiewskich.

KRWAWE DNI WARSZAWY.

Po upadku powstania narodowego w roku 1830/31 smutne i ciężkie chwile nastały dla Polski. Car Mikołaj postanowił zdławić i zniszczyć naród polski. I rzeczywiście przez 25 lat wytężał swoje siły, by nas zrujnować, ogłupić, wydrzeć nam mowę ojczystą i wiarę; a jednak nie doczekał się naszej zagłady — bo tej się nigdy nawej najzacieklejsi wrogowie nasi nie doczekają — a myśmy widzieli, jak go dosięgła ręka sprawiedliwości Boskiej.

W r. 1855 dumny Mikołaj przegrał z kretesem ważną wojnę z Francyą i Anglią i wtedy go otruto, czy też sam się otruł ze wstydu, że się tak przechwalał swoją potęgą, a tu się pokazało, co ona warta. Następca jego Aleksander II. przy zawarciu pokoju z Francyą i Anglią obiecał pewne ulgi Polakom i rzeczywiście zaczął trochę łagodniej rządzić.

Wkrótce potem, w r. 1859, północne Włochy czyli tak zwana Lombardya uwolniła się z pod jarzma austryackiego z pomocą Francuzów. Polacy widząc, jak inne ludy dobijają się wolności, nabierali też otuchy i wiary, że i im zaświeci lepsza dola. — Ale nieszczęście i ucisk zwykło uczyć rozumu. To też i w narodzie polskim pod ciężkiem jarzmem niewoli zaszła zmiana na lepsze. Większa część dawniej zepsutej i samolubnej szlachty przyszła do przekonania, że jeśli się ma dążyć do swobody i szczęścia, to należy myśleć o szczęściu również i tych biednych i upośledzonych, co dotychczas przez wieki znosili haniebne jarzmo poddaństwa i pańszczyzny.

Rzeź 27-go lutego.

Dobry przykład dała szlachta lite-

wska, która wniosła do cara pismo z prośbą, aby pozwolił na zniesienie pańszczyzny; za nią wystąpiła z podobnem żądaniem znaczna część szlachty z Królestwa Polskiego. Rząd moskiewski niby to się godził a sprawę przewlekał. — Tymczasem zaszły wypadki, które nadały inny obrót sprawom.

Prócz powyższych żądań domagali się Polacy od cara, aby przywrócił

Andrzej hr. Zamojski.

krajowi choć te prawa, któreśmy mieli przed upadkiem powstania listopadowego. — Sprawami temi zajmowali się również gorąco mieszkańcy Warszawy, lud i młodzież. Ich serca również napełniała błoga nadzieja znacznej zmiany na lepsze, to też dla okazania otuchy i radości gromadzili się przy jakiejkolwiek okazyi, śpiewali z zapałem pieśni patryotyczne i budzili ducha z uśpienia w jak najszerszych kołach. — Za trumną wdowy po jenerale Sowińskim, który sobie zyskał wielką sławę przez bohaterską obronę Woli przy oblężeniu Warszawy w r. 1831, postępowało kilkanaście tysięcy ludności.

W kilka miesięcy potem zjechało się bardzo wiele szlachty ze wszystkich stron na obrady w Towarzystwie rolniczem. Przewodził prezez Andrzej hr. Zamojski. Głównym przedmiotem obrad była kwestya zniesienia pańszczyzny. Równocześnie postanowiła młodzież urządzić wielką uroczystość pamiątkową w dniu 25 lutego 1861 r. dla uczczenia pamięci rodaków poległych w sławnej bitwie pod Grochowem, której właśnie 30 rocznica przypadała. — O oznaczonej godzinie poczęły się gromadzić tysiączne tłumy na Starem Mieście, ale ukazał się też oberpolicmajster Trepow z kozakami i żandarmami i rozpędził z wielkim trudem gromadzących się. Wtedy to „Na Starem Mieście przy wodotrysku „Pułkownik Trepow dostał po pysku“.

Manifestacyę tę czyli uroczystość pamiątkową powtórzono 27 lutego, która się w znacznej części sama przez się ułożyła. Z kościoła Karmelickiego na Lesznie tysiączna procesya wyruszyła na Stare Miasto. Po drodze rosła ciągle w liczbę tak, że na Starem Mieście nie mogła już cała pomieścić się; stamtąd przez ulicę Świętojańską posunęła się ku Zamkowi. Koło kolumny Zygmunta kozacy starali się przeciąć jej drogę; na komendę rzucili się z nahajkami i bili kogo popadło. Lud cofał się w ścieśnionych szeregach i zachowywał postawę wyczekującą. Tymczasem zaczęły gromadzić się także tłumy i z drugiej strony placu Zamkowego koło kościoła Bernardynów, skąd wychodzi pochód pogrzebowy za trumną zmarłego urzędnika Łempickiego. Kozacy rzucili się na ten kondukt, rozpędzając ludzi nahajkami. Nic to nie pomagało. Tłumy rosły coraz większe. Kazano więc wojsku przejść po Krakowskiem Przedmieściu i wyprzeć lud z bocznych ulic. W wąskiem przejściu lud naciskany ze wszystkich stron pomimo gróźb nie cofał się.

Wówczas jenerał Zabołockij zakomenderował: ognia! Rozległy się strzały i pięć ofiar legło we krwi: Adamkiewicz, Arcichiewicz, Brendel, Karczewski i Rutkowski.

Zgroza przejęła wszystkich: wzburzenie straszne wstrząsnęło całą Warszawą. Zbrodniczo zamordowane niewinne ofiary, broczące krwią, przeniósł lud na ramionach przez miasto i złożył je w Hotelu Europejskim.

Miasto wybrało delegacyę i wysłało ją do namiestnika cesarkiego Gorczakowa. Wysłannicy ci, złożeni z przedstawicieli różnych stanów, zażądali od namiestnika, aby im zdał rządy nad Warszawą a wojsku i policyi moskiewskiej kazał się usunąć do kwater, ażeby uwolniono wszystkich uwięzionych w ostatnich dniach i żeby wolno było wysłać do cara deputacyę z żądaniem nadania Królestwu Polskiemu lepszych praw i swobód. — Gorczakow widząc, że wszystko na ogół wrze z oburzenia na dzikość moskiewską, zgodził się prawie na wszystko i wysłał sam pismo do Petersburga, przedstawiając carowi, że należy Polakom zrobić pewne ustępstwa i ulgi, bo inaczej wybuchnie powstanie. — Bali się też wtedy Moskale powstania, bo bardzo niewiele mieli wojska w Polsce, więc łatwo możnaby ich wypędzić.

Warszawa odetchnęła silniejszą i wolniejszą piersią. Zamiast znienawidzonej policyi carskiej, poczęła rządzić miastem delegacya, złożona z współobywateli. — Dnia 2 marca odbył się uroczysty pogrzeb pięciu poległych. Przeszło sto tysięcy ludu postępowało poważnie za trumnami niewinnie pomordowanych. Wszystkie sfery wzięły udział w tej olbrzymiej manifestacyi. Nawet żydzi tłumnie przyłączyli się do pochodu. Wszystkie zakony, nietylko męskie, ale i żeńskie, wszystkie cechy, nawet druciarzy i Słowaków, całe duchowieństwo, nawet wyznania luterskiego i żydowskiego, słowem wszyscy w tym dniu wystąpili jak najuroczyściej. Z różnych stron Królestwa Polskiego, a nawet z Krakowskiego i Poznańskiego przybyły delegacye włościan, liczące po kilkadziesiąt osób. — Wzorowy porządek utrzymywała straż narodowa, złożona z młodzieży szkolnej i akademickiej.

Obywatele rzędem na własnych ramionach nieśli, jednę za drugą pięć trumien czarnych wybitych srebrnymi gwoździkami. Na każdej trumnie leżała cierniowa korona.

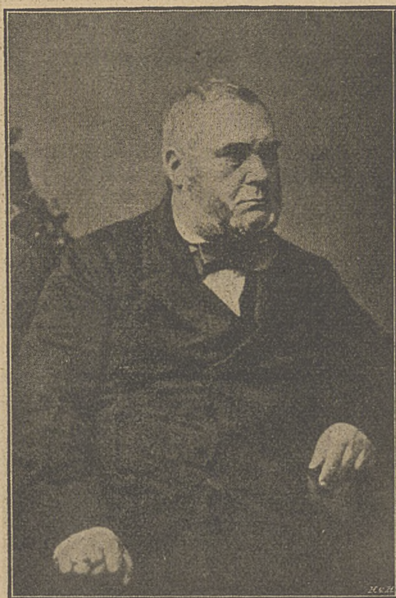

Margrabia Aleksander Wielopolski.

Ofiary despotyzmu złożono w jednym wspólnym grobie na Powązkach, na którym publiczność zaraz własnemi rękoma kopiec usypała. Na wierzchołku mogiły ustawiono już zawczasu przygotowany krzyż, na którym zawieszono zdjęte z trumien korony cierniowe.

Car Aleksander, otrzymawszy pismo od namiestnika Gorczakowa o tem, co się stało, zląkł się również, aby powstanie nie wybuchło — i zgodził się na pewne ulgi, bo nie miał potrzebnych sił do prowadzenia walki. Na-

czelnikiem rządu cywilnego miał zostać margrabia Aleksander Wielopolski, człowiek bardzo zdolny i wykształcony, który mógł był wiele dobrego zrobić dla narodu, ale jego nieposkromiona duma, zarozumiałość i upór wszystko psuły.

Na mocy układu z Wielopolskim rząd rosyjski pozwolił na założenie stwo rolnicze, które się cieszyło wielką sympatyą i znaczeniem u narodu.

Krok ten nierozważny wywołał wielkie oburzenie u wszystkich. Już następnego dnia zebrały się liczne tłumy z wieńcami kwiatów przed gmachem Towarzystwa rolniczego a następnie udały się przed dom Andrzeja Zamojskiego, wielce lubianego prezesa roz-

Epizod z Warszawy (8 kwietnia).

szkoły głównej w Warszawie i innych szkół polskich, zgodził się na utworzenie rad miejskich i powiatowych i t. d. Wielopolski zatwierdzony w godności namiestnika chciał zaprowadzić wiele dobrych i pożytecznych zmian, ale przytem postępował zanadto bezwzględnie i dumnie, nie zważał wcale na to, czy to się będzie podobało społeczeństwu. I tak postarał się, że rząd rozwiązał 6 kwietnia 1861 r. Towarzywiązanego towarzystwa i tam wzniosły okrzyki na jego cześć. Kiedy nazajutrz 8 kwietnia urządzono ponowną manifestacyę i tysiączna rzesza zanuciła pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — wojsko najezdnicze strzeliło do ludu i mnóstwo ofiar legło we krwi. Nadto — według pamiętników naocznego świadka Gąseckiego — „kozacy siekli szablami lub bili nahajkami, a przywiązując zarówno rannych jak i

trupy do koni, wlekli ich po bruku na dziedziniec zamkowy. Piechota kłuła bagnetami lub strzelała. Zakonnik, który z krzyżem wystąpił, padł zabity a krzyż przecięto na dwoje“.

Moskale zabitych i rannych porywali na zamek; zdołano uprowadzić część tylko rannych, których składano w domach prywatnych i szpitalach. i na moście złożono dwa razem związane trupy, z konfederatkami przygwożdżonymi do czaszek. Moskale uprzątneli je zaraz z mostu i widocznie poczuwali się do większej liczby takich barbarzyńskich czynów, bo odtąd już po obu stronach rzeki objeżdżały patrole kozackie z rozkazem grzebania trupów, przez wodę wyrzuconych“.

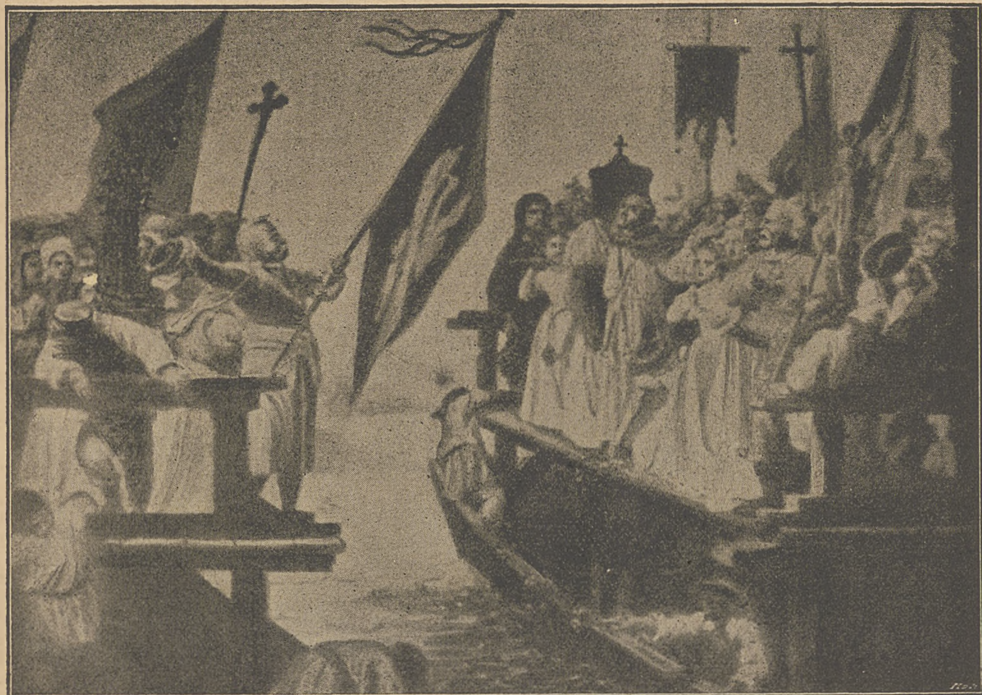

Unia w Kownie.

Sporo też ofiar unieśli żydzi i we własnym szpitalu umieścili. — Z liczby rannych, którzy w tym dniu strasznym nie wpadli w szpony moskiewskie, zmarło bardzo wielu. A nie pozwolono ich chować inaczej jak tylko w nocy, po 2 lub 3 i to zaraz po śmierci“.

„Co się stało z porwanymi, tego nikt nie wie. Zapewne niemało wrzucono ich do Wisły. Faktem jest, że w parę dni potem wyciągnięto z wody

„Nazajutrz po tej okropnej rzezi straż pożarna zmywała za pomocą sikawek krew ze ścian domów i z bruku. Ale jakaż siła zmyje ze sumienia barbarzyńców pamięć tej strasznej zbrodni? — Chociaż jej ślady starali się zetrzeć, historya jednak nie zapomni o tej niewinnie przelanej krwi, która w dniu obrachunku policzoną będzie winnym“.

Zbrodnie te oburzyły w najwyż-

szym stopniu nawet niektórych uczciwych Moskali. Oficer rosyjski Popow, kiedy wydano rozkaz strzelania do bezbronnego ludu, złamał swą szablę i rzucił ją z pogardą o ziemię; zaś w późniejszym czasie pewien pułkownik, otrzymawszy podobny rozkaz, wystrzałem z pistoletu życie sobie odebrał, byle tylko się nie splamić krwią niewinnych i bezbronnych.

przywłoki wypędzić tam, gdzie pieprz rośnie.

Obchody narodowe, czyli manifestacye zaczęły się szerzyć szybko po całej Polsce a nawet i Litwie. Najwspanialej wypadła manifestacya, urządzona w całej Polsce i Litwie 12 sierpnia 1861 r. ku uczczeniu rocznicy Unii Lubelskiej, na mocy której dwa bratnie narody, Polacy i Litwini, przed niespełna trzystu laty przyłączyli się wspólnym węzłem miłości i braterstwa na wspólną dolę i niedolę.

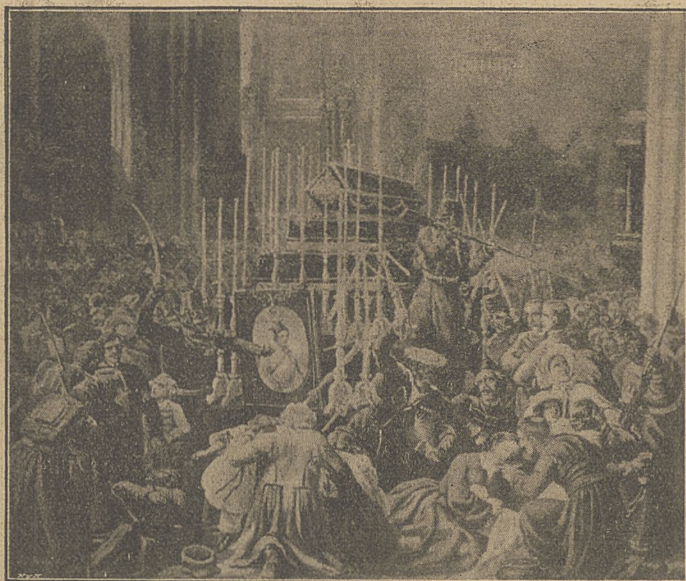

Nabożeństwo za Tadeusza Kościuszkę.

Kiedy dopuszczono się bezkarnie morderstwa ludu w Warszawie 8 kwietnia, było już daleko więcej wojsk moskiewskich w Królestwie Polskiem, sprowadzonych z głębi Rosyi. To też naczelnicy wojskowi i po innych miastach polskich zaczęli sobie postępować z ludnością coraz zuchwalej i surowiej. Ale to wszystko ludzi nie uspokajało i nie przerażało, owszem przeciwnie, naród, słysząc o tych o pomstę do nieba wołających zbrodniach, burzył się i wyczekiwał tylko sposobnej chwili, aby chwycić za broń i te

W Wilnie, stolicy Litwy, znajduje się grobowiec Szymona Konarskiego, którego rząd moskiewski powiesił 27 lutego 1839 r. za to, że on lud umiłował i przebiegał prawie po całej Polsce (pracował bowiem także i w Galicyi) od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka, głosząc wszędzie, że tylko przez zniesienie pańszczyzny dojdzie naród do takiej siły, że wypędzi wroga ze swej ziemi. Do mo-

giły tego prawdziwego apostoła ludu spieszyły tłumy nietylko z Litwy, ale nawet z Królestwa. Nahajki kozackie nie zdołały ich odstraszyć od pielgrzymki do niej. Kiedy 18 sierpnia taka procesya zdążała z Królestwa do Wilna, oberpolicmajster postanowił ją rozpędzić przy pomocy wojska i kozaków, a kiedy lud nie ustępował, rozpoczął rzeź, w której jedenastu miało stracić życie, a przeszło stu odniosło rany.

Nader okazałym był pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego w Warszawie, wielkiego miłośnika Polski; za trumną jego postępowało sto tysięcy osób. W parę dni potem przypadła rocznica śmierci Kościuszki (15 października); znowu tysiące narodu zebrały się w kościołach: katedralnym, bernardyńskim i św. Krzyża i przed tron Stwórcy wzniosła się podniosła modlitwa: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“ Nagle zjawiło się wojsko i otoczyło kościoły, a następnie pod wieczór, kiedy ludność nie chciała opuścić świątyń, wyłamało drzwi i przemocą wtargnęło do kościoła. Rozwścieczona ta dzicz z bronią w ręku poczęła wypędzać wiernych. Krew zbroczyła święte miejsca — znowu kilkanaście ofiar odniosło śmierć lub rany, tysiące zapełniły lochy więzienne. Zniesważone świątynie władza duchowna zamknęła.

Okrucieństwa te zbrodnicze dokonywane na bezbronnym ludzie, modlącym się o lepszą dolę dla Ojczyzny, obudziły w całym narodzie straszną nienawiść do ciemięzcy. Poczęto się przygotowywać do powstania. Wielopolski, chcąc temu przeszkodzić, postanowił 70 tysięcy młodzieży polskiej oddać w sołdaty i zapędzić w najdalsze kraje wschodniej Rosyi, aby tam w szeregach wojska moskiewskiego byli narzędziem do uciskania i gnębienia innych ludów. To przepełniło miarę cierpliwości. Młodzież wołała, że woli raczej zginąć, niż iść w służbę wroga.

Rząd narodowy ogłosił wybuch powstania 22 stycznia 1863 r. i powołał wszystkich obywateli pod broń, ogłaszając rónocześnie zniesienie pańszczyzny. Walka ta bohaterska, rozpoczęta bez należytego przygotowania, bez broni, trwała 18 miesięcy i niejednokrotnie nasi odnosili chlubne zwycięstwa, ale ostatecznie musieliśmy uledz przemagającej sile, bo powstanie nie było należycie przygotowane i wybuchło w złą porę. Korzyścią ogromną było to, że po ogłoszeniu zniesienia pańszczyzny przez Rząd narodowy i car Aleksander musiał na to się zgodzić, bo inaczej chłopi staliby się najzaciętszymi wrogami Rosyi.

HYMN POLAKÓW

śpiewany u Reformatów 9 marca 1861 w czasie nabożeństwa za poległych.

Wszechmocny Boże! ojców naszych Panie,
W Tobie nadzieja nasza i odwaga:
O Twoje wsparcie — a swe zmartwychwstanie
Twój lud Cię błaga.

Zbaw nas o Panie! przyjm żebrzące głosy,
Wzmóż siły nasze, daj nam zgody męstwo,
W Twem świętem ręku składamy swe losy,
Daj nam zwycięstwo.

Dawno o Panie! jak nas przemoc ciśnie,
Dziedzinę naszą wrogi rozszarpały,
Niech po dniach skargi dzień łaski zabłyśnie,
Wiedź nas do chwały.

Krwi nie wołamy, zdobyczy nie chcemy,
Do mściwych mordów, do łupiestw niezdolni,
Tylko Ojczyznę odzyskać pragniemy,
Tylko być wolni.

Ty, coś przed laty żył z ojcy naszymi,
O powróć wnukom dziadów ich puściznę,
O Boże! polskiej pobłogosław ziemi
Zbaw nam Ojczyznę!

Niech przed Twym ludem wrogi się ustraszą,
W młodzieńców serca tchnij rycerzy męstwo,
Za chwałę Twoją i za wolność naszą
Daj nam zwycięstwo.

FRYDERYK SZOPEN.

Gdy wczesna wiosna nastanie i pługi wyjdą w pole, dziwne się głosy rozchodzą po błoni. Z gajów dochodzi chór zmieszany leśnych śpiewaków, od pobliskiej rzeczki idzie szmer przewalających się wiosennych wód, wiatr się w łozach przekrada, szumi.

I tworzy się cicha wiosenna muzyka, jakby sobie ziemia polska przygrywała głosami ptaków, wiatru, wody.

Jak na organach w kościele.

Ma ta ziemia swą różnorodną mowę i śpiewa, gdy się tylko ocknie po zimowej martwocie, byle ucho nadstawić.

Przyjdzie skwar letniego południa, dojrzałe zboże się słania od wiatru, fala za falą goni i świerszcze polne zaczną swe chóry; ziemia nuci sobie sennie o przyszłych plonach. To szmerami królewskimi borów nam gada, to traw poszumem, pachnących macierzanką i miętą. To wiatrem co goni po mazowieckiej równinie.

Był człowiek, który pochwycił tę muzykę ziemi, przetworzył w swej du-

Fryderyk Szopen.

szy i wyśpiewał w szeregu cudnych pieśni.

Właśnie 100 lat mija, jak w Żelazowej Woli pod Warszawą, w powiecie sochaczewskim, przyszedł na świat Fryderyk Szopen, największy muzyk polski, jeden z największych muzyków świata, 22 lutego 1810 r., jako syn Mikołaja Szopena i Justyny z Krzyżanowskich.

Rodzina Szopena jakkolwiek o nazwisku cudzoziemskiem, była pochodzenia polskiego: Pradziad muzyka, niejaki Szop, jako dworzanin króla Stanisława Leszczyńskiego, wywędrował z tymże do Francyi i tam osiadł na stałe. Nazwisko polskie Szop z czasem uległo odmianie, przybrało brzmienie i pisownię cudzoziemską: Chopin (czyta się Szopen).

Ojciec Fryderyka Szopena Mikołaj, wrócił do Polski. Był on dobrym Polakiem, człowiem zacnym i rozumnym; przebywał dłuższy czas jako nauczyciel prywatny w domu hr. Skarbkowej, w Żelazowej Woli pod Warszawą, gdzie przyszedł na świat król muzyków polskich.

Lata dzieciństwa i pierwszej młodości spędził Szopen częścią w Liceum warszawskiem, oddany naukom, częścią, szczególnie w porze letniej, w Żelazowej Woli, w otoczeniu kochającej rodziny, dobrych i serdecznych przyjaciół.

Wtedy to chłopię upajało się czarem mazowieckiej ziemi i melodyami śpiewanemi przez lud tamtejszy. Musiało nieraz wsłuchać się pod oknami wiejskiej karczmy, skąd dochodziły tony wesołej muzyki, lub łowić uchem piosnkę dziewczyny idącej z sierpem na poie. Te melodye polskiego ludu wlewały mu się ogniem w żyły, wrastały w duszę tak, że gdy w późniejszym wieku, zdala od kraju, tworzył swe kujawiaki i mazurki, to mu z pod palców spływały na klawisze fortepianu tony nowe, a jakby żywcem z mazowieckiej ziemi przygnane, tam zrodzone.

Po skończeniu nauk, Szopen młody odbył trzyletni kurs w szkole muzycznej w Warszawie, pod kierunkiem dyrektora tejże szkoły światłego Elsnera.

2-go listopada 1830 r. dwudziestoletni Szopen opuszczał Warszawę, żegnany czule przez bliskich i przyjaciół, aby poświęcić się dalszej nauce muzyki w Paryżu. Zostawił w kraju ludzi kochanych, wśród których zeszło mu życie jak błogi sen; przed nim stała nieznana przyszłość, wśród obcych. Czekała go tęsknota za ojczystą ziemią, do której zamierzał wrócić, rozniósłszy imię polskie swym talentem po szerokim świecie. Tymczasem już nigdy ujrzeć nie miał piasków mazowieckich i szarych polskich dni jesiennych — chyba w sennych widzeniach. W daleką drogę wziął z sobą czarę z grudką ziemi polskiej, którą mu ofiarowali przyjaciele.

W Paryżu pierwsze lata pobytu zeszły mu mile i jasno. Szopen budził podziw wśród najprzedniejszych muzyków swą grą przedziwną i swymi utworami, zyskując coraz większą sławę, otoczony przez emigracyę polską i przez obcych szczerą sympatyą.

Trwało tak lat parę. Lecz przyszła choroba, stanęła u łoża artysty i przez lat szereg, powoli, stopiowo wiodła go ku śmierci. Twórczości jego zahamować nie zdołała; najpiękniejsze utwory Szopena powstały w tej porze jego życia i największa ich mnogość. Lekarze wysłali go na wyspę Majorkę w nadziei, że ciepłe słońce, która tam ciągle przyświeca i wiecznie panująca wiosna, wrócą nadwątlony organizm do zdrowia.

Pięknej naturze wyspy Majorki zawdzięczamy wiele muzycznych arcydzieł Szopena. W nich prócz radosnej nuty na widok rozsłonecznionego krajobrazu, bujnej roślinności południowej, odzywa sie druga struna, nic nie mająca wspólnego z pogodnem niebem Majorki — odzywa się tęsknota

za krajem, gdzie słońce nie świeci tak jasno i niebo błędne, często chmurami zasnute, ale za to swoje ojczyste.

A tęsknota za krajem tem była silniejsza, im bardziej nabierała pewności beznadziejność ujrzenia go kiedykolwiek w życiu. Więc wyśpiewywał Szopen w pieśni tę Polskę, by dać folgę smutkowi duszy.

Obraz tej Polski zostawił żywy, wiecznotrwały w swych pieśniach. I dziarskość ognistą ludu polskiego w cudnych mazurkach i kujawiakach i przeszłość świetną w polonezach, gdzie w powadze i majestacie zdają się kroczyć przed nami postacie przodków. Czasem tam szala zadźwięczy; to znów rytm bojowy hufców zwycięskich; to nuta bólu serdecznego, gdy wzrok obejmie chwilę obecną — niewoli po wiekach chwały; to skarga straszna, gdy powieje wiatr mroźny od kopalń Syberyi.

Choroba czyniła nieubłagane swoje dzieło. Przyszedł 30 października 1849 roku. W pogodny jesienny dzień na świeżo spuszczoną trumnę Szopena na cmentarzu Pére Lachaise w Paryżu rzucali przyjaciele pierwszą grudkę ziemi — tę samą, którą wziął on dwadzieścia lat temu, wyjeżdżając z kraju.

Ostatnim pragnieniem umierającego Szopena była prośba, by serce jego przenieść do Polski.

W osobie Fryderyka Szopena czci dziś Polska, a z nią cały świat oświecony jedynego z najprzedziwniejszych twórców, jakiego wydał rodzaj ludzki. Dziedziną jego twóczości była muzyka, narzędziem, którego używał do wyrażania swych uczuć i myśli był fortepian. Nawskróś polski w tem, co stanowi treść i barwę jego utworów, Szopen potęgą swego geniuszu wzniósł się do wyżyny, obejmującej cały rodzaj człowieczy: jego mazurki, nokturny są zrozumiałe i zdolne do poruszenia serc ludzkich wszędzie, gdzie tylko ma dostęp smutek, tęsknota lub rozpacz. A gdzież ich nie masz?

Nikt przed nim nie zdołał lepiej wyrazić w muzyce tych stanów duszy ludzkiej i mało kto po nim.

Jego utwory muzyczne wywarły wielki wpływ na najznakomitszych późniejszych twórców np. na Ryszarda Wagnera i budzą dziś równy podziw oraz wywołują równie głębokie wzruszenie, jak przed 60 laty.

Wątła delikatna postać Fr. Szopena stanowi chlubę naszą i może stanąć w szeregu bohaterów narodowych, obok Mickiewicza, Matejki, Kościuszki.

Był on w życiu kochany i niemal pieszczony przez wszystkich, a jednak szczęścia nie zaznał. Wchłonął on całe piękno, całą tęsknotę i całą rozpacz polskiej ziemi. To też mowa jego duszy, ujęta w kształt dźwięków muzycznych, zdolna będzie poruszać serca ludzkie po wszystkie wieki.

Janina B.

PIEŚŃ TUŁACZA.

Nie mam tyle własnej ziemi,
Co ta wierzba nade drogą...
Ani tyle, cobym stąpił
Jedną tylko moją nogą...

Nie mam tyle, gdziebym jednym
Własnym kwiatkiem mógł się pieścić...
Ani tyle, by brat tułacz —
Wiatr mógł trawką zaszeleścić...

Nie mam tyle, gdziebym biedną,
Moją siwą głowę skłonił,
Ani tyle, gdziebym jednę
Łzę boleści mej uronił...

Nie mam tyle, gdzieby strzelił
Jeden promień słońca jasny...
Aż gdy umrę, to mieć będę
Jeden sążeń ziemi własny...

Jantek z Bugaja.

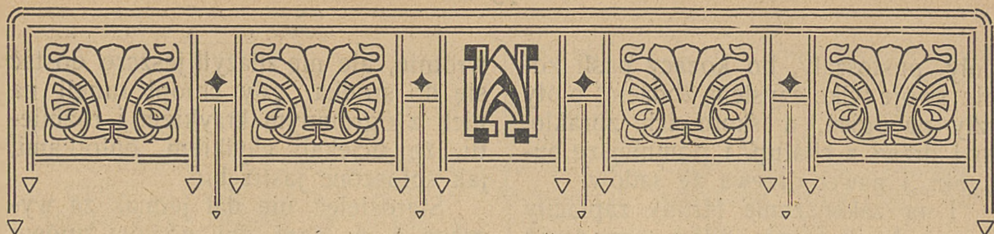

REYMONT.

Z dziejów wioski unickiej.

Wioska Hrudy najwcześniej na Podlasiu, bo jeszcze w r. 1867, wzięła pierwsze cięgi za uparte trwanie przy Unii.

Zaczęło się, jak odtąd miało się już zaczynać na Unii, od wyrzucania z cerkwi polskich śpiewów, kazań, organów, świętych obrazów i dzwonów.

Ale lud natychmiast przywrócił cerkiew do dawnego stanu i śpiewał dalej po polsku, bo tylko polskie kościelne pieśni umiał, modlił się przed obrazami, słuchał ze wzruszeniem organowych głosów i polskich kazań; bo tak było za jego dziadów i pradziadów, bo tylko takie nabożeństwo rozumieli; albowiem te śpiewy, kazania, obrazy, procesye wśród bicia dzwonów, kadzielnych dymów i brzmiących organów były i są jakby organiczną częścią jego wierzeń religijnych, jego wzruszeń serdecznych i jego umiłowań.

Nie obroniło to ich od nowego zamachu na cerkiew, gdyż w lipcu tegoż roku próbowano narzucić im nowego, posłusznego proboszcza.

Przywiózł go sam Marceli Popiel, prawie już biskup chełmski, w towarzystwie błogoczynnego Kalinowskiego i sporego orszaku kozaków, dla uświetnienia uroczystości.

Ale lud otoczył cerkiew nieprzebytym wałem i nie wpuścił do niej nikogo.

Nie pomogły długie i żarliwe namowy; lud nie dał się przekonać i nie ustąpił.

Popiel odjechał rozgniewany i groził strasznemi karami za nieposłuszeństwo.

Chłopi czuli, co ich czeka, i z determinacyą pochylali głowy przed Dolą.

Jakoż w końcu września zjawiła się we wsi sotnia kozaków, a za nimi przymaszerowała rota piechoty i rozkwaterowała się po chałupach.

Całe dwa miesiące zabawiali się na koszt Hrud.

I przez całe dwa miesiące wszyscy, którzy posiadali konie, musieli jeździć na podwody po całym powiecie, a reszta mieszkańców była pędzona od świtu do nocy na drogi, do zgarniania kamieni i błota, kopania niepotrzebnych rowów i wysypywania żółtym piaskiem głównego gościńca.

A tymczasem pola leżały odłogiem, nie było czasu ni orać, ni siać, ni nawet wykopać ziemniaków, które gniły, gdyż jesień była wielce mokra, wieś niszczała coraz bardziej, inwentarze dawały szyje pod nóż sołdacki, sto-

doły pustoszały, bo kozacy paśli konie swoje tylko czystem zbożem, płoty szły na ogień, a skoro ich zbrakło, to i drzwi z chałup, i pomniejsze budynki, i nawet drzewa ze sadów.

I na zakończenie Hrudy zapłaciły jeszcze kontrybucyę, kilku gospodarzy poszło na parę miesięcy do więzienia, a dawnego proboszcza, księdza Terlikiewicza, wywieziono.

Wreszcie wieś odetchnęła, goście odeszli, parę lat przeszło spokojnie, a tylko w ciężkiej pracy dorabiano się, jakby po strasznym pożarze.

Cerkwi jednak wciąż strzegli, jak oka w głowie, straże czuwały dzień i noc.

W r. 1871, w sam dzień „Zwiastowania“, zjawił się najniespodzianiej nowy „ukazowy“ proboszcz, niejaki Starosielec, w towarzystwie błogoczynnego Kalinowskiego i gwałtem chcieli zawładnąć cerkwią, lecz chłopi znowu ją otoczyli lasem roztrzęsionych pięści i groźnie krzyczeli:

— Jeżeli nie wróci ksiądz Terlikiewicz, to innego nie potrzebujemy.

Wobec ich zdecydowanej postawy Starosielec wyniósł się bardzo pospiesznie.

Ale nazajutrz powrócił w licznej asyście strażników.

I porę wybrali sobie najodpowiedniejszą, bo po południu, kiedy wszyscy ludzie byli przy żniwach daleko za chałupami, a we wsi zostały tylko dzieci i starce, drzemiące po sadach. Na szczęście ten, który stróżował przy cerkwi, zobaczył całą kalwakatę, wyjeżdżającą z lasów, i poczuwszy niebezpieczeństwo, zaczął dzwonić na trwogę.

Na polach podniósł się straszny wrzask i lament; kto tylko żył, chwytał, co mu tylko wpadło w garście, i leciał na obronę.

Tamci zaś, zrozumiawszy, że ich spostrzeżono, pędzili do wsi, co tylko konie miały tchu, prędzej dopadli kościelnego cmentarza i zaczęli łamać wrótnie, ale nie zdążyli jeszcze dostać się do środka, gdy chłopi runęli na nich z ogromnym krzykiem i rozmietli, że uciekali chyłkiem, opłotkami, jak spłoszone jastrzębie.

Starosielec nie dał jednak za wygraną i w parę dni później znowu powrócił, ale już w otoczeniu całych dwóch sotni.

Wchodzili do Hrud tryumfalnie, z muzyką i śpiewami, od których chłopom cierpła skóra i, chociaż się żegnali rozdygotanemi rękami, stanęli jednak nieulękle w obronie swojej cerkwi, tylko że opór trwał już bardzo krótko; szarża, piki, naboje, końskie kopyta wnet utorowały drogę „narzutowi“, który też ostatecznie objął parafię w swoje posiadanie, a wojsko rozłożyło się, starym zwyczajem, po chałupach i odpoczywało przez całe ośm tygodni.

A kiedy wreszcie odeszli, to w Hrudach nie zostało ani jednych całych pleców, ani jednej szyby, płota i drzwi, a w każdej chałupie był szpital i sieroty, gdyż pięciu gospodarzy wraz z rodzinami popędzono w ślady księdza Terlikiewicza.

Nastąpiło parę lat przerwy; pogoiły się plecy, wyrównały się szczerby w dobytku, obeschły nawet łzy, nie zginęła tylko pamięć o wywiezionych, ich puste, pozabijane deskami chaty i pola, leżące odłogiem, których się nikt nie poważył tknąć, leżały wciąż na oczach, i były niby niemy krzyk wiecznie pamiętnej krzywdy!...

Nadszedł 1874 rok, pamiętny na zawsze, rok zniesienia Unii.

Naturalnie, że nie zapomniano i o Hrudach. Nawracano je przez cały tydzień, i przez cały tydzień brzmiały apostolskie napomnienia, przeplatane świstem nahajek i jękami.

Siew był żarliwy, żniwo znojne, omłot pracowity, ale plon niezmiernie lichy...

Hrudy nie dały się nawrócić z odwiecznych błędów i pozostały zatwar-

działe „uporstwujuszczymi“, ale zapisano je do panującego kościoła i pozostawiono pod opieką praw specyalnych i strażników.

Życie toczyło się zwykłą koleją, puste chałupy wciąż czekały na swoich gospodarzy, sieroty na ojców, a pokrzywdzeni na sprawiedliwość, siano jednak, orano i sprzątano, jak zwykle, tylko że wieś stała się podobna do cmentarza, nikt już nie zaśpiewał, nie tańczył i nie weselił się, zapomnieli się nawet śmiać; ludzie przesuwali się jak cienie, bladzi, wynędzniali, śmiertelnie smutni i przeżarci nędzą i cierpieniami, a zawsze gotowi na nowe cierpienia i nowe ofiary dla sprawy.

Z cerkwią i plebanią przerwały się wszelkie stosunki, odwrócili się od nich na zawsze, bo tam już panował obcy język, obca wiara i ludzie obcy; niczyja noga już nie postała nawet na przycerkiewnym cmentarzu.

Modlili się po domach skrycie, albo po lasach, gdzie zbierano się na uroczyste nabożeństwa, dzieci chrzczono z wody tymczasowo, zmarłych grzebano pokryjomu nocami, starannie równając z ziemią, żeby ich strażnik nie dostrzegł i nie nakazał pochować nieboszczyka po raz drugi, a według nienawistnego im obrządku; małżeństw nie zawierali dla tych samych powodów, ślubów t. zw. „krakowskich“ jeszcze nie było. Narzuconej im cerkwi nie chcieli, a do kościoła nie było wolno, czekali więc ufnie i cierpliwie na odmianę strasznego losu, znosząc tymczasem tysiączne przykrości od władz.

Żyli pod ciągłym strachem i groźbą, zdani na łaskę i niełaskę strażników; żyli jakby wyłączeni ze społeczności, niby stado dzikich zwierząt, odgrodzone od świata i ludzkiego życia nieprzebytym gąszczem praw, zakazów, sztrafów i więzień.

A pomocy nie było znikąd. Przed „opornym“ zamykały się wszystkie drzwi, uciekano przed nimi, jak przed zadżumionymi, wypędzano ich nawet z kościołów, strach szedł przed nimi, a czujne oczy za nimi. Ale, chociaż rany bolały ich podwójnie, chociaż jadła ich nędza, sztrafy odbierały ostatni kęs chleba, prześladowania gnębiły, chociaż odstąpili ich ludzie, walczyli jednak dalej w ponurem osamotnieniu, walczyli do ostatniego tchnienia o prawdę umiłowaną, dla której już znieśli wszystko i wszystko jeszcze byli gotowi przecierpieć.

Tak przeszło do 1876 r., w którym na Hrudy zwaliło się nowe, chociaż już oddawna groźnie wiszące nieszczęście. Pewnego bowiem dnia przy końcu

Porywanie unitów na Podlasiu z pośród rodziny.

marca przyszedł surowy rozkaz, aby natychmiast sprowadzono do cerkwi wszystkie dzieci, dotąd jeszcze nie chrzczone.

Jakby piorun trzasnął z jasnego nieba, wieś zawrzała, krzyk trwogi poniósł się po chałupach, płacz i lamenty zakwiliły żałośnie, ludzie biegali jak oszaleli, nie wiedziano co począć, załamywano bezradnie ręce, mróz przejmował kości, a strach dygotał każdem sercem, jeszcze bowiem na wsi pełno było śladów „dawnego", jeszcze niektórzy mieli nie zagojone rany, jeszcze domy po wysłanych stały pustkami.

„Co robić? Co robić? — trzepotały się trwożliwe, załzawione szepty.

Nikt nie umiał odpowiedzieć, ale też nikomu ani postało w głowie, żeby usłuchać rozkazów. Tyle lat się opierali, tyle kar zapłacili, tyle się nacierpieli, a teraz mieliby się zgodzić dobrowolnie, mieliby oddać dzieci na wieczną zatratę?...

Włosy powstawały ze zgrozy, zaciskały się pięście, jęk rozdzierał zgnębione serca, lecz równocześnie rodził się w tych bohaterskich duszach niezłomny opór, podnosiły się dumnie czoła, i oczy zaczynały nieulękle patrzeć na zbliżającą się znowu niedolę...

I bez wrzasków, bez długich namyślań porozumieli się prawie w mgnieniu oka, i wszyscy już poczuli to jedno: że dzieci w cerkwi ochrzcić nie pozwolą, chociażby im za to przyszło zapłacić życiem.

A zaledwie się porozchodzili po domach, gdy na kilku wozach przyjechali strażnicy z wójtem na czele. aby dopilnować spełnienia rozkazów.

Cerkiew już czekała otwarta, więc wójt wraz z całą swoją kohortą chodził po wsi, wyczytując z listy, ile dzieci powinni wyprowadzić z każdej chałupy.

Cała wieś wyległa przed domy, chłopi drapali się frasobliwie po głowach i słuchali w milczeniu, kobiety stały po progach z dziećmi na rękach i również się nie odzywały, były tylko dziwnie blade, zgorączkowane i patrzały jak rozjuszone wilczyce, ale po przejściu wójta i gdy chłopi pociągnęli za nim, zniknęły gdzieś bez śladu, a chałupy zawierały się spiesznie, cicho i jedna po drugiej.

Wójt się naraz obejrzał i, ujrzawszy samych mężczyzn, zawołał:

— A gdzież baby? Gdzie dzieci?

Ponure ciężkie spojrzenia posypały się na niego jakby kamiennym gradem.

Nie pytał już więcej, a tylko zaczął kopać w pierwsze lepsze drzwi, a ryczeć:

Wychodzić! Wychodzić, bo za łby wszystkie was powyciągam.

Tylko pieski zaszczekały mu w odpowiedzi, ale ani jedna głowa się nie ukazała; domy stały jakby wymarłe i opuszczone, a wszystkie okna i drzwi miały pozamykane od środka.

Krzyknął na chłopów, żeby otwierali; nikt się nawet nie poruszył, a tylko któryś wyrzekł posępnie:

— Niech je pan wójt sam sobie otwiera!

Rzucił się z wściekłością na jakieś okno i odskoczył ze skowytem, jak pies od jeża, bo dostał ukropem w twarz, więc ledwie dysząc z gniewu, rozkazał brać domy szturmem, jak fortecę.

Niełatwo to jednak poszło, gdyż okna i drzwi były zatarasowane od wnętrza skrzyniami, szafami i czem się tylko dało, a kto się bliżej podsunął, brał kijem, wrzątkiem lub pięścią.

Chłopi stali na środku drogi, przypatrując się wszystkiemu z wielką cierpliwością.

Chałupy aż się trzęsły od wrzasków, kobiety walczyły jak lwice, odpierając szturm za szturmem; co chwila rozlegały się ryki bólu, przekleństwa, straszliwe płacze dzieci, trzask pęka-

jących desek, brzęk tłuczonych szyb, szczekanie psów i huki belek, któremi wybijano drzwi, niby taranami, że rozlatywały się w drzazgi.

kich, ciemnych sieni, zawrzarzała ręczna walka i wybuchały dzikie wrzaski, broniły się bowiem coraz zajadlej i coraz rozpaczliwiej.

Męczennicy na Podlasiu.
(Według obrazu Walerego Eliasza-Radzikowskiego).

A kiedy wreszcie przełamano pierwsze przeszkody, wdarto się do niz-

W końcu zdobyto parę chałup, ale wszystkie kobiety momentalnie pocho-

wały się wraz z dziećmi w kominy i piece od chleba, że musiano zdobywać każdą z osobna.

Broniły się już zębami i pazurami, gryzły i drapały, a oszalałe rozpaczą, pijane walką, podarte jak łachmany, okrwawione, zbite, całe w ranach i sińcach, walczyły wciąż z jednakiem męstwem, niby wilczyce, opadnięte przez rozjuszone ogary.

Lali je wodą, rzucali w kominy zapaloną słomę, żeby je wykurzyć dymem, jak lisów, próbowano wyciągać nawet bosakami, ale nic nie pomogło.

Przetrzymały wszystko!

Musieli je odstąpić, gdyż noc się już robiła, i chłopi przybierali coraz groźniejszą postawę. Wójt zagroził wsi strasznemi karami za opór i odjechał z całem towarzystwem.

Cerkiew zamknięto, wszystko wróciło do dawnego, i narazie zapanował spokój.

Nie na długo jednak, bo już w początkach kwietnia, któregoś dnia na samem świtaniu, zahuczał nagle dzwon na trwogę, i rozniosły się złowrogie krzyki.

— Wojsko idzie! Ratuj dzieci, kto w Boga wierzy!

Przy kołowrocie już zabrzmiały warkoty bębnów, szczęki broni i ciężkie marszowe tupoty.

Taki huragan przerażenia zwalił się na ludzi, jakby pożar ogarnął całą wieś; i nie było już żadnego ratunku, wypadali z chałup nieprzytomni, a chociaż strach porywał za włosy i trwoga wyła w sercach, stali w jakiemś nagłem skamienieniu i patrzyli ślepemi oczami na długą kolumnę wojska.

Śmiertelna cisza opadła, nikt nie śmiał się poruszyć, byli jakby sparaliżowani, ale, kiedy zdawało się, że już wszystko przepadło, serca matek przemówiły: pozbierały dzieci, ogarnęły je naprędce i, jak która stała, boso i w koszulach, zaczęły niepostrzeżenie wymykać do sadów, potem chyłkiem za stodoły, potem w pola i przepadły w szarudze i w skołtunionych świtowych mgłach.

Wojsko zajęło wieś, i wyszedł rozkaz, aby wszystkie kobiety z dziećmi zebrały się pod cerkwią. Naturalnie nie zjawiła się ani jedna; były już w bezpiecznem schronieniu.

— Ale gdzie się podziały? — pytano groźnie, przetrząsając dom po domu.

Chłopi milczeli, niepodobna było wydobyć ani słowa.

— To poczekamy, aż powrócą! — powiedział dowódca, i wojsko rozłożyło się po chałupach.

Dopiero po śladach zrozumiano, gdzie się schroniły; otoczyli więc las patrolami, przecięto komunikacyę ze wsią i srogo pilnowano, żeby nikt nie wynosił im żywności.

Byli pewni, że rychło je przypędzi głód i zimno.

— Kwoczki podmiękną i wrócą na grzędy! — podkpiwali żołnierze.

Ale przeszedł dzień, dwa, trzy — nie powróciły.

A wieś szarpała się w strasznej trwodze i niepokojach, robota leciała z rąk, poruszali się nieprzytomnie, boć wszystkie oczy wciąż wisiały na chmurze borów, boć wszystkie dusze rozdzierała rozpacz bezsilności, więc tylko płakano z wściekłości, modlono się żarliwie i czekano jakiegoś cudu.

Przeszedł cały tydzień, i nie powróciła ani jedna.

Bór stał czarny, ogromny, niezgłębiony, a pod jego wyniosłemi ścianami błyskały gęsto najeżone bagnety.

Wiosna tego roku była dziwnie mokra, zimna i wietrzna; codzień szły nieskończone szarugi, codzień wichry z dzikim, rozżartym skowytem spadały na wieś, przewalały się po polach i biły w bory, które szamotały się tak rozpaczliwie i wyły tak przejmująco, że ludziom się wydawało, jako słyszą w tych lękliwych poświstach bolesne zawodzenie kobiet, pła-

cze dzieci, a nawet mrożące krew wołania konających.

A niekiedy, gdy przychodziły spokojne noce i księżycowa poświata zalewała omglone pola i las stał prześniony, cichy i zadumany, to niejeden byłby przysięgał, że widzi między pniami białe widma, które wyciągają błagalnie ręce i coś krzyczą i czegoś się skarżą, i czemuś się żalą.

Przeszedł drugi tydzień, nie powróciły!

Dnie już szły niewypowiedzianie przykre, wlokły się nudnie i ociężale, sączyły się jakby palące żałością łzy. Pora była robót wiosennych, pola krzyczały o pługi, o ziarno, ale miał to kto głowę do roboty, kiedy troska wypijała każdą myśl i moc wszelką! Nawet sen nie przynosił ukojenia, bo noce schodziły na rozgorączkowanem oczekiwaniu, bo, co tylko wiatr tknął okien, to się już zdawało każdemu, że się ktoś pod ścianami przemyka, że ktoś puka, że ktoś nadchodzi.

Przeszedł trzeci tydzień, nie powróciły.

Na świecie zaczęło się nieco wypogadzać, i przy końcu kwietnia zdarzały się już dnie cieplejsze i słoneczne; puszczały się trawy, ruszały oziminy, pękały drzewa, kaczeńce obsiadły łąki, ptactwo zaczynało krzyczeć po sadach i gąszczach, rankami klekotały bociany, a skowronki całe dnie dzwoniły pod jasnem, czystem niebem, wiosna szła wszystkim światem i śpiewała coraz potężniej swój hymn nieśmiertelny, ale nie widziały jej oczy, zaropiałe od nieustannych, gorzkich łez, nie czuły jej dusze, przegrzane męką, i nie było jej po chatach, pełnych tylko płakania, żałoby i beznadziejnego smutku.

Przeszedł czwarty tydzień, nie powróciły!

Ludzie słaniali się jak cienie, poschnięte od gorączki, a wieś stała się niemilknącym lamentem pieśni pogrzebowej; codzień wieczorem w każdej chałupie paliły się gromnice i odmawiano modlitwy za konających, a długo w noc biły ku rozgwiażdżonemu niebu płacze serdeczne, biły żebracze prośby, biły westchnienia, przejętę wiarą i ufnością.

Przeszedł piąty tydzień, nie powracały.

Wieś dochodziła już do szaleństwa, wielu rzucało się prosto na bagnety, aby się przedostać do lasów i raczej umrzeć, niźli dłużej znosić to straszliwe oczekiwanie, ale żaden nie przerwał tej żelaznej obręczy i wracali jeszcze bardziej smutni i udręczeni.

Przeszedł szósty tydzień, nie powróciły!

Wreszcie i wojsko miało już dosyć tego oczekiwania i wymaszerowało z Hrud.

Wtedy cała wieś, jak jeden człowiek, rzuciła się na przełaj do lasów, a jeszcze nie dobiegli, gdy z mrocznych głębic zaczęły się pokazywać jakieś mary; szły zgarbione, o kijach, prawie nagie, wynędzniałe, rozkudlone, sczerniałe, podobne do szkieletów, ale radosne, jak słońce, jak wiosna, tryumfujące, i, jak samo życie, niezwyciężone!...

Zwalczyły głód, strach, opuszczenie, zimno i choroby; zwalczyły samą śmierć, ocaliły dzieci, i oto wracały te wielkie, te bohaterskie, te święte dusze w domowe progi, do codziennego trudu i do codziennej walki.

. . . .

A na zakończenie bolesnej sprawy tych chrztów przymusowych przytoczę już ostatnią scenę, jaka się rozegrała w tych samych nieszczęsnych Hrudach i w tymże 1876 r.

Po wyjściu wojska i powrocie kobiet z lasów, życie popłynęło zwykłem łożyskiem codziennych zabiegów, kłopotów i nieustających lęków. Wprawdzie matki zwyciężyły narazie, ale ani one, ani też nikt w całej wsi nie łudził się ni przez jednę minutę, żeby to wszystko miało się już skończyć

na zawsze; dobrze bowiem widzieli, jak pop się przyczaja, jakby tylko wyczekując sposobnej chwili. Mieli się więc również na baczności, oczekując ze drżeniem jeszcze straszniejszego ciosu. Kobiety z dziećmi sypiały po strychach, obórkach i stodołach, aby w każdej chwili, na każdy sygnał niebezpieczeństwa znowu uciekać do borów, a chłopi dniami i nocami stróżowali po wszystkich drogach.

Nie upilnowali jednak, gdyż w parę tygodni później, pierwszej ciemnej i zadeszczonej nocy, do chałupy Apolonii Szuckiej, jednej z matek najbardziej opornych, ktoś zapukał.

Chałupa stała nieco w głębi, na końcu sadu; w izbie była tylko Szucka z kilkoletniem dzieckiem, bo mąż już przedtem zesłany, więc dosłyszawszy pukanie, strwożyła się, ale poszła do okna i zapytała: Kto tam?

Za szybami mignęły jakieś złowrogie twarze, szczęknęły pałasze, i rozległy się takie głosy, od których ścierpła jej skóra. Zrozumiała natychmiast kto się dobija i poco.

Porwała dziecko na ręce i, oszalała ze strachu, rzuciła się do ucieczki, ale już stali pod drzwiami i oknami, chałupa była otoczona i zewsząd groźnie krzyczeli:

— Otwierać! Otwierać!

Kolby coraz niecierpliwiej waliły o ściany.

Stała przez chwilę na środku izby, nie wiedząc co począć, i napróżno szukając jakiegoś ratunku, i tak skamieniała przerażeniem, że nie mogła się poruszyć, dopiero kiedy drzwi zahuczały pod uderzeniami kolb i okna z brzękiem posypały się na ziemię, skoczyła na strych, wydarła dziurę w poszyciu i zakrzyczała straszliwym głosem rozpaczy:

— Ratunku! Ratunku!

Ale drzwi niedługo się opierały, i z dzikim wrzaskiem runęło do środka kilkunastu ludzi. Ściągnęli ją na dół, zbili, sponiewierali, jak łachman i chociaż broniła dziecka, jak rozwścieklona wilczyca, odebrali je na wpół zduszone w szamotaniach i ponieśli z tryumfem do cerkwi.

Szucka zawyła w niebogłosy, napróżno usiłując odebrać swoje dziecko; napróżno miotała się na nich z dzikim skowytem rozpaczy, napróżno rzucała się przed nimi na kolana z płaczem i błaganiami, wlokła się im u nóg i całowała po butach, wszystko było napróżno; ale sto razy odpędzana, bita kolbami, tratowana, podnosiła się wciąż z nowym okrzykiem i nowemi siłami, tylko w coraz straszliwszem zapamiętaniu i boleści.

Cała wieś rozbudziła się w mgnieniu oka, kobiety z dziećmi uciekały do lasów, a reszta wypadała na drogę i wlokła się wzburzona i ponura za strażnikami, nie odważając się jednak odbijać dziecka, które zanosiło się płaczem, bo matka raz poraz rzucała się ku niemu na ostry, nieprzebyty las bagnetów i ryczała:

— Ludzie, oddajcie mi dziecko! Ludzie, miłosierdzia!

Strażnicy uciekali z łupem coraz prędzej, jak stado wilków, odcinając się na wszystkie strony kłami bagnetów i przekleństwami, gdyż krzyk Szuckiej tak rozdzierał serca, że chłopi występowali z coraz groźniejszym pomrukiem, wreszcie cerkwi dopadli, i ciężkie okute drzwi zawarły się z hukiem za nimi.

Szucka rzuciła się na nie z wściekłością, były zawarte na sztaby.

— Oddajcie mi dziecko! Nie chcę waszej wiary! Ono już ochrzczone! Nie gubcie jego duszy! — krzyczała, nadaremnie targając drzwiami. Potem oblatywała cerkiew i darła się po gładkich murach do oświetlonych okien, ale, posłyszawszy płacz dziecka, wpadła w furyę i biła ogromnymi kamieniami w ściany, biła sobą, rwała cegły okrwawionemi rękami, gryzła żelazne okucia drzwi, to przypadłszy do gromady, stojącej w ponurem milcze-

niu, zaskowyczała chrapliwie ostatkami sił i ostatkami przytomności:

— Ratujcie mi dziecko! Nie dajcie na wieczną zatratę! Chłopiec ma na czwarty rok! Już umie cały pacierz, nasz polski katolicki pacierz! Jasio ma na imię! Mało przy nim nie umarłam! Był ochrzczony zaraz po urodzeniu! Przecież go zapisali, żyją jeszcze kumy, wszyscy wiedzą! Zlitujcie się nademną! Wzięli mi męża, matka skończyła pod batami, w chałupie niema ani skibki chleba, zostało mi tylko to jedyne dzieciątko! A teraz mi je zabierają! Zostanę sama jedna na świecie! Przecież tak samo mam plecy jeszcze nie zagojone, przecież, jak i drugie broniłam i nie dałam! Czy to już koniec świata! Czy to już niema Boga i sprawiedliwości! To niech mnie już dotłuką jak psa, byle tylko dziecka nie gubili! Ludzie! Ratujcie! Ratujcie!

Wszyscy płakali, słuchając tych straszliwych lamentacyi, rzęsiste łzy broczyły po zoranych cierpieniami twarzach, szlochy rozrywały serca i jak ten deszcz, trzepiący w liście drzew, okalających cerkiew, tak smutnie szemrały beznadziejne płacze, żałosne westchnienia i bezsilne jęki.

— Woła mnie! Woła! Słyszycie! — wrzasnęła naraz nieludzkim głosem, rzuciła się na oślep do cerkwi i padła zemdlona.

Odnieśli ją do chałupy i ledwie się docucili.

Świt się już zrobił, i szary, zadeszczony dzień zajrzał w jej oczy, smutkiem wyżarte, gdy, zupełnie oprzytomniawszy, jęła się rozglądać po izbie. Już ani jedna łza nie pociekła po skamieniałych policzkach, ani jedno słowo skargi nie wyrwało się z piersi, ani jedno pytanie nie padło, ale była taka trupio blada i takiemi bez dna oczami patrzała, że nikt nie śmiał do niej zagadać, i wkrótce się porozchodzili.

Pozastawiała drzwi powybijane i okna sprzętami, szafami i czem jeno mogła, rozpaliła gromnicę przed obrazem Częstochowskiej, uklękła i zaczęła czytać z książki modlitwy za umarłych.

A może w jakąś godzinę, już o dobrym dniu, ktoś zaczął się dobijać do chałupy.

Nie usłyszała, zatopiona w żarliwej modlitwie, dopiero jakieś ciche dziecinne kwilenia poderwały ją nagle z klęczek. Wyjrzała oknem i aż się zatoczyła na ścianę, ale się przemogła i, przypadłszy twarzą do ziemi, modliła się jeszcze goręcej.

— Otwórzcież, przynoszę wam dziecko! — zaskrzeczał niecierpliwie jakiś głos za oknem.

— Nie mam już dziecka! — rozległ się grobowy głos matki.

— Tylko bez „szutek“! Odnoszę wam Fieduszkę, i musicie wyprawić chrzciny!

— Precz! Nie mam dziecka! A jak mi to cudze szczenię wpuścicie do chałupy, to je zatłukę, jak psa! — powiedziała jakimś obłąkańczym głosem, że strażnik posadził dziecko pod ścianą i uciekł.

Szucka modliła się dalej, wołając skrwawionem sercem o litość i miłosierdzie.

Dzień był zimny i wilgotny, deszcz padał i zacinał w okna, czasem wiatr zamiatał drzewami, a pod ścianą w błocie i kałużach gmerało się rozpłakane dziecko, macało po drzwiach, usiłowało dosięgnąć okna, i co chwila rozlegał się płaczliwy, słaby głosik:

— Mamo! mamusiu! wpuśćcie Jasia! wpuśćcie!

Szucka, jakby rozpięta na krzyżu męki nadludzkiej, umierała z bólu, ale nie otwierała.

Na szczęście któryś z sąsiadów dosłyszał płacz dziecka i krzyknął do chałupy:

— Bójcież się Boga, przecież dziecko ledwie już zipie!

Wyjrzała oknem, jakby zakłopotana, i z jakimś dziwnym uśmiechem szepnęła:

— Cichocie, dzieckomi co dopiero usnęło...

— Jakże! Co wam się troi po głowie? Przecież... — cofał się przed jej obłąkanym wzrokiem.

Położyła palec na ustach, siadła przy kołysce i zaczęła kołysać.

Nie pomogły żadne perswazyę, ni nawet żałosne kwilenia dziecka, nic już bowiem nie rozumiała, tylko, zapatrzona w pustą kołyskę, poruszała nią troskliwie i nieustannie.

Naszło się więcej ludzi, jęli się nad nią wyżalać, próbowali nawet ratować, ale nie zwracała na nich uwagi, a tylko kiedy niekiedy prosiła błagalnie i gorąco:

— Cichocie! Śpi mój robaczek najmilejszy, śpi! Cichocie!

Postali, pokiwali nad nią głowami, dziecko zabrał ktoś litościwy, i porozchodzili się.

Dziecko w parę dni później umarło.

Powiedzieli jej o tem; uśmiechnęła się i, wyjąwszy kukłę, uwitą z gałganów, opowiadała tajemniczo, rozglądając się przytem trwożnie dokoła:

— Wiecie, nie dałam Jasia! I nie oddam! Nie oddam!

Siadła pod ścianą, kukłę przytuliła do piersi i, huśtając ją, śpiewała bezprzytomnie:

„A! a! a! kotki dwa! Szare, bure obydwa!“

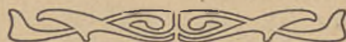

Szymon Chełpiński.

Kiedyż?

(Dumka z nad Prutu).

Budzisz się ze snu wiosenko złota!
I zrzucasz z siebie całun zimowy,
Kiedyż się zbudzi Polska-sierota:
Kiedyż z niej spadną kajdan okowy?

Wszystko, co żyje, chce bytu-życia!
Bo wiosna czarem budzi do czynu,
Kiedyż znów Polska po snach stulecia:
Powstanie, sięgnie po liść wawrzynu?

Słońce promienne! roztacza koło —
Budzi do życia to, co istnieje,
Skowronek piosnkę nuci wesoło!
A kiedyż Polsce świt zajaśnieje?

Łąki i sady okryte kwieciem
Falują zboża na żyznych łanach,
Cała przyroda tchnie pełnem życiem:
A biedna Polska jęczy w kajdanach?

Kmiotek wraz z świtem wyrusza w pole,
By zasiać grzędę ojczystą wcześnie,
Wiosna nadziei słodzi mu bole:
A biedna Polska w niemocy, we śnie?

Wszystko radośnie wiosenkę wita!
Bo w niej nadziejne widzi zarania,
A kiedyż Polsce wolność zaświta?
Kiedyż nastąpi dzień Zmartwychwstania?

Wówczas, gdy cała siermiężna rzesza
Podniesie sztandar Orła — Pogoni
I własną bronią z pługów — lemiesza...
Z ojczystych granic wrogów wygoni!...

Ks. Dr. A. KOPYCIŃSKI.

ZACNY MĄŻ.

Władysław Syrokomla, chwaląc naród polski za jego gorliwe nabożeństwo do Matki Bożej, Królowej Polski, taki napisał wiersz:

Królowie dobrzy i dobrej mocy,
Pasterze Pańscy duchem wysocy;
Senatorowie w radzie niezłomni,
Ziemianie w sejmach na prawo pomni.
Żołnierz, jak olbrzym, szedł jeden na stu;
Kupiec przynosił bogactwo miastu.
Swobodny kmiotek jak las miał zboże!
Gotowi byli na sądy Boże!

Jednem słowem można określić wszystkich Polaków z dawnych czasów „zacni mężowie!".

Co to słowo „zacny mąż" oznacza? Oznacza tego Polaka, którego życie zgadza się z prawem i sprawiedliwością. Tego człowieka, który rozeznaje mądre między tem, co dobre a co złe, i który według onego poznania urządza swój żywot z tak nieugiętą wolą, iż niema ofiary, jakiejby nie poniósł, by w niczem nie przekroczyć woli Bożej i prawa. Czyli: Jako świętość, tak i zacność charaktery ma swoich męczenników.

Zacny mąż miłuje dobro. Zacny nie rozróżnia między dobrem a dobrem, i nie pyta, czy to, co czyni, przyniesie mu zawsze korzyść, ale miłuje dobro dlatego, bo jest dobrem, bo Pan Bóg tak każe.

Zacny mąż nienawidzi zło. On nie rozróżnia między złem a złem; ale nienawidzi wszystko zło. Czy jest w towarzystwie, czy w samotności, raczej umrzeć woli, niż się dopuścić krzywdy lub nieprawości.

Zacny mąż dotrzyma danego słowa: Bo nie da słowa tak od niechcenia, ale gdy go da, to i dotrzyma. Mogą się stosunki i okoliczności zmienić, ale on słowa nie zmieni. I komu on dał słowo, ten może być pewnym, że on mu go dotrzyma.

Zasadą zacnego męża jest: „oddaj każdemu, co mu się należy", i od tej zasady nigdy nie odstąpi. Czemu? Bo on ma wyrobiony zmysł rozeznawania, co jest prawem, a co krzywdą.

Zacny mąż jednego nigdy nie uczyni. Czego? By zeszedł z drogi zacności i prawości. I dlatego co zaczął, to dokona. I dla błahej miłości własnej nie ostygnie na duchu, i tych, co przy nim stoją i z nim pracują nie oziębi, nie zniechęci do pracy. Dla tej wielkiej zasady poświęci nawet troskę o swą dobrą sławę, bo on nie szuka zaszczytów lub pochwał, lecz cnoty, pracy i poświęcenia się. Taki zacny nie uważa posłuszeństwa za małoduszność ani za spodlenie się lub płaszczenie, tylko uważa je za spełnienie woli przełożonego, który znów za swe rozkazy przed innym wyższym odpowiada.

Zacny mąż nie jest wolnym. A kto go krępuje? Jest taki tyran, przed którym on się zawsze, choć dobrowolnie, z własnej woli ugina. Kto jest ten tyran? „Obowiązek!".

Zacny mąż składa obowiązkowi daninę z całego siebie. Obowiązkowi poświęca on czas, majątek, zdolności, przyjemności, całe swe życie. A gdyby tylko tyle. Nie. Zacny mąż poświęci obowiązkowi życie swej żony i swych dzieci nawet. Bo wyżej u niego stoi spełnienie obowiązku, od własnego życia i życia najbliższych jego sercu.

Zacny mąż, to „mąż czynu". U niego niema zniechęcenia. On nie rozumie nawet, jak można być obojętnym

w spełnianiu obowiązku, jeżeli się posiada wybitne, wpływowe stanowisko, gdy go do pracy wzywa wielki cel, a wzywa go do żmudnej, ciężkiej pracy, za którą nie tylko nie znajdzie uznania, ale mu jeszcze oszczerstwem zapłacą.

Gdzie się takiej zacności nauczyć? W szkole? Nie! Szkoła nie wyrobi takiej zacności. Gdzież jej tedy szukać? W sobie samym. Trzeba się wyrobić, trzeba nad sobą pracować, trzeba sobie ciągle przypominać, że już byli tacy na świecie, co dużo dla Ojczyzny i ludności robili. Trzeba historyę Polską z czasów Piastów i Jagiellonów czytać. A tam znajdziesz dużo zacnych mężów i zacnych niewiast, i młodzianów i dziewic.

Czy opłaci się być zacnym? Tak. Zacność daje nagrodę. Jaką? Spokój sumienia, i oną rzewność, jaką się czuje po spełnieniu dobrego czynu, choćby się za to i bitym było.

Spoglądnijmy na dwóch mężów. Jeden na wysokim stanowisku, ma dużą płacę, za lichą pracę. Ma wielkie wpływy, a doszedł do nich przez pochlebstwo, oczernianiem współkolegów, podlenie się. Na pozór to najszczęśliwszy człowiek. On ma już tylu pochlebców, tylu mu się kłania i o jego łaski ubiega, on posłem, on tyle naobiecywał ludziom, tylu ludzi durzył, a niczego nie dokonał. Czy on naprawdę szczęśliwy? Zaglądnij w jego sumienie, a sumienie jego ciągle go prześladuje, ciągle mu powtarza: „podłyś!“ Drugi spełnia ciągle i niezmordowanie swe obowiązki, choćby maluczkie, jako rolnik, jako ojciec, co ma kilkoro dzieci wychować i dać im utrzymanie na przyszłość. Łamie się z największemi trudnościami. Bo czasem brak nawet chleba dla dzieci, brak grosza na obuwie, ubranie, na zapłacenie podatku. Pochylił się pod wielką boleścią, jak drzewo pod wiatrem. A przecież przetrwa i nie spodli się. Nie wybił się. Nie przysporzył majątku, żona i dzieci znoszą biedę. A może oni mu wyrzucają, dlaczego nie postępuje tak, jak ów pierwszy, co się wybił i stoi wysoko, i ma honor u ludzi, a i dostatek pieniędzy. A przecież. Chociaż on ubogi, ma jedno, co jest nieocenionym skarbem. Co? Pokój! Ów pokój rozlany w sercu, co się tak słodko maluje na twarzy. A sumienie wśród jego biedy ciągle mu powtarza „Zacnyś!“

Tej zacności trzeba płacić haracz. I choćbyś za spełnienie swego obowiązku zbierał same tylko cierpienia, pracuj mimo to bez wytchnienia, bo praca w takich warunkach to wielkoduszność, za którą płaci na ziemi sumienie, a po śmierci nagradza dobry Bóg niebem.

Takiej zacności domaga się Pan Bóg od wszystkich, domaga się jej i zdrowe społeczeństwo: domaga się Polska, Matka nasza. Od takiej zacności nie zwalnia nawet stary wiek. Bo skoro poganina Dyogenesa upominano w szczerości, ażeby zwolnił pracy a użył nieco wczasu, zdobył się na taką odpowiedź: „dobiegającemu mety pospieszać, a nie zwalniać — wypada!“

Taką zacnością jaśnieli dawniejsi Polacy, których chwali Syrokomla w wierszu na początku umieszczonym. Ale gdy wiara w narodzie naszym ostygła, gdy władzę królewską sejmy ściągnęły, gdy niezgoda wżarła się w sumienia, a z nią przedajność, wygodne życie; to poczęło się psuć coś w tym tęgim narodzie polskim. A to psucie się tak opisuje ten sam Syrokomla:

Na królów twarde włożono pęta,
W pasterzach znikła gorliwość święta.
Senatorowie poili braci,
Szlachta się ciągle konfederaci.
Żołnierz jął grabić tych, których bronił.
Kupiec przez lichwę bogactwo strwonił.
Kmiotek — niewolnik zmarniał we dworze,
Anioł zatrąbił na sądy Boże!

I stała się straszna rzecz! Potężne państwo Polskie runęło. Polska znikła z oblicza narodów. Miejsce Sobieskiego zajął Piotr Wielki.

Trzeba z tej drogi zawrócić. Trzeba wrócić na ścieżki, jakimi chadzali Bolesław Chrobry, i Kazimierz Mnich, i Krzywousty i Łokietek i owe trzydzieści tysięcy rycerzy z pod Lignicy i Jagiełło i tylu innych królów rycerzy i zwykłych śmiertelników.

A ponieważ nieprzyjaciel zaprzysiągł zgubę i Ojczyzny i ołtarzy zarazem, tośmy wszyscy powinni się gromadzić około ołtarzy, by tam prosić o wyzwolenie Ojczyzny. Zacznijmy tedy wspólnie się modlić, to nauczymy się i wspólnie radzić, a potem wspólnie pracować i wspólnie zwyciężać.

Ale poprzód zduśmy tę obrzydliwą chorobę, co nas dobija. Jaką? Nienawiść. My Polacy teraz tak strasznie się nienawidzimy, a tem samem tak daleko nam do zacności. U nas oczernić brata łatwiej przychodzi, niż głodnemu zjeść kromkę chleba z masłem. Więc czernimy się po domach i na zebraniach, i na wiecach, i w gazetach, i w sejmie i w radzie państwa. Każdą uczciwą pracę, jeżeli się komu nie podoba, łży się i czerni. — Bo wielom nie rozchodzi się o dobro ludu, o dobro kraju i narodu, ale o to tylko, aby zdobyć sobie panowanie nad duszą chłopa polskiego, za jakąkolwiek cenę. Więc się truje tylko ducha chłopskiego, i sieje się w tę poczciwą duszę chłopską nienawiść do ludzi, do panów; i rozsadza się to biedne polskie społeczeństwo, które nie miało jeszcze czasu i nie umiało skupić się i zjednoczyć.

Nie trujcie ducha narodowego i chrześciańskiego w ludzie i robotnikach, ale dążcie do tej jednej wielkiej myśli, by wszystkich podnosić, uszlachetniać i uzacniać.

Przewodnią myślą tych, którzy się wybili na czoło, czy to w gminie, czy w powiecie, czy w kraju, powinno być napomnienie wielkiego poety naszego Zygmunta Krasińskiego, który w psalmie miłości tak zaklina rodaków:

Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie.
Tak Bóg czyni we wszechświecie!
Bo cel światów: szlachetnienie!
Wszystko, wszystko, wiecznie, wszędzie
Rwie się w górę, z Bożej myśli!
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie
Kto inaczej świat swój kreśli.

FRASZKI.

— Cóż mąż dzisiaj jadł na obiad? — pytał lekarz żonę chorego najemnika.

— Sztukę mięsa — odpowiedziała żona.

— A czy z apetytem? — badał lekarz dalej.

— Nie, z rzodkiewką — odpowiedziała.

Prusaków są dwa gatunki. Jedne siedzą pod piecem, drugie w Berlinie. Żywią się odpadkami kuchennymi i ziemią polską.

Szynk, czyli po polsku „mordownia", znany jest z tego, że od dłuższego czasu napróżno usiłują zamknąć go w niedzielę i święta. Szynki są różnego rodzaju: obrzydliwe, cielęce, albo wieprzowe.

Jedna baba spotkawszy drugą babę, taką zadała jej zagadkę:

— Jeżeli zgadniecie kumo, ile mam jaj w zapasce, to wam oddam wszystkie dziewięć.

ŁZY ZIEMI.

Wiosna na polach, na łanach, po łąkach, na wodach, wiosna po lasach równin i gór.

Chór skowronków nad rolą — hymn życia gwiżdżą kosy i drozdy po gajach — klekocą ze strzech bociany.

Głuchy stuk motyk w ogrodach, ostre rydle wpijają się z chrzęstem w śniade ciało ziemi.

Nawoływania oraczów płyną w świeżym wietrze nad pola — ostre; lśniące lemierze całym wysiłkiem koni i wołów prują ziemię, odwalają z niej skibę po skibie. Z rozoranego jej łona opar bije do słońca — rozorane jej ciało pachnie tak silnie, że aż starcy, co całą zimę spędzili po izbach, zawrotu głowy dostają od mocy tego zapachu.

Święci się moc słoneczna, ziarna w kiełki zamienia. O! Niech w źdźbła silne je pędzi, niechaj kłosy na nich nawiąże dorodne, niechaj je plonem ozłoci, niech w jego brzemieniu chleb niesie ziemia swym dzieciom!

Pachną iwy kwitnące i bzy i zioła polne i sosny słońcem nagrzane.

Pachną różowo białe sady i dzikie róże na miedzach. A kiedy kosy zachrzęszczą po łąkach, to całe fale woni ścinanych ziół — cała powódź zapachu więdnących traw, płyną polami na wieś pomiędzy chaty. A tam już z każdej szopy wonieje siano — z brogów, ze stodół, z podstrzeszków.

*
* *

Złotem kwieciem pachną po wsi lipy — od rana do nocy brzęczy na nich rój pszczół.

Na płowo złotych łanach, pod sierpami żniwiarzy ścielą się zboża dojrzałe — padają pod skrzydłami maszyn klekocących jednostajnie od rana do nocy...

Pot ludzki przepaja powietrze i woń zbóż ciętych i ziół.

Na łasze trawy wśród pól, gromada żniwiarzy obsiadła w koło chleb czarny na rościelonych po ziemi chustach — ser biały, ziemniaki.

Cisza upału. Zamilkł skowronek, ucichły świerszcze — koniki polne śpią po ścierniach.

Skwar sierpniowego południa cięży nad pochylonem, złotem zbożem — drga ponad wyżęte ścierniska.

Od różowo białego łanu hreczki zanosi miodem tak silnie, jakby ktoś porozbijał ule w pasiece i miód ich rozlał dokoła.

A z woni tej miodnej, ze skwarnego tchu ziemi, rozdrganego nad pola, wstaje cicho jej dusza — i opalone piersi jej dzieci spowija — i otuchą serca starców przepełnia — i mocą krzepi ramiona parobków — i ognie uroczne w źrenicach dziewek zapala — i słodkim pokarmem wzbiera w piersiach matek, karmiących niemowlęta w cieniu półkopków.

*
* *

I znów pachną życiem ciemne fale rozoranych pól, czerwone runie wschodzącego żyta, szmaragdowe odmęty pszenicy.

Żegna je ostatnia pieśń ukrytego gdzieś w lazurowem niebie skowronka — żegnają codziennie klucze żurawi, dzikich gęsi, stada ptactwa, ulatujące przed zimą.

Wiatr zdziera z drzew żółte, suche liście — całe tumany ich, całe chmury pędzi po ścieżkach ogrodów, po orogach leśnych, po ulicach wsi — z kalin, z głogów, z jarzębin, z trzmielin, wiatr strąca krwawe jagody, zwarzone nocnym przymrozkiem.

A kiedy w wieczór zaduszny jękną dzwony kościelne — gdy po cmentarzach lud pieśni żałobne zawiedzie i światła na grobach rozpali — kiedy modlitwa księdza i całej procesyi ludzkiej pamięć zmarłych z pod ziemi wywoła:

Wówczas z pod zwiędłych liści, w blaskach świateł gromnicznych wstaje dusza tej ziemi i widma zmarłych z pod niej wywodzi — i po grobach je rozprowadza — i cmentarz bezlistny niemi zaludnia — i pola w okół cmentarza, daleko — daleko — aż hen, kędy skraj zorzy jaśnieje, kędy gwiazdy wschodzą nad ziemią.

*
* *

Zima na polach, pod śniegiem łany, na stepach, na łąkach białe całuny — lody na wodach — śniegowa okiść po lasach równin i gór.

Wicher jęczy w ciemne, długie noce — coraz silniejsze mrozy ściskają łono ziemi.

Z przemarzłych niw, ze szczelin popękanych ról, z pod płócien śniegowych, wstaje cicho jej dusza — i pod okienka chat w śnieżnym tumanie podpływa — ciśnie się pod szyby wiejskich dworów, pałaców — pod okna kamienic po miastach.

I tam poprzez niezamarznięte miejsca pomiędzy kwiatami zimowymi na szybach, przygląda się swym dzieciom, przepatruje ich serca — dusze ich na wskróś przeziera...

Mróz bierze coraz silniejszy, wicher zawodzi w kominach — a z gwizdem jego i jękiem dusza ziemi mówi swym dzieciom: Otom jest ziemia wasza — ziemia waszych ojców... Czy pamiętacie o mnie u ciepła ognisk waszych? Czy pamiętacie, że ja, matka wasza, marznę od wichrów i mrozów?...

Czy pamiętacie wy po dworach, po miastach, wy oświeceni, żyjący w wirze życia, w tłoku jego myśli, w zgiełku jego słów, w których tyle razy imię się moje powtarza?

Czy pamiętacie wy w tym zgiełku, że krocie, miliony dzieci moich, a waszych braci z pod strzech — staną znów z wiosną do pługa — i w pocie czół swoich orać będą moje ciało — w znoju krzyżów i rąk orać je będą dla kęsa chleba czarnego, dla łyżki strawy codziennej?

A orząc, ani pomyślą, ani będą wiedzieli, co cierpię ja, zakuta w niewolę dusza tego ciała, które oni krają pługami, nie słysząc brzęku mych kajdan — w którego trzewia ciskają ziarno, nie czując skurczów śmiertelnych mojego łona?

*
* *

Pod szyby gmachów podpływa widmo ziemi, kędy radzą wybrańce jej dzieci — i wszystkie ich serca przenika na wskróś — i wszystkie dusze prześwietla aż do dna, patrząc, czy c z y s t e są, czy władnie niemi miłość ojczystych spraw, czyli też własna korzyść?

*
* *

I u okien izb gry przystaje widmo, tam, gdzie traf ślepy przerzuca złoto z rąk do rąk, oddając jednym pieniądz u drugich wydarty.

I ze spojrzeniami mętnemi, oślepionemi chciwością łatwego zysku, krzyżuje się wzrok widma smutny — wzrok, w którym świeci cała świadomość cie-

mnoty dzieci, co z braku grosza nie mają szkół, gdzieby je własną ziemię znać uczono i kochać...

* * *

U kręgu lampy domowej — skupiona wieczorem rodzina.

Całodzienną pracą znużony ojciec, z ponad gazety, rozłożonej na stole — patrzy od czasu do czasu poprzez kłąb dymu cygarowego na synów, odrabiających zadania na jutro.

Oczy jego przygasłe, oczy człowieka, „dźwigającego ciężar rodzinnego życia“ — z pod łysawej czaszki spoglądają na dzieci, z takim niezachwianym, pewnym siebie spokojem, jakby wypatrzyły już wszystko z życiowej toni, wszystko, co godne ich wzroku i myśli — i jakby nie dostrzegły nigdy i nigdzie niczego innego, ponad konieczność i ciężar, bezideowej zresztą, bezdusznej pracy na chleb, dla chleba samego.

I patrzą te oczy na dzieci, czy uczą się uważnie, czy wypisują dokładnie słówka ze słowników, czy przebrały się w stare mundurki, po powrocie ze szkoły?

Cisza. Słychać tylko skrobanie piór po zeszytach i brzęk talerzy, dolatujący z kuchni.

. . . .

A z światłem księżyca, co się zakrada z nad blaszanego dachu z drugiej strony ulicy — z ogrodów, od pól przysypanych śniegiem — od wsi — od chat — nalatuje ciche widmo ziemi i przygląda się wieczornemu życiu rodziny.

I uważnie, pilnie wgląda w serce tego ojca, serce oddane tym jego dzieciom w uczniowskich mundurkach, pragnące dla nich jak najlepszej przyszłości.

I wgląda w duszę tego człowieka, któremu ciężko snać przychodzi zarabiać na chleb swój i dzieci, bo jedno ma tylko życzenie, jedno dla nich widzi szczęście: aby jaknajlepiej pokończyły szkoły i uniwersytet, żeby jak najprędzej dobiły się stanowisk, awansów, dochodów większych, niż jego, żeby były sytsze dostatku, niż on, ich ojciec.

I uśmiecha się dusza tego ojca na widok srebrnych i złotych pasków u kołnierzy synów — uśmiecha się z radości i dumy, bo w symbolu tego srebra i złota dopatruje się już ich zadatku na przyszłość.

I tylko żal jej, że ta przyszłość nie może ziścić się w tej chwili, że te paski nie zdołają się przemienić natychmiast w srebrne i złote kołnierze sekretarzy, radców, majorów...

I przygląda się widmo ziemi jasnym główkom chłopaków, pochylonym nad książkami z wysokich kołnierzy mundurków — i wsłuchuje się w bicie serca pod tymi mundurkami — i wpija się w głąb młodych, dziecięcych dusz.

I na myśl, że one podobne być mogą kiedyś duszy ojca, że równie jak on, dla swych dzieci, niczego ponad obfitość chleba nie zapragną, że te serca, tętniące młodą, gorącą krwią w wątłych dziś ciałkach dziecinnych, roztyć się kiedyś mogą dosytem — na myśl o tem, po zwiewnych rysach widma ziemi, na oświetlony księżycem, szary mur domu, spływają dwie grube, ciężkie łzy.

. . . .

Jakby w ucieczce przed niemi, jak gdyby pragnąc osuszyć je innym widokiem — pod ostatnie okno mieszkania podpływa cicho dusza ziemi. I patrzy przez tafle szyb na pokój, oświetlony kręgiem lampy domowej, na matkę, przyglądającą się zajęciom wieczornym swych córek.

Na wzrok matki padają oczy widma, na jej źrenice, odrywające się co jakiś czas od ręcznej robótki, by przyjrzeć się różowym twarzyczkom podlotków, by oglądnąć uważnie, czy mają całe sukienki, czy nie poplamiły ich, krzątając się po kuchni.

We wszystkie troski, co wybijają

się z pod ciemnych jeszcze włosów, na jasne, gładkie czoło tej matki zabiegliwej, wgląda widmo ciekawie — i aż do głębi serca jej wnika — do najtajniejszych skrytek duszy. I widzi w tem sercu matczynem, oddanem swym córkom, w tej duszy, żyjącej jutrem swych dzieci, najdokładniej czyta, najjaśniej, jak ona chciałaby dla nich ustalenia „losu", jak pragnie, żeby każda z nich zdobyła sobie stanowisko niezależne od trafu zamęścia.

I widzi jasno, że ta matka zdaje sobie doskonale sprawę z tego, iż jednak byłoby lepiej dla jej córek, żeby wyszły dobrze za mąż za dostatnich, uczciwych ludzi, którzyby zapewnili im byt wygodny, wprowadzili je w świat „większy", „wyższy" od tego, w którym ona wychowała się, w którym się obraca — żyje.

Widzi, jak gorąco pragnęłaby dla swych dzieci większej zamożności, niż ta, co przypadła w udziale jej życiu, jak byłaby szczęśliwą, jeśliby nie potrzebowały tak bardzo, jak ona, krępować się oszczędnością, tak nieustannie z każdym liczyć się groszem...

Gdybyż to... gdyby... los nie odmówił im mieszkań obszernych, strojów, zabaw, teatru, wyjazdów do gór, do morza... A jakie szczęście byłoby wówczas, jakie szczęście, gdyby ponadto te dzieci, to ciało swego ciała, tę krew swej krwi, udało się jej wprowadzić w rodziny „znaczniejsze", „lepsze", niż ich rodzina, gdyby fala losu przychylna wyniosła je o parę szczebli wyżej w hierarchii społecznej...

I patrzy widmo w źrenice matki, jak utkwione badawczo w rysach córek, odczytać pragną z tych rysów na pół dziecinnych, o ile mogą jeszcze wypięknieć, o ile dzisiejsze „podlotki" rozwinąć się mogą w „piękności"...

O! gdybyż to Bóg dał, gdyby dał istotnie! Z jakąż rozkoszą wówczas pokazywać je będzie „ludziom" — z jakąż dumą wprowadzi po raz pierwszy do sali balowej!...

A widmo przypatruje się uważnie cienkiemu profilowi jasnowłosej dziewczynki, pochylonej nad książką — i ciemnej główce drugiej, co przegląda nuty u fortepianu. I w głąb serc dziewczęcych stara się wniknąć jego dusza — i przejrzeć te młode dusze kobiet najbliższej przyszłości...

I na myśl, że te serca niewinne, że te dusze, rozchylające się życiu, jak pąki roślin nieznanych, o których niewiadomo jeszcze, jakimi kwiaty zakwitną: Na myśl o tem, że one rozwinąć się mogą tak, jak pragnie serce matczyne — że i one kiedyś ukochać mogą nadewszystko to, o co dusza matki najgoręcej modli się dla nich do Boga:

Na myśl o tem po bladem licu widma ziemi, na oświetlony księżycem, szary mur domu — spływają grube, ciężkie łzy.

* * *

I znów w świetle lampy wieczornej stół, a na nim papiery, dzienniki, książki...

Kobiety, mężczyźni, starsi i młodzi omawiają żywo zagadnienia najwięcej na czasie, najwięcej piekące, najważniejsze sprawy ludzkie, narodowe, społeczne.

Wre myśl — promienieje z czół — tryska ze źrenic — ulata słowami. Zdania, odpowiedzi — krzyżują się, zbijają, potwierdzają.

Każdy oddaje tu cząstkę swej pracy, swych sił, wspólnej trosce o młodszych braci, o ich niemowlęctwo duchowe, o ich nieświadomość obowiązków swoich i praw.

Jedna myśl ożywia tu dusze, zespala serca w pragnieniu światła dla ciemnych — chleba dla głodnych — ducha w bezdusznych.

Jedna myśl we wielu duszach poczęta, zestrzela się tu w jedno ognisko, jednoczy we wspólnym wysiłku: w wysiłku tępienia zła u dzieci swej ziemi — rozwiania z przed nich mroków, po których błądzą — ukazania im prawdy, dobra, słońca!...

Jakaś świeżość uczuć wiosenna bije z jasnych czół tych ludzi — promienieje z ich oczu — z gorących serc — z dusz, oddanych duszy bliźniego.

A jak o wiośnie taje skorupa śniegowa — i z pól — i z łąk — i z lasów równin i gór potoki płyną do wspólnych strumieni — do rzek — do mórz:

Tak w tchnieniu tych pragnień twórczych, w słońcu prawdy i dobra musi stajać — rozpłynąć się — zaniknąć wszystko, coby samolubne było, coby nie było oddane wspólnemu dobru, coby nie było pochodem ramię przy ramieniu, we wspólnym trudzie, do celu wspólnego!...

. . . .

Przeszkody z pod nóg niech usuwają jedni drugim, w żmudnej drodze do tego celu!

Niechaj ponura, zazdrosna zawiść bliźnia, niech niedołężna obojętność nie krępują lotu najdzielniejszych, najofiarniejszych jednostek!

Niech miłość zapłodni słoneczne duchy dzieci światła, jak słońce ziemię zapładnia o wiośnie!

Niech je połączy, zespoli, jak msza poranna wiosny, łączy w sobie hymny ptactwa — tchnienia kwiatowe...

* * *

A kiedy to stanie się — gdy serca dzieci naszej ziemi uświęcą się współżyciem z sercami wydziedziczonych do dziś z tego życia młodszych współbraci — kiedy poprzez kryształową czystość własnych dusz okażą im niepokalanie promienną duszę wspólnej Ojczyzny:

Wówczas z pól Jej szarych, odtajałych wiosną, z zielonych niw i łąk, z wód błękitnych, ze złotych łanów równin i z lasów gór, z pod wiejskich strzech i z domów miast, z kościelnych wnętrzy i z gruzów starych zamczysk, porosłych zielem — w słoneczny dzień, w blasku południa — wychyli się królewskie widmo ziemi.

Na wiośnianych jego licach nie będzie już łez, bo wszystkie łzy najkrwawsze tej ziemi, całe rzeki ich — całe morza przemienią się w kwiaty, którymi najmłodsze dzieci Ojczyzny słać będą Jej drogę w brzask chwały — w święto zmartwychpowstania wyzwolonego z męczeńskiej niedoli narodu...

Jan Andruszewski.

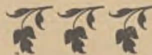

Dziesięcioro przykazań dla usunięcia nędzy.

Jedno z pism poznańskich umieściło trafną odmianę dekalogu, którym kierować się należy w dążeniach do ekonomicznego odrodzenia kraju.

Warto zaznajomić szerszy ogół z temi przykazaniami.

I. Pamiętaj przed każdem zakupem o „przemyśle swojskim“, który wywieść nas ma z nędzy i ekonomicznej niewoli.

II. Nie będziesz chwalił i nabywał wyrobów obcych, a ganił wyrób swojski, zwłaszcza, gdy go nie znasz wcale.

III. Otocz się w domu wyrobami przemysłu swojskiego, a wyrzeknij się szyku i blichtru narzuconego przez obcych.

IV. Kochaj wszystko, co pochodzi z kraju, wszystko, co wśród ciężkich warunków wytwarza, nie szydź, lecz pomagaj w pracy.

V. Nie zabijaj szczerych chęci i usiłowań gorętszych od ciebie, lecz o ile cię stać, dopomóż zwycięstwu wspólnej dobrej sprawy.

VI. Nie wprowadzaj w błąd swych bliźnich, gdy domagają się wyrobów swojskich, mówiąc, że nie istnieją.

VII. Nie kradnij opinii wyrobom swojskim, krytykując je z bezpodstawną złośliwością.

VIII. Nie wyzyskuj wielkich haseł dla osobistego zysku i nie kładź na towarach obcych marki: „wyrób swojski“.

IX. Nie żądaj cen wygórowanych za wyrób swojski, bo szkodząc sprawie, zaprzepaścisz własny trud.

X. Nie wyzyskuj ani producentów, ani konsumentów, nabywaj i reklamuj wyroby swojskie, a przysłużysz się i sobie i ojczyźnie.

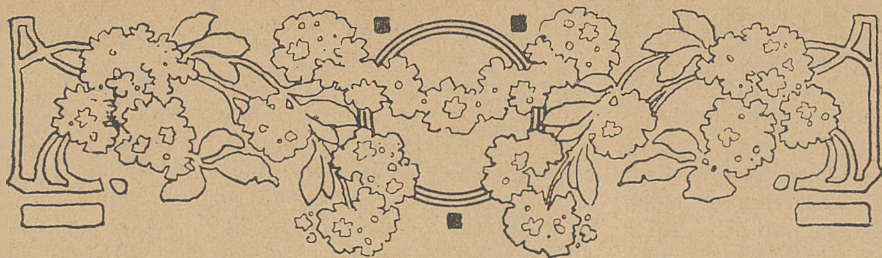

DEPUTOWANY.

Obrazek galicyjski z roku 1850.

Napisał **Jan Zamorski.**

Już od wschodu słońca schodzili się ludzie do Skibowej chaty. Jaki taki odkrywał głowę, ocierał usta dłonią lub połą płótnianki i wchodził do izby, żeby popatrzeć na trupa, zmówić pacierz i podumać. Czulszego serca kobiety, zawodziły głośno i monotonnie recytowały lament, zaczynający się od rytualnych słów: „Oj! już ty nieboraczeńku nie będziesz więcyl prała, międliła, opałała“ itd., zależnie od tego, która z gospodarskich czynności więcej przemawiała do tkliwości mówcy. Ludu zgromadziło się pełno w chałupie, w sieni na podwórzu, a dzieci zaglądały trwożne przez otwory podartego płotu. U wrót chaty leżał na przyzbie zwinięty w kłębek, czarny, zmizerowany pies i wodził po przybyszach smętnem okiem, jakgdyby pytając, po co ich tu tylu przyszło. Przy węgle uwiązane cielę uwikłało się tak we własny powróz, że padło skrępowane na ziemię — jakiś chłopak z odkrytą głową wypadł z za węgła i począł je odmotywać z tej niespodziewanej sieci, gdy nagle chwycił się za ciemię i wrzasnął okropnie. Przybiegli ludzie, skoczyło cielę z pęt uwolnione i z zadartym ogonem czmychnęło w pole, pies szczeknął i przypadł do wyrostka, któremu tymczasem dobyto z czupryny osę, przyczynę bólu i wrzasku. Zamęt mniej przyzwoity w takiem miejscu wszczął się na podwórzu i w chałupie. Nagle ktoś krzyknął z za płotu:

— Cicho tam!

Zwrócili wszyscy oczy ku drodze i ujrzeli chłopa w krakowskiej rogatywce, w błękitnym „żupanie“, o twarzy pełnej, rumianej, wygolonej starannie, prócz wąsów, które też, wbrew modzie ubieszyńskiej, niepodstrzegane, sterczały mu na kształt rozwichrzonych krzaków. W całej postaci tego człowieka widać było wielką zamożność i świadomość tej zamożności, pewność siebie, nadętość i jakąś podsędkowską wielmożność. Ni podstarości, ni to włódarz — zawsze jednak figura odrzynająca się od białego tłumu współobywateli. Stał za wrotami a przy nim chuda, biała, czarnooka kobieta, z miną wykolejonej zakonnicy, lub kota, gdy głaskany patrzy zezem na gruszę za wróblami. Ta była w czarnym kaftanie, kilka sznurów korali wisiało jej na piersiach; białe oszywki rękawów od koszuli, obramione koronką, wywinęła na rękawy kaftana, niby manszety. Takiż kołnierz u koszuli wyłożony na wierzch; spódnica czerwona i czarne trzewiki na nogach.

— Cicho! cicho — powtórzyła pokor-

nie gromada, zobaczywszy, skąd pochodziło wezwanie.

— Taż to nie politycznie nawet, taka kałamacya przy umarłym, — mówili niektórzy.

— Deputowany, deputowany — szepnęli sobie inni na ucho.

Jakoż wkrótce zrobiła się cisza; ludzie stojący przed chatą odkryli głowy i czekali przybysza w milczeniu i z pokorą.

Deputowany nie spieszył się wcale. Stanął na drodze i laską roztrząsał wióry od trumny, wyrzucone na znak, że w tym domu jest trup. Po chwili zażył tabaki, zadzwonił donośnie w wielką granatową chustkę do nosa i posunął naprzód, a za nim żona, spuściwszy głowę i błyskając od czasu do czasu z podełba na gromadę, jakgdyby badając dokładność i szczerość oznak uszanowania, oddawanych jej i mężowi.

Deputowany nie pozdrawial nikogo, nie witał się z nikim, nie uważał na postawę zgromadzonych, wszedł do chaty w czapce, bąknąwszy:

— Chwalany! — odkrył głowę dopiero nad trumną.

— Na wieki! — mruknęły głosy.

On zaś stojąc w nogach trumny, sapnął głęboko na znak wzruszenia, spędził muchy z czoła ruchem, który mógł być wzięty za przeżegnanie się, kiwnął głową, patrząc w nieboszczkę — po chwiii przeszedł w głowy trupa, zadumał się, kiwnął głową, sapnął znowu i obrócił się do Skiby. Wdowiec miał już zwilżoną twarz i wąsy, nie trzymał się prosto na nogach i co chwilę przecierał oczy.

— A panie Podolcu! Pombóg wam to wynagrodzi, żeście się nie zbarali opatrzyć nieboszczki, — mówił ściskając w obu rękach wilgotną dłoń deputowanego i zniżając się mu do kolan.

— Pombóg dał nam takie reglama w zakonie, — rzekł Podolec, odchrząknąwszy, żeby umarłych odwidzić, a cysarz Franc szał pichotą za jednym tragarzem. To i ja przyszał na pogrzeb, a i moja także, choć ta ma w chałupie różne klinikajty do roboty — zwieczajnie, jak koło chałupy.

— Ha! niech wam ta Poniezus wynadgrodzi z wysoczyńkiego nieba, żeście ta nie pogardzili — mówił Skiba, rozczulony zaszczytem i wódką. — A możebyście się tak napili... jedne... po starym obyczaju?... hę? Święte to były obyczaje, co to nasi ojce jich sie trzymali, więc to i my ta stare przykazanie obserbujmy. Panie deputowany, do was!

Nalał cynową kwaterkę, wypił, splunął, i napełniwszy ją migiem, podał Podolcowi, mówiąc płaczliwie:

— A ta nieboszczyńka ni może ju wypić ani puchwatyrka... już ona nic nie mówi, ino ręce ma złożone, giembę zapartą i do Pana Jezusa poziera... oho! już i pary z ni nie puści! To my się za to napijma, kiedy się ta jeszcze palentamy po ty grzyszny ziemi... Za ji duszyczkę... Zdrowie!

Ale Podolec się żachnął:

— Co nie idzie, to nie idzie, — tak mówił zawsze cysarz Franc, i dobrze mu było na świecie. Nihdy nie piół przy trupie, ino szał do kantyny, jak se chciał chrobaki zalać w żołędziu. To i ja piół nie bede przy ty święty ji pamięci.

— A! już mi tego nie zrobicie; a! żebym nie wiedzieć co miał robić, to się musicie napić ze mną! Wszyćkie samsiady, krewne i znajome i z dalsza i z bliższa piły ze mną, a wy byście gardzili! Ha! mój somsiedzie najlepszy! ha nasz ojcze! nasz deputowany! tego mi ju nie zrobicie!

Oczy mu poczerwieniały, na strzyżonych wąsach osiadła rosa, a kiedy wymowy zabrakło, błagał go oczyma. Wreszcie z pijacką determinacyą zawołał:

— A jak tak, to niech bedzie i tak! O joj! czemu ni ma być tak! Mam tu flaszczyne gorzaliny, to ją stłukę i gorzałkę wyleje — wy nie chcecie pić, to i nicht nie bedzie piół. Nie wam, to i nikomu. O joj! czemu nie?

Chwycił zza pieca flaszę graniastą, przynajmniej trzylitrową, i zamierzył się rzucić o ziemię. Ale prędszy niż błyska-

wica deputowany wyrwał mu ją z rąk. Zapewne obfitość treści usposobiła go inaczej, bo zmięknął i zaczął łagodnie.

— Ależ sąsiedzie! kumie! nie o to idzie, żeby nie pić, ino o to, co idzie, a co nie idzie. Bo to ono nihdy nie trza pić przy umarłym. To ta jakby my sie radowali, że umar, a Poniezus nie kazał tak. Bo ja to wszyckie befele i reglama Pana Jezusa znam i co stoi w dastamyncie i czego ni ma, co to i ksiądz lepi nie potrafi.

— Be! toż to kużdemu wiadomkiem, — mruknęły głosy z kątów izby.

— Ta! choć ta ono wy uczony, i z książki umicie, i przepraszać tak rekuratnie, że to wielgiego trza kaznodzieje, żeby w to utrafiół — rzekł Skiba — ale wy ta mną nie pogardzicie, biedaczkiem, sierotą... tu wzniósł ręce do góry: — Pombóg wam to wynagrodzi z wysoczyńkiego nieba!

Opuścił głowę i umilkł, ocierając wąsy rękawem, a Podolec tymczasem pieścił miłosnem spojrzeniem i uściskiem wielką graniastówkę.

— Wiecie co? — przemówił — chodźma chieba do sieni i żeby ji duszyczke janieli wzieni.

Podolcowa uśmiechnęła się z zadowolenia, słysząc ten rym mężowski, a już całkiem pokraśniała, kiedy ludzie po kątach zaczęli szeptać do siebie,

— Jakie to układy ma nasz deputowany!

— Ho ho! co to za głowa!

— I taki przy umarłym nie chciał pić!

Bo ino proste ludziska tak robią, głupie ludziska, przez żadnego rychteru w głowie.

— Tać to prawda, że tak jakby my sie cieszyli z tego, że umarła.

— A bo co to z głupiem narodem gadać!

Podolcowa udawała, że nie słyszy, ale choć zajęta rozmową, chciwem uchem łowiła te słodkie słowa i połykała je wdzięcznie, jak specyały.

Nagle jakiś drzemiący w kącie człowiek wrzasnął:

— Z cysarzem gadał!

— Prawda! z cysarzem gadał, powtórzyli inni.

— Pańskie skasował.

— Tak je! pańskie skasował — powtórzyły echa.

— Ej! to cysarz skasował, wtrącił ktoś nieśmiało.

— Be! cysarz; ale z czyi porady, jak nie z jego?

— Juści, że z jego, nie z czyi inkszy.

— Cóż to, cysarz ni ma swoi głowy, cy co?

Pytanie było nieco za trudne, więc milczenie zaległo izbę. Wszelako niedługo urlopnik jeden, widoczny po białym „kabacie“ z mosiężnemi guzikami, znalazł odpowiedź.

— Abo to cysarz może wszyćko widzieć, co się w jego kraju dzieje, cy co? Abo to jego kraj je taki, jak moje, abo wasze mizeractwo, co to wy se obejdziecie cy miedzą, cy brózdą, cy drógą? A taki tak jeszcze wam złodziej szkode zrobi, udrze co, wypasie, abo i zabierze co w nocy — i tak go nie dopilnujecie. A cysarz? Co on dobra ma, to żeby całe życie jeździół i co noc w inkszych dobrach nocował, toby ich wszyćkich nie objechał i za sto lat.

Wyciągnęły się głowy ku stojącemu pod piecem mówcy, i wnet rozmowa zeszła na opisywanie cesarskich dostatków. Jedni mrużyli oczy i z miną świętoszków połykali ślinę, inni wzdychali, lub dziwili się mówiąc: — Mocny Boże! jedna osoba i tylo ma dobrów. Wszakże jeden starzec, który był aż na Kalwaryi za Przemyślem i widział wsi i ludzi nie mało, rzekł pełen niedowierzania:

— Ba! kiedy wszędzie ludzie były biedne i pod obuchem! To jakby to cysarz o tem nie wiedział.

— Ej! bo wy sie na tem nie rozumiecie — mówił urlopnik. — To pany cyganiły a mataczyły, że wszędzie je dobro, a żadnego człowieka nie dopuściły

do cysarza, ino go pilnowały wszędzie. Przecie cysarz Franciszek to sie za dziada przebierał, abo za żyda i chodziół po kraju.

— I patrzcie — mówił filozof, stary Czeszyk — za tyle dobrów cysarz ni mógł sie prawdy dowiedzieć, hej hej!

— Bajno! Jaż Podolec dostał sie do cysarza. Już ta pany są i śpekulanty, a on jich het oszwabiół i był jeszcze większy śpekulant.

Zaczem oburzenie na „panów“ i politowanie nad smutnym losem monarchy wzmagało się. I tak rozmawiali, stojąc biali jak stado gołębi, pod czarnemi ścianami dymnej chaty. Przez małe okienko, o uszkodzonych i zbrukanych szybach, wpadał żółty słup światła słonecznego wprost na głowę nieboszczki. Leżała Skibowa w białym czepcu, w koszuli i fartuchu z surowego płótna, z rękami złożonemi na piersiach. Twarz wyżółkła i pomarszczona, w obramieniu szpakowatych włosów i desek sosnowych, nabierała w blasku słonecznym barw roztopionego wosku. Oczy zapadły w głąb, tylko z pod prawej niedomkniętej powieki przeświecał połysk lodowatej źrenicy.

Trumna spoczywała na dwu poprzecznych ławach, pod któremi leżała na niezamiatanem klepisku równa żytna słoma, jaką się podściela trupom. Wieko wsparte o ścianę wydawało się białe. Na niem krzyż, niezgrabnie węglem naczerniony, poglądał złowrogo na obecnych. W izbie czarnej, jakgdyby szmelcowanej przez dym, w otoczeniu białych płótnianek mężczyzn i białych chust kobiet, w żółtym blasku słońca, po którym igrały ozłocone pyłki kurzu, ciało wyglądało dziwnie ponuro i strasznie. Płomyk lampki w głowach żółkniał i błękitniał na przemiany, trzaskając i skwiercząc. Duszno było w chacie; woń topniejącego wosku i płonącego tłuszczu obciążała atmosferę i robiła ją ckliwą i nieznośną.

Powoli ludzie wysuwali się do sieni, gdzie Skiba już po raz setny ściskał Podolca i powtarzał: „Pombóg wam to wynagrodzi z wysoczyńkiego nieba“ i zawracał oczyma, i wznosił rękę, i kręcił głową. A Podolec żegnał się nabożnie, oblizywał się, pił i dopowiadał;

— Żeby ta duszyczka wysłużyła się jak najprędzy u Pana Jezusa! Zdrowie kumie!

— A niech ta i wam da Poniezus jak najlepi, co se ino umyślicie. Pijcie zdrowi!

Wychylono. Podolec zaproponował:

— Jeszcze jeden.

— Jeszcze dwa.

Znowu wypito, i znowu Podolec przemówił:

— Źle samemu na świecie. Co dobre, parą chodzi.

— Pijcie zdrowi!

— A jeszcze jeden? Boh w Trojci probuwaje, jak mówią Rusiny.

— A niech wam ta Poniezus da tyle w dziesięcioro.

— A wasze zdrowie kumie? Tażeście ostali wdowiec i sierota niby ten ułymny, abo jaki krypel, co to je przez ręki abo przez nogi.

— Oj! święte wasze słowiczeńka. Już ta nicht taki głowy z układem ni ma, jak wy, panie de-do-du-da-pętowany.

Ślinił się chłop, ocierał rękawem wąsy i oczy, a język mu już kołkiem stawał.

— A wasze dzieci? — mówił nieprzebrany w pomysłach Podolec. Taż ta nieboraczątka ostały przez matki, te biedne sierotki, pęczuszki, chrobaczki, niby jakie ciele, co go to odsadzili i ono je przez kapeczki mleka.

— Oj to to! — krzyknął Skiba i obrócił pijane oczy dokoła — sierotyńki moje, parobki jedyne, dziewki mizerne; oj loboga, loboga, co ja poczne z wami? I ryknął przeraźliwie.

Wszyscy stali w milczeniu, szanując boleść tak usprawiedliwioną, a wdowiec patrzył w koło iskrzącem, choć błędnem okiem, aż dojrzał za progiem wyrostka, w brudnej koszuli, rozchłestanej od wierzchu, przez którą przeglądał brzuch obwisły.

— Tomek! jucho sobacza! — krzyknął — a pudziesz tu! Chyć pana Po-

dolca za rękę, pana de... do... da... pana krzesnanka, za tykie śliczne słowa, a unor mu oddej! Ty psia skóro bycza!

Przyszedł malec, jak dziki zwierz do klatki, ucałował tłustą rękę Podolca, otworzył usta, włożył w nie palce i w tej postawie pozostał, poglądając wytrzeszczonemi oczyma to na ojca to na deputowanego.

— U mnie — krzyczał Skiba — dobre słowo piniądze warta. Co to piniądze? Więcyj niż piniądze, niż złoto, niśrybło!

Bił się w piersi i patrzył w koło wyzywająco. Ale Podolec dalej poglądał na flaszkę zakochanym wzrokiem.

— A wasza biedna chudobyńka? — mówił — chto ją bedzie doglądał, a glańcował, a štrajchował, kiedy nieboszcząteczka nima? Żeby sie wam chudoba wiedła kumie!

— Pijcie zdrowi!

— Do was, somsiedzie!

— I do was.

— Siła kropel, tylo fortuny.

— Niech ta i wam Pombóg da, co se ino umyślicie.

— Jeszcze jedne do wszyćkich somsiadów, co tu są.

— Jeszcze jednę.

— Żeby wam sie żytko rodziło i pszeniczka i jęczmień. Ze snopka korzec.

— Dej Boże i wam. Jeszcze jednę!

— Nie zawadzi! Niech wam sady zarodzą.

— I wam.

— I wam — powtarzali kolejno sąsiedzi. Każdy pił, wstrząsał się, spluwał i ocierał usta połą płótnianki. Skiba co chwilę zwracał się do Podolca, ten zaś nalewał ostrożnie, nie roniąc ani kropelki, przepijał do każdego, lał w siebie, jak w otchłań, trzymał się prosto i mówił coraz układniej i coraz słodziej.

— Panie kumie — rzekł słaniający się Skiba — ono to raz na kużdego przyjdzie okazyja, jak i na mnie nieboraczeńka (tu przeciągnął rękawem oczy). A jakbyście wy też chcieli przepraszać przy wyprowadzeniu, to by to było, jak trza, jak to nasz krześcijański obyczaj każe... każe, bo każe... przeciek nie psa chowamy, ino świętą duszyczkę krześcijańską. He? co? Pombóg wam to wynagrodzi z wysoczyńkiego nieba...

Ale Podolec udał urażonego. Milczał chwilę, chrząknął, wytarł nos kraciastą granatową chustką z nieodzownem w takich chwilach trąbieniem i począł cedzić:

— Bo to widzicie: maść chłopa łojem, a on śmierdzi gnojem. Że z wami gadam i troszke se porajcuje, to wybyście chcieli mną sie wysługiwać. Oho! Wara! Podolec to nie wy! Chcielibyście mnie wziąść na sznaps! Nic z tego! Co to je sznaps? Nic sznaps. Śmiecie sznaps. A dzie je gield?? Macie gield? Co?

Ponieważ milczenie panowało wkoło, Podolec zaczął łagodniej:

— Jak ja przepraszam przy umarłym, to żaden kaznodzieja mi w to nie utrafi! Niech tu proboszcz przyjdzie, co powie? Hę? Słyszeliście w całym becyrku, czy chto tak przeprasza z układami, jak ja? co? Jagem przepraszał u Szczekota, u Wnęka, u Bochnaka, to jaż nud chytał wszyćkich. To mi i zapłacili, i zboża dali, i pić dali, ho, ho! Trynk! trynk! To ja wam tak powiem: Wszyćko ma swój forszryft. Je taka abo siaka cyna i koniec. Spierać sie nima o co. Idźcie tiutioń kupować i targujcie sie ze żydem, cy wam go da tani. Nie! bo on ma forszryft od tego. A ksiądz? Od pokropienia je cyna, od ornatu je cyna, od kapy je cyna — i on wam nie spuści, ino powie: chcecie tylo dać, to ja wam zrobie pogrzeb nieprzeczwarny — ino pokropie; a chcecie, żebym na cmyntarz szał, to dejcie, siła reglama mówi.

Oszołomiony tą przymówkę, Skiba słuchał z głupkowatym wyrazem twarzy i nie rozumiał nic, nie wiedział, dla czego Podolec się gniewa, i stał jak człowiek, któremu nagle na głowę konew wody wylano. Odgadł tylko myśl przewodnią tego przemówienia, albowiem na wszelkie zaloty do swej kieszeni był bardzo czuły.

— No, to siła chcecie? — zapytał. — Ja dam! Koszulę przedam a dam, abo

to psa chowamy? nie świętą duszyczke krześcijańską?

Podolec wzbraniał się:

— E! to nie la was.

— Co nie la mnie? Jak to nie la mnie? Albo ja co gorszego, niż Szczekot? Ino powiedzcie, siła chcecie. Ja dam, niech co chce bedzie, dam i stype wyprawie, jak sie patrzy, a niech ta ty duszyczce bedzie lecy na tamtym świecie.

— Bo to widzicie — mówił Podolec — na wszyćko je cyna, forszryft. To ja mam taki forszryft od samego cysarza, że mam za przepraszanie brać ryńskiego.

— A ja dam ryńskiego; co nimam dać? Abo to psa chowamy?

Powtarzał ciągle frazes, rozpasał trzos i dobył zeń szmatkę związaną. Zgrabiałemi palcami rozwikłał kilka węzłów, rozwinął kilka szmat, aż się dobrał do jądra zawiniątka i począł drżącemi rękoma przeliczać brudne szóstaki. Liczył długo, spocił się, usiadł na progu, a pieniądze dwoiły mu się i troiły w oczach. Przeliczył nareszcie, ścisnął w garści i patrząc ciekawie Podolcowi w oczy, pytał nieśmiało:

— A dwa cwancygiery bedzie?

— Ani dudka mni. Abo dacie trzy cwancygiery na starą modę, abo ryński na nową.

— Bo ja tu haf ni mam ino pół cwancygiera jeszcze i jednego ósmaka.

— To mało.

— I dwa dutki.

— Mało.

— Jeszcze haf mam jednego ósmaka.

— Co to wy myślicie, że ja żyd, jud, judasz, żebym sie cytolół? Abo mi dejcie ryński, abo nie bede przepraszał.

Poskrobał się wdowiec w głowę, stęknął, dobył innej szmaty z trzosa, wyciągnął kilka nowych, lecz zmiętych i zbrukanych banknotów, zmoczył palec w ustach i oderwał jeden papierek. Był to nowy „ryński śrybny“.

Podolec natychmiast nabrał miny. Wszedł do izby i wkrótce dał się słyszeć głuchy stuk młotka, przybijającego wieko trumny; pisk dzieci, lament kobiet i krzyk wyrostków zerwał się nagle, jak burza i wnet drzwi od izby rozwarły się szeroko, aby przepuścić niosących trumnę. Trzymając czapki w rękach, wsparli ciężar na progu chaty, stuknęli weń trumną na znak pożegnania trzy razy, poczem złożyli ją na wozie, wymoszczonym grochowiną.

Podolec stojąc przy wrotach chaty, zaczął, żegnając się:

— W imie Ojca i Syna i Ducha św. Amen. Pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Matka, rodzicielka Jego.

— Szanowne somsiady, krewne i znajome, dzieci, syny, córki i ty biedny gdowcu! Przyśliście tu wszyjscy na ostatnią usługę tego ziemskiego padołu, chtórą ją robicie, ta jak Poniezus kazał i wszyjscy Święci, ty święty ji pamięci Rejinie. Płaczecie... i ty gdowcu płaczesz. Oj płaczcie, płaczcie, łzami sie zalewajcie, skruche se do serca bierzcie i nauke wielgą i kajajcie sie, boście grzyśni.

Była to starowna gospodynia i somsiadka. Pracowała cięgiem od świtu do nocy, a i w nocy ślęczała przy ożdżarku, to przy chudobie, to w studole i w kumorze i w oborze i na polu. A co sie nastarała, żyto w czasie wyżąć, pszeniczkę sprzątnąć, krowom trawe przynieść, cieliczkę przysadzić i na pańskie pószczać. A wiela przyrobiła nowego, wiela sie dochowała: kurek i jajek i cielątek i przysadzków, a z tego była i swoja wygoda i zawdy świeży dudek. A czyi to głowy rozum był prosiaczka przychować i zabić na gody, abo na mięsopust?

Ona tem wszyćkiem deręgowała.

A czyś ty, biedny gdowcu i sieroto, spatrzał biedy przy ni? Miałeś chleb i do chleba, i pradło białe jedno na drugie, i chwałabogu ci było. A wy dziateczki, sierotyńki frasobliwe! Umarła wam wasza matka, co was i żywiła i odziewała i o wiano sie starała. Płaczcie, bo już sie wam nie wróci. Oho! już po ni! Już ona wam koszulek nie wypierze, chleba z masłem nie da, jagódki nie urwie, ani głowy nie rozczesze. Płaczcie wszyćkie somsiady, kumy i kumeczki, bracia i siostry, siostrzeńce i bratanki, i wy wszyjscy, siła

was tu je, krewne, znajome i przyjaciele! —

Tu lament, jak na dane hasło, wybuchnął w gromadzie, a sam mówca, poddawszy się wrażeniu, ocierał łzy, grube jak groch, wielką, ciemno - granatową w kraty chustką od tabaki.

— Ona słyszy tam w trumnie, ino mówić nie może. Język ma zdrętwiały i usta zaparte. Ona gada do was:

Tu głos, monotonny dotąd, podniósł wyżej:

— „Oto ja ide na męki i wieczne potępienie, bom grzyszna, bo my wszyjscy grzyśni. Tam mnie czeka ogień wieczny i kara wielga. Przepraszam was za wszyćko, com tu złego zrobiła. Przepraszam i ciebie mój myżu, izem cie kiedy nie posłuchała, abo marne słówko ci rzykła, i was, moje somsiady i kumy i krewne i znajome, isim wam wypasła, abo szkode zrobiła, abo kury biła, abo sady obtrzęsła, abo jakie złe słowo powiedziała. Przebaczajcie mi! przebaczajcie!“

Szlochanie, przyciszone uwagą, zerwało się jak zawierucha i buchnęło jękiem okropnym. A mówca, wstrzymawszy się chwilę, tak rzecz dalej ciągnął:

— „Już idę do Pana Jezusa na sąd jego święty. Nie zapuminajcie o mnie, dejcie na msze świętą, ochfiarujcie jamużne dziadom, bo mnie kara straszna czeka.

Siedemdziesiąt grzmotów zagrzmi, siedemdziesiąt pieronów bedzie biło, święty Michał zatrąbi na trąbie trzy razy, od wschodu słonka trzy razy i od zachodu trzy razy i od południa i od północy trzy razy — a duszyczki wstaną ze ziemi i pójdą na sąd Boży. Pombóg siędzie na zydlu złotym, źli pójdą na lewą stronę, a dobrzy na prawą. Tam bedzie i płacz i wisk i zgrzytanie zębów. Ojciec rozejdzie sie ze synem, matka z córką, siostra z bratem, mąż ze żoną, żona z myżem, krewni od krewnych, znajomi od znajomych, somsiady od somsiadów — a Poniezus bedzie sądziół“.

Gdy Podolec się wstrzymał, zawodzenie buchnęło znowu: „ujujuj!“ „olobo-ga“, „najsłodszy panie Jezusieńku“ odezwało się zewsząd. Mróz przeszedł po kościach obecnym, szczególniej na wiadomość o tylu grzmotach i piorunach, mających odezwać się razem. Mówca stopniował wrażenie.

— „Bedzie wtędy lament wielgi i płacz nieznośny. Dziecko bedzie wołać na ojca: „Czemuś ty mnie ojcze przykarantności nie dawał, do kościoła nie posyłał, inoś mi tak przepuszczał, żem sie bikowało, ojca, matki nie słuchało, na starszych rękę podnosiło?“ A córka bedzie wołać na matke: „Matko, matko! wielgą ja pokute cierpie przez twoje niechcenie. Czemuś mnie pacierza nie uczyła, ojcu bić nie dała, jak pasa rozpasywał?“ A matka bedzie wołać na syna: „Synu! ja ciebie wychowała, piersiami wykarmiła, majątek ostawiła. Daj mi choć krople wody, bo strasznie mi sie pić chce. Tobie je chwałabogu, masz wszyćkiego lusztykiem, jesz, pijesz i używasz, a matka twoja w ogniu sie smaży. Jedna kropelka wody, to wielgie pokrzepienie w tych ogniach czyścowych“. A bogacz bedzie wołał: „Oj! czemu ja używał, sieroty i gdowy krzywdziół, z ludzki krzywdy żył, dziesięcine oszukował, postów nie obserbował, księdzu na msze żałował, dziadów szczuł psami, a teraz wieczne potępienie tu cierpię. Zlituj sie synu dziedzicu! Dej na kościoły, na ubogie gdowy i sieroty te ludzką krzywdę, com z ni żył“.

Znowu przerwał. odsapnął, otarł pot z czoła, ale nikt nie śmiał drgnąć, tak wszyscy byli przybici zgrozą i przerażeniem.

— „Wszyćkie duszyczki zwrócą sie do Pana Jezusa: „Panie Jezu! poślij nas jeszcze raz na ziemie, będziemy wiedziały. jak trza żyć“. Ale Poniezus jim powie: „Ruszajcie przeklęci na ogień wieczny“. Siedemdziesiąt siedem grzmotów zagrzmi, siedemdziesiąt siedem pieronów bedzie biło, święty Michał zatrąbi na wszyćkie sztyry strony świata. Wtedy piekło sie przewróci, dusze sie wysypią i polecą na bezedne piekło. Jedna dusza se złamie rękę, druga nogę, trzecia głowę rozbije

czwartej się kości rozlecą, piąta se skóre zedrze i polecą na bezedne piekło“.

Jako muzyk biegły, który ujął swój temperament w kluby i wytrzymał pauzy mimo niecierpliwości smyczka, tak Podolec czekał i trzymał zgromadzenie w naprężeniu, aby tem silniej werznąć w nie pamięć swoich słow;

— „Na takie męki ja idę, na taki sąd sie wybieram. Dziękuję wam, wszyćkie krewne, znajome i przyjaciele, żeście ta przyśli na ostatnią usługę tego ziemskiego padołu. Przebaczajcie mi wszyjscy, bo ja ide na straszne męki. Nie zapominajcie o mnie, nie zapierajcie sie, pacież mówcie, jałmużne dawajcie“. — Tak mówi do nas ta duszyczka, jakby jeszcze mówić mogła. Odchodzi od was i ostawia wam pełne kumory, nie próżne obory, chleb i do chleba, i czego ino potrzeba. Nie żałujcie na biednych i na kościoły, dawajcie z pola i z chałupy i ze stodoły, żeby sie ta duszyczka wysłużyła i w niebie była, choć za tylo lat, siła liści na drzewie, siła piasku nad wodą, siła wody w morzu, siła gwiazd na niebie, siła ludzi na ziemi. Amyn.

Płacz już ścichnął; ludzie przeciągali swe członki, jak gdyby znużeni pracą uciążliwą i ocierali rękawami oczy. Skiba z odkrytą głową siadł na wóz przed trumną i krzyknął: wio! Dzieci uczepiły się półdrabków, aby w ten sposób matkę odprowadzić do grobu, Podolec zaintonował:

Już idę do grobu smutnego, ciemnego,

i ruszono przez wieś do kościoła. Kurz powstał na drodze, wiatr rozwiewał włosy pobożnych, którzy biegli spiesznie za wozem, śpiewając z głębi piersi, otuleni w tuman pyłu. Na zakręcie kalwakata znikła między chatami — jeszcze słychać było klekot rozeschniętego wozu i wrzaskliwy śpiew, ale po chwili i to ucichło. W opuszczonej i otwartej chacie została tylko słoma na ziemi, po której igrało światło słoneczne, w kącie przewrócona lampka i na przyzbie czarny pies, zwinięty w kłębek.

* * *

Po pogrzebie zeszli się zarówno goście zaproszeni, jak i nieproszeni do karczmy. Rozsiedli się w izbie głównej wzdłuż odrapanych ścian za stołami niezwykłej długości — niektórzy stojąc popijali lub rozmawiali, skupiwszy się gromadkami. Za stołem w środku siedział Skiba, prawie nieprzytomny, otoczony dziećmi i krewnymi — tuż przy szynkwasie zajął miejsce Podolec. Rozmowa się nie kleiła, bo jedni byli jeszcze na czczo, inni już zbyt pijani. Jakiś godownik przyniósł z sobą chleb czarny, krajał po kromce, nacierał czosnkiem, posypywał solą i jadł nadzwyczaj systematycznie — zadzielał też i innych, którzy go naśladowali co do joty. Ale kiedy pod jedną ścianą zaczęło się głośne mielenie chleba, obok Podolca zaczęto od czasu do czasu posyłać lotne słowa, próbując rozwiązać języki. Podziwiano więc deputowanego wbrew przysłowiu, że nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie. Uwolniony niedawno od pańszczyzny, lud otoczył swego mniemanego wybawcę niezwykłą czcią. Dociskano się, żeby mu pomódz w robotach polnych za darmo; przy rewizyach za złodziejstwami, które się wtenczas codziennie trafiały, omijano z szacunkiem jego dom — gdzie tylko się pokazał, pytano, chcąc mu zrobić przyjemność, o jego wizytę u cesarza.

I teraz znalazł się jeden ciekawy, który ośmielony wódką, zapragnął z własnych ust podróżnika usłyszeć opowiadanie. Obchodziło go to tem bardziej, że i on musiał przed trzema niespełna laty złożyć się na wyprawę deputowanego, którego gminy wysłały do Wiednia, aby u stóp tronu złożył skargi i żale ludu na pańszczyznę.

Podolec dzisiaj był dostępny i miły; wódka i spadły z nieba reński usposobiły go czule i wywołały na twarz wyraz zadowolonego wieprza.

— To wyście byli jaż u cysarza, panie deputowany?

— A jakże. W samym burku byłem, jaż we Widniu.

— A daleko to ten Widzień?

— Ho, ho! Sto mil za Przemyślem, a siedemdziesiąt siedem za Lwowem.

-- O loboga! I gadaliście ze samym cysarzem?

— Bajno! Ta jak z wami nieprzymierkiem.

Jakiś odważniejszy, zapewne żołnierz z węgierskiej wojny, wtrącił nieśmiało:

— Kiedy bo to pono cysarz po naszymu nie umi?

— Coby nie umiał? On wszyćkiemi mowami, co ino są na świecie, to tak gada, jak wyuczony. To ju je taki dar od samego Pana Jezusa, żeby cysarz wszyćkim narodom wyrozumiał. Od czego cysarz? Ale ja z nim gadał po miemiecku, żeby nam pany nie rozumiały.

Znowu jeden, nieświadom biegu rzeczy, zapytał:

— To wy umicie szwargietać po miemiecku?

— Jeszcze lepi, niż po naszymu. Bo to ja sługiwał jeszcze pastuchem i pogoniczem u Miemców w Gilarowy*), tom sie tam z małego wdrożół i tagem sie wyrychtował, że mnie żaden Miemiec nie chyci, choćby zakałki na mnie szukał.

— Hej, hej! co to znaczy głowa! — mówił chłop, uszczęśliwiony łaskawością Podolca — to wyście se ta dopiero u Pana Jezusa łaski zapopadli, ze wam dał takie układy w głowie. A jak wy se z panami dali radę, kiedy powiadają, że pany do cysarza nie puszczą?

— Coby nie puściły? — żachnął się deputowany. — Jagem wzion po miemiecku szwargietać, to pany jaż sie za głowy brały, tak jim sie to dziwno wydało, i myślały, że jaki obcy, co do cysarza idzie i la tego mnie puściły.

— Aha! to może la tego z inkszych becyrków deputowane do cysarza nie doszły, że po miemiecku nie umiały?

— Juści, że la tego.

Więc piersi prawych Ubieszan wezbrały słuszną dumą. Wszak z pomiędzy tylu gmin, które deputowanych wysyłały, im jednym dano było, że ich wybraniec doszedł do celu. Jedyny ich wybór padł na człowieka, który dorósł zadaniu. Poczęły się więc szepty i mruki, parami lub co najwyżej trójkami — a widomym znakiem tego, że w każdej gromadce o ważnych gadano rzeczach, było kiwanie głów, głuche: hej, hej, mocny Boże! i tem podobne wyrażenia uczuć. Jeden Skiba opowiadania nie słuchał i teraz wrzasnął, aż szyby zadźwięczały:

— Szaja psiakrew, wódki!

Poczem zwracając się do dzieci, monologował:

— Ty, psia skóro bycza, ty!... A niech ta!...

Reszta gromady, zgorszona tem niewytłumaczonem postępowaniem, otoczyła tem ściślej deputowanego — z sąsiednich ław ludzie się zbliżyli i zaglądając ponad głowy siedzących, łowili uchem nieocenione słowa. Interlokutor aż się zarumienił, że jemu przypadło w udziele brać Podolca na pytki, i ciągnął;

— No! i jak was tam cysarz przyjon?

— Ba ta jakby? — mówił deputowany z miną człowieka, któremu takie drobnostki, jak pobyt u cesarza, są chlebem codziennym. — Ide ja se tam do burku, a tam strażników moc i wojsko do okoluteńka, jaż to mnie sitarki przeszły. A wszyscy to tak grają i strzylają, że jaż łuzgot. A ja tak ide i ide, nicht mnie ta nie zarywał, bo myśleli, że to jaki swój, kiedy tak odważnie sadzi do cysarza. Jażem przyszał do cymbry, dzie je cysarz. Tagem otworzół, czapkem zdjon i pod kolana go chyciółem, bo to przecie cysarz i uszanowanie trza wiedzieć, jakie mu dać.

— A co cysarz robiół?

— Ba! siedział na ławie, plecami do dźwierzy, taj pozierał we złoty śpigiel na oknie i golół sie.

— Golół sie!...

— Bajno! golół sie!... Razirmeser miał ze złota...

— A pieknie tam u cysarza?

— Ta pewnie, że nie tak jak u was,

---

*) Giedlarowa, wieś obok Leżajska. Część gruntów tej gminy zajęta jest przez kolonię niemiecką Gillershof.

abo choćby i u mnie w chałupie. Co tam u cysarza dobrów je, to i napozierać sie ni można i w ślepiach sie jaż mieni. A wszyćko szczyre złoto.

— Szczyre złoto!

— Na ścianach świątki złote, pod ścianami ławy złote, a wszyćko przykryte pulankowemi płachtami, żeby sie nie walało.

— A pocóż ta jemu tylo złota? Jedna osoba! Żeby to tak mnie dał choć gwoździk ze ściany, abo noge od ławki...

— No to i co byście zrobili? — pytał Dudek, zły, że przerywają opowiadanie, tak słuchane i tak ciekawe.

— Ba, kupiółbym se nasz dwór — odparł niezmieszany, chcąc dowcipem zatrzeć niedobre wrażenie.

— No i cóżbyście we dworze robili? zapytał Podolec z politowaniem.

— Ta co? Dobrzebym jad, piół, drogi tiution kurzół, nic bym nie robiół. Kazałbym se do pokoju przynieść równy żytnianki jaż pod po powałe i leżałbym bez caly dzień.

Zaczem różne się posypały żarciki. Jedni szydzili z niewybrednego gustu mówcy, inni opowiadali, coby robili, gdyby zostali „panami“. Tymczasem Podolec, który przez ciągłe powtarzanie nauczył się już swego opowiadania na pamięć, zagniewany, że mu przeszkodzono w deklamacyi, przerwał wynurzenia wzajemne i rzekł:

— Mówicie, po co cysarzowi tyle złota? Ba, jakby można było poznać, że to je cysarz?

Argument był silny, więc wszyscy umilkli i natężyli uszy, a Dudek zapytał:

— I co wam cysarz powiedział?

— Ta coby? Jak mnie ino uźrał, tak pojada: „Wigiec Podolec“, co to niby znaczy: jak sio macie Podolec?

— To was poznał? pytano z różnych stron.

— Ba jakże? Was toby ta żadnego nie poznał, ale mnie to zaraniuteńki poznał!

— Hej, hej! mocny Boże! powtarzano w koło, zazdroszcząc szczęśliwcowi.

— Tak potem zaraz gada — ino to wszyćko po miemiecku: „To wy“ powiada „z Ubieszyna?“ „A z Ubieszyna najaśniejsza munarcho“. „I co tam?“ powiada „dali pańszczyzne robicie?“ „Ta robima panie cysarzu“. „Sakra“ powiada „krucyfiks, a co mnie tu te pany piszą, że już pańszczyzny nima“. I tak sie wam zmarkociół, że jaż strach. Potem sie poźrał na mnie i powiedział, ale wam tak strasznie, że jażem sie zląk: „Ja tam“ powiada „dam znać, żeby mi to w ty chwilo to wszyćko het do imienia było skasowane“ powiada. „Ta ja tu je przysłany“ mówie „żebym o to prosiół“. Ale on mi gadać nie dał, ino powiada: „Nie potrzebujecie“ powiada „o nic prosić, bo ja — pada — sam wiem, co moim ludziom potrza“ powiada. Tak ja mu sie znów do kolan skłoniół i chce wyjść, a on powiada: „Zaczkajcie“ pada, „bo wy z drogi, to możebyście co zjedli?“ „Tać ja ta nie o głodzie“ mówię mu, „bom se wyszał po śniadaniu i chleba se kucek wzionem, masło mam“, powiadam, „w przylipce, a ta i zakrzętów ze mną ni ma co wiela robić, żeby sie ta“ mówie, „najaśniejsza munarcha fatygowała“. I tagem sie wzion spraszać, bo to jak to u takiego pana jeść, co to i usieść bym przy nim nie śmiałował. A on do mnie ostro, że to je niby nie unor, jak on każe, żeby go nie słuchać. Tagem sie zląk, żeby mnie do heresztu nie kazał zamknąć za nieposłuch, bo to je niesubordynacyja wielga cysarza nie posłuchać.. Taj powiadam: „co tam łaska wasza, najaśniejsza munarcho, to mi ta dejcie, co Poniezus dał“, A on poszał do halkierza i woła: „Cysarzowo! cysarzowo! a chodź no tu. Ugotuj ta jaśnicy, bo tu“ powiada „deputowany przyszał do mnie jaż z Ubieszyna, toby ta“ powiada „i zełknął co“. A cysarzowa wyszła, taka śliczniutka, jak obrazik jaki — jaż mi sie w oczach mieniło. I przyniesła mi jaśnicy na złotym talerzu i łyżke mi złotą dała — a chlebuś to tam taki bielusieńki, jak wapno. Tagem se podjad, a potemem sie przeżegnał, bo to u takich panów, to trza wiedzieć, jak Boga pochwalić i za ten

brzuch strawy. A cysarz już wyrychtował pismo i pieczęć z krajcem przybiół — bo to ino cysarzowi wolno mieć krajc na pieczątce. Inksze pany to mają jakiesi kryski i psy abo koty, a cysarz ma krzyżyk.

Toście widziały chłopy i to pismo i tę pieczęć, co to jagem tu przynies, to pańskie ustało.

— Ta coby my nie pamiętali? — mówiono w koło — bedzie dwa roki i niedziel kila, jak pańskie zginęło, to se dobrze szatramy.

I tak po raz zapewne setny opowiadał Podolec swoje przewagi, a spragniona ludność, dumna ze swego współobywatela, nigdy się go dosyć nasłuchać nie mogła. Kiedy się ta uczta duchowa skończyła, każdy chwytał jakiś okruch specyału i unosił go z sobą. Ten, gdyby był na miejscu deputowanego, byłby poprosił cesarza o setkę, tamten znowu o nóż albo łyżkę, skoro były ze złota, ów byłby został przy cesarzu, aby mu „buty pucować“. Dziwiono się również Podolcowi, że wróciwszy z tak zaszczytnej podróży, chodzi pieszo i „nosa nie zadziera“, bo ten by już odtąd kazał się nosić „na chordakach“, tamten nawracałby bydło z konia. Jeden Skiba krzywo patrzył na deputowanego, dawał pić najbliższym siebie i chwalił się buńczucznym pogrzebem, jaki żonie sprawił. Powtarzał co chwilę:

— A niechta! Ty psia skóro bycza! Żebym tak nie uważał!... Tu go czułość zebrała i zaczął płakać:

— Zmarło sie biedaczce, zmarło. Fik! i już ji ni ma!... I my pomrzemy... tak! tak!

— Oj tak! tak, powtórzył sąsiad.

— Kumie! napijma sie! Szaja! Szaja psiakrew! ty żydzie! wódki! jak mówie: wódki, to wódki! rozumiesz?

Żyd uwinął się w lot, Skiba opowiadał, jak był u kościelnego i zamawiał podzwonne. Krzyczał piskliwie, bił pięścią w stół, a głowa spadała mu na ramiona lub na piersi, albo biła w ścianę, niby dynia na sznurku:

— Zwoń, psiakrew! a zwoń, jaż ciebie i ją dyabli wiezną!

Uśmiechnął się głupkowato i kłócił się z kościelnym, którego nie było w karczmie.

— Trza piniędzy? dobrze. Abo ja ni mam, cy co? Zdjonem krzos oto! tak — odpasał trzos — dobyłem piniądze — dobył je — i łup! mu w ślepie! — rzucił garść pieniędzy na stół. — Zwoń, psiakrew! a zwoń, jaż ciebie i ją dyabli wiezną!

Zaczął zbierać rozsypane pieniądze, ale cienka moneta nie dała się podjąć grubymi palcami, więc zmiótł je na dłoń jak śmiecie i ścisnąwszy w garści znowu krzyczał:

— Trza piniędzy? dobrze! Zwoń a zwoń, psiakrew, jaż ciebie i ją dyabli wiezną! I, łup mu w pysk!

Ale teraz pieniądze rozsypały się po stole i po ziemi. Pijany chłop rychło je zgarnął ze stołu, poczem wszedł pod stół i zaczął szukać pod nogami siedzących. Zgarnywał, przeklinał, rozciągnął się na podłodze jak długi, próbował pełznąć za miedziakiem, ale głowa mu się zachwiała, nosem uderzył o podłogę, jeszcze krzyknął:

— Trza piniędzy? bierz! A zwoń... a zwoń... a!... psiakrew!... i zasnął pod ławą.

Na jego miejscu rozparła się wygodnie stara Wichta Gajowa, którą tylko krótki, siwy Zalot oddzielał od Podolca. Gajowej bardzo było przedtem niewygodnie, gdyż mając zwyczaj spluwać co chwilę za siebie, nie mogła tego uczynić ani razu, ściśniona przez dwu chłopów. Obecnie, gdy jeden się usunął, uczyniła zadość swojej potrzebie, wytarła palcem usta, szczególniej w kącikach i dalej unosiła się nad mową pogrzebną Podolca:

— Siedemdziesiąt, pada, grzmotów zagrzmi, siedemdziesiąt, pada, (Panie Jezusie ochraniaj, żebym w złą godzinę nie wynurzyła naprzeciwko) pieronów bedzie biło...

— A kiedy to? — spytał Zalot — cy przed sądem, cy po sądzie?

— Widzi mi sie, że po sądzie.

— Ale! Ja se dobrze miarkuje i tagem to wykarkulował, że po sądzie bedzie jaż siedemdziesiąt i siedem.

— Ale! co gadacie? — sprzeczała się baba.

— Ja wam gadam, Zalot wam gada, że tak.

— Nieprawda?

— Prawda!

— Załóżmy sie.

— A no! załóżmy sie!

Więc kłótnia powstała zawzięta; kilku się do niej wmieszało, jedni biorąc stronę chłopa, drudzy baby. Wszyscy w tych teologicznych wątpliwościach poglądali skosem na Podolca; była to bowiem jedyna wyrocznia nieomylna, zdolna jednem słowem uchylić niepewność; — ale deputowany w nieprzystojne, karczemne gwary mieszać się nie raczył, zasunął grube powieki na oczy, wsparł tył głowy o ścianę i tak pozostał zadumany, czy śpiący.

Kiedy ci się tak kłócili, sąsiednia gromadka rozpamiętywała niedawną chwilę, w której Podolec z Wiednia powrócił i przyniósł pismo, że pańszczyzna zniesiona. Zdumiewano się nad złą wolą „panów“, którzy drwiąc z tego aktu, pędzili ludzi do roboty, i żałowano, że w roku czterdziestym szóstym tylko na czterdzieści ośm godzin było pozwolenie, aby panów bić. Przypomniano sobie opór, stawiany dworowi, i biedę, kiedy wojsko przyszło po „zakucyi“ do Ubieszyna, do Tryńczy, do Dębna itd. Podolec już się wybierał po raz wtóry do Wiednia, aż tu nagle, we dwa miesiące po jego powrocie, „przyleciało jakosi w maju“ z Wiednia, że pańszczyzna zniesiona. Radowano się więc, że tak Wiedeń „chycił“ panów za zanadrze.

W samym kącie niestary chłop w „kabacie“ wojskowym wołał do syna może dwunastoletniego:

— Jonek! Jonek! ty moneta przeczysta! ty drobna litera! ty dziedzic mój! chodź tu! napij sie wódki żałobny!

Przysunął się wyrostek, napił z ojcowskiego kieliszka, skrzywił się, splunął i dostał dłonią w łeb od ojca:

— Ty na to nie pluj! bo ty nie wiesz, co dobre.

A kiedy chłopak się odsunął, ojciec znowu wołał:

— Chodź tu! moneto moja! dziedzicu! chodź tu! Chodź tu, psia krew, masz wódki żałobny!

Znowu chłopiec się przysunął, znowu napił i znowu wziął placka w łeb. I ten manewr powtarzał się kilka razy.

Za drugim stołem siedziało dwoje staruchów, małżonków. On ręce wziął za siebie i oparty grzbietem drzemał, ona pięści i łokcie ułożyła na stole, na pięściach wsparła brodę i drzemała. Długo trwało to spanie, aż obudził się stary, wyjął prawą rękę z poza siebie, przetarł oczy i krzyknął:

— Franka!

— A co? wrzasnęła, zrywając się ze snu, przerażona małżonka.

— A wiesz ty, jak owce kują?

— A bo to owce kują?

— A kują.

— A jak?

— A tak: Sztyrech chłopów bierze owce i przewraca do góry nogami i tak ją trzymają. A pótem do kużdy nogi przyłoży się podkówkę i przybija gwoździkami.

Przeciek owca nima kopyt ino ratki.

— No to co? To ta są takie podkówki študerne, co mają gwóźdź rozłupany, po wierzchu przykręci i przyklepie na dwie strony tak, żeby z ratek nie spadło.

— To ją to musi boleć?

Ha! cóż robić? musi cierpieć.

— O lobożyńka.

I znowu baba ustawiła na stole obie pięści, wsparła na nich brodę i usnęła. Ta rozmowa była jedyną, jaką prowadzili, od kilku lat małżonkowie w przerwach między spaniem, drzemiący zawzięcie w chałupie, w karczmie i kościele.

Włódarz dworski wszedł do izby i wstydliwem okiem wodził dokoła. Ośmie-

lono go wkrótce i zapytano, czy przychodzi na wódkę, czy po interesie?

— Te! i wódki sie napije, i jenteres by ta był, ino co nie bardzo śmiałuję.

— To powiedzcie! — wołano dokoła.

— Te! żeby ta wójt byli, albo podwójci, tobym ta prędzy powiedział.

Wójta nima, wójt na weselu — ozwała się z pod pieca jakaś kobieta niestara, ubrana nader przyzwoicie — ja tutajki na nich czekam. Wesele pewnikiem do karczmy przyjedzie, to zaczekajcie i wy włódarzu.

— A wy tu czego czekacie, Prasołowa?

Kobieta nagle dostała ataku wymowy, bo zerwała się i zaczęła recytować, jak z pisma:

A by jich ciężka choroba zadusiła, by jich nagłe nieszczęście trafiło, by sie nie dojedli, za moje krzywdę, za moje pracę; by jich porozsadzało...

— Kogo? spytał włódarz ze zgrozą.

— Ba, złodziejów! Okradło mnie ty nocy...

Tu zaczęła płakać i, ocierając łzy, mówiła z szlochaniem:

— I żupan ślubny, i korale, com miała od mamuni... za sto śrybła bym jich nie dała... Mój miał go cosik ino ze dwa razy na sobie do kościoła bez zimę, i spodnic dwie sukiennych, jedna czerwona, druga zielona... i koszul pulankowych sztyry, i dwie chustki do zaodziewania... a!... moja praca, moja krwawica! I sadło nam wzieny jeszcze nie napoczęte i żyta pumacek... Że ja sie też głupia nie pohadała. Nie szłam rano do kumory, a tam kłódka przekręcona — dopierom sie teraz poszatrała — a co ja też biedniuteńka poczne tera na świecie?

— A dzie są wasz? — pytał włódarz.

Ta chodzi dokoła obeścia i śladów poziera, ale bo ta co obaczy? To musiały przyść jeszcze przed rosą — a jak my sie popamiętali, het po ranu, to ju obeschło. A żeby jich nieszczęście potkało, żeby jich nagła śmierć wytłukła, żeby jich siarczyste pioruny wytrzaskały.

Mróz przeszedł po wszystkich na to najstraszniejsze z przekleństw; ocknął się deputowany i ozwał się surowo:

— Nie publikuj, kobieto, nie wydziwiaj, nie szkaluj, nie rób szkandalu, żeby się to na ciebie nie obróciło, co z przeklętego pyska wypuścisz.

Podobały się ogólnie rozsądne słowa mówcy, kobieta się zmitygowała, a włódarz znowu zapytał:

— Piniądze-ście mieli?

— Ta było pięćdziesiąt śrybła, i to psiekrwie zabrały, a żeby...

Ale Podolec przerwał:

— Ej! chieba jeszcze coś brakowało do pięćziątki?

— A wy skąd wiecie? — zagadnął włódarz.

Zaczerwienił się Podolec i krzyknął:

— Ty mnie za słowa nie łap, pański podlizajku, żydowski parobku! Ja se tak prawie, żeby Prasołowa nie przeklinała.

Prasołowa tymczasem odrzekła zdumiona.

— Ta ino putora cwancygiera brakowało.

— A widzisz! — rzekł tryumfująco deputowany — nie przyczyniaj, bo cały sąd na nic. Bo isiś ty straciła pięćdziesiąt, to złodzieje, co ukradły czterdzieści dziewięć papierków i putora cwancygiera, nie ukradły u ciebie, ino dzieś indzi. Pamiętaj-że to.

Do smaku wszystkim poszła ta roztropna nauka Podolca. Przypominali różne wypadki, kiedy sędzia odebranych złodziejom pieniędzy nie kazał oddawać poszkodowanemu, który dla okrągłości przyczynił sobie choć „siajny grajcar“. Z tego rozmowa zeszła na trafiające się prawie codziennie kradzieże w Ubieszynie i okolicy i na bezkarność niewyśledzonych dotąd złodziei, którzy od kilku lat trudnią się nader czynnie swojem przedsiębiorstwem. Daremnie rozstawiono warty gminne, daremnie czuwano po domach i psy czujne trzymano, — jakaś ręka niewi-

działna wyłamywała skoble i kłódki, i zabierała, co się nadarzyło.

Podczas tej rozmowy nagle dał się słyszeć turkot wozów i tentent kopyt końskich. Zadudliły skrzypce, zżymnęły się basy, cymbały brzęknęły, zakwilił klarynet i wesele z powrotem od ślubu spadło na karczmę. Wszyscy obecni stłoczyli się do okien, lub wyszli przed ganek, aby zobaczyć przybywających. Przodem galopowało dwunastu swatów parami, w błękitnych żupanach, w kapuzach baranich, na dwa łokcie wysokich, z harapami rzemiennymi w prawicy. Naczelny swat, Małek, miał w cholewie długą tykę, która ozdobiona u góry czerwoną chustką, sterczała mu nad głową wysoko i zastępowała chorągiewkę.

Za swatami daleko pędził wóz, wysłany grochowiną, na nim stała panna młoda w błękitnym żupanie z czerwoną podszewką, z wiankiem na rozpuszczonych włosach; dokoła niej siedziały druchny i starościny, a w kielni czterech muzykantów. Za wozem konno pan młody z drużbą, obaj w błękitnych żupanach, obaj w kapuzach baranich, obaj przewiązani pasami materyalnemi — tylko panu młodemu powiewała z wiatrem biała chustka, końcem za pas wetknięta. W tyle inne wozy, pełne gości weselnych, śpiewających krzykliwie, pędziły cwałem.

Przednik swatów, zbliżywszy się przed ganek, poprawił kapuzę na głowie, kropnął konia harapem, podał się wprzód tak, że głowa razem z nakryciem ułożyła się na końskiej grzywie, skrzywił nogę tak, że tyka przyjęła poziome położenie, niby dzida do ataku złożona — a podjezdek wyciągnął się jak długi, dał susa i wpadł z jeźdźcem do sieni, potem przez otwarte drzwi do izby szynkownej, gdzie na środku wstrzymał się jak wryty.

Szaja wyskoczył zza pieca, trzymając w ręku ogromny dzban piwa. Taki poczęstunek należy się wedle starego zwyczaju pierwszemu swatowi.

Tymczasem inni już poumieszczali swoje konie na karczemnym dziedzińcu, wyprowadzono wierzchowca z izby, weszła panna młoda przy dźwięku muzyki otoczona druchnami i starościnami. Muzykanci pobiegli zająć miejsce pod oknem, jak każe roztropność. Wesele bowiem kończy się zwykle bijatyką, a muzykanci uciekają wtenczas przez okno, ratując instrumenta. Obecni rozeszli się po kątach, lub wtłaczając ze dworu twarze przez okno, przypatrywali się gościom i tańcom, które się zaczęły.

A kiedy tutaj tak się bawią, w alkierzu naprzeciw drzwi, aby mieć widok na to, co się dzieje w izbie, usiadł za stołem wójt między dwoma posłusznikami, z których jeden ciągle rękawem płótnianki nos sobie ucierał. Zaczęły się sądy.

Stanęła do rozprawy stara, brzydka kobieta, pomarszczona, jak suszona gruszka — w głębi zaś każdej fałdy widać było cień, niby osad ziemi. Ta skarżyła na chłopa, grubego jak niedźwiedź, z ogromnemi barami, ogromną łapą i ogromną głową, z której wyglądały małe oczka, niby nasienne zagłębienia na kartoflu.

Kobieta mówiła, raz po raz nienawistnie poglądając na olbrzyma:

— Przenajświętszy trybularzu! Panie wójcie! Ja je biedna gdowa i sierota, a ten psiskórnik, com go jeszcze małym najduchem zapamiętała, powiedział mi: „ty stara paprzyco, ty hadro!“ Co ja za hadra? Jaka ja hadra? On sam je hader. Abo paprzyca? On se poszyderuje ze stary, on nie wie, jakie uszanowanie trza dać staremu, ino pysk roztwiera, jak gromadzkie wrota. A pyskalisko ha! Upraszam ja też przenajświętszy trybularz, żeby go ukarali, żeby wiedział, jaki ukłon ma dać komu. To je obraza unoru.

Wójt zwrócił się z zapytaniem do olbrzyma, który stał, nic prawie nie rozumiejąc z tego, co się działo:

— Kumie Wójtyna! powiedzieliście Kurczykowy: „ty stara paprzyco i ty hadro?“

— Ba, ta powiedziałem — odparł Wojtyna, skrobiąc się po płowej, jak len, czuprynie.

— Szaja! — krzyknął wójt — dwie kwarty wódki! Jedna la mnie, a jedna la posłuszników. A wy, Bek (tu zwrócił się do posłusznika, siedzącego po prawicy) polecicie do kuma Wojtyny i przyniesiecie jaki fant la żyda. Co bądź: kożuch nie kożuch, siekiera nie siekiera. Jak se kum wykupią, to bedzie obsztrofunek. A tera, kumie! legajcie na ławie, dostaniecie pięć kijów za obraze unoru.

— Pombóg wam to wynagrodzi — mówiła Kurczykowa, płomieniejąc z radości — tageście panie wójcie rozsądzili, że i sam Salamun lepiby nie potrafiół.

Ale tu wmieszał się do rozprawy przednik Małek, cięty i bitny chłop:

— A czemu ty tak powiedział Kurczykowy? — pytał Wojtyny.

— Ba, bo ona mnie nazwała bałą.

— Nieprawda! — wrzasnęła Kurczykowa.

— Ty, Małek. ty sie do rozprawy nie mieszaj! — rzekł Podolec.

— A czemu ja sie ni mam mieszać, jak wójt nie pytają, ino wierzą, chto jim co powie?

— Bo ja ci nie każę — mówił Podolec, kontent z dotychczasowego wyroku, bo nienawidził Wojtyny.

— A wy co mi macie do rozkazywania?

— Co? — wrzasnął deputowany. — Ej! ja ci mówię, ty sie ze mną nie zarywaj, bo popamiętasz, po czemu łokieć maślanki!

— O wa! co mi to za puryc!

— Kuszuj! — wrzasnął spieniony i wściekły Podolec.

— A kuszuj i ty! — krzyknął Małek.

Poskoczyli do siebie z pięściami, ale tłum ich rozdzielił. Podolec usiadł w kącie, siniejąc i czerwieniejąc na przemiany, a Małek poszedł do izby pić i tańczyć.

Jakoż muzyka piszczała, kręciły się pary, tupała młodzież, kurz wzbił się w izbie, a w tym zgiełku przeraźliwym, złożonym z kwilenia wiejskiej muzyki i z bicia obcasów w podłogę, odzywało się od czasu do czasu wrzaskliwe: ho-hop!

Wójt patrzył na tańce, a zarazem myślał, jak tu postąpić w tak zawikłanej sprawie. Kurczykowa była jego ciotką, Wojtyna kumem — kogo ukarać? Prawda, że Wojtyna czasami mocno „nienamulny“, ale... Tymczasem Bek przyniósł już kożuch, zabrany jako fant. Oddano go natychmiast żydowi za wódkę, której cena stanowiła grzywnę.

Zanim tę sprawę skończono, Prasołowa po raz czwarty już przystępowała do wójta, prosząc o sprawiedliwość i wyrzekając na złodziei, z nieutulonym płaczem. Wójt jej nie słuchał, skrobał się w głowę, nie wiedząc, co robić z poprzednią sprawą. Ale fant był już wzięty, grzywna zapłacona, więc lepiej się mu zdało nie zmieniać wyroku, zwłaszcza, że przyznanie się do omyłki ubliżałoby jego powadze. Zaczem otarł usta z wódki i rzekł:

— Kumie, legajcie na ławie.

Zmiarkował Wojtyna, o co chodzi, więc zaczął prosić:

— A panie wójcie! a kumaszku mój złoty! Wybyście ni mieli przeciek sumienia bić swojego kuma. Przecieście dziecko u mnie trzymali. Przecieście kum.

Wójt poskrobał się w głowę:

— Chieba sie pogodzicie, to ino sztrof zapłacicie, a kijów nie dostaniecie,

Ale baba przerwała:

— A mój złoty wójcie! a sędzio sprawiedliwy! Żeby mi te karczme pełne cwancygierów dawał, to ja sie z nim nie zgodze.

Wójt znowu zaczął szukać palcami w czuprynie rozumu i rzekł:

— Ha! to ni ma rady, ino trza legać.

Lecz Wojtyna prosił dalej. Zniecierpliwiło to deputowanego, więc krzyknął:

— Bek! Wlazło!... nima was? Nie złapicie go za kołnierz i o ławe z nim?

Przyskoczyli posłusznicy, chwycili Wojtynę za kołnierz i już go przywlekli do ławy, wystawionej na środek alkierza. Zobaczył to jednak tańczący Małek, porzucił danserkę w środku izby i wpadł do alkierza, wołając:

— Wojtyna! aboś to nie worlepnik! Chto tu ma prawo cie bić? Niech cie do

regimentu skarzą! A nie trzaśniesz Beka w pysk, Wlazła w pysk, a nie kopniesz ławy! Co to, ni masz siły?

Wszystkie polecenia „kamrata“ spełnił Wojtyna z podziwienia godną akuratnością. Rozkrzyżował się i wnet, jak dojrzałe gruszki z potrząśniętego drzewa, odpadł od niego Wlazło, wrzasnąwszy przeraźliwie i trzymając się za twarz, odpadł Bek i poszedł wypluwać z ust krew przez okno; ława zaś odskoczyła w kąt, gdzie wsparłszy się o ścianę, stanęła jak wieko trumny. Małek ciągnął dalej:

— Baba z tobo zaczyna, a ty bedziesz brał kije! Psia krew! urząd gminny. Dwóch w jedny putłonce chodzi i w jeden rękaw nos wycierają, a do gospodarzów i worlepników bedą sie brały! Chodź tu hulać i niech chto spróbuje palcem cie uciąć!

Poszli tańczyć do izby, gdzie Wojtyna, nabrawszy otuchy, zaśpiewał przed muzyką:

A czyje to czyje
Stado giysi płynie?
A moi Kasieńki,
Moi gospodynie —

i zaczął bić w podłogę tak gwałtownie, że aż sęki z niej wyskakiwały i ściany się trzęsły. Obudzony łoskotem, Skiba wychylił głowę z pod ławy, dostał w czoło obcasem, wrzasnął, ale ten wrzask oddalił tańczące koła z tej strony tak, że świeży wdowiec mógł nareszcie wydostać się na ławę i usiąść. Przez chwilę mrugał oczyma; febra zaczęła go trząść, głowa mu chodziła, jak nowonarodzonemu dziecku — jednakże mimo czkawki mógł jeszcze wymówić, tylko już powolnym, grobowym głosem:

— A zwoń! a zwoń! a zwoń psia krew, jaż ciebie i mnie... jaż mnie i ją... jaż ją i ciebie... wszyscy dyabli wiezną... Ale to wszyscy! — wrzasnął na całe gardło.

Febra go jednak dręczyła, więc po chwili zażądał wódki, wypił pół kwarty i uczuł się znacznie zdrowszym. Ciepło mu się zrobiło, spojrzał bezprzytomnie po tańczących i zapłakał:

— Umarła!... biedaczka moja!... umarła... fik! i już po ni!...

Patrzył dalej i w głowie poczęło mu szumieć. Przed oczyma migały mu jakieś mamidła bez kształtu i wyrazu, zostawiając za sobą białą drogę w powietrzu, zanim przyszły błękitno-czerwone, ciągnące również kolorowe osłony za sobą. Ale Skiba wnet w tym zmieszanym wirze dostrzegł Wojtynę, jak uwijał się z panną młodą tak siarczyście, że jej żupan pod działaniem ruchu otulał ich oboje — i zazdrość mu się zrobiła. Rozejrzał się, otwarł usta i uchem uchwycił dźwięki wiejskiej kapeli wskróś zgiełku, hałasu i tupotania. Wsłuchał się w melodyę: obertasa grają! A jemu już nogi zaczynają skakać i piersi się podnoszą do okrzyku. Już podniósł się z ławki, ale wnet usiadł, szepnąwszy sobie:

— Żałób.

Siedział i patrzył, a oczy mu się śmiały. Z każdym tancerzem biegał do koła izby, każdą tancerkę przyciskał do piersi — a tu nagle muzyka, „uczynek cy ki dyabli?“ stała się tak wyraźna i donośna, jak nigdy przedtem, a tak skoczna, że chłop usiedzieć nie mógł, tylko bił pięścią w ławę, walił obcasami w podłogę, aż dudniło.

— Żałób, żałób — powtarzał sobie. Podnosił się, siadał, oczy mu się śmiały i serce bić zaczęło. Byłby wziął w ramiona pień drzewa i hasałby zapamiętale, ale tak, żeby aż usnął na wieki wśród obrotów. A tymczasem żałoba na niego, tańczyć nie wypada... co ludzie powiedzą?

— Żydzie, wódki! — zawołał, pragnąc tym sposobem rozjaśnić nieco przyćmiony rozum, zastanowić się dojrzale nad swem położeniem i zyskawszy na czasie, jak polityka każe, zadecydować dopiero tak lub owak.

Tymczasem muzykanci, czy się podmówili, czy ich „zły“ opętał, dość, że grają tak ślicznie, jak ich Skiba jeszcze nigdy nie słyszał. Już chyba i w raju „dobitniejszej“ muzyki niema. Poprostu tony

biorą go za barki i poruszają nogami, jak ukryte w ciele sprężyny.

Wypił wódkę i mruknął:

— Te! tać ta ono, co ji ta potem, choćbym i bez całe życie nie chulał? Ona se tam śpi, ręce ma złożone, do Pana Jezusa poziera... a my kiedy ta jeszcze po ty ziemi łazimy, to se ta pochulajmy.

Jakoż wstał z ławy i chwiejącym się krokiem zaszedł popod ścianą do kąta, gdzie sobie wybrał dziewczynę „jak niecółki“, objął ją za szyję, mimo niejakiego oporu, podszedł do kapeli i rzucił w cymbały cwancygiera. Ucięli muzykanci, wstrzymały się pary, Skiba ze swoją tancerką stanął i zaczął, przecierając oczy:

— Ono to na mnie dziś je żałób, a tu wesele i hulają, że jaż hej! To ja je taki: na pół smutny, a na pół wesoły. Zagrajcie mi tak: na pół smutno, a na pół wesoło.

Muzykanci stali zdziwieni, w tancerzach znać było niecierpliwość, bo rozpędzone nogi rwały ich naprzód — aż z tyłu ozwały się głosy:

— Zaśpiewajcie im, to może i zagrać potrafią.

— Kiedy nie umie — odparł Skiba zafrasowany — a zresztą od czego muzyki, żeby nie wiedziały, jak grać? Zapłaciółem, to mi powinny tak zagrać, jak ja chce!

— Ja wam zaśpiewam, zawołał Małek i stanąwszy przed grajkami, zaczął na nutę pogrzebową:

Wieczne odpoczywanie
Racz ji dać Panie!

poczem na nutę obertasa:

A światłość wiekowista
Niechże ji zaśwista! hop, hop!

Tupnął zapamiętale, aż echo poszło do łóz nadrzecznych, muzycy chwycili ostatnią melodyę i zaczęli: ten smyczkiem drapać po strunach na całą długość ramienia, tamten drążkami biegać po drutach cymbałów, jak gdyby drążki dostały wścieklizny, klarynecista nadął się jak dynia, aż mu oczy krwią zaszły — tłum różnobarwny okręcił się w izbie, jak trąba powietrzna, tuman kurzu wzbił się do góry i otulił płowym obłokiem tańczącą gromadę, a ze środka tego szalejącego wichru dobywał się łoskot tupotania, jak gdyby sto cepów waliło w podłogę. Przyśpieszone głośne oddechy mieszały się z szelestem spódnic i żupanów — co chwila ktoś wykrzykiwał: hop, hop! lub piskliwym głosem wołał: i-ha! Zaledwie kiedy niekiedy kwilenie klarynetu lub pomruk basowy przedarły się przez tę zawieruchę szumu, tupotu i krzyku. Tańcząca gromada wydawała się jednym stukopytnym potworem, który oszalał, kręci się na miejscu, szumi skrzydłami, bije setką kutych nóg w podłogę i krzyczy i wyje. Cała karczma chodziła jak żywa, ściany zdawały się dźwięczne, bo tempo i krzyki; hop, hop! lub i-hu! rozchodziły się po całej wsi.

Wesele szalało, bo już trzeba było iść na spóźniony obiad do rodziców panny młodej.

Ale wójt przerwał uciechę, wezwawszy swatów, urlopników i wogóle całe młodsze pokolenie do alkierza. Siedział przy nim prócz posłuszników Podolec, poglądając z podełba na Prasołowę, która z wypiekami gniewu na twarzy, z nieoschłemi łzami na licach, stała milcząca i zawzięta. Deputowany zimny, sztywny, obojętny, popijał miód dla odmiany i tylko kiedy niekiedy łysnął piekielnym wzrokiem na skarżycielkę.

Naturalnie Małek był pierwszy, który na wezwanie naczelnika gminy się stawił. Za nim szli swatowie w błękitnych żupanach i młodsi gospodarze, nie biorący oficyalnie udziału w weselu, a każdy zgarniał wilgotne włosy w tył głowy, ocierał połą płótnianki czy żupana spoconą twarz i rozpinał koszulę na szyi.

Korzystając z tej chwili, włódarz ośmielił się prosić, żeby wójt zechciał zamówić szczególniej biedniejszych gospodarzy na żniwo do dworu.

— Oho! za darmo już tam nicht nie pójdzie — rzekł Małek.

— Tać ta i pan za darmo nie chce — mówił włódarz.

— No to za co?

— Trzy szóstaki na dzień, na osobe.

— Co? Powiedz panu dziedzicowi, że jak przyjdzie do mnie żąć w jeden dzień, to ja do niego pójde na drugi, na odżyn. Ale za piniądze! Niech se pan piniądze schowa, bedzie jad w zimie.

Mimo tego wystąpienia Małka, wielu się zamówiło, że przyjdą, kiedy się żniwo zacznie.

Wójt, zajęty swemi myślami, nie słuchał tej kontrowersyi, lecz zagaił:

— Znoś ta jakiesi złe sie nalazło i okradło — o — Prasołowę.

— A kiż tam? — zawołano ze wszystkich stron.

— Taż to ju siedemnasta kradzież tego roku — rzekł jeden.

— Od trzech lat nic sie nie wyjawiło — rzekł drugi.

— To jakiesi sztuderne złodzieje — zauważył inny.

— Kara Boska! — westchnęło kilku.

Milczenie zapanowało ogólne. Przerwał je deputowany, mówiąc z przekąsem:

— Bo tak trzęsiecie! Jak rewidować, to rewidować, to bym nie ino chałupy, ale i pola i krzaki przetrząs! A jakby nic nie było jeszcze wyniesione na insze wsi, abo do miasta, tobym nalaz.

Ale Małek obraził się przymówką:

— Ba! pewnie, że źle trzęsą, kiedy nihdy do was nie zazierają.

— Co? do mnie? do mnie? — wrzasnął Podolec.

— Do was! do was!

Na taki afront deputowany skamieniał. On, dotąd uważany za istotę wyższą nad wójta i radnych, on, któremu ulgi pewne z natury rzeczy się należą, on ma podlegać wszystkim ciężarom na równi z innymi. Zaczerwienił się, zsiniał, porwał się na Małka, potem siadł wyczerpany i mówił spokojnie:

— Ty ze mną nie wojuj, boś ty nie je mój równy!

— Ehe! — odparł Małek z ironią, nabrawszy animuszu przez wódkę — ano! stańcie, obróćcie się plecami, bedziemy sie mierzać, chto większy.

— Stul kusz! — warknął Podolec — cy ja z twoim ojcem świnie pas? cy co?

— Z tatuniem nie mogliście paść, bo tatuś paśli swoje własne bydło w Ubieszynie, a wyście Miemcom paśli w Gilarowy.

— Wójcie — zawołał zrozpaczony deputowany — wieście se tego najducha i zaknyblujcie mu pysk, bo ja nie od tego jezdem, żeby sie z nim swarzyć!

Jakoż wójt odwiódł Małka na stronę i radził po przyjacielsku, aby z deputowanym „nie zarywał“. Lecz Małek już całkiem pozbył się pierwszej lękliwości i nie myślał ustępować. Przed chwilą jeszcze, kiedy się ciął z Podolcem ząb za ząb, drżało w nim serce, bo mu się zdawało, że się „coś strasznego“ stanie. Była to bądź co bądź odwaga niemała. Przed Podolcem wszyscy drżeli, sami nie wiedząc dlaczego. Widząc więc, że nic strasznego się nie dzieje, nabrał otuchy, a nawet zaciął się zrobić mu „publikę, niech fafuły nie zadziera“. Zaczem zwrócił się do młodzieży i zawołał:

— A no chłopcy! trząść za złodziejstwem, ale za okółką, chałupa za chałupą, bez pardynu!

— Ino deputowanego nie naruszajcie, żeby potym jaka bieda sie nie stała — upominał wójt.

— A na złość, piersze do Podolca idziema! — wołał Małek.

— Ej! nie deszkieruj! — mówił naczelnik.

— A no chłopcy! na odwage!

— To se pójdziecie na własne rezyke, bo ja do tego spółką nie jest — rzekł wójt, umywając ręce od wszystkiego.

Ruszyli wszyscy, ciekawi, co się stanie. I w nich serce biło i oni spodziewali się czegoś strasznego. Szli z daleka za Małkiem i pytali w duchu: odważy się, czy się nie odważy? Ej! chyba zawróci z drogi. Co ta z takim zarywać?

Małek szedł naprzód wsią, prosto do chaty Podolca. Ważność przedsięwzięcia otrzeźwiła go i zaczął rozumować, aby zagłuszyć trwogę. Cóż mu właściwie Podolec może zrobić? Zaskarżyć do sądu

gminnego? — temu od Małka zasię, jako od urlopnika. Sądzić go może tylko regiment, a tam Małek się usprawiedliwi. Bo jeżeli Podolec może być wolnym od rewizyi, dlaczegóżby on, Małek, nie miał być od niej wolnym? Alboż się na nim jaka plama dotąd pokazała? Albo wójt? Przecież i temu nikt kradzieży nie zarzuci, a i ten poddaje się rewizyi po to tylko, żeby nikt od niej nie mógł się wyłączać. Do cesarza Podolec nie pójdzie, bo to kosztowałoby go za wiele. Jeszcze za dawną jego podróż wieś jęczy pod długami.

Mimo tego rozumowania bał się coraz więcej, im bardziej się zbliżał ku domostwu deputowanego. Żal mu nawet było, że się na to odważył. Niechby lepiej kto inny zabrał się do dawania Podolcowi lekcyi i moresu. Człowiek zawsze bywa głupi, kiedy się za drugich ujmuje. Po co mu było tego? Mógł żyć spokojnie, dokuczać Podolcowi czasami, ale nie brać się z nim do wojny.

Wszelako cofać się już nie można. Śmialiby się z niego wszyscy. W każdym razie przytrze to trochę rogów Podolcowi. Bo albo ten, opierając się na dotychczasowym przywileju, wypędzi rewidujących od siebie, a wtenczas Małek krzyknie, że się rewizyi lęka, czyli jest złodziejem — albo otworzy przed nimi wszystko, a wtenczas żadna rewizya następna już go nie pominie, czyli, że przynajmniej raz na tydzień przetrzęsą mu chałupę, komorę, stodołę i stajnie. Już to Małka będzie w tem głowa, żeby żadna rzecz nie została na swojem miejscu. I radował się na samą myśl, jak wszystkie stroje niewieście, których wyobrażał sobie przynajmniej dwie czubate skrzynie u Podolca, zostaną co tydzień wywrócone i zmięte. Będzież dopiero „prewatna“ Podolcowa załamywać ręce i przeklinać! A więc: niech będzie co chce!

Z temi słowy wszedł na podwórze Podolca. Chałupa deputowanego naśladowała niezgrabnie dworek szlachecki. Ganek bez podłogi był w środku bielonego budynku, z obu stron sieni izby mieszkalne. Izba główna, czyli kuchnia, była dymna, jak wogóle wszystkie chałupy na wsi, ale miała wrotka słomiane, zamykające dolną połowę otworu drzwi, podczas gdy się paliło, aby nie wpuszczać dołem zimna wtenczas, kiedy dym uchodził górą. Powała i ściany były czarne od dymu i żużli sadzowych, jak długo używany kociołek. Wszelako na wysokość dwu łokci od klepiska dym nie czernił ściany. Pas ten, wylepiony starannie gliną, był upstrzony floresami, malowanemi wapnem. W wyższym rzędzie szły wzory, zrobione przez uderzenie całą otwartą dłonią, umoczoną w wapnie — i te miały nieco podobieństwa do jakichś niesfornych stokroci. Niżej biegły za sobą szeregiem niby kaczki, namalowane przez domorosłego adepta sztuki malarskiej. Te robiło się, umoczywszy w wapnie grzbiet niezaciśniętej pięści. Zarówno to „kwiatkowanie“, jak i wrotka słomiane były zbytkiem, na który mało kto sobie pozwalał. Zostawiano to dla „wielgich kmieciów“.

Gorąco było w chacie, gdy weszli goście niespodziewani. Podolcowa właśnie układała w niecółkach wilgotną bieliznę, posypując każdy szczegół garderoby dokładnie i starannie białym, wierzbowym popiołem, który wówczas zastępował miejsce mydła. Niecółki były już pełne i gospodyni oglądała się tylko za parobkiem, aby jej pomógł włożyć je do rozgrzanego pieca, który potem zalepiano gliną na dobę.

Właśnie wszedł Małek, przy nim ogromny Wojtyna, za nimi Prasołowa, a dopiero po chwili Podolec i reszta gromady. Małek zaczął:

— Chwalany!

— Na wieki, odparła Podolcowa, mierząc przybyszów podejrzliwym wzrokiem.

Małek chrząknął, splunął na bok i otarł usta połą żupana. Wojtyna w też tropy za nim chrząknął, splunął w to samo miejsce i przecierał oczy. Obaj byli onieśmieleni.

— O czem? — spytała Podolcowa.

— Ta... my tu niby przyśli po trzęsieniu — bąknął Małek, a miał ochotę

przeżegnać się. Zarówno godność żony deputowanego, jak i jej dostatek, odebrały mu zupełnie animusz. Ku wielkiemu zdumieniu obaczył drzwi przy piecu, znak, że obok musiała być izdebka. Wydało mu się, że jest w pałacu.

— Po jakim trzęsieniu? — pytała Podolcowa.

— Bo to niby — cedził Małek, przestępując z nogi na nogę — ty nocy okradło... niby... o... Prasołowe.

Gospodyni zrozumiała i skoczyła, jak oparzona.

— To ty do mnie przychodzisz szukać kradzieży? do mnie? A ty psiakrew parobku kasztański! ty gałganie sobaczy! ty... — przerwała, zapłakała się i podjęła dyskurs z nowym fervorem — ty hoczargo! ty szewłogo ty! ty oszywcze parszywy!... A nie pódziesz mi stąd! Jak wiezne pociaska!... pakuj!

Ale Małek na kłótnię skręcił się, jak piskorz w ukropie. Wszystko byłby puścił płazem, tylko wyraz: parszywy, wymagał zemsty. Więc krzyknął:

— Kuszuj złe nasienie! Jakbyś nie była złodziejka, to byś się nie zbarała przed trzęsieniem. Ano! chłopcy, trząść! każdą niteczkę zrewidować!

— Co? ty złodzieju! ty mnie kradzież zarzucasz! — wrzasnęła Podolcowa. — Poczkaj chorobo! W kreminale zgnijesz! chrobaki cie roztoczą we Wiśniczy! Ty sie na mojego porywasz? Ignac! — zawołała na męża — a nie przetrącisz mu kuszy niewyparzonej!

Podolec ocierał tylko pot z czoła wielką ciemno granatową chustką, z której tumanem opadał pył tabaki, i drżący stał za drzwiami. Zaczęła się rewizya. Małek z Wojtyną otwarli skrzynię, napełnioną kobiecym statkiem i zaczęli dobywać spódnicę za spódnicą, chustkę za chustką, oglądając bacznie każdą sztukę i pytając Prasołowej, czy się do czego nie przyzna — poczem rzucali towar na ławę. Trwało to oglądanie może z pół godziny — tyle tam było bogactwa — aż nakoniec dno się pokazało w skrzyni. Nic jednak podejrzanego nie wykryto. Zatem obaj rewidujący chwycili manatki rozrzucone po ławach i wrzucili do skrzyni, jak co padło. Ponieważ zmięte zmieścić się napowrót nie chciało, więc przycisnęli ją wiekiem i usiedli na niem. Podolcowa szalała. Zarówno wściekłość na „publikę“, jak i rozpacz nad zmaltretowanemi chustami, dusiły ją jak zmora.

— No i co? Nalaześ? hę? Ty niewstydniku, ty zawłoko, ty chorobo przeklęta! Już ci dość? co? Czy jeszcze ci co pokazać? Chodź tu! pies, chodź tu! ciuciu na! pudź tu, ty psie parszywy! tu je izdebka, tam je druga skrzynia!

Płakała, targała włosy, drapała sobie twarz, skakała Małkowi do oczu, a ten kontent ze swej sztuki, choć wiedział, że żadnej kradzieży tu nie znajdzie, postanowił wszystko do góry nogami wywrócić. Przeszedł więc do izdebki, która ogrzewana bokiem pieca z kuchni, nie była dymna, lecz wybielona schludnie wapnem, dołem obciągnięta siwą farbką, a tak ładna, że Małek podobnej przez życie nie widział. Dwa łóżka stały, wymoszczone poduszkami aż pod powałę, jak żydowskie bety, a między niemi z drzewa heblowanego komoda.

Małek zabrał się do przetrząsania łóżek i komody, w czem dzielnie pomagał mu Wojtyna, uradowany nad wyraz, że może spełniać tak poważną funkcyę. Podolcowa dalej wyklinała, siadała na łóżkach, nie chcąc dopuścić do przetrząsania, zastawiała sobą komodę — lecz Małek za ręce ją wyrzucał na środek izby i przewracał wszystko. Jako wieprz dziki, kiedy dostanie się na pole, zasadzone kartoflami, ryłem orze grządki, zagryza ziemniaki, nogami depce badyle, a potem wywraca się i tarza po zniszczonej ziemi, tak Małek wywracał wszystko, miął w rękach, zsypywał do skrzyni i własnym ciężarem ugniatał chusty. Podolcowej aż się szczęki trzęsły z rozpaczy i bezsilnej wściekłości. Co chwilę powtarzała:

— A co nalaześ? he? ty gminny parobku! ty chamie śmierdzący! Ty salamunowa głowo! Mądrala! jaki mi tu! Gnój krowi o siedm łutów więcyl waży, niż twój

rozum. I wzion se jeszcze do pomocy takie ciele! tego niedojdę niedorobionego, Wojtynę!

A Małek:

— Wojtyna! a ni masz pięści! nie zatkasz ji rozkłapany giemby! Ty po gminny służbie. Chto tu śmi pyskować na urzędnika?

Więc Wojtyna puścił się za Podolcową, wzniósłszy pięść do góry na kształt kowalskiego młota. Ta jednak nie czekała, lecz uciekła przed chatę, wyzywając piekła i nieba i klnąc, aż się po całej wsi rozlegało.

Tymczasem ukończono już rewizyę po jednej stronie sieni. Załatwiwszy się ze spiżarnią z drugiej strony, Małek chciał wtargnąć do komory, lecz Podolec klucze od niej zgubił. Założono więc drąg za skobel i oderwano go razem z zamkiem. Szczupłe światło, wchodzące przez odemknięte drzwi, rozjaśniło licho wnętrze komory. Widać było tylko ogromne beczki, pełne zboża. Małek do beczek właził, chcąc napaść oczy cudzym dostatkiem, jego towarzysz do innych się gramolił, deptali zboże i rękoma przedzierali się aż do dna. Wojtyna spadł z beczki, jak ciężar bezwładny i głuche dudnienie ozwało się pod jego nogami.

— Hop, hop! — wrzasnął Małek, wyskoczył z beczki i dalej podskakiwać po klepisku, które dudniło coraz wyraźniej.

— Hop, hop! tam coś je! skrytka je pod ziemią.

Nagle deputowany wyskoczył z komory i zaczął uciekać.

— Łapaj! — wrzasnęli rewidujący. Ponieważ ludu zgromadziło się mnóstwo na podwórzu i na drodze, więc bez trudności schwycono dezertera i przyprowadzono do komory za kołnierz i za ramiona. Inni zajęli się Podolcową i trzymając za ręce i w pas, niby oblubienicę do ślubu, przywiedli ją razem z mężem.

— Światła! — zakomenderował Małek.

Przyniesiono smolne szczypy i zaczęto świecić, a Małek wrzeszczał, przyskakując do Podolca:

— Dzie je dziura? Chtórędy chodzisz?

Lecz deputowany milczał, jak zaklęty. Jeszcze raz próbując się wyrwać, zwinął się jak węgórz i targnął się jak szczupak w sieci, lecz silne ramiona ścisnęły go tem potężniej na kształt obcęgów — i stał zamrużywszy oczy, oświecony jak potępieniec czerwonawym płomykiem dymiącej szczypy.

Po czterech ludzi zabrało się do wytaczania beczek ze zbożem do sieni, a kiedy wyprzątnięto całą komorę, pokazały się w rogu zatajone drzwiczki w klepisku. Odemknąć nie było ich można żadnym sposobem. Przyniesiono więc belek, kilka ramion wznosiło go w górę i spuszczając końcem, walono, aż drzwiczki pękły. Na dole w czarnej czeluści pokazał się szczyt drabinki.

Zaczem Małek zszedł po niej, wziąwszy kilka szczyp, za nim poszedł Wojtyna, potem jeszcze dwu innych z młodzieży. Po chwili Małek dźwignął w górę potężny tłomok, zawiązany w płachtę, a tak wielki, że przez otwór piwniczny należało go gwałtem ciągnąć z góry i popychać z dołu. Kiedy go rozwinięto, Prasołowa krzyknęła:

— To moje chusty, loboga!

— Ho hop! — krzyknął Małek — bedzie tam tego więcyj.

Jakoż co chwilę ukazywał się w otworze klepiska tłomok chust, kożuch, żupan — i co chwilę ktoś wołał:

— To moje! co mi zabrało, bedzie ju z puroka.

— A mnie ze dwie nidziele.

Tymczasem coraz to nowe pakunki szły ciągle do góry. Zgromadzeni w komorze wołali do szukających:

— A bierzcie wszyćko! Może ta i mój kożuch bedzie, co mi go wzieno, bedzie dwa roki okładem.

Zapełniono zdobyczą całą komorę, a ciągle jeszcze przybywały nowe. Podolec stał zdrętwiały, nie śmiejąc drgnąć, Podolcowa tamowała oddech, aby tylko nie zwrócić na siebie uwagi, ponieważ wszy-

scy, zajęci rewizyą, patrzyli tylko w otwór.

Wojtyna dźwignął do góry kociołek miedziany, zawiązany z wierzchu szmatą, i zapytał o wójta. Wójt, kiedy zauważył, że rewizya za długo bawi u Podolca, przyszedł na koniec nieśmiało i trafił właśnie na chwilę, w której dobyto z piwnicy chusty Prasołowej. Szedł tu z zamiarem wypędzenia rewidujących i odzyskania łaski deputowanego, ale zastawszy tak piękne gospodarzenie, stanął w kącie cicho, myśląc w duchu: chtoby sie to spodziewał.

— Wójcie — mówił Wojtyna — wieście to przy świadkach, bo tam muszą być piniądze. Nieznośnie ten kociełek ciężki.

I uśmiechnął się głupowato.

Jeszcze przez pewien czas trwały wynosiny kiełbas, połci słoniny, szynek i t. d. W końcu wysunął się Wojtyna, niosąc sadło nakrojone.

— To moje — krzyknęła Prasołowa — po kleszczach poznam.

Po nim wyszedł Małek, niosąc małą skrzynkę. Za nim wysunęli się inni. Już nic nie było pod ziemią. Rozczarowanie zapanowało w części gromady, albowiem większa ich część nie odnalazła swojej zguby. Zapewne rzeczy dawniej skradzione, zostały już sprzedane.

— Wódki! zakomenderował Małek, ocierając pot z czoła. Ktoś dopadł wiśni, fermentujących w okowicie z miodem, i odlał sok w półkwartek. Wszyscy chcieli Małkowi posłużyć, bo nagle wyrósł na bohatera. Wypił smacznie i wrzasnął:

— Związać ich oboje!

Dyby były u wójta daleko, więc chwycono tymczasem postronek i związano jednym końcem ręce Podolcowi, drugim jego żonie, nie szczędząc przy tem kułaków, kopnięć i szyderstw. Ale w deputowanych zamarły głosy, żadne ani pisnęło.

Małek tymczasem otworzył skrzynkę i znalazł w niej pliki papierów; w kącie leżał guzik kanonierski z krzyżem równoramiennym, żółty, ale odymiony nieco.

Zawołano starego Czeszyka, który był w piśmie biegły, aby odczytał papiery. Staruszek z krzywym karkiem włożył na nos okulary i brał papier po papierze w drżące ręce:

— Nic mu wyrozumieć ni moge — mówił — bo to cosik nakryszlane niby po miemiecku. Jakiesi łańcuszki taj tylo. Na dole je napisane: Widzień, i podpisane cysarz. Pieczątka tyż je rekuratnie czarna, krzyż na ni, jak ma być.

— A przyłóżcie no ten guzik — rzekł Małek — do pieczątki, cy to ono nie je pieczątka zrobiona guzikiem?

— Rychtyk — powiedział Czeszyk — pieczątka je od guzika. Patrzcie wójcie i wy sąsiady, dokumentnie przystaje. Tak! i obrączka takutyńka i krzyżyk równy w okółkę, a szyrszy na końcach. Czekajcie, przynieście no mi smolaka.

Przyniesiono łuczywo, starzec nad dymem okopcił guzik, rozłożył papier na kolanach i wycisnął pieczęć nową obok dawnej.

— Pozierajcie sąsiady — ciągnął starzec — o... takutyńka pieczątka jak ta, co tu je. Ani chybi na włosek. No požryjcie sie!

Patrzyli wszyscy kolejno na obie pieczęci, a wielu pytało, która jest świeża, a która dawna, ponieważ obie były takie same. Nie ulegało wątpliwości, że dawna została wyciśnięta guzikiem.

— Hale hale! — zawołał wójt, jakgdyby przypomniawszy sobie coś — taž to je ten sam papier, co nam go deputowany pokazowali, jak przyśli z Widnia, że to niby od samego cysarza je pismo. Ja se dobrze uważam, choć ja ta nie je piśmiennny, bo tu o... widzicie w rogu je żyd na papierze. To ja tego żyda widział, jak ono to pismo było przyniesione. To ten sam, co to ni kaczka, ni jajko, ino tak rozkiestrane, jakby z pióra kapło. Widzi mi sie, żeście wy przy tem byli, jak ja gadał, co mi się nijak widziało, żeby cysarz, co to niby pan je taki gnany we wszyćkich naukach, zrobiół tego żyda.

— A jušci, że pamiętam — odparł posłusznik — to było jakosi, będzie dwa roki i cosik.

— Prawda, prawda — mówili inni, przypominali sobie również — jeszczeście sie pytali, czy to naprawde od samego cysarza.

— Bajno! — mówił wójt — a deputowany sie jeszcze zmarkocili, co to niby im nie wiarujemy, i powiedzieli: To nie widzicie... tego... tego... ino ja to skompanować ni mogę, jak to oni zmyśnie nazwali... to miało znaczyć tylo, co niby krzyżyk... jakże to było? A niechże cie skręci, że to ja se tego nie pamiętam...

— Może krajc? wyrwał się jeden z urlopników.

— Tak, tak, tak! Krajc — powiedział wójt. — Tak, tak, dobrze se przypuminam. To to! I to tak nam powiedzieli. Nie widzicie krajco? A chto to może mieć pieczątke z krajcem? To ino cysarzowi to wolno, a inkszym zasie.

— Tak, tak! — potwierdzili inni, a wójt tymczasem powtarzał sam do siebie: krajc, krajc, jakgdyby chcąc sobie zapamiętać ten wyraz na zawsze.

Tymczasem Czeszyk obracał papier w rękach, aż dopatrzywszy w środku dostępny ustęp, zawołał:

— Słuchajcie no gromada!

Uciszyli się wszyscy, a starzec zażył tabaki, przetarł oczy, osuszył dłonią postrzyżone wąsy i zaczął wygłaszać słówko po słówku, sylabizując naprzód półgłosem do siebie, de, o-do, en, a-na, je, a, eś-jaś, do najaś... itd. do najaśniejszego cysarza Fernata we Widniu. To je niby handrysa — objaśniał starzec — a tu dali je niby suplika.

Zaczkajcie!

I zaczął czytać, jak po grudzie, co następuje:

— „Pochwalony Jezus Chrystus i Matka Jego, Przenajświętsza Panienka, Ubieszyn dnia trzeciego marca roku pańskiego świętego jeden tysiąc osiem setek szterdziestego i piątego, najaśniejsza munarcho, panie cysarzu Fernacie, niby żydy w egipski niewoli, tak nam je bieda, bo nas biją i katują, kucha chleba spokojnie wziąść do giemby nie dadzą, ino holukają, a idź na robotę, a pracuj od świtu do nocy, a we wieczór legaj na ławę i bierz buki, nic sie nie ostoi ani kura, ani dziewka, ino panu dej, a ony łachną i łachną te wilcze gardła nienapchane, to my ciebie prosimy najaśniejsza munarcho, żebyś nas wyswobodziła z tego byczego jarzma, ignacy podolec z ubieszyna. Ament.

— Ono tu je — ciągnął Czeszyk — dokumentnie wszyćko wynurzone, jak trza. I bieda nasza i prośba, jak ma być. Wszyćko rekuratnie i z przykładami, jak wielgi uczony nie potrafi.

– Ba, ba! wołali inni — ono to pismo było we Widniu ta jak wy, abo ja. Przeciek tu oszuśnictwo widać, jak krowę. Sam se prośbe nakryszlał i sam se odpisał niby rezolucya. To ino, żeby nam oczy zaćmielić.

— Ej! dzieżby znoś śmiałował samego cysarza rękę udawać. Taż to je strach i kreminał wielgi. To jaż sitarki łażą po człowieku i włósi zdziera na głowie — oponował nieśmiało Czeszyk, który wogóle dla każdego pisma miał najgłębszy szacunek.

Ale Małek burknął.

— Wam ta siarki chodzą po ciele i włosy stają na głowie, bo sie nie lubicie myć ani czesać. Ale Podolec, co zawsze był wysztafircowany jak w zaloty i kąpał sie jak dziecko w ciepły wodzie na niecółkach, to on ta chieba sie nie strachał. Zresztą zara się dowiema.

Tu rycerz bez trwogi podszedł ku Podolcowi i rzekł surowo:

— Otwórz giembe, jak nie chcesz, żeby my ci ją żelazem podważyli, i powiedz, cy to je podpis cysarski, cy nie? No! ajns... cwaj... draj!

Równo z ostatnim wyrazem dał się słyszeć trzask, niby ktoś kijanką w bagno uderzył, głowa się zachwiała deputowanemu, czapka spadła mu z czupryny, a na prawy policzek wystąpił mu ornament ścienny z jego własnej chaty —

naprzód koloru ciemno-karmazynowego, który powoli nabierał barw fioletowych, aż zsiniał nakoniec, a policzek cały nabrzmiał widocznie. Ale Podolec ust nie otworzył; z przymrużonemi oczyma stał drżący, bezbronny, złamany, z zatłumionym odechem.

Małek czekał chwilę, poczem mówił z pasyą:

Gadaj psiakrew, złe nasienie, bo cie z drugi strony zamaluję. No: ajns... cwaj...

Lecz Podolcowa, nie mogąc wytrzymać, rzuciła się jak osa i wrzasnęła:

— Ty jego, chamski cepaku, nie bij, boś ty nie wart jego buta, tyś niegodzien stąpić na to miejsce, gdzie jego noga chodziła!...

Małek tymczasem wymówił wyraz: draj! rozległ się trzask i wkrótce twarz Podolca stała się dość dokładnie symetryczną. Podolcowa rzuciła się jak lwica i zasłoniła męża, krzycząc:

— A Panie Jezu! ni masz tam jaki cholery na to chamskie ścierwo za to, że śmi bić takiego, jak mój chłop. A ju chieba i w niebie sprawiedliwości nima, że taki gnojarz śmi bić Podolca!

— To niech powie, czyj to je podpis, rzekł Małek.

— A tobie co do tego! ty chamie przeklęty! Cysarz by do takich chamów pisał jak wy! La was to je za wielgi unor, jak mój do was napisze, a wybyście chcieli pisma od samego cysarza! A do wideł, do gnoju, do chlewa, tam je pisanie la was. A wy obmierźluchy, zatraceńce, ośle głowy, świńskie ogony wy! Od cysarza pisma chcą!... A mocny Boże i ty na to pozierasz, jak się chamy ponoszą! La was guzik wojskowy ju powinien być jak mentalik najświętszy, boście chamy! Tak, tak! Mój wiedział, że ino guzik okopcić, to ju bedzie dość la was, bo wy i taką pieczątkę bedziecie całować, jaż se ryjaki powalacie! Do cysarza by za nimi chodziół?... A wy wszyścy nie wartacie, żeby on krok la was zrobiół, choćbyście mu całą wieś złotem zasypali — boście chamy zatracone, a on je kmieć i pan!

Pogłupieli wszyscy na te bezbrzeżne upusty wymowy, które się nagle przerwały. Pierwszy opamiętał się Małek i zawołał:

— A toście słyszeli gromada, jak sie przyznała, że ji chłop podrobiół to pismo. Świadkamiście są. Wójcie! bedziecie wiedzieli, jak sądzić.

— Słyszelimy! — zawołało kilka głosów. Inni milczeli z rozszerzonemi oczyma i otwartemi usty. Trudno im było myśli posprzągać i zebrać. Cały świat wierzeń, z któremi się zżyli, przyzwyczaili i oswoili, runął w jednej chwili. Złodziejstwo Podolca nie dziwiło ich, bo było bardzo „zmyśne i śmieszne“. Ale odebranie wiary w jego pobyt u cesarza, to było dla nich za wiele. Tak przywykli do chlubienia się wobec innych wsi tem, że ich wybraniec był u samego monarchy, że jadł u niego śniadanie, tak sobie pięknie i dokładnie wyobrażali cesarza i jego otoczenie, że im się wierzyć nie chciało w fałszywość tych opowiadań deputowanego.

Podolcowa, usłyszawszy wnioski Małka, rzuciła się naprzód jak wąż, ale w jednej chwili zacięła zęby i umilkła. Znać spostrzegła się, że powiedziała za wiele, więc mimo iż gniew rozsadzał jej piersi, postanowiła milczeć, jak skała.

Wójt zapamiętał sobie wszystkich, którzy słyszeli wyznanie. Wywiązując się z włożonego nań obowiązku sędziowskiego, zagaił rzecz w te słowa:

— Ono mnie sie widzi i tak se to sumuje, że wszyćkie złodziejstwa, jakie się tu robiły, co to ani złodziejów, ani szkody my nie naleźli, to ta ju musi być Podolcowa sprawka. Jak deputowany sie do tego nie widzi, ani czuje, niech mówi. Ale trza dowieść, chto pokrad.

Gromada milczeniem poparła bystrość uwagi, Podolec milczał, a Podolcowa zsiniała z wściekłości i zgrzytnęła zębami.

— A no! — mówił wójt, wznosząc laskę w górę — to ono Podolec nam za-

rzutów nie robi, to to je tylo, jakby sie przyznał i to przy świadkach.

Milczenie wszystkich było aprobatą sylogizmu.

— No to wy, Bek, polecicie chałupa za chałupą po wsi, żeby z każdego numeru choć jedno przyszło do karczmy skuzować, co komu zginęło i żeby rozpoznawali, co swoje. Tymczasem zasądzam Podolca, żeby co czwarta chałupa legał na drodze i na każdem miejscu dostanie dziesięć kijów, jaż do kaczmy zajdziemy. Wy, Wlazło, wieźniecie troche chust ze skrzyni od Podolca na zastaw la żyda.

* * *

Słońce już się zniżało, kiedy goście weselni wrócili do karczmy na tańce. Z młodzieży był mało kto — wszyscy poszli do Podolca, zaledwie trzech swatów i drużba z panem młodym dotrzymali placu. Za to starcy zebrali się licznie. Wszyscy w stroju galowym, z kapuzami baraniemi na głowach mimo skwaru, z fajkami w zębach, wszyscy w niezwykle szerokich pasach o kilku sprzączkach; przy każdem pasie była torebka z krzesiwem i hubką; przy każdym na rzemyku wisiał długi nóż w oprawie rogowej. W obuwiu nie było tej jednostajności, ponieważ obyczaj dozwalał pod tym względem wiele swobody. Byli więc jedni w butach szytych z „prostej“ czarnej skóry, inni w chodakach lub łapciach z kory, a nie brakło i bosych. Stary Wlazło, ojciec posłusznika, przyniósł w chustce buty pasowane z żółtego rzeminia i z obcasami, co wywołało sensacyę. Usiadł na ławie, zaczął jeden po woli wciągać na nogę, co mu szło z widoczną trudnością, a tymczasem inni z zarzuconemi „na opaszki“ płótniankami podawali sobie drugi z rąk do rąk, skubiąc rzemień i powtarzając półgębkiem: „juszna skóra“, „dobitny rzemień“, „to żelazło“, „ho ho! to was ta i w nich pochowają“ „na węgierską modę“, „zazuwne jak skrzynki“ i t. d. Niektórzy dziwili się „przeczwarności“ starego Wlazły, który zawsze uganiał się za nowością i oryginalnością, a nawet, ku publicznemu zgorszeniu, nosił koszulę w zgrzebnych szarawarach, zamiast ją opuszczać po wierzchu, skutkiem czego w dolnej swej połowie był podobny do tureckiego żołnierza. Nazywano go zwykle księdzem Matuszkiem, a to dlatego, że pasąc jednego razu bydło, już jako dorosły człowiek, zapragnął był bawić się w spowiedź z jedną dziewczyną. Nieszczęściem penitentka, zapewne lękając się zasadzki na cnotę, wyrywała się jak mogła, przyczem zapalczywy parobek podarł na niej rantuch. Sprawa oparła się o sędziego dworskiego w Tryńczy, który zawezwawszy parobka, dał mu pięć kijów, mówiąc: „Topra ziewka, że sie nie kciała spofiatać, po ty jeszcze święcenia nie masz. Ja cie dopiero fyśfęcę“. Jakoż po tem pięciokijowem wyświęceniu Mateusz Wlazło został raz na zawsze księdzem Matuszkiem.

Wciągnął nareszcie buty, ale chodzenie w nich szło mu oporem. Tupał co chwilę, aby szerokie obuwie przystosować do nogi, przeszedł się jak chromy wzdłuż i wszerz izby, napił się araku i posunął ku ścianie, pod którą niby stado gęsi siedziały kobiety w białych czepcach, rantuchach i fartuchach. Wybrał najpoważniejszą wiekiem Wichtę Gajową i poprosił do tańca.

— E! to nie la mnie, ja ju stara, dziebym ta hysała, jak młodziak — wzbraniała się kobieta.

— Stara, ale jara — rzekł ksiądz Matuszek i tupnął dla fantazyi. Czy przysłowie, pełne głębokiej myśli, czy też siła tupnięcia przemówiły do jej przekonania, dość, że Gajowa splunęła raz jeszcze, ale ostatecznie i stanowczo za siebie, otarła usta i powstawszy wydłużyła ręce, opierając dłonie na ramionach tancerza. Ksiądz Matuszek również położył dłonie na jej ramionach i tak oddaleni na długość rąk, wyszli drobniutkiem krokiem na środek. Muzykanci skończyli stroić, uszykowały się pary, a stary skrzeczącym głosem zaspiewał, przeciągając ile mu oddech starczył, każdą zgłoskę:

Uważaj Zosiu,
Żeby ja sie nie porosiół,

Jak ja bede łączkę kosiół
Tede, tede, tede, tede!

Zarzępoliły skrzypce przeciągle i melancholijnie, posunął się łańcuch par, patrzących sobie w oczy na odległość, ozwało się powolne szastanie nogami, a gąsienica taneczników, drobiąc kroki, pochylając się w lewo i w prawo, kroczyła sennie przed siebie. Dziwny taniec, raczej spacer z miarowem kołysaniem się par, posuwał się cicho, w towarzystwie drzemiącej muzyki — rzekłbyś, w ziemi niedoli skazańcy wyprawiają sobie jednę z tych zabaw, raczej przedrzeźnianie zabawy, której całym urokiem jest wspólne zebranie się, przy której należy sprawować się cicho, aby nie obudzić dozorcy. Giną już te tańce stare, tańce niedoli, i melodye, drapiące po sercu jak zgrzebło.

Tańczono „starego“.

W drugą parę szedł starosta weselny, który zrównawszy się z muzyką, zanucił na inną melodyę „siudacza“ :

A wczora z wieczora
Szukała kaczora;
Ja szukałem koni
Zaszałem jaż do ni.

Oprócz krążenia do koła izby, pary poczęły obracać się na miejscu, przytupując od czasu do czasu.

W rogu izby siedział w krakowskim stroju Kornafel. Ten jeździł z furgonami księcia Czartoryskiego aż do Puław i do Lublina, pobierając — co z zazdrością opowiadano — od konia dukata na milę. Bywał też i na Węgrzech, odstawiając stamtąd wino dla dworu książęcego. Zwiedził więc świata niemało. Opowiadał też cuda, szczególniej o Puławach, gdzie widział „takie pokoje, co tam nima w nim powały, ino u góry je sadzawka, a w ni ryby; poźrycie w górę, a tam chlup! chlup, pływają se ryby pozłacane i pośrybrzane“. Podobno był nawet i w Krakowie, ale tem się nie chwalił, tylko nie przeczył, kiedy mu to podsuwano. Straciwszy konie i cały zapas pieniężny przed kilkunastu laty, z powodu niegodziwych dróg, osiadł we wsi i gospodarzył. Teraz, zachęcony przykładem przodowników, zakrzesał ognia, schwycił skrę na hubkę, zapalił fajkę i wziąwszy pannę młodą, zaśpiewał na nutę „trambulanki“.

Nima Jasia, nima,
Pojechał do Węgier
Już wnet nie przyjedzie,
Zawadziół o węgieł.

Muzykanci jednak nie „sformowali“, zaczem po pierwszych tonach muzyka zmyliła, a i tanecznicy nie bardzo umieli dostosować się do tej nowości. Wstrzymały się więc pary i muzyka. Uratował wszystko Stach Bechta, „nie wielgie, ale zmyśne chłopiaga“, o którym mówiono, że kiedy się ubierze w kapuzę, „równe pół człowieka je pod głową i równe nad głową“. Ten zaśpiewał na nutę siudacza, adresując do księdza Matuszka:

Ksiyże wikarynie,
Nie rób browandyje,
Tyś je boski piaston
Dej pokój niewiastom.

Puszczono się zamaszyście, tylko wyzwany miał minę poważną, snać układał replikę, kręcąc się w koło.

Szczęściem, nie potrzebował sobie suszyć głowy, bo zaledwie zrobiono kilka kroków, otwarły się drzwi izby i cały tłum rewizyjny wpadł z hukiem i tartasem do karczmy. Małek wbiegł pierwszy, potem weszli Podolec z żoną w asystencyi posłuszników, dzierżących w ręku „nieznośne“ kije“.

Deputatowie byli związani postronkiem, którego środek trzymał podwójci, pędząc ich przed sobą, jak nierogaciznę na jarmark. Podolec był zsiniały, krew uciekła mu z twarzy, na której zostały ślady potu, pomieszane z prochem ulicznym, i wyraz bezgranicznego zgnębienia i wyczerpania. Szedł chromym krokiem, sztywny, nieruchawy, lękając się poruszyć, aby sińców i ran nie drasnąć dotknięciem koszuli. Odzież na nim była zmięta, na całych piersiach, brzuchu i kolanach pełna kurzu i wilgoci, widać że kładł się plackiem po drodze i po murawie.

Szedł jak zbrodniarz, zdjęty z tortur, a przez ten krótki czas musiał wiele wy-

cierpieć, skoro widocznie się podstarzał. Ciało na policzkach, pełne brudu, pofałdowane, opadło mu ku dołowi, a zaokrąglony podbródek potworzył dziwaczne węzły i kłęby, niby nabrzmiałości skrofuliczne. Obok postępowała żona. Brwi czarne zsunęły się ku do dołowi, od nosa ku górze poszła głęboka brózda przez całe czoło, oczy zapadły w głąb i ukrywszy się w cieniu brwi, rzucały tylko jaskrawe połyski, szczęki miała zaciśnięte. Widać było, że zamknęła usta na zawsze. Zbrzydła mocno przez ten czas, ale nabrała wyrazu jakiejś wściekłej furyi, tak strasznie patrzyło jej z oczu, taka potęga wściekłości zastygła w tej kamiennej twarzy.

Wrzawa i zamieszanie zajęły się w karczmie. Przychodnie dźwigali tłómoki chust, kożuchów, kociołek z pieniądzmi i inne znalezione przedmioty. Starce skupili się na uboczu, aby sobie udzielać wzajemnie obserwacyi, jak Podolec „zepsiał i zczezł“, lub jak Podolcowej „paskudnie poziera ze ślepi niby złe, abo jakie wilczysko“. Kobiety cisnęły się do alkierza, oglądać statek zdobyczny. Skrzypek wzniósłszy do góry instrument jak pałkę, wyciągnął szyję jak mógł najdłużej, wspiął się na palcach i patrzył ponad głowy innych przez drzwi do alkierza. Wszystko się tam zebrało. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, patrzyli przez drzwi, a w oknach utworzyły się całe góry ciekawych głów, zbitych jedna przy drugiej i jedne nad drugiemi, niby bukiet makówek, równo związanych.

Jeden cymbalista został w izbie pod oknem, obojętny, brzęczał w struny i niecierpliwił się, że ten nieład trwa tak długo.

Nagle rozerwał się kłąb ludzi, stojących we drzwiach, zrobiła się ulica, przez którą widać było wójta w asystencyi posłuszników za stołem, przed nim stała nieodstępna księga ustaw w postaci graniastej flaszki z okowitą, a z alkierza wypadł Małek, podskakując i wołając: „ho hop! to ci wesele dopiero!“

Śledztwo było ukończone. Z siedmnastu kradzieży pozostały ślady w piwnicy Podolca, świadczące niezbicie, że on je popełnił, a trzydzieści dwie niewyśledzonych należało jemu również przypisać. Zapewne już potrafił wysprzedać się ze zdobyczy. Jego zamożność została wyjaśniona.

Wójt ogłosił wynik badania i rzekł:

Jutro pojedzie deputowany do cyrkułu do Rzeszowa. Wnęk, rychtujcie konie i wóz na jutro, pojedziecie na forszpant.

Małek znowu krzyknął:

— Dzie je muzyka? Żydzie psia krew, wódki!

Tłum wrócił do izby, wyprowadzono obwinionych, muzykanci się zebrali i tańce miały się zacząć. Podwójci przyniósł tymczasem nakrojone sadło Prasołowej w kleszczach i uwiesił je u belka sufitowego w pośrodku izby. Skiba i Wojtyna przywiedli Podolcową i kazali jej uklęknąć i złożyć ręce jak do modlitwy. Uklękła i wzniosła ku sadłu złożone ręce.

Małek wziął pannę młodą, stanął przed muzykantami i zaśpiewał na nutę obertasa:

Hej myślicie kmiecie,
Że mnie wybijecie;
Jak mnie wybijecie,
Marnie wyginiecie.

Zawinął się i z całej siły trzasnął w twarz Podolca, stojącego ze związanymi rękami pod ścianą. Wrzasnęła muzyka, tupnęły podkute trzewiki urlopników, — wrzask, łomot i pisk rozległ się w jednej chwili po całej spokojnej wsi. Rozhukane koła wiły się po izbie, okrążając klęczącą Podolcową, a każdym razem, kiedy wąż skręcony w kółko zbliżał się do Podolca, jedna ręka, niby żądło, wymykała się ku jego twarzy i znowu się chowała.

Nagle Skiba przerwał taniec, wskoczył w środek z harapem, wydartym jakiemuś swatowi z za cholewy i trzepnął nim Podolcową, po rękach, wołając:

— Ręce do góry! Bez całą noc tak musisz pacierz mówić do tego sadła, coś go napoczyna. Wiela razy ręce ci umgleją, tyle razy dostaniesz po łapach!

I znowu przyłączył się do tańczących.

Szał ogarniał godowników. Jak wściekli rzucili się do tańca, jak gdyby spragnieni wiru, hałasu, oszołomienia, — jak gdyby chcieli wszystką swą siłę, całą duszę wyrzucić w tych dzikich podskokach, w tych tupaniach i wykrzykach. Zatrzęsła się karczma w posadach; dzieci wtłoczone w okna od zewnątrz, przyciśnięte do ścian przez drugi szereg ciekawych wyrostków, biły w ziemię nogami i wrzeszczały do aktu: i-ha! Okna były podobne do jaskółczego gniazda, obramionego główkami piskląt, łakomych żeru.

Za plecami dzieci potworzyły się ronda, tutaj chłopców, tam dziewcząt, które wirowały zapamiętale do koła karczmy po trawie, po drodze, po zagonach ugoru. Cała wieś była w karczmie lub pod karczmą. Miarowy tupot, rzempolenie muzyki, okrzyki radosne — wybuchały z karczmy, jak nagły pożar, i szły na pola, na łąki, daleko, aż się obiły o łozy nadrzeczne i wierzbinę graniczną, skąd echem wracały znowu do swego źródła. Zdawałoby się, że w karczmie jest otwór jakiegoś wiatraka piekielnego, i że mocy nieczyste wyprawiają swoje igrzyska.

Cisza robiła się na świecie. Na zachód szarzała jeszcze wieczorna zorza, a od wschodu wystąpił biały księżyc i obudził żaby w jeziorach. Ptaki posnęły w zaroślach — ale wrzask, echami zdwojony, obudził je; zarośla i drzewa i łany zbóż poczęły tupać i rzempolić i krzyczeć: „i-ha!“ Ziemia oszalała, jak ci, którzy ją uprawiali, a łoskot i dzikie okrzyki zamąciły spokój nawet w kryształowych pałacach, gdzie gwiazdy z księżycem dumają.

Jantek z Bugaja.

MOJA MUZA.

Moja muza nie skrzydlata,
By w słoneczne wzlatać stropy,
Lecz po łanach w żniwne lata,
Złotokłośne wiąże snopy...

Moja muza nie bogata,
Na fujarce grywa piosnki,
Dla mej siostry i dla brata,
I rodzinnej mojej wioski.

Mojej muzy czarne dłonie.
By grać w harfy struny złote;
Na fujarce — co mam w łonie,
Wygram błogość, łzy tęsknotę...

Moja muza jest sierota,
Po ojczystych wioskach chodzi,
Gdzie otworzą serca, wrota,
Tam niedolę graniem słodzi.

Moja muza nie aniołem,
Ani jak ci orły ptacy,
Ona z uznojonem czołem
Śpiewa piosnki boju, pracy...

Mojej muzy proste granie,
Nie ulata gdzieś w niebiosy,
Gdzie brać moja, ukochanie...
Przez świtanie... płynie rosy...

Mojej muzy znojne skronie
Nie uwieńczy laur sławy,
Ale kiedyś w braci łonie
Będzie z ich serc pomnik łzawy...

A fujarka z mojej trumny
Znów na nową, w drzewo wrośnie...
Brat mój jasny... wolny... dumny...
Zagra na niej przerozgłośnie...

I zbudzą się ci w siermiędze,
Na przejasne pójdą zorze,
W pełnej chwale i potędze,
Jako wielkie... żywe... morze...

JÓZEF BIAŁYNIA CHOŁODECKI.

Wzajemna pomoc w świecie zwierzęcym.

„W jedności siła“, jest to zasada, której nas uczą praktyczni ludzie od lat dziecięcych, a przecież tak mało trzymamy się jej w naszem życiu. Gdybyśmy przyglądali się bliżej życiu zwierząt, uważanych niesłusznie przez wielu ludzi — jako „stworzenia bezmyślne“, sporo znajdywalibyśmy w nich przykładów „jedności“ i „wzajemnej pomocy“, a więc zalet obcych nieraz człowiekowi. Wzajemnej pomocy udzielają sobie zwierzęta żyjące gromadnie, wzajemnej pomocy udzielają sobie atoli niejednokrotnie zwierzęta różnorodnych rodzajów i gatunków. Znanem jest życie mrówek, które pomagają sobie przy dźwiganiu „ciężarów“, które na wypadek rozrzucenia gniazda przez człowieka lub zwierzę, unoszą do podziemnych kurytarzy martwe i ranione towarzyszki, znanem jest życie pszczół, które gdy opędzający się przed ich żądłem zabije jedną, z tem większą atakują go zaciekłością. Rozpaczny krzyk wrony lub kawki, ściąga ku jej obronie całe zastępy koleżanek. Ciekawem jest zachowanie się stada koni, gdy poczują zbliżającego się wilka. W jednej chwili skupiają się w koło głowami ku środkowi, okalają małe i bezsilne źrebięta i stoją gotowe każde do wierzgania na wypadek zbliżenia się wroga. Najsilniejszy z koni, który niby wódz komenderuje w stadninie, biega i galopuje ustawicznie w okół skupionego stada, a rozwiana grzywa i ogon, buchające ogniem nozdrza jego stwierdzają, iż nie waha się, w poczuciu swej hetmańskiej godności, skoczyć do walki z przeciwnikiem.

Głową i rogami na zewnątrz, skupiają się w gromadę atakowane przez wilki trzody wołów i uderzają na niełącznemi siłami. Pierwszy dziesiątek lat życia swego spędzałem na wsi, gdzie w pobliżu lasów bujały na wypasach potężne stada wołów. Pewnego dnia zbliżył się wilk do takiej trzody, naturalnie nie w zamiarze zawarcia przyjaźni z jednem z pasących się nieco oddzielnie zwierząt. Poczuwszy nieprzyjaciela, skupiły się woły i zwartym szeregiem poszły do ataku. Na czele pogalopował byk o potężnych koronach rogów. Wilk uznał za praktyczne pomknąć co tchu ku leśnej gęstwinie, przy której zatrzymały się też w pościgu woły. Stado pozostało przed lasem, lecz nie z dowódcą. Ten zniknął w pogoni za wilkiem w głębi lasu i nie powrócił więcej do kolegów. Na drugi dzień, rozpoczęli pasterze poszukiwania za zaginionym bykiem. Długo, długo błądzili po lesie, aż oto oczom ich dziwny przedstawił się widok. Przebity na wylot, przygwożdzony potężnymi rogami woła do grubego pnia dębowego, leżał nieżywy, już cuchnący trochę wilk, a byk stał nieruchomie, snać bojąc się cofnąć rogi, by wilk nie odzyskał znowu sił i życia. Oderwano przemocą byka od drzewa, a ten osłabiony legł w jednej chwili na ziemię. Pokrzepiono go wodą, posilono świeżą trawą i dopiero po kilkogodzinnym wypoczynku popędzono na pastwisko.

Lecz wróćmy do rzeczy.

Już w starożytności opisał Eudemus wypadek niezwykłej przyjaźni pomiędzy psem, lwem i niedźwiedziem, wychowanymi od urodzenia przez myśliwego. Długi czas panowała między temi zwierzętami jak najlepsza harmonia, aż pewnego dnia, rozdroczony

żartami i figlami psa, niedźwiedź rozdarł swego słabszego fizycznie towarzysza. Na widok śmierci przyjaciela, wpadł lew w taką wściekłość, iż poszarpał znów na kawałki niedźwiedzia.

Wielki orzeł porwał małą małpkę. W jednej chwili powstało zamięszanie w gromadzie jej koleżanek, które wśród wrzasku i srogich pogróżek zaatakowały orła i chwyciły go w swoje łapy. Zrozumiał drapieżnik niebezpieczeństwo, toż wyrzekł się zdobyczy i co sił rzucił się do ucieczki, a tylko latające w powietrzu pióra, powyrywane z grzbietu i ogona, stwierdziły dowodnie, iż nie tak łatwo okupił swoje wyswobodzenie.

Biada wilkowi, który w lasach Hiszpanii lub Kroacyi zbliżyłby się po smaczną pieczeń do trzody wieprzów. Nieustraszeni właściciele szczeciny, w myśl zasady, jeden za wszystkich a wszyscy za jednego, obrobiliby go tak dzielnie swymi kłami, iż odeszłaby go pewnie wszelka ochota do rozbójniczych wycieczek. Jeśliby nie skorzystał z chwili i nie umknął przed pościgiem wieprzów, pożarłyby go z tym samym apetytem, z jakim on się oblizywał na smaczne ich kąski. Dowiedzioną jest trzeczą, że w lasach gdzie są wypasy wieprzów, nie słychać nigdy o wilkach.

Rakarz Bühler w Aschi, wykarmiał zwykle po kilka psów, z którymi atoli bez litości się obchodził. Jadąc w r. 1870 z Thun do domu, rozgniewał się na małego pieska i począł go niemiłosiernie katować. — Oburzony tem towarzysz udręczonego, wielki pies, rzucił się na Bühlera z całą zajadłością i pomimo jego i jego żony rozpaczliwej obrony, pokaleczył go strasznie. Rakarz w kilka dni później zmarł, acz był w opiece lekarskiej.

W Hamburgu schwytał oprawca pieska i pakował go do wózka, gdy w tem nagle przyjaciel schwytanego, potężny, czarny kocur, rzucił się z całą forsą na oprawcę i tak go poczęstował pazurami, iż tenże porzucił pieska i uciekł czemprędzej z placu boju.

Leśniczy hr. Schliza, w jesieni strzelił do borsuka, który tylko co wylazł ze swej nory. Borsuk zaskomlał rozpacznie, lecz zanim zdołał zbliżyć się do niego myśliwy, wybiegł z legowiska drugi borsuk, pochwycił rannego i wciągnął za sobą do głębiny.

Znaną jest opowieść o kanarku-samczyku, który pielęgnował całe stado piskląt i o gęsi ze złamaną nogą, której nie odstępowały towarzyszki.

Chłopak złapał w Paryżu jaskółkę, przywiązał ją sznureczkiem za nóżkę i trzymał w ten sposób na dachu. Na przeraźliwy lament pojmanej, zleciało się tysiące jaskółek, które fruwając i krążąc w koło więźnia, osłaniały go swemi skrzydełkami. Niebawem wyjaśniło się, co było powodem tych niezwykłych ruchów gromadki ptasząt. Oto pod osłoną skrzydełek, przedziobały one swymi drobnymi dzióbkami sznurek i uwolniły przyjaciółkę, która pomknęła uszczęśliwiona w przestworze. Podobnie wybawiły koleżanki niedawno w Berlinie wronę, zaplątaną przypadkowo w sieć drutów telefonicznych.

Kirkman, słynny myśliwy Natalu, postrzelił bawoła. Zwierzę zwykle ciche i nieme wydało żałosny ryk, a na to hasło pospieszyła cała trzoda ku obronie rannego i zaatakowała Kirkmana. Szczęściem, w pobliżu strzelca, znajdowała się grupka drzew o zwisających nisko konarach — rzucił więc swoją strzelbę i wydrapał się szybko na górę. — Bezradne bawoły powlokły się w dalszą drogę.

Wood opowiada o pewnym przechodniu, który ujrzawszy na ścieżce siedzące dwie łasice, rzucił kamieniem i trafił śmiertelnie jedno z tych zwierząt. W lot wydało drugie niezwykły ostry głos, rzuciło się na atakującego, wydrapało szybko po nogach i usiłowało wgryźć pod szyję. — Na hasło

rozsrożonej łasicy, odezwały się tym samym głosem ukryte w pobliżu koleżanki i pospieszyły jej w sukurs. Napadnięty przechodzień począł rzucać kamienie w swej obronie — musiał atoli zaniechać tego środka, aby mieć wolne ręce do walki z wiszącem mu u szyi zwierzątkiem. Tylko grubemu odzieniu i ciepłej chustce zawdzięczał, iż skończyło się na ranach, jakiemi były pokryte jego ręce, twarz i część szyi. — Odtąd zaklinał się na wszystkie świętości, iż nigdy więcej nie będzie zaczepiał łasic.

Schwytany przez Pallisera, mały, szary niedźwiedź, przywieziony do Europy, zawarł przyjaźń z młodą antylopą i bronił ją od wszelkich nieprzyjaciół. Gdy prowadzono oba zwierzęta ulicą, rzucił się na antylopę potężny buldog, i pomimo krzyku i pałek przewodników, usiłował ją formalnie rozedrzeć. W jednej chwili zerwał się niedźwiedź z smyczy, pochwycił za kark buldoga i rozpoczął zaciętą walkę. Zrazu nie robił niedźwiedź użytku z swych kłów i pazurów, lecz ograniczył się na chwyceniu psa w ramiona i rzuceniu nim o ziemię, gdy atoli buldog, nie wiedząc z kim ma do czynienia, ukąsił przeciwnika, wpadł ten ostatni w taką pasyę, iż omal nie pogruchotał psu kości. Zanim niedźwiedź zdołał użyć swych zębów, udało się buldogowi szczęśliwie wydostać z jego uścisków i umknął co mu sił starczyło z pobojowiska.

W Żulinie obok Stryja, widziałem sam pieska, opiekującego się osieroconemi kaczętami. — Wodził je za sobą, warował na brzegu sadzawki, gdy używały kąpieli, i ogrzewał po wykąpaniu własnemi kudłami, leżąc cierpliwie, dopokąd dobrowolnie nie opuściły swej ciepłej kryjówki. Po wypielęgnowaniu kacząt, przeniósł swoją miłość na małego kociaka, którego na krok nie opuszczał. Gdy idąca do stajni krowa, groziła rozdeptaniem leżącemu na progu kociakowi, skoczył jej pies do ócz i zmusił do odskoczenia od progu, ratując w ten sposób życie swemu wychowankowi.

Wśród strasznych zapasów o byt, wśród krwawej bezustannej walki stworzeń pożerających się nawzajem, jakże pięknym jaśnieją dla ludzi przykładem naprowadzone powyżej wypadki. Drobną ich tylko cząstkę podpatrzy i spostrzega tu i ówdzie człowiek, ale i ta wystarczy, aby stwierdzić dowodnie istnienie pomiędzy zwierzętami wzajemnej pomocy.

Ferdynand Kuraś.

Czem skorupka....

Urodził się w samo rano
Już mu wódki w mleku dano.

Gdy już umiał: „tata“, „mama“,
Służyła mu wódka sama.

Podrósł trochę — już są skutki:
Ciągle krzyczy: „wódki, wódki!“

Stracił ojców, wziął zagrodę —
Wódkę spijał już, jak wodę.

Trza pracować, lecz nieboże,
On bez wódki nic nie może.

Więc wódeczką tak się krzepił,
Aż zagrodę całą przepił.

A gdy już pić nie miał za co,
U haka skończył — ladaco!

SEBASTYAN KLONOWICZ.

MISTRZE WŚRÓD ZWIERZĄT.

Mularza uczy murować jaskółka,
Malarza cudnych floresów [1]) uczą ziółka,
Cieśla się uczy od ptaków, gdy w maju
Budują w gaju.

Pająk uczy prząść, rodząc z siebie włókno,
Z niego pojął knap [2]) osnowę na sukno.
Od niego przywykł tkacz cwelichów [3]) ślicznych,
Wzorów rozlicznych.

Takowy dowcip lichemu zwierzątku
W tak małe ciałko Pan Bóg wlał z początku,
I gospodarstwa uczy nas też zgoła
Mrówka i pszczoła.

To też i szkutnik [4]) przykład bez pochyby [5])
Pojął od pławnej i od wodnej ryby,
Której rzecz własna jest w wodzie przebywać
I po niej pływać.

Więc na kształt ryby wnet szkutę [6]) urobił
I udychtował [7]) i żelazem obił;
Sztaba [8]) miasto łba, a rufa [9]) sprawiona
Miasto ogona.

I miasto skrzeli dla pewniejszej jazdy,
Przy burtach [10]) obu rozsadził pojazdy [11])
Stądże do czołnu [12]), stądże i urosło
Do łodzi wiosło.

A jako ryba wodę głową porze,
Tak szkuta rzekę sztabą rznie i orze,
I dzieli bruzdy na obiedwie stronie,
Jak po zagonie.

A styr [13]) po zadu, tudzież płynie w pogoń,
Jako za rybą wodowładny ogon,
Kieruje szkutą a ona nie błądzi,
Gdy ją styr rządzi.

---

[1]) floresy, linie esowato ozdobne. [2]) sukiennik. [3]) tkanina lniana z podwójnej osnowy. [4]) żeglarz. [5]) niewątpliwie. [6]) rodzaj statku. [7]) umocnić. [8]) przednia część statku. dziób. [9]) tył statku. [10]) bok statku. [11]) miejsce na osadzenie wioseł. [12]) czółno. [13]) ster.

Sta-ry.

Z POD WIEJSKIEJ STRZECHY.

Niedawne to jeszcze czasy — bo starsi pamiętają je jeszcze — jak chłop polski kontent był, gdy uniknął bata ekonoma na pańszczyźnianych robo-czy będzie miał co jeść — bo wiedział, że pan i tak da mu jeść, kiepsko bo kiepsko — ale zawsze z głodu nie zginie.

Kościół w Haczowie.

tach. Wtedy nie myślał on ani o książce, ani o polityce, ani o wielkim, szerokim Bożym świecie. Wieś swoja, w najlepszym razie „becyrk“ w obwodowem mieście — były wszystkiem, co widział polski chłop pańszczyźniany. Nie wiele też troszczył się i o to,

Ale czasy się zmieniły, pańszczyznę zniesiono — a chłop musiał odtąd dbać o to, by miał zapas w komorze dostateczny, bo odtąd nikt mu nie jest obowiązany udzielić pomocy, ale nadto zapłacić i większe podatki.

Kto ma większe obowiązki — wię-

cej łamać sobie musi głowę i mózg więcej natężać.

Powstają szybko szkoły — uczą wysłużeni wojskowi, organiści, żandarmi — uczy ten, kto czytać i pisać z „elementarza“ umie.

I chłopi masami oddają dzieci do tych „szkół zimowych czy organistowskich“, płacą od swoich dzieci, byle tylko umiało czytać z książki do nabożeństwa, byle przeczytało papier, jaki przyjdzie z „becyrku“ czy „gerychtu“ (sądu).

Potem kraj zakłada i utrzymuje szkoły lepsze. Idzie to wszystko bardzo prędko — dzieci w szkołach coraz więcej, takich, co czytać nie umieją, coraz mniej — bo mali umieją, a starzy niepiśmienni wymierają, — w kraju szybko znika ciemnota.

I oto pierwsze chłopskie dzieci, ukończywszy na wsi sztubę, idą do wyższych szkół uczyć się „miemieckiego“ — a potem i łaciny i greki. — Może też mój syn przynajmniej Kapucynem lub Jezuitą zostanie, a może — jak Bóg da — to i świeckim księdzem i tu, u nas, w naszym kościele od ołtarza zaśpiewa nam: „Dominus vobiscum“, a potem „głowę nam ściśnie“... I nieraz ojciec i matka, patrząc na syna, który ze szkół przybył na święta do domu, proszą, by im powiedział, czego się nauczył i niespokojnie pytają: „Cóż, Pietruś, pójdziesz na księdza? Prawda! A dalekoż to jeszcze? Wiele to lat trza czekać?!“

I tak to szło...

Rzecz to dziś znana w świecie całym, że polski chłop jest ciekawy i odważny. Niechno jeden się odważy i pojedzie choćby do Ameryki, to już za nim pójdą dziesiątki i setki; choć jadą na chybił-trafił, przecież jakoś żyją i — nawet dobrze im się powodzi. Tak jeździli i jeżdżą chłopi do Ameryki, na Saksy, nawet do Bośni i do Bessarabii „na woły“ (czyli paść woły).

Tak samo było i ze szkołami. Najtrudniej jeden i drugi, to potem poszło z innymi już łatwo.

Dziś na 35.000 chłopców w wyższych szkołach jest chłopskich dzieci do 20.000 czyli więcej niż połowa!

Z początku te wyuczone dzieci chłopskie przepadały najczęściej wśród „panów“; chłopi mieli — jak się to mówi — „zaszczyt“, że mają pana lub księdza w rodzie — ale pożytku większego nie było. Taki wyuczony przywykał szybko do „pańskich“ wygód, do otoczenia wyuczonego, do innych zwyczajów i obyczajów i — potem raziła go prosta, nie uczona mowa ojca czy matki i proste obyczaje.

Ale tak było tylko z początku — choć i to nie zawsze. Z postępem szkół oświecali się chłopi po wsiach, a i ich dzieci po miastach, czy po szkołach i plebaniach na wsi przyszły powoli do tego przekonania: rodziny nasze dały nas do szkoły nie tylko po to, abym ja czy drugi się wyuczył i mnie z nauką było dobrze, ale także i po to, abym im potem pomógł. Ta pomoc to niekoniecznie musi być w pieniądzach, może być także w słowach, w objaśnianiu, w książkach, w gazetach, a także w częstem zaglądaniu do swoich i obcowaniu z nimi...

Odtąd syn nie tracił łączności z ojcem, nie wstydził się z nim iść razem ulicą w mieście, ale przeciwnie z dumą wskazywał na ojca: patrzcie, to człowiek nieuczony, prosty, ale on wie i rozumie, co to znaczy wiedza i nauka i dlatego mnie daje do szkół. Oto dzisiaj na własnych plecach przyniósł mi chleb, masło, mleko i świeżą bieliznę i szóstek parę na książkę, zeszyt i składkę.

Uprzedzenia powoli znikają — coraz częściej, zwłaszcza w porze letniej, synowie chłopscy zamiast do kąpiel za granicę, zjeżdżają do swoich, do ojca, matki, a gdy ci już pomarli, to do sióstr i braci.

Są też już i zjazdy gromadne — dzieci jednej wioski zjeżdżają się ra-

zem, aby się policzyć, poznać i po swojemu wesoło zabawić i coś dobrego zrobić.

Tak było w r. 1910 w Haczowie.

Jest to wieś wielka, położona w powiecie Brzozowskim, w samym środku Galicyi, nad brzegami Wisłoka — a naprzeciw stacyi kolejowej: Rymanów.

Wieś to dosyć bogata, a ludność dorodna, pracowita, schludnie ubrana. W lecie — już od trzeciej godziny zrana, wczas przed wschodem słońca, słychać w polu śpiew żniwiarzy, pasterza przy bydle lub gospodarza, zboże wiozącego. Z wieczora, skoro zmrok, już spokój — chyba że gdzieś we wsi muzyka, wesele, dożynki — to młódź bawi się i hula do północka.

Haczów znany od dawna w okolicy całej: tu śliczne chowają się konie, sadzą „haczowską“ fasolę (zowią ją piechotą), tu ładne dziewczęta w gorsety i pufiaste koszule przybrane. Lat 500 temu królowa polska Jadwiga zbudowała im kościół, a choć go potem spalili Tatarzy, to stanął nowy, modrzewiowy i choć już pochylony od starości, stoi dotąd. Król Władysław Jagiełło — co rozbił pod Gruwaldem Krzyżaków, — uposażył hojnie probostwo. Do powstania w r. 1863 zapisało się wielu parobczaków.

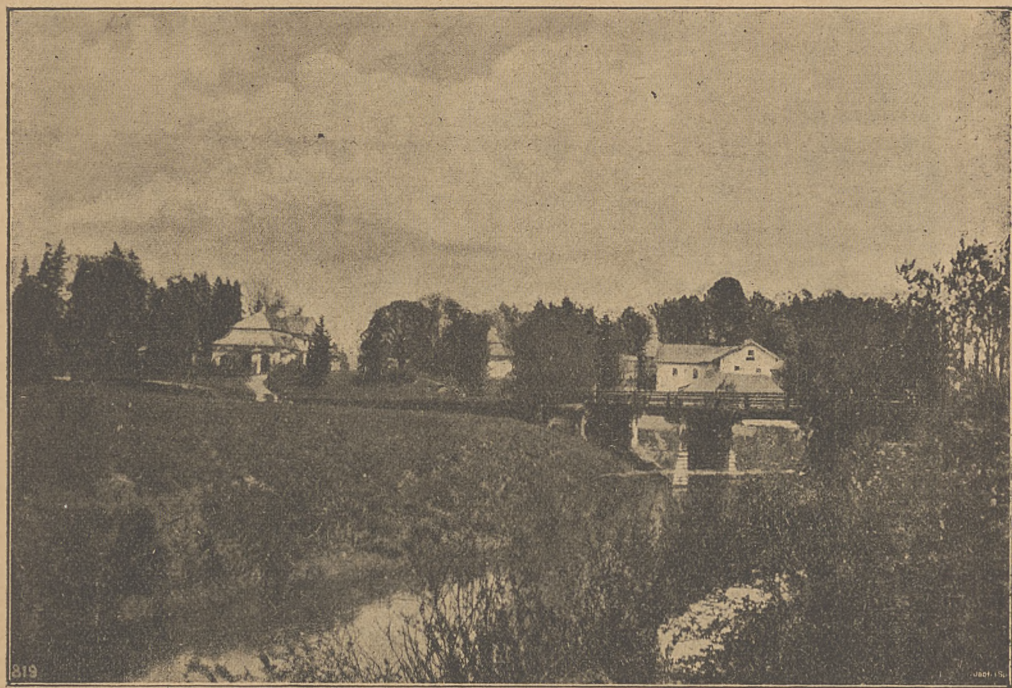

Dwór i szkoła w Haczowie.

Z tej to wioski szli od dawna synowie chłopscy — a potem i dziewczęta — do szkół wyższych. Dziś samych księży jest 27, z tych 2 w Ameryce, 1 w Dalmacyi, 8 w klasztorach OO. Franciszkanów, Kapucynów i Jezuitów, a reszta jest świeckimi.

Do gimnazyów i seminaryów nauczycielskich chodzi blisko 60 młodzieży.

W dniach 26--28 lipca ci, co są

już na stanowiskach — a takich jest około 120 — zjechali się naraz w Haczowie. Niektórzy nie mogli przyjechać — to przysłali usprawiedliwienia i życzenia na pomyślność zjazdu.

Wieś cała przyjęła ich serdecznie i gorąco. We środę — a był to dzień roboczy, żniwa i zwózka z pola — kościół nie mógł pomieścić zebranych — rzy, o 9-tej mszę żałobną za zmarłych Haczowiaków śpiewa kanonik z Jasła, ks. Jędrzej Rymar. Potem suma uroczysta. Celebruje ją były prowincyał OO. Kapucynów, prezes zjazdu, O. Floryan Janocha, asystują Franciszkanin O. Olbrycht i kleryk Matusz. Na chórze gra muzyka dęta z Beska, śpiewa chór, złożony z przybyłych Haczowiaków.

Członkowie zjazdu w Haczowie.

we wiecu wzięło udział do 2000 ludzi, w zabawie do 1500.

A oto program zjazdu:

We wtorek 26 lipca: wieczorem zebranie w szkole dla zapoznania się. Co chwila przychodzi ktoś nowy, często już dobrze siwizną przyprószony — nie zna wielu, więc mu się przedstawiają, wywodzą rody, stopnie pokrewieństwa, przypominają młode lata!

We środę — główny dzień zjazdu. O godz. 5-tej rano strzały z moździe-

Po „Credo“ kazanie: mówi profesor seminaryum duchownego z Przemyśla, ks. dr. W. Szmyd. Przedstawia powody i przyczyny dzisiejszej uroczystości, mówi o łączności wszystkich stanów, porównuje stare i młode pokolenia.

Po mszy było zebranie na ogrodzie plebańskim. Na kupie piasku, który złożono tam dla budowy nowego kościoła, ustawiono stół — stąd przemawiają do zebranych: prezes zjazdu, ksiądz Janocha i dwaj profesorzy

gimnazyum: p. Stanisław Rymar z Krakowa i p. Józef Ekiert z Jarosławia.

Prof. Rymar mówi o „łączności wszystkich Haczowiaków“ — omawia potrzeby Haczowa, zachęca do wspólnej pracy, do tworzenia przemysłu i rzemiosła domowego.

Prof. Ekiert mówi o przeszłości Haczowa.

mówił najpierw proboszcz, ks. Józef Foryś — potem ks. Janocha poświęcił gmach.

Po poświęceniu rozpoczęła się zabawa: jedni śpiewali różne pieśni, drudzy przyglądali się ogniom sztucznym, puszczanym przez kasyera P. Stepka z Sanoka, inni wzięli się do ochoczych tanów. Starsi obstąpili bufet i gawędzili swobodnie.

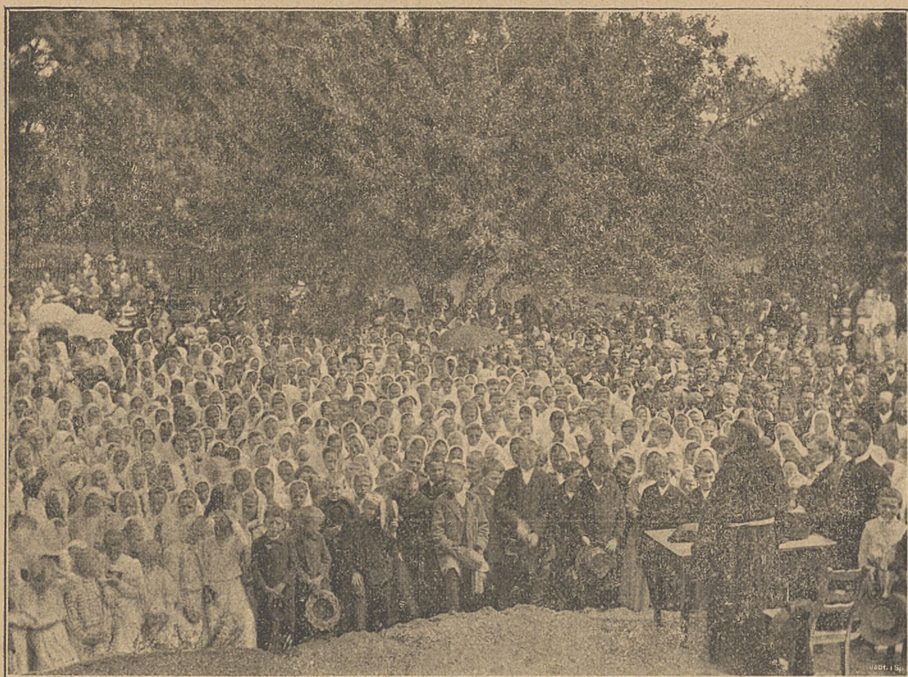

Wiec w ogrodzie haczowskim.

Potem nastąpiła wspólna fotografia przybyłych i obiad w szkole. Podczas serdecznej pogawędki wygłoszono kilka przemówień — wśród nich poseł i marszałek powiatu, a dziedzic Haczowa, Mieczysław Urbański. Za oknami przygrywała muzyka — a zebrani śpiewali rozmaite pieśni.

O godz. 6-tej zgromadzili się wszyscy w „potoku“, gdzie kosztem spółki stanęła olbrzymia cegielnia gminna.

Tu od urządzonego ołtarza przemówił ...

Północ dopiero rozdzieliła rozbawione tłumy.

We czwartek 28 lipca zebrali się już sami zjazdowcy: uchwalili na wniosek ks. Czesława Szubra, że zjazd następny ma się odbyć za lat 6 — podczas poświęcenia nowego kościoła, że dotychczasowy komitet ma urzędować i dalej. Co do „pamiątki“, jaką zjazd ma zostawić w Haczowie, uchwalono wniosek prof. Rymara, aby wybudować „Dom ludowy“; zebrani zobowią-

zali się pokryć koszta budowy tego domu kwotą 12.000 koron, każdy w równych ratach rocznych.

Tego dnia wieczorem podejmowały przybyłych rodziny, a w najbliższą niedzielę prezes zjazdu, ks. Janocha, na kazaniu streścił przebieg zjazdu i dziękował za liczny w nim udział.

. . . .

Święta takie po wsiach będą odtąd coraz częstsze — bo coraz więcej jest dzieci chłopskich po miastach takich, co do wsi swojej tęsknią, co pracować chcą w imię dobra swojej Ojczyzny dla tych przedewszystkiem warstw, pośród których sami wyrośli i której dzisiejsze swoje społeczne stanowisko zawdzięczają.

MICHELET.

JASKÓŁKA.

Jaskółka zajęła bez pytania się nasze domy; mieszka pod oknami, pod dachami, w kominach. I zgoła nas się nie boi. Możnaby powiedzieć, że ufa swemu niezrównanemu skrzydłu; nie, ona przecież buduje gniazdo i dzieci swoje zostawia pod naszą ręką. Przez to właśnie jaskółka stała się panią domu, a zabrała nam nietylko dom, lecz także serce.

Teść mój, wychowujący sam dzieci, urządził był raz latem w swojej wiejskiej siedzibie klasę szkolną w oranżeryi. Gnieżdżące się tam jaskółki, nie obawiając się obecności ludzi, a zajęte wyłącznie wysiadywaniem jaj, poruszały się swobodnie, wylatywały oknem, a wracały przez dach, szczebiocząc wciąż ze swoimi bardzo głośno; głośniej nawet, niż nauczyciel, zmuszając go nieraz do uwagi, którą powtarzał za św. Franciszkiem: „Siostry jaskółki, nie mogłybyście umilknąć?“

Ognisko mają stałe. Gdzie gnieździła się matka, gnieździ się córka i wnuczka. Co rok tam wracają, a pokolenia ich następują po sobie bardziej regularnie, niż nasze. Rodzina ludzka wygasa, rozprasza się, dom przechodzi w inne ręce; jaskółka wraca doń zawsze i zatrzymuje swoje prawo posiadania.

W ten sposób ptak-wędrowiec jest symbolem stałości ogniska. Nawet dom przebudowany, w części zburzony, długo niepokojony pracą murarzy, zajmują często na nowo te ptaki wierne, pełne wytrwałego wspomnienia.

Jaskółka to p t a k, k t ó r y w r a c a. Nazywam ją tak nietylko dlatego, że wraca regularnie co rok, lecz dla jej ruchów, dla kierunku lotu bardzo urozmaiconego, a zawsze kolistego i powrotnego.

Ptak buja i wiruje bez przerwy, niezmordowany kręci się dokoła tej samej przestrzeni i na tym samym miejscu, opisując niezliczoną ilość kół wdzięcznych i zmiennych — a nie oddala się. Czy ściga w ten sposób zdobycz swą, tańczącego i płynącego w powietrzu komara — czy też nie oddalając się od gniazda, ćwiczy sprawność niezmordowanych skrzydeł? Mniejsza o to; ten lot kolisty, ten ruch wiecznie powrotny, przejmował zawsze nasze oczy i serce, budząc marzenia i świat cały myśli.

Widzieć można dobrze lot jaskółki, nigdy zaś, prawie nigdy nie widzimy jej drobnej, czarnej postaci. Kim jesteś ty, umykająca zawsze, pozwalająca patrzeć tylko na swe ostre skrzydła, rącze, jakby kosy czasu? On odchodzi wciąż — ty wracasz zawsze. Zbliżasz się do mnie, ty mnie zdaje się pragniesz, ty muskasz mnie, czyżbyś chciała się dotknąć?... Pieścisz mnie z blizka tak, że czuję powiew na twarzy i uderzenie twego skrzydła... Ptak to, czy duch?... Jeśliś jest duszą, powiedz mi to otwarcie i po-

wiedz, co za przeszkoda dzieli żywych od zmarłych. I my umrzemy jutro; czy danem nam będzie przylecieć na skrzydłach, patrzeć znowu na drogie ognisko miłości i pracy — powiedzieć słowo jedno jeszcze w mowie jaskółczej tym, którzy nawet wtedy mieć będą nasze serce?

Lecz nie otwierajmy przedwcześnie gorżkiego źródła. Mówmy raczej o tym ptaku wedle myśli ludu, wedle dobrej, starej mądrości chłopskiej, bezwątpienia bliższej mądrości natury.

Lud nie widzi w jaskółce nic innego, tylko zegar naturalny, wskazujący podział pór, dwie wielkie godziny roku. Na Wielkanoc i na św. Michał, w okresie kontraktów najmu i dzierżawy zjawia się goniec czarnobiały i przepowiada zmianę pory roku. Ludzie zbierają się w tych dniach, lecz nie zawsze znaleść można wszystkich, w sześciu miesiącach, ubył ten i ów. Jaskółka wraca, ale nie dla wszystkich; wielu odeszło w podróż bardzo długą, dłuższą, niż dokoła Francyi. A Niemiec? Nie, jeszcze dłuższą.

— — — — — — — — — — —

Jaskółka trzymana w dłoni i oglądana z blizka jest — wyznajmy szczerze — ptakiem brzydkim i dziwacznym; lecz właśnie dla tego, że jest p t a k i e m w całem znaczeniu tego słowa, istotą wśród wszystkich innych stworzoną do lotu. Natura poświęciła wszystko w tym celu: zlekceważyła formę, myśląc tylko o ruchu, a powiodło się jej zupełnie, tak, że ptak ten brzydki w spokoju, w locie najpiękniejszy ze wszystkich.

Ostro wydłużone lotki, wystające oczy, bez szyi (aby potroić siłę), prawie bez nóg — oto w ogólnym zarysie istota, co cała jest skrzydłem. Dodajmy: bardzo szeroki dziób, zawsze otwarty i ruchliwy, który w locie zamyka się i otwiera bez ustanku.

Jaskółka w locie je, pije, myje się i w locie karmi dzieci.

Wprawdzie nie dorównywa piorunującej szybkości sokoła w linii prostej, lecz za to lot jej bardzo wolny; ona wiruje, kreśli sto kół, cały labirynt rozmaitych linii kolistych, zatacza je i odkręca bez końca. Olśniony tym wróg traci głowę, wikła się i niewie co począć; znużony i wyczerpany porzuca ją, niezmęczoną nigdy. Jaskółka, jak prawdziwa królowa powietrza, jest panią całej przestrzeni, dzięki niezrównanej zwinności ruchów. Kto potrafi tak szybko zmienić w każdej chwili rozpęd? Nikt. Polowanie niesłychanie zmienne i kapryśne na zdobycz ustawicznie drżącą: na muchy, komary, chrząszcze i tysiące innych owadów, poruszających się w liniach krzywych — jest bezwątpienia najlepszą szkołą lotu, której jaskółka zawdzięcza swoją wyższość nad innymi ptakami.

Aby wytworzyć te skrzydła jedyne, natura musiała dojść do ostateczności drugiej, wstrzymać mianowicie rozwój nóg. Wielka jaskółka, t. zw. kościelna, ma nogi w zaniku; zyskały na tym skrzydła; mówią, że ten gatunek jaskółek przebywa 80 mil w godzinie, więc dorównywa swą ogromną szybkością fregacie. Noga fregaty jest już bardzo krótka, jaskółka kościelna ma tylko szczątki nóg, jeśli siada to na brzuchu, a właściwie nie siada wcale. Odwrotnie niż u każdego innego stworzenia odpoczywa tylko w ruchu. Rzuca się z wieży, spada w powietrze, które ją kołysze pieszczotliwie, unosi i ożywia. Gdy chce się zatrzymać, może zaczepić się słabymi, małymi pazurkami, lecz kiedy tak siedzi, bezsilna i jakby sparaliżowana, czuje wszystką szorstkość, twarda fatalność ciążenia owłada nią na nowo; pierwszy z ptaków spada niejako do rzędu płazów.

Wzbić się z miejsca w powietrze jaskółce kościelnej najtrudniej, to też gnieździ się bardzo wysoko, przy odlocie bowiem musi najpierw rzucić się w swój żywioł. W powietrzu jest już wolną panią, do tej chwili — niewol-

nicą, zależną od wszystkiego i tego, kto zechciałby wyciągnąć po nią rękę.

Właściwą, wszystko mówiącą nazwą gatunku jest słowo greckie b e z n o g i (A-pode). Wielki lud jaskółek, liczący sześćdziesiąt rodów, który zapełnia ziemię i rozwesela ją czarownym wdziękiem lotu i świegotu, zawdzięcza wszystkie powaby swojej ułomności, temu brakowi nóg; jaskółka jest pierwszą wśród stworzeń skrzydlatych, dzięki zupełnej sztuce latania, a z drugiej strony najbardziej przywiązaną do gniazda i zmuszoną do ciągłego siedzenia.

W tym plemieniu ptaków skrzydeł nie dopełniają nogi, wychowanie młodych jest tylko kształceniem skrzydeł i długą nauką lotu, to też dłużej zostają one w gnieździe, wzrastają pod troskliwą, przewidująca i tkliwą opieką matek. Najruchliwszy z ptaków dał się związać serdecznemu uczuciu. Gniazdo nie było chwilowem łożem miłości, ale stało się ogniskiem, domem rodzinnym, zajmującą sceną trudnego wychowania i wzajemnych poświęceń. Była w niem tkliwa matka, wierna małżonka, co więcej: także młodsze siostry skwapliwie pomagające matce, same młode matki i karmicielki dzieci najmłodszych. Była w gniazdku tkliwość macierzyńska, troskliwość i wzajemne pouczanie się dzieci między sobą.

Bardzo pięknem jest to braterstwo tak rozległe: w niebezpieczeństwie każda jaskółka jest siostrą, gdy jedna krzyczy, wszystkie się zlatują, gdy jedną ktoś złapie, wszystkie lamentują i usiłują uwolnić.

Wiadomo, że te miłe stworzenia współczują także z ptakami obcymi rodzajowi swemu. Mając skrzydła tak rącze, nie obawiają się zgoła drapieżców — a jednak one pierwsze ostrzegają podwórze folwarczne: kury i gołębie tulą się i szukają schroniska, skoro tylko usłyszą ostrzegawczy głos jaskółki.

Nie, lud nie myli się wierząc, że jaskółka jest ptakiem najlepszym.

Dla czego? Bo jest najszczęśliwszym, będąc z pośród wielu ptakiem najbardziej wolnym

Wolnym — przez lot podziwu godny — przez łatwość odżywiania się — przez możność wybierania klimatu.

To też, ilem razy zwracał uwagę na jej szczebiot (jaskółka rozmawia przyjaźnie ze siostrami swemi, częściej niż śpiewa), zawszem słyszał tylko błogosławieństwo życia i chwałę Boską.

„Wolna! Wolna!“ — Te słowa przepełniały mi serce na wielkim placu w Turynie, gdzie bez znużenia patrzyliśmy na niezliczone jaskółki, latające wśród tysiącznych drobnych okrzyków radości. Przebywszy Alpy, znajdują one gotowe już a wygodne mieszkania w dziurach, które zostają po rusztowaniach, nawet w murach pałaców. Niekiedy, najczęściej wieczorem, szczebiocą bardzo głośno, krzyczą tak, że nie można rozmawiać; często rzucają się z góry, prawie spadają i dotykają ziemi, lecz tak szybko wznoszą się znowu, jakby wyrzucone w górę sprężyną lub z łuku. Zdaje się, że one, wręcz przeciwnie niż my, związani bez przerwy z ziemią, ciążą ku górze. Nigdy też nie widziałem obrazu wolności doskonalszej, jak te ucieszne zabawy bez końca.

Sami w podróży, patrzyliśmy chętnie na tych turystów, wybierających się w drogę bez troski i wesoło. Na ciemnym widnokręgu odcinały się sine pasma Alp, bliższe, jak mogło się zdawać, o tej porze. Czarne pnie jodeł okrył już mrok wieczorny, lodowce tylko lśniły jeszcze blado. Podwójny, żałobny wał olbrzymich gór oddzielał nas od Francyi, ku której mieliśmy niebawem zwrócić swoje kroki.

Przełożył z francuskiego

Kraków. *Józef Smrek.*

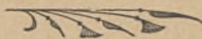

Dr. JÓZEF TOPOLNICKI.

EPIZOD Z ROKU 1866.

(OPOWIADANIE BYŁEGO ARTYLERZYSTY).

Pamiętam jak dzisiaj, gdyż dzień ten na długo w mej pamięci pozostanie, przyszliśmy dnia Trzeciego lipca roku 1866 pod Sadowę i tu nam oznajmiono, iż odbędzie się bitwa.

Nasza baterya otrzymała rozkaz stanąć na odległym od pola bitwy wzgórzu i stąd ostrzeliwać nadciągające oddziały Prusaków.

Jako osłona naszych dział stały za nami batalion strzelców i dwa szwadrony huzarów.

Stanęliśmy tedy na wzgórku, działa zatoczono na pozycye. U stóp naszych na odległość kilku tysięcy kroków ciągnęły się zarośla i krzaczki, gdzieniegdzie tylko przerywane dolinami.

Temi to dolinkami nadchodziły na pole walki pruskie oddziały, które nam patrzącym się z góry, wydawały się podobnymi do owych ołowianych żołnierzy, którymi małe dzieci bawić się zwykły.

Już od samego brzasku rozpoczęła się kanonada ze strony pruskiej, co chwila nadlatywał ze świstem ku naszej bateryi granat nieprzyjacielski, pękał przed bateryą z trzaskiem, wyrywając kawały ziemi i zasypując nam oczy tumanami kurzu. Na szczęście Prusacy źle strzelali, działa ich nie wyrządzały naszej bateryi poważniejszej szkody, gdyż pociski ich albo przenosiły lub padały przed baterya.

Z naszej strony panowała cisza grobowa, w pogotowiu bojowym oczekiwała baterya nasza na nieprzyjaciela.

Kapitan stał opodal na wzgórku z lunetą i gdy zobaczył podchodzący którą dolinką oddział Prusaków, wtedy przybiegał z rozkazem do bateryi.

Za chwilę baterya nasza okrywała się dymem, oddział pruski znikał rozprószony, pozostawiając na polu walki stosy rannych i poległych, poczem znów nastawała cisza grobowa, przerywana świstem padających granatów w okół naszej bateryi oraz słyszanym w oddali trzaskiem pruskich karabinów.

W bateryi naszej usposobienie było jak najlepsze, a widząc, że pruskie granaty szkody nam nie wyrządzają, śmialiśmy się i drwili, gdy z świstem i rykiem ku nam nadlatywały.

Kanonada ta obustronna trwała tak aż do wieczora.

Przed wieczorem nastąpił ogólny odwrót wojsk austryackich. Zwycięscy Prusacy parli przed sobą rozbite wskutek znacznej przewagi oddziały austryackie.

Tylko nasza baterya, stojąca samotnie zdala od terenu właściwej bitwy, nie otrzymała rozkazu do odwrotu. A ponieważ zbyt byliśmy oddaleni od pola bitwy, więc nie wiedzieliśmy nic o jej nieszczęśliwym przebiegu.

Tymczasem już i amunicyi nam zabrakło, a nigdzie nie było widać furgonów, amunicyę nam dowożących. Nasze pomocnicze oddziały znikły nam również z oczów w dymie, który zewsząd nas otaczał.

Noc zaczęła zapadać.

Wtem nagle na widnokręgu ukazały się jakieś oddziały. Kapitan przyłożył lunetę do oka i po chwili oznajmił, że nadciągają Sasi, którzy, jak wiadomo,

po austryackiej stronie brali udział w bitwie.

Niestety omylił się, wziął nadciągających Prusaków, których mundur nie wiele różnił się od saskiego, za sprzymierzeńców naszych, Sasów, a omyłka ta stała się zgubą dla całego oddziału.

Nie przeczuwając nieprzyjaciół, zakomenderował odwrót i na czele bateryi ruszył galopem ku saskiemu, jak sądził, oddziałowi.

Obydwa szwadrony huzarów ukryte, jak to obecnie zobaczyliśmy, w pobliskim parowie, przyłączyły się do nas i razem ruszyliśmy ku nadchodzącej kolumnie.

Przestrzeń, dzieląca nas od oddziału przeciwnego, wnet zaczęła się zmniejszać. Wtem kula uderzyła konia kapitana, koń runął, lecz kapitan wydobył się prędko z pod niego i dosiadłszy innego, ruszył dalej na czele oddziału.

Nikt z naszego oddziału nie spodziewał się, by kula z przeciwnej strony wystrzeloną była, a każdy był tego zdania, że to jakaś zabłąkana kula ubiła konia kapitana przypadkiem.

Pędziliśmy wyciągniętym kłusem dalej, wreszcie przestrzeń nas dzieląca wynosiła juz tylko około 400 kroków, wtedy stała się rzecz straszna, nieprzewidziana. Oto wśród trzasku i huku sypnęła nam nagle w twarz straszliwym ogniem karabinowym cała kolumna nieprzyjacielska.

Gdy grad kul przeleciał, ja spadłem wraz z koniem ubitym na ziemię, a gdym się podniósł i dym się rozwiał, z rozpaczą ujrzałem rozmiar klęski.

Z całego oddziału pozostał przy życiu kapitan, porucznik, a z artylerzystów zostało nas pięciu i kilka koni.

Z obu szwadronów huzarów ocalało trzech ludzi zaledwie, z których dwóch przyłączyło się do nas, trzeci zaś, czy może uniesiony przez rozhukanego konia, czy też do szaleństwa doprowadzony utratą tylu towarzyszy, rzucił się z wydobytym pałaszem ku Prusakom.

Mimo gradu kul dopadł do ich szeregów i tu rąbiąc pałaszem na prawo i na lewo, zrobił wyłom w ich szeregach może dziesięciokrokowy. Mimo straszliwego niebezpieczeństwa i tego deszczu kul, jakim nas zasypywano, staliśmy jak skamieniali, patrząc z podziwem na czyn tego bohatera, aż wreszcie Prusacy się opamiętali i bagnetami z konia go zdjęli i tu go z oczów straciłem.

Skoczyliśmy do koni, każdy z nas przy życiu pozostałych dopadł konia i wraz z jedną armatą, przy której dziwnem losu zrządzeniem wszystkie konie ocalały, poczęliśmy uciekać co koń wyskoczy do wsi, która w pobliżu się rozciągała.

Droga prowadziła przez parów i jemu tylko zawdzięczamy ocalenie naszego życia, gdyż kule pruskie przelatywały nam teraz nad głowami, nie czyniąc żadnej szkody.

Wkrótce dopadliśmy do wsi, po obu stronach drogi ciągnęły się płoty. Rozerwaliśmy wnet jeden i pędem wjechaliśmy na najbliższy dziedziniec.

Nasz porucznik, dzieciak prawie, który pędził na ostatku, w chwili, gdy miał się już schronić, padł na wyłomie, ugodzony kulą.

Prusacy poczęli wieś otaczać pierścieniem swych oddziałów, zasypując nas ciągle gradem kul, które jednak nam ukrytym za murem domostwa nie wiele szkody czyniły.

Lecz o obronie nie było już mowy, kapitan założył chustkę na szpadę i począł nią wymachiwać z za muru. Po chwili ustał ogień karabinowy. Prusacy otoczyli nas, odebrano nam broń, po czem jako jeńców odprowadzono do głównego obozu. Tu dopiero dowiedzieliśmy się o zwycięstwie Prusaków, wyprawiono nas jako jeńców wojennych do pruskich twierdz, gdzie w niewoli kilka miesięcy przebyłem.

A gdy tam w ciszy murów fortecy pruskiej rozpamiętywałem chwile niezatarte w mej pamięci owego dnia

walki, wtedy przed oczami memi stawały postacie mych biednych towarzyszy Polaków, tam w walce przeciw Prusakom na polach Sadowy poległych i łza wtedy pokrywała me oko.

I pamięć przywodziła mi widmo postaci owego bohatera huzara, co własnem swem życiem zapłacił Prusakom, rąbiąc ich szeregi z zemsty za śmierć swych współbraci.

Cieniom tedy poległych bohaterów naszych w tej zażartej walce przeciw Prusakom wspomnienie niniejsze poświęcam.

HUMOR.

Dobre przygotowanie.

Ks. proboszcz mówi do pary narzeczonych: Jest to krok nader ważny, jaki obecnie robicie i wpływa stanowczo na całe wasze życie doczesne a i na zbawienie duszy waszej! Czyście się dobrze na ten uroczysty akt przygotowali?

Narzeczony: A jakże proszę jegomości. Jużeśmy zabili i cielaka i wieprza i czterdzieści gęsi.

W sądzie.

Gospodarz obił parobka za jakieś przestępstwo. Parobek zaskarżył gospodarza do sądu. Gdy nadszedł dzień rozprawy, pyta się sędzia parobka:

— I bardzo cię zbił?

— O bardzo, prześwietny sądzie — lamentował parobek.

— Ale jakiż powód miał do tego gospodarz?

— O prześwietny sądzie, on nie miał powodu, tylko gruby sękaty kij...

W szkole.

Przed godziną katechizmu chłopcy narobili w sali szkolnej wiele kurzu a nadto któryś z nich stłukł szybę. Wchodzi ks. katecheta i poznawszy co się stało, wyrznął całej klasie porządną reprymendę. Następnie przystąpił do zadawania pytań, kiedy chłopcy nie ochłonęli jeszcze z przestrachu. Pyta się więc jednego:

— Kto stworzył niebo i ziemię? — Chłopiec zlękniony mając na myśli niedawny wypadek — odpowiada:

— To nie ja — proszę księdza katechety.

— Jakto nie ty!

— No to ja — woła przestraszony chłopak — ale już więcej tego nie zrobię.

Ks. katecheta mówi w szkole do dzieci: Dobre uczynki prowadzą do nieba. — Następnie wywołuje jednego z chłopców i pyta: Janku, powiedz mi, co trzeba czynić, aby się dostać do nieba? Janek: Trzeba najpierw umrzeć...

Mądry Kuba.

— Po czem można starą kurę odróżnić od młodej — pyta Bartek Kuby.

— Po zębach — odpowiada.

— Jakżeż po zębach, kiedy kury zębów nie mają.

— Kury nie mają, ale ja mam, więc jak ugryzę to wiem, która kura stara a która młoda.

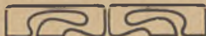

DZIADOWSKIE ZALOTY.*)

Na Sobotowem obejściu, koło chlewka, stała Magda i pilnowała prosiąt, żeby się nie pogryzły przy jedzeniu, albo nie wywróciły cebrzyka z parzoną sieczką.

Paciuszki mlaskały pyskami, rozkoszując się obiadem i pomrukiwały zadowolone, a Magda stała przy nich, rozglądając się bezmyślnie wokoło. Czasem zwróciła uwagę na zachowanie się obiadujących, a wtedy wylatywały z jej ust słowa oburzenia:

— A idziesz, paskudo!...

I znowu mlaskanie i mruki. Czasem któryś z podświnków właził nogami do cebrzyka, jakby chciał objąć w posiadanie całą jego zawartość.

— Joj... żebyś zczezł, ty napadzisty! — gniewała się Magda i wypychała kolanem łakomego podświnka z cebrzyka.

— Pochwalony!...

Magda odwróciła się. Przed nią stał dziad, trochę łysy, trochę szpakowaty, o zdrowem, czerwonem obliczu i fioletowym nosie. Tęga i przysadzista jego postać opierała się tylko na jednej nodze. Drugą zastępowała kula, w którą miał wprawione kolano, zgięte jak do klęczenia, goleń zaś tej nogi w połowie ucięta, sterczała kikutem, owiniętym w niebieską, wojskową nogawicę. Na zgrzebnej bluzie wisiał medal, przez plecy przerzucony worek, wypchany, a w ręku potworna karakula, postrach psów okolicznych.

Magda spojrzała na dziada z widoczną niechęcią.

— Na wieki!... — odpowiedziała, uderzając dłonią po grzbiecie jednego z prosiaków, który przez omyłkę ugryzł w ucho swego sąsiada.

Dziad, wsparty na kiju, milczał, wpatrując się w dziewkę. Ją zaczęła brać złość — od świń odejść trudno, a obecność dziada zdawała się sprawiać jej wielką przykrość. Pokazała mu plecy i burknęła:

— Do chałupy idźcie do gaździni... ja wam tu nie dam nijakiej jałmużny...

— Ii... co tam jałmużna!... Dobre słowo to też jałmużna, a choć to niby tania rzecz je, to się go i tak nijak doczekać nie mogę...

Dziewka nie odzywała się, chyba do prosiąt. Dziad był zmieszany, jak pies, co podchodzi do sadła w obecności ludzi, którzy go wczoraj kijem odegnali. Bał się zbliżyć, bał się zagadać, choć oczy mu na wierzch wychodziły — tak strasznie łakomie patrzył na dziewkę, takiemi gorącemi iskrami obsypywał stojącą przed nim postać tęgiej i krwistej Magdy.

— Czy ona ładniejsza od innych?... Matko Boska Poczajowska, broń!... Za dawnych, żołnierskich czasów tyle inszych widział i to jeszcze jakich!... Zawziął się na nią dlatego, że biedna, że służy i że łatwiej da namówić się wyjść za niego. Żeby była już nie kucharką u Soboty, ale nawet córką nie wiedzieć czyją, nie wiedzieć jaką bogaczką — takiby mu się zawsze najwięcej na żonę udała. Bo ona ma już w sobie coś takiego, co mu się w niej strasznie podoba. Dziewka jest leń koronny, każdy wie o tem. Swiat niech się zawali, ona się nie ruszy — ale właśnie to lenistwo podoba się dzia-

*) *Młoda Ukraina*, wybór nowel, zebrał i tłómaczył Władysław Orkan, Warszawa 1908. Nakład księgarni G. Centnerszwera i Spółki.

dowi okrutnie. Na taką niechluję, jak ona, nie patrzałby nikt, ale właśnie dla tego niechlujstwa — dziw doprawdy — tak bardzo dziadowi do serca przypadła. I kiedy odwrócona od niego, stoi ciężko, ospale, chwiejąc się bezwładnie w swych szerokich biodrach, brudna, obtargana, z nogami do kolan gnojem umazanemi — to dziad patrzy na nią, jak na jaki obrazek ze swej książki do modlenia, co ją zawdy ze sobą nosi.

Zaczął nieśmiało:

— No jakże tam... chcesz wyjść za mnie?... ha?... Powiadam ci dziewczyno: wyjdź za mnie. Będziesz miała święte życie. Nic ci nie każę robić — nic a nic... Będziesz se spała choćby do południa, będziesz se robiła, co ci się żywnie spodoba... Ja ci wszystkiego naznoszę do chałupy — ptasiego mleka ci chyba braknie... Ino wyjdź za mnie...

Zmieszanie znikało z jego twarzy — jednem skrobnięciem kuli po zagnojonej ziemi zbliżył się do dziewki i pochylony nad nią, mówił, prosząc dyszącym namiętnością głosem. Dziewka nadąsana, nie odpowiadała. Stała plecami do niego zwrócona, zachmurzona, pastwiąc się nad prosiakami, gdy który z nich co zrobił. Ale słowa dziada wpadały w jej duszę i nie tonęły w niej bez śladu. Biedna znajda tuła się po świecie, nie wie nawet, ile lat. Po służbach, po zarobkach tera się i nie ma nadziei, żeby się kiedy to życie odmieniło. Ciężkie życie — rób i rób i rób — ciągle stają nad głową i krzyczą: Nierobo!... Leniu obmierzły!... Próżniaku! darmozjadzie!... Jakbyś ją o ścianę cisnął, toby się przylepiła... Wszyscy śmieją się z jej roboty, z jej chodzenia, z jej brudu, z jej wyglądu. Wszystko, co ona zrobi — to złe, co powie — to głupie, ubierze się — to śmieszne. Gnają, popędzają, huczą, przezywają, klną, a tu jeszcze do tego trza ciągle robić i robić. A najgorsze ranne wstawanie. Gospodyni zawsze wodą ją budzi — w zimie trza wyleść po ciemku z pod ciepłych łachów i ogień w piecu rozpalać.

Wstrząsnęła się. A ten tu maluje jej taki raj... Jak umyślnie, jak żeby wiedział, co jej dolega... Porwała ją wielka złość na wszystkich ludzi. A że najbliżej niej był dziad, więc na niego wylała potoki gniewu i złości.

— Ta czego wy odemnie chcecie?!... Skarana godzina z tym dziadem... Gdzie nogą ruszysz, wszędy się za tobą przyszterlęka. Wstyd, hańba — gdzie oczy pokażę, śmieją się, że dziad do mnie na zaloty chodzi...

Rozpłakała się. Mazała brudną twarz, rozcierając jeszcze brudniejszymi, popadanymi, grubymi palcami łzy, co gęsto płynęły z jej oczu. Siąkała nos z łoskotem i mówiła głosem przerywanym łkaniem:

— Czy to nie macie innych?... Czy to ja jedna, co ją znacie?... Odczepcie się raz odemnie, bo trza stąd uciec, czy co...

Dziad oburzył się:

— Cóż to ja zawłoka jaki?... Albo to ja nie tutejszy?... Albo to ja złodziej?... Że mi nogę w wojnie oderznęli?... To ja się nie porywam tańcować, a robić na gruncie i tak nie potrzebuję, bo go nie mam. Ale mnie sam cesarz w opiece ma i pensyę mi co miesiąc płaci. A czy ja dziad, czy nie dziad, to im powiem, że ja dziadem był, dziadem jest i z łaski Boskiej do śmierci dziadem zostanę — ale ludzie, co się ze mnie śmieją, to jak Pan Jezus pozwoli — jeszcze dobrze pod płotem pozdychają.

Dziewka uspokoiła się. Cebrzyk był próżny. Chwytała prosiaki za uszy i za ogony i zapychała je do chlewa. Nie odpowiadała dziadowi.

— Głupi, myśli, że nie jest dziadem. Stara szkarada...

Popatrzyła z boku na niego:

— Choć znowu nie tak strasznie brzydki. Jeno te śmiechy ludzkie, ten wstyd... Hej, żeby nie to. Umiałaby

wtedy życia używać!... Wyspałaby się za całe życie, wypoczęłaby za całe harowanie. Bo naprawdę, to i roboty w dziadowskiej chałupie musi nie być. Coby miała być? Ni gruntu, ni żadnej chudoby. Wylegiwałaby się jeno od rana do ciemnej nocy, ta nicby nie robiła.

Zatrzasnęła drzwi od chlewka i zakręciła kołowrotkiem. A dziad prosił i namawiał:

— Myślisz, że dziadowski chleb, to taki zły?... Oho! Szukaj gazdy we wsi, coby tak jadł, jak ja jem, coby tak nie frasował się niczem, jak ja się nie frasuję... Albo mi to siano gnije? Albo mi to zboże myszy tną?... Albo to ze mnie podatek ściągają? Pensyę człowiek ma, między dobrych ludzi lezie, chleb zbiera, grajcarki zbiera i mięsa czasem kupi i gorzałki się napije... Ino wyjdź za mnie dziewczyno, ino wyjdź za mnie!...

Szła powoli ku chałupie, dziad skrobał się za nią kulą po gnoju.

— No i jakże... ha?...

Magda stanęła na środku obejścia bokiem do dziada.

— Poczekajcie jeszcze ze dwie niedziele.

JAKÓB HODUR.

SPOWIEDŹ.

— A gdzież Hanka?

— Czekajcie matusiu — muszę wam wszystko opowiedzieć. Nie przerywajcie, bo mało mam czasu.

— Jedziesz napowrót?

— Nie. — Słuchajcie:

— Wiecie, jak z wiosną ja i Hanka pojechaliśmy w Prusy. Było nas moc z Polski. — Ludzie nasi zaraz za granicą, w Mysłowicach, zalegli wolne place, gospody, a nawet ulice obok kolei. Walaliśmy się w pyle i śmieciach. Było dużo takich, którzy nie mieli co jeść -- nie mieli za co nawet czem wnętrzności swych zagrzać. Czekaliśmy bandami na ajentów. Spaliśmy pod gołem niebem na twardych kamieniach, szczęśliwi, że nas policya nie wygnała z tego legowiska. Niemcy drwili z nas, trącano nas nogami. Słyszeliśmy, jak wołano na nas „świnie polskie“. Myśmy nie uważali na nic, bo każdy z nas przyszedł tu za zarobkiem. W tych masach ludu nie słychać było ni piosnki, ni śmiechu. Cicho wszyscy siedzieli — było cicho i w dzień i w nocy. Jednego dnia zawezwano nas do biura. Wszyscyśmy się porwali. Lecieliśmy jeden przez drugiego. Nadzieja pracy, nadzieja zarobku gnała nas. — Ja z Hanką dostaliśmy robotę w głębi niemieckiego kraju — u jednego pana we dworze.

— Chwała Bogu.

— Tak, chwała Bogu. — Jęliśmy się roboty z całą mocą. Hanka silna i zwinna, ja też rąk nie żałowałem. Było nas z różnych stron jakie dwie setki. Ale nas dozorcy najwięcej chwalili. A nawet sam pan przy wypłacie kazał nam powiedzieć, że kontent jest z nas. Spaliśmy w dużych szopach, zbudowanych z desek. Co się tam działo — włosy by wam stanęły na głowie. Ja pilnowałem Hanki i broniłem. I ona była ostrożna bardzo. Nie wiem czemu, ale opanowała mię jakaś nieprzeparta chęć zysku, zarobku

coraz większego. Żałowaliśmy każdego feniga. Ja, dostawszy kilkadziesiąt marek, schowałem je i nie chciałem nic z nich nawet wam posłać. To, coście dostali, to z zarobku Hanki. Ja zapragnąłem zarobić tyle, by kupić kawałek ziemi.

— Dziecko moje!

— W myśli już widziałem najpierw jedną skibę. — Ta rosła, pęczniała — w zagon się zmieniła. Śniłem, że mam zagonów kilka — widziałem się na roli. — Zrywałem się ze snu i biegłem do roboty. Pan nasz zasypywał stawy, bo miał na tem miejscu budować fabrykę. Wpadłem więc na myśl, że po szychcie, gdy wszyscy idą na spoczynek, ja jeszcze zarobić co mogę przy kopaniu ziemi. Zgodziłem się od metra. Jak opętany robiłem. Śmiali się ze mnie i docinali mi — nie miałem czasu się gniewać. Zarabiałem podwójnie — a i Hanka mi pomagała.

— Zbliżała się jesień, a ja już miałem z 400 marek. To mię podniecało jeszcze bardziej. Nareszcie w jeden wieczór, wożąc ziemię — spadłem do głębokiego dołu i stłukłem bok. To nic — myślę sobie, to przejdzie, minie. Dolegało mi, alem nie zważał na nic. Począłem puchnąć, bo i w budzie naszej było coraz zimniej. Deszcze lały i ziemia była mokra, na którejśmy spali. Hanka mię nagliła, byśmy jechali do domu. Kryłem się z tem, żem słabnął. Myślę sobie — póki całkiem z sił nie opadnę — nie ustąpię.

— Nareszcie skończyły się polne roboty, więc zabieraliśmy się do powrotu. Przy wypłacie kazał mi pan powiedzieć, że z Hanką mogę na zimę przy dworze zostać — bo przydamy się do niejednej roboty. Zgodziłem się, choć Hanka się temu opierała. Dano nam osobną izdebkę, a robotę mieliśmy rozmaitą. Hankę używali często do kuchni — do pokoju, bo nadawała się do każdej roboty. Ja nieraz całymi wieczorami bywałem sam w izdebce. I wtenczas przychodziły mi często dziwne myśli do głowy. Nie uwierzycie matusiu, jak ja borykałem się z temi myślami. Nie mogłem zrozumieć, czemu my Polacy w takiej żyjemy poniewierce. Serce rwało mi się w kawały, jak myślą obejmowałem wszystko, com widział. Tyle narodu naszego, tyle narodu — żyje, jak te psy — gorzej, jak te psy. — Tak nas depcą, tak nami handlują, tak nas żeną od jednego kraju w drugi — tak sobie każą służyć — a jeszcze nam w oczy plwają. — Strach. — Nasze dziewczęta — te matki przyszłe — muszą... — Ach!

— Ale niech skończę. Hanka mówiła kilka razy, że pan nasz napastował ją często, a lokaj perswadował mi, że możemy ładne mieć pieniądze, bo pan jest hojny — jak sobie którą upodoba, to jej ładne sprawi wiano. — Krew mi w żyłach się ścinała. — Chciałem już wydostać się stamtąd i uciec, lecz nas puścić nie chcieli. Zażądałem zarobionych pieniędzy — odmówili — bo pan tak kazał. Wtedy zrozumiałem całe nasze położenie — całą nędzę uczułem.

— Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia. W wilię, już późno w noc, obydwoje z Hanką siedliśmy do wieczerzy. — Mieliśmy łzy w oczach. — Strony nasze stanęły nam żywo w pamięci. Wy matusiu — sami tam w chacie — a my sieroty. — Hanka wyjęła z tobołka opłatek — ten, coście nam przysłali...

— Bóg wam zapłać...

— Jeszcze nie zdołaliśmy go rozłamać, a do okna zapukał lokaj i zawołał Hankę po imieniu. Wybiegliśmy obydwoje. On nam oznajmił, że siostra zaraz ma się stawić we dworze. Nie było rady, bo na żaden sposób ustąpić nie chciał. Co było robić. Zostałem w izbie sam — lecz nie mogłem dosiedzieć. Położyłem się. — Złe myśli szły mi jedna za drugą. — Rwałem się — motałem. — Z kątów izbiny wystąpiły jakieś poczwary i śmiały

się. — Zdjął mię strach. W mózgu uczułem ból.

— Wyszedłem na dwór i począłem biegać to tu, to tam, by się dowiewieć prawdy. Nareszcie spotkałem tego samego lokaja, który był po Hankę.

Jak mię zobaczył — śmiał się zdaleka... Skoczyłem i chwyciłem go za rękaw.

— He, he, he — twoja siostra, dobry dziś interes zrobi... pan graf przyjechał bardzo wesoły — po wilii... no wiesz — on się z nią zabawi — a jużem ci mówił... Pewnie już po ślubie — he, he, he...

Odszedł prędko, a ja stałem na śniegu nieruchomy, jak bryła lodu.

Wstrząsłem się cały — rozprostowałem ręce — bo mi się zdało, żem skostniał. Fala gorącej krwi buchnęła mi w twarz — oprzytomniałem. Pobiegłem w stronę pałacu, gdzie była sypialnia pańska. Chciałem się dostać pod okno. Nie mogłem — bo ogród ogrodzony był wysokim płotem z drutu kolczastego. Szarpnąłem furtką — zamknięta! Wtenczas rzuciłem się na parkan. Choć kolce rozdzierały mi ręce — twarz — choć czułem, że krew cieknie ze mnie — wdrapałem się na parkan i skoczyłem do ogrodu. Okno sypialni zasłonięte było szczelnie. Przylgnąłem do muru. — Usłyszałem głos siostry — urywany, proszący, potem nic. — Jakieś szamotanie, śmiech gruby, jak rechot świni, to znów prośba siostry... zgłuszone oddechy ludzkie... a potem wykrzyk tryumfu.

Pomyślałem: uciekaj, uciekaj stąd — to znów ktoś mi szepnął: Wpierw zabij.

Obejrzałem się — wszędzie pustka... Aha — to czart woła: zabij... Coraz natarczywiej woła: zabij, zabij, zabij.... Oszalały — raz jeszcze wspiąłem się i zdołałem uchwycić się ram u okien... Jak gad się zwinąłem — i całą mocą runąłem sobą w okna. — Nim graf zdołał zrozumieć, co się stało — byłem już nad nim...

— A Hanka?

— Tak, jakeście ją matusiu zrodzili...

— O Boże — zeszlij klątwę!

— Wpiłem się pazurami w gardło jego — a kolanami przygniotłem mu piersi... Wytrzeszczył ślepia, a ja dusiłem coraz mocniej — mocniej. Rwał się, rzucał, ja gniotłem coraz silniej... Aż się wyprężył, przestał charczeć.

Wtenczas oderwałem od niego ręce... Hanka leżała omdlała — blada, jak te chusty niedzielne... Spojrzałem na nią... i jak szatan wybiegłem przez wybite okno do ogrodu, — potem w pola...

Gnałem, dopóki starczyło mi sił... Potem ległem na śniegu... Jak długo leżałem — nie wiem...

Zrobiło się rano. Umyłem się śniegiem, uporządkowałem ubranie i przez lasy i pola poszedłem. W jednem mieście kupiłem bilet do granicy — skąd piechotą przywędrowałem do was — i jestem tu i będę czekał, aż przyjdą po mnie.

W Kobylanach d. 14 grudnia 1907.

HUMOR.

Na jarmarku.

— Ej Mośku! sprzedaliście mi takiego konia, co wcale nie chce żryć.

— Ny! o co wam chodzi, Michale, na dzisiejsze czasy to właśnie taki koń jest najlepszy.

W szkole.

Nauczyciel: Pietrek! Któż to stworzył te góry, które tu przez okno widać?

Pietrek: Tego ja nie wiem, bośmy się tutaj dopiero przed 6 niedzielami sprowadzili.

Prof. CZESŁAW PIENIĄŻEK.

CAR MOSKIEWSKI W NIEWOLI U POLAKÓW.

Nie było pomiędzy chrześcijańskimi monarchami okrutniejszego, niż car moskiewski Iwan, zwany Groźnym. Gdy w Polsce rządził łagodny, sprawiedliwy i szlachetny król Zygmunt August, Iwan dopuszczał się w swojem cesarstwie najstraszniejszych zbrodni. Mordował ludzi tysiącami, żywcem w ogień wrzucać kazał, kości łamał, na pal wbijał. Nie darował ni starcom, ni kalekom, ni dzieciom niemowlętom. Własnego syna przebił żelaznym grotem, którym przewiercał nogi tym, co z nim rozmawiali. Ktoby się bodaj skrzywił z bolu, gdy mu car nogę wiercił żelazem, dostawał się na tortury, gdzie mu ogień pod nogi podkładano, albo ręce i nogi wyciągano ze stawów. Zapuszczał się też Iwan w pijatyki ze swymi dworakami i różne popełniał szaleństwa. Nienawidził katolickiej wiary, więc — by ją znieważać — urządzał w swoim zamku zabawę w klasztor. Zebrał kilkuset łotrów, opojów, poprzebierał ich w różne habity zakonne, sam się także w habit odziewał, potem niby to nabożeństwo katolickie odprawiał i pił z owymi opojami i wstrętne bezeceństwa popełniał.

Tego to Iwana pobił później nasz król Stefan Batory, upokorzył go i zmusił do tego, że posłowie moskiewscy na klęczkach prosili polskiego króla, aby się na zawarcie pokoju zgodził.

Po tym okrutniku panował w Moskwie syn jego Fiedor, ale że był niedołężny, nieporadny, więc rządził za niego szwagier Borys Godunow. Ten zasmakowawszy w rządach, zapragnął zostać prawdziwym carem i dlatego kazał zabić młodszego brata carskiego Dymitra, który miał wstąpić na tron po Fiedorze; gdy zaś Fiedor umarł, Godunow carem się ogłosił.

W kilka lat potem zjawił się na dworze księcia Adama Wiśniowieckiego w Polsce jakiś młody człowiek i prosił go o przyjęcie do służby, a przyjęty opowiadał, że jest Dymitrem, bratem zmarłego cara, że uszedł śmierci szczęśliwie, bo go matka ukryć zdołała i że pragnie odebrać tron ojcowski. Zrazu nie bardzo mu ufano, ale gdy zaczął dowodzić, przekonywać, pokazywać papiery i krzyż złoty, który matka przy chrzcie włożyć mu miała na piersi, zaczęto mu wierzyć. Szczególnie zajął się nim Jerzy Mniszech, wojewoda sandomierski, teść księcia Wiśniowieckiego, a to dlatego, że ów Dymitr obiecał się ożenić z jego córką Maryą, czyli Maryną, skoro tylko carem zostanie.

Częścią z próżności, by Maryna została carową, częścią dla zyskania rozgłosu i zdobyczy wojennych, wyruszyli za zezwoleniem króla, Mniszech i Wiśniowiecki i kilku innych panów, z hufcami wojsk nadwornych na Moskwę, wiodąc z sobą Dymitra. Raźno posuwały się hufce polskie; Moskale stawali zbrojno po stronie Dymitra, stara carowa uznała go swoim synem. Godunow, pobity przez Polaków i powstańców moskiewskich, nie miał siły do obrony, a gdy nagle umarł, lud uważał to za karę Bożą i tem skwapliwiej do Dymitra się garnął.

Bez oporu poddała się stolica carów Dymitrowi, więc zasiadł Dymitr na tronie. Koronował się i ożenił z Ma-

ryną w roku 1605. Ale nie długo cieszył się koroną, bo w rok niespełna zbuntowali się przeciw niemu Moskale pod dowództwem kniaziów Szujskich, wymordowali około dwu tysięcy Polaków, przebywających w Moskwie z Dymitrem i samego Dymitra, Samozwańcem go nazwawszy, zabili, a Marynę wtrącili do więzienia.

Kniaź Wasyl Szujski ogłosił się carem, lecz wtedy zjawił się znowu inny Dymitr Samozwaniec, który zapewniał, że jest owym pierwszym i że uszedł śmierci. Chociaż było widocznem, że to oszust, popierała go garść naszych przez zemstę za wymordowanie owych dwóch tysięcy Polaków, jak równie popierali go Moskale, nienawidzący Wasyla Szujskiego. Zachwiany na tronie Wasyl, wypuszcza z więzienia Marynę, pewien, że ona najlepiej wykaże oszustwo; ale Maryna próżna, chciała być koniecznie carową, więc oszusta uznała za swego męża.

Powstały teraz w Moskwie wielkie zamieszania, rozruchy i wojna domowa. Sprzykrzyło się to Moskalom, to też znaleźli się między nimi tacy, co się na Polskę oglądać zaczęli. Wśród tego wyruszył król Zygmunt III. z wojskiem i rozpoczął oblężenie Smoleńska. Oblężenie przeciągnęło się długo i męczyło siły polskie; tymczasem car Szujski zawarł przymierze ze Szwedami i wraz z nimi spieszył na odsiecz Smoleńskowi. Było Moskali i Szwedów 48 tysięcy.

Dowiedziawszy się o tym pochodzie nieprzyjaciół hetman Stanisław Żółkiewski, wyruszył w siedm tysięcy i zaszedł nieprzyjacielowi drogę pod Kłuszynem. Było to 4 lipca 1610 r. Moskale ufni w ogromną liczbę, lekceważyli sobie naszych i zdawało im się, że jednem uderzeniem rozgonią lub zniszczą drobne zastępy hetmana Żółkiewskiego. Zajmowali bardzo wygodne stanowiska, z których napadać było im wygodnie, a na których bronić się było im bezpiecznie. Nie uląkł się hetman Żółkiewski, nie ulękły się wojska polskie, choć wypadał jeden żołnierz polski na dziewięciu Szwedów i Moskali.

Stanęli nasi w szyku bojowym; księża kapelani przejeżdżają poprzed frontem wojsk, udzielają błogosławieństwa, zagrzewają wiarę w miłosierdzie Boskie. Hetman przemawia gorącem słowem. aż oto zabrzmiały trąby i tarabany, jazda polska zerwała się jak wicher z miejsca i rzuciła się w niezliczone tłumy nieprzyjaciół; utonęła wśród nich, tylko szczęk oręża, tylko okrzyki wojenne słychać z oddali. Hetman wzniósł ręce do góry i w gorącej modlitwie polecał Bogu żołnierzy. Zdawało się przez chwilę, że ta drobna garść jazdy polskiej przepadnie w tłumie nieprzyjaciół, ale Bóg czuwał nad swym wiernym ludem. I oto coraz bardziej rozstępują się nieprzyjacielskie zastępy, zwracają się na prawo i na lewo. mieszają się, to zbijają w kłąb, aż tu jazda polska wynurza się z pomiędzy nich i uderza w te bezładne kupy. Jeden wali na dziesięciu i pędzi ich i siecze; nieprzyjaciel stracił głowę, zdjęła go trwoga straszna i nie miał już odwagi się bronić. Nasi zwarli szeregi i puszczają się w pogoń, gdy wtem wyskakują na nich Szwedzi, co dotąd udziału w bitwie nie brali. Nasi rzucają się na Szwedów z okrzykiem: „Jezus, Marya“ i znowu Bóg dodał im siły, bo i Szwedów migiem rozprószyli. Szwedzi, uciekając w największym popłochu, wpadają na moskiewską piechotę i straszne w niej czynią zamieszania. Moskale uciekają. Brat cara ugrząźł w błocie, a straciwszy w niem buty, boso uciekał, dopadłszy gdzieś lichej szkapy włościańskiej i pędząc pod Moskwę, po drodze wszędzie wołał: „Ratujcie się, jak możecie, poddawajcie się Polakom, bo wszystko stracone“.

Poległo w tej bitwie dwanaście tysięcy Moskali i Szwedów, ale i naszych zginęło około tysiąca. Cały obóz

moskiewski ze wszystkiemi armatami. z wielkimi zapasami broni, dostał się w ręce Polaków.

W Moskwie powstało ogromne zamieszanie. Bojarowie oburzyli się na cara Wasyla Szujskiego, że kraj na taką klęskę naraził, złożyli go z tronu i w klasztorze zamknęli, a obrali sobie carem królewicza polskiego Władysława, syna króla Zygmunta III. Żółkiewski pospieszył z wojskiem do Moskwy, wziął w niewolę cara Wasyla Szujskiego i jego braci i sprowadził ich do Polski.

Na rozkaz króla odprawił hetman wjazd tryumfalny w Krakowie, gdzie wiódł jeńców moskiewskich przez rynek do zamku, a ponownie urządzono taki pochód w Warszawie, gdy król do niej zjechał na sejm po zdobyciu Smoleńska.

Było to 29 października 1611 r. Ciągnął wspaniały orszak przez ulice Warszawy ku zamkowi królewskiemu. Przodem, na wspaniałych koniach, jechali pułkownicy i rotmistrze, za nimi toczyło się 60 karet, w których siedzieli najprzedniejsi dostojnicy koronni i litewscy. Za nimi, wśród orszaku rycerstwa, jechał hetman Żółkiewski, a za tym orszakiem posuwała się kareta królewska, a w niej siedział car Wasyl Szujski z dwoma braćmi swoimi. Car miał na sobie białą szatę, przetykaną złotem. Był to człowiek niezbyt wysoki, o twarzy okrągłej i śniadej; nosił okrągłą, postrzyżoną brodę. Spojrzenie miał ponure i surowe. Lud cisnął się zewsząd, by się przypatrzyć carowi i jego braciom; umiał lud uszanować nieszczęście nawet u wroga, więc też pozdrawiał cara uczciwie, a car smutnie naokół spoglądał, lecz uprzejmie za pozdrowienia dziękował.

Za carską karetą jechali różni moskiewscy wodzowie i dygnitarze, bądź pod Smoleńskiem, bądź pod Kłuszynem do niewoli wzięci.

Gdy już orszak stanął na dziedzińcu zamkowym, Żółkiewski zaprowadził cara i jego braci do sali tronowej, w której król Zygmunt III. zasiadł na tronie, otoczony senatorami. Wprowadziwszy cara i jego braci, przemówił hetman do króla uroczyście i wskazując na jeńców, łasce ich królewskiej polecił. Car Wasyl pokłonił się nisko królowi i prawą rękę schylił do stóp tronu. na znak uległości; młodszy brat cara, Dymitr, ukląkł przed tronem i uderzył czołem przed królem, a najmłodszy uderzył czołem trzy razy. Król przemówił do nich łaskawie, a potem odprowadzić ich kazał do swoich komnat, gdzie ich z wszelkiem poszanowaniem ugościł. Przez jakiś czas przebywali oni w Warszawie, a potem wywieziono ich na zamek w Gostyniu, gdzie w kilka łat pomarli. Ciała ich kazał król Zygmunt z Gostynia do Warszawy przywieźć i tam je pochował w kaplicy schizmatyckiej, którą umyślnie wybudować kazał.

Miała Polska łaskę Bożą, a z niej siłę oręża i przewagę nad nieprzyjacielem wszelkim, ale oślepiona tem szczęściem, popadła w pychę, samowolę i niezgodę, przestała szanować prawo i władzę, więc też wzmogli się nieprzyjaciele, a Polską w zaślepieniu ginęła. Tak bywa zawsze i w rodzinie i w narodzie, że gdy ludzie zaczną się kłócić między sobą i nastawać na siebie, gdy nienawistnie jedni na drugich godzą, zawsze znajdą się tacy, co z tego skorzystają, a owych niesfornych pozbawią mienia i zgubią. Już w czasach starożytnych powtarzali Rzymianie, że zgoda buduje i bogaci. a niezgoda i nienawiść przyprawia o zgubę.

Co ojcowie nasi przez swawolę stracili, to nam odzyskać trzeba przez jedność, zgodę i wytrwałą pracę.

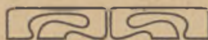

Historya Koła polskiego w parlamencie austryackim.

SZKIC ULOTNY.

Napisał ADAM NOWICKI (Wiedeń).

W pierwszym parlamencie austryackim, który w Galicyi zwano z niemiecka rajchstagiem, zwołanym na dzień 10 lipca 1848 roku, posłowie polscy nie tworzyli wspólnego klubu, lecz zasiadali w rozmaitych stronnictwach. Rozprawy tego pierwszego parlametu dostarczały niestety często sposobności do bratobójczej walki pomiędzy synami narodu poskiego. Posłowie włościańscy polscy, podjudzani przez byłego namiestnika Galicyi, hr. Stadiona, występowali namiętnie przeciwko posłom polskim, należącym do stanu szlacheckiego i inteligencyi. Zresztą często nie było zgody także pomiędzy posłami polskimi, należącymi do klasy oświeconej. Przedstawiciele arystokracyi polskiej patrzyli niejednokrotnie podejrzliwie na średnią szlachtę i na adwokatów, wietrząc w nich zakapturzonych zwolenników rewolucyi społecznej.

Przykład jednolitego i solidarnego Koła polskiego przyszedł z Berlina. Tam już podczas pierwszych sesyi sejmu pruskiego, istniejącego od trzeciego lutego 1847 r., posłowie polscy złączyli się w jednolite Koło polskie, oparte na zasadzie solidarności narodowej. Postawiono jako zasadę, że interes narodowy musi górować nad wszystkimi innymi interesami społecznymi i ekonomicznymi i że każdy poseł musi się stosować do uchwał, za któremi się oświadczy większość posłów polskich. Ponieważ praktyka od 1848—1861 roku dowiodła, że taka solidarność posłów polskich na terenie parlamentarnym wydaje dobre rezultaty dla ogółu polskiego, posłowie polscy przeto w pierwszym parlamencie austryackim (otwartym 1 maja 1861 r.) postanowili skupić sie także w solidarnem Kole polskiem. Statuty tego Koła polskiego prawie bez zmian zapożyczono z Koła polskiego w sejmie pruskim.

Galicya wysyłała wtedy za pośrednictwem sejmu galicyjskiego 38 posłów. Oczywista, nie wszyscy należeli do Koła polskiego. Wśród wybranych na podstawie ordynacyi kuryalnej byli rusini, byli i centraliści niemieccy. Bądź co bądź pierwsze Koło polskie miało o ile jestem dobrze poinformowany, przeszło 25 posłów.

W rozwoju politycznym Galicyi od

1864 roku (24 lutego) do 18 kwietnia 1865 roku nastała przerwa, wywołana zaprowadzonym w Galicyi stanem oblężenia. Podczas stanu oblężenia nie zwoływano sejmu; Rada państwowa obradowała bez posłów galicyjskich. Polacy stali wówczas w skrajniej opozycyi do centralistycznego gabinetu Schmerlinga.

Dnia 20 września 1865 roku manifest cesarski zawiesił ustawę konstytucyjną, celem poddania jej rewizyi w duchu bardziej przyjaznym dla ludów słowiańskich i dla Węgier. Nieszczęśliwa wojna w 1866 roku z Prusami i uznanie Węgier jako osobnego państwa czyli zaprowadzenie dualizmu uniemożliwiło zrewidowanie konstytucyi w duchu federalistycznym czyli w duchu sprawiedliwości narodowej. Konstytucya z 1867 roku pozostała centralistyczną, jak i jej poprzedniczka z 1861 roku.

Prezesami Koła polskiego w okresie od 1861 do 1868 r. byli Grocholski, Mikołaj Zyblikiewicz, Ziemiałkowski. Od 1868 r. stale prezydował Kołu polskiemu aż do swej śmierci Grocholski z wyjątkiem tych miesięcy od kwietnia do listopada 1871 r., gdy jako pierwszy minister galicyjski zasiadał w gabinecie hr. Hohenwarta, a potem w gabinecie przejściowym Holzgethana.

Kazimierz Grocholski urodzony w 1815 r. pod Tarnopolem, był mężem niepospolitych zdolności politycznych. Wiedział, kiedy należy być ostrożnym i wyczekującym, ale wiedział też doskonale, kiedy należy zastosować całą energię i występować z całą odwagą. Jego przemówienia w Izbie poselskiej cechował szczery i wielki patryotyzm polski. Grocholski przemawiał w Izbie poselskiej zawsze, jak przemawia Polak, nie uznający rozbiorów swej ojczyzny. Jest rzeczą charakterystyczną, że Grocholski przyjął stanowisko ministra tylko pod tym warunkiem, aby mu wolno było zasiadać na ławie ministeryalnej w czamarze i butach z cholewami. Już samym swoim strojem Grocholski chciał zaznaczać, że jest istotnie ministrem-rodakiem, mającym prawo i obowiązek bronienia interesów kraju ojczystego wobec innych ministrów. Aż do samej śmierci dnia 10-go grudnia 1888 roku w Abbazyi Grocholski zatrzymał prezesurę Koła polskiego.

Koło polskie dzięki ustawicznym reformom wyborczym i nowym ordynacyom wyborczym wzrastało w siłę liczebną z biegiem lat, ale równocześnie miało na zewnątrz do pokonywania coraz to groźniejszych wrogów. Taksamo i w samym łonie Koła polskiego przychodziło kilkakrotnie do wojen domowych.

Zaprowadzenie wyborów bezpośrednich do Rady państwa było połączone z pomnożeniem znacznem liczby posłów. Spotkała tutaj przecie Galicyę krzywda niemała. W innych krajach koronnych liczbę posłów do Rady państwa przy wyborach bezpośrednich podwojono. Tymczasem w Galicyi do tego podwojenia nie przyszło. Zamiast bowiem otrzymać 76 posłów Galicya otrzymała tylko 63 posłów. To pokrzywdzenie liczebne stawiało odrazu Koło polskie na terenie nowej Izby poselskiej w położeniu wielce niekorzystnem, ponieważ Koło polskie poniosło krzywdę dwukrotną: raz dlatego, że miało wogóle za mało mandatów w porównaniu do liczby ludności galicyjskiej, powtóre, że inne kraje otrzymały więcej przedstawicieli parlamentarnych, aniżeli się im należało. Grocholski przecież nie stracił w tych warunkach ani głowy, ani odwagi. Stanął w zasadniczej opozycyi przeciwko centralistyczno-liberalnemu gabinetowi księcia Adolfa Auersperga, równocześnie wyzyskując bardzo zręcznie momenty, gdy ów gabinet potrzebował głosów polskich podczas rosterek z własnymi stronnikami to jest niemcami centralistyczno-liberalnymi.

Koło polskie podczas wyborów w 1873 roku uzyskało 49 mandatów z Galicyi i 1 ze Śląska. Rusinów wybrano 14. Do Koła polskiego wstąpił Polak śląski Cienciała. Nadto jeden poseł galicyjski, Herman Mises zasiadł wśród lewicy zjednoczonej. Koło polskie mimo zaprowadzenia wyborów bezpośrednich uważało się w dalszym ciągu za delegacyę sejmu galicyjskiego. Dostosowywało też swoją taktykę w sprawach zasadniczych do wskazówek, mieszczących się w rezolucyach i uchwałach sejmu galicyjskiego. Grocholski pod tym względem posuwał swoją skrupulatność polityczną tak daleko, że często nie mieszał się wcale do spraw ogólno-państwowych, jeżeli nie obchodziły one bezpośrednio Galicyi i sejmu galicyjskiego.

Warto też wspomnieć, że Koło polskie nie odrazu przystało na okupacyę Bośni i Hercogowiny. Grocholski dnia 9 maja 1878 r. wniósł interpelacyę w sprawie projektowanego wejścia wojsk austro-węgierskich do Bośni. Z tonu interpelacyi wynikało, że Koło polskie nie zgadza się na okupacyę i uważa ów krok za niezgodny z interesami Austro-Węgier. Na tle okupacyi Bośni i Hercogowiny przyszło w Kole polskiem do pierwszej, bardzo charakterystycznej wojny domowej. Hausner i Ludwik Skrzyński na wiosnę 1878 r. wystąpili z Koła polskiego, ponieważ się nie zgadzali na stanowisko większości Koła polskiego wobec polityki Andraszego. Do tych secesyonistów przyłączył się poseł Wolski. Hausner w początkach listopada 1878 roku wygłosił w Izbie poselskiej mowę, której ustęp najważniejszy brzmiał jak następuje:

„Okupacya Bośni bez połączenia z zdobyciem, przeprowadzona bez tytułu prawnego, bez powodu danego do wojny, bez prowokacyi równa się ciężkiemu bezprawiu, zaborowi kraju, na który ja jako obywatel austryacki nie mogę się zgodzić, a który jako Polak muszę z obrzydzeniem potępić. W ten sam sposób bowiem, bez tytułu prawnego, bez powodu do wojny i bez prowokacyi podzielono i zniszczono moją ojczyznę. Dlatego też według mojego zapatrywania ani jeden Polak nie powinien przykładać ręki do podobnego postępowania nawet i w tym wypadku, gdy chodzi o naród pochodzenia azyatyckiego, religii mahometańskiej, i niskiej kultury“.

Gdy Hausner w parę dni później przybył do Lwowa, dnia 11 listopada 1878 r. urządzono na jego cześć pochód z pochodniami. Policya lwowska obawiała się, że ów pochód z pochodniami wyrośnie na demonstracyę przeciwko Rosyi. Dlatego też rzuciła się na uczestników pochodu z białą bronią i znęcała się nad nimi w sposób nieludzki. Rada miasta Lwowa wysłała w grudniu 1878 r. deputacyę do cesarza ze skargą na policyę lwowską. Cesarz przyrzekł, że winowajcy poniosą jak najsurowsze kary. Równocześnie przecież udzielił nagany sesesyonistom, którzy wystąpieniem z Koła zakłócili dotychczasową zgodę posłów galicyjskich.

Owa secesya z r. 1878 była jedynym wypadkiem rozłamu w Kole polskiem. Od tej pory, aż do ostatniej chwili nie przytrafiło się ani razu, by którykolwiek poseł, raz zasiadłszy w Kole polskiem, wystąpił z niego dobrowolnie. Wobec zasady solidarności narodowej cichły i usuwały się na drugi plan wszystkie różnice społeczne oraz polityczne i kwasy osobiste.

Wybory w lipcu 1879 r. wyrównały dawniejsze straty na rzecz rusinów. Koło polskie weszło do Izby w liczbie 57 członków. Pięć mandatów galicyjskich przypadło rusinom; reprezentant Izby handlowej w Brodach zasiadał na lewicy niemieckiej. Przez cały czas tej sesyi od 1879 do 1885 r. Koło polskie zajmowało w Izbie poselskiej bardzo poważne i bardzo wpływowe pod względem politycznym sta-

nowisko. Była to epoka, kiedy Koło polskie tworzyło część najwybitniejszą tak zwanej prawicy czyli większości, złożonej z Polaków, Niemców katolickich, Czechów oraz innych Słowian. Na ten okres atoli przypada także smutna sprawa sprzedajności posła polskiego Kamińskiego. Poseł Ignacy Kamiński zobowiązał się do użycia swoich wpływów parlamentarnych na to, ażeby roboty przy budowie kolei transwersalnej w Galicyi otrzymała firma barona Schwarza. W zamian za to miał otrzymać sumę 630 tysięcy guldenów. Ponieważ firma barona Schwarza wzbraniała się wypłacić tę sumę, aczkolwiek otrzymała odnośne roboty, przeto poseł Kamiński zaskarżył ową firmę do sądu. Skargę zredagował adwokat posła Kamińskiego dr. Ludwik Wolski, będący również posłem i członkiem Koła polskiego. Koło polskie odrazu uznało postępowanie swoich kolegów za niemoralne i zmusiło ich do złożenia mandatów. Stało się to 8 lutego 1885 r. W tę sprawę był również wmieszany jeszcze inny poseł, p. Zygmunt Kozłowski. Podczas śledztwa sprawy Kamińskiego, wyszło na jaw, że baron Karol Schwarz złożył dla niego w Laenderbanku 60 tysięcy guldenów. Poseł Kozłowski przecież na posiedzeniu komisyi śledczej oświadczył, że prowizyi w liczbie 60 tysięcy guldenów nie przyjął. Wprawdzie opozycya niemiecka stawiała wniosek, ażeby posłowi Zygmuntowi Kozłowskiemu wyrazić ubolewanie, iż wziąwszy list prowizyjny na 60 tysięcy guldenów dnia 2 października 1882 roku zwrócił go dopiero w listopadzie, czy też grudniu i uważał takie postępowanie za odpowiadające godności poselskiej. Do uchwalenia tego wniosku przecież nie przyszło.

Z wyborów parlamentarnych w 1885 roku Koło polskie wyszło w poprzedniej sile. Jeszcze trzy lata przewodził Kołu polskiemu Grocholski, ale już coraz bardziej wysuwał się protegowany przez niego jako zastępca i następca Apolinary Jaworski. Grocholski forytował go, ponieważ nie lubił Jerzego Czartoryskiego. Postarał się też, ażeby Jerzego Czartoryskiego powołano do Izby Panów, dzięki czemu miejsce dla Jaworskiego było wolne. Po śmierci Grocholskiego, Koło polskie pod koniec 1888 r. wybrało prezesem Jaworskiego.

Apolinary Jaworski był posłem doświadczonym, ale nie miał ani tej wiedzy, ani talentu politycznego, którymi celował Grocholski. Naśladował on metody, a nawet sposób występowania na zewnątrz Grocholskiego, lecz każdy mógł poznać łatwo, że było to tylko naśladownictwo. Rzecz prosta, że w czasie prezydowania Kołu polskiemu, Jaworski jako człowiek bardzo wpływowy niemal się nie spotykał z krytyką. Dzisiaj przecież, jako o działaczu publicznym trzeba powiedzieć, że Jaworski kierował Kołem polskiem coraz to nieudolniej. W miarę przybywania lat słabły jego zdolności umysłowe i słabła jego energia. Jaworski nie umiał w swoim czasie dopilnować dwóch spraw bardzo ważnych: reformy wyborczej za czasów Kazimierza Badeniego, podczas której z jego wolą pokrzywdzono Galicyę, dając jej w kuryi głosowania powszechnego mniej mandatów niż Czechom; powtóre już za czasów dr. Koerbera nie przypilnował rękojmi należytego wykonania ustawy kanałowej. I oto właśnie skutkiem jego niedbalstwa sprawa kanałowa bierze teraz obrót niekorzystny dla Galicyi. W ostatnich latach prezesury Jaworskiego, a mianowicie od 1895 do 1904 r. to jest do chwili śmierci nagłej Apolinarego Jaworskiego podczas sesyi sejmowej we Lwowie, znaczenie Koła polskiego w parlamencie wiedeńskim podupadało z roku na rok, ponieważ zgrzybiały starzec był za wygodnym i z uwagi na własną odpowiedzialność polityczną zbyt bojaźliwym, ażeby się podjąć jakiegokolwiek kroku, który oznaczałby akcyę

bądź w tym, bądź w owym kierunku. Koło Polskie w tych latach stało w miejscu, marnując energię na coraz to większe spory domowe, gdyż rosła w niem ilość posłów, widzących błędy Jaworskiego i nie chcących się z tymi błędami solidaryzować.

W latach, gdy Apolinary Jaworski zasiadał na ławie rządowej jako minister galicyjski w gabinetach księcia Windischgraetza i hr. Kielmansegga (1895—1898), był przez kilkanaście dni prezesem Koła polskiego poseł Baum, a po jego śmierci wybrano prezesem byłego ministra galicyjskiego Filipa Zaleskiego. Był to doskonały znawca stosunków krajowych. To też w ciągu owych dwóch lat, gdy Filip Zaleski stał na czele Koła polskiego, to ostatnie umiało zachować swój wpływ w parlamencie i w rządzie.

Po śmierci Apolinarego Jaworskiego w dniu 24 października 1904 roku wybrano z początkiem listopada na prezesa Koła polskiego pierwszego wiceprezesa Wojciecha hr. Dieduszyckiego. Był to człowiek niezwykłych zdolności umysłowych, a jak się pokazało podczas walki o reformę wyborczą również i politycznych. W chwili gdy obejmował prezesurę liczył 60 r. życia. W parlamencie zasiadał od 1879 do 1885 roku, a potem od 1895 r. Gorący patryota polski, umiał tam, gdzie chodziło o interes narodowy, zapomnieć o wszelkich interesach kastowych i konserwatywnych. Złożył tego dowód w chwili, gdy baron Gautsch pragnął narzucić niekorzystną dla Polaków ordynacyę wyborczą podczas projektowanego zaprowadzenia powszechnego i równego prawa głosowania. Hr. Dieduszycki był jako konserwatysta przeciwnikiem powszechnego i równego prawa głosowania. Gdy się jednak przekonał, że reformy nie obali, wówczas użył wszelkich sił, ażeby uratować interes narodowy polski przez odpowiednie pomnożenie mandatów galicyjskich i zabezpieczenie większej ich części dla Polaków. Równocześnie też umiał naprawić błędy, popełnione przez Jaworskiego, i przywrócić Kołu poskiemu dawne jego wpływy.

Wojciech Dzieduszycki wstąpił dnia 3 czerwca 1906 r. do gabinetu barona Becka jako minister galicyjski. Dnia 9 czerwca Koło polskie wybrało swym prezesem doświadczonego znawcę spraw i potrzeb galicyjskich pana Dawida Abrahamowicza. Starszy od Dzieduszyckiego o kilka lat zasiadał w Izbie poselskiej nieprzerwanie od 1881 roku. Bardzo pracowity, bardzo inteligentny, ciągle się uczący był doskonałym fachowym prezesem Koła polskiego. Stał przecież na czele tego Koła polskiego zbyt krótko, by się można było przekonać o jego talentach na wodza politycznego. Już bowiem 22 listopada 1907 r. został ministrem galicyjskim w miejsce hr. Dieduszyckiego.

Dnia 12 listopada 1907 r. Koło polskie wybrało 43 głosami na 49 głosujących (ludowcy nie należeli jeszcze wtedy do Koła polskiego) prezesem dr. Stanisława Głąbińskiego. Był to i jest pierwszy prezes demokratyczny Koła polskiego. Człowiek młody (urodził się w 1862 r.) bardzo światły i do zawodu politycznego przygotowany, ekonomista pierwszorzędny, ojczyznę kochający całem sercem, steruje Kołem polskiem świetnie mimo wielkich trudności zarówno w parlamencie jak i w samem Kole polskiem.

Izba poselska, wybrana przez głosowanie powszechne, tworzy teren zgoła inny, i trudniejszy, niż dawniejszy parlament kuryalny. Nadto w tym parlamencie kuryalnym zasiadało zaledwie kilku rusinów, innych zaś posłów z Galicyi wcale nie było. Obecnie klub ukraiński, oraz łączący się z nim syoniści, oraz sympatyzujący z nim często socyaliści galicyjscy tworzą czynnik, który rozmyślnie utrudnia Kołu polskiemu obronę nie tylko interesów pol-

skich, ale także i specyalnie galicyjskich. Z temi trudnościami Koło polskie spotyka się ustawicznie i musi dopiero zdobywać sobie doświadczenie, w jaki sposób je pokonywać. Odrębny rodzaj trudności tworzą głuche spory domowe w samem Kole polskiem. Stańczycy krakowscy nie mogąc pogodzić się z utraceniem dawnych wpływów politycznych, posługują się ludowcami, by rozsadzać spoistość przeważnie demokratycznego Koła polskiego i przeszkadzać pierwszemu prezesowi demokratycznemu w jego obecnej dla kraju działalności. Dawniejsi prezesi Koła polskiego prawie zupełnie nie znali tego rodzaju przeszkód wewnętrznych, ponieważ szlachecka większość o konsewatywnym programie sama gniotła bezwzględnie drobną opozycyę demokratyczną, nie czekając nawet na wezwanie prezesa.

Gdy ucichną spory partyjne, historya przyzna z czasem, że dr. Stanisław Głąbiński był jednym z najlepszych prezesów Koła polskiego.

HUMOR.

Znany dowcipniś Słowikowski, zjechawszy się z kimś innym na bardzo złej i ciasnej drodze, zawoła: ,,wara, wara, bo ci tak uczynię, jak wczoraj tamtemu''. Bojąc się nieprzyjemności od figlarza jadący ustąpił, ale potem zapytał: ,,cóż byś mi uczynił, gdybym ci nie ustąpił?'' — ,,Tobym ja się tobie był ustąpił, jak wczoraj tamtemu'', odpowiada Słowikowski.

* * *

Podróżny, idący piechotą, spotkał w drodze żyda i mówi do niego: ,,Pożycz mi reńskiego, dam ci na zastaw płaszcz pod przepadkiem, jeżeli go dziś nie wykupię''. Żyd pod tym warunkiem pożycza reńskiego i bierze płaszcz w zastaw. Przy końcu dnia, gdy dochodzą obadwa do miasta, podróżny oddaje żydowi reńskiego i płaszcz swój zabiera, mówiąc: ,,Dobrze, żeś mi ten płaszcz aż tu przyniósł, bo mi go ciężko było dźwigać''.

* * *

Niósł chłop drzewo przez ulicę i ustawicznie krzyczał: „Proszę na bok! proszę na bok!“ Wszyscy mu ustępowali z drogi, wyjąwszy jednego hardego, o którego też zawadził i surdut mu rozdarł. Porwał go natychmiast nasz panicz za ramię, zaprowadził do policyi i chciał, żeby został ukarany. Komisarz pyta: „Dlaczegoś ty rozdarł surdut jegomości“? Chłop na to otworzył gębę i nic nie mówił. „Na coś rozdarł surdut“? — powtarza komisarz, chłop zawsze milczy. „Cóż to ty niemy jesteś?“... Wieśniak znowu nic nie mówi, tylko słucha. Wtem panicz zniecierpliwiony odzywa się: „Nie jest on niemy, tylko udaje niemego, bo niema co na swoją obronę powiedzieć; słyszałem ja dobrze jak z całego gardła wrzeszczał: proszę na bok! proszę na bok!“ „Ha! kiedyś pan słyszał — odpowiedział komisarz — czemużeś z drogi nie zeszedł“?

* * *

Wspomnienie z młodych lat.

Pamiętam wielkie nieszczęście, które całą wieś dotknęło. Byłem wtedy chłopcem piętnastoletnim i właśnie przyjechałem na wieś na wakacye do rodziców. Był we wsi mój kolega i przyjaciel, co razem ze mną do gimnazyum chodził, syn zamożnego kmiecia. Poczciwy to był chłopiec, kochałem go też bardzo, a i on był dla mnie jakby brat rodzony.

Schodziliśmy się codzień, to on do mnie, to ja do niego; razem chodziliśmy po lasach, po polach, do rzeki, razem szukali raków, czasem konno uganiali, często rodzicom pomagaliśmy dopatrzeć żniwa lub młocki.

Jakoś z początkiem sierpnia, koło św. Wawrzyńca, puściły się deszcze; kapuśniak wciąż siekł, jakby to już w jesień; błoto się zrobiło wielkie i na polach i na ścieżkach, a nawet na ubijanej kamieniami drodze. Każdy siedział w domu, bo i nie było po co wychodzić; w polu żadnej roboty, na łąkach woda. Jeden czytał książki, drugi naprawiał narzędzia gospodarcze, a na nieszczęście nie brakło i takich, co w karczmie z nudów zalewali się gorzałką.

Minął z tydzień, zanim się wypogodziło i podeschło, a przez ten czas nie widzieliśmy się z kolegą i przyjacielem, bo prawie pół mili było mi do niego, a na deszcz i błoto trudno mi się tam wybrać było. Skoro się słonko pokazało i ścieżki stwardniały, idę do przyjaciela.

Ojciec jego nazywał się Jędrzej Grzela, a jemu na imię było Franuś. Przychodzę, a przed domem siedzi Grzela, fajkę trzyma w zębach, ale nie widzi nawet, że mu zgasła, bo pociąga z cybucha, chociaż dym nie idzie. Widocznie zamyślony i zakłopotany.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzeknę.

— Na wieki wieków — odpowiada Grzela, ale widocznie smutny.

— Co tak myślicie gospodarzu? Czy wam deszcz narobił szkody?

— Ej, żeby to tyle strapienia, co z deszczu.

— Mieliście już wszystko na czas w stodole, nic wam w polu nie zamokło?

— A choćby tam i zamokło, to nie tyleby się człowiek trapił.

— A cóż to za strapienie macie?

— Ano Franek już drugi dzień chory, gorączka go wzięła taka, że ani się ruszyć nie może; nie poznaje nikogo, nie je, nie pije i nie wiedzieć, co radzić?

— A cóż lekarz powiedział?

— Jaki lekarz?

— Ano lekarz czyli doktór?

— Kiedybom po doktora nie jeździł.

— Bójcie się Boga Jędrzeju, czemuż nie poszlecie po lekarza?

— Ba! żeby to człowiek wiedział, że doktór na to poradzi.

— Czemużby poradzić nie miał, skoro się przez wiele lat tego uczył — odpowiedziałem.

— Ej, co tam z tego — mówi Grzela — chociaż są doktorzy i do chorych jeżdżą, a i tak ludzie umierają. Do nieboszczki pani Zarolskiej jeździł do dworu nie jeden doktór, ale ich było aż pięciu, a i tak umarła.

— To jużciż doktór nie Pan Bóg i życia nie da, gdy je Bóg zabrać pragnie, ale ileż to razy umarłby człek marnie, gdyby nie pomoc lekarska. Nauka obliczyła, że na stu chorych, którzy radzą się lekarzy, umiera pięciu, a na stu takich chorych, którzy się lekarzy nie radzą, umiera pięćdziesięciu; tym sposobem widzimy, że lekarze wydzierają śmierci czterdziestu pięciu chorych na sto.

— Może to i prawda, ale jak wola Boska, to i lekarz nie pomoże. Jabym wreszcie nie był od tego...

Chciał coś dalej mówić Grzela, ale w tej chwili wypadła z domu Jędrzejowa zapłakana bardzo i zaczęła zwadzić:

— O mój słodki Jezu, ratujże mi dziecko moje, Franusia mego, kochanie moje. O Matko Najświętsza, pomóżże mi w strapieniu. A toć to biedactwo czerwone, gorące, a dyszy strasznie, a nie wie już o niczem, jakby dusza była na tamtym świecie.

Jędrzejowa zawodziła głośno, aż u sąsiadów słychać było. Przybiegła też zaraz sąsiadka kowalka Maciejowa i zaczęła pouczać, a potem rzekła:

— Nie trapcie się Jędrzejowa. Raz tak mojego niemoc wzięła, takusieńko gorączka go żarła: ano dałam mu krew puścić i zaraz mu ulżyło. Co tu długo myśleć, biegajcie po cyrulika, niech całą miskę upuści krwi Franusiowi, a zobaczycie, co zaraz wyzdrowieje.

Jeszcze nie skończyła Maciejowa, a już nadeszły dwie inne kobiety z sąsiedztwa i dalejże radzić.

— Ot nagotujcie wody, nalejcie do tego araku, a cukru dajcie sporo i dajcie mu wypić, to się spoci i gorączka z niego wyjdzie — mówi jedna ze sąsiadek.

— Ono to i nie złe — powiada druga — ale ja mam lepsze lekarstwo. Wysmarujcie go dobrze okowitą z mydłem, to gorączka ze wszystkiem zejdzie.

— Radzą i radzą, a Jędrzejowa nie wie, kogo słuchać, aż Jędrzej rzecze:

Możeby po doktora pojechać?

— Wdajcie się tam z doktorami — zawołała Maciejowa — to wam wnet Franka na tamten świat wyprawią. A czy to nie wiecie, jak stary Jan chorował, to mu ulżyło, gdy mu za moją poradą krew puścili, a potem, gdy sprowadzili doktora, to wnet umarł.

— Ano to i prawda — rzekną sąsiadki — a Jędrzej się zadumał bardzo.

Wziąłem Jędrzeja na bok i zacząłem go prosić, aby kobiet nie słuchał, ale zaraz po lekarza pojechał. Jędrzej mi przyrzekł, iż tak uczyni; zajrzałem więc do Franusia, ale mnie nie poznał, gorączkę miał straszną. Zapłakałem nad przyjacielem, westchnąłem do Pana Boga za nim i poszedłem do domu, bo już się ściemniać zaczynało.

Na drugi dzień o świtaniu poszedłem się dowiedzieć, co lekarz powiedział i co przepisał, ale po lekarza Jędrzej nie jeździł, bo mu kobiety odradziły, jeno cyrulik puścił krew Franusiowi, a Jędrzejowa dała mu gorącej wody z arakiem, co mu nawet przez siłę do gardła wlewali, a potem wysmarowali go okowitą. Gorączka się zwiększyła, charczał biedny Franuś, osłabiony był tak, że leżał bez ruchu.

Widząc, że mu nie poradzę, pobiegłem do księdza proboszcza i powiedziałem mu wszystko, a prosiłem, by po lekarza posłał. Ksiądz proboszcz, który Franusia bardzo kochał, zaraz posłał do miasta, a sam poszedł do Grzeli, wziąwszy mnie ze sobą.

Właśnie sąsiadki wraz z Maciejową dopytywały się Jędrzejowej, czy ich lekarstwa Franusiowi pomogły, gdy nadszedł ksiądz proboszcz. Podbiegli wszyscy, by księdza powitać, ale ksiądz nie wdawał się w długie rozmowy, tylko wprost powiedział do Grzeli:

— Przecież to z was, mój Jędrzeju, człowiek nie głupi, a mając chorego syna nie posyłacie po lekarza. Przecież stać was na to, bo człowiek z was zamożny; a gdybyście nawet biedni byli, to i tak dziecko ratować potrzeba.

— Proszę Jegomości — odpowiedział Grzela — zdałem się na wolę Bożą.

— To bardzo dobrze — rzecze ksiądz — każdy powinien polecić się Bogu i oddawać Jego najświętszej opiece, ale na to Pan Bóg dał człowiekowi rozum i wolną wolę, aby ich używał, aby się niemi ratował. Pan Bóg pomaga człowiekowi tam, gdzie człowiek rady sobie dać nie może, gdzie siły ludzkie nie starczą, ale jak Pan Bóg za was nie pójdzie do żniwa i nie wymłóci, jeno sami to zrobić musicie, aby mieć pożytek ze

ziarna, co z łaski Bożej wyrosło, tak też Pan Bóg recepty wam nie napisze i lekarstwa nie zrobi, bo na to z woli Bożej jest nauka lekarska i do niej o pomoc udać się należy.

— Ja się tam nie sprzeciwiam księdzu Proboszczowi — odezwała się jedna ze sąsiadek — ale powiem tylko tyle, że jak stary Jan chorował i już mu lepiej było, gdy doktór przyjechał, to wnet potem umarł.

— A do nieboszczki dziedziczki — wtrąciła druga sąsiadka — to aż pięciu doktorów jeździło, a przecież umarła.

Mówicie moje kobiety — odpowie ksiądz proboszcz — ale mowa wasza nierozumna. Jak kto zachoruje, po lekarza zaraz posłać powinien, bo lekarz zaradzi chorobie, gdy ona jeszcze całkiem człowieka nie zmogła. U was jest ten zły obyczaj, że posyłacie po lekarza dopiero wtedy, gdy już choroba tak człowieka zgniecie, że mu żadne nie pomoże lekarstwo. Jak kto wczas zasieje, to będzie i zbierał, a jakby kto zasiał dopiero wtedy, gdy już mrozy chwytają, toby pewnie nic z pola nie zebrał. A cóżbyście powiedzieli na to, gdyby taki zły gospodarz nauczał potem drugich, że siać nie potrzeba, skoro się nie zbiera? Potrzebny siew, ale zrobiony we właściwym czasie; pomoże i lekarz, ale także we właściwym czasie wezwany. A to znowu, co mówicie o nieboszczce pani dziedziczce, także racyi niema. Lekarz nie Pan Bóg i cudu nie uczyni i gdzie chorobę uleczyć się nie da, tam jej nie uleczy. Znowu uczynię porównanie. Co roku przecie sadzicie ziemniaki, ale nie zawsze wykopujecie jednako; zdarza się niekiedy, że i całkiem przepadną, bo zgniją. A czyż dlatego, że raz na jakiś czas ziemniaki przepadną, to już ich sadzić nie trzeba? A czyż dlatego, że niekiedy lekarz nie zdoła wyleczyć chorego, to już go nigdy nie wzywać? Źle czynicie moi ludzie, jeżeli nie wzywacie lekarza do chorych, bo tym sposobem zabijacie nieraz życie swoich najbliższych; źle też czynicie, że w chorobie używacie często najzgubniejszych dla chorego środków. Więc powiadacie, że lekarz, który przez wiele lat uczy się leczenia, nie poradzi choremu, a Maciejowa albo inna sąsiadka, co się tego nie uczyła, poradzić umie? A jak macie sprawę jaką ze sądem, to nie radzicie się żadnej sąsiadki, tylko idziecie do miasta do adwokatów. A dlaczego?

— Ha, no — powiada Grzela — bo adwokat uczył się prawa.

— A jak wam się buty podrą, czy je sami podszywacie, czy dajecie do szewca?

— A jakżebym też sam podszywał, kiedym się szewstwa nie uczył.

— A dom czyście sobie sami stawiali i sami murowali kuchnię i komin?

— Ale proszę Jegomości — powiada Grzela — przecież ja ani cieśla, ani murarz.

— A czy wy doktór? a czy te kobiety doktorki, że chorego sami leczycie? To do sprawy sądowej potrzeba adwokata, do butów potrzeba szewca, do wystawienia domostwa trzeba cieśli i murarza, a do wyratowania chorego, to już lada kto się przyda? Oj ludzie, ludzie! a cóż ważniejszego nad życie i zdrowie? do naprawienia butów szukacie majstrów, a do naprawienia zdrowia majstra wam nie potrzeba.

Wszyscy pospuszczali głowy, bo się zawstydzili bardzo, aż pierwsza Jędrzejowa pocałowała księdza w rękę i rzekła:

— Oj! prawda, prawda; jak też to ksiądz Proboszcz wyraźnie powiedział. O słodki Jezu, czemuż mi się to tak pierwej w głowie nie wyjaśniło. A idźże Jędruś, a zaprzęgajno prędko, a popędzaj konie, niech już doktór przyjeżdża.

Jędrzej zabierał się już ku stajni, ale go ksiądz proboszcz zatrzymał.

— Nie czekałem ja na was, ale sam po lekarza posłałem.

Jędrzejowie schylili się księdzu do kolan i podziękowali serdecznie za tę łaskę.

Ksiądz proboszcz wszedł do izby, popatrzył się na Franusia, za nim weszli

Jędrzejowie. Franuś był coraz słabszy. Ksiądz smutno głową pokiwał, wyszedł zaraz z izby i niecierpliwie spozierał w stronę Tuchowa, patrząc, czy lekarz nie nadjeżdża. Gdy długo już czekali, dał się słyszeć turkot za górką, a wnet potem na pagórku ukazała się bryczka plebańska z lekarzem. Wyszli wszyscy na drogę na spotkanie doktora i już teraz Jędrzejowie po nauce księdza, a nawet Maćkowa i sąsiadki z upragnieniem lekarza oczekiwały.

Wszedł do izby z księdzem plebanem i Jędrzejem, a kobietom przed domem zatrzymać się kazał; zbadał chorobę, zapisał lekarstwo, ale z góry zapowiedział, że niema wszelkiej nadziei, aby Franuś wyzdrowiał, bo puszczenie krwi odebrało mu siłę, a ów arak powiększył gorączkę, zaś owo smarowanie okowitą do reszty chorobę zwiększyło.

Ponieważ u Franusia była choroba bardzo zaraźliwa, co ją tyfusem plamistym nazywają, przeto rozkazał lekarz, aby natychmiast z izby, w której Franuś leżał, przenieść inne dzieci, zakazał też chodzić ludziom do Grzelów, aby się zaraza po wsi nie rozniosła, a wójta wezwawszy surowo mu polecił, aby natychmiast dał znać do lekarza powiatowego w Starostwie, gdyby jeszcze kto we wsi na tyfus plamisty zachorował.

Było też płaczu i narzekania nie mało. Jędrzejowie gorzko żałowali, że się odrazu nie poradzili lekarza, a jeszcze bardziej sumienie gryzło, że usłuchali rad swoich sąsiadek. Brat Franusia zabrał się z lekarzem do Tuchowa do apteki po lekarstwo, ale zaledwie z nim wrócił, zaniemógł i znowu w gorączkę popadł taką samą jak Franuś.

A że to według zwyczaju dużo ludzi chodziło przedtem odwiedzać Franusia, w kilka dni już we wsi było kilku chorych na tyfus, a w tydzień w całej wsi choroba kładła ludzi. Zjechała komisya i lekarz powiatowy, lekarz z Tuchowa; ratowali, oddzielali chorych od zdrowych, zapisywali różne kwasy do polewania domów, pościeli, aby zarazki niszczyć. Franuś tymczasem gasł widocznie, a nawet nie miał na tyle przytomności i siły, by się wyspowiadać. Ksiądz proboszcz odmówił modlitwę, Franuś westchnął i dusza jego poszła do Boga.

Umarł mój najlepszy przyjaciel; chłopiec cnotliwy, a taki zdolny, że nie było od niego w całem gimnazyum zdolniejszego. Mógł był wysoko stanąć w świecie. Rzewnie płakałem na jego pogrzebie, ale któż opowie o ciężkim żalu rodziców? Kochali oni swe dziecko całem sercem, to też nie mogli się uspokoić po jego stracie. Bóg im zesłał w tem pociechę, że brat Franusia, zuchowaty parobczak, wyzdrowiał szczęśliwie, bo już nie leczyły go baby, sąsiadki, ale doktor z Tuchowa.

Gdzie chorych dobrze pielęgnowano, gdzie słuchano i wypełniano wszystko dokładnie, co polecili, dźwigali się chorzy i z pomiędzy takich umarło tylko dwóch, a było takich trzydziestu z okładem. Ale uparta Maćkowa nie słuchała rad lekarskich, nie pilnowała tego, co lekarz czynić kazał, robiła po swojemu i pogrzebała męża i dwoje dzieci podrosłych. Obie sąsiadki Grzelów, co to arakiem i okowitą leczyły, umarły.

A że we wsi znalazło się ze trzydzieścioro takich, co albo taili chorobę, by lekarz do nich nie zajrzał, albo nie zważali na rozkazy lekarskie, to też zmarli.

Mnie jakoś ustrzegł Pan Bóg od choroby i nikt też u nas w domu na nią nie zapadł, bośmy się strzegli, a czynili wszystko, co lekarze czynić kazali. Ale co to za smutek był we wsi! Nie było domu bez łez, bez żalu, bez żałoby.

Minęły lata prędko; już szósty krzyżyk przybył mi od owego czasu. Jedrzejowie już zmarli, z dawnych ludzi mało kto został. Józek Grzela miał już żonę i dorastające dzieci, a był teraz wójtem. Zdarzyło się znowu nieszczęście, że u niego zachorowała córka na wielką gorączkę. Skoro tylko dojrzał choroby, zaraz dał dziewczynę do osobnej izby i posłał po doktora. Lekarz powiedział, że to czarna ospa, rozkazał ostrożność, nie pozwolił

nikomu do chorej się zbliżać, tylko matce, a zakazał jej od chorej do innych chodzić dzieci. Zapisał różne polewania, lekarstwa. Józefowie pilnowali dobrze wszystkiego i za łaską Bożą dziewczyna wyzdrowiała, a we wsi nikt się od niej nie zaraził.

Gdyby się tak zrobiło przed laty, byłby żył mój Franuś, nie byłaby się zaraza rozeszła po wsi.

Opowiadam to prawdziwe zdarzenie ku przestrodze i nauce, aby każdy pamiętał, że z chorobą niema żartu, że należy natychmiast lekarza wezwać, gdy się choroba pojawi.

Cz. P.

Jodła i król wężów Żilwinas.

(Baśń ludowa, przełożona z litewskiego).

Niegdyś, za bardzo dawnych czasów, żyło pewne małżeństwo i miało dwunastu synów i trzy córki. Najmłodsza i najukochańsza córka nazywała się Jodła.

Pewnego letniego wieczoru wszystkie trzy siostry poszły do pobliskiego stawu do kąpieli.

Gdy wypluskały się w wodzie dostatecznie i wyszły na brzeg, spostrzegły z przerażeniem, że na ubraniu Jodły leży ogromy wąż. Najstarsza skoczyła z kijem chcąc go odpędzić, lecz wąż przemówił ludzkim głosem:

— Jodło, daj mi słowo, że zostaniesz moją żoną, wówczas usunę się dobrowolnie.

Jodła zalała się łzami i łkając wyrzekła:

— Oddaj mi ubranie i zostaw mnie w spokoju.

Wąż jednak nie ustępował i powtórzył raz jeszcze:

— Daj mi słowo, że zostaniesz moją żoną, to pójdę sobie.

Przelękniona dziewczyna przyrzekła mu w końcu, nie wiedząc jak się uwolnić od natrętnego gościa.

Trzy dni potem, ujrzano wielki zastęp wężów pełznących w kierunku chatki rodziców Jodły. Pokryły one cały płot otaczający zagrodę, a kilka weszło do wnętrza chaty, gdzie zgromadzoną była cała rodzina młodej dziewczyny. Było to poselstwo swadziebne, mające prosić o rękę Jodły dla króla Żilwinasa.

Przestraszeni rodzice nie chcieli oddać swej córki, widząc jednak tak wielką liczbę gadów, obawiali się im sprzeciwiać i z rozpaczą w duszy zmuszeni byli uledz przeważającej sile.

Węże z radością opuściły zagrodę, uprowadzając z sobą pannę młodą.

Rodzice i rodzeństwo pożegnali czule swą najmilszą pieszczotkę i opłakali rzewnemi łzami, gdyż przekonani byli, że te szkaradne stworzenia zamordują ją z pewnością.

Tymczasem Jodła przybyła ze swym licznym orszakiem nad brzeg morza. Na spotkanie jej wyszedł młodzieniec cudnej urody, powitał ją jako narzeczoną i powiedział, że jest właśnie tym wężem, któremu przyrzekła swą rękę.

Jodła zdziwiła się i ucieszyła, że jej przyszły mąż nie jest wcale tak straszny, jak myślała, lecz przeciwnie, olśnioną została pięknością Żilwinasa.

Wszyscy udali się na pobliską wyspę i spuścili się do głębin niezmie-

rzonych, leżących aż pod dnem morskim. Tutaj wznosił się cudowny pałac, mieszkanie Żilwinasa, króla wężów. Sprawiono zaraz huczne wesele, ucztowano i bawiono się przez tygodnie.

Jodła szczęśliwą była i zadowoloną zupełnie ze swego losu, zapomniała nawet o swej rodzinie pozostałej tam gdzieś na powierzchni ziemi.

Tak upłynęło dziesięć lat. Jodła doczekała się już czworga dzieci, 2-ch synów: Dęba i Jèsiona i 2-ch córek: Brzozy i Osiny.

— Matusiu, a gdzie mieszkają twoi rodzice? — zapytał raz matki najstarszy jej syn Dąb.

Wtedy przypomniała sobie Jodła o starej matce, ojcu i rodzeństwie, zapragnęła gwałtownie ich odwiedzić i dowiedzieć się co się z niemi dzieje.

Zaczęła prosić męża, żeby jej pozwolił pójść z dziećmi do rodzinnej chatki i przekonać się, czy żyją jeszcze jej rodzice.

Żilwinas niby chętnie przychylił się do jej prośby, ale postawił jeden warunek.

— Dobrze — rzekł, naprzód musisz uprząść motek przędzy jedwabnej, który leży w komorze.

Jodła zabrała się pilnie do pracy, przędzie i przędzie nie ustając ani na chwilę przez kilka dni, lecz roboty wcale nie ubywa.

— Czary w tem być muszą — myśli sobie i idzie do pewnej staruszki uważanej powszechnie za bardzo mądrą wróżkę.

— Poradźcie mi — błaga serdecznie, — co mam zrobić, żeby dokończyć zadanej mi roboty.

— Wrzuć motek do pieca — odrzekła wróżka — jedwab się nie spali, tylko urok wyjdzie z niego i wtedy będziesz mogła skończyć przędzenie.

Jodła posłuchała rady, wrzuciła kądziel do ognia i ujrzała straszną, ogromną ropuchę, która wiła się na ogniu. Wtedy zrozumiała, że to stworzenie wypuszczało z siebie nitki jedwabne i dlatego przędzy nie ubywało wcale. Teraz szybko skończyła robotę i pobiegła do męża prosząc, żeby ją puścił do rodziców.

— Zaczekaj jeszcze trochę — odparł Żilwinas — masz tu żelazne buciki, gdy je zedrzesz, wtedy puszczę cię już z pewnością.

Jodła włożyła obuwie, lecz pomimo wszelkich usiłowań zedrzeć ich nie może, a tęsknota coraz więcej dręczyć ją zaczyna, a widzi że tych bucików do końca życia jej wystarczy. Idzie więc znowu po radę do starej wróżki.

— Zanieś te buciki do kowala, niech je dobrze przepali na ogniu, wtedy je zedrzesz odrazu radzi staruszka.

I rzeczywiście przepalone buciki w trzy dni już były zdarte zupełnie.

— Teraz już puść mnie — prosi Jodła swego męża.

— Dobrze — rzekł Żilwinas — ale musisz przecież zanieść jakiś podarek dla twych rodziców, upiec przynajmniej dobrych, białych bułek.

Jodła i teraz posłusznie zabrała się do roboty, a tymczasem Żilwinas kazał pochować wszystkie naczynia.

— Jodła w tym nowym kłopocie poradzić sobie nie umie, biegnie więc jeszcze do wróżki.

Ta dała jej sito, kazała zalepić je ciastem, wtedy będzie mogła przynieść w nim wody i zamiesić ciasto.

Żilwinas nie mógł już się dłużej opierać i Jodła pożegnawszy się czule z mężem, zabrała dzieci i poszła do rodzinnej chatki.

Mąż odprowadził ich, przeprawił przez może i tu jeszcze raz pożegnał swą żonę i dzieci.

Zalecił Jodle, żeby tylko trzy dni bawiła u rodziny, a wracając, niech zawoła:

„Żilwinasie, mężu mój, wypłyń do mnie! Jeśliś żywy, mleczna piana, gdybyś nie żył — krwawa piana niech się ukaże“.

— I wiedz o tem — dodał w końcu — że jeśli krwawą pianę ujrzysz na morzu, to mnie niema między żywymi. Wy dzieci, nie mówcie nikomu jak na mnie trzeba wołać.

Ogromna radość zapanowała w rodzinie, gdy zobaczyli dawno opłakaną córkę i siostrę.

Nie ustawała procesya bliskich i dalszych krewnych i sąsiadów, wszyscy ciekawi byli dowiedzieć się co się działo z Jodłą przez tak długi czas i czy życie jej z wężami szczęśliwe było.

Dziwili się i kiwali głowami, gdy im opowiadała te wszystkie cuda, wśród których żyła i o swym pięknym i dobrym mężu.

Jodle dobrze było w gronie rodziny i przyjaciół i nie spostrzegła się nawet, gdy zamiast naznaczonych 3-ch, upłynęło już 9 dni.

Tymczasem bracia jej i siostry rozmyślali, jakby tu zatrzymać ją u siebie na zawsze. Postanowili od dzieci dowiedzieć się, jak matka za zawołać na swego męża i poznwszy umówione hasło, zgładzić Żilwinasa.

Naprzód więc zabrali z sobą do lasu najstarszego Dęba, zaczęli go wypytywać, lecz chłopiec nic powiedzieć nie chciał. Wujowie zarozili mu biciem, ale i to nie pomogło. Widząc, że nic nie poradzą z odważnym dzieckiem, nakazali mu milczenie przed matką i wrócili do domu. Nazajutrz tę samą próbę powtórzyli z Jesionem, potem z Brzozą, ale żadne z tych dzieci nie chciało wydać rodziców, pomimo bicia i strasznych gróźb wujów.

Nareszcie przyszła kolej na najmłodszą Osinę. Dziecko z początku też powiedzieć nie chciało, ale zobaczywszy rózgi, przelękło się bardzo i wyznało wszystko.

Wówczas dwunastu braci udało się na brzeg, i wywoławszy Żilwinasa zgładzili go ze świata okrutnie.

Jodła po dziewięciu dniach pożegnała ostatecznie rodzinę i nie przeczuwając nic złego, poszła nad morze.

Zaczęła wołać Żilwinasa. Zafalowała woda i skłębiła się aż do dna i zobaczyła krwawą pianę ukazującą się na powierzchni; jednocześnie usłyszała głos męża z głębi morza.

— Bracia twoi zamordowali mnie, Osina wydała im nasze hasło.

Gorzko zapłakała biedna Jodła i wyrzekła głosem głębokiego bólu.

— Osino, staniesz się drzewem, które zawsze drżeć będzie ze strachu i smutku, gdyż zdradziłaś swoich rodziców przez tchórzostwo. Synowie moi, Dębie i Jesionie, i ty wdzięczna Brzozo, też zamienicie się w drzewa, i będziecie ozdobą lasów po wszystkie czasy. Ja zaś, niepocieszona wdowa, wrosnę tu w ziemię jako jodła poważna i uroczystym szumem mych gałęzi, zawsze opłakiwać będę stratę mego męża.

Tak się też stało jak rzekła Jodła, na miejscu gdzie stali wyrosły cztery piękne, silne drzewa, a piąta wątła osina zaraz drżeć zaczęła i szeleścić swymi listkami z żalu, iż stała się przyczyną tak bardzo wielkiego nieszczęścia.

HUMOR.

W wojsku.

Lekarz do rekruta: Co ci dolega?

Rekrut: Nie mogę jeść chleba komiśnego.

Lekarz: Dlaczego?

Rekrut: Bo mi go inni wezmą i zjedzą.

Słuszna przyczyna.

— Choć grosik, litościwa osobo!

— Macie, ale czy nie możecie pracować?

— Módz to bym co prawda mógł, proszę wielmożnej pani, ale na chęci mi zbywa.

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

ELIZA ORZESZKOWA.

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie“, mówi jeden z wieszczów naszych, jeden z największych poetów, Zygmunt Krasiński, gdy w „Psalmie dobrej woli“ zwraca się z gorącą modlitwą do Boga, aby „nam dał dobrymi czynami samych zbawić siebie“ z tej niedoli narodowej, z tego ucisku, jakiego naród nasz doznaje.

Eliza Orzeszkowa.

Dał nam Bóg piękną ziemię, urodzajną, bogatą; dał nam zdrowie i siłę dla ciała; wiele szlachetnych, wzniosłych porywów dla duszy; dał cnót nie mało; a cośmy z tymi darami czynili i uczynili, co z nimi dziś czynimy, na to odpowiadają dzieje narodu. Zmarnowaliśmy ich wiele, zmarnowaliśmy wysiłki wielkich królów i bohaterów, zmarnowaliśmy wspaniałą przeszłość narodu, a dziś marnujemy dobro powszechne hałaśliwymi sporami, a niekiedy i zawiścią polityczną.

Zmarnowaliśmy i marnujemy wiele, ale nie wszystko. Nie zmarnowaliśmy miłości ojczyzny, nie zmarnowaliśmy i nie marnujemy wiary w lepszą przyszłość narodu. I ta miłość ojczyzny, ta wiara, iż prawdą jest, że „Jeszcze Polska nie zginęła“ sprawiają to, że mimo waśni politycznych stronnictw, mimo wybryków hałaśliwych agitacyj, pracujemy uczciwie i wytrwale, „aby dobrymi czynami samych zbawić siebie“, aby narodowi lepszą przyszłość zbudować.

Tę miłość ojczyzny, tę wiarę w odrodzenie narodu, piastują w narodzie naszym kobiety, bardziej może, niż u innych narodów. One też są jednym z tych darów Bożych, narodowi naszemu udzielonych, bo w ich sercach było zawsze ognisko patryotyzmu, bo w ich duszach była zawsze gotowość do pracy dla dobra narodu.

Stawały do boju i przelewały krew za ojczyznę, jak Emilia Platerówna. Dodawały rycerzom odwagi i chroniły ich od upadku ducha, jak Chrzanowska w Trębowli. Stawały na straży cnót niewieścich i uczciwości małżeńskiej, jak Małgorzata z Ziębocina; bywały wzorem, przykładem dla monarchów, jak dbać o dobro i sławę narodu, jak królowa Jadwiga. Uczyły poświęcać dostojeństwa ziemskie dla chwały Bożej i pożytku ludzi, jak św. Salomea, św. Kunegunda, św. Helena, niewiasty z królewskiego rodu, i święta Bronisława z Odrowążów,

Kobiety w narodzie naszym przewodniczyły też w pracy nad oświatą ludu. One to zakładały po dworach szkółki i ochronki, za co częstokroć złośliwe rządy obce na więzienia je skazywały. Kobiety w narodzie naszym chwytały za pióro i tworzyły znakomite dzieła pisarskie, a zawsze z uczciwą myślą, z uczuciem bogobojnem i patryotycznem.

Takich kobiet, co pisały u nas książki rozmaitej treści, w rozmaitych czasach, w ciągu kilku wieków, liczymy przeszło czterysta. Wiele z nich zyskało sławę szeroką nie tylko u nas, ale i u innych narodów, bo ich dzieła na obce języki chciwie tłómaczono.

W naszych czasach żyje, pisze, pracuje w piśmiennictwie około trzydziestu kobiet, których nazwiska znane na całym obszarze ziem polskich. Jedna z najznakomitszych, jedna z najbardziej zasłużonych, najpowszechniej znanych, Eliza Orzeszkowa, zmarła 18 maja.

Dotkliwy to cios dla piśmiennictwa, dotkliwy dla narodu, bo ś. p. Orzeszkowa wiernie i pożytecznie sprawie narodowej służyła. Każda jej książka była pożytkiem wielkim, pokarmem ducha zdrowym, ożywczym. Nie pisała po to, aby sławę sobie zjednywać, jeno by uczyć i nauczyć, czego było potrzeba. A miała do tego siłę i zdolność dostatnią, bo serce pełne miłości Boga, Ojczyzny i ludzkości, a rozum głęboki, bystrość umysłu niepospolitą.

Ukochała swój naród cały, ale najbardziej tych, co w nim najbiedniejsi, co najbardziej potrzebują oświaty i braterskich uczuć, co w dziejach stawali na szarym końcu. Wszędzie, w każdej książce, czy o bogatych opowiada, czy o biednych, o wykształconych, czy o tych, co się z ciemnoty nie wydobyli, zawsze i wszędzie Orzeszkowa pełną jest chrześcijańskiego ducha, ducha miłości i sprawiedliwości.

Domaga się oświaty, piętnuje ciemnotę, zabobony, zbytki, wielbi pracę,

zapobiegliwość, skromność, poprzestawanie na małem. Nawoływa do sumiennego pełnienia obowiązków wszelakich, obowiązków względem Boga, Ojczyzny, narodu i powszednich, w życiu codziennem. Wskazuje i przypomina, że cnota, oszczędność, wytrwałość, pilność i pracowitość są najsilniejszemi podwalinami doczesnego szczęścia. Ostrzega przed życiem płochem, przed dogadzaniem lekkomyślnym zachceniom. Zajmuje się pożyciem małżeńskiem, wychowaniem dzieci, losem kobiet, ich dolą i niedolą; wykazuje zgubne skutki słabości rodzicielskiej w wychowaniu dzieci. Maluje życie we dworze i w chacie, rozpatruje się też w sprawach ludności żydowskiej.

W powieściach Orzeszkowej jest prawie cały nasz światek polski taki, jakim jest i jakim być powiniem, dążąc ku lepszemu, chcąc się doskonalić.

Eliza Orzeszkowa urodziła się na Litwie, niedaleko miasta Grodna, we wsi Milkowszczyźnie, w r. 1842. Po rodzicach nazywała się Pawłowska. Bardzo wcześnie, bo w siedmnastym roku życia wyszła za mąż, za obywatela ziemskiego, Piotra Orzeszkę i osiadła w majątku mężowskim, Ludwinowie, koło Kobrynia. Mąż jej, człek bardzo zamożny, ale znacznie od niej starszy, jakoś nie zdołał wyrozumieć należycie porywów pisarskich młodej, utalentowanej kobiety, a i nie rad był z tego, iż żona lgnie do książek i do pióra. To też nie było jakoś należytego w małżeństwie porozumienia i po sześciu latach niezupełnie pogodnego pożycia małżeńskiego, wróciła Orzeszkowa do domu rodziców, a potem zamieszkała w Grodnie i teraz z zapałem i swobodą zabrała się do pracy pisarskiej.

Były to czasy bolesne dla całego narodu, a na Litwie wprost przerażające. Rząd rosyjski mścił się za powstanie 1863 roku, mścił się z taką srogością, jakiej Europa nie znała. Mścił się wszędzie w ziemiach polskich, którėmi władał, ale na Litwie to już nie zemsta była, nie prześladowanie, ale wprost tępienie narodu, mordowanie, dokonywane przez owego hrabiego Murawiewa, którego sami Rosyanie „wieszatelem“ nazywali, bo tysiącami skazywał Polaków na szubienicę, więzienie srogie, lub na wygnanie do Sybiru.

Straszne nastało przygnębienie w narodzie całym. Wszędzie krew, łzy, żałoba, nędza, bo rząd rosyjski zabierał Polakom ziemię, a rozdawał ją Rosyanom. Dobra szlacheckie swoim jenerałom, role włościańskie swoim chłopom, z głębi Rosyi sprowadzanym. Nie wolno było na Litwie mówić po polsku; klasztory zabierano dla rządu, a rozpędzano zakonników; kościoły zamykano lub zamieniano na szyzmatyckie cerkwie.

Rozpacz ogarniała. To też smutek i żałoba były wszędzie, a i w książkach. A to było nie dobre. Jak w życiu codziennem, gdy dotknie człeka nieszczęście, nie trzeba tracić ducha, jeno krzepić się wiarą w pomoc Bożą i we własne siły, tak i w życiu narodowem. Gdy człek na duchu upadnie, nie dźwignie się, niedola go zgnębi, pożre.

Rozumiała to Orzeszkowa i chociaż kiedy niekiedy coś strasznie smutnego napisała, przecież na ogół takie wydawała książki, z których wlewała się otucha w serca zbolałe, a rozjaśniały myśli zachmurzone.

A tych poważnych, nauczających, a bardzo ciekawych, zajmujących powieści napisała kilkadziesiąt przez lat czterdzieści kilka.

W powieści pod tytułem „N i z i n y“ przedstawia kochającą matkę, biedną wieśniaczkę, co grosz, ciężką pracą całego życia uciułany, poświęca na to, aby uwolnić chorowitego syna od poboru do wojska rosyjskiego. Straciła mienie, nędzarką została, a syna nie ocaliła.

W powieści „Dziurdziowie“ daje odstraszający obraz ciemnoty ludu i zabobonów. Była we wsi młoda, urodziwa kowalicha Pietrusia. Ciemnym ludziom się uroiło, że to czarownica, co na całą wieś nieszczęście ściąga, więc w noc zimową, gdy zawieja śnieżna huczała, zabili ją kijami.

W powieści „Cham“ jest rybak Paweł, nieszczęśliwy bardzo, bo rozmiłował się w zepsutej dziewczynie z miasta i ożenił się z nią. Niegodziwa była, odbiegła męża, goniła po świecie, a nawet dziecko mu przyniosła w dom, ale cudze, nie jego. Zabiła się potem, a Paweł dziecko jej wychowywał i modlił się za jej duszę gorąco i żarliwie. Takie to było potężne uczucie chrześciańskie w sercu owego „Chama“.

„Eli Makower“ jest powieścią niezwykłą w piśmiennictwie naszem, bo cechuje stosunki chrześcian z żydami. O tem mało kto pisywał.

Może jeszcze ciekawszą jest powieść pod tytułem: „Meir Ezofowicz“. Jest w niej obraz życia czysto żydowskiego, różnych pojęć, jakie istnieją między żydami,

Może najpiękniejszą ze wszystkich jest powieść: „Nad Niemnem“. Z niej płynie nauka, że naród nie zginie, dopóki kocha ziemię, trzyma się jej, nie puszcza z rąk pługa i wytrwale na roli pracuje. Z rolników odradzają się narody i rolnicy są pniem zawsze zdrowym, z którego rozrastają się gałęzie narodu.

Nie sposób wymieniać tu wszystkie tytuły i o wszystkich powieściach wspominać. Wspomniałem o tych, co ze wszystkich ciekawych najciekawsze, a jak w nich myśli głębokie i uczucia piękne, a nauka pożyteczna, tak i we wszystkich innych.

Odczuł też cały naród tę bolesną utratę znakomitej pisarki i na pogrzebie cześć okazał jej zasłużoną. Pogrzebem zajął się komitet, na którego czele stanął książę Drucki-Lubecki. Tłumy ludu zebrały się na pogrzeb. Przybyło z różnych ziem polskich przeszło sto rozmaitych deputacyj, a nawet żydzi deputacyę wysłali. Dziesięć mów wypowiedziano nad grobem, a każda płynęła z serca, a każda wielbiła jedną z najznakomitszych kobiet, jakie polska ziemia wydała.

Cześć jej pamięci!

FIGLE STAROPOLSKIE.

W XVI wieku za panowania królów Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych żył w Polsce Łukasz Górnicki, człowiek uczony, który napisał wiele pięknych i mądrych książek. A najlepszą z nich jest „Dworzanin polski“; w niej opisuje, jakim powinien być młody Polak, jeżeli chce być nietylko porządnym, rozumnym i dobrym obywatelem, lecz i człowiekiem miłym ludziom, przez wszystkich lubianym i szanowanym. Górnicki był sekretarzem króla Zygmunta Augusta, stąd przypatrzył się wielu rzeczom i wielu ludziom, znał najznakomitszych mężów, słyszał wiele opowiadań o ludziach znakomitych u obcych narodów — mógł więc łatwiej niż kto inny taką książkę napisać. Dla nas ta książka ma jeszcze jedną wielką wartość, bo dowiadujemy się z niej ciekawych rzeczy o tem, jak to nasi przodkowie przed 400 laty żyli, czego się uczyli, jak pracowali, a nawet jak

się bawili, co jedli i pili, jak sobie żartowali czyli figlowali.

Otóż z tego „Dworzanina“ wyjmujemy opis paru zabawnych figlów przodków naszych. Górnicki tak je opowiada:

Było dwóch przyjaciół, jeden zwał się Pukarzewski a drugi Skotnicki. Obaj lubili dobrze zjeść, a jeszcze lepiej się napić. Obaj przytem lubili sobie żartować i jeden drugiemu, kiedy tylko mógł, figle płatał.

Otóż raz Pukarzewski zaprosił Skotnickiego na wieczerzę. Przy jedzeniu zaczęli pić, ale że żaden jak to mówią, wina za kołnierz nie wylewał, przeto niejedna butelka była wypróżniona. Ale Pukarzewski miał widocznie mocniejszą głowę, bo jeszcze dobrze trzymał się na nogach, kiedy Skotnicki już ani językiem ani nogami ruszać nie mógł. Wtenczas Pukarzewskiemu przyszło do głowy zażartować sobie z przyjaciela. Kazał więc sługom swoim zanieść Skotnickiego do piwnicy i położywszy go na ziemi skuć łańcuchami jak zbrodniarza i zamknąć go na kilka kłódek, straż u drzwi postawiwszy. Skotnicki będąc okrutnie pijany, nic nie wiedział, co się z nim stało. Otóż przespawszy się kilka godzin, ocknął się nade dniem i zawołał: „co się dzieje? ki mnie dyabeł tak wsadził? przebóg, gdzieżem? jest tu kto? odezwij się proszę“. Gdy na pierwsze wołanie nic mu nie odpowiedziano, począł znowu wielkim głosem wołać: „jest tu kto? przebóg proszę cię odezwij mi się“. Dopiero wtedy strażnik wyuczony odezwał się mówiąc: „Jestem tu ja i są inni — czego chcesz?“ Na to zapytał się Skotnicki: „a ty ktoś miły bracie?“ Strażnik mu odpowiedział: „my tu trzymamy straż nad tobą, abyś się nie wyłamał“. Zdziwiony i przestraszony Skotnicki zapytał: „bójcie się Boga, któż mię to i z jakiego powodu w te żelaza wsadził“ — na co odpowiedział strażnik: „jakto? nic nie wiesz? no to się dowiesz, gdy cię za dnia na miejsce stracenia wywiodą“. Zamilkł przerażony Skotnicki, pomyślał trochę i znowu rzekł do strażnika: „ależ mój najmilszy bracie, proszę cię na Boskie miłosierdzie, powiedz mi, com uczynił, bo ja, przysięgam ci na Boga żywego, nie wiem, ani pamiętam, abym cośkolwiek komu złego zrobił“. Na to strażnik: „czyż nie pamiętasz, że chciałeś porwać poczciwą dzieweczkę, a ojca jej, kiedy zaczął jej bronić, zabiłeś“. Usłyszawszy to Skotnicki krzyknął: „o niestety! lepiej żebym na świat był nie przychodził. O bezecne pijaństwo! do czegoś to mnie dowiodło, iż oto marnie a sromotnie gardło dać muszę. Czemużeś Ty mnie raczej Panie Boże w onych wojnach, gdziem bywał, zginąć nie dał, żebym był nigdy na katowskie ręce nie przychodził. Ha! Pukarzewski, przyjacielu, odpokutuję ja za twoje winy. Oby mię pierwej na sztuki posiekano, niżem do twojej gospody pójść pomyślał“. I tak dalej lamentował Skotnicki przeszło pół godziny. Potem zaczął pytać straży: „a moi mili braciszkowie, wielu was tu mnie strzeże?“ Odpowiedział mu inny już z owej straży, a nie ten co pierwej: „sześciu nas jest tutaj“. Wtedy Skotnicki prosił, aby jeden z nich miał nad nim miłosierdzie i poszedł po którego z jego służących. „A czy ty mniemasz, że oni są wolni — odpowiedział strażnik — w takiem samem są więzieniu jako i ty“. Więc Skotnicki zaczął znowu narzekać: „nieszczęśliwy ja człowiek, czegóżem ja doczekał!“ Po długiem narzekaniu uprosił wreszcie jednego, iż, kiedy dnieć poczęło, poszedł po pana Kaspra Maciejowskiego, który był wielkim panem i przyjacielem Skotnickiego, a który o wszystkiem już wiedział i był w pogotowiu. Kiedy Maciejowski przyszedł ze swoimi towarzyszami, potwierdził to wszystko, co strażnicy mówili, tak, że nieborak Skotnicki ledwie nie umarł

ze strachu. Nakoniec zlitowali się nad nim i posyłając niby to do tego, to do owego wielkiego pana o wstawienie się do króla, tyle niby wyrobili, iż puszczono go z więzienia na słowo, iż nie ucieknie, aby mógł starać się u krewnych zabitego o załagodzenie sprawy. Gdy ucieszony Skotnicki za tak łaskawe staranie panu Maciejowskiemu dziękować począł, wstrzymać dalej śmiechu drudzy nie mogli i rzecz cała się odkryła. Skotnicki oprócz strachu, którym go dobrze nakarmiono, jeszcze się długo wstydzić musiał, gdy mu kto owo więzienie i łańcuchy wspominał.

Więc iż go tem często drażniono i on też o tem myślał, jakoby ten żart Pukarzewskiemu oddać. Otóż raz w rok podobno potem, obaczywszy Pukarzewskiego podpitego, zaprosił go do swojej gospody i tam go tak upoił, iż ręką i nogą władać nie mógł. Kiedy Pukarzewski już o Bożym świecie nie wiedział, posłał Skotnicki po znajomego sobie felczera, czyli jak dawniej mówiono „balwierza". Otóż temu felczerowi czyli balwierzowi kazał Skotnicki, aby Pukarzewskiemu połowę twarzy plastrami zalepił i zawiązał, jak się to rannym czynić zwykło. Balwierz posłuszny wnet to sprawił śpiącemu Pukarzewskiemu, wargi plastrami zalepił, chustami obwinął głowę i przeniósł go na inną lepszą pościel, którą tamże w izbie Skotnicki posłać rozkazał. Kiedy przyszli słudzy Pukarzewskiego, widząc, że pan ich z zawiniętą głową leży, a balwierz instrumenta zbiera i maści chowa, pytali: coby się stało. Skotnicki udawał, że jest zmartwiony i że płacze nad nieszczęściem przyjaciela, więc tylko słudzy opowiedzieli, jako Pukarzewski wdał się z kimś w bijatykę i został mocno na twarzy poraniony. Winowajca uciekł, a więc nie było na kim się pomścić. Odeszli słudzy, a tylko ich paru przy panu z chłopcem zostało. Kiedy się Pukarzewski w nocy ocucił, widząc, że ma głowę zawiniętą, rzekł półgębkiem: „ki dyabeł — cóż mi się stało? chłopiec! jesteś tu? rozświeć!" Wnet się chłopak porwał, poszedł do pana i zapytał: „co wielmożny pan każe? alboż to wielmożnemu panu źle leżeć?" Na to rzekł Pukarzewski: „ba, dobrze mi leżeć, ale ki dyabeł mi w gębę". Na to chłopiec: „czyliż wielmożny pan nie pamięta, że go wczoraj ten a ten ranił". Pukarzewski odpowiedział: „ani kęs tego nie pomnę, ani też czuję, aby mię bolało". Wtem rzecze do niego chłopiec: „na miłość Boską, nie racz wielmożny pan wiele mówić, bo nam balwierz rozkazał, abyśmy o to upominali". — Gdy nadszedł dzień, a słudzy się przebudzili, pytał ich się Pukarzewski, jak się to stało. Opowiedzieli wszyscy rzecz zmyśloną. Przyszedł balwierz do opatrywania, obwinął mu głowę, a Pukarzewski zapytał: „miły balwierzu, ani trochę mi ta rana nie boli, powiedz mi, co to ma znaczyć?" odpowiedział balwierz: „tak to widzi wielmożny pan zmartwiało odrazu, ale po trzecim albo po czwartym dniu wielmożny pan ból poczujesz". Na to Pukarzewski: „a bodajże go zabito, mógł ci przecież gdzieindziej trafiać nie przez gębę. A toć ja mężatek nie miłuję, a Pan Bóg mię takową raną nawiedził". Balwierz trochę odwinął chusty, poprawił opatrunek, nowy plaster przylepił, znowu chustami zawiązał i rzekł do Pukarzewskiego, aby mu zapłacił za wczorajszy pierwszy opatrunek. Pukarzewski więc parę czerwonych złotych (dukatów) dać mu rozkazał i prosił, aby go rychło wygoił. Odpowiedział balwierz: „dali Bóg rychło wielmożny pan zdrów będziesz, jeno nic mówić nie trzeba". Gdy balwierz odszedł, a przyszedł czas obiadu, Pukarzewski mięsa jeść nie śmiał, aby nie rozjątrzyć rany, a tylko się trochę piwa napił i znów na posłanie położył. Po obiedzie przyszli

go odwiedzić przyjaciele, którym już Skotnicki wszystko opowiedział. Pytają go o zdrowie, a ten przemówi półgębkiem, prosząc, aby mu za złe nie mieli, iż mówić nie śmie, bo mu balwierz zakazał. Jeden z przyjaciół pyta o to, drugi o tamto, a Pukarzewski jeno przyzwala głową a milczy. Otóż tego tak długo było, iż się żadną miarą wstrzymać nie mogli i poczęli się śmiać, a Pukarzewski domyśliwszy się, iż to Skotnickiego sprawa, zawinięcie rzucił na ziemię, a plastry odjąć sobie kazał. Śmiechu było dosyć, a zwłaszcza z tego, że Pukarzewski więcej balwierzowi wierzył niż sobie, boć przecie czuł, że go ani kęs jeden nie bolało.

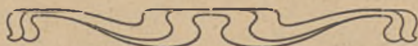

Ks. Cz.

OO. KAPUCYNI W POLSCE.

Zakon OO. Kapucynów, który powstał w roku 1525 we Włoszech, przez wystąpienie O. Mateusza a Bassio Bernardyna owianego serdeczną gorliwością zachowania ściśle i dokładnie surowych przepisów zakonnych świętego Patryarchy z Asyża Franciszka, przez pracę i gorliwość, a przedewszystkiem, przez stykanie się z ludem i pracę nad nim, szybko zwrócił na siebie uwagę wszystkich, a szczególnie gorliwych i dbających o dobro ludu obywateli. Były to to czasy tak zwanej reformacyi. Dzieło niecne Lutra, herezya i odszczepieństwo od kościoła zapuszczało swe korzenie bardzo szeroko. Z dworów książąt i możnych panów, zasady herezyi, a co za tem idzie i zepsucie obyczajów przedostawały się i pomiędzy lud, lud prosty szczery i głęboko wierzący. Ale zło i zepsucie sprzyjające zmysłom podoba się zawsze człowiekowi i pociąga go ku sobie. Wiedząc o tem dobrze zaciekli i nie przebierający w środkach głosiciele i krzewiciele zasad heretyckich, pragnąc jak najbardziej rozszerzyć zasady Lutra i dać im pewny fundament, zwrócili swe oczy na szerokie warstwy ludu poczciwego a nie przebierając w środkach za wszelką cenę postanowili cały lud zagarnąć do swych szeregów, by tylko obalić zasady kościoła katolickiego.

W tym to czasie powstają dwa zakony OO. Jezuitów i Kapucynów. Pierwsi rozpoczęli walkę z herezyą na dworach europejskich zarażonych nowinkami Lutra i pomiędzy oświeconymi. Drudzy zaś sami ubodzy z zasady zakonu, skromni pokorni i prości, baczną uwagę zwrócili na lud prosty roboczy i siermiężny i tam pomiędzy prostaczkami bez rozgłosu rozpoczęli swą pracę i przeprowadzili ostrą walkę z herezyą. Równocześnie rozpoczęli też pracę poza granicami Europy, pomiędzy narodami dzikimi, gdzie jako głosiciele nieznanej prawdy ewangelicznej, do dzisiejszych czasów z poświęceniem pracują przysparzając coraz więcej wierzących kościołowi i wznosząc w dalekie kraje tryumf krzyża. Za co też od ludu ukochani nieraz odeń doznawali dowodów przywiązania, pomocy i obrony. Za przykład niech posłuży wypadek jaki zdarzył się w Rzymie przy kasacyi klasztorów. Kiedy wydano rozkaz rządowy, by zakonnicy wszelkich odcieni

opuścili klasztory. Gdy inni zakonnicy wychodzili ze swych przybytków w spokoju i ciszy, tak, że nikt o tem prawie nie wiedział, przed klasztorem OO. Kapucynów na placu Barberini zebrała się cała masa robotników, uzbrojonych w laski i kije, oświadczyła przedstawicielom władzy, że do ostatniego bronić będzie ukochanych Ojców i nie pozwolą swych dobrodziejów wyrzucać z ich siedziby.

Podobne wypadki zdarzały się i przy kasacyi klasztorów we Francyi — n. p. w Tuluzie i Marsylii.

W pierwszych zaraz początkach swego istnienia zakon OO. Kapucynów nader szybko rozszerzał się i rozmnażał. Kto się z nimi stykał, ten musiał ich pokochać dla ich pokory i cichości, a równocześnie i podziwiając z powodu zaparcia, z jakiem pracowali dla dobra ludu na ambonie i w konfesyonale, chętnie zawsze spiesząc z wydatną pomocą księżom, pracującym po parafiach.

Pierwszy z Polaków, który zwrócił uwagę na zakon OO. Kapucynów, był Jan Chrzciciel Dębiński, syn kanclerza W. koronnego, który pragnąc się oddać wyłącznie służbie Bożej, wstąpił do zakonu OO. Kapucynów w Szwajcaryi r. 1485, a spędziwszy pełen pracy i poświęcenia żywot dla dobra ludu, zakończył go świątobliwie w Konstancyi w r. 1632, gdzie otoczone czcią przez współbraci, spoczywają jego zwłoki. Za jego przykładem poszło i kilku innych, jak Jan Dunin Modliszewski, kanonik płocki, Franciszek Rozdrażewski i O. Józef Polak, którzy słynęli z pracy i pobożności w prowincyach: niemieckiej i czeskiej.

Widząc błogie skutki pracy i poświęcenia zakonu OO. Kapucynów, zwrócili na niego uwagę i królowie polscy, pragnąc go wprowadzić do Rzeczypospolitej. I tak już Zygmunt III. w r. 1596 czynił starania u stolicy św., aby sprowadzić Kapucynów do Polski. Następnie ponowił usiłowania król Władysław IV. Starania te jednak spełzły na razie na niczem Stolica św., a z nią i przełożeni generalni zakonu obawiali się, że ostrość klimatu północnego, ciężkie zimy będą stały na przeszkodzie w zachowaniu ostrych przepisów zakonnych i reguły, którym podlegali OO. Kapucyni, a tym sposobem łatwo mogłoby się było wtargnąć rozluźnienie w zakonie.

Rozbiły się mianowicie o następujący powód:

Za czasów Jana Kazimierza i Michała Korybuta Wiśniowieckiego, chociaż oni pragnęli sprowadzić Kapucynów do Polski, nie można było nawet myśleć o tem, z powodu nieszczęśliwych wojen i zamieszek.

Dopiero król Jan III. Sobieski, spełniając ślub, który uczynił z wdzięczności ku Panu Bogu za pomyślne wyprawy przeciw Turkom i Tatarom i zwycięstwa nad nimi odniesione, ponownie stara się u stolicy św. o pozwolenie na wprowadzenie OO. Kapucynów do Polski. I jemu z początku rzecz ta szła oporem, gdyż skrupuł co do surowości klimatu, a tem samem i niemożności zachowania przepisów zakonnych stawał na przeszkodzie. Niezrażony jednak tym zawodem, nalega i dalej na stolicę św. i przełożonych zakonu, aby koniecznie zakon tak sympatyczny wprowadzili do Polski. W r. 1677 następuje decyzya i generał zakonu, godząc się na osiedlenie Kapucynów w Polsce, wysyła O. Jakóba z Rawenny, człowieka pełnego cnoty i rozsądku, w granice Polski, aby zbadał kraj, jego stosunki klimatyczne i polityczne, a przytem aby zwrócił uwagę na przychylność ludu dla tego zakonu. Przybył on też w roku 1679 do Gdańska, gdzie właśnie podówczas bawił król. Przyjęty przez króla i książąt nadzwyczaj przychylnie, rozpoczyna swoje zadanie i zwiedza przez lato całe okolice Polski, wszędzie chętnie widziany i serdecznie przyjmowany.

Po tem wszystkiem, co zobaczył i usłyszał, zadecydował, że w tak sprzyjających warunkach OO. Kapucyni mogą osiedlić się w Polsce i dla przedstawienia sprawy osobiście udał się do Włoch, aby już w sierpniu r. 1681 powrócić z kilku innymi współbraćmi z powrotem do Polski i tu rozpocząć zbożne dzieło zaprowadzenia zakonu OO. Kapucynów. Przybywszy do Warszawy, nader serdecznie przyjął ich król ze swą żoną Maryą Kazimierą i budowania dla nich kościołów i klasztorów, a nawet powstała chęć, aby fundacyę warszawską przenieść do zlutrzałego Gdańska, ażeby tam mogli rozwinąć błogą w skutki pracę nad najniższymi warstwami ludu, zarażonego nowinkami luterskiemi. Propozycya ta jednak dla licznych przeszkód upadła.

Z fundacyą klasztoru i kościoła w Warszawie szło dosyć ciężko i opornie tak, że nawet noszono się z zamiarem opuszczenia Polski, a powrócenia do rodzinnych Włoch.

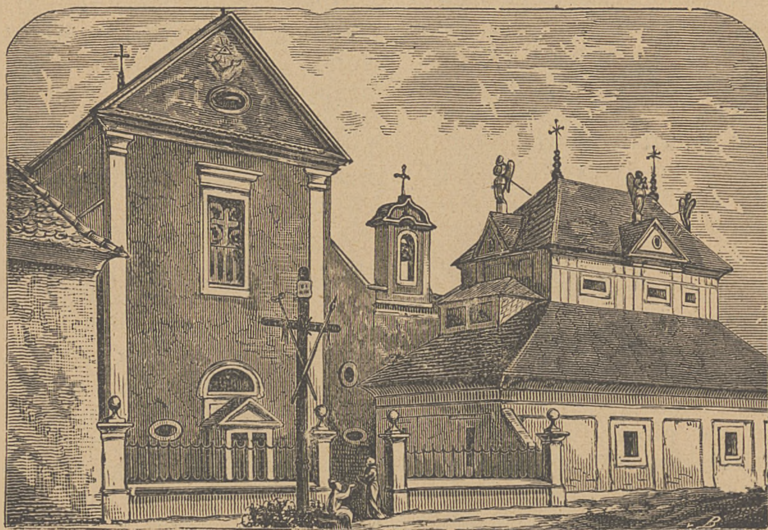

Kościół OO. Kapucynów w Krakowie.

oddał im w zarząd kaplicę zamkową, mianując ich równocześnie kapelanami dworskimi. Równocześnie na pustej ulicy Miodowej zakupiono dom z dość obszernym placem i tam wystawiono tymczasowo mały kościółek, oddając go w zarząd Kapucynom i tu nieznany jeszcze w Polsce zakon stawia pierwsze kroki w pracy w winnicy Pańskiej.

Świątobliwość, skromność i prostota ubogich zakonników ujmowała wszystkich tak, że wielu z możnych panów pragnęło mieć ich w swoich dobrach i oświadczali się z chęciami

Dowiedziawszy się o tem król Jan III-ci, postanowił swym dyplomem z 11 lipca 1683 wybudować klasztor i kościół dla OO. Kapucynów, a równocześnie mając wyprawić się pod Wiedeń przeciw Turkom, czyni ślub, że jeżeli wróci szczęśliwie zwycięzcą nad półksiężycem z pod Wiednia, wybuduje kościół Chrystusowi tryumfującemu i odda go Kapucynom, a skoro wojska już wyruszyły, zapoczątkowuje swe dzieło, kładąc kamień węgielny pod nowo budujący się kościół 23 lipca 1683.

W Krakowie przed cudownym obrazem Najśw. Maryi Panny w kościele OO. Karmelitów na Piasku ślub ten ponawia. W zaciętej walce pod Wiedniem z Turkami odnosi król pełne zwycięstwo, poprzedzone dziwnem proroctwem, bo kiedy gotował się do ostatecznej z pohańcem rozprawy, w tym dniu modlił się gorąco w kościele OO. Kamedułów na Kahlenbergu, służąc do mszy św. legatowi papieskiemu O. Markowi d'Atroiano z zakonu OO. Kapucynów. Kapłan ten świątobliwy, przejęty duchem proroczym, przy końcu mszy św. zamiast wypowiedzieć zwyczajne słowa: Ite, missa est" (idźcie, msza skończona), dobitnym głosem zawołał: „Vinces Ioannes" (zwyciężysz Janie), czem prawdziwą wlał otuchę w serce pobożnego króla i ufność do Boga, który każdej sprawie szlachetnej błogosławi.

Wróciwszy król do Warszawy, pełen chwały i syt zadowolenia ze zwycięstwa, dopełnia obietnicy, danej Bogu i funduje pierwszy kościół dla Kapucynów w Warszawie, pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego. Nie wielkich rozmiarów, ale piękny i schludny, w stylu toskańskim, skromny według ustaw zakonnych. Na prawo od wielkiego ołtarza znajduje się tam kaplica błogosławionego Anioła z Akry, inaczej królewską zwana, gdzie w przepięknym sarkofagu znajduje się serce króla Jana III., który testamentem zapisał go Kapucynom, podczas gdy ciało jego spoczywa w podziemiach katedry wawelskiej, w grobach królewskich, chcąc przez to zaznaczyć swą niekłamaną miłość i przychylność dla zakonu OO. Kapucynów.

Klasztor ten przez cały czas swego istnienia był zawsze punktem środkowym dla zakonu w Polsce; tu mieszkali prowincyałowie i tu zgromadzano największą liczbę zakonników. We Warszawie zdobyli sobie miłość, poważanie i szacunek u ludzi przez pracę koło dobra najbiedniejszych, tam każdy doznawał pomocy, czy duchownej czy materyalnej; tu też wyrośli najsławniejsi Kapucyni polscy, jak O. Prokop z Breciłowa, słynny pisarz kościelny ze swych dzieł szczególnie anetycznych O. Benjamin Szymański, dzielny administrator zakonu jako prowincyał, późniejszy biskup podlaski.

Kiedy zakon stał niejako u szczytu rozwoju w roku 1864, zaborczy Moskale, gnębiciele wszystkiego, co polskie, nie dali się ostać i klasztorowi OO. Kapucynów w Warszawie, skasowali go, wypędzając zeń 40 przeszło zakonników o północy. Klasztor zburzono i przeprowadzono ulicę, by śladu nie pozostało z miejsca przybytku ciszy i spokoju, gdzie wiele dusz znajdowało ukojenie na życie całe, albo i przez parę dni, pokrzepiając się rekolekcyami. Były tam bowiem osobne cele, tak zwane królewskie, jeszcze przez króla Jana III. przeznaczone dla rekolekcyi. Kościół istnieje do dzisiaj, zamieniony na parafialny.

Drugi z rzędu klasztor w Polsce powstał w Krakowie, dokąd w roku 1695 przybyli OO. Kapucyni z Warszawy, a przyjęci serdecznie przez ówczesnego biskupa Jana Małachowskiego, zamieszkali przy kapliczce św. Piotra na Garbarzach. Kiedy nabyli z ofiar publicznych plac, gdzie dzisiaj stoi kościół i klasztor od rajcy Kantellego, zbudowano im tymczasowy kościółek drewniany. Dopiero w roku 1699 Wojciech Dębiński, chorąży zatorski, ufundował klasztor i kościół, a przy nim kaplicę, zwaną Domkiem loretańskim N. P. Maryi, całkiem podobną i tych samych rozmiarów, co i Domek Matki Bożej, znajdujący się we Włoszech w Loretto. — Przez szczęśliwe przyłączenie W. Księstwa Krakowskiego przy rozbiorach Polski do państwa austryackiego, utrzymał się do tego czasu kościół i klasztor i dziś stanowi jeden z większych domów Prowincyi galicyjskiej.

Szybko stosunkowo powstawały je-

dne po drugich klasztory OO. Kapucynów w Polsce, tak, że we wszystkich ziemiach polskich było 23 klasztory, jak: Lublana, Lubartów, Nowe Miasto, Zakroczym, Łomża, Winnica, Brusiłów, Sędziszów, Krosno, Olesko, Rozwadów, Kulbacz, Lwów, Mariampol. Wszystkie one zostały fundowane ofiarnością naszych panów polskich i to przeważnie po małych miasteczkach, by Ojcowie jak najlepiej mogli cyą polską powierzyła Czechom jako pokrewnym narodowością. W tym czasie Zakon wzmaga się liczebnie w samych Polaków i staje krajowym i wnika w jego najważniejsze potrzeby, a przedewszystkiem staje się na wskróś patryotycznym, co polskie, wszystko mu jest drogie. Powoli wzrastając wyswobadza się z pod opieki Czechów, a w r. 1761 bullą Klemensa VI, odtąd odłączono całkiem prowincyę polską

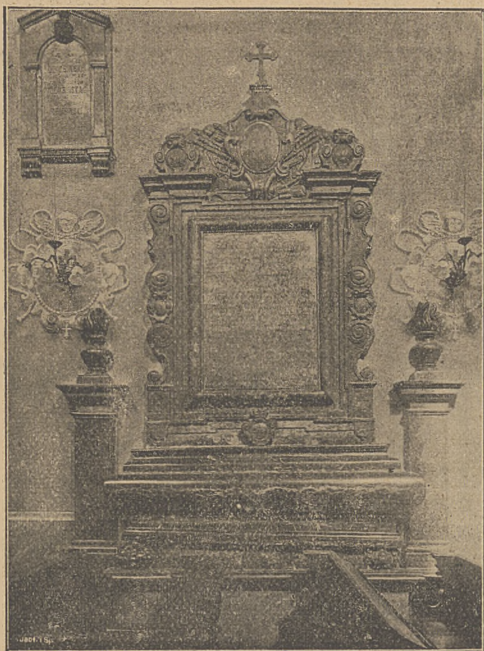

Pomnik ks. Dembińskiego, pierwszego kapucyna Polaka.

odpowiedzieć i zadośćuczynić swemu zadaniu pracy nad ludem prostym i siermiężnym.

Jakkolwiek szybko powstawały klasztory OO. Kapucynów w Polsce, to jednak nie mogły odrazu spełnić w pełni swego zadania i oddać się owocodajnej pracy, a to z tej przyczyny, że w początkach zakonnicy byli to sami obcokrajowcy, przeważnie Włosi, pod których też zarządem prowincya polska była aż do r. 1738, kiedy Stolica św. opiekę i zarząd nad prowin- od czeskiej, dając jej swój własny zarząd, mianując O. Antoniego Przedwojowskiego prowincyałem. Teraz dopiero pod światłem kierownictwem rodaków, znających potrzeby ludu polskiego, rozwija Zakon swą pracę. — Przedewszystkiem ambona i konfesyonały są miejscami pracy, tam po małych kościółkach gromadzą się całe masy ludu, by usłyszeć światłą naukę o wierze lub dobrych obyczajach, a u stóp trybunału pokuty, czerpią otuchę do dalszej walki z przeciwnościami ży-

cia i pociechę w ciężkiej doli. Od czasu do czasu, na każde wezwanie służą z chętną pomocą księżom pracującym po parafiach. Przedewszystkiem zaś oddają się pracy tak zwanej misyjnej. Przebiegają zdolni kaznodzieje miasteczka i wioski, wszędzie niosąc słowo pociechy i utwierdzenia w dobrem. Tu zasłużył się najwięcej O. Wiktor. Zwrócili przedewszystkiem uwagę na daleki Sybir, gdzie jednym z pierwszych misyonarzy był O. Eliasz z Uściługa (Głębocki). Poza pracą duchową, chętnie i z całem zaparciem brali udział we wszystkich sprawach obchodzących naród. Gdzie tylko widzieli dobro Ojczyzny, nie brakło Kapucynów. Szczególnie od znanych się w czasie zawieruch politycznych i powstań, w których czynny brali udział za co po zgnębieniu ruchu powstańczego, srodze ucierpieli przez kasatę ich klasztorów. Całe szeregi wygnano ich na Sybir, a najbardziej podejrzanych powywieszano na szubienicach.

Do dzisiejszego dnia, oprócz klasztoru w Nowem Mieście, w Królestwie polskiem, wszystkie zostały zniesione przez Rząd rosyjski, który wszędzie pozostawia po sobie znaki zniszczenia i zaborczości. Szczęśliwem jednak zrządzeniem Opatrzności po Ukazie tolerancyjnym w roku 1905 zaczynają się OO. Kapucyni powoli wzmagać i wzrastać w liczbę przez otworzenie nowicyatu w Nowem Mieście i założenie filii w Warszawie, gdzie przy małej kapliczce w najuboższej dzielnicy miasta pracuje obecnie dwóch Ojców. Pomiędzy Ojcami dziś tam żyjącymi, najwięcej odznaczył się pracą i dziełami O. Honorat. Widząc ogromny brak, jaki powstał z powodu zniesienia zakonów, założył cały szereg tak męskich jak żeńskich kongregacyj tercyarskich, żyjących na sposób zakonny, pod nazwą zakonów ukrytych. Są to domy rzemieślnicze i robotnicze, gdzie pod jednym zarzadem skupia się szereg ludzi dla wspólnej modlitwy i pracy, a przytem przykładnem życiem i cnotą dodatnio wpływa na lud okoliczny. Jestto nieocenione wprost dzieło, gdzie znajduje schronienie wielu, którzy pragną życia odosobnionego, słowem zakonnego, zwłaszcza tam gdzie powstał Maryawityzm, sekta niecna pod pozorem pobożności i życia cnotliwego. Śmiało twierdzić można, że gdyby istniały zakony w Królestwie polskiem, nie byłoby tam przyszło do tego rozprężenia na tle religijnym, które dziś panuje, gdyż ci wszyscy, co szukają ciszy, spokoju w murach klasztornych, znajdowaliby schronienie w zakonach, gdzie pod światłem i doświadczonem kierownictwem, mogliby byli przynieść pożytek Kościołowi i Ojczyźnie. Dziś zaś, kiedy w początkach powstawało pod hasłem ascetyzmu stowarzyszenie i obiecywało dać wyczekiwany spokój pragnącym go a tym sposobem miało wypełnić brak zakonów, dający się odczuwać bardzo, to poprowadzone ręką złą, przewrotną i ambitną zmieniło się w sektę heretycką, która szkodzi nawet Ojczyźnie, bo zapisała się już nieraz jako sojusznica Moskali. Miejmy jednak nadzieją, że lud polski, wierzący i szczerze do kościoła przywiązany, chociaż bałamucony chwilowo, to przecież spostrzeże się i porzuci mrzonki generałów i mateczki maryawickiej.

Dzięki Opatrzności Bożej klasztory OO. Kapucynów utrzymały się do dni naszych w Galicyi, chociaż tu znać rękę burzyciela. Czasy Józefa II tak przykre dla Kościoła w Austryi, dały się we znaki Kapucynom. Patentem cesarskim zniesiono 3 klasztory: We Lwowie, Maryampolu i w Bliznem — a klasztor oleski już był przeznaczony na zagładę, nawet osadzono w nim wojsko na pewien czas, a że piękną i zasobną w dzieła bibliotekę w piecach w większej prawie części spalili; szczęściem po pewnym czasie zwró-

cono Kapucynom klasztor zniszczony, który do tego czasu jeszcze nie jest całkowicie odrestaurowany dla braku funduszów. Zamieszki polityczno-ekonomiczne i pierwsze lata rządów austryackich, bardzo ujemnie wpłynęły na klasztory wogóle, a i nasi Kapucyni ucierpieli wiele. Klasztory powyludniały się, zaledwie po dwóch a czasem po jednemu mieszkali po klasz-chowieństwa świeckiego i rzucali ich po parafiach, gdzie musieli pozostawać po kilka lat. Rozumie się, że to nie mogło wpłynąć dodatnio na zakony, gdyż tem samem zakonnicy, mieszkający zdala od klasztorów, odzwyczaili się z czasem od zachowywania ścisłych przepisów zakonnych, a tem samem upadł duch zakonny. W klasztory zaś wtargnęło rozprężenie.

Misye OO. Kapucynów pod zaborem rosyjskim.

torach. Nowicyat zamknięto, a przez 25 lat nikt nie wstąpił do Zakonu. W czasach bowiem niepewnych nikt nie chciał narażać się na wygnanie i tułactwo w razie zniesienia klasztoru, co bardzo łatwo mogło się stać. Szczególnie zaś na upadek wpłynęło poddanie klasztoru przez rząd pod zarząd biskupi, tak, że biskupi mogli zakonników z miejsca na miejsce przenosić, z czego też korzystali dla braku du-

Dopiero w latach siedmdziesiątych, kiedy po zamieszkach powstaniowych i rabacyjnych społeczeństwo uspokoiło się trochę i mogło pracować w spokoju dodatnio nad swoim rozwojem polityczno ekonomicznym, zaczęły się wzmagać i zakony. Wstąpiła otucha, że pod rządami rodaków i w czasie autonomii, którą Galicya otrzymała, zakonom lepiej dziać się będzie. W tym też czasie zakon OO. Kapucynów

w Galicyi zaczyna się podnosić, żółwim wprawdzie krokiem do dni naszych, chociaż z trudnością wzrasta i liczebnie i moralnie. Od tego też czasu rozpoczynają OO. Kapucyni swą wydatną pracę, przez szereg lat z powodu zamieszek przerwaną. W klasztorach gromadzi się coraz większa liczba sił ukwalifikowanych i uzdolnionych do zadania, jakie ma spełnić zakon OO. Kapucynów. Ubożuchne ich kościoły zaczynają się napełniać wiernymi, szczególnie ludem wieśniaczym, który tam szuka pociechy przy konfesyonale, a z kazań usłyszanych czerpie utwierdzenie w dobrem. Wyjeżdżając zaś z klasztoru, chętnie spieszą z pomocą nawet w najdalsze okolice księżom po parafiach pracującym, już to zastępując ich w duszpasterstwie, już to wspierając przez głoszenie kazań i słuchanie spowiedzi.

Na szczególniejszą uwagę zasługują tu konwenty: w Krośnie, Sędziszowie, Rozwadowie i w Krakowie, skąd bardzo często Ojcowie wyjeżdżają na pomoc księżom proboszczom. Przed 6-ciu laty 2 sierpnia 1904 r., na zaproszenie Ekscell. ks. arcybiskupa Bilczewskiego, założono nową placówkę na przedmieściu Zamarstynów pod Lwowem, gdzie mieszka najuboższa ludność i klasa robotnicza, by tam sprawować duszpasterstwo. Wystawiono małą prowizoryczną kapliczkę drewnianą, a przy niej skromny domek z drzewa, gdzie gorliwie pracuje 3-ch Ojców, czekając cierpliwie na zebranie odpowiedniego funduszu na wybudowanie kościoła i klasztoru.

Od lat 12-tu OO. Kapucyni wzmógłszy się, zwrócili uwagę na pole pracy t. zw. misyjnej. Co roku w kilku przynajmniej miasteczkach i wioskach zobaczyć ich możesz, jak z całem poświęceniem, nie szczędząc sił ni zdrowia, głoszą z ambony prawdy Boże, nawołując lud do poprawy ze złego i utwierdzając go w dobrem, dając wskazówki dla życia według przykazań Bożych. Misye te i kazania ich, głoszone z prostotą i popularnie, cieszą się dość znaczną wziętością, jak tego liczne dał dowody sam lud, darząc Ojców prawdziwą wdzięcznością, którą zawsze stara się okazać w sposób, jaki umie i ofiarami, któremi darzy ubożuchne ich klasztory, nie posiadające żadnych majątków.

W r. 1906, kiedy po ukazie tolerancyjnym w Królestwie Polskiem zaświtała pewnego rodzaju przynajmniej względna wolność tak, że księża z Galicyi mogli się przedostać przez granicę do Królestwa, na zaproszenie udali się tam i OO. Kapucyni dla pracy misyjnej, aby lud wzburzony zamieszkami a łaknący spokoju i pociechy, podnieść na duchu słowem Bożem. Pracowali tam przez lat 2 niestrudzenie, dopóki reakcyjny rząd moskiewski nie ograniczył, a w końcu zabronił pobytu w Królestwie pod jakimkolwiek bądź pozorem księżom z Galicyi.

Pracowali tam z błogim skutkiem najpierw w Zagłębiu dąbrowskiem w kilku parafiach. Miejsce to pełne fabryk i kopalń węgla, jest zaludnione przeważnie klasą robotniczą, na którą najbardziej czychali głosiciele przewrotnych idei socyalistycznych i anarchistycznych i po części dokazali swego, wprowadzając ogromny zamęt i chaos w pojęcia o sprawiedliwości, cnocie i uczciwości, a zohydziwszy duchowieństwo, które jedno podtrzymywało robotnika w zasadach katolickich i narodowych, podkopali jego wiarę i zaufanie do kościoła katolickiego. Pokazało się jednak, że to było tylko chwilowe. Bo kto patrzył się z bliska na ten lud polski, okopcony sadzą i pomazany węglem, jak chętnie, z jakiem poświęceniem umęczony pracą spieszył do kościoła, by słuchać słowa Bożego, ten przekonał się, że obałamucenie trwało krótko, a chwilowy tryumf przewrotowców skończył się, rozwiany siłą prawdy ewangelicznej. Praca to była

dla Ojców trudna i ciężka, bo nieraz trzeba było już o godzinie 4-tej rano być na ambonie, a dopiero około 10-tej w nocy wychodzili z konfesyonału. Ale nagrodą za to była prawdziwa pociecha i radość, jak tysiące ludu gromadziły się około nich, by słuchać słowa Bożego. Chociaż trafiały się wypadki, że zwoływano ze strony nieprzyjaciół krzyża poufne zgromadzenia, na których omawiano sposoby, jakby przeszkodzić pracy misyonarskiej, to jednak nigdy one nie przyszły do skutku, a nawet sami prowokatorzy później przepraszali Ojców za niewczesne występki.

Następnie udali się w Sochaczewskie. Tam w kilku parafiach, zagrożonych niecną robotą odstępcy od kościoła katolickiego, ks. Furmanika, maryawity, uspokajali lud, wzburzony przeciwko Kościołowi katolickiemu. Wielu zbałamuconych zawróciło z drogi złej, a porzucając godła maryawickie w dół pod krzyż wykopany, powracali na łono Kościoła katolickiego przez wyznanie wiary.

Tak samo i w Płockiem, gdzie główna jest siedziba „mateczki“, co to swym sprytem potrafiła obałamucić całe szeregi ludu i księży, z niemniejszym pracowali skutkiem.

Do najprzyjemniejszych jednak chwil w tej pracy uciążliwej zaliczyć mogą OO. Kapucyni pracę na Podlasiu, gdzie w 50-tą rocznicę ostatnich tam misyi, które odprawili OO. Kapucyni jeszcze za czasów, kiedy świetnie kwitnęła dawna prowincya polska, przybyli, aby lud ten dobry, wierny mimo licznych sposobów i okrucieństw, na jakie zdobywał się rząd moskiewski, by wydrzeć z serc wiarę katolicką ludowi i przeciągnąć go na prawosławie — utwierdzić w wierze i dodać mu otuchy, by dalej z męstwem i bohaterstwem bronił wiary i nie zrażał się męczeństwem, bo to go uszlachetni i uczyni wielkim. To też dowiedziawszy się poczciwi Podlasianie o przybyciu tam OO. Kapucynów, z bardzo odległych okolic przybywali na misyę, która odbywała się na wielkim, nadzwyczaj obszernym cmentarzu kościelnym. 30 do 40 tysięcy ludu słuchało kazań. Trzeba było widzieć ten lud prosty, jak pomimo niewygód trwał przez 2 tygodnie z całem poświęceniem, by tylko zaczerpnąć bodaj słówko pociechy i otuchy do dalszej a ciężkiej walki życiowej.

Na tych kilku stronicach w pobieżnym szkicu starałem się przedstawić historyę zakonu OO. Kapucynów w Polsce, który do tego czasu uważany przez społeczeństwo za najbardziej patryotyczny, gdyż przechodząc te same koleje, co i Ojczyzna nasza, zżył się z nią serdecznie, a przez pracę dla najuboższych i ludu siermiężnego zyskał sobie uznanie i cieszy się sympatyą i przyjaźnią u wszystkich sfer społecznych, czego doznają OO. Kapucyni przez liczne dowody, a szczególnie ofiary, jakie przedewszystkiem składa lud wieśniaczy w naturze, by mieli, jak mówią sami, z czego wyżyć, gdyż nie posiadając żadnych majątków przy klasztorach, utrzymują się jedynie tylko z jałmużny, którą otrzymują za swoją pracę i poświęcenie.

Na targu.

Gospodyni: Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, czy ta gęś jest rzeczywiście młodą?

Przekupka: No, im pani dłużej będzie handlowała, tem naturalnie będzie coraz starszą.

Dobre świadectwo.

— Jakto? — pyta pani zgłaszającej się nowej służącej — w jednym roku aż dwadzieścia razy zmieniałaś służbę?

— Ano tak — odpowiada służąca — cóż ja temu winna, że się drą o mnie? toć każda pani chce mieć dobrą służącą!

MARYA KONOPNICKA.

HOŁD KRÓLOWEJ JADWIDZE.

Na grób Twój pójdziem i na miejsce Boże,
Z którego dzwon dziś chwałę Twą ogłasza.
O, zapal w sercach naszych nowe zorze,
O, daj nam światło, co moc starą zmoże,
Królowo nasza!

Zapłomień zimne piersi iskrą ducha!
Oczyść nam usta węglem Izajasza!
Gdzie nędza cierpi, gdzie siedzi noc głucha,
Miłość z serc naszych niech ogniem wybucha,
Królowo nasza!

Pokaż nam drogę do bratnich dusz ludu,
Gdzie chaty ciemne, gdzie mroczne poddasza!
Daj czołom naszym najświętszy chrzest trudu
I tęczą Twego opromień je cudu,
Królowo nasza!

Daj zgodę myśli i jedność daj czynu,
Daj karność — niech się chów Twój nie rozprasza!
O, rozpal wpośród niewiast polskich gminu
Żar pożądania zasługi wawrzynu,
Królowo nasza!

Daj ziemi służyć! Daj bronić nam ziemi,
Gdy ją dłoń niecna przedawa Judasza
Razem z prochami ojców, razem z temi
Piastowych kmieci strzechami siwemi,
Królowo nasza!

Daj stać niewieścim duchom w tej świątyni,
Co dziś cześć Twoją skróś wieków roznasza,
I niech się światło nad nami uczyni,
O, pierwsza chramu tego Hospodyni,
Królowo nasza!

Związż nas imieniem Twojem w zwarte roty!
Daj męstwo! niech nas walka nie przestrasza —
Daj zburzyć twierdze krzywd, nędzy, ciemnoty,
Rozwiń nad nami proporzec Twój złoty,
Królowo nasza!

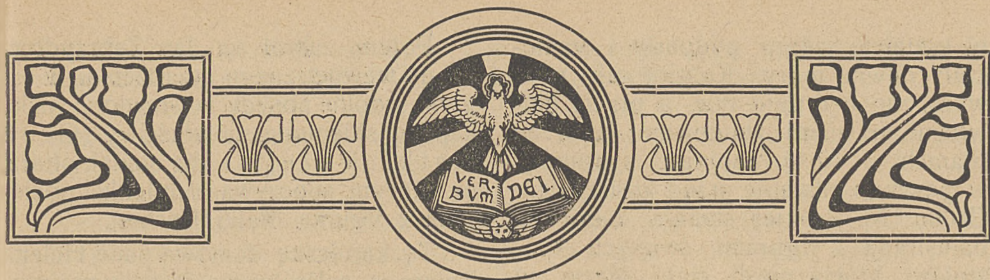

Ks. Stefan Podworski.

TRZECHSETLETNI JUBILEUSZ
Kościoła Grobu Matki Bożej w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

Kościół Grobu Najśw. Maryi Panny na dolinie zwanej „Józefata“ u stóp góry Oliwnej na Kalwaryi Zebrzydowskiej został roku 1611 przez Mikołaja Zebrzydowskiego wojewodę, założony; w roku 1911 będzie obchodzony uroczyście Jubileusz trzechsetletni założenia tego kościoła, którego budowę uważają konserwatorzy starożytnych zabytków jako jedyną, a sławną w swoim rodzaju na ziemi polskiej.

Historyę tego sławnego kościoła Grobu M. Boskiej podaję wszystkim czcicielom Maryi, a czytelnikom kalendarza na rok 1911, rok Jubileuszowy na Kalwaryi. Mikołaj Zerzydowski wyfundował na górze Zarek kościół Ukrzyżowania już w. r. 1600. — Dalej kościół Grobu Pana Jezusa w r. 1601 — zaś w r. 1602 rozpoczął budowę kościoła głównego Matki Boskiej Anielskiej, a w roku 1609 ukończono budowę tego kościoła głównego, który w dniu 4 października 1609 w uroczystość św. Franciszka, konsekrował ks. Biskup krakowski Piotr Tylicki w asystencyi ks. ks. Biskupów Łuckiego i Laodyckiego.

Mikołaj Zebrzydowski po ufundowaniu Kalwaryi zamieszkał na górze Lanckoronie.

W r. 1611 poczęto kłaść fundamenta pod kościół Grobu M. Bożej. Pierwotna budowa z r. 1611 była o połowę niższa od dzisiejszej i raczej do grobu, aniżeli do kościoła podobna. Jedno maleńkie okienko ledwie tyle dawało światła, że można było widzieć kapłana Mszę św. odprawiającego. Dwoje małych drzwi obrócono na północ i zachód. Budowę ukończono w roku 1615.

Po śmierci Mikołaja Zebrzydowskiego w r. 1620, syn jego Jan, który był całkiem rozmiłowany w Kalwaryi, ustawicznie coś stawiał i budował na Kalwaryi, rozmyślając nad tem, czegoby jeszcze nie dostawało. Najprzód zabrał się do kościółka Grobu M. Boskiej na dolinie „Józefata“ wystawionego. Kościółek ten wskutek błędów przez architekta przy zakładaniu popełnionych, bardziej jeszcze z powodu grzęskiego a bagnistego gruntu w tem miejscu tak silnie się zarysował, że groził zawaleniem. Wzmocniono tedy kościółek Grobu M. B. dokoła nowymi murami z ciosu, które

w kształcie szkarp podparły i wzmocniły dawne mury. Kościół cały podwyższono o drugie tyle, a przed głównemi drzwiami zbudowano lekki na filarach z ciosu babiniec z kopułą; w pewnym odstępie przed kościółkiem Grobu M. Boskiej stanęła kamienna balustrada z figurami świętych Apostołów, którzy nieśli ciało Maryi po śmierci Jej do Grobu na dolinę Józefata, który to Grób murowany jeden z przyjaciół dla ciała Maryi w Jerozolimie odstąpił, jak Józef z Arimatei odstąpił swój Grób dla ciała Pana Jezusa.

Babiniec ten z kopułą ma być na Jubileusz 300-letni zupełnie odrestaurowany i miedzianą blachą pokryty, a na balustradzie przed kościołem Grobu M. Bożej ma być wystawiona grota na wzór groty w Lurd, jako pamiątka 300-letniego Jubileuszu założenia Grobu M. Boskiej przez Zebrzydowskiego fundatora.

Grób M. Boskiej w r. 1611 rozpoczęty, zaraz z początku Swego istnienia zaczął słynąć łaskami i cudami. Tutaj chorzy bywali za przyczyną Maryi uzdrowieni, smutni bywali pocieszani, nieszczęśliwi doznawali ulgi i pociechy (jak to wspomina kronika klasztorna od roku 1602 prowadzona przez zakonników) — tak że kościółek Grobu M. Boskiej zasłynął daleko i szeroko — a budowę tego kościółka grożącego ruiną przemienił Jan Zebrzydowski w bardzo ładnie pomyślane dzieło architektoniczne. Przedewszystkiem, aby trwale wzmocnić mury, które się zaczęły rysować, bito naokoło pale dębowe z powodu grzęskiego i bagnistego w tem miejscu gruntu; na tych palach położono bardzo silne fundamenta ciosowe pod nowe szkarpy kamienne i nowy pancerz ciosowy, którym opasano stare mury, czem tak dalece je wzmocniono, że można już było śmiało podnieść dawne ściany kościoła o drugie tyle, oświetlić je należycie oknami i zasklepić.

Potem zabrał się Jan Zebrzydowski do wewnętrznego urządzenia. W samym środku absydy wystawiono niską kaplicę sklepioną na właściwy „Grób Matki Bożej“ i tu stanął ołtarz, na którym spoczywa trumienka pozłacana z figurką Matki Boskiej.

Tę kapliczkę domową pani Helena Dziaczko z Królestwa Polskiego swoim kosztem za czasów Rezydenta O. Stefana Podworskiego w r. 1905 kazała odmalować i ozdobić dwoma pięknymi aniołkami obok trumienki klęczącymi. Inna Pani zaś z Górnego Śląska ozdobiła ołtarz pięknem złocistem antipodium z napisem: „Królowo Korony Polskiej módl się za nami“. W tej kapliczce Grobu odprawia w każdą sobotę O. Rezydent Mszę św.; wejście do tej kapliczki Grobu jest bardzo niskie, tak, że wchocząc do niej, dobrze schylić się potrzeba, bo to wejście do Grobu.

Poza kapliczką po prawej stronie jest piękna starożytna ambona, przedstawiająca, jak z ziemi wyrastają latorośle winnej macicy — a dalej ołtarz boczny z obrazem starożytnym Pana Jezusa miłosiernego „Ecce homo“, dar to rodziny Zebrzydowskich. Po lewej stronie ołtarz z obrazem Zwiastowania N. Maryi Panny.

Dalej przy półkolistej ścianie absydy są wąskie schody marmurowe, które prowadzą jakby na pierwsze piętro, a właściwie do górnego kościoła Wniebowzięcia — bo na dole jest kościół Grobu a na górze kościół Wniebowzięcia, a więc jeden kościół nad drugim. W środku górnego kościoła wznosi się wysoki ołtarz wielki, z figurą starożytną a silnie złoconą, z drzewa wykonaną, Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny — a po obu stronach ołtarza wielkiego są dwa małe ołtarze z pięknymi obrazami: pierwszy przedstawia Narodzenie Pana Jezusa w stajence Betlejemskiej i pokłon pasterzy, a drugi przedstawia pokłon Trzech Królów.

Dookoła kościoła w tejże samej wysokości obiega piękna i dość szeroka galerya, pokryta rzeźbą i obrazami, przedstawiającymi życie Najświętszej Maryi Panny od Narodzenia Jej aż do Wniebowzięcia. Twórca tych obrazów pięknych jest nieznany. W framugach okien, w zakrystyjce za wielkim ołtarzem i na ścianach w pobliżu są piękne obicia ścienne z drzewa modrzewiowego w piękne desenie układanego — całość urządzenia tego kościoła jest nadzwyczaj wdzięczna a piękna, tak, że zwiedzający ten kościół podziwiają gust tej budowy, starożytnej.

Żadne opisy nie odtworzą wrażenia, jakie ten kościół Grobu M. Bożej sprawia; trzeba tu na Kalwaryi Zebrzydowskiej być osobiście i naocznie się przekonać.

W r. 1911 to wszystko będzie odnowione. Zburzono już mury, zniszczone zębem czasu naokoło kościoła Grobu M. B. a zamiast murów będzie parkan ozdobny kratami żelaznemi otoczony, co kilka metrów filary kamienne. Na dolinie Józefata obok balustrady kamiennej jest obfite źródło wody; tutaj też zamierza podpisany Rezydent Grobu M. B., w porozumieniu z władzą zakonną wystawić grotę na wzór Lurd jako pamiątkę Jubileuszu 300-letniego założenia kościoła Grobu M. B. W tym też celu kazał odbić obraz, przedstawiający, jak Apostołowie niosą ciało Maryi do Grobu na dolinę Józefata w Jerozolimie, skąd N. Marya Panna dnia trzeciego z ciałem i duszą przez Aniołów do nieba wziętą została, a czysty zysk z tychże obrazów przeznaczony jest na restauracyę Grobu M. B. oraz na urządzenie groty na wzór Lurd.

Kościół Grobu Najśw. Maryi Panny
w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

Kościół Grobu M. B. podwójny liczy ołtarzy sześć, a przy kościele tym mieszka od roku 1660 zawsze kapłan zakonny z socyuszem Braciszkiem jako stróż Grobu N. M. Panny w rezydencyi, która w r. 1902 z ofiar pobożnego ludu na piętro podniesioną została.

W kościele Grobu M. Boskiej są trzy stacye dróżek, to jest: pierwsza w dol-

nej części kościoła na dolinie Józefata pożegnanie się Pana Jezusa z Matką przed pójściem do Ogrojca, druga stacya Pogrzebu M. Boskiej, gdy Apostołowie ciało Maryi do Grobu składają, a trzecia stacya, gdy Aniołowie N. M. Pannę dnia 15 sierpnia z ciałem i duszą do nieba biorą.

Na tem miejscu opiszę ceremonię Pogrzebu Matki Boskiej na Kalwaryi oraz Jej Wniebowzięcia. Na dwa dni przed uroczystością Wniebowzięcia to jest 13 sierpnia od r. 1641 obchodzi Kalwarya rzewny obrzęd zwany „Pogrzebem M. Bożej“. Nieprzejrzane tłumy ludu gromadzą się koło godziny 2 popołudniu około „Domku Loretańskiego“. Tu przychodzi z kościoła klasztornego olbrzymia procesya z kapłanami. Ojcowie zakonni zaczynają o godzinie 3 po południu odprawiać przepisane modły nieszporne o M. Boskiej, przyczem młodzieńcy ze Śląska w ubiorach czarnych na znak żałoby biorą na barki swoje stojącą na środku „Domku“ trumnę pozłacaną, w której we wspaniałe szaty królewskie przybrana leży figura Matki Bożej, przedstawiająca Jej błogosławione Zaśnięcie. Gdy tę trumnę z figurą Matki Bożej wynoszą przed kościół „Domku“ i ustawią pod bogatym baldachimem, dzwonki się odzywają, muzyka gra żałobne melodye a z piersi stutysięcznej rzeszy katolickiej wyrywa się jeden głęboki jęk żałobny, który leci jakby grzmot ponad tym krańcowym tłumem pobożnego ludu. Gdy łzy i jęki ucichły, jeden z zakonników głosi kazanie pożegnalne w Domku. Po kazaniu rozpoczyna się pochód do kaplicy drugiej aż do kościoła Grobu Matki Bożej na dolinie Józefata. Przed trumną, niesioną pod baldachimem przez młodzieńców ze Śląska (przywilej to Ślązaków) idzie duchowieństwo w asyście, dalej dziewice w białych szatach z wieńcami na głowie, z welonami czarnemi. Jedna dziewica niesie na poduszce koronę, druga berło, inne lilie w rękach i wieńce, a wszystkie w żałobę ubrane. Krokiem poważnym wśród śpiewu, przy odgłosie marszów żałobnych idą te nieprzejrzane rzesze od kaplicy do kaplicy, przy 7-miu kaplicach są kazania, a ostatnie na dolinie Józefata w Grobie M. Boskiej. Ten obchód zwany: Pogrzebem Maryi nie miał sobie równego, ani podobnego już nie tylko na całym obszarze ziem polskich, ale nawet w całej Europie, na całej kuli ziemskiej. Procesya ta przybywa koło 10 godziny w nocy do kościoła Grobu Matki B., gdzie bywa ostatnie kazanie na dolinie Józefata na polu z owej balustrady przed kościołem przy blasku co najmniej stu tysięcy świec, które uczestnicy pogrzebu w rękach trzymają. Widok tej iluminacyi w nocy sprawia rzewne a wspaniałe wrażenie. Po kazaniu ostatniem wnoszą trumnę z figurą Matki Bożej do kościoła Grobu, do którego wchodzi tylko duchowieństwo, asysta młodzieży obojga płci i co najwyżej tysiąc ludzi, reszta zostaje na dolinie Józefata. Po rzewnych modlitwach: „Ave Regina“ zakonnicy biorą na swe ramiona trumienkę z figurą M. B. i wśród śpiewu: „Witaj Królowo Nieba“ Salve Regina wnoszą do krypty grobowej. Muzyka gra marsz żałobny, lud płacze i zalewa się łzami rozchodząc się na nocleg około godziny dwunastej w nocy. Oto coroczna ceremonia Pogrzebu Maryi przy Jej Grobie, którego pamiątkę 300 letnią założenia obchodzi Kalwarya w roku 19011. Od 8-go aż do 27 sierpnia będzie trwał ten Jubileusz 300-letni, na który spodziewać się należy przybędą Biskupi Polacy — cała Polska z trzech zaborów jako czciciele Maryi „Królowej Korony Polskiej“, zgromadzi się na Kalwaryi przy Jej Grobie na ziemi polskiej wystawionym przez Zebrzydowskiego, zabrzmi z serc tysięcznych pieśń kalwaryjska: Usłyszałem wdzięczny głos,

jak Marya woła nas, pójdźcie do mnie moje dzieci, przyszedł czas, ach przyszedł czas — czas Jubileuszu trzystaletniego założenia Grobu Matki Bożej na Kalwaryi Zebrzydowskiej.

Za dwa dni to jest 15-go sierpnia w samą uroczystość Wniebowzięcia tach, z koroną na głowie w otoczeniu tysięcy pątników jakby aniołów z nieba. Niosą tę figurę także młodzieńcy z Śląska, ale już nie w żałobie, ale jako „drużbowie weselni“ przepasani białemi szarfami z bukietami świeżych kwiatów na piersiach. Dziewice nie mają już czarnych welonów,

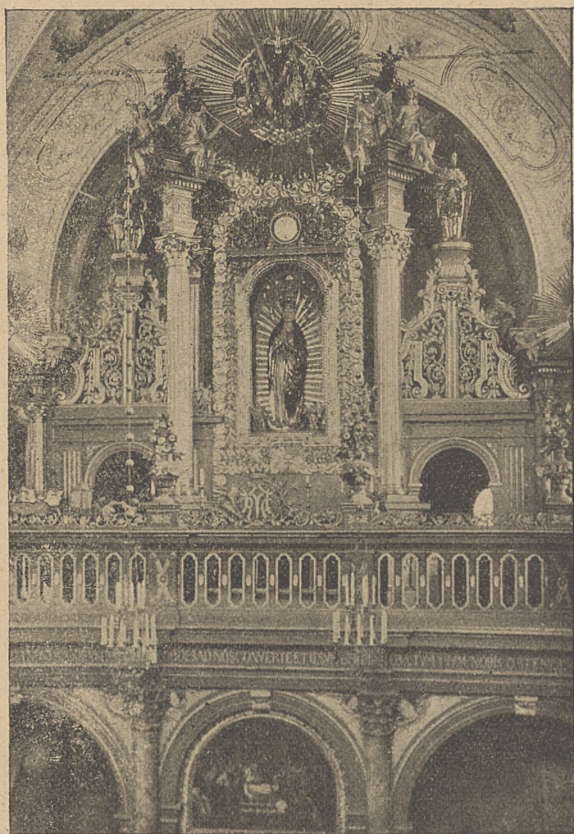

Ołtarz w kościele Grobu Najśw. Maryi Panny
w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

Maryi, charakter procesyi jest inny, bo nader wesoły, bo to już nie pogrzeb, ale tryumf Wniebowzięcia Maryi. Z kościoła „Grobu Matki Boskiej“ po sumie wynoszą na złocistym feretronie pod baldachimem piękną figurę Najświętszej Maryi Panny w postaci stojącej, w bogatych szaale białe welony, jak do ślubu występują w sukniach godowych, w mirtowych wieńcach na głowie, w ręku niosą lilie i światło jarzące; inne niosą pęki woniejących ziół, inne niosą wieńce i kwiaty, a jedna niesie na poduszce jedwabnej koronę królewską a druga berło królewskie. Od lat blisko 300

niosą tę koronę dziewice z Cieszyna, wogóle ze Śląska austryackiego na mocy przywilejów dawnych na pergaminie zostawionych.

Podczas tej trymfalnej procesyi z piersi ludzkich płynie co roku śpiew radości i wesela, kazania przy każdej kaplicy po drodze do głównego kościoła głoszą chwałę Maryi, a nabożeństwo w dzień Wniebowzięcia Maryi dnia 15-go sierpnia rozpoczęte o godzinie 9 rano w kościele Grobu Matki Boskiej, kończy się o godzinie 2 lub 3 po południu uroczystem „Te Deum laudamus“.

Takich obrzędów, tej wspaniałości i tych tłumów niezmiernych, ludzi z daleka i z bliska, ludzi różnego stanu i wieku, ludzi różnych narodowości nie widzimy nigdzie, tylko na świętej Kalwaryi Zebrzydowskiej.

Przy Grobie M. Bożej na Kalwaryi odbyła się w r. 1887 koronacya Obrazu cudownego Maryi, który z kaplicy w kościele przeniesiono na trzy dni do Grobu N. Maryi Panny, gdzie ś. p. ks. Kardynał Albin Dunajewski w otoczeniu trzech Biskupów włożył korony złote na głowy Maryi i Dzieciątka Jezus na mocy dekretu Stolicy Apostolskiej z dnia 10 marca 1887 r. W Grobie Matki Boskiej odbyła się też solenna pamiątka 300-letniego Jubileuszu założenia świętej Kalwaryi w obecności siedmiu Biskupów i ludu pobożnego, którego liczono wtedy na pół miliona, a gdy Bóg pozwoli w roku 1911 w sierpniu w Grobie Matki Boskiej na Kalwaryi odbędzie się uroczystość Jubileuszowa 300-letniej rocznicy założenia kościoła Grobu Maryi oraz poświęcenia pamiątkowej Groty na wzór w Lurd. Uroczystość ta będzie wielka, na którą podpisany Rezydent wszystkich czcicieli Maryi jak najgoręcej zaprasza.

Pisałem w Grobie Matki Boskiej w Kalwaryi dnia 1-go kwietnia 1910 r.

ZIEMIO MOJA...

Ziemio moja, ziemio droga,
Najżyźniejsza w całym świecie!
Serce ściska żałość sroga
Kiedy pomnę, jak cię gniecie
Ciężka stopa najezdnika,
Okrutnego twego wroga,
Chęć odwetu pierś przenika —
Ziemio moja, ziemio droga.

Ziemio moja, ziemio miła,
Krwią twych synów zlana cała,
I cóżeś ty zawiniła,
Żeś twą wolność postradała?

Krzyż przy krzyżu, grób przy grobie,
Jedna wielka w krąg mogiła...
Wrogu-zbójco — biada tobie!
Ziemio moja, ziemio miła.

Ziemio moja, ziemio święta,
Ty po Bogu mi jedyna!
Wróg twe krzywdy popamięta —
Ufaj słowu twego syna.
Zapali ci zorzę złotą
Moc ukryta, niepojęta —
Prysną siły, co cię gniotą —
Ziemio moja, ziemio święta!

Ferdynand Kuraś, włościanin.

DJABLE WIANO.

Nawet i djabłu może się zdarzyć przypadek...

Mądra to szelma, przezorna — jak to mówią — kuta na wszystkie cztery nogi, chociaż wiadomo, że jegomość ten dwoje ma rąk, i jedną tylko stopę i jedno kopyto tak, iż kto wie, czy w Pacanowie, gdzie przecie kozy kują, umianoby go podkuć na wszystkie cztery, „jak się patrzy“.

Więc też powierza dyabeł kucie swych kończyn wyłącznie tylko majstrowi z piekła i dlatego to właśnie zdarzają mu się niekiedy przypadki. Bywa albowiem, że mu się jedna lub podkowa obluzuje na tak śliskiej drodze, po której zwykle chadza ladaco; a że piekielnych majstrów nie ma wtedy pod ręką, żaden zaś kowal ziemski nie jest w stanie naprawić mu obuwia, więc też kuleje djablisko — sztykul! sztykul! — ślizga się i potyka co chwila, aż wreszcie — brzdęk! pada jak długi... Piekło się wówczas trzęsie ze złości, zaś aniołkowie śmieją się do rozpuku i trzepoczą skrzydełkami z uciechy!...

Bywa także czasami, że dyabeł, aczkolwiek sprytny i przezorny kanalia, coś przeoczy, że o czemś zapomni lub że wreszcie coś zgubi w podróży. Zdarza mu się to zwykle, gdy łyknie za wiele smoły gorącej na śniadanie, lub gdy się zawieruszy w towarzystwie jakiej młodej czarownicy. Wszelakoż przypadki dyabelskie tego rodzaju mają to do siebie, że jemu samemu (to jest dyabłu) nie przynoszą szkody, a ludziom z nich nie wyrasta nigdy pożytek... Wiadomo przecież, że i „dyabli kaftan“ nie cieszy i nie grzeje tych, którym się dostanie w udziale...

...Owóż, niedawno temu, bo w sam dzień wigilii Nowego Roku, wybrał się imćpan dyabeł do Warszawy, z torbą pełną noworocznych podarunków dla swej warszawskiej klienteli. Po drodze wstąpił do swej kumy, młodej, a w kunszcie swym wytrawnej czarownicy, która go przyjęła wspaniałym obiadem. Było tam pieczone serce bezlitośnego skąpca — były paszteciki z móżdżku bezdusznej zalotnicy, były marynowane żądła zjadliwych plotkarek, była galantyna ze starej ropuchy, była wreszcie olbrzymia b o m b a smoły, płonącej żółtym płomieniem — słowem uczta jakich mało — rozumie się dla dyablego podniebienia!...

Dyabeł łakomy jak wszyscy dyabli, nie dał się długo prosić swej uprzejmej gospodyni. Jadł za czterech dyabłów, pił za ośmiu, aż wreszcie spił się tak, jak to dyabli spić się umieją. Poczem — i tutaj właśnie na jaw wychodzi złośliwa, dyabelska natura — nie poszedł za świątobliwym ojca Noego przykładem i nie udał się do „arki“ na spoczynek, lecz wziąwszy swą torbę podróżną, podążył ku Warszawie, by tam czemprędzej zanieść zgubne swe podarunki.

Późno już było, gdy wszedł do miasta. Drobny śnieżek prószył, siekąc go igiełkami po twarzy. Zdumio-

nem okiem powiódł po ulicy, na której piętrzyły się kupy rozmiatanego śniegu.

— Czy to Warszawa, czy nie Warszawa? — mruknął, nie mogąc się zoryentować.

Podszedł ku tablicy, która tam wisiała na rogu wielkiego jakiegoś budynku, oświetlona blaskiem gazowej latarni i odczytał napis na niej widniejący.

— Tak, to Warszawka! — szepnął uspokojony. — Ano spiłem się, niema co mówić... A wszystkiemu winna ta szelmutka!... Ciągle tylko dolewa, a prosi: „pij lubciu, pijże serce moje!...“ Któżby nie pił, kiedy smoła taka dobra, a ona tak prosi, by jej nie odmawiać?

I pogwizdując walczyka z *Nietoperza*, podążył w stronę miasta, gdzie miał złożyć swe dary.

Ale trunek piekielny mroczył mu głowę i plątał chwiejące się nogi. Śniegowe góry wyrastały raz wraz, jakby z pod ziemi i zastępowały mu drogę co chwila. Wymijając je, i unikając spotkania nocnych stróżów, by przypadkiem który nie dostrzegł końskiego kopyta, zabłąkał się dyablisko w śnieżnym labiryncie tak, iż po całogodzinnej wędrówce znalazł się znowu na miejscu, z którego pochód swój rozpoczął. Co gorsza, spostrzegł, iż torbę zgubił w tej podróży.

— Do dyabła! — zaklął bezbożnym, dyabelskim obyczajem. — Nie będę mógł obdarzyć przyjaciół mych przy Nowym Roku!... Gotowi jeszcze pomyśleć, żem o nich zapomniał.

Zanadto dobrze znał ludzką naturę, by się długo martwić tą stratą, na której ostatecznie, jako dyabeł, mógł tylko zyskać jeszcze. Wiedział, iż przyjaciele jego potrafią broić i bez jego pomocy, oraz że ten, co torbę znajdzie, nie omieszka obrócić zawartych w niej upominków piekłu na pożytek. Więc też nie tracąc czasu, rozpostarł poły swego płaszcza i kazał się wiatrowi zanieść z powrotem do swej młodej czarownicy.

Niechajże tam sobie siedzi!... Przyjemnej zabawy!...

* * *

Podczas, gdy imćpan dyabeł urządzał powyższą „rozdobędę“, siedziało w pewnym szynku na placu Grzybowskim kilku szewców, pijąc piwo z „harakiem“ i rozmawiając o dziurach i łatach tego tandetnego świata.

— A ja wam padam, co ten świat jest jak but podarty — mówił dobrze już cięty kum Onufer. — Cholewa jeszcze niczego: może wytrzymać... Ale reszta, to nic wart, to same dziury!...

— Cha, cha, cha!... Same dziury! — zaśmiali się towarzysze.

— Tu nie pomogą żadne przyszczypki — prawił dalej wymowny Onufer. — Tu nawet i zelówka nie pomoże... Trzeba dać całe podszycie: nowy wierzch i nowy spód!

— Dobrze mówi Onufer — potwierdzili szewcy — nowy wierzch i nowy spód!

— Nu, a kto będzie tym wierzchem? — spytał Chaim Papiermacher, przysłuchujący się od dłuższej chwili z za szynkwasu tej rozmowie.

— Kum Onufer podparł się ręką pod bok, patrząc na szynkarza zamglonemi oczyma.

— Juścić nie żydzi — odparł z powagą.

— Cha, cha, cha!... Oto mu uciął — zabrzmiało dokoła.

— Ja sze nie pytam, kto nie będże, tylko kto będże? — rzekł, nie zrażając się pan Chaim.

— A ktoż ma być wierzchem?... Wierzchem będą szewcy — tłómaczył Onufer.

— A krawcy? zapytał krawiec, siedzący przy drugim stole.

— I krawcy także — zapewnił wspaniałomyślnie zagadniony.

— A mosiężnicy? — ozwał się głos jakiś od lady.

— I mosiężnicy!... Wierzchem będą wszyscy rzemieślnicy — objawił łatacz społecznego porządku. — A żydy pójdą na spód.

— Sprawiedliwie mówi, cha, cha, cha!... Dalibóg sprawiedliwie — potwierdzono ze wszystkich stron.

— Nu, a jeżeli żyd jest szewcem albo mosiężnikiem? — zagadnął znowu pan Chaim — co z nim będzie wtedy?

— Co ma z nim być? — odparł pan Onufer. — Pójdzie pod spód!

— Cha, cha, cha! — parsknęli śmiechem słuchacze.

— Wiecie co, panie Onufer? — rzekł na to szynkarz — to wielgie szczęście, co ten szwat nie jest podartym butem i co wam go nie oddadzą do reperacyi, bo wybyście całkiem sfuszerowali tę robotę... Na moje sumienie, coby wtedy buło jeszcze gorzej, jak jest.

— O, widzicie go! — zaśmiali się znowu szynkowni goście.

— Cha, cha, cha! ja wiem, coby gorzej było, ale tylko dla was — szydził Onufer.

— I dla nas i dla was i dla wszystkich — odparł pan Chaim.

— Dlaczego? — zawołało kilka głosów.

— Widzicie panowie to jest taki interes — jął mówić szynkarz. — Dekarz albo kominiarz, to woni chodzą po dachu, jak sprawiedliwy kot... Woni nie spadną stamtąd i w głowie im się nie kręczy, choć wysoko, a czasem ślisko, co aż strach... A wiecie panowie dlaczego?... Dlatego, co dekarz albo kominiarz, wón do tego od małoszczy nauczony; wón już do tego przywyknął... A wy, czybyście to potrafili?

— Oj, oj!... Czemu nie!

— Ja myszlę, co nie; ja myszlę, coby wam sze w głowie zakręciło.

— No, ale cóż to ma do tego, o czem się gadało? — zapytał pan Onufer.

— To ma do tego, co pan jest panem — odparł pan Chaim. — Jemu sze w głowie nie kręczy być panem, bo wón do tego nauczony od dziecko; wón już do tego przywyknął... Wón da na szpital, wón da na biednych, wón da na tanie kuchnie, dlatego, bo mu sze w głowie nie kręczy i wón widzi, co jest i co potrzeba... A wy, panie Onufer, jakbyście panem byli, toby wam sze tak w głowie zakręczyło, cobyście tego wszystkiego wcale nie widzieli.

Popijając i gwarząc wesoło o koniecznem podszyciu tego dziurawego świata, zabawiała się kompania jeszcze dłuższy czas. Wreszcie oznajmił policyant, pukając do drzwi szynku, że czas już położyć koniec tej zabawie. Wtedy, wypiwszy jeszcze po kieliszku „gorzkiej“ na drogę, rozeszli się wszyscy, każdy w swoją stronę.

* * *

Dziwne rzeczy działy się na ulicy, gdy pan Onufer pożegnał swych towarzyszów. Gazowe latarnie wywijały raźnego oberka, kamienice i parkany krzesały hołubca, potrącając co chwila zmierzającego ku domowi łatacza społecznego porządku.

Zrazu bawiła go ta „heca“; kroczył więc chodnikiem uśmiechnięty, wołając od czasu do czasu dobrodusznie: „No uważaj przecież!“ — w nadziei, że tem napomnieniem oprzytomni rozszalałych taneczników. W końcu jednak, gdy go jakiś zwaryowany parkan bolesnym poczęstował szturchańcem, zakipiał gniewem.

— Czego chcesz, psia krew? — wrzasnął rozjuszony.

I podniósłszy w górę zaciśniętą pięść chciał potężnym razem ugodzić napastnika; parkan jednak uniknął ciosu, odskoczywszy piorunem na przeciwną stronę ulicy.

Wtedy, kiwnąwszy głową, powiedział sobie, że nie warto po nocy wszczynać awantur z grubijanami i poszedł dalej środkiem drogi, trzymając się teraz już zdala od pląsających par-

kanów i kamienic. Wprawdzie potrącały go tutaj śnieżne kupy, wpadając na niego co chwila, uniesione piekielną jakąś galopadą, ale bądź co bądź zetknięcie się z niemi mniej już było bolesnem.

Nagle potknął się, nastąpiwszy na coś czarnego. Wydało mu się, że to człowiek, leżący na ziemi i przyszło mu na myśl, że dorożka może łatwo przejechać tego biedaka, który sobie ulicę obrał za posłanie. Współczuciem tknięty, zwrócił się i potrącił go nogą.

— Wstawaj, pijaku, wstawaj! — rzecze, usiłując rozbudzić śpiącego.

Ale to, co leżało na ziemi, nie dawało znaku życia.

— Może to nieboszczyk? — pomyślał pan Onufer, usiłując się przybliżyć.

Wszelakoż niezbadana jakaś siła odtrącała go to w prawo to w lewo, to naprzód, to w tył, tak, iż niemógł wykonać swego zamiaru. Wtedy wziąwszy się na sposób, legł na ziemi i popełzał na czworakach ku mniemanemu nieboszczykowi, który jak się przekonał, był dużą podróżną torbą z lakierowanego juchtu, przyozdobioną monogramem ze złoconego bronzu.

Doznane wrażenia wytrzeźwiły go nieco. Puścił się ku cyrkułowi, by tam złożyć przedmiot znaleziony, ale niebawem obsiadły go myśli, które go odwiodły od tego zamiaru. Może to skarb, może majątek wielki? Po torbie można było wnosić, że właściciel jej musi być bogaczem. Rozciekawiony, pospieszył do domu, zapalił świecę, otworzył torbę i począł ze wzrastającem zajęciem przeglądać jej zawartość.

Skarbu tam wprawdzie nie było, ale cóż za dziwne dziwy! Paczuszki w ozdobnych zawinięciach, poprzewiązywane różowemi błękitnemi wstążeczkami, każda opatrzona napisem, oznajmiającym istotę zawartego w niej przedmiotu, tudzież osobę, dla której przedmiot ten był przeznaczony. Widocznie były to noworoczne upominki! Przeglądając je, wytrzeźwiał do reszty pan Onufer, a jednak „rozum mu stawał capka“, tak niepojętem było mu to, na co patrzał.

Było tam mydło do mydlenia uszu „dla żony, która kocha męża“; były dwie talie bisotowanych kart „dla szczęśliwego gracza“; były szczypczyki do ściągania siódmej skóry „dla sumiennego finansisty“; i wiele, wiele innych przedmiotów, których tu wyliczyć nie sposób.

Kum Onufer nie był „żoną, kochającą męża“, ani graczem, ani finansistą, więc też doznał zawodu, nie znalazłszy wśród tego stosu osobliwych rupieci nic takiego, z czegoby mógł jakikolwiek dla siebie wyciągnąć pożytek. Przeznaczenia tych przedmiotów nie rozumiał wcale, niektóre z nich jednakże obudziły w jego umyśle słuszne podejrzenie.

Rozmyślając, przyszedł do przeświadczenia, iżby źle było, gdyby mydło do mydlenia oczu dostało się do rąk żony, kochającej swego męża, a szczypczyki do ściągania siódmej skóry stały się własnością jakiegoś tam finansisty. Małoż to już i tak zgorszenia na tym świecie? O jej! Wszakże to i bez tego but podarty, domagający się gwałtem podszycia!

Więc też oburzony na tego łotra, który za pomocą tych osobliwych podarunków zamierzał bardziej jeszcze krzewić zło wpośród ludzi, postanowił nie zwrócić zguby jej właścicielowi, lecz zabrawszy się przy świętym poniedziałku lub raczej wtorku do roboty, pokrajać torbę i uszyć ze skóry uzyskanej parę lakierowanych bucików. W ten sposób nie dopuści do zgorszenia, a w dodatku wyciągnie dla siebie korzyść z przedmiotu, którym go obdarzył przypadek.

Nazajutrz, jako w dzień świąteczny, odwiedził po obiedzie swą narzeczoną pannę Apolonię, która piastowała urząd kucharki u pewnych państwa przy

ulicy Marszałkowskiej i zabrał ją z sobą do „Rozkoszy“, gdzie w wesołej kompanii spędzili wieczór na zabawie. Była to osoba już poważna i nie grzesząca wcale nadmiarem urody; mimo to trzymał jej się pan Onufer, mając z niej wygodę „wedle opierunku“. Przytem dostarczała mu cukru i herbaty, tak iż artykułów tych nigdy nie potrzebował kupować; częstokroć przybiegała do niego i przynosiła mu kotlet, kawał pieczeni, albo też leguminę jaką w papier owiniętą. Wszystko to były rzeczy, któremi nie wypadało pogardzać.

Ceniąc te przymioty swej narzeczonej, „chodził więc do niej“ trzeci już rok, ale się wcale nie kwapił do żeniaczki. Panna Apolonia srodze w „swym chłopie“ rozkochana przynaglała go, żeby przecież już raz pomyślał o weselu, ale jej się zawsze umiał wykręcić, odkładając krok stanowczy od jesieni do wiosny, od wiosny znowu do jesieni. Widocznie go nie korciło pozbyć się wolności kawalerskiego stanu. Zawszeć to kłopot z babą, a tem lepiej, im później się człowiek obarczy takim ciężarem.

* * *

Dopiero we wtorek rano pomyślał Onufer o robocie, a pomyślał o niej z niechęcią i obrzydzeniem. Po Nowym Roku przyszła sobota: nie warto zatem było zabierać się do pracy na jeden dzień. Po sobocie nastąpiła święta niedziela — dzień Pański, dzień wypoczynku! a po niedzieli poniedziałek, którego także święcić nie zaniechał sławetnym szewskim obyczajem. Wypoczynki te zmęczyły go były niezmiernie, więc też z ciężkiem westchnieniem wziął do ręki torbę, z której miał wykroić materyał do roboty potrzebny.

Nie ma co mówić, jucht był doskonały, a lakier nigdzie nie nadpsuty. Można więc było z uzyskanej skóry wysztywtować parę galantych bucików, ale to nie ucieszyło pana Onufra tak wielce, jakby się tego można było spodziewać. Po prostu robić mu się nie chciało; byłby wolał spać, albo też pójść do szynku, by tam klinem wybić dolegającego klina. Wszelakoż trudna rada, nie było pieniędzy i — trzeba było koniecznie zabrać się do roboty!

Jakoż, wyostrzywszy nóż, chciał się wziąć do prucia torby, gdy wtem z jej wnętrza ozwał się brzęk podobny do brzęku pieniędzy. Rozciekawiony, otworzył ją skwapliwie, i — o dziwo! znalazł w niej siedem sztuk nowiutkich półrubli, błyszczących jak gdyby dopiero co wyszły z pod stempla. A to co takiego? Nie mógł pojąć, skąd się tam wzięły te pieniądze! Wszak przeszukał był torbę dokładnie owego dnia, czyli raczej owej nocy, gdy ją znalazł na ulicy. No, no, widocznie musiał być pijanym jeszcze! Wytłómaczywszy sobie w ten sposób dziwną tę zagadkę, schwycił pieniądze w garść, wcisnął czapkę na głowę i pobiegł do miasta.

Tydzień cały grasował, nie myśląc oczywiście o robocie. Pieniądze były w kieszeni, więc też go nie kusiło zabrać się do szydła i dratwy. Na co? po co? hulaj dusza, póki nie pęknie ostatni rubelek! Sypiał do południa, o południu wychodził do restauracyi lub szynku, skąd powracał dopiero późną nocą, znajdując zawsze chętnych towarzyszów do hulanki. Wyszeplawszy się po upływie tygodnia z pieniędzy, wziął znów do ręki torbę z ciężkiem westchnieniem. I znowu powtórzyła się ta sama scena, która się rozegrała przed tygodniem; siedem półrubli, błyszczących jak słońce, wpadło mu znowu do ręki. Kum Onufer zrozumiał, iż posiada worek zaczarowany.

Zakręciło mu się teraz w głowie, jak to ongi przepowiedział pan Chaim Papiermacher, szynkarz z Grzybowskiego placu. Pieniądze sypały mu się istotnie, jak gdyby z worka; potrze-

bował tylko powziąść jakieś życzenie, a natychmiast znajdował w torbie środki do zaspokojenia pragnień swych potrzebne. Nie żałował też sobie niczego, coraz to nowe objawiając zachcianki. Zapragnął złotego zegarka z grubą jak palec dewizką (łańcuszek); zaczarowana torba dostarczyła mu na zakup ten pieniędzy. Zachciało mu się futra — było futro; sprawił sobie kilka garniturów, nakupił bielizny, ponawkładał na wszystkie palce tyle pierścionków, iż ledwo mógł niemi poruszać. Jednem słowem dogadzał wszystkim fantazyom, które w nim nieustannie wzbudzał pieniądz, a o których mu się przedtem wcale nie śniło.

Oczywista rzecz, iż zostawszy panem, „puścił kantem“ pannę Apolonię. Nie chodziło mu teraz o „opierunek“, a smakołyki kucharki utraciły były dla niego wszelką ponętę. Stosunek z „kuchtą“ nie odpowiadał już teraz jego pojęciu i zajętemu w hierarchii społecznej stanowisku. Natomiast zrobił znajomość z żoną pewnego konduktora, młodą i przystojną blondynką, która chodziła w pluszowej rotundzie i w kapeluszu ze strusiemi piórami, a nosiła brylantowe kolczyki w uszach, pierścionki na palcach i na rękach bransoletki. Pani konduktorowa była niegdyś kelnerką w jakiejś bawaryi. Gdzie, gdzie „parzygnatowi“ do takiej „osoby!“

Osoba ta była kobietką wesołą i lubiącą się bawić, a umiejącą mydlić oczy mężowi, nawet i bez onego mydła, które niegdyś pan Onufry — tak go przezwała pani konduktorowa — wydobył z zaczarowanej torby, a którego widok tak go onego czasu zgorszył i oburzył. Co prawda, przychodziło jej to z łatwością, mąż bowiem nie grzeszył zbytkiem sprytu, a nadomiar z powodu służby swej rzadko kiedy przebywał w domu.

Korzystała też z tej swobody pani konduktorowa, wyciągając pana Onufrego do teatru, na maskarady, na kolacyjki w gabinecie i wtajemniczając go w rozkosze hulaszczego życia, o których przedtem nie miał wyobrażenia. Miała co prawda zachcianki kosztowne; przepadała za ostrygami, a szampana doiła jak smok, znając się na tych „używaniach“ jeszcze z czasu, gdy była kelnerką. Przytem darła w sposób bezwstydny łyko ze swego szarmanta. Ten jednakże nie zrażał się wcale, bo i dlaczegóżby się miał zrażać? torba płaciła za wszystko.

Życie to podobało mu się wielce. Przyszedł do przeświadczenia, że na przykład Benedynktynka nierównie jest lepsza od piwa z „harakiem“. Szczupak po parysku i s a l a m i z kuropatw smakowały mu daleko lepiej, niż schab z kapustą, który niegdyś poczytywał za specyał niezrównany. Jedynie tylko do ostryg nie mogła go przekonać jego mistrzyni, zdaniem jego był nierównie smaczniejszym sardelek, nie mówiąc już o golonce.

Rozumie się, iż żyjąc w ten sposób, nie marzył już o podszyciu świata, który, jeżeli mu się jeszcze wydawał podobnym do buta, to chyba do lakierowanego, miękkiego, wygodnego i błyszczącego, a zrobionego na urząd przez najlepszego majstra. Zdaje się jednak, iż porównanie to nie nasuwało się jego umysłowi, i że porwany wirem uciechy, nie zastanawiał się nad istotą świata. Zawróciło mu się było w głowie, jak to przepowiedział Chaim Papiermacher — tak, iż „nie widział tego, co jest i czego potrzeba“.

* * *

Raz jednakże zdarzyło mu się zetknąć z tą nędzą, której niedola tak go niegdyś roztkliwiła, a którą stracił był z oczu, nie spotykając jej nigdy na swych drogach. Wróciwszy późną nocą z hulanki do domu, usłyszał, wstępując w bramę, płacz żałosny, którego lament rozlegał się wśród nocnej ciszy.

— Co to jest?... Kto tam płacze? — zapytał stróża, który mu otwierał.

— Nie wiedzieć, proszę pana — odparł zaspany odźwierny. — To u tej wdowy, co mieszka w suterynie... Podobność dziecko tam bardzo chore... Może umarło?

Litością zdjęty pobiegł pan Onufry do suteryny.

Na ubogim barłogu leżała w gorączcze siedmioletnia może dziewczynka, z zamkniętemi oczkami, z główką owiniętą mokrym ręcznikiem. Przy niej klęczała zrozpaczona matka, wpatrując się przerażonym wzrokiem w te oczka przysłonione ociężałą powieką, w to liczko płonące zarzewiem, w te wątłe piersi podnoszące się gwałtownym wysiłkiem dla pochwycenia oddechu, w te spieczone usta, z których się od czasu do czasu przez sen jęk bolesny wydobywał.

— Czemu pani tak rozpacza? — spytał pan Onufry z współczuciem.

— Ach, panie! — zawołała matka — dziecko mi kona, a ja go nie mogę ratować!

— Może pójść po doktora? — rzekł pan Onufry.

— Był doktór, był! — jęknęła wdowa.

— No, i cóż?

— Zapisał receptę... Możeby to pomogło biedactwu; możeby się tak nie męczyło!... A ja nie mam pieniędzy na aptekę, ach!... I nie mogę odejść dzieciny, aby się postarać... Och, ta noc, ta noc!... O, ja nieszczęśliwa!... Dziecko mi skona bez pomocy, ach, ach, skona z pewnością!

Pan Onufry sięgnął do portmonetki, zapomniawszy, że się nią tego wieczora bawiła pani konduktorowa.

— Daj mi pani receptę — rzekł, widząc że go towarzyszka jego zabaw doszczętnie ogołociła. — Pobiegnę do apteki i przyniosę lekarstwo.

— Ach, panie, to Bóg chyba zesłał pana — zawołała wdowa, składając ręce jak do modlitwy. — Niechże panu Bóg nagrodzi za tyle dobroci.

— Uspokój się pani, uspokój!... Będzie dobrze — odparł wzruszony. — Ja skokiem wrócę... Zobaczysz pani, że będzie dobrze.

I wziąwszy receptę, pobiegł do swego pokoju, nie wątpiąc, iż mu torba dostarczy potrzebnych pieniędzy.

Ale zaczarowany worek, który zawsze tak skwapliwie czynił zadość jego żądaniom, gdy mu się nie chciało pracować, gdy na hulankę pragnął wyciągnąć swych towarzyszów, gdy chciał dogodzić fantazyom pani konduktorowej, gdy podarunkami okupował jej pieszczoty, odmówił mu teraz posłuszeństwa. Próżno zagłębiał w nim rękę, przeszukując wszystkie jego zakątki: wyschło źródło, z którego dotychczas czerpał tak obficie.

Więc zdjął go lęk, iż czart służył mu tylko wtedy, gdy mu ku złemu drogę torował i rozwścieczony własną niemocą, potrząsł workiem gwałtownie wołając:

— Pieniędzy!... Pieniędzy!...

Ale zamiast pieniędzy, wypadł z torby kamień ciężki z łoskotem na podłogę.

...Ranek zastał pana Onufrego, pogrążonego w ciężkiej zadumie. Okiem pełnem wstrętu i nienawiści wpatrywał się w leżącą na ziemi torbę, która szeroko rozwarta, czerwonem swem wnętrzem ziejąca, zdawała się urągać mu swem bronzowem okuciem. Wspomnienie doznanego zawodu gniotło go nieznośnem brzemieniem. Po za nim leżało życie, które prowadził od czasu znalezienia zaklętej torby. Myśląc o niem, doznawał takiego wrażenia, jak gdyby się zbudził z dzikiego jakiegoś, ciężkiego snu, którego zmora mroziła mu jeszcze serce lękiem bez miary.

Spojrzawszy w okno, przez które zaglądały pierwsze blaski świtu, ocknął się wreszcie z odrętwienia. Porwał czapkę i pobiegł do żyda, do którego się niegdyś udawał w potrzebie i pożyczył od niego dwa ruble, przyrzekając, iż dług ten zapłaci za ty-

dzień, skoro trzyma zapłatę za najbliższą robotę. Uzyskane pieniądze obrócił na wykupienie lekarstwa dla chorego dziecięcia i zaniósł go stroskanej wdowie, truchlejąc, azali pomoc ta nie przybędzie za późno.

Uspokojony w tej mierze powrócił do swej izdebki pełen otuchy. Przeżegnawszy się, wziął nóż do ręki i począł pruć torbę, z której wykroił parę galantych bucików. Jeżeli się przypadkiem dyabeł wówczas znajdował w podróży, a odczuł to, co się z jego workiem dzieje, to musiał potężnego kozła wywrócić.

Kto wie, może nawet i kark skręcił w tej przygodzie?...

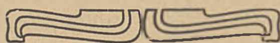

FRANCISZEK MARZEC.

DWAJ ŻOŁNIERZE.

OBRAZEK Z OSTATNIEJ WOJNY ROSYJSKO-TURECKIEJ.

Słońce, ginąc gdzieś na zachodzie, ostatnimi promieniami ozłacało ziemię. Na pobojowisku pod Karsem, gdzie przed chwilą toczyła się walka pomiędzy Moskalami a Turkami, straszny przedstawia się widok. Krew ludzka, niedawno tak obficie wylana, tworzy tu i owdzie kałuże i paruje, jeszcze nie zastygła. Kupami całemi widać trupy poległych Turków i Moskali. Połamane bagnety i szable, zdruzgotane karabiny, popsute wozy, pokaleczone lub pozabijane konie, jak okiem sięgnąć, zaległy na pobojowisku. Zewsząd słychać krzyki i jęki rannych lub konających, którzy walczą w okropnych boleściach ze śmiercią, a nikt im nie poda przyjacielskiej dłoni, ani kropelki wody do zwilżenia ust, spalonych gorączką. Straszny to obraz boleści, śmierci i zniszczenia!

Ktoby się przypatrzył temu polu, zasłanemu trupami konającemi, musiałby złorzeczyć tym, co wzbudzają wojny i którzy człowieka spokojnego odrywają od roli, od chaty, od rodziny, od pracy cichej, a pędzą go gdzieś w świat, aby marnie ginął zdaleka od swoich. Są wojny sprawiedliwe, n. p. gdy uciśniony naród chwyta za broń, aby ojczystą ziemię oswobodzić od nieprzyjaciela, lub kiedy obywatele broniąc przystępu do swych chat rodzinnych, zastępują drogę najezdnikom; gdyż każdy ma prawo bronienia się. Ale prowadzić wojnę napastniczą, najść cudzy kraj, aby tam kawałek ziemi zabrać dla siebie i nieść dlatego śmierć i zniszczenie między spokojne chaty wieśniacze, to jest zbrodnią, za którą ten, co jej przyczyną, ciężki przed Bogiem pewnie zdać musi rachunek.

Smutny więc był widok na pobojowisku pod Karsem. Tu przed chwilą odnieśli Turcy zwycięstwo — tu ich dzielni dragoni zgnietli najeżony bagnetami pułk moskiewskiego wojska. Lecz czybyście, moi kochani, uwierzyli, że owa jazda turecka, co zwalczyła Moskala, składała się przeważnie z Polaków? Tak jest — ów pułk dragonów tworzyli nasi bracia z nad Wisły, Dniepru i Niemna — tułacze i wygnańcy z ojczystej ziemi!

Pomiędzy stosami trupów leżał na pobojowisku. w kałuży krwi własnej, młody dragon turecki, ciężko ranny,

a przy nim jego rumak dzielny. Biedne zwierzę, jak padło od kuli moskiewskiej, tak leżało z wyciągniętemi przed siebie nogami, ofarbowane potokami krwi. Waleczny dragon rozdartą miał pierś od nieprzyjacielskiej kuli i skłuty był strasznie bagnetami. Śmierć powoli gasiła resztki tlejącego życia w dzielnym wojowniku. Był to Polak... On niegdyś walczył również, ale walczył w obronie swej lubej ojczyzny. Zmuszony potem przez wroga do opuszczenia Polski, wiódł życie tułacze a dziś ginie na obcej ziemi! Bolesne uczucie przepełnia duszę i wygnańca. Żegna on w duszy swój ukochany kraj — żegna drogie sercu osoby, co je tam w ojczyźnie zostawił a których tu na ziemi oglądać nie będzie.

Obok niego, ściskając jeszcze w dłoni bezużyteczny karabin, leżał sołdat moskiewski, z rozciętą od tureckiej szabli głową. Rysy twarzy owego sołdata były bardzo szlachetne, a choć zlane krwią zeschłą i zwalane warstwą kurzu i błota, wskazywały nie moskiewskie pochodzenie. I to był Polak, choć go mundur moskiewski pokrywał. On dzieckiem jeszcze będąc, porwanym został na to, aby wyrósł na niewolnika moskiewskiego, i mordował tych, których mu wskażą — może nawet rodziców lub braci; dziś w carskich szeregach walcząc, padł od kuli z ręki rodaka.

Już słońce zaszło i noc piękna, pogodna roztoczyła swe panowanie. Księżyc wyszedł na niebo i oświetlał srebrnymi promieniami to pole strasznej niedawno walki. Leżący przy swoim koniu turecki dragon, ocucony chłodem nocy, usiłował się podnieść, lecz nie mógł. Rany jego były śmiertelne, paliły go okropnie, a tu ani kropelki wody, aby ulżyć ciężkim chwilom konania. Jęknął boleśnie nieszczęśliwy wojownik, a potem, dobywając ostatnich sił, sięgnął za zanadrze . wydobył ztamtąd mały złoty krzyżyk, a ucałowawszy go spiekłemi usty, wlepił weń omdlewające spojrzenie... modlił się.

— Ojczyzno moja, bądź zdrowa! — wyszeptał za chwilę konający półgłosem — matko moja, gdzieś ty... już cię nie zobaczę... bracie mój... ojcze kochany, ach Boże, zlituj się!

I znów zaczął ciężko oddychać, a krew jeszcze potrosze sączyła się z ran jego.

Ów jęk tureckiego dragona poruszył leżącego opodal moskiewskiego sołdata. Z ciężkiem wysileniem przyczołgał on się do tureckiego żołnierza i wyrzekł słabym głosem:

— Tyś Polak? o mów, jeszcze mów; ja tak długo nie słyszałem ojczystej mowy, niechaj się nią nacieszę choć w chwili skonania — o, mów jeszcze, na miłość Boską, mów choć słowo!

Otworzył zamknięte oczy dragon turecki, a widząc kto do niego przemawia, rzekł z wysileniem:

— Wróg przy mnie, precz szatanie! Tyś Moskal, przekleństwo tobie, oddal się, niech umrę spokojnie!

— Bracie, nie przeklinaj, jam nie Moskal, przebacz, jam nie winien, jam nie winien, jam Polak, który się stał ofiarą wroga — jęczał moskiewski sołdat.

— Ktoś ty — rzekł turecki dragon — co mnie zwiesz bratem. Ja miałem brata kiedyś w ojczyźnie, ale Moskale zabrali go wraz z matką, ach Boże! ten krzyżyk od matki, gdzie ona, ja nie wiem, ktoś ty jest, mów, czego chcesz odemnie?

— Ja chcę tylko słyszeć ojczystą mowę, bo kocham ją, pragnę braterskiego uściśnienia dłoni Polaka i zapłakał gorzkiemi łzami.

Dragon rzucił nań przyjaźniejsze spojrzenie; nie patrzył już na mundur, ale widział nieszczęśliwego jak on rodaka.

— Przebacz bracie, — rzekł dragon — ja cię uważałem za wroga, bo nosisz mundur jego. Możeś ty mi za-

dał cios śmiertelny, ale ci przebaczam. Jeżeli kiedy wrócisz do ojczyzny, dowiedz się, gdzie brat mój, gdzie matka, ojciec zginął, o Boże! ja umieram, oddaj im ten krzyżyk, ciężko mi, o Boże! ojczyzno moja!

— Jakież twoje nazwisko? — rzekł sołdat, wysłuchawszy dragona z uwagą.

— Jan K... — rzekł dragon.

— Bracie mój; — jęknął sołdat — jam twój brat Stanisław K...

Krzyk bolesny wydarł się z piersi dragona i obaj bracia utonęli we wzajemnym uścisku.

— Więc żyjesz, bracie, — wyszeptał dragon — mów o sobie, o matce, prędko mów, bo słabo mi, umieram.

— I ja z tobą ginę, bom ciężko ranny. Matka nie żyje, często mówiła o tobie, o ojcu: mnie zabrali do wojska i zapędzili daleko w obce kraje, gdziem nawet ojczystej mowy nie słyszał. O ileż razy przypomniał mi się nasz domek wiejski, gdzieśmy jako dzieci na łonie drogich rodziców tyle chwil szczęśliwych spędzili — a teraz... Boże! na obcej ziemi i dla obcej sprawy przeciwko sobie walczyliśmy!

— Bracie — rzekł dragon — choć nieprzyjaciele nas rozłączyli za życia, lecz Bóg nas przy śmierci połączył, abyśmy razem zanieśli do Niego skargi o krzywdę naszej ojczyzny.

I zamilkł wojownik, bo krew czarna, znak śmierci, pokazała się na ustach; objął brata prawą ręką za szyję, lewą przycisnął krzyżyk do piersi i... skonał.

Sołdat przysunął się bliżej brata, złożył ostatni pocałunek na jego czole i wydobywszy taki sam krzyżyk, jaki miał dragon, modlił się i oczekiwał zgonu.

* * *

Słońce wybiegło rankiem na błękity niebios. Na krwawem polu pokazali się ludzie, szukający rannych, których wczoraj zabrać nie mogli i grabarze, aby pochować umarłych.

Przez pobojowisko przejeżdżał oddział dragonów tureckich z oficerem na czele.

Kiedy przybyli na miejsce, gdzie trupy tureckiego dragona i moskiewskiego sołdata, leżały we wzajemnym uścisku, wstrzymali się, a dowódca patrolu widząc, że obaj mają jednakowe krzyżyki w ręku, rzekł bardzo smutnie:

— To muszą być dzieci jednej matki, to pewnie bracia, choć ich mundur różny pokrywa. Niechaj tym walecznym grabarze jeden grób wykopią, aby wspólnie spoczęli, a my im cześć wojskową oddajmy.

I stało się, że w jednym grobie spoczęli sołdat moskiewski i turecki dragon, synowie jednej matki, ofiary dla obcej sprawy, biedne polskie dzieci!

Poradnik rolniczy.

Na miesiąc Styczeń.

W miesiącu styczniu zaczyna już dnia potrosze przybywać, mróz zwykle trzyma, a drogi najczęściej są dobre. Nie powinien też gospodarz odpoczywać, ale, kiedy w polu robić nie można, niech przygotuje wszystko w domu i w podwórzu tak, aby na wiosnę brać się jak najprędzej do roboty w polu, bo wtedy nieczas już zajmować się tem, co można było zrobić zimową porą.

W tym to więc miesiącu myśleć trzeba o przędzeniu lnu i konopi na płótna, worki i nici, żeby później tego nie kupować; bo w sklepach, chociaż mają ładniejsze na oko towary, ale zato bardzo nietrwałe. Trzeba też nakręcić powrósel do zboża, przygotować snopków na pokrycie dachów, narobić słomianek i mat do inspektów, sieci do łowienia ryb, grabi do siana, szufli, łopat, wideł i wszelakich przyrządów gospodarskich. Pierze z różnego ptactwa domowego drzeć w tym miesiącu i chować trzeba, aby było z czego robić poduszki, a wełnę ze zwyczajnych owiec prząść na grube kołdry, dery i na sukno.

Gdy trwają silne mrozy, trzeba się także pospieszyć z napełnieniem lodowni, bo lód zawsze w lecie się przyda. A lodownię każdy gospodarz może sobie łatwo i tanim kosztem urządzić w taki oto sposób: Z jesieni kopie się dół nieduży, ale głęboki, a w zimie podczas silnych mrozów wlewa się do niego trochę wody i znowu się czeka, aż całkiem zamarznie. Tak dolewając potrochu, napełnisz dół z wierzchu jednolitym lodem, na który kładzie się słomy na łokieć grubości i dobrze się zdeptuje. Można też przyłożyć taki dół z wierzchu jeszcze mchem, a na niego, albo poprostu na słomę, nałożyć na łokieć grubo ziemi. Trzeba jeno baczyć, żeby taki dół wykopany był na wzgórku, najlepiej w glinie, żeby do niego nie mogła ściekać woda deszczowa. Jak tylko w lecie potrzeba lodu, odkrywa się dół, trochę lodu się wyrąbuje, a resztę przykrywa się znów tak, jak poprzednio.

Piwnice, doły i kopce z jarzynami trzeba w tym miesiącu obejrzeć, wybierając do tego dzień ciepły i pogodny; a jeśli jarzyny wyrastają albo gniją, to je częściej przewietrzać; bo są widać za ciepło chowane, a nawet przebrać i odrzucić zgniłe, żeby od nich inne się nie psuły.

Chlewy dla świń i kurniki opatrzyć, aby były ciepłe; a nie żałować świniom słomy na podściółkę, żeby mogły się w nią zakopywać, bo tym zwierzętom zimno bardzo szkodzi. Gdy wieprze karmne jeść nie chcą, to zadawać im karmu potrochu a często domieszywać to mąki to makuchów, to grochu a nareszcie dosypywać kilka razy na tydzień po pół

ćwierci funta węgla miałkiego, wypalonego z miękkiego drzewa.

Konie, jeśli w tym czasie nie pracują ciężko, można żywić oszczędniej, żeby za to lepiej podpaść później, przy zaczęciu robót w polu. Nie trzeba jednak ich zanadto głodzić; a dobry gospodarz, który dba o swój dobytek, powinien dawać im na dzień przynajmniej po 2 garnce owsa, albo po półtora garnca mąki razówki z żyta lub z grochu, i do tego po 10 funtów dobrego siana na każdego konia. Źrebaki paść zgoninami, ale zgoniny odsiać pierwej z kurzu; za drabinę źrebiętom zakładać dobre grochowiny, wyczankę i siano, byle zdrowe, a broń Boże nie stęchłe i zamulone.

Krowy, w tym miesiącu cielne, albo po ocieleniu będące, trzeba dobrze żywić i troskliwie obsługiwać, a niezdatne do dalszego chowu — sprzedać, albo wypaść. Krowom cielnym nie dawać gorącego pojła, ani nie słać pod nie ściółki mokrej i zmarzniętej, bo od tego ronią. Nie dawać im też zadużo sieczki, ale karmić je paszą pożywną; a do sieczki przyrzynać koniczyny, wyki i grochowin; siano zaś zakładać po napojeniu. Jeśli mało już jest kartofli drobnych, albo buraków, to trzeba dokupywać otrąb we młynie, albo makuchów olejnych i tem krasić sieczkę; — bo jeśli krowa będzie zimą zabiedzona, to chociaż później poprawi się niby na oko, zawsze jednak nie będzie już dawała tyle mleka, co bydlę dobrze przez cały rok utrzymywane. Obory też trzeba opatrzyć, żeby były ciepłe, a nawóz posypywać gipsem albo suchym torfem i na to słać dopiero świeżą słomę, żeby powietrze w oborze było zdrowe i nie zaduszne. Żłoby i koryta oczyszczać codziennie z resztek mokrej paszy, a parę razy w tygodniu dobrze wymyć, żeby nie kisły i nie pleśniały, bo to trucizna dla bydła.

Cielęta jałoszki na chowanie wybierać od krów najmleczniejszych, a byczki od najtęższych i najsilniejszych; lichsze zaś cielęta sprzedawać. Cieląt po urodzeniu nie zostawiać przy krowie, ale wsadzić zaraz do osobnej zagrody i tylko przysadzać 4 razy na dzień do matki dla nakarmienia, a pozostałe w wymieniu mleko akuratnie zdając za każdym razem, bo inaczej to krowa mleko traci. Nie dłużej też cielę ssać powinno, jak 7, a najwięcej 8 tygodni; na 3 tygodnie zaś przed odsadzeniem, trzeba mu zacząć dawać owies, czystą wodę w korytku i najlepsze siano łączne.

Jałowiznę należy trzymać w kilku zagrodach tak, żeby starsze nie odjadały młodszym, a jałowice cielne powinny być koniecznie wiązane. Takich, które mają już po 4 lata, a jeszcze nie cielne, nie warto dłużej trzymać, ale podpaść i jaknajprędzej sprzedać, bo z nich nic dobrego nie będzie.

Z wołami, które się mają paść na mięso, trzeba się w tym miesiącu pośpieszyć; dokarmić je, zadając więcej osypki zbożowej i siana i sprzedać, bo jak bydlę zadługo stoi na oborze, to więcej zje, aniżeli warte.

Gdy niema ślizgawicy, to wołów roboczych można używać w tym miesiącu do wywózki gnoju, albo cegły i kamieni na budynki; można też przewozić nimi słomę, siano i zboże z brogów na klepisko; ale po dalekich drogach nie trzeba ich posyłać, ani do lasu po drzewo, bo z wołami o przypadek nie trudno. Jeśli zaś gospodarz ma dosyć koni, a zimową porą nie wydarzają się takie pilne roboty, to najlepiej wołów z obory nie ruszać; bo stojąc próżno przez całą zimę, wypoczną lepiej i obejdą się byle karmą, a z wiosną będą silniejsze do pracy.

Jeśli masz niedużo paszy, to nie spiesz się z dokupnem wołów roboczych, ale poczekaj do wiosny; bo chociaż później przed robotą będą one droższe, to lepiej jednak wyjdziesz, dopłaciwszy po kilka reńskich na sztuce,

aniżelibyś miał dokupywać siana dla przekarmienia dobytku do wiosny, albo też licho go żywić.

O w c e już się zwyczajnie w tym miesiącu kocić zaczynają; a że owczarnie nie zawsze bywają ciepłe, więc trzeba chociaż dla jagniąt zagrodzić osobną komorę i dobrze ją opatrzyć od zimna, bo inaczej młode i delikatne jagnięta zmarnieją. Dawać im też w żłóbkach ususzony i poszutrowany owies, a nie zapomnieć posypać go zawsze garstką soli; prócz tego, zakładać za drabinki owies niemłócony w słomie i najlepsze sianko, — bo jak się jagniętom w samym początku skąpi dobrej paszy, to z nich później nie będzie już pociechy.

P r z y s t u d n i, gdzie się poi dobytek, wyrąbywać trzeba lód, albo przynajmniej poprószyć słomą i polać wodą, żeby słoma przymarzła, bo inaczej na ślizgawicy łatwo może się bydlę rozcochnąć. Nie poić nigdy w przerębli, ani w korycie, gdzie woda stoi długo na mrozie i już pokrywa się lodem, bo taka woda jest dla zwierząt domowych za zimna, a cielnym krowom, owcom i jagniętom może bardzo szkodzić. Dlatego też lepiej krowom na ocieleniu i jagniętom donosić wodę studzienną do obórki i tam poić je w korytkach, a dla reszty dobytku przy studni naczerpać na każdy raz świeżej wody.

N a w o z y z pod koni albo codziennie uprzątać, albo też — jeśli stajnia niebrukowana, albo ma już lichą i zgniłą podłogę — to zostawiać gnój pod końmi, tylko codzień przysypywać go suchym torfem lub suchą ziemią próchnicową i słać świeżą słomę obficie, nie zapominając od czasu do czasu urównać gnój. Jeżeli zaś miesza się nawóz codzień, to najlepiej odrazu wynosić go na noszach, albo przewozić deskami pod jałowiznę lub na gnojownię, żeby zmieszał się z gnojem bydlęcym lub świńskim.

Kiedy droga dobra, to korzystać z tego i w y w o z i ć w tym miesiącu g n ó j z pod bydła co 4 tygodnie, a z pod owiec co 2 miesiące, prosto na pola, i to na działki najdalsze od zabudowań. Nawóz najlepiej składać tam na kupy, na grzbiecie składów lub zagonów, kładąc dwie fury na każdą kupę, którą trzeba z brzegów podrzucić, żeby miała kształt śpiczasty — dobrze łopatą oklepać i posypać półgarncem mielonego gipsu, albo suchym torfem, lub wreszcie marglem, na kilka cali grubo. Takie kupy stać powinny aż do wiosny, i dopiero przed przyoraniem nawozu rozrzuca się je po polu i dobrze roztrząsa, nie zostawiając nic gnoju na tem miejscu, gdzie stała kupa, bo i tak wsiąkło tam z niej dużo cząstek nawozowych. Jeśli pole równe i niema dużych spadków, to można wywozić gnój zimą na małe kupki i zaraz równo rozrzucić po całem polu, choćby nawet po wierzchu śniegu. Bo chociaż podczas wiosennych roztopów woda wyplucze ten rozrzucony gnój, tak, że prawie czysta słoma na polu zostanie, to jednak wszystkie wypłukane cząstki gnojne wsiąkną jednakowo w rolę i użyźnią ją; gdy zaś kupki nierozrzucone zostawić przez zimę, to wszystek gnój wsiąkłby tylko w tem miejscu, gdzie leżała kupka, a z wiosną rozrzuciłbyś po całem polu samą jeno słomę. — K o m p o s t y czyli mierzwę urabianą z różnych śmieci, błota, torfu, szlamu, gruzu wapiennego i tym podobnych najłatwiej w tym miesiącu wywozić na pole; a jedną kupę wywożąc, trzeba też myśleć o zakładaniu nowej i o przerabianiu co parę miesięcy tych, które jeszcze całkiem nie przegniły. Robiąc kompost z torfu, przekładać go trzeba nawozem końskim albo owczym; dobrze jest też przesypywać torf wapnem zlasowanem gnojówką. Na gruntach gliniastych taki torf z wapnem i gnojówką przyczynia się najlepiej do ich spulchnienia, a wywieziony na grunta

lekkkie, utrzymuje w nich wilgoć i bardzo je użyźnia.

Na łąki lepsze wywozić też komposty, a na gorsze, na torfiaste i kwaśne, wywozić sam jeno piasek, którego potrzeba na to około 200 fur na jeden mórg trzysto-prętowy.

Gnojówki nie wywozić po śniegu na pole, bo podczas roztopów płynie daremnie po zmarzniętej ziemi do rowów; najlepiej polewać nią kupy kompostowe.

W lesie trzeba w tym miesiącu spieszyć się z wyrąbywaniem drzewa na opał, bo już od połowy marca drzewo nie jest tak dobre do paliwa, jak w miesiącach zimowych. Podczas wielkich śniegów najlepiej też spuszczać drzewo budulcowe na belki, bale, deski, krokwie i tym podobne, bo wtenczas i drzewo jest najtrwalsze, i zwózka łatwa i najmniej niszczy się młodzieży. Grubych drzew nie ścinać siekierą, ale zrzynać z pnia i odcinać wierzchołki piłą; a belki i bale także obrzynać piłami, bo przy obrabianiu toporem dużo się drzewa marnuje. Wyrąb olszyny, jesionów i innego drzewa rosnącego na błotach i bagnach, także najlepiej prowadzić w tym miesiącu podczas tęgich mrozów.

Nie trzeba też zapominać nawieźć różnego drzewa porządkowego, wyrobić je na dzwona, szprychy, piasty, dyszle i rozwory, żeby to wszystko miało czas przez cały rok wyschnąć. Z suchego zaś już drzewa, które wyrobione było w przeszłym roku, ponaprawiać wozy, pługi, brony i wszelkie narzędzia gospodarskie, żeby z wiosną mieć wszystko w pogotowiu.

W śpichlerzu lub komorze przemierzyć trzeba w początkach tego miesiąca zboże i różne zapasy, żeby wiedzieć dokładnie, co można sprzedać. Tak samo obliczyć trzeba w stodole mniej więcej, ile jeszcze zboża jest do omłotu, ile go na siew będzie potrzeba, a ile zostanie na sprzedaż. Jeśli zaś pokaże się, że owsa dla koni, albo jakiego ziarna do siewu z wiosną zabraknie, to wcześnie go kupić, bo później przed siewami bywa zwykle droższe.

Na miesiąc luty.

W miesiącu lutym bywają u nas silne mrozy, ale zwykle nietrwałe; szczególniej przy końcu tego miesiąca następują często odwilże. Dlatego też wszystkich robót, które wymagają pory suchej i dobrej drogi, nie należy odkładać do tego miesiąca, ale je ukończyć w styczniu.

W polu oprócz wywózki gnoju żadnych innych robót w miesiącu lutym niema. Ale zato w sadzie trzeba w tym czasie, skoro tylko niema już śniegu na gałęziach, brać się pilnie do czyszczenia drzew oocowych z robactwa i mchów. Nie należy jednak do tego używać ośnika, bo zrzynając nim korę szkodzi się bardzo drzewom, które z tego później chorują i schną.

Kto ma w ogrodzie inspekta, albo myśli je urządzić, ten już w początkach lutego powinien wziąć się do nich. Zwyczajne inspekta, jak je urządzaja po dużych ogrodach, drogo kosztują. Każdy jednak gospodarz może w ogródku urządzić sobie tanim kosztem tak zwane „inspekta zimne“, w których o miesiąc, albo i o 5 tygodni wcześniej będzie miał warzywa, nizli mógłby mieć z gruntu. Zakładanie takich inspektów zimnych nie może się odbywać wcześniej jak w pierwszych dniach marca — dlatego też dopiero przy robotach marcowych powiemy, jak to je urządzać należy.

Przy żywieniu dobytku dobrze jest przez cały miesiąc luty zadawać koniom marchew białą czyli pastewną, bo chociaż ona wiele siły nie daje, ale czyści krew i chroni konie od zołz, których zwykle dostają na wiosnę.

Skoro śnieg staje, a ziemia jeszcze zmarznięta, to wielu gospodarzy ma zwyczaj wypędzać dobytek, a szczególniej owce na oziminę. Jest to bardzo szkodliwe; bo zwierzętom taka zmarznięta i trocha zeprzała pod śniegiem trawa nie idzie na zdrowie — a oziminom szkodzi to spasanie, gdyż będąc tak przygryzane i ogałacane ze swoich pochewek, łatwo wymarzają i gniją.

Jak tylko łąki na parę cali rozmarzną, dobry gospodarz powinien zaraz wziąć się do ich zbronowania ciężkiemi żelaznemi bronami. Najlepsza jest do tego „brona łańcuchowa“, albo „brona sprężynowa“ przerobiona tak, że zamiąst redlic ma przymocowane zwyczajne widły od gnoju; kogo jednak nie stać na taką bronę, niechaj weźmie bronę zwyczajną z ostremi żelaznemi zębami, byle tylko były one równe i gęsto osadzone. Kępy i kretowiny na łąkach można także już w tym czasie pozrzynać rydlem (szpadlem), albo zedrzeć i urównać drapaczami, czyli ciężkiemi bronami o długich zakrzywionych zębach żelaznych.

Roboty polne rzadko kiedy można rozpoczynać w tym miesiącu. Chyba tylko na gruntach lekkich, piaszczystych, i gdy dużo dni jest ciepłych, grunt rozmarza i obsycha tak, że przy końcu miesiąca lutego można już zabrać się do zaorywania gnojów wywiezionych zimą, albo do podorywki ściernisk, których nie zdążyło się podorać w jesieni. Jeżeli luty jest bardzo ciepły, to można nawet czasem przystąpić do siewu żyta jarego, ale na inne zboża pora to jeszcze zawczesna.

Lepiej więc odłożyć roboty w polu do następnego miesiąca, a zająć się w lutym tylko doprowadzaniem do porządku wszelkich narzędzi rolniczych: pługów, bron, radeł, wozów i uprzęży, tak, żeby wszystko było gotowe, skoro przyjdzie czas wyruszyć w pole.

Należy też korzystać w tym miesiącu z wolniejszego czasu i w lasach zanadto zarosłych wziąć się do trzebieży, przy której wycięte drzewka i gałęzie trzeba zaraz wywozić, aby się nie przewracały po lesie, bo wtedy zagnieżdża się w nich robactwo. Przy takiej trzebieży trzeba wycinać tylko te drzewka, które zanadto są zagłuszone przez wyższe i dlatego rosnąć dobrze nie mogą — albo też drzewka krzywe i nadpsute, z których i bez tego pociechy by nie było. Trzeba strzedz się przytem bardzo, żeby nie wyrąbywać zawiele drzew, a trzebić tylko tam, gdzie one rosną za gęsto, oraz wycinać chróst i tak zwane podszycie, które w gęstym lesie przynosi więcej szkody niż pożytku.

Na gruntach piaszczystych można też w miesiącu lutym karczować pnie i korzenie po wyciętych lasach. Wprawdzie to praca ciężka i zmudna, ale też i korzyści z niej dużo: boć wiadomo, że najlepsze i najsmolniejsze drzewo bywa z pieńków, a znowu na wykarczowanej nowinie rodzi się najbujniejsze zboże.

Na miesiąc marzec.

Wszystkie roboty domowe, które zimową porą zabierały ranki i wieczory, już w końcu marca ustać muszą, gdyż odtąd rozpoczynają się pilniejsze zajęcia w polu. Wszystkie też narzędzia i statki potrzebne przy robotach gospodarskich trzeba mieć już w pogotowiu i w porządku.

Gospodyni powinna teraz szczególniej pamiętać o drobiu, który w tym miesiącu zwyczajnie zaczyna się nieść i zasiadać gniazda, a więc potrzebuje lepszego żywienia. Kurom nie żałować pośladu i gryki czyli tatarki gniecionej, a indyki, gęsi i kaczki także zasilać odpowidniem ziarnem.

Wieprze w tym miesiącu ostatecznie dokarmia się mąką z grochem, aby po zabiciu mieć z nich trwałą sło-

ninę i wędlinę prawie do końca roku. Szczecinę z grzbietów osobno a szerść z boków także osobno zbierać i chować należy, aby sprzedać potem na funty. Szczecina świńska z każdym prawie rokiem drożeje.

W sadzie i ogrodzie warzywnym trzeba wykończyć w tym miesiącu oczyszczenie drzew owocowych z robactwa i z uschłych gałęzi. Gałęzie takie ucinać przy samym pniu, a strzępy kory oberznąć gładko ostrym nożem i ranę zasmarować maścią z terpentyny, oliwy i wosku. Agrest, maliny, porzeczki i bzy, jak również inne krzewy wcześnie się rozwijające, w końcu miesiąca marca trzeba przesadzać; młode zaś drzewka w tym czasie też sadzić i szkółki zasiewać należy.

Z początkiem marca można także już obsiewać tak zwane zimne inspekta, które urządza się w taki sposób:

W miejscu suchem, zasłoniętem, od północy budynkiem, parkanem, albo nawet wysokim płotem chróścianym, wybiera się kawałek gruntu żyznego i, najlepiej, trocha spadzistego ku południowi, tak, żeby słońce mocno go ogrzewało. Grunt taki jest dobrze skopać już na jesieni; a z wiosny, jak tylko śniegi stopnieją, zdrapać po wierzchu ziemię zmarzniętą, aby jak najprędzej rozstajała. Kiedy już całkiem rozmarznie i choć cokolwiek obeschnie, zaraz nie tracąc czasu stawia się na niej takie same skrzynie drewniane, jakich zwykle używają do inspektów, okopuje się małym rowkiem, żeby odprowadzał wodę deszczową, a ziemię wyrzuconą z rowków, oraz zebraną ze ścieżek między skrzyniami, obrzuca się boki skrzyń z zewnątrz, aby inspekta uchronić od zimna i wiatrów. W tak ustawionych skrzyniach trzeba dopiero użyźnić ziemię krótkim i dobrze przegniłym gnojem, którego daje się jedną cienką warstwę bydlęcego, a drugą końskiego. Następnie przekopuje się ziemię razem z tym gnojem, jak zwyczajnie pod warzywo. Po ugnojeniu i uprawieniu ziemi w skrzyniach, przykrywa się je albo szklanemi oknami, jak w zwyczajnych inspektach; albo, żeby koszt był mniejszy, rozciąga się na ramie od okna inspektowego mocny i gruby, ale z dużemi okami „muślin“ (co go w mieście po dużych sklepach dostanie) i ten pociąga się raz, a po uschnięciu — drugi raz czystym pokostem, zarobionym z olejem lnianym. Takie okna inspektowe są daleko tańsze, mocniejsze i lepsze nawet od szklanych, bo chociaż słońce nie tak dobrze przez nie przyświeca, ale zato są cieplejsze. Na te okna dopiero kładzie się na noc i we dnie, jak jest mocniejszy przymrozek, maty słomiane. Gdy zaś dzień ciepły, to zaraz zrana maty się zdejmuje, że do inspektów dochodziło ciepło słoneczne. Jak tylko się powietrze ochłodzi, to znowu trzeba okna matami zakrywać. Tak postępuje się przez 3 dni, a skoro już ziemia w skrzyni dosyć się ogrzeje, zasiewa się w nią warzywo, rozsadę na kapustę, marchew, rzodkiewkę, kartofle, ogórki, a nawet i rozmaite kwiatki, aby potem przesadziwszy w grunt, mieć je o kilka tygodni wcześniej w ogródku, lub sprzedawać młode warzywo wtenczas, kiedy go jeszcze inni z gruntu mieć nie mogą, i kiedy przez to jest daleko droższe. Po zasiewie zamyka się zaraz okna, i jeżeli słońce nie świeci, to można nawet na dwie albo na trzy doby przykryć inspekta matami, i dopiero gdy rośliny zaczną kiełkować i wschodzić, odsłonić maty, a zostawić tylko okna, aby słońce przez nie przyświecało. Odtąd też trzeba pielęgnować młode roślinki w inspekcie tak, jak zwyczajnie w warzywnym ogrodzie; podlewać, plewić i spulchniać ziemię czasami. A kiedy ciepło i gdy słońce świeci, zdejmować w południowych godzinach cał-

kiem okna, lecz wczas przed wieczorem znowu je zamykać, okrywać też starannie na noc matami.

Konie i woły robocze, których niedostaje, trzeba wcześnie zakupić, żeby w tym miesiącu mieć je gotowe do pługa lub brony, bo teraz bywają już droższe. Na dwa tygodnie przed rozpoczęciem robót w polu dobrze jest podsypywać wołom po garncu osypki zbożowej na każdą sztukę dziennie ; skoro zaś zaczną robić, to aż do ukończenia siewów trzeba je dobrze karmić, dodając oprócz osypki, po parę garncy kartofli albo buraków i przynajmniej po 15 albo po 20 funtów dobrego siana.

Klacze w tym miesiącu trzeba zwykle prowadzić do stanowienia. Rozumny gospodarz nie powinien żałować ani drogi dalekiej, ani kosztu, ale doprowadzić swoją kobyłę koniecznie do dobrego ogiera. Jeśli niema go gdzie blisko we dworze, to najlepiej zaprowadzić, choćby o kilka mil, do stacyi ogierów rządowych. Wychowanie źrebaka po dobrym ogierze tyle samo kosztuje, co i po lichym; kiedy się zaś dochowa trzy latka, „rasowego“ po koniach rządowych, to można za niego wziąć i kilkaset koron; a po byle jakim ojcu to się i koszt wychowania konia nie opłaci.

Roboty w polu już się w tym miesiącu zwykle rozpoczynają na dobre. Gnoje wywozić trzeba pospiesznie i nie zostawiać ich długo na kupkach, ale skoro śniegi stopnieją i woda wiosenna spłynie z pola, a rola trochę obeschnie, rozrzucać gnój równo i po kilku dniach przyorać. Baczyć jednak pilnie trzeba, żeby nawozu nie przyorywać w rolę mokrą, bo taki gnój później kiśnie i pleśnieje, pożytku z niego nie masz, jeno chwasty po nim bujnie rosną. Komposty, wywiezione zimą na łąki, teraz też rozrzucać dokładnie i równo, a później zbronować ciężkiemi bronami — jeśli nie można było tego zrobić w poprzednim miesiącu.

Teraz także czas już największy przygotowywać dobre nasienie do siewów wiosennych. Nasienie zaś wtedy jest „dobre“, jeśli wszystkie ziarna są zupełnie dojrzałe, wielkie, pełne dorodne i ciężkie. Najlepsze na nasienie jest takie ziarno, które z łatwością wykrusza się z kłosa czy ze strąka. Bardzo więc mądrze robią tacy gospodarze, którzy najprzód wykruszają ze snopów ziarno na siew przez lekkie uderzanie kłosami o ścianę lub o słup w stodole, a dopiero wymłacają resztę cepami na sprzedaż. Kto jednak nie ma już zboża w snopie i musi wziąć do siewu zwyczajnie wymłócone ziarno, ten powinien przynajmniej dobrze oczyścić je z pośladu i z nasion różnego zielska.

Gdy roztopy miną i rola obeschnie trzeba już brać się całą siłą do orki na gruntach piaszczystych pod owies, groch i marchew końską czyli pastewną. Dalej spieszyć się z podorywką pod kartofle i buraki. A nie zapominać też o przyoraniu nawozu, skoro pod nim już ziemia dobrze obeschła. Nie trzeba jednak, broń Boże, orać mokrej roli Szczególniej jeśli grunt jest z natury ciężki i rola trudno obsycha, bo śnieg długo na niej leżąc zamulił ją bardzo z wierzchu, to można jeno poruszyć taki grunt broną, aby powietrze lepiej go przewiało i osuszyło, — ale nie ruszać takiej roli pługiem, póki nie obeschnie. Jeśli skiba błyszczy i maże się, zamiast tego, żeby się kruszyła i rozpadała, to wyrosną z niej tylko chwasty.

Kto chce, żeby mu rola się ogrzała, obeschła i dobrze później obrodziła, ten powinien — jak tylko przyjdą roztopy — pilnie obchodzić wszystkie pola z rydlem, i wszędzie, gdzie woda stoi na roli w kałużach lub w brózdach, spuszczać ją do przegonów, a stamtąd do rowów. Nietylko więc na oziminach, ale i na wszyst-

kich podorywkach trzeba wcześnie spuszczać wodę, żeby wcześniej też można było wjechać na pole z broną albo z pługiem.

Kopce i doły z jarzynami, trzeba w tym miesiącu odkryć, a zostawić na nich tylko cienką na kilka cali warstwę ziemi. Jeśli zaś kartofle w kopcach kiełkują, a powietrze jest ciepłe, to należy przebrać je i przesypać do piwnicy.

Wyrąb drzewa na budowle powinien być ukończony najdalej do dnia 15 marca. Najlepiej zaś, gdy już w poprzednim miesiącu, w lutym, wyrąbane są wszystkie potrzebne sztuki, a teraz, skoro drzewo rozmarznie, obrabia się je tylko na bale, deski i gonty.

Na miesiąc kwiecień.

W tym miesiącu gospodarz ma najwięcej do czynienia w polu i ogrodzie z zasiewami wiosennemi. Dnie też bywają teraz dłuższe i cieplejsze, więc robota sporzej idzie.

W sadzie okopać należy ostrożnie drzewa owocowe i zasilić je naokoło dobrze przegniłym nawozem lub kompostem. Przy sadzeniu młodych drzewek nie trzeba też używać świeżego gnoju, ale najlepiej obsypywać korzenie dobrze przegniłym i przerobionym kompostem. Ogrody wszystkie pospiesznie teraz uprawiać, obsiewać, porządkować, grodzić, a płoty wokoło nich obsadzać „bulwami“, sadząc jedną od drugiej o łokieć. Bulwy, wyrastając wysoko, tworzą dobrą i piękną osłonę przez lato, a ścięte w jesieni, dają ze swych łodyg osuszonych dobrą karmę dla bydła, pozostałe zaś w ziemi kłęby, podobne trocha do kartofli, mogą być wykopane na wiosnę i wtenczas dobre są szczególniej na paszę dla wołów.

Drób młody strzedz pilnie od zaiębienia i karmić go często a potrohu, dając pożywienie zawsze świeże.

Z zasiewami w polu trzeba się teraz bardzo spieszyć, tak, żeby najdalej do dnia 15-go maja było już wszystko zasiane.

Ziarno do zasiewu starannie doczyszczać i młynkować, bo z dobrego ziarna dobry plon; przytem kiedy nasienie czyste i dorodne, to go mniej wychodzi.

Uprawę roli trzeba rozpoczynać tam, gdzie ziemia najprzód obeschła, pamiętając jednak, że najpilniejsze jest zaoranie nawozu pod groch, pod owies, buraki, kartofle, jęczmień dwurzędowy, a nareszcie pod marchew i koński ząb. Jeśli rola pod te rośliny jeszcze nie obeschła, to tymczasem można orać i zasiewać na suchszych kawałkach owies marczak, albo żyto jare. Z jęczmieniem czterorzędowym, jak również z wyką, łubinem i owsem „rychlikiem“ nie tak bardzo już trzeba się spieszyć, a nawet lepiej wziąć się do siewu tych roślin dopiero w drugiej połowie miesiąca kwietnia, bo mogą być jeszcze mocne przymrozki, które bardzo szkodzą łubinowi i wyce.

Gdzie buraki uprawiają do cukrowni, tam trzeba wcześnie zacząć je sadzić. A żeby po zasadzeniu nie wymiękły, należy dać w nich przegony, tak jak w oziminie. Buraków „pastewnych“, które wyrastają bardzo duże i dają doskonałą karm dla bydła, coraz więcej już sadzą nasi gospodarze. Otóż i z tymi burakami trzeba się spieszyć, ale także baczyć, żeby nie wymiękły i nie wymarzły.

Przy sadzeniu kartofli nie brać mniejszych, niż jajko gołębie, bo z drobnych liche rośliny wyrastają. Najlepiej używać do sadzenia samych jeno „średniaków“, a sadzić zato tylko po jednemu i nie za gęsto.

Marchew „pastewna“ jest też doskonałą paszą dla bydła, a bardziej jeszcze dla koni. Sieje się ją w redlinki na 12 albo 15 cali szero-

kie, na roli dobrze przed zimą wygnojonej i głęboko uprawionej.

Kukurudzę zwaną koński ząb sadzić można i w drugiej połowie kwietnia, byle tylko nie żałować gnoju. Paszy z tej rośliny będzie taka obfitość, jak z żadnej innej nie bywa. Koński ząb sadzić należy tak, jak buraki, w redlinki, ziarnko od ziarnka o 3 cale.

Jęczmień „dwurzędowy“ czyli „duży“, udaje się tylko na gruntach pszennych, pulchnych i próchnicowych, albo na dobrych ziemiach nadrzecznych, a siać go trzeba wcześniej. Jęczmień zaś „mały“ czyli „czterorzędowy“ rodzi się i na gorszych gruntach a siać go można w końcu kwietnia.

Owies „rychlik“ sieje się także dopiero przy końcu tego miesiąca, i — tak samo jak „węgierski biały“ — potrzebuje roli żyźnej, raz na jesieni a drugi raz na wiosnę zoranej. Przy siewie owsa baczyć trzeba, aby nasienie było jednolite, a nie mieszane z różnych gatunków; bo każdy gatunek dojrzewa w innym czasie, więc przy żniwie jedne rośliny byłyby jeszcze niedojrzałe, a drugie już by obleciały.

Gdy pola obsiane pszenicą obeschłą już tak, że końskie kopyto nie więźnie w ziemi, ale tylko znać na niej ślady podkowy, brać się trzeba czemprędzej do bronowania pszenicy. Nie można jednak robić tego bronami o drewnianych zębach, ale koniecznie mieć trzeba brony z żelaznymi i ostrymi zębami, żeby dobrze wydrzeć chwasty z pszenicy i wzruszyć ziemię. Chociaż przy takiem bronowaniu pokaleczy się pszenicę, to nietylko wcale jej nie zaszkodzi, ale owszem, pomaga ogromnie do krzewienia się. W tydzień lub w dwa tygodnie po takiem silnem zbronowaniu, pszenica zaczyna się bujniej krzewić i rozrastać, a tam nawet, gdzie w jesieni dobrze się nie ujęła i na wiosnę licho stała, bronowaniem można ją bardzo poprawić. Zdarza się jednak czasem, że i bronowanie nie pomaga, skoro albo zasiew był zły, albo pszenica przez zimę zupełnie wyprzała; jeśli więc po zbronowaniu nie ruszy się ona do końca kwietnia, to znać, że już nic z niej nie będzie; wtedy zaś najlepiej, nie czekając, zaraz w pierwszych dniach maja zaorać ją i obsiać pole jarą pszenicą, jęczmieniem, albo zasadzić burakami i końskim zębem.

Z wypędzaniem bydła na pastwisko nie trzeba się bardzo spieszyć, a jeśli jest jeszcze w zapasie siano lub inna pasza zimowa, to poczekać, aż pastwisko dobrze obeschnie i podrośnie na niem nowa trawa. Świń, kóz, owiec, gęsi i kaczek nie można puszczać na pastwiska, gdzie ma chodzić bydło, bo na pastwisku pobrudzonem przez tamte zwierzęta bydlę jeść trawy nie chce i chudnie.

Dla owiec przeznaczać trzeba pastwiska suche i strzedz pilnie, aby nie nie pasły się na dołkach, ani piły w kałużach, bo z tego dostają motylicy i innych niebezpiecznych chorób. Jagniętom, cielętom i źrebiętom nie skąpić owsa, bo skoro będą zabiedzone za młodu, to potem nigdy już dobrze nie wyrosną.

Koniom roboczym powiększyć trzeba w tym miesiącu obrok, bo dnie już dłuższe i robota pilna w polu; dawać im więc po 3 garnce owsa albo osypki grochowej i najmniej po 10 funtów dobrego siana.

W szkółkach drzew leśnych teraz z największym pośpiechem trzeba siać modrzew i sosnę, którą można też zasiewać odrazu na haliznach w lesie, pokrywając siew drobnemi gałązkami, aby go uchronić od zimna i wiatrów. Zagajników strzedz pilnie, aby w nich nie pasano bydła i owiec, dopóki drzewka nie wyrosną na 4 lub 5 łokci od ziemi i nie będą już takie grube, żeby ich bydło czochrając się nie łamało. Dobry

gospodarz nie powinien też żałować pracy, i dla ochrony zagajników od szkody okopać je rowem albo zagrodzić.

Żywopłoty, szczególniej tam gdzie mało lasów, są najlepszemi ogłoszeniami, bo raz zasadzone, rozrastają się i trwają ciągle, dostarczając przytem co parę lat paliwa z obcinanych wierzchów i gałązek. Jeżeli żywopłoty są gęste i zakładane za rowami, choćby nie więcej jak na łokieć głębokiemi, na wale usypanym przy rowie, to już są dostateczną ochroną pola albo ogrodu od szkody. Na żywopłoty takie bierze się zwykle albo krzewy liściaste, albo lepiej nawet dwuletnie (lecz nie starsze) wysadki sośniny, świerki, wierzbina, lub rośliny kolczaste, a najlepsza akacya, bo rośnie najprędzej. W tym też miesiącu żywopłoty takie zakładać należy; najlepiej w dwa albo i w trzy rzędy; a dawniej założone — dosadzać w tych miejscach, gdzie się przerzedziły i równo obcinać nożycami ogrodniczemi z wierzchu i z boków, żeby żywopłot wyglądał niby gruby mur.

Na miesiąc maj.

Siewy wiosenne powinny już być do połowy tego miesiąca skończone.

W sadach, gdy kwitną drzewa owocowe, dobrze jest podlewać je (a szczególniej stare) gnojówką pomieszaną pół na pół z wodą tak, żeby pod każde drzewo wyszło od 4-ch do 6-ciu garncy. W połowie lub w końcu czerwca trzeba będzie podlewanie to powtórzyć.

Wysadki jarzyn na nasienie trzeba opielać i okopywać, a zbyteczne odrośla bacznie — szczególniej u buraków — obcinać, zostawiając tylko główne pędy, aby z nich mieć grube i dorodne nasienie. Łodygi tych wysadek przywiązuje się potem do palików ukośnie wbitych w ziemię, żeby wiatr nie złamał, albo nie wytrząsnął dojrzewającego później nasienia. Rozsady różnych jarzyn, gdy jest susza, powinny być po zachodzie słońca podlewane; a jeśli rosną za gęsto, to je wcześnie przerywać, żeby nie były za cienkie i za słabe do przesadzenia. Rozsadę kapusty, jarmużu i buraków, przesadzać trzeba w połowie maja, aby przed nastaniem posuchy przyjąć się mogła.

Zioła na lekarstwo dla ludzi i zwierząt, jak naprzykład bratki, korzenie tataraku i perzu, piołun i wiele innych, zbiera się w tym miesiącu i suszy pod dachami.

W polu trzeba teraz kończyć pospiesznie siewy zbóż jarych. Len i konopie sieja się zwykle w początkach tego miesiąca. Buraki sadzić można aż do końca maja, ale im wcześniej one zasadzone, tem lepiej wyrosną. Wcześnie też zabierać się trzeba do ich pielenia, a jak tylko ziemia na grządkach zeschnie się i trocha stwardnieje, to ją poruszyć motyką. Nie trzeba też zapominać o przerywaniu buraków w swoim czasie, bo jak gęsto rosną zamłodu, to się jeno próżno wysilają i nigdy duże nie będą.

Kartofle gdy tylko z ziemi na wierzch pokazywać się zaczywają, albo gdy jeszcze kiełki ich nie wyszły z pod ziemi, ale chwasty dobrze się już zazieleniły, to warto zbronować żelaznemi bronami, aby zielsko wcześnie wyniszczyć. Trzeba to jednak robić ostrożnie, żeby kartofli nie wywłóczyć na wierzch; a jeśli gdzieniegdzie się jaki wywlecze, to zaraz wsadzić go napowrót w ziemię. W tydzień po zbronowaniu trzeba już kartofle opleść z zielska. Jeśli są one sadzone w redliny, jak to już prawie wszędzie po folwarkach robią, to pielenie łatwo idzie; bo nie potrzeba pleć rękami, ale albo puścić radełko, albo tak zwany pielnik angielski, mający u dołu noże, któremi zielsko podrzyna, a z tyłu redliczkę z małemi skrzydłami, któremi kartofle na redli-

nach obsypuje. Po opieleniu albo obredleniu kartofli sadzonych w redliny, trzeba odnowić przegony, które mogły się przy tej robocie zasypać. Niektóre większe chwasty, jak oset, łopuchę i modrak (czyli bławatki, wasilki, chaber), trzeba jednak wyrywać rękami, bo ich radełkiem nie zniszczysz. Im częściej powtarza się obredlanie kartofli, tem lepiej; trzeba jeno baczyć, żeby nie obredlać wtenczas, jak ziemia jest mokra.

Jeśli rzepaki zimowe podczas kwitnienia nawiedzone zostaną przez robactwo a szczególniej przez drobne „chrząszczyki rzepakowe", to trzeba radzić sobie w taki sposób: Bierze się tykę tak długą, jak szeroki zagon; smaruje się ją „smołą kamienną", której w wielu miastach dostanie; i taką tykę dwaj ludzie idący brózdami niosą za końce, przeciągając po wierzchu kwiatów rzepakowych. Roślinom to nic nie szkodzi, a robactwo siedzące na kwiatach wygubi się albo z rzepaku ucieknie, bo zapachu tej smoły nie znosi.

Uprawa pod rzepak zimowy, który sieje się już w sierpniu, powinna być rozpoczęta w maju; szczególniej zaś przeorywka z nawozem na gruntach ciężkich wykonywa się najpóźniej przy końcu tego miesiąca. Po podoraniu należy rolę zbronować wpodłuż, albo ugnieść wałkiem, żeby nawóz lepiej przegnił.

W połowie maja siać też trzeba rzepak letni. Jeżeli się jednak on nie urodzi, a po nim ma być siana ozimina, to lepiej nie czekając dojrzenia rzepaku, przyorać go w kwieciu, i na takim „zielonym nawozie" zasiać pszenicę, a ta z pewnością wtenczas nie chybi.

Pielenie pszenicy pospiesznie w tym miesiącu kończyć trzeba a szczególniej wyniszczać z niej modrak (bławatki, chaber, wasilki), grochal i kąkol, które najwięcej jej szkodzą. Gdy pszenica zbyt bujać zaczyna, a kolanek jeszcze niema, to można ją skosić na kilka cali od ziemi, a zgrabiwszy, dać bydłu na paszę. Później jednak niebezpiecznie jest już kosić, bo można uszkodzić rdzeń źdźbła; lepiej więc, jeśli znowu zanadto wybuja, przygnieść ją ciężkim wałkiem. Kiedy nareszcie żyto rosnące gdzieniegdzie w pszenicy już się wykłosi, to należy starannie kłosy sierpiem pozrzynać, żeby w plonie pszenicy nie było ziarn żyta.

Gdzie jest dostatek pastwisk, a grunta ciężkie i zsychające się, tam trzeba zaraz po ukończeniu siewów wiosennych wziąć się do podorywki ugorów. Jeśli ugór mocno zarośnięty, to podorawszy płytko, należy ugnieść go zaraz ciężkim wałkiem, żeby murawa przegniła, potem zaś bronami urównać i nie ruszać dopóty, aż rola po pierwszej orce dobrze się odleży.

Resztę nawozów zimowych, jeśli te zostały od siewów jarzywnych, należy wywieźć w tym miesiącu na ugór, zaraz przyorać i zasiać szporkiem albo mieszanką wyki, owsa i tatarki, żeby mieć więcej zielonej paszy; a po takim przedplonie, byle wcześniej sprzątniętym, ozimina będzie taka sama dobra, jak i na czystym ugorze.

Teraz też najlepsza jest pora do marglowania roli w ugorach i do kopania lub odnawiania rowów w tych polach, na których ma być siana ozimina.

Na miesiąc czerwiec.

Jeżeli ugory były już w jesieni podorane, to teraz wziąć się trzeba do ich przeorania, a jeśli można, to do zradlenia w poprzek. Następnie podorać ugory czyste, których w poprzednim miesiącu nie dokończono. Role pod rzepak zimowy wcześniej podorane, gdy już się odleżą i zazielenią, teraz trzeba przeorać z nawozem i zabronować. Jeżeli ugory pod oziminę są bardzo zachwaszczone, to trzeba je

najpierw podorać płytko, a następnie dopiero, wywiózłszy nawóz, zaorać. Nowiny, a szczególniej mocno zadarnione, najlepiej jest najprzód pokrajać wzdłuż silnym krojem osadzonym w grządzieli od pługa, a potem dopiero przeorać w poprzek.

Łąki kosić należy wtenczas, kiedy kwitną. A że z różnych traw rosnących na łąkach, jedne zakwitają wcześniej, a inne później, więc trzeba uważać, kiedy „najwięcej“ traw kwitnie na łące, i wtenczas brać się do kośby. Wielu gospodarzy myśli, że jeśli skosić trawy wcześniej, to siana będzie mniej; a kiedy się czeka, aż się wystoją, to więcej się sprzątnie. Jużciż jest w tem prawda. Ale trawy stare, kiedy już okwitną i potrosze żółknąć zaczynają, to tracą swoją pożywność, drewnieją i prawie tyle są warte, co słoma; — a jeśli skoszone w kwieciu, to chociaż siana z nich jest trocha mniej, ale zato fura takiego siana znaczy tyle, co dwie fury siana z traw przestałych. Sprzątając siano baczyć trzeba, aby przy przetrząsaniu nie okruszać dużo drobnych listków i źdźiebeł, bo w nich jest najwięcej pożywności.

Koniczynę na siano kosi się wtenczas, gdy zaczyna kwitnąć, bo wtedy jest najbardziej pożywna, a przy sprzęcie i trzęsieniu nie tak się okrusza. Najlepiej suszyć koniczynę w taki sposób: Na drugi, a najpóźniej na trzeci dzień po skoszeniu, kiedy już owiędnie, ale jeszcze nie jest wcale krucha, zbiera się z pokosów i ustawia na małe kuczki, tak jak grykę czyli tatarkę, zakręcając przy wierzchołku. Kiedy już kuczki takie dobrze przeschną z wierzchu, to w dobrą pogodę przewraca się je. Wtedy już tego samego dnia przed wieczorem koniczyna wysycha tak, że można zwozić ją do stodoły lub do brogu. Jeśli zaś nie można zdążyć zwieść jej tego samego dnia, to na noc składa się ją w duże kopy, aby deszcz nie zmoczył. Składając koniczynę do stodół albo na poddasza, dobrze jest prześcielać ją cienkiemi warstwami czystej słomy, żeby się przypadkiem nie zagrzała.

Koniczynę na nasienie trzeba zostawić w tem miejscu, gdzie najczystsza i niezbyt gęsta, żeby nie wyległa. Niedobrze jest zbierać nasienie z drugiego pokosu koniczyny, bo wtenczas mogą się trafić między nią drobne ziarenka „kanianki“, która później dojrzewa, a będąc zielskiem żyjącem na koniczynie, bardzo ją wyniszcza.

O burakach, marchwi i końskim zębie pamiętać też należy w tym miesiącu, aby często je opielać i nie dać zarosnąć zielskiem. Nietrzeba też zapominać o kartoflach, aby je radełkami albo motyką obsypywać, skoro tylko chwasty pokazują się między niemi.

Mycie i strzyżenie owiec najpóźniej w pierwszych dniach czerwca odbywać się powinno; pilnować przytem trzeba, aby owiec nie zaziębić. A po wymyciu, jeśli do podwórza lub na pastwisko daleko i kurz na drodze, to lepiej owce przewozić w skrzyniach od kartofli czysto wymytych i przykrytych płótnem albo wańtuchami, żeby się wełna na owcach nie zakurzyła. Przy strzyży odbierać osobno odpadki wełny z nóg i zpod brzucha, aby nie mieszać jej z wełną celną, która powinna być starannie w runa zwinięta.

Na miesiąc lipiec.

Podorywka ugorów i koniczysk w pierwszej połowie tego miesiąca powinna być już skończona. Jeśli po koniczynie ma być zasiana pszenica, to po sprzęcie koniczyny trzeba dać jej trocha podróść, a dopiero jak wyrośnie na jakie 6 cali wysoko zaorać. Na tych zaś kawałkach, gdzie sprzątnięta była koniczyna na nasienie, należy zawieść rolę chociaż

potrosze kompostem, lub dobrze zwietrzałym szlamem ze stawów, sadzawek, albo rowów. Koniczyna dojrzewająca bardziej wycieńcza ziemię, niźli sprzątana w kwieciu, więc też po niej trzeba rolę pod oziminę choć trocha zasilić.

Przeorywka i ostatnia orka na zagon pod rzepak powinna być skończona już przynajmniej na tydzień przed końcem tego miesiąca, i rolę zaraz za świeża należy zbronować, żeby się nie zeschła. Nie należy też zapominać, że rzepak potrzebuje dużo gnoju, tembardziej, iż po nim sieją zwykle pszenicę. Nie żałować więc mierzwy, bo kiedy jej mało w roli, to ani rzepak, ani pszenica po nim się nie urodzi.

Sprzęt siana z łąk, na których trawa później wyrasta, trzeba w początkach tego miesiąca wcześnie kończyć, aby potem żniwa nie przeszkodziły.

Pilnie też uważać trzeba, żeby rzepak zimowy nie wysypał się na pniu; skoro więc tylko dojrzeje, zaraz brać się do jego sprzątania, ostrożnie składać na garście, a jak tylko obeschnie, uwijać się ze zwózką do stodoły. Gdyby go deszcz zmoczył na garściach, a potem słonko przypiekło, toby się zaraz strąki pootwierały i większa część ziarna zostałaby na polu. Zwożąc rzepak, należy lekko i ostrożnie kłaść go na wóz, który powinien być wysłany plonem (czyli dużem płótnem, aby ziarno nie wytrząsało się po drodze na ziemię. Po zwiezieniu do stodoły, najlepiej rzepak zaraz omłócić i rozpostarłszy cienko w śpichlerzu, często przerabiać, aby nie zapleśniał. Strączyny, czyli zgoniny rzepakowe są bardzo pożywne; należy więc je chować w miejscu przewiewnem i przerabiać chociaż raz na tydzień, aby się nie zagrzały i mogły służyć na paszę dla bydła.

Wykę, czy samą, czy w pomieszaniu z owsem lub tatarką, a zasiewaną na zieloną paszę, kosić należy wtenczas, gdy kwitnie; a gdy trocha przewiędnie na pokosach zbierać w kupki i suszyć tak, jak koniczynę.

W połowie lipca żyto już zwykle dojrzewa. Nie trzeba się więc ociągać ze żniwem i nie czekać — jak to robi wielu gospodarzy — aż ziarno zupełnie stwardnieje, a słoma uschnie; bo gdy żyto będzie przestałe na pniu to i ziarno będzie gorsze na mąkę, i słoma traci pożywność, a kłosy kruszą się i wysypują. Jak tylko więc słoma pobieleje, a ziarno jest jeszcze miękie, tak, że się ugina pod paznogciem, trzeba wziąć się do żniwa. Tylko zboże na zasiew przeznaczone trzeba sprzątać wtedy, gdy już zupełnie dojrzeje.

Największy kłopot mają gospodarze z dosuszaniem zboża na polu, szczególniej jeśli deszcze przeszkadzają żniwom. Dlatego też powinni oni chwytać się takich sposobów, przy których najmniej szkody może przynieść niepogoda. Otóż najlepszy sposób jest ten, żeby kosić zboże kosą z grabkami; bo wtenczas garście rozkładają się szeroko i zboże łatwiej przesycha, aniżeli na garściach zpod sierpa. Gdyby nawet deszcz przeszkadzał związaniu zboża, to jeśli było ścięte kosą, może leżeć i przez dwadzieścia dni, a nie porośnie; gdy tymczasem zżęte sierpem już w tydzień na garściach porasta. Kosząc zboże na zagonach, trzeba je brać ukośnie, żeby nie padało wzdłuż zagonów, bo wtedy niektóre pokosy leżą w bruzdach, łatwo mogłyby porosnąć, lub woda by je zamuliła. Jeśli w słomie niema dużo zielska, a pogoda ładna, to najlepiej snopy ustawiać rzędami, opierając po dwa snopy kłosami o siebie i robiąc przez to jakby długi daszek, przez który wiatr przewiewa i prędko suszy. Dobrze jest też ustawiać 5 snopów kłosami do góry w kształcie krzyża, potem w kąty wstawiać jeszcze 4 snopy, zgarnąć kłosy ku środ-

kowi takiej kupki i nakryć ją czapką, zrobioną z dużego snopka, przewiązanego blisko knowia. Taka czapka okrywa kopkę swemi kłosami jakby płaszczem. Wszystko to razem okręcają jeszcze długiem powrósłem, żeby kopka cała mocniej stała i żeby czapki wiatr nie zrzucił. Zboże składane w krzyżaki czyli mendle zwykle przy dłuższych deszczach porasta, i trzeba je dopiero rozbierać i dosuszać.

Na miesiąc sierpień.

Rolnik w tym miesiącu zbiera najwięcej owoców ze swojej całorocznej pracy. Żniwa rozpoczęte w lipcu, teraz prowadzą się dalej z największym pośpiechem, bo zboża jedne przez drugie dojrzewają. Jeśli jednak deszcz przeszkadza żniwom, to lepiej, szczególniej p s z e n i c ę, przetrzymać trochę dłużej na pniu, aniżeli gdyby ją deszcz moczył przez parę tygodni na garściach. Jeśli zaś dużo jest w pszenicy chwastów, a pogoda sprzyja, to nietrzeba zaraz po zżęciu wiązać pszenicy w snopy, ale zostawić na garściach do drugiego albo nawet do trzeciego dnia, żeby prędzej wyschła. Do s i e w u wybierać trzeba pszenicę — jak i wszelakie inne zboże — tylko z najlepszych i najczystszych miejsc, a nie spieszyć się ze sprzętem, ale czekać, aż ziarno zupełnie dojrzeje.

J ę c z m i e n i a i p r o s a nie można trzymać na pniu aż do zupełnej dojrzałości, bo łatwo się wysypują. Zrzynajac jednak wtenczas, gdy słoma jest jeszcze mięka i soczysta, trzeba te zboża zostawić na garściach dopóty aż należycie wyschną; a potem wiązać i zaraz nie czekając zwozić. Jęczmień niedobrze wysuszony łatwo się w stodole zagrzewa, ziarno nabiera czerwonawego koloru, i ani do siewu, ani dla browarów nie jest zdatne, chyba jeno można kaszę z niego zrobić.

O w i e s, gdy niebardzo wyrósł w słomę, najlepiej wozić bez wiązania; bo przy wiązaniu więcej go się okruszy, aniżeli gdy się go kładzie prosto z garści lub pokosów na furę. Jeśli pogoda niepewna, to pokosy owe albo garście zagrabia się w kopki, jak siano, bacząc, żeby o ile można kłosy czyli wierzchy były obrócone ku środkowi kopki. Po ustaniu zaś deszczu, gdy inne zboża w mendlach są jeszcze mokre, należy kopki rozrzucić, a wierzchy tylko i spody zostawiając do dosuszenia, wszystek owies ze środka zaraz zwozić do stodoły.

Ł u b i n, g r o c h, w y k a i g r y k a czyli tatarka, jeśli po nich ma przyjść ozimina, powinny być koniecznie skoszone i zwiezione z pola w tym miesiącu, żeby nie przeszkadzały wczesnej uprawie pod żyto. Chociażby więc nie wszystkie ziarna były jeszcze zupełnie dojrzałe, trzeba wziąć się do żniwa; a sprzątnąwszy z pola zaraz za wozami pole zaorać — bo jak rolę słońce wysuszy, to zasiane później żyto licho wzejdzie. Po tych roślinach nie trzeba więcej orać, jak tylko raz jeden pod żyto — byle jeno zaorać zaraz po sprzęcie; a kiedy rola będzie miała czas dobrze się odleżeć, to można siać na niej żyto bez obawy. Przed pszenicą trzeba dać dwie orki: jedną płytką podorywkę zaraz po sprzęcie grochu, wyki lub tatarki — a po kilku tygodniach, gdy się rola odleży, wyorać na zagon. Rzadko gdzie jednak znajduje się ziemia tak żyzna, żeby po grochu lub tatarce można siać pszenicę; lepiej więc nie kusić się o to pamiętając, że zawsze lepsze jest „dobre“ żyto, niż „licha“ pszenica.

Łubin zwyczajnie nierówno dojrzewa. Chcąc więc otrzymać z niego dobre ziarno, trzeba przed skoszeniem poobrywać strąki, które już dojrzały, a dopiero potem, gdy reszta strąków dojrzeje — skosić.

Niektórzy gospodarze zrzynają liście b u r a k ó w i k a p u s t y oraz łęciny kartoflane, kiedy jeszcze są zie-

lone, myśląc, że to burakom i kartoflom nie szkodzi. Jest to zaś zwyczaj bardzo niedobry, bo chociaż burak lub kartofel już wyrósł w ziemi dosyć duży, ale skoro się zerznie lub oberwie liście, to nietylko już rosnąć przestaje, ale będzie zawsze wodnisty i mało pożywny. Jeżeli zaś na kartofle padła przedtem zaraza, to zrzynanie łęcin nietylko nie powstrzyma szerzenia się jej, lecz nawet bardziej pomaga zgniliźnie dostać się do samych ziemniaków.

W tym miesiącu zwykle kwitnie trzcina wodna, rosnąca w stawach lub na bagniskach, a której używają do krycia dachów oraz do wykładania ścian i pułapów w domach. W miastach dużo tej trzciny zużywają mularze i drogo za nią płacą. Otóż do pokrywania dachów należy trzcinę wodną zrzynać sierpem w czasie jej kwitnienia — zaś do wykładania ścian kosi się ją w zimie po lodzie.

Len na najdelikatniejsze przędziwo wyrywać trzeba wcześnie, nie czekając aż włókno bardziej zgrubieje; na grubsze zaś płótno wyrywa się go dopiero wtedy, gdy już nasienie dojrzewa. Tak samo i konopie: najprzód wyrywa się na delikatniejsze przędziwo „płoskonka“, gdy dopiero wierzchołki żółknąć poczynają; a następnie „głowaczki“, kiedy już nasienie w nich jest w środku szare i ma w sobie tłuszcz oleisty. Roszenie czyli moczenie lnu i konopi odbywać się powinno tylko w wodach bezrybnych i tam, gdzie się dobytek nie poi; suszyć zaś nie trzeba nigdy w domach mieszkalnych, bo stąd często bywają pożary. Przezorni więc gospodarze powinni wystawić do tego osobny piec z cegły lub kamieni polnych zdala od budynków. Taki piec w kształcie kopy siana zbudowany, nie potrzebuje wcale dachu, a przez to tanio kosztuje.

Podczas żniw nietrzeba też zapominać o uprawie pod oziminę, z którą w tym miesiącu dobrze już pospieszać należy. Szczególniej pod żyto rola powinna być tak przygotowana, aby ostatnią orkę wykonać przynajmniej na dwa albo na trzy tygodnie przed siewem. Żyto zwyczajne czyli polskie można już zacząć siać od połowy tego miesiąca. Rzepak zimowy także przed dniem 15 sierpnia powinien być zasiany. Wogóle zaś baczyć trzeba na to, żeby na gruntach słabszych siać oziminę wcześniej, aniżeli na mocniejszych. Ziarno do siewu odebrać tylko najgrubsze; a jeśli jest lichy gatunek, to nietrzeba żałować grosza na kupienie zkąd-inąd dobrego nasienia, bo pieniądze wydane na to wrócą się stokrotnie w plonie. Jeśli ziarno pszenicy jest „śnieciste“ czyli z „murzonką“ to przed siewem trzeba je namoczyć w wodzie, w której rozpuszono trocha „sinego kamienia“. Bierze się do tego nie mniej ani więcej, jak 1 funt sinego kamienia na 100 kwart wody, i zalawszy tem pszenicę w beczce albo kadzi tak żeby woda owa stanęła nad ziarnem, moczy się je przez 10 lub 12 godzin, a potem wyjmuje się ziarno i suszy na płachcie.

Przy zawleczeniu oziminy i wybróździowaniu płytko radełkiem, trzeba zaraz dać przegony; a nie żałować ich, pamiętając, że „lepiej zrobić o dziesięć przegonów zadużo, aniżeli o jeden zamało“. Szczególniej też na nizkich i nieprzepuszczalnych gruntach — tylko dobre i akuratnie wyorane i wyrzucone rydlem przegony uchronić mogą oziminę od wymoknięcia.

Jeśli tylko czasu zbędzie od orki pod oziminę, trzeba także jak najwcześniej — a gdy można, to zaraz po sprzątnięciu zbóż — spokładać czyli podorać ścierniska, na których w w następnym roku, mają być siane jarzyny; szczególniej zaś tam, gdzie przyjdą buraki, kartofle lub marchew. Bo chociaż przez to nie będzie w jesieni pastwiska na ścierni, ale za to przez taką wczesną podorywkę ziemia

bardzo się użyźni i daleko lepsze plony wyda.

Na miesiąc wrzesień.

W sadach dojrzewają już w tym miesiącu gruszki i jabłka zimowe, które zebrawszy składać trzeba na kilka tygodni w miejscu przewiewnem; a gdy wypotnieją, obetrzeć do sucha płótnem i układać w piwnicy na półkach na prostej słomie ogonkami do góry — później zaś dwa razy na miesiąc przebierać i zepsute odrzucać.

Nasiona warzywne także teraz zbierać należy i zachować w miejscu suchem, żeby się nie zepsuły do wiosny. W lasach dębowych i bukowych opada w tym miesiącu żołądź i bukiew, które są bardzo pożywną karmą dla świń. Jeżeli więc las jest blizko, to można wypędzić do niego świnie, które żołędzią i bukwią prędko się tuczą.

Zasiewy ozime powinny już być w tym miesiącu, to jest do 1 października, ukończone. Żyto „krzyca“ sieje się wcześnie, żeby miało czas dobrze rozkrzewić się na jesień; a im późniejszy siew, tem mniejsza korzyść z niego. Żyto tak zwane „probsztejskie“ siać można tylko na gruntach żyznych, gdyż na roli lekkiej i jałowej zupełnie się wyradza i daje plon lichszy, aniżeli każdy inny gatunek żyta.

Pszenicę siać trzeba począwszy od dnia 7 aż do końca tego miesiąca; w okolicach położonych bardziej ku północy, należy wziąć się do siewu pszenicy o tydzień, albo nawet o 10 dni wcześniej. Jeżeli ziemia jest zwięzła i łatwo zsychająca się, to ostatnią orkę pod pszenicę dać trzeba przed samym siewem, żeby ziarno padło w pulchną i niezeschniętą rolę; gdy zaś grunt jest z natury lżejszy, a niezbyt suchy, to lepiej zawsze, kiedy po ostatniej orce trocha się przed siewem odleży. Siejąc na świeżej orce, trzeba najprzód równo rolę zawlec; a zasiawszy, przykryć bronami raz wzdłuż i raz wpoprzek. Potem zaś, jeśli ziemia zanadto pulchna i nieodleżała, zwalcować ją walcem ciężkim, nabitym dębowymi kołkami (ale broń Boże nie gładkim). Do siewu brać trzeba ziarno najcelniejsze i najdojrzalsze, którego korzec dobrze zestrychowany nie powinien nigdy ważyć mniej, jak 240 funtów.

Jeśli deszcze bardzo rozmiękczą rolę, to lepiej zatrzymać się kilka dni z siewem oziminy, aż ziemia trochę obsiąknie, a nie siać w błoto. Gdyby zaś po zawleczeniu orki i po wysiewie ziarna przeszły deszcze, zanim się zdąży przykryć nasienie, to lepiej zostawić je na wierzchu choćby przez cały tydzień na deszczach, aniżeli włóczyć rolę mokrą, gdy się na bronie maże. Trzeba też pamiętać, że jeśli podczas siewów rola jest zanadto zeschnięta, albo znowu ciągłe deszcze i zimno przeszkadzają dobremu zasianiu ozimin, to należy siać gęściej biorąc o czwarą część więcej nasienia, aniżeli wtedy, gdy pogoda jest przyjazna.

Potraw z łąk zbiera się także w tym miesiącu; a chociaż czasem trawa jeszcze jest nieduża, to lepiej korzystać z pogody i wcześniej ją zebrać, aniżeli ociągnąć się aż bardziej wyrośnie, a doczekać się tymczasem deszczów i zgnoić potraw. Po sprzęcie potrawu (czyli jak w niektórych miejscach nazywają — „otawy“) — można też zaraz wziąć się do karczowania łąk. Z krzaków łoziny, pieńków, z różnych zarośli, oraz do zrównania łąki i porozrywania kęp drapakami żelaznymi, żeby te ważne a pożyteczne roboty ukończyć przed zimą.

Koniczyny i inne trawy, które dobrzy gospodarze zasiewają w jarzynie albo w pszenicę na wiosnę, wyrastają już czasem w pierwszym roku na jesieni tak, że można je miejscami kosić albo wypasać. Nietrzeba jednak

robić tego przed św. Michałem, ale też i nie później, jak w pierwszym tygodniu miesiąca października, żeby koniczynie zostawić jeszcze dosyć czasu do odrośnięcia, zanim śniegi spadną.

Kopanie kartofli wczesnych zacząć można już od początku września; a w drugiej połowie miesiąca, gdy łęciny poschną, wziąć się spiesznie do wykopków, żeby czasem nie zamarzły. Jeżeli przed wybraniem kartofli z roli wyoruje je się pługami, to trzeba tak zawsze miarkować, żeby zrana wyorać jeno tyle, ile można zebrać przez dzień; bo jak zostaną na wierzchu, a przyjdzie w nocy przymrozek, to mogą nadmarznąć. Po zebraniu kartofli łęciny zgrabić trzeba starannie i zwieźć na ściółkę pod bydło; ścieląc zaś niemi najlepiej kłaść je po wywiezieniu gnoju na sam spód a na to dopiero słomę, żeby łęciny, dłużej leżąc, łatwiej przegniły.

Dobytek niezdatny do dalszej hodowli należy w tym miesiącu wybrakować i zaraz na najlepszych pastwiskach wypasać, aby wcześnie przed zimą go sprzedać; gdyż dopasanie w stajni lub oborze sianem i inną karmą dużo kosztuje. Zdarza się jednak czasem, że gdy jest wielki urodzaj na siano, a przez to jest ono tańsze, to większą korzyść ma gospodarz tucząc przez zimę woły lub inny dobytek na sprzedaż, aniżeli sprzedając go na jesieni. A gdy jeszcze doda do tego pożytek, jaki ma z gnoju urobionego przez zimę, to nawet czasem się okaże, że przykupienie taniego siana na zimę może się opłacić.

W tym miesiącu nie powinien też rolnik zapominać o lesie, w którym należy przygotować wcześniej ziemię pod zasiew drzew leśnych — a zagajników dobrze teraz pilnować, żeby się bydło w nich nie pasło, bo sąsiedzi, wytarłszy już inne pastwiska, często w zagajniki bydło na jesieni puszczają.

Kal. „Ojczyzny".

Na miesiąc październik.

Wszystkie owoce i warzywa z sadów powinny być w tym miesiącu zebrane i złożone do piwnicy i śpiżarni, żeby ich nie zabrakło przez zimę.

W sadach należy teraz wziąć się do kopania dołów na drzewka, które jeszcze w jesieni albo na wiosnę mają być sadzone. Chcąc, żeby się drzewka dobrze przyjęły, trzeba je sadzić bardzo wcześnie z wiosną; teraz zaś nie szczędzić pracy na przygotowanie dołów obszernych, na dwa lub trzy łokcie szerokich, a łokieć albo półtora głębokich, z których wybraną ziemię zwierzchnią, urodzajną, składa się na osobną kupę, a ze spodu jałową — znów osobno. Wykopawszy doły, nakłada się w nie do pełności gnoju końskiego albo owczego i przykrywa się je na wierzch ziemią tak grubo, aby ani wnętrze dołu, ani gnój w nim przez zimę nie zamarzł. Na wiosnę dopiero trzeba wybrać gnój i sadzić drzewka, przykrywając korzenie ową dobrą ziemią, złożoną na osobną kupę, a na wierzch dopiero sypać ziemię jałową.

Na gruntach spodem piaszczystych sadzić można wiśnie, gruszki i jabłonie; ale gdy trocha wyrosną, trzeba im obcinać gałęzie żeby duże nie wyrastały nigdy, bo schną. Śliwki, morele i brzoskwinie potrzebują już mocniejszego i głębszego gruntu. Na gruncie mokrym i nieprzepuszczalnym trzeba wprzód pokopać rowy, albo założyć rurki gliniane czyli „sączki" lub „dreny", żeby wodę zaskórną odprowadzić, i dopiero kopać doły na drzewka owocowe. Jeśli zaś kto niechce zadawać sobie takiej pracy, to niech na mokrym gruncie sadu nie zakłada, ale wynajdzie sobie lepsze i suchsze miejsce.

Winogrona, szparagi i inne delikatne rośliny pokryć trzeba w tym miesiącu gnojem i dobrą ziemią, żeby nie wymarzły przez zimę. Drzewka zaś owocowe młode ale delikatniejsze z natury, jak naprzykład morele, brzo-

skwinie lub niektóre gatunki śliw, obwiązać trzeba przy końcu tego miesiąca słomą.

Kapustę, nie czekając aż nadmarznie, wycinać. Wszelkie inne warzywa wykopać trzeba przed połową października, bo inaczej łatwo się psują.

Świnie mało już w tym miesiącu znajdują pożywienia w polu, więc trzeba zadawać im karmę w chlewie, a tych, które mają iść na tuczenie, wcale nie wypuszczać na pastwisko. Drób, a szczególniej kury, także już należy żywić w domu, nie oglądając się na to, co one same znajdą sobie po podwórzach i ogrodach.

Zasiewy ozimin, szczególniej w północnych okolicach naszego kraju powinny już być przed świętym Michałem, a najpóźniej do dnia 10 października pokończone. W polu zaś tylko podorywki podjarzynne siewy należy w tym miesiącu prowadzić, aby ukończyć je przed mrozami.

Ze wszystkich podorywek najważniejsza jest uprawa pod kartofle i buraki, która koniecznie zrobiona być powinna. Rośliny te wymagają roli pulchnej i dobrze wyrobionej; — więc po płytkiem podoraniu ścierniska i wywózce nawozu, trzeba jeszcze koniecznie na jesieni wyorać głęboko drugi raz, i tak zostawić rolę w skibie na zimę. Niektórzy gospodarze radzą nawet, aby doprawiwszy ziemię jak należy, pociągnąć jeszcze przed zimą redliny, porobić starannie przegony, żeby woda z roztopów nie stała w brózdkach, a wiosną, jak tylko ziemia obsiąknie, zasadzić kartofle. Często jednak się zdarza, że śniegi leżąc długo, a później tając w redlinach zaniosą je mułem i ubiją tak, że trzeba na wiosnę ciągnąć je drugi raz. Ale chociażby tak było, a nawet choćby przyszło na wiosnę zawlec całkiem rolę i nanowo ciągnąć redliny, to gospodarz będzie miał wprawdzie podwójną robotę, ale też może mieć z tego i podwójny urodzaj. Kiedy rola przez zimę leży w redlinach, to bardziej wietrzeje i staje się przez to daleko żyźniejszą. Kto więc zdąży w jesieni uprawić rolę zupełnie pod kartofle lub buraki i porobić redliny, a na wiosnę zawlec i drugi raz wyredlić, ten nie powinien się do tego lenić, bo szczególniej na gruntach cięższych uprawa taka jest bardzo pożyteczna.

Pod owies, a bardziej jeszcze pod jęczmień powinny być podorywki zrobione także w jesieni. Na takich podorywkach można siać owies, nie orząc już drugi raz na wiosnę, ale wzruszywszy je tylko żelaznymi drapaczami albo radłem. Pod jęczmień jednak trzeba na wiosnę zaorać drugi raz.

Jeżeli czasu zostaje, to po tych podorywkach pod jarzyny dobrze jest podorać jeszcze w tym miesiącu ugory; — bo tylko w skibie rola jak należy wietrzeje i użyźnia się przez zimę, a skutkiem tego, gdy ugór zaorany zostanie w jesieni, to później łatwiej daleko doprawić go w lecie pod oziminę. Kto jednak nie ma innego pastwiska, ten musi ugór zostawić aż do końca wiosny, bo nie miałby gdzie wypędzać dobytku.

Skończywszy robotę około roli, gospodarz powinien teraz pomyśleć jeszcze o pastwiskach. Należy je w tym miesiącu zbronować ostremi żelaznemi bronami i odtąd nie puszczać już na nie bydła, żeby trawa miała czas przed mrozami trochę odrosnąć. Dbając tak o pastwisko, równając na niem kępy, wycinając krzaki, a nadewszystko bronując w jesieni, można bardzo poprawić i mieć z niego dwa razy więcej paszy, aniżeli w poprzednich latach.

Torf w wyszuszonych cegiełkach na opał, a okruchy jego na podściół pod bydło i pod konie zwozić trzeba w tym miesiącu do szop, żeby go w suchości przez zimę przechować. Ściółkę leśną i ziemię próchnico-

wą do przesypywania gnoju w stajni lub oborze trzeba także teraz zbierać i zwozić, póki nie zamarznie.

W obejściu gospodarskiem pora teraz opatrzyć budynki, czy gdzie nie potrzeba czego naprawić przed zimą. Powylepiać ściany, gdzie wapno lub glina poodpadały — poprzestawiać piece i kominy, gdzie już są popsute — poopatrywać okna, żeby z nich nie wiało; robić to wszystko, gdy już przyjdą mrozy, to zapóźno.

W szkółkach leśnych zasiewa się teraz dęby, buki, kasztany dzikie, grab, klon, lipę brzozę i kalinę; dojrzewają zaś nasiona świerków, sosen, modrzewiu i jałowcu, i te starannie zbierać i suszyć należy.

Drzewa na opał, a tembardziej na budowle, dobry gospodarz nie powinien jeszcze teraz wyrębywać, gdyż w tej porze krążą jeszcze soki w drzewie, a przez to ono ciężkie, nietrwałe i trudno wysycha. Zato trzeba jak najspieszniej zbierać leżaninę i suche gałęzie po lasach, bo później śniegi to wszystko zasypią.

Na miesiąc listopad.

W pierwszych dniach tego miesiąca zwykle bywają już mrozy, które przerywają podorywki w polu; a gdy potem spadną śniegi, to chociaż w drugiej połowie listopada przyjdzie odwilż, nie można już wypędzać dobytku na pastwiska, ale trzeba go wciąż karmić w domu. Teraz więc wszystkie starania gospodarz powinien obrócić ku dobremu przezimowaniu dobytku i ku robotom w podwórzu.

Ptactwo domowe trzeba już zacząć dobrze karmić, aby przed Nowym Rokiem nie za byleco je sprzedać. Kurom, niosącym jaja, dobra gospodyni powinna oprócz pośladu rozsypywać od czasu do czasu gruz wapienny ze starych murów, albo okruszyny starego i dobrze zwietrzalego wapna, którego potrzebują kury, aby znosiły dużo jaj i z twardą skorupą. Wiadomo, że skorupa jaja jest z wapna; jeśli więc mało go w pokarmie, którym się żywią kury, to trzeba wapno osobno dodawać.

Żywiąc dobytek przez zimę, starać się trzeba, aby od pierwszego dnia, gdy zwierzęta staną na karmie zimowej, aż do wypędzenia ich z wiosną na pastwisko, dostawały jednostajną paszę. Najgorzej robią tacy gospodarze, którzy nie obliczywszy dokładnie na jak długo starczy im karmy dla bydła i owiec, z początku pasą dobytek zanadto obficie, a dopiero kiedy w końcu zimy zabraknie paszy, zadają prawie tylko samą słomę. A wtenczas właśnie najbardziej trzeba dbać o to, żeby dobytek był dobrze żywiony, bo woły i konie powinny przed początkiem wiosny nabrać sił do pracy w polu, a krowy, które się wtenczas cielą, potrzebują paszy pożywnej, nie zaś opychania samą słomą. Więc jak tylko wszystko siano, potraw, oraz kartofle, buraki pastewne i inne rośliny, przeznaczone na karmę dla bydła i owiec, sprzątnięte zostaną i zwiezione do podwórza, — gospodarz powinien obliczyć dokładnie, ile ma wszystkiej karmy i na jak długo może ona wystarczyć. Z tego obrachunku dopiero pokaże się akuratnie, ile można zadawać codzień rozmaitej karmy bydlętom, żeby aż do wiosny starczyło; jeśli zaś paszy jest więcej, niż potrzeba do dobrego utrzymania wszystkiego dobytku, to można albo przykupić zaraz na jesieni kilka krów cielnych, albo nawet wołów na wypas, lub też sprzedać część paszy, a zostawić jeno tyle, ile się spotrzebuje do wiosny.

W tym miesiącu należy pomyśleć też o zakładaniu kompostów, które rzadko gdzie jeszcze w małych gospodarstwach u nas urządzają, a które mogą się bardzo przyczynić do podniesienia urodzajności ziemi, bo dostarczają gospodarzowi dużej ilości mierzwy bardzo małym kosztem.

Chcąc założyć kupę kompostową, trzeba wybrać w podwórzu albo i za budynkami miejsce suche, i zwozić na nie rozmaite śmiecie, darń z rowów, szlam, torf, glinę, margiel, łęciny kartoflane, obrzynki z buraków, chwasty (które powinny być koszone przed dojrzewaniem), trociny drzewne, szerść, szmaty, błoto z podwórza, zmiotki z przed stodół i śpichlerzy, sadzę, popiół, gruz wapienny ze starych budowli, a nareszcie wszelkie nieczystości. Zwożąc te wszystkie materyały na jedną kupę kompostową, należy za każdym razem rozpostrzeć równo po całej kupie to, co się wywozi, i przekładać od czasu do czasu gnojem końskim, bydlęcem, lub świńskim, przesypując miałem z wapna palonego. Jeżeli podłoga w stajni lub oborze jest tak urządzona, że gnojówka spływa do osobnych dołków i można ją stamtąd wybierać, to bardzo jest dobrze polewać taką kupę kompostową gnojówką, a przytem obkładać miałkim torfem lub ziemią próchnicową, żeby gnój koński lub bydlęcy, którym się kupę przekłada, nie wietrzał.

Najlepiej jest założyć odrazu dwie kupy kompostowe: na jedną zwozić takie materyały, które łatwiej przegniwają; na drugą zaś takie, które kilka lat muszą leżeć, zanim przegniją i staną się dobrym nawozem, jak naprzykład: trociny, liście z dębów, olszyny lub wierzby, szerść, pióra, kości z padłych zwierząt, szmaty i różne inne śmiecie, które, żeby prędzej zgniły, trzeba często przesypywać wapnem palonem i gnojówką.

Założywszy jedną lub odrazu dwie kupy kompostowe, można przez całą zimę dowozić na nie różnych odpadków, a na wiosnę pierwszy raz przerobić kompost widłami raz koło razu, biorąc od wierzchu do samego spodu; potem zaś wśród lata przerobić drugi i trzeci raz, zlewając przytem gnojówką, — a na drugi rok można już wywieść kompost w pole na łąkę. Podczas zimy można komposty rozwozić tylko na takie pola albo łąki, które nie mają silnych spadków, bo przy roztopach łatwoby mogła woda poznosić kompost, lub też wypłókać z niego najpożywniejsze cząstki i zabrać z sobą do rowów.

W tym miesiącu jeśli jeszcze mrozów niema, trzeba spiesznie ukończyć p r z e s a d z a n i e d r z e w e k w z a g a j n i k a c h. Teraz też jest pora na zbieranie nasion z jesionu, olszyny i grabu, — a ze starodrzewu w lasach sosnowych, który teraz wycinają, pamiętać trzeba poobierać najdorodniejsze szyszki. Lepiej jednak zatrzymać się jeszcze z wycinaniem wszelakiego drzewa na budowle i na opał aż do miesiąca grudnia, bo wtenczas dopiero soki przestają już zupełnie krążyć w drzewie i przez to jest ono najtrwalsze i najogrzewniejsze. Te jeno drzewa, które wykopują się z korzeniem na sanie lub na inne gospodarskie porządki, trzeba w tym miesiącu kopać, obrabiać z grubszego wióra i zachowywać na następny rok w suchem miejscu. Jagody jałowcowe teraz też zbierać należy na lekarstwo dla ludzi i dobytku. Zbieranie to zaś można ułatwić sobie obścielając kierz (krzak) jałowcu płachtami, na które kijem lub widełkami otłukują się dojrzałe jagody.

Na miesiąc grudzień.

W tym miesiącu zima już się na dobre ustala; jest to więc najlepsza pora do zajęcia się w y c h o w e m d o b y t k u, który zostając teraz wciąż pod okiem gospodarza, może być z największą troskliwością pielęgnowany.

Trzoda chlewna, a szczególniej maciory prośne, skoro przestaną karmić się świeżą trawą na pastwiskach, dostają często zatwardzenia; a stając się przez to niespokojne i złośliwe, zjadają czasem własne prosięta. Chcąc się uchronić od takich wypadków i

utrzymać świnie w zdrowiu, dobrze jest zacząć dawać maciorom na parę tygodni przed porodem po pół garnca albo nawet i po garncu usiekanych buraków, marchwi pastewnej, brukwi lub kartofli.

O hodowli bydła rogatego teraz też gospodarze nasi powinni szczerze pomyśleć, bo w tym miesiącu krowy już się cielić zaczynają; jeśli zaś cielęta od samego początku nie są hodowane tak, jak należy, to nie wyrosną z nich ani silne woły, ani dobre dójki.

Nie każde cielę warto hodować, a chcąc mieć dobry przychówek, trzeba najprzód postarać się o to, żeby krowę nie doprowadzać do byle jakiego buhaja, ale stanowić jeno z takim, po którym rodzą się ładne i duże cielęta. Do chowu wybierać też tylko najładniejsze i po dobrych krowach, — a inne, lichsze, sprzedać zaraz po pierwszym tygodniu, żeby mleka daremnie nie ssały.

Jeszcze przed urodzeniem się cielęcia, starać się trzeba, aby ono dobrze mogło rosnąć i rozwijać się w ciele matki; a dlatego należy krowy cielne już od 3-go miesiąca żywić coraz posilniejszymi pokarmami, dodając im jak najlepszego siana (najlepiej z koniczyny), oraz osypki ze zboża, grochu, albo makuchów rzepakowych. Na kilka dni przed ocieleniem, skoro krowa zacznie już odpuszczać, dobrze jest, szczególniej pierwiastkom, dawać pojło z siemienia lnianego, byle nie gorące, jeno letnie. Po ocieleniu zaś przez dwa dni — rano, w południe i wieczorem — radzą niektórzy zadawać pojło z koperku, które przyrządza się w taki sposób: dwa łuty koperku naparza się w 3-ch kwaterkach wody wrzącej; a potrzymawszy jeszcze przez czas kilku pacierzy blizko ognia (tak jednak, żeby się nie zagotowało), studzi się następnie i daje razem z pojłem z siemienia lnianego, albo jeśli krowy pić nie chcą, wlewa się im w gardło z butelki. Taki napój z koperku przyczynia się do obfitego wydzielania mleka po ocieleniu.

Dobrzy i rozumni gospodarze zagranicą, a nawet i u nas, przekonali się już dowodnie, że lepiej jest zaraz po urodzeniu odsadzić cielę od matki i poić je mlekiem ze szkopka, a chociaż to się może dziwnem wydawać takim, co nigdy o tym sposobie nie słyszeli, jednak jeśli oni spróbują karmić tak cielęta, to z pewnością się przekonają, że chociaż jest z tem więcej kłopotu, ale też i większy się ma pożytek, niż gdy cielę zostaje przy krowie.

Najlepiej jest zaraz po urodzeniu cielę obetrzeć dobrze aż do sucha wiechciem i wynieść do osobnej obórki, tak, żeby go matka nie widziała, bo wtenczas po niem nie tęskni i nie zatrzymuje mleka. Zaraz też należy zdoić wymię do ostatka; a jeśli znać, że krowa zatrzymuje mleko, to drugi i trzeci raz powtórzyć dojenie.

Cielęta trzeba trzymać w ciepłej obórce, bo z zaziębienia łatwo dostają biegunki. Poić je mlekiem trzy razy na dzień i najlepiej dawać każdemu cielęciu mleko od jego matki; jeśliby zaś go nie starczyło, to można dolewać i mleko od innych krów, a dawać zaświeża, żeby nie ostygło. Dla ciołków liczy się z początku po pół garnca mleka naraz, — dla jałoszek zaś, szczególniej jeśli nie duże, tylko po półtorej kwarty. Po pierwszym tygodniu, jeśli cielęta chcą więcej pić, to daje się im o pół kwarty więcej mleka; po dwóch tygodniach znowu dolewa się kwaterkę albo i półtorej na każdy raz; — a tak postępując przez miesiąc, albo nawet 5 tygodni, później trzeba znów coraz ujmować mleka świeżego, dolewając na to miejsce mleka zbieranego i przegotowanego z siemieniem lnianem, którego bierze się po 4 łuty na każdą kwartę zbieranego mleka. Prócz tego trzeba już w tym czasie zakładać cielętom za dra-

binkę najlepszego sianka, żeby się przyzwyczajały jeść suche pokarmy. Po dwóch tygodniach takiego karmienia, mleko gotowane z siemieniem lnianem zastępuje się potrochu pojłem zrobionem z otrąb lub z mąki owsianej i siemienia lub makuchów lnianych; po kilku zaś tygodniach zmniejsza się znowu ilość takiego pojła, a na to miejsce przyzwyczaja się cielęta do suchego owsa i do czystej wody. Jałoszkom dobrze jest dawać mniej owsa, a zato po garncu lub po półtora garnca na dzień buraków albo marchwi pastewnej.

W ten sposób chowane cielęta dobrze rosną, a oszczędność na mleku jest ogromna; krowy zaś nie widząc wcale cieląt, nie tęsknią i wciąż jednostajnie i dużo mleka dają.

Ziarno łubinu, który sieją dla owiec na ziemiach piaszczystych, jako bardzo gorzkie, nieprzydatne, było dawniej na karmę dla koni i bydła. Wreszcie jednak wynaleziono sposób usuwania tej goryczy z ziarna łubinowego, a że ono jest bardzo pożywne, więc rolnicy gospodarujący na gruntach piaszczystych, mogą zeń mieć duży pożytek dla swego dobytku. Trzeba jeno owe ziarno najprzód gotować przez dobrą godzinę w wodzie, potem wodę odlać, łubin ostudzić i zalać znów zimną wodą, którą co 12-cie godzin należy zmieniać, albo lepiej wsypać ugotowany łubin do koszyków, uplecionych z wici i wstawić w wodę bieżącą. Gdy tak przez półtora dnia ziarno łubinu wymoknie, staje się słodkie tak prawie, jak groch — i bydło, świnie, a nawet konie jedzą je bardzo chętnie.

Oprócz żywienia dobytku niema w tym miesiącu gospodarz zbyt dużo roboty; może więc korzystać teraz z wolniejszego czasu, a wziąć się do młocki i czyszczenia zboża. Powinien tylko przytem pamiętać, żeby zgnonin i plew nie marnować, ale odsiawszy je z kurzu na przetakach, schować w miejsce suche i przewiewne, żeby nie pleśniały, — dobra to bowiem pasza dla dobytku, ale jeno wtedy, jeśli nie zatęchła i niema w niej kurzu.

HUMOR.

Mocna wiara.

Przed laty często wpadali do naszej ojczyzny Tatarzy i zrabowawszy wsie i miasta i zabrawszy w niewolę kogo mogli, wracali do domu. Zdarzyło się też raz, że jednę wieś na Podolu zupełnie spustoszyli, starych wymordowali, a młodych zabrali w niewolę tak, że żywej duszy nie pozostało. Gdy po niejakim czasie sąsiedzi zwiedzili pustki, zastali żydka, który na swoich śmieciach najspokojniej mieszkał sobie dalej i cudem chyba mógł się uratować. Zapytano go, jakim sposobem się ocalił?

— Bo miałem wielką wiarę — odpowiada żydek — i ta wiara mnie zbawiła.

— Jakto? Tyś miał wiarę, a ci drudzy nie? Jakto być może?

— Ny — to było tak: Jak zaczęli sobie gadać, że podobno tatarzowie idą, tom zaraz uwierzył i zaczął uciekiwać, a ci drudzy nie wierzyli i zostali, aż przyszli tatarzowie — nu — mnie wiara uratowała.

Dr. FERDYNAND WILKOSZ.

SZCZUPAK.

Obok suma największym rabusiem w wodach słodkich jest bezsprzecznie szczupak. Jego żarłoczność, szeroka paszcza, zaopatrzona w mnóstwo ostrych zębów, wreszcie możność trawienia olbrzymich ilości pokarmów sprawiają, że szczupak niestosunkowo wielkie zwierzęta pożerać i połykać może, a stąd zawsze jest niemiłym gościem czyto w rzekach, czy też stawach. Wszystkie zwierzęta, które albo stale żyją w wodzie, albo się też przypadkowo tam dostały, padają do pewnej wielkości ofiarą jego żarłoczności. Szczupak pożera owady i ich larwy, raki, prawie wszystkie ryby, płazy, ptaki i mniejsze ssawce, nie przebacza także swoim rówieśnikom, jak tego doświadczają hodowcy ryb, trzymający szczupaki nawet w zamkniętych zbiornikach. Wszak zdarzały się wypadki, że szczupak złapany już w matnię wraz z innemi rybami, jeszcze połknął jednę przed wyjęciem sieci z wody, a hodowcy ryb i dozorcy stawów mają nieraz sposobność widzieć szczupaki, jak trzymają w paszczy ryby tej samej, co i one wielkości i zwolna je pożerają, a oczom widza przedstawia się wówczas taki widok, jakoby płynęła ryba o dwóch ogonach.

Anglicy wysoko cenią szczupaka jako rybę sportową, gdyż jego zaciętość, ochoczość do walki i usilne staranie uwolnienia się z wędki wytwarzają między wędkarzem a rybą prawdziwą walkę i powodują u wędkarza wzruszenia, których on tak bardzo pragnie. Markiz Salisbury i zmarły w r. ub. angielski król, Edward, zapalczywie lubią łowy szczupaków, żaden z nich jednak nie miał tego szczęścia, jak Alfred Jardine, który jednego dnia złapał 5 wielkich szczupaków, ważących razem 86 kg.

Szczupak w zapalczywości i żarłoczności napada większe zwierzęta, nawet i ludzi, a angielskie dzieła rybackie, tak dawniejsze, jak i nowsze, tudzież czasopisma rybackie opowiadają dosyć często o tego rodzaju wypadkach, z których kilka tutaj przytoczę:

Aleksander Makintosh był świadkiem walki szczupaka z łabędziem, która zwróciła uwagę osób nad jeziorem będących. Przez czas dłuższy łabędź niespokojnie poruszał się po wodzie, mając w niej zanurzoną głowę i szyję, jakgdyby w niej pożywienia szukał. Podpłynięto łódką i wyciągnięto z wody łabędzia nieżywego, w którego szyję wżarł się szczupak, również już nieżywy. Walka musiała trwać czas dłuższy, a łabędź bronił się dzielnie, jeżeli dziobem zdołał zadać wielkiemu szczupakowi cios śmiertelny.

Dr Gouge kąpał się z kilku towarzyszami w jeziorze, gdy nagle krzyknął i zatonął. Towarzysze jego pochwycili go jeszcze na czas i wyciągnęli na brzeg, a zdziwienie ich było wielkie, gdyż razem z doktorem wyciągnęli 16-kilogramowego szczupaka, który wgryzł się w prawą piętę i ofiary swej puścić nie chciał. Szczupaka zabito silnem uderzeniem, dr Gouge jednak kilka miesięcy poważnie chorował.

P. Marston, redaktor angielskiego czasopisma „Fishing Gazet“, złowił w życiu swem kilkaset szczupaków, przyczem dwa razy doznał napadu. Raz zaledwie zdołał usunąć rękę, którą wielki szczupak chciał pochwycić, drugi raz walczył zawzięcie z 13-kilogramowym szczupakiem, który, zaczepiwszy się na wędkę, z wściekłością rzucał się na wszystkie strony i w czasie tej walki wgryzł się z wielką siłą w sprzączkę i hak gumowego buta.

Kapitan L. Lloyd opowiada w swem dziełku rybackiem, że w jeziorach Szwecyi i Norwegii orły i szczupaki staczają ze sobą zacięte walki i nieraz na powierzchni wody spotkać można orła, w którego wgryzł się szczupak, lub też szczupaka, w którego grzbiet wpił się pazurami orzeł. Zarówno ptak, jak i ryba, giną zazwyczaj w takich wypadkach.

W r. 1853 byłem świadkiem pożarcia kaczki przez szczupaka. W Krakowie, gdzie dzisiaj plac na Groblach, był sztucznie wybrany zbiornik wody, zwany portem, zazwyczaj suchy, a tylko w czasie przybytku wody w Wiśle wypełniający się po brzegi. Wówczas Wisła przybrała znacznie, a port napełnił się wodą; stado kaczek płynęło po wodzie, gdy nagle powstał między niemi popłoch, a wśród nich wyłoniła się z wody głowa wielkiego szczupaka. Kaczki z wielkim hałasem ratowały się ucieczką, tylko jedna z nich znikła pod wodą, pochwycona przez szczupaka.

Dawniej, kiedy łowiono ryby nie tak powszechnie, jak obecnie, w całej Europie, jako też w kraju naszym, łowiono nierzadko szczupaki mające przeszło dwa metry długości i ważące przeszło 25 kg. Na zachodzie, gdzie mięso szczupaka bardzo jest cenionem, olbrzymy te znikły naprzód, w kraju naszym jeszcze przed niedawnym czasem w jeziorach, stawach dzikich, tudzież rzekach poławiano niekiedy olbrzymie szczupaki, dziś jednak znikły one zupełnie, jakkolwiek w dzikich stawach można spotkać jeszcze niekiedy szczupaki dochodzące do 10 kg. wagi.

Zajmującym jest szczegół, że szczupak czyhający na rybę rzuca się na nią z błyskawiczną szybkością i chwyta ją z boku, a dopiero w chwili pożarcia obraca ją tak, że głowa ryby wchodzi w jego paszczę, czyni to oczywiście dlatego, gdyż w ten sposób ani łuska, ani pletwy, nie stawiają przeszkody w pożarciu.

Żarłoczność szczupaka największą jest w naszym klimacie w miesiącach maju i czerwcu, sierpniu i wrześniu; w lipcu szczupak przeważnie pości, a pochodzi to może stąd, że w tym czasie traci zęby i dostaje nowe. Nawet w zimie, kiedy wszystkie ryby przestają jeść, szczupak ma dobry apetyt i dziesiątkuje ryby. Potrzebuje on wiele powietrza, dlatego w stawach płytkich w zimie zazwyczaj ginie, a jeżeli się w nich porobi przyręble, to szczupaki pierwsze się tu zjawiają i otwartemi paszczami chwytają w siebie powietrze.

Z powodu swej żarłoczności i łatwości rozmnażania się szczupak niema żadnej opieki prawnej ani pod względem czasu ochronnego, ani pod względem miary, dlatego można go łowić w każdej wielkości i o każdej porze. W stawach narybkowych i wodach pstrągowych szczupaka oczywiście cierpieć nie można, atoli w rzekach i wielkich stawach dzikich obecność jego jest pożądaną, gdyż oczyszcza on te wody z nadmiaru ryb, a tem samem ułatwia pozostałym lepszy przyrost. W stawach karpiowych odrostowych, w których karpie często zawcześnie się wycierają, a wylęgły z ikry narybek zabiera im pożywienie, niewielkie szczupaki bardzo są przydatne, gdyż zjadają narybek, a tem samem usuwają szkodliwego dla kupieckich karpi konkurenta. Tęż samą przysługę robią szczupaki w stawach karasiowych. W każdym jednak razie rybacy powinni tak w rzekach, jak i w dzikich stawach, wyławiać bezwarunkowo wielkie szczupaki, gdyż one bardzo pomału rosną, a w rybołostwie wielkie wyrządzają szkody, potrzebują bowiem wiele pożywienia.

Na brak szczupaków w kraju naszym użalać się jeszcze nie można, w innych jednakowoż krajach brak ten daje się odczuwać i dlatego rozpoczęto tam już sztucznie hodować szczupaki. Ikrę można albo zbierać z wód, gdzie szczupaki żyją, albo też zapładniać ją sztucznie.

Szczupak składa chętnie ikrę w odnogach i w odlewiskach rzek, w miejscach płytkich, na roślinach wodnych, zatopionych pniach drzew i na kamieniach;

ziarnka ikry połączone są ze sobą jakby sznureczkiem. Taką ikrę można w godzinach porannych zbierać, a umieściwszy ją natychmiast w mokrym mchu, miałkim, wilgotnym piasku lub wilgotnych trocinach, przenieść zaraz do wielkiego akwaryum, do stawku lub też rowu, tak jednakowoż, aby światło miało do ikry jak najlepszy przystęp. Po dwóch tygodniach lęgnie się narybek, a po utracie pęcherzyka żółtkowego trzeba rozpocząć sztuczne żywienie. Jako pożywienie służyć mogą plesznice (pchły wodne) i larwy owadów, a gdy narybek podrośnie, trzeba mu podawać różne, drobne rybki, inaczej bowiem wzajemnie zjadać się będzie.

Według prof. Artura Feddersena można ikrę szczupaka w następujący sposób sztucznie zapładniać: Przy zbliżającem się tarle trzeba przedewszystkiem zapewnić sobie odpowiednią liczbę mleczaków, tych bowiem w czasie tarła nieraz trudno dostać. Mając wielkie, wodą wymyte naczynie, bierze się ikrzaka i wygniata z niego ostrożnie, lekko przyciskając, ikrę, polewając ją bezzwłocznie mleczkiem z mleczaków wyciśniętem. Równocześnie wlewa się wodę do naczynia, aby się ikra nie poruszała i w gródki nie zbijała, w grudkach tych bowiem może się niejedno ziarnko popsuć i zakazić resztę ikry.

Po zapłodnieniu ikry dobrze jest przepłukać jeszcze ikrę kilka razy wodą, aby się pozbyła kleistości. Dobrze jest nie wyciskać wszystkiej ikry z jednego ikrzaka, zazwyczaj bowiem dalsza ikra nie jest dojrzałą. Zapłodnioną ikrę daje się do skrzyni wylęgowej, na ułożone tamże gałązki, położone na ramkach obciągniętych organtyną, na której umocowują się gałązki, a ramki umieszcza się na dnie skrzyni wylęgowej tak, aby się zawsze pod wodą znajdowały. Kwadratowa skrzynia wylęgowa zrobioną jest z desek, a dół jej i dwa boki, o ile się pod wodą znajdują, stanowią sitka druciane, aby woda przez skrzynię dobrze przepływać mogła. U góry skrzynia zamyka się kratką drucianą, nieco rzadszą, zawsze jednak tak gęstą, aby ani ptak, ani ryba, przez oczka skrzyni dostać się do środka nie mogły. Skrzynia opatrzona jest nadto ze wszystkich stron korkowemi płytami, aby się pływająco na wodzie utrzymać mogła.

Skrzynię umieszcza się następnie, po włożeniu ikry, na prądzie i do światła, a siatki druciane oczyszcza się co drugi lub trzeci dzień szczotką, aby usunąć wszelkie nieczystości i ułatwić wodzie stały przepływ. Kiedy narybek zacznie się wykłuwać, trzeba skrzynię całą przenieść w miejsce spokojniejsze, bez silniejszego prądu, a następnie pielęgnować narybek tak, jak przy ikrze zbieranej w wodach szczupakowych.

Podany tutaj sposób sztucznego zapładniania ikry szczupakowej praktykuje się z dobrym skutkiem w Danii, spróbować go więc mogą i nasi hodowcy, jeżeliby szczupaki w wodach swoich hodować chcieli.

Wkońcu wspomnieć muszę, że szczupaki złowione w Rosyi koło Dorpatu zawierają w sobie tasiemce, dlatego w razie zachodzącej wątpliwości lub obawy, najlepiej spożywać szczupaki gotowane, gdyż przez gotowanie zarodki tasiemców zostają zniszczone. Kawior ze szczupaków spożywa się surowo, tutaj więc zarodki tasiemca są jeszcze żywe i przy spożyciu do organizmu ludzkiego dostać się mogą. Dlatego kawioru szczupaczego, pochodzącego z jezior rosyjskich, lepiej nie spożywać. W kraju naszym niebezpieczeństwa tego niema, gdyż kawior ze szczupaków jest prawie nieznany, a nadto szczupaki wód naszych tasiemców w swem mięsie nie mają.

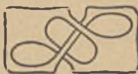

Prof. Dr. FRANCISZEK BUJAK.

HANDEL DRZEWEM.

Drzewo jest dla Galicyi jednym z najważniejszych przedmiotów eksportu. Z ogólnej produkcyi około 8 milionów m.³ kraj konsumuje według grubego oczywiście szacunku blizko 5 mil. m.³ głównie w formie opału i budulca na wsi, tudzież opału w miastach wschodniej Galicyi, bo zużycie innych rodzajów materyału drzewnego jest nieznaczne, a resztę wywozi poza swoje granice. Zdawało się, że eksploatacya lasów osięgła swój szczyt przed 10 mniej więcej laty, że obecnie powinno nastąpić widoczne zmniejszenie eksportu, znacznie przekraczającego produkcyę. Tymczasem eksploatacya bynajmniej się nie zmniejszyła, owszem na razie dalej wzrasta przy pomocy starych zapasów w Karpatach, dosięgających nieraz 200 i więcej lar wieku[1]). Kolejami lasowemi różnego typu z najbardziej niedostępnych grzbietów i dolinek karpackich ściąga się do tartaków i stacyi kolejowych drzewo i wywozi z kraju. Ten nadmiar wyrębu opiera się także na tem, że kupiec dzięki dobrej konjunkturze sięga do coraz młodszych drzewostanów; teraz bowiem cięcie lasu zaledwie 60—70 lat liczącego nie jest rzadkością. Dzisiejszy eksport drzewa, będący naturalnym objawem w Galicyi wobec jej ubóstwa, odbywa się zatem w części z łaski minionych i na koszt najbliższych pokoleń. Ale ponieważ nie jest prawdopodobne, aby zapotrzebowanie rosło dalej w tem samem tempie, i musiało się coraz cieńszym i słabszym (młodszym) materyałem zadawalniać, musi więc nastąpić i to w niedługim czasie zastój, a nawet cofnięcie w wyrębie i wywozie drzewa z Galicyi. Wywóz może się utrzymać w dzisiejszej wysokości, jeżeli lud od budowania drewnianych zagród przejdzie do użycia cegły na swoje budynki, przez to bowiem stopniowo uwolni się kilkaset tysięcy m.³ drzewa użytkowego, co prawda przeważnie cienkiego lub co najwyżej średniej jakości, i może być wywiezione za granicę. Również zmniejszenie użycia drzewa na opał wewnątrz kraju zwiększy niewątpliwie ilość drzewa, mogącego także pójść w handel jako budulcowe, oczywiście po niższej cenie. Ludność włościańska w zachodniej Galicyi zużywa na opał już prawie tylko odpadki leśne, które w inny sposób nie mogłyby być zużytkowane. Wzdłuż głównej linii kolejowej aż po Rzeszów coraz więcej u niej wchodzi w użycie węgiel kamienny. Zmniejszenie użycia drzewa na opał po większych miastach wschodniej Galicyi musi także wkrótce nastąpić, albowiem cena jego w stosunku do siły kalorycznej już obecnie przekracza cenę węgla we Lwowie; niższa cena węgla musi wziąć górę nad przyzwyczajeniem do drzewa. W interesie społecznym leży, aby się to dokonało w jak najszybszem tempie. Zwiększenie produkcyi węgla kamiennego w kraju, a zwłaszcza zniżenie jego ceny przez potanienie przewozu (kanałem) najsilniej się do tego przyczynić może.

Ile wynosi naprawdę nasz eksport drzewa, nie możemy wiedzieć, wobec zupełnej nieużyteczności statystyki ruchu towarowego na kolejach austryackich[2]). Wywóz roczny drzewa z Ga-

[1]) Drzewo takie, jako przestarzałe ma gorszą markę na targu światowym.

[2]) Po prostu pojąć nie można, po co państwo a w części i towarzystwa kolejowe prywatne wydają dziesiątki tysięcy koron (bo tyle ta robota musi kosztować) coro-

licyi w 1891—1900 za granicę państwa szacowano na 70.000 wagonów czyli 1·4 mil. m³ drzewa materyałowego (wagon równa się 20 m.³ przeciętnie) wartości około 46 mil. kor., gdy wywóz całej Austryi miał wartość około 90 mil. kor. Do wywozu galicyjskiego nie wciągnięto przytem około 10.000 wagonów drzewa opałowego, które z Galicyi przeważnie do innych krajów austryackich wywieziono.

Obecnie prawdopodobnie zagraniczny eksport drzewa materyałowego wzrósł około 15—20%, wynosi zatem około 80—85.000 wagonów, głównie przez to, że coraz większy procent produkcyi traktuje się, jako drzewo użytkowe, oczywiście słabszego gatunku (niższej klasy). Większa część drzewa użytkowego jest już przerobiona na deski lub inne grubsze towary. Przy przerobieniu około 2/5 pierwotnej masy drzewnej jako trociny i trzaski, eksport więc obejmuje właściwie około 2 mil. m.³, oprócz drzewa opałowego, którego wywóz prawdopodobnie nie wzrósł w tych czasach. Uwzględniając wzrost cen (30% od r. 1900[1]) należy obecnie szacować wartość eksportu i ilość wywozu mniej więcej na 65—70 mil. kor.

Galicya eksportuje materyał na rusztowania budowlane, belki na wiązania dachowe, piloty (pale do mostów i przystani), progi kolejowe dębowe i sosnowe, a obecnie z powodu gwałtownego wzrostu cen nawet świerkowe i bukowe kloce do tartaków. Dalej wywozimy krótkie okrąglaki do stęplowania chodników w kopalniach (kopalnie węgla w zagłębiu śląsko-morawskiem pochłaniają corocznie całe lasy drzewa tego rodzaju). Podobne do poprzedniego gatunku, ale równe i pozbawione sęków okrąglaki służą do wyrobu masy papierowej i cellulozy. Przeważają nad innymi tak zwane materyały tarte t. j. różnego rodzaju deski od najprostszych desek na skrzynie do opakowania i łat bukowych na meble[2]), do deszczułek na narzędzia muzyczne (drzewo resonansowe). Wyroby bednarskie Galicya sprowada masami (beczki na piwo z Czech i na naftę z Ameryki), chociaż dzięki obfitości odpowiedniego materyału mogłaby nietylko własne potrzeby sama zaspakajać, ale także i zagranicę zaopatrywać.

Wywóz odbywa się przeważnie kolejami, co jest dla wartości drzewa korzystne, drzewo bowiem spławiane wodą (takie jest przeważnie drzewo z Rosyi pochodzące) jako przemoczone, ma mniejszą wartość. Wisłą i jej dopływami przewieziono 1891—1900 r. przeciętnie około 1.150 wagonów drzewa materyałowego a 14 wag. drzewa opałowego; Dniestrem spławiono w tem samem dziesięcioleciu przeciętnie około 1.250 wagonów rocznie. Kolejami do Niemiec głównie przez Czechy (aby od granicy czeskiej do morza korzystać z taniego transportu wodnego statkami) przewożono na początku tego dziesięciolecia blizko 20.000 wagonów, a na końcu 73.000 wagonów z Galicyi i Bukowiny razem[3]). Z początkiem bieżącego dziesięciolecia spadł wywóz kolejami do Niemiec z powodu zastoju i przesilenia ekonomicznego wówczas w Niemczech, a specyalnie z powodu bankructwa wielu poważniejszych firm drzewnych. Stosunki jednakże nadspodziewanie prędko się poprawiły i wywóz jest już obecnie znacznie większy. Wywóz kolejami kieruje się od północnych Nie-

---

cznie na zestawianie i druk zupełnie prawie nieużytecznych olbrzymich tomów statystyki kolejowej.

[1]) W roku 1906 ceny wzrosły o 8—10% w porównaniu z r. 1905.

[2]) Wielka fabryka mebli giętych firmy Thonet w Wiedniu posiada na własność blizko 3.000 ha lasu (Barwinek pow. Krosno).

[3]) Wywóz z lasów w pobliżu granicy węgierskiej kieruje się obecnie przeważnie kolejami przez północne Węgry w stronę Niemiec.

miec przedewszystkiem do Berlina i wielkich miast portowych i obejmuje wszystkie gatunki naszych produktów leśnych. Wywóz Dniestrem i Prutem przez Odessę i Galacz, który coraz bardziej rośnie, kieruje się głównie do ujść Renu, skąd nawet do południowych Niemiec się dostaje[1]), następnie do Włoch, Francyi i południowej Afryki (materyały tarte), gdzie się spotka z silną konkurencyą półwyspu skandynawskiego, którego główny produkt czerwona sośnina i świerszczyna szwedzka jest tam poszukiwana i ceniona. W ostatnich latach kartel szwedzkich kupców drzewnych zmniejsza podaż a podnosi ceny, wobec czego w krajach tamtych znajduje sobie coraz więcej uznania białe drzewo[2]) z Austryi pochodzące. W ostatnich latach wzrósł także eksport do południowej Rosyi, zwłaszcza do kopalń nafty na Kaukazie np. w 1903 r. wynosił eksport do Rosyi 130.000 m.[3], ale dotąd na targu rosyjskim zapotrzebowanie jest niestałe i ogranicza się do pewnych tylko rodzajów drzewa.

Handel drzewem galicyjskiem zbyt jest poważny ilościowo, aby nie został opanowany przez wielkie firmy, rozporządzające znacznymi kapitałami i rozległymi stosunkami handlowymi. Są to przeważnie przedsiębiorcy obcy, pochodzący z Niemiec lub z Wiednia, którzy nabywają wielkie obszary leśne na własność albo tez prawo eksploatacyi przez dłuższy przeciąg czasu. Wielkie przedsiębiorstwa starają się swój towar najkorzystniej spieniężyć, a więc nadają mu już w lesie i w swych tartakach [3]) formę najbardziej zbliżoną do tej, w jakiej bywa zużywany zagranicą, przytem także daleko taniej kalkutuje się transport. Obok nich istnieją liczni drobni przedsiębiorcy, którzy kupują drobniejsze partye lasów (często pojedyncze wyręby) z obowiązkiem sprzątnięcia drzewa w ciągu 1–3 lat. Przytem oczywiście nie opłaci im się (i nie mają za co) budować tartaków, zatrudniają tylko robotników siekierą zaopatrzonych i sprzedają przeważnie materyał okrągły lub co najwyżej na belki ciosany.

Ci drobni kupcy to są przeważnie żydzi z małych miasteczek galicyjskich, pomiędzy wielkimi przedsiębiorcami zdarzają się także nie żydzi (niemieccy protestanci). Do najpoważniejszych firm należą: Schmidt i spółka, Grödel i spółka (dwaj najwięksi właściele lasów), Datner i Falter, J. Eisler i syn w Worochcie, Knoll, Grieffel w Nadwórnie, parę firm, powstałych z olbrzymiego przedsiębiorstwa bar. Poppera, Berliner Holz-Comptoire. Ader, Schlesinger, Kriser w Skolem, A. Löwy.

Odbiorcami przedsiębiorców galicyjskich są właściciele wielkich składów drzewa, znajdujących się po większych miastach za granicą, którzy dopiero towar sortują i budowniczym, fabrykom i t. d. sprzedają.

Pozostaje jeszcze do omówienia kwestya cła niemieckiego na nasze drzewo i taryf kolejowych. Kiedy wskutek budowy kolei transwersalnej wywóz drzewa z Galicyi do Niemiec nagle podskoczył w górę, Niemcy nałożyli cło ochronne na drzewo w obronie swoich gospodarstw leśnych (1885 r.). W traktacie celnym z r. 1895 cło niemieckie zostało obniżone, zwłaszcza na drzewo okrągłe użytkowe, wskutek czego eksport nasz, który chwilowo zwrócił się do krajów śródziemno-morskich, napowrót skierował się do Nie-

[1]) Droga wodna prze Odessę do Rotterdamu jest 5 razy dłuższa niż najkrótsza droga kolejowa, ale mimo to jest od niej tańsza, to też nie została zarzucona ta droga, chociaż taryfy kolejowe w 1903 r. zostały zniżone.

[2]) Przyczyna różnicy w zabarwieniu drewna naszych drzew i skandynawskich tkwi w odmiennych warunkach klimatycznych.

[3]) Samo porżnięcie kloca na deski podwaja jego wartość, a koszty tego porżnięcia nie przenoszą czwartej części jego wartości.

miec. Ogromna różnica cła na materyał surowy w stosunku do cła na materyał tartaczny (stosunek jak 1 : 4) stała się podstawą do rozwoju przemysłu tartacznego w Niemczech tuż przy granicy austryackiej. Wobec tego zagrożony w swej egzystencyi przemysł tartaczny austryacki zaczął się domagać od rządu cła na eksportowane drzewo surowe. Tymczasem rząd niemiecki w nowym traktacie celnym ponownie obniżył wprawdzie cło na drzewo, ale zarazem jeszcze bardziej zwiększył różnicę między stopą oclenia drzewa surowego a tartego (stonek jak 1 : 6). Wobec tego rząd austryacki, mimo stanowiska wolno-handlowego zajmowanego przez leśników wobec przygotowań do nowych traktatów celnych, podniósł taryfę kolejową dla transportu drzewa surowego przez Czechy do Niemiec, aby przez to poprawić szanse targowe naszego i ogólno-austryackiego materyału tartacznego na rynku niemieckim i wogóle przemysłowi miejscowemu zapewnić tani materyał surowy. Producenci leśni, uważając to podwyższenie taryfy kolejowe za zamaskowane cło wywozowe, założyli energiczny protest przeciw niemu na państwowej radzie kolejowej, ale po dłuższej walce sprawę przegrali [1]). Nie ulega wątpliwości z punktu widzenia ogólnych interesów gospodarstwa społecznego, że powinniśmy jak najmniej wywozić surowców, a przeciwnie nasze produkty sprzedawać zagranicy, ile możności jak najwięcej przerobione, aby do zysku z produkcyi pierwotnej dołączać zysk z pracy i przedsiębiorstwa przemysłowego. Interes leśników jest kwestyą wewnętrzną gospodarstwa społecznego, mianowicie łączy się z kwestyą rozdziału dochodów. Właścicielom lasów chodzi o zapewnienie drzewu, w lesie na pniu stojącemu, jak najlepszej ceny przez rozszerzanie a nie zacieśnianie rynku czyli koła nabywców, mających ile możności jak najbardziej wyrównane warunki. Mogą to osiągnąć także w zgodzie z interesem społeczeństwa, jeżeli się intenzywnie rozwinie przemysł drzewny w kraju i w państwie, względnie, jeżeli sami wejdą w sferę przemysłowców drzewnych przez zakładanie tartaków lub innego rodzaju przedsiębiorstw, zużytkowujących drzewo, idąc w tym względzie za przykładem tych licznych kupców, względnie przemysłowców, którzy w kraju lasy nabywają na własność, lub właścicieli lasów w innych krajach austryackich np. w Czechach lub w Niemczech, którzy przerobem drzewa sami się przeważnie zajmują we własnych przedsiębiorstwach przemysłowych jak tartakach, papierniach i t. d. rozdzielając między siebie i swych robotników ten zysk, który przypada pośrednikom. Celem rozwoju przemysłu drzewnego w kraju trzebaby przedewszystkiem zmniejszyć produkcyę drzewa opałowego, wszak w innych krajach np. w Niemczech wyzyskują z lasów do 90% drzewa materyałowego [1]), bo w przemyśle drzewnym prawie każdej jakości materyał znajdzie odpowiednie zastosowauie np. z drzewa opałowego miękkiego pośledniejszej jakości można wyrabiać wełnę drzewną, papę tekturową, zabawki, proste sprzęty i narzędzia, z lepszego zaś błonnik (cellulozę) sita i t. d.; z twardego drzewa opałowego można wyrabiać pudełka, trzonki, przybory rysunkowe, narzędzia kuchenne i t. d.

Wobec wzrostu cen i eksportu do Niemiec oczywistą jest rzeczą, że cło

---

[1]) Obowiązujące w 1906 r. przepisy i taryfy kolejowe, odnoszące się do przewozu płodów leśnych z Galicyi, znajdują się krótko zebrane przez WP. Szczerbowskiego w wydanym przez J. Szczerbowskiego Skorowidzu leśnym na 1907, str. 67—110. W zakresie taryf kolejowych są dosyć częste drobniejsze lub większe zmiany wskutek żądań interesowanych.

[1]) Zdarzają się i w G. Zachodniej takie gospodarstwa leśne, w których wyróbka na rębach daje blizko 90% drz. materyałowego np. lasy krzeszowickie i jaworznieńskie.

na drzewo w całości ponosi konsumcya niemiecka; nie traci na nim nasza produkcya leśna, a zyskuje niemiecka. Zaznaczyć należy, że od roku 1905 ulgi taryfowe, które zdołał sobie uzyskać eksport galicyjskiego i bukowińskiego drzewa tartego do Niemiec ministerstwo kolejowe stara się stopniowo zmniejszać, pozwalając kolejom prywatnym, należącym do tak zw. Elbumschlagsverkehr, odmawiać t. zw. przerachowania a nawet zapowiadając podwyższenie stawek w tej relacyi, przez coby eksport z Galicyi wprost do Niemiec przez Śląsk pruski został skierowany. Reprezentacya we Lwowie i Wiedniu ostro przeciw temu występują, jak dotąd z powodzeniem.

HUMOR.

Do pewnego pijaka, który wszystko co miał przepił, zakradł się w nocy złodziej. Pijak usłyszawszy, że w drugiej komorze złodziej szuka, coby miał ukraść, wyszedł do niego i powiedział; „mój kochany, nie wiem czego ty w nocy szukasz, kiedy ja we dnie nic tu znaleźć nie mogę“. Dawno to już powiada przysłowie:

Resztki w domu miewa,
Kto rad w karczmie bywa.

Młody pan zajechał na noc do lichej oberży, gdzie arendarz ciekawy między innemi pytaniami i o to zapytał, dokąd i w jakim celu podejmuje pan podróże. Gość przybyły jako człowiek otwarty, nie taił powodu swej wycieczki, ale wprost powiedział: „jadę w świat szukać rozumu!“ Żyd przebiegły pomyślał sobie: „kiedy ty w świecie szukasz rozumu, to ty musisz mieć pieniądze“. Ale i gościowi ciekawość żydowska wcale się nie podobała, także pomyślał sobie: „ty widzę chcesz mię rozumu nauczyć, ale ci się nie uda“. Po skromnej bardzo wieczerzy, gość rozpasawszy z siebie duży trzos z pieniądzmi rzucił na stół, sam zaś położył się na słomę zaraz koło stołu i udał śpiącego. Żyd z alkierza patrzał bardzo uważnie, gdzie był trzos położony i zgasił światło na pewne. Gość tymczasem cichutko ściągnął trzos ze stołu ku sobie i począł tęgo chrapać. Żyd sądząc, że dobrze zasnął, na palcach wysunął się z alkierza i dalejże do stołu, maca naokoło, lecz trzosa nie było. Gdy się oddalił żyd, gość po cichu znowu trzos na stół położył. Żyd krzesze ognia, rozpalił świeczkę i patrzy, trzos leży na swojem miejscu. Zgasił tedy świeczkę, a tymczasem gość znowu ściągnął trzos ku sobie i lepiej jeszcze chrapał. Żyd na palcach znowu lezie po trzos, maca, nie ma trzosa, wyłazi na stół, niema. Wraca do alkierza i znowu krzesze, a tymczasem gość znowu trzos wystawił na stół. Żyd rozpalił świecę i patrzy, trzos leży na stole. Dmuchnął na świecę i zgasił, a tymczasem gość pociągnął trzos ku sobie. Idzie żyd po raz trzeci, maca, nie ma trzosa. Domyślił się przecie, że to są figle gościa i pod nosem tylko powiedział: „Rich an taty aran, di szwarc jur“ i spać się położył. Rano tedy wstał ów podróżny, przypasał trzos jakby nic nie zaszło, zapytał o rachunek żyda, który wyszedłszy do niego z alkierzyka tak powiedział: „Ny! po co pan jedzie w świat szukać rozumu? Pan go już masz!“

Pani i mleczarka.

— Kobieto, cóżeście mi dali czystą wodę?

— Przepraszam panią, zapomniałam dolać mleka.

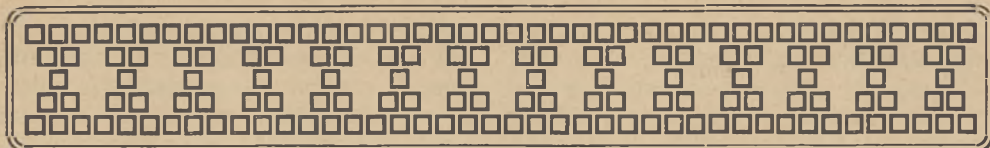

Policzmy się Polacy!

Po co — zapytasz czytelniku — te spisy ludności co lat kilka? — to wymysł biurokratów, którzy są za to płatni i rzeczywistej roboty nie mają. Czyż tak? Wszak obliczamy bogactwo, t. j. pieniądze, bydło, towary, domy i nikt spierać się nie będzie, że tu rachunek jest potrzebny. A człowiek, ten cel wszelkiej działalności gospodarczej, ten najważniejszy materyał, bez którego nie byłoby ani bogactwa, ani kultury, pozostać by miał nieznanym co do swej liczby?

Każdy naród stara się w czasach obecnych zdobyć dokładną znajomość liczby składających go jednostek, bo wtedy dopiero ma miarę swojej siły, i ocenić może, na co go stać, jako wytwórcę i spożywcę. Człowiek zmaga się z naturą, zabiera jej skarby, ujarzmia siły. Człowiek tworzy kulturę i jej dobra, a zatem to, co pokolenia dawniejsze przekazały mu jako swój dorobek w budynkach, uprawie pól, w ulepszeniach gruntowych, w prawodawstwie, w książkach jako prawdy naukowe, w dziełach poezyi i sztuki, w środkach komunikacyi i innych urządzeniach. Pokolenia ludzkie przemijają, co żyje, umrzeć musi. Ale każde pokolenie otrzymuje po przodkach dorobek kultury i obowiązkiem jego jest do tego dorobku własne dodać zdobycze, nie zmarnotrawić, ale pomnożyć dobra — zdobyć nowe prawdy. Tak wytwarza się kultura ludzkości; tej zbiorowej istoty, która była w przeszłości i przed którą jest długa przyszłość wtedy, gdy nasze pokolenie dawno już zaginie. Zaginie jako żyjące istoty, ale pamięć o niem długo trwać będzie, jeżeli wielkim będzie jego kulturalny dorobek.

Podobnie jest i z narodem. Naród ma swoje okresy rozkwitu i upadku, ale naród nie ginie, a stanowią go przedewszystkiem ludzie, przyznający się do narodowości. Polskę wielekroć starano się wymazać z karty Europy, a Polaków wcielić do innych narodości. Lecz chociaż upadło państwo polskie, istnieje polskie społeczeństwo. Czuje się ono całością, narodem, posiada wspólną przeszłość historyczną, wspólne interesa na dziś i przyszłość, w którą wierzy i którą jak najprędzej osiągnąć pragnie.

Wynika stąd, że społeczeństwo polskie znać chce liczbę składających je członków, rozsiedlenie ich, to jest miejsce zamieszkania i stosunki współżycia z innemi narodowościami, z któremi dzieli ziemię i styka się w stosunkach życiowych. I stąd powstaje hasło: policzmy się!

Poznajmy liczbę żyjących na ziemiach trzech zaborów Polski i na terytoryum dawniejszego państwa pol-

skiego Polaków, rozejrzyjmy się, ilu nas mieszka za oceanem, w nowej Polsce, ilu jest rozprószonych wśród państw innych, a dopiero poznamy naszą siłę i przewidywać możemy przyszłość.

Dokładne i ścisłe obliczenie ludności polskiej jest nietylko trudnem, ale nawet niemożebnem zadaniem. Wrogie nam państwa przy spisach ludności podawać się starają jak najniższe cyfry osób polskiej narodowości. Sami przed sobą obawiają się ujawnić naszą liczebność i siły, bo tem wyraźniej wystąpiłaby przemoc i gwałt zadawany polskiej narodowości. Siła odpiera się siłą, niechże zatem Polacy nie znają swej siły, t. j. swej liczebności. I oto w państwie rosyjskiem spis ludności z 1897 r. podał całą ludność prawosławną w gubernii Lubelskiej i Siedleckiej jako Rosyan, jakkolwiek wiadomem jest, że byli to Polacy Unici, których nahajką zaganiano do cerkwi, srogiemi karami grożono za przyznanie się do polskiej narodowości i odbierano dzieci, gdy je ochrzcić chcieli w kościele katolickim. Tymczasem kiedy podczas krótkich dni rewolucyi rosyjskiej, wydano w 1905 r. ukaz tolerancyjny, dozwalający wolność sumienia i wiarę, w ciągu lat paru liczba Polaków w tych guberniach, t. j. katolików polskiej narodowości zwiększyła się o 87 tysięcy.

Polska narodowość i katolicyzm nie są tem samem. Błędem byłoby wyłączać zeń ludzi innej wiary, którzy mieszkając na jednej z nami ziemi do polskości się przyznają. Błąd ten mści się na nas, jako zubożenie polskiego narodu, wielekroć bowiem zaniedbujemy okolice polskie, dlatego iż zamieszkująca je ludność należy do protestanckiego wyznania. Tak utraciliśmy blisko ćwierć miliona polskich mazurów ewangelików, zamieszkałych w Prusach wschodnich, którzy stali się zagorzałymi prusakami, ponieważ Polacy w zaborze pruskim nie zwracali się do nich, nie przysyłali im książek polskich, nie starali się z nimi obcować, a niemieccy piastunowie kultury nie omieszkali z tego skorzystać i wmówić w nich, że są Niemcami.

Narodowość nie jest również związana z raz ustalonym terenem, to jest posiadaną ziemią. Przekonywa nas o tem naród żydowski, który od wielu wieków rozprószony wśród narodów obcoplemiennych, nie zatracił przecież cech swoich i dziś coraz wyraźniej wyodrębnia się i narodowość żydowską chce stanowić. Dla nas, wśród których zamieszkują tak liczne masy żydowskie, jest to klęską. Nie zmusimy ich jednak siłą do przyjęcia polskiej narodowości, ale wciągnąć musimy do całkowitego z nami współżycia i zagrzać do celów polskich tych, którzy pomimo żydowskiego pochodzenia czują i myślą po polsku. Inni, którzy nie chcą żyć z nami, ale kosztem naszym i wyzyskiem współobywateli, niechże szukają własnej ojczyzny! Narody tracą dawne terytorya i pozyskuja nowe. Strata rdzennie polskiego kraju jest narodowem nieszczęściem i dla tego bronić musimy ziemi nietylko jako jednostki i właściciele jej, ale jako naród. Bronimy też tej ziemi, z którą zrosło się całe istnienie nasze, a najuporczywiej w zaborze pruskim, gdzie Niemcy wszystkiemi siłami, jakie daje państwo, chcą nam ją wydrzeć. Pozyskaliśmy jednak nową Polskę w Ameryce południowej i północnej, gdzie osiedliły się już miliony ludu polskiego i gdzie wolna rzeczpospolita przyznaje im jednakowe z resztą współobywateli prawa.

Ściśle z narodem łączy się jego język. Istnieją wprawdzie Polacy, którzy do narodowości naszej się przyznają, jakkolwiek zapomnieli już języka przodków, ale to rzadkie wyjątki. Natomiast trudno za Polaków uważać tych, co, zapewniając o miłości swej dla ojczyzny, własnych dzieci nie nauczyli polskiej mowy. Język bowiem

to cudowne narzędzie wyrazu, myśli i uczuć, to materyał, w którym wyśpiewali poeci swoje dzieła, prawodawcy układają prawa. Cała kultura narodu łączy się z jego językiem, im jest bogatszą, tem bardziej giętką, obfitą w wyrażenia, tem prostszą i jaśniejszą w budowie będzie mowa narodu.

Nam Polakom tłomaczyć nie trzeba, że naród i państwo to różne pojęcia. Pozbawieni państwa od lat stu przeszło czujemy się jednolitym narodem, nie podupadamy na siłach, ale krzepimy się wołając:

Hej ramię do ramienia!

Państwo jednak jest niezbędnym organem dla każdego narodu. Kto je utracił, starać się musi o jego odbudowanie i dlatego dążyć musimy do zdobycia niepodległego i jednolitego państwa polskiego.

I oto cel najważniejszy, dla którego obliczyć trzeba, ilu jest Polaków, to jest ludzi czujących i mówiących po polsku i przyznających się do polskiej narodowości. Poczucie i chęć należenia do narodowości, to najważniejsza i najogólniejsza jej cecha. Uważać możemy za Polaka tylko tego, kto się do polskiej przyznaje narodowości.

Statystyka, t. j. liczenie ludności uważać przecież musi cechy zewnętrzne i dlatego liczy ludność podług języka, religii, miejsca zamieszkania. Z cyfr, jakie spisy państw władających Polską podają, odbudować musimy liczebność naszego narodu.

Zadanie to ułatwi nam wydana w roku bieżącym książka o liczebności i rozsiedleniu ludności polskiej *). Jak już zauważyłam, nie można podać całkiem ścisłego obliczenia, ale ponieważ statystyka niemiecka, rosyjska, a nawet austryacka, choć najmniej nam wroga, obniżyć by chciały znaczenie żywiołu polskiego, cyfry Polaków nie wypadną większe od rzeczywistych. Raczej zwiększyć niż zmniejszać by je należało.

Do Prus należy z dawnego państwa polskiego koło 54.300 kilometrów kwadratowych z ludnością prawie trzy i pół miliona głów. W wielkiem księstwie Poznańskiem Polaków zamieszkuje 1,723.000, to jest prawie połowa ogólnej liczby mieszkańców, w Prusach zachodnich 555.000, na Górnym Śląsku 1 milion 168 tysięcy. Dokoła miasta Poznania i w niektórych powiatach jak Odolanów, Ostrzeszów, Opole, Środa, Pleszew, Września i inne ludność polska jest tak liczną, że na każdych 100 mieszkańców liczą 80 do 90 dusz polskich. Wróg nawet przyznać musi, że kraj taki jest rdzennie polskim, a jednak przypominają sobie zapewne czytelnicy, jak mordowano i katowano dzieci polskie we Wrześni za to, że chciały mówić po polsku pacierz! Ludność polska mieszka tu w zwartej masie na wsi, w miastach, jak w Poznaniu zmięszana jest do połowy z niemiecką, czasem jak w Gnieźnie, w Starogrodzie, stanowi znaczną większość. Liczniejszymi są przecież miasta, w których mieszka dużo więcej Niemców niż Polaków. Do takich należy Gdańsk i Malborg. Miasta te jakkolwiek należały do Polski, nie były jednak nigdy polskiemi.

Niemcy w Poznańskiem i Prusach Zachodnich stanowią w ogóle żywioł późniejszy: są to koloniści, którzy do Wielkopolski napłynęli za czasów krzyżackich, i potem za panowania królów polskich. Liczni koloniści wtargnęli do ziem polskich po pierwszym rozbiorze Polski, a zatem po r. 1772. Zwarte masy polskiej ludności zamieszkują również na Śląsku i w Prusach wschodnich, gdzie zowią ich Mazurami. Na Śląsku liczą Polaków milion 173 tysiące, zamieszkałych głównie w okręgu otaczającym miasto Opole. Tylko

*) Etnograficzno - statystyczny Zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej. Opracował Edward Czyński przy współpracownictwie T. Tillingera. Warszawa.

lud wiejski zachował swą polską narodowość; miasta i większa własność są przeważnie niemieckie. Lud ten jakkolwiek zawsze mówił po polsku, dopiero od lat 30 budzi się do polskości, dzięki uświadomieniu i pracy nad nim. Wymienić tu trzeba nazwisko Karola Miarki, niezmordowanego agitatora i pisarza ludowego. Mazury w Prusach wschodnich w liczbie 312 tysięcy tylko z języka są Polakami, uczuciem są Polsce obcy. Poza tem do Polaków zaliczyło się 4.907 żydów, t. j. mała garstka z pośród izraelitów, którzy w liczbie stu z górą tysięcy zamieszkują prowincye polskie Prus. Żydów-polaków niewątpliwie za dobrych polskich obywateli uważać powinniśmy, bo interes ciągnął ich ku Niemcom, a tylko przekonanie ku Polsce.

W zwartych masach, na ziemiach należących do dawnej Polski, jakkolwiek w różnych czasach od niej oderwanych zamieszkuje przeto Polaków 3,241.249. Rozprószonych w innych prowincyach Prus 268.192. W innych państwach Niemiec 28.427. Razem Polaków w Państwie niemieckiem 3,510.868, t. j. 3 milony 510 tysięcy 868.

Najliczniejszą kolonią w Prusach na samym zachodzie stanowią Polacy w Westfalii. Liczą ich tu 111 tysięcy przeważnie robotników w kopalniach i fabrykach, gdzie korzystają z ich pracy, trzymają jako pracowite ręce robocze, ale utrudniają wszelkimi sposobami byt i odrębność narodową. Zakazy polskich stowarzyszeń, polskich przemówień sypią się jak z rękawa. Bywają w ostatnich czasach nieme zgromadzenia i wiece. Trudno uwierzyć, a przecież tak bywa. Po niemiecku nie chcą, po polsku nie wolno. Drukować po polsku jeszcze wolno w państwie siły i bojaźni bożej, jak sami siebie nazywają prusacy, przewodniczący rozdaje przeto drukowane uchwały, a zgromadzeni czytają i uchwalają przez podniesienie rąk.

Czy to jednak tylko w Prusach zmuszono nas do publicznego milczenia? Sięgnijmy o 12 lat wstecz. Przy odsłonięciu pomnika, zbudowanego przez rodaków Adamowi Mickiewiczowi w Warszawie, milczał wielotysięczny tłum, bo przemówień polskich wzbroniono. Tylko skupione uczucie bólu na twarzach i tylko rzucane pod stopy pomnika kwiaty mówiły o tem, co się w sercach działo. A przecież Polacy są ruchliwym i wymownym narodem i wielekroć już zasłynęli krasomówstwem.

Przechodzę do Galicyi, jako kraju rdzennie polskiego w swej części zachodniej. Dzisiejsza Galicya, dawna Małopolska i dziś Ruś Czerwona w obszarze 75 i pół tysięcy kilometrów kwadratowych z ludnością 7 i pół miliona zostaje pod berłem Austryi. Mieszkańców stanowią obok Polaków Rusini i Żydzi.

Rusinów rozsiedlonych głównie w Galicyi wschodniej, liczą 3 miliony. Główna ich masa zamieszkuje na wsi, uprawia rolę. Ludność żydowska w liczbie koło 811 tysięcy, stanowi dziewiątą część całej ludności. W miastach a zwłaszcza w miasteczkach stanowią żydzi daleko wyższe odsetki mieszkańców, często więcej niż połowę. Natomiast w niektórych wiejskich powiatach liczba żydów stale się obniża ze względu na handel, przechodzący do sklepików spółkowych Tow. Kółek rolniczych, a dzięki rozpowszechnieniu się spółek pożyczkowo-oszczędnościowych, ustała lichwa, brak im zarobku. Ponieważ statystyka austryacka nie uwzględnia narodowości żydowskiej; trzy czwarte żydów zapisani zostali jako Polacy. Jest to niewątpliwie za wysoka cyfra, na którą sami żydzi zgodzić by się nie chcieli. Wraz z żydami liczymy w Galicyi prawie 4 miliony Polaków, bez żydów zaś 3 miliony 351 i pół tysięcy.

Rozpatrując rozsiedlenie Polaków w Galicyi, musimy mieć na względzie podział na miasta i wsie, oraz na Ga-

licyę zachodnią i wschodnią. Po miastach ogromna większość ludności używa polskiego języka nietylko na zachodzie kraju, ale nawet we Lwowie (76 osób na 100). Rusini jako ludność chłopska, przeważnie trzymają się zdala od miast wielkich. Pozatem żydzi, jakkolwiek w mowie potocznej używają żargonu, zapisują się w miastach Galicyi zachodniej i środkowej, jako Polacy, we wschodniej Galicyi uchodzą żydzi przeważnie za Polaków, rzadziej za Rusinów lub Niemców. Porównywując zachód i wschód Galicyi, widzimy olbrzymie różnice pod względem narodowościowym. Na zachodzie rozsiadła się ludność polska tak zwartą masą, że naliczyć można aż 46 okręgów, w których na 100 mieszkańców liczą przeszło 90 Polaków. Tak czysto polskich powiatów niema w żadnej innej dzielnicy Polski. Polskiego charakteru tego kraju nikt zaprzeczyć nie może.

Inaczej jest w Galicyi wschodniej. Rusini zaledwo w 2 powiatach mają równie silną większość narodową. W innych są pomięszani z Polakami, których w całej Galicyi wschodniej liczą koło miliona. Przy dzisiejszym ostrym zatargu narodowym między Polakami a Rusinami, sprawa współżycia jednych z drugimi stała się bardzo trudną i drażliwą. Rozciąć jednak tego węzła przez podział Galicyi na zachodnią i wschodnią niepodobna. Polacy bowiem mają nietylko prawa historyczne do wschodniej Galicyi, jako dawni panowie tego kraju i szczepiciele kultury, ale jako liczna masa ludności, która nie chce być wydziedziczoną i na własnej ziemi czuć się w obcym kraju, który mógłby ich traktować jako przybyszów. Stanowią oni we wschodniej Galicyi czwartą część ludności, we Lwowie więcej niż połowę, a w każdem miasteczku bardzo poważną mają mniejszość.

Znaczna masa ludności polskiej, bo 220 i pół tysięcy mieszka na Ślązku austryackim, którego powiaty graniczące z Galicyą są niemal czysto polskie. Stykają się tam Polacy z Czechami i Niemcami i krzywdzeni są wielekroć pod względem szkół polskich, ludowych i średnich, przedstawicieli w parlamencie ponieważ mniej są oświeceni i nie umieją się bronić. Koło 60 tysięcy Polaków mieszka na Bukowinie i w innych krajach Austryi.

Pod panowaniem austryackiem żyje tedy przeszło cztery miliony Polaków.

Ogół zajętych przez Rosyę prowincyi dawnego państwa polskiego wynosi do 600 tysięcy kilometrów kwadratowych. Najwcześniej dostała się Rosyi Ukraina za Dnieprem, t. j. dzisiejsza gubernia Połtawska i Czernichowska, miasto Kijów i gub. Smoleńska. Potem rozbiory i traktaty oddawały w ręce carów coraz nowe części kraju zachodniego, a Królestwo polskie znajduje się pod panowaniem Rosyi od 1815 r.

Tylko Królestwo jest krajem polskim, gdzie żywioł narodowy zachował się równie potężnie, jak w Galicyi. Na 11 i pół milionów ludności liczono w Królestwie w 1907 r. około 8 i pół milionów Polaków, to znaczy, że wśród każdej setki mieszkańców 74 polskiej było narodowości. Oprócz Polaków znajdują się w gub. Suwalskiej na północy Królestwa Białorusini i Litwini, w gub. Siedleckiej i Lubelskiej Małorusini razem koło 400 tysięcy, zdawna zamieszkali w tych ziemiach. Ważną część ludności stanowią żydzi z górą półtora miliona, zamieszkujący podobnie jak w Galicyi głównie po miastach i miasteczkach.

Liczną ludnością napływową są Niemcy, przeszło pół miliona, zamieszkali jako koloniści po wsiach, oraz jako fabrykanci i ludność fabryczna, głównie w Łodzi i jej okolicy, oraz Rosyanie.

Nie wyobrażajmy sobie przecież, aby najazd Rosyan był liczny. Rosya

ma w Polsce urzędników wszelkiego rodzaju, trochę kupców, nielicznych właścicieli ziemskich. Wszyscy stanowią grupę 130 tysięcy. W porównaniu z całą ludnością kraju grupa to niewielka, poza nią stoi wojsko. Polacy mają większość w 73 powiatach, pozostałych 12 rozmieściło się w już wymienionych guberniach Suwalskiej, Lubelskiej i Siedleckiej, gdzie w zwartych grupach zamieszkują Litwini, Białorusini i Małorusini. Największe przeto skupienie ludności polskiej stanowi Królestwo, a dodać doń trzeba także milion Polaków w kraju tak zwanym Zachodnim, to jest na Litwie i Rusi, które wchodziły w skład dawnego państwa polskiego. W państwie rosyjskiem poza tem terytoryum mieszka jeszcze 206 tysięcy Polaków, a 71 tysięcy służy w wojsku. Jednych i drugich wygnała tu konieczność. Nie znajdując w kraju posad, przenoszą się wielekroć Polacy do Rosyi. Na uniwersytetach rosyjskich studyuje polska młodzież, a pobranych do wojska Polaków starają się rozmieścić w odległych guberniach cesarstwa. Niemałą jest również liczba Polaków na Syberyi (koło 27 tysięcy), którą nieinaczej wyjaśnić można, jak liczbą zesłańców, głównie politycznych, którzy wielekroć przebywszy długie lata na wygnaniu, osiedlają się tu na stałe *).

Dodając wszystkich Polaków, zamieszkałych w Europie, dochodzimy do cyfr następujących: na terytoryum dawnego państwa polskiego 15 i pół miliona. Rozprószonych w Niemczech, Austryi i Rosyi 725 tysięcy. Na Śląsku, na Spiżu, na Mazurach 1965 tysięcy. Czyli razem przeszło 18 milionów.

Stać nas przeto na państwo średniej wielkości. Do cyfry europejskiej dodać jeszcze należy kolonie polskie w Ameryce. Od lat już 50 emigracya ludu polskiego tworzy w Stanach Zjednoszonych Ameryki północnej, potem w Kanadzie i w Brazylii kolonie zwarte bądź po wsiach, bądź w miastach. Koloniści twardo obstają przy swej narodowości i tworzą w nowej części świata drugą Polskę. Obliczyć to wychodźtwo, któremu każdy rok przynosi dziesiątki tysięcy nowego zaciągu, nie jest łatwem. Spisy urzędowe nie zaliczają do Polaków dzieci urodzonych w Ameryce, a wielu emigrantów zamiast narodowości polskiej podaje, iż są z Rosyi, Austryi lub Prus. To też kiedy spis urzędowy naliczył 380 tysięcy Polaków w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, to polscy autorowie dochodzą do 2 milionów i wyżej. Cyfry wychodźców do Brazylii i Kanady mniej jeszcze są znane. P. Czyński radzi przyjąć cyfrę zamieszkałych w Ameryce Polaków na 2 miliony.

Podniosłoby to naszą cyfrę do 20 milionów Polaków.

Jesteśmy zatem 20-milionowym narodem, my tułacze, którym odmawiają prawa do własnej ziemi. Ludność nasza liczniejsza niż całego szeregu krajów niezawisłych, ani kwitnąca Szwajcarya, ani Belgia, czy Holandya, ani wszystkie trzy kraje skandynawskie razem nie dorównywają nam liczbą ludności. A jednak każdy z nich z osobna przewyższa Polskę zamożnością i oświatą. Upokarza to i boli, ale jest prawdą, do której przyznać się musimy. Zastanawiając się nad tem zjawiskiem, dochodzimy do wniosku, że sama liczba mieszkańców nie stanowi o potędze kraju, nie daje mu miejsca wśród ludów innych zaszczytnego.

Każdy z krajów, które tu wymieniłam, ma lud więcej oświecony od naszego, lud który od dziesiątków i setek lat, jak w Szwajcaryi nigdy nie znał niewoli i pańszczyzny. Wytworzyły się przeto w tych krajach społeczeństwa, w których nie rządzi garść oświeconych i zamożnych masą bezmyślną i ciemną, ale gdzie cała lu-

*) Pod rządami srogiego cara mieszka tedy obecnie do 10 milionów Polaków. Skoro włączymy część żydów, chcących zaliczyć się do naszego narodu.

dność czuje się odpowiedzialną za swe czyny. W krajach wymienionych nie ma analfabetów, szkoła jest powszechną, robotnik zorganizowany, a włościanin czuje się równym wielkiemu właścicielowi kolonistą. Umieją też one nakazać dla siebie szacunek i pomimo drobnej ludności utrzymać niepodległość.

Nasz kraj nieszczęśliwy, zrujnowany gospodarką szlachecką, odrodzić się jednak może. Już dziś znać postęp, odkąd przebudziły się masy ludowe. One to stanowią owe miliony, na których oprzeć się może przyszłość.

Masy te to nietylko przyszli bojownicy za wolność i niepodległość, ale przedewszystkiem ludzie, wśród których powstać musi prawdziwa polska kultura. Liczba da im powagę, z którą wrogowie liczyć się będą, skoro chłop i robotnik polski nietylko przedstawią ręce robocze, korzystne dla innych narodów jako narzędzia ich zbogacenia, ale serca i głowy.

Dr. Z. Daszyńska-Golińska.

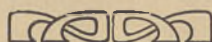

„NA GODY“.

Pokiwali matuś głową,
Popłakali mało wiele,
Dali czapkę barankową,
Tatusiową kamizele...
Dali łapcie z łyka szyte,
Za pazuchę kromkę chleba
— Idźże, Jaśku w świat szeroki,
Na wschód słonka, na wschód nieba...
Jeszczećbym ci w chacie rada,
Zbierzesz chróstu, dźwigniesz wody,
A no kiedyż ci do ludzi,
Jak nie teraz, nie na gody?...
A godź-że się w dobrą chwilę,
W dobrą chwilę i godzinę,
Po wszelakiej należności,
Choć za zgrzebną koszulinę...
A zgódź-że się u bogacza,
W dobre słowo, w dobrą wiarę,
Jak przesłużysz co się patrzy,
Da ci może buty stare...
A nie wracaj do chałupy,
Aż wyrośniesz mi z pastucha,
Aż wysłużysz na grzbiecinę
Siaki taki szmat kożucha...
A i długoż mi, matusiu,
Na te buty służyć w świecie?
— Aż cię, synku, bieda zgryzie,
Aż cię praca w dół przygniecie.
A i długoż mi, mateńko,
Na ten kożuch służyć trzeba?
Aż cię Pan Bóg dojrzy, synku,
Z wysokiego swego nieba —
Idzie Jasiek po ścieżynie
Co się spojrzy, to ją minie,
Co się spojrzy, to się smuci
Albo pójdzie, albo wróci...
Stara wierzba, jakby żywa,
Gałęziami za nim kiwa
Czegoś skrzypi, czegoś biada
Dziw do niego nie zagada...
Oj! nie użył Jasiek w chacie,
Ani wczasu, ni swobody...
— Ano — kiedyż mu do ludzi,
Jak nie teraz, nie na gody?...

Marya Konopnicka.

O SPISIE LUDNOŚCI.

I.

Prof. Dr. JÓZEF BUZEK, poseł do Rady państwa.

Uwagi o spisie.

I.

Co to jest spis ludności i znaczenie spisu w ogólności.

Podstawą spisu ludności są arkusze spisowe, t. j. arkusze, w które każda osoba, żyjąca w dniu 31 grudnia 1910 roku, musi być zapisaną i w których dla każdej tej osoby musi być zapisaną jej płeć, jej wiek, jej miejsce urodzenia (gmina i powiat, w którym się urodziła), jej przynależność (gmina, do której ma prawo swojszczyzny), jej wyznanie, jej stan familijny (czy stanu wolnego, czy żonaty, czy też wdowiec lub rozwiedziony i t. p.), jej język towarzyski, jej zawód główny i zarobek uboczny, dalej, czy umie czytać i pisać, czy też tylko czytać, czy nie jest może ślepą lub głucho-niemą, czy posiada grunta rolnicze lub też tylko dom z ogródkiem, od którego roku w gminie, w której jest obecną, już przebywa i t. d. Liczba wszystkich osób, wpisanych w arkusze spisowe w danej gminie, daje ogólną liczbę mieszkańców tej gminy, liczba wszystkich osób, wpisanych w arkusze spisowe w Galicyi, daje ogólną liczbę ludności Galicyi i t. d. Na podstawie dalszych zapisów w arkuszach spisowych oblicza się dalej, ile z tej ludności jest płci męskiej, a ile płci żeńskiej, ile jest wyznania rzymsko-katolickiego, ile grecko-katolickiego, ile izraelickiego, ile ewangelickiego i t. d., ile używa języka polskiego, jako swego języka towarzyskiego, a ile języka ruskiego, niemieckiego i t. d., ile żyje z rolnictwa, a ile z górnictwa lub hutnictwa, z różnych rodzajów przemysłu, handlu i t. d. Już z tego wynika, iż spis ludności jest najważniejszą podstawą naszej znajomości stosunków społecznych, narodowych i gospodarczych kraju.

II.

Znaczenie narodowe spisu ludności.

Począwszy od r. 1880 spisuje się w arkuszach spisowych także język towarzyski każdej osoby, będącej obywatelem państwa austryackiego, od tego roku posiada też spis ludności wybitne znaczenie narodowe.

Przedewszystkiem mierzy się w świecie politycznym siły każdego narodu, w pierwszym względzie jego siłą liczebną i jego uświadomieniem narodowem, dopiero na drugiem miejscu zaś jego oświatą, zamożnością, jego siłą roboczą i t. d. Jeżeli więc spis ludności wykaże, iż liczba członków pewnego narodu szybko rośnie, to jest to dowodem jego żywotności i jego siły, a naród taki zyskuje coraz to więcej znaczenia, jeśli zaś liczba ta się cofa lub przynajmniej nie wzrasta, to zalicza się naród taki do narodów kostniejących, bo wymierających. Co się tyczy narodu polskiego w Austryi, to dotychczasowe spisy ludności dały dla nas obraz na ogół pomyślny. I tak liczono w całej Austryi w 1880 r. 3,238.534 Polaków, w 1890 r. 3,719.232, w r. 1900 zaś 4,252.384, w ciągu 20 lat wzrosła więc liczba ludności polskiej w Austryi o przeszło milion. Podczas kiedy w r. 1880 stanowiliśmy w Austryi tylko siódmą część (14·8%) ludności całego państwa, to w r. 1900 stanowiliśmy już jedną s z ó s t ą (16·6%). Rozwój ten korzystny należy przypisać — oprócz silnej płodności ludności polskiej — przedewszystkiem wzrostowi uświadomienia narodowego ludności naszej w Galicyi wschodniej i na Śląsku austryackim. I tak należy pamiętać, iż w Galicyi wschodniej wykazano w r. 1880 około 100.000 rzymskich katolików, którzy podali się za Rusinów; w roku 1900 natomiast żyło w Galicyi wschodniej 1,137.558 rzymskich katolików, z tego podało się za Rusinów conajmniej 36.000, a więc o 64.000 mniej. Podobnie ma się rzecz i na Śląsku austryackim, tutaj naliczono Polaków w r. 1880 tylko 154.887, w 1890 r. 178.114, w r. 1900 nareszcie 220.472, t. j. o 65.585 więcej, niż w r. 1880. Rezultat ten był możliwym tylko wskutek tego, iż pewna część ludności rdzennie polskiej, która dawniej nie była pod względem narodowym uświadomioną, podała się w r. 1880 za Niemców lub Czechów, podczas gdy w r. 1900 przyznała się do swojej narodowości polskiej. Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, iż już cała ludność polska była w r. 1900 narodowości swej tak świadomą, iż już wszyscy Polacy, jako tacy, zostali w spisie zapisani, rzeczywistość bowiem mówi co innego. I tak np. naliczono w r. 1900 w powiecie frysztackim 17.999 osób, urodzonych w powiatach polskich Galicyi, a więc niewątpliwie Polaków, przebywających dopiero od niedawna w tym powiecie. Z tych 17.999 osób zaliczał spis do narodowości polskiej 14.082, do narodowości czeskiej aż 2.900, do narodowości niemieckiej aż 884, do innych narodowości 133. Rezultat, tak niedorzeczny, dowodzi z jednej strony, iż ludność nasza nie jest jeszcze dostatecznie uświadomioną narodowo, z drugiej strony dowodzi zaś, iż czescy i niemieccy komisarze spisowi zapisywali często Polaków, nawet wbrew ich woli, za Czechów, a względnie Niemców. Sądząc z przygotowań, jakie na Śląsku Niemcy i Czesi co do spisu ludności w gminach polskich lub polsko-czeskich czynią, powtórzy się ta sama presya, to samo sztuczne fabrykowanie Niemców i Czechów przy nadchodzącym spisie ludności na daleko większą skalę i może nam wyrządzić bardzo poważne szkody; takie same przygotowania zaś czynią w Galicyi wschodniej Ukraińcy. A należy zaznaczyć, iż fatalny wynik spisu w pewnej gminie może mieć dla ludności polskiej tej gminy skutki jak najfatalniejsze. Od roku 1880 wydaje Centralna komisya statystyczna w Wiedniu dla każdego kraju szematyzm gmin, wykazujący dla każdej gminy wyznanie i język ludności tej gminy. Daty, zawarte w tym szematyzmie, są dla władz na ogół wskazówką, jak każdą gminę pod względem narodowym traktować należy (sprawa języka wy-

kładowego w szkołach, języka na różnych ogłoszeniach, pismach i drukach urzędowych i t. p.), mniejszość lub nawet większość polska w gminie, która przy spisie ludności wskutek własnego zaniedbania lub nadużyć ze strony komisarzy spisowych została do innej narodowości przypisaną, naraża się na to, iż straci swe prawa narodowe, albo też, iż walka o te prawa będzie dla niej znacznie cięższą, niż by nią była, gdyby spis był wypadł odpowiednio. Dlatego to Czesi np. nie szczędzą nawet wielkich ofiar pieniężnych, by przeprowadzić w gminach niepewnych spis po swej myśli, bardzo często przeprowadzają nawet dla kontroli spisu urzędowego swój spis prywatny ludności, zakładając sobie rejestr swej ludności w każdej gminie zagrożonej.

I z naszej strony są przygotowania takie konieczne, by odeprzeć należycie zarzuty przeciwników. Przygotowania te muszą polegać na odpowiedniem pouczeniu ludności w gminach spornych (przez zgromadzenia, pisma ulotne i t. p.) i na zorganizowaniu kontroli należytej nad spisem. Rodzaj tej kontroli zależy oczywiście od przepisów ustawy o przeprowadzeniu spisu ludności i dlatego należy nam omówić te przepisy.

III.

Sposób przeprowadzenia spisu ludności.

Spis ludności ma trzy stadya: 1) stadyum spisywania ludności w arkuszach spisowych; 2) stadyum dokonywania pisemnych obliczeń ludności gminy, jej płci, jej wyznania i języka; 3) stadyum dokonywania dalszych obliczeń, więcej szczegółowych, dla całych powiatów, krajów i dla państwa.

1) Spisywanie ludności w arkuszach spisowych następuje w dwojaki sposób:

a) W największych miastach kraju, z ludnością najwięcej oświeconą, wpisuje się ludność do arkuszy spisowych s a m a, każdy właściciel domu otrzymuje z końcem grudnia takie arkusze, 30 grudnia powinien on każdej rodzinie, w domu jego mieszkającej, arkusz taki wręczyć, każdy ojciec, wogóle każdy naczelnik rodziny powinien do arkusza wpisać wszystkie osoby, do rodziny należące i z rodziną razem mieszkające i dla każdej z tych osób zapisać jej płeć, wyznanie, język, wiek, zawód i t. d. i tak wypełniony arkusz powinien zaś dnia 3 stycznia 1911 r. oddać znów właścicielowi kamienicy, w której mieszka. Właściciel kamienicy przegląda te arkusze, jeżeli by nie były należycie wypełnione, zwraca je głowie rodziny do uzupełnienia, względnie jeżeli głowa rodziny nie umie pisać, wypełnia na jego życzenie wszystkie rubryki arkusza, nie ma jednak prawa czynienia poprawek w arkuszu; jeżeli więc sądzi, iż głowa rodziny wpisała dane nieprawdziwe, to powinien to na arkuszu dopisać, by zwrócić uwagę władzy. Należy dodać, iż osoba wzbraniająca się wypełnić arkusz spisowy lub podająca dane nieprawdziwe, naraża się na grzywnę od 2 do 40 koron, względnie na karę aresztu aż do dni czterech. Dnia 5 stycznia 1911 r. musi właściciel kamienicy oddać wszystkie arkusze spisowe ze swego domu do urzędu gminnego, urzędowi temu zaś przysługuje prawo zbadania, czy dane, przez strony wpisane, są prawdziwe, tudzież prawo poprawienia wpisów nieprawdziwych. Zwykle urząd gminny wysyła osobnych funkcyonaryuszy, którzy na wyrywkę kontrolują w pewnych domach prawdziwość uskutecznionych wpisów, żądają więc np. pokazania świadectwa chrztu na dowód, czy strona podała prawdziwie wiek, zgodnie z prawdą, świadectwo przynależności na dowód, czy podała prawdziwie gminę przynależności i t. d. Dodajemy, iż w ten sposób przeprowadzono w Galicyi w r. 1900 spis w następujących 16 mia-

stach: Lwów, Kraków, Przemyśl, Stanisławów, Kołomyja, Tarnopol, Biała, Podgórze, Nowy Sącz, Rzeszów, Jarosław, Stryj, Drohobycz, Złoczów, Brzeżany i Brody, w r. 1910 nie zostanie prawdopodobnie lista tych miast bardzo zmienioną.

b) We wszystkich innych gminach kraju dokonywują wpisów do arkuszy spisowych osobni komisarze spisowi, przez władzę mianowani. Dla każdego domu (nie dla każdej rodziny, jak w poprzednim wypadku) przeznacza się tutaj osobny arkusz spisowy, a arkusz ten wypełnia komisarz spisowy na podstawie zeznań ustnych ojców (względnie innych naczelników) poszczególnych rodzin, w danym domu mieszkających. I tutaj podlega osoba, odmawiająca odpowiedzi na odnośne pytania komisarza spisowego, lub też dająca mu odpowiedzi nieprawdziwe, karze grzywny od 2 do 40 koron, względnie karze aresztu aż do dni czterech. Komisarz spisowy powinien kontrolować prawdziwość zeznań stron, może więc żądać, by przedłożono mu metrykę chrztu, metrykę ślubu, świadectwo przynależności i t. d. Natomiast nie wolno komisarzowi spisowemu wpływać na strony, gdy chodzi o oznaczenie jej języka towarzyskiego, odnośna instrukcya dla komisarza spisowego (por. str. 399 i 400 Dziennika Ustaw Państwa z r. 1910) stanowi bowiem co do tego co następuje:

„Dla każdej osoby, będącej obywatelem austryackim, należy podać język, którego osoba ta w zwykłem pożyciu używa, w każdym razie tylko jeden z następujących języków, a to: niemiecki, czeski lub morawski, lub słowacki, polski, ruski, słowiański, serbsko-kroacki, włoski, helludyński, rumuński, madiarski“.

„By skonstatować, który z tych języków ma być jako język towarzyski danych osób wpisany, powinien komisarz wpisowy, w myśl pouczenia, zawartego w ustępie pierwszym *), wystosować pytanie do głowy rodziny, względnie do osoby, nie żyjącej w związku rodzinnym i powinien unikać jakiegokolwiek wpływania na stronę, odpowiadającą na to pytanie, a taksamo powinien nie stawiać swego pytania w sposób, mogący stronę otumanić“.

„Dla dzieci, które nie umieją jeszcze mówić, tudzież dla osób, które z powodu ułomności cielesnych lub zupełnego zastoju władz umysłowych w rzeczywistości żadnego języka nie używają, należy z języków, powyżej wymienionych, wpisać do arkusza ten język, który ze względu na stosunki rodzinne, względnie ze względu na otoczenie, w którem osoby te żyją, byłby prawdopodobnie językiem towarzyskim tych osób“.

Wszystkie powyższe postanowienia były zawarte także w instrukcyi do spisów poprzednich, doświadczenie jednak wykazało, iż bardzo często postępowali komisarze spisowi wprost przeciwnie. Z tego powodu należy pamiętać, iż za przeprowadzenie spisu jest odpowiedzialną władza polityczna, a więc starostwo (we Lwowie i Krakowie magistrat), do niej należy piecza nad odpowiedniem przeprowadzeniem spisu. Ustawa zawiera co do tego następujące postanowienia:

Komisarza spisowego mianuje z reguły gmina, komisarz ten musi być jednak „osobą nadającą się do przeprowadzenia spisu“, a gmina odpowiada za tego komisarza. Jeżeliby komisarz, przez gminę mianowany, dokonał spisu niedołężnie lub stronniczo, powinno starostwo mianować własnego komisarza, który przeprowadzi spis jeszcze raz, a wszelkie koszta ponownego przeprowadzenia spisu ponosi

*) Pouczenie w ustępie pierwszym mówi, iż komisarz spisowy ma prawo kontrolować prawdziwość zeznań strony; z tego wynika, iż jeżeli strona podała jako swój język, język, którego oczywiście nie rozumie, to komisarz takiej odpowiedzi przyjąć nie powinien.

gmina. Wypadek ten zaszedł naprzykład w r. 1900 w kilku gminach w powiecie frysztackim na Śląsku, gdzie czeskie wydziały gminne mianowały komisarzy spisowych, którzy zapisali setki rodzin polskich w arkuszach spisowych, jako Czechów. Wskutek artykułów „Głosu ludu śląskiego“, wykazujących szczegółowo te nadużycia, skasowało starostwo frysztackie spis w tych gminach i poruczyło ponowne przeprowadzenie spisu swym własnym komisarzom na koszt odnośnych gmin.

Przeprowadzenie spisu powoduje dla gmin dość znaczne koszta (512.609 koron w Galicyi w r. 1900, nie licząc kosztów przez gminy nie wykazanych), ponadto niema bardzo często w gminie człowieka, któryby mógł spełnić odpowiedzialny urząd komisarza spisowego. — By chronić gminy od kosztów, połączonych z ponownem przeprowadzeniem spisu, a nadto, aby oszczędzić ludności wszystkie fatygi, połączone z ponownem przeprowadzeniem spisu, mianują od dawna bardzo często starostwa odrazu własnych komisarzy spisowych. I tak np. przeprowadzili spis ludności w r. 1900 na Bukowinie we wszystkich gminach, z wyjątkiem Czerniowiec, komisarze spisowi, przez starostwo mianowani; w Galicyi nastąpiło to samo w 5.149 gminach, w Czechach w 1.568 gminach, w Rakuzach dolnych w 617 gminach, w Krainie we wszystkich gminach kraju z wyjątkiem 27 gmin i t. d. Doświadczenie wykazało, iż spisy, przeprowadzone przez komisarzy, przez władzę polityczną mianowanych, były daleko więcej skrupulatne i sumiennie opracowane, niż spisy, uskutecznione przez komisarzy, przez gminy mianowanych.

2) Na podstawie należycie wypełnionych arkuszy spisowych oblicza się potem najprzód dla każdego domu w gminie, liczbę osób, w domu tym w chwili spisu (dnia 31 grudnia) obecnej, ile z tych osób było płci męskiej, a ile płci żeńskiej, ile było przynależnych w danej, a ile w innych gminach tego samego powiatu, w innych powiatach tego samego kraju, w innych krajach i zagranicą, ile było wyznania rzymsko-katolickiego, a ile grecko-katolickiego, ile ewangelickiego, izraelickiego i t. d., ile z tych osób używało języka polskiego, a ile ruskiego i niemieckiego i t. d., a nareszcie, ile w tym domu było koni, bydła rogatego, owiec, nierogacizny, pszczół i drobiu. Dane dla wszystkich domów w gminie (względnie miejscowości) sumuje się i otrzymuje się w ten sposób obraz ludności gminnej w chwili spisu według płci, wyznania, języka i przynależności. Dane te posiadają wielkie znaczenie praktyczne, dane te umieszcza się bowiem w urzędowym schematyzmie gmin, daty te tworzą podstawę urzędowania w najróżnorodniejszych sprawach (np. jeżeli chodzi o erekcyę nowego kościoła, a chodzi o oznaczenie liczby dusz parafii, utworzyć się mającej), dlatego też dokonanie tych pierwszych obliczeń jest z zasady rzeczą starostwa (we Lwowie i Krakowie magistratu); tylko wyjątkowo porucza namiestnictwo dokonanie tych obliczeń gminom, rozporządzającym dostatecznie wyszkolonymi funkcyonaryuszami. I tak np. poruczyło namiestnictwo galicyjskie w r. 1900 dokonanie wspomnianych pierwszych obliczeń w całości 162 gminom, z tych było wyliczonych powyżej 16 gmin, w których ludność wypełniała arkusze spisowe sama, a 146 gmin, w których arkusze spisowe wypełniali komisarze, przez gminę mianowani. Dla wszystkich innych gmin kraju dokonały pierwszych obliczeń starostwa, wszystko jedno, czy arkusze spisowe wypełniali w tych gminach komisarze, przez gminę, czy też, jak zwykle, komisarze przez starostwo mianowani. Należy dodać, iż na Śląsku poruczył rząd krajowy w r. 1890 dokonanie pierwszych obliczeń w 217 wypadkach gminom;

Kraj .... Powiat polityczny .... Gmina miejscowa (obszar dworski) .... Osada .... Ulica lub plac ....

ARKUSZ SPISOWY

do obliczenia ludności i najważniejszych zwierząt użytkowych domowych podług stanu z dnia 31 grudnia 1910.

Liczba bieżąca osób składających każdą rodzinę	Nazwisko to jest nazwisko rodzinne, imię (chrzestne) przydomek szlachecki i stopień szlachectwa	Stosunek pokrewieństwa lub inny stosunek do głównego lokatora a względnie do podnajemcy	Płeć		Urodzenia			Miejsce urodzenia, powiat polityczny, kraj	Prawo swojszczyzny (przynależność), gmina miejscowa, powiat polityczny, kraj, przynależność do państwa	Religia	Stan rodzinny, czy wolny, małżeński, wdowi, czy w sądowej separacyi lub czy śluby przez rozwód prawnie rozwiązane zostały. Ostatni szczegół tylko co do niekatolików	Język towarzyski	Umiejętność czytania i pisania		Ułomności fizyczne	
			męska	żeńska	Rok	Miesiąc	Dzień						umie czytać i pisać	umie tylko czytać	niewidomych na oba oczy	głuchoniemych
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17

Zawód, zatrudnienie, zarobkowanie, przemysł, przedsiębiorstwo, sposób do życia, utrzymanie								Posiadłość realna wewnątrz kraju		Dnia 31 grudnia 1910					Miejsce pobytu nieobecnego osada, gmina miejscowa, powiat polityczny, kraj	Uwaga
Zawód główny, na którym opiera się wyłącznie albo przeważnie stanowisko społeczne, utrzymanie albo dochód					Zarobkowanie uboczne, to jest czynności zarobkowe wykonywane ubocznie, ale regularnie obok zawodu głównego, albo przez osoby nie mające zawodu głównego					obecny			nieobecny			
Dokładne oznaczenie gałęzi zawodu głównego	Stanowisko w zawodzie głównym (stosunek posiadania służbowy lub robotniczy)	Oznaczenie przedsiębiorstwa (firmy, urzędu) w którym zawód główny jest wykonywany	Dokładne oznaczenie gałęzi zawodu głównego	Stanowisko w zawodzie głównym (stosunek posiadania służbowy lub robotniczy)	Dokładne oznaczenie rodzaju zarobkowania ubocznego	Stanowisko w zarobkowaniu ubocznem (stosunek posiadania służbowy lub robotniczy)	Czy zarobkowanie uboczne wykonywane jest równocześnie z zawodem głown. czy naprzemianę z tymże lub w innej porze roku i której	Gospodarstwo realne lub kasowe	Dom lub inna realność, dom i ogród kwiatowy	czasowo	stale	O stale obecnych podać tu należy: rozpoczęcie się nieprzerwanego dobrowolnego pobytu w gminie miejsca spisu od roku	czasowo	stale		
18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33	34

gminy te wywiązały się jednak z reguły tak niedołężnie ze swego zadania, iż w r. 1900 musiano przekazać dokonanie pierwszych obliczeń w tych gminach (z wyjątkiem 76 gmin największych) starostwu, pomimo, iż powoduje to znaczne koszta dla skarbu państwa.

Wspomniane powyżej obliczenia dla każdej gminy powinny być z dniem 31 marca 1911 ukończone, na podstawie tych obliczeń zestawia potem starostwo aż do dnia 31 maja wykaz ludności całego powiatu politycznego. W czerwcu przesyłają starostwa wszystkie arkusze spisowe i wszystkie zestawienia liczbowe dla gmin i dla całego powiatu do Centralnej Komisyi statystycznej w Wiedniu, która obliczenia, dokonane przez starostwa całego państwa, ogłasza. W ten sposób dowiemy się już w ciągu roku 1911, jak wielką jest ludność całego państwa i kraju i jaki jest skład wyznaniowy i narodowy tej ludności.

3) Aż do r. 1880 uskuteczniały starostwa dla swego powiatu wszystkie obliczenia spisowe, Centralna Komisya statystyczna wykazała tylko wynik tych obliczeń. Począwszy od r. 1890 stosunki te zmieniły się o tyle, iż od tego roku dokonywują starostwa tylko obliczenia, powyżej pod 2) wspomniane; wszystkie dalsze obliczenia, więcej trudniejsze wykonuje zaś wyłącznie Centralna Komisya statystyczna w Wiedniu dla wszystkich krajów austryackich. I tak dokonywuje Centralna Komisya statystyczna np. wszelkich obliczeń, dotyczących wieku i stanu familijnego ludności, jej stopnia wykształcenia, jej stosunków narodowych i t. d. Tak samo wykonywuje Centralna Komisya wszystkie obliczenia, więcej skomplikowane, np. jakie były stosunki zawodowe ludności polskiej, jaki zachodził związek między wyznaniem a językiem ludności i t. p. Rzeczy natomiast raz już przez gminy, względnie przez starostwa obliczonych, Centralna Komisya po raz wtóry z reguły nie oblicza, czyni to tylko wtenczas, jeżeli między obliczeniami starostwa a jej własnemi obliczeniami zajdą rażące różnice.

Dr. MARCIN NADOBNIK.

II.

Nasze zadania wobec konskrypcyi.

Chociaż wszystkie pytania spisu ludności są wielkiej wagi, to jednak ze stanowiska narodowego przedewszystkiem nas interesują i szczególne mają dla nas znaczenie pytania, odnoszące się do narodowości i wyznania mieszkańców. One bowiem wykazują naszą siłę liczebną, która jest główną podstawą naszego znaczenia w kraju i w państwie. Jeżeli te rubryki spisu ludności niepomyślnie dla nas wypadną, jeżeli wykażą zmniejszanie się naszego stanu posiadania, to okoliczność ta niewątpliwie ujemny wywrze wpływ na naszą przyszłość i fatalnie odbić się może na naszem stanowisku w życiu publicznem. Dlatego jest obowiązkiem narodowym podjąć odpowiednią akcyę, aby spis ludności rzeczywiście wszystkich Polaków jako takich wykazał, a nie przyniósł nam przez zaliczenie ludności polskiej do innych narodowości dotkliwych strat.

Fakt to zadziwiający i nieprawdopodobny, ale jednak, jak dawniejsze spisy dowodzą, prawdziwy, że wielu

Polaków, mianowicie tam, gdzie znajdują się w mniejszości, zaliczanych bywa do innej narodowości. Jest to możliwe z trzech przyczyn: 1) wskutek tego, że arkuszy spisowych (z wyjątkiem Lwowa i Krakowa) nie wypełnia ludność sama, lecz czynią to komisarze konskrypcyjni; 2) wskutek wadliwego sformułowania rubryki narodowościowej: 3) wskutek braku świadomości narodowej w szerokich warstwach ludności polskiej. Gdzieindziej np. w Niemczech ludność liczy się sama. W Austryi udział ludności ograniczony jest do większych miast, po wsiach z reguły, wskutek niższego stopnia oświaty ludowej, czynności spisowe wykonywują komisarze konskrypcyjni. Stronnicze postępowanie komisarzom konskrypcyjnym ułatwia bardzo wadliwość rubryki narodowościowej. W niej zapisuje się od każdej osoby, przynależnej do Austryi, język towarzyski, to jest język, którego osoba używa w zwykłem obcowaniu, w życiu potocznem. Jest rzeczą jasną, że język towarzyski nie jest ścisłą i dokładną oznaką przynależności narodowej, taką może być jedynie narodowość, to jest samowiedne poczuwanie się jednostki do łączności ze swym narodem, albo dla szerokich mas narodowo należycie nie uświadomionych język ojczysty, skupiający je w jedną całość. Język ojczysty jest własnością indywidualną, jest wyrazem narodowości jednostki, gdy przeciwnie, język towarzyski jest wyrazem otoczenia, w którem się jednostka znajduje. Język towarzyski oddaje może dobrze stosunki etnograficzne, ale nie narodowościowe; jest on niekorzystny dla mniejszości, rozrzuconych wśród żywiołu obcego, gdyż już z natury swej mniejszości tych nie uwzględnia wcale albo w niedostatecznej mierze. Poza tem otwiera on na oścież wrota samowoli organów, spis przeprowadzających.

Chcąc otrzymać dokładne dane co do składu narodowego mieszkańców, język towarzyski należałoby zastąpić pytaniem o narodowość lub język ojczysty. Zmiany tej domagano się tego roku z kilku stron w Radzie państwa, ale bezskutecznie; na razie więc pozostaje wszystko przy starem. Wskutek tego dla nas wielką wagę mają nadal daty wyznaniowe, które służą do kontrolowania i uzupełniania dat językowych.

Do języka polskiego przyznaje się — jak wiadomo — w Galicyi większa część Żydów, których na ogół z polskością mało co łączy i którzy są dla niej nabytkiem niepewnej i wątpliwej wartości. Daty wyznaniowe podają nam liczbę Żydów i pozwalają na wyłączenie ich z liczby Polaków tak, że w ten sposób otrzymujemy cyfrę rzeczywistych Polaków. Dalej znaczna część ludności polskiej zalicza się, albo raczej zaliczaną bywa, do języka ruskiego, dane wyznaniowe w tym wypadku pozwalają na obliczenie i uzupełnienie cyfry Polaków.

Zatem rubryka wyznania przy konskrypcyi jest ze stanowiska narodowego nader ważna, dlatego chodzić nam powinno o to, by jej dane były prawdziwe i jak najbardziej wiarogodne.

Trzecim powodem, dlaczego tysiące ludności polskiej zaliczanych bywa do języka ruskiego, jest brak świadomości narodowej i obojętność dla sprawy polskiej. Jest to skutek niekorzystnego rozsiedlenia, dalej skutek zaniedbania pod względem kościelnym i szkolnym.

Przez odczyty, na zebraniach, wiecach i zjazdach wykazywać należy, jakiej wielkiej wagi są dla nas, dla gminy, powiatu i kraju cyfry spisu ludności. W pracach naukowych, w działalności publicznej, w sejmie i w parlamencie, w administracyi i ustawodawstwie, wszędzie przytacza się i wszędzie decydującą odgrywają rolę daty, przez konskrypcyę dostarczone. Mamy jeszcze liczne gminy bez szkoły, w nich niewątpliwie wkrótce powstaną szkoły;

z jakim językiem? o tem decyduje skład narodowościowy ludności, a więc daty spisu. Czterdzieści tysięcy dzieci polskich uczęszczać musi do szkół ruskich, gdyż mieszkają w gminach, nie posiadających, prócz szkoły ruskiej, żadnej innej. Chcąc dzieci te uchronić przed zruszczeniem się, należy zabrać się do budowy szkół polskich, a w których gminach je budować, w których gminach są silne skupienia ludności naszej obok większości ruskiej, wykażą cyfry, dostarczone przez konskrypcyę. Wskutek braku kościołów i wielkiej odległości parafii łacińskich, ludność nasza nie doznaje należytej opieki duchownej i dla tego całe zastępy giną dla obrządku rzymsko-katolickiego, a tem samem także dla polskości. Chcąc złe naprawić, trzeba będzie w najbliższej przyszłości nowe tworzyć parafie, nowe budować kościoły i znów daty spisu nam powiedzą, jak poszczególne wsie łączyć w jedną parafię i gdzie wznieść kościół. Zatem cyfry każdej gminy już dla niej samej mają doniosłe znaczenie, cóż dopiero mówić o ich znaczeniu dla całego kraju! Jeden na to przykład z wielu. Jeżeli Rusini twierdzą, że wschodnia Galicya jest ruską i dlatego się domagają jej odłączenia od zachodniej części kraju i jej usamodzielnienia politycznego, to niewątpliwie znowu przyszły spis ludności wykaże, że Galicya wschodnia nie jest obszarem ruskim, lecz polsko-ruskim, bo obok 3 milionów Rusinów mieszka na ziemi tej przeszło półtora miliona Polaków, osiadłych tu od niepamiętnych czasów. Dalej jeżeli chodzi o uchwalenie nowych ustaw, o akcyę publiczną ogólnego znaczenia, wszędzie padają cyfry i cyfry decydują. Zatem w sumie ostatecznej, otrzymanej przez zliczenie ludności naszej z gmin, powiatów i krajów nie powinno braknąć żadnego Polaka, bo im suma ta będzie większa, tem silniejsze będzie nasze stanowisko, tem większy nasz wpływ w kraju i państwie. Jeżeli zaś w szeregach naszych powstaną luki, to może to mieć dla nas fatalne następstwa, dające się nam przez całe następnych 10 lat we znaki, a kto wie, czy konskrypcya z r. 1920 złe poprzednie zdoła naprawić.

W taki oto sposób należy ludności naszej wykazać doniosłość mającego się odbyć spisu. Dla ludzi dobrej woli, dla Towarzystw, szczególnie oświatowych i narodowych, otwiera się szerokie pole działalności owocnej. Ponieważ przeciąg czasu, który nas dzieli od terminu spisowego, już bardzo krótki, więc wytężmy wszystkie siły, aby akcyę wrogich żywiołów sparaliżować i poczynić odpowiednie przygotowania do tak ważnego dzieła. A gdy wreszcie nadejdzie dzień obliczenia naszych sił, złóżmy otwarte i śmiałe wyznanie naszej religii i języka, dokumentując w ten sposób naszą przynależność do sprawy polskiej i narodu polskiego.

ŻAL MI.

Żal mi tych kwiatów, co płaczące rosą
Giną, więdnieją, ścięte ostrą kosą,
Lecz stokroć żal mi serc młodych kwitnących,
Odartych z uczuć, przedwcześnie więdnących,
Serc młodych, wcześnie zwiędłych w zimnym łonie,
Twardych boleścią, jako pracą dłonie....

Żal mi jest słonka, które w mgłach jesieni,
Nie może ziemi, przesłać swych promieni,
Lecz stokroć żal mi, braci z wiejskiej chaty,
Którzy nie znają promieni oświaty,
Nie znają Boga, Ojczyzny, ludzkości,
Jak błędny ognik giną wśród ciemności.

Żal mi tych sierót bez ojca, bez matki,
Co się tułają od chatki do chatki.
Lecz bardziej żal mi, sierót tych z obczyzny,
Co się tułają bez matki Ojczyzny...
Co myśląc o niej na jawie i we śnie,
Lecz bez nadziei — tęskniąc przeboleśnie...

Jantek z Bugaja.

CO SŁYCHAĆ W POLSCE?

CZĘŚĆ I.

Szarzyznę naszej niedoli, pogłębianej echami smutnemi z tej lub owej strony kordonu, opromieniły nam w ubiegłym roku wielkie wspomnienia naszej świetnej przeszłości dziejowej. One to, — jak gwiazdy po pochmurnem tle nieba wskazują drogę zbłąkanemu podróżnikowi lub sternikowi, wiodącemu statek po rozhukanem morzu, — każą nam w wiekowe rocznice zwracać uwagę naszą ku owym chwilom wielkim, gdy Ojczyzna nasza była wielka i potężna. Z tych dziejowych wspomnień czerpiemy nie tylko moc i siłę do dalszej walki ciężkiej i żmudnej, — ale nadto bierzemy naukę do naśladowania wielkich cnót naszych praojców lub wystrzegania się błędów.

To też nic dziwnego, że każdy naród co ma najlepszego w przeszłości, stara się to podnieść, utrzymać i zachować — szczycić się tem, — gdyż w tych wielkich czynach dziejowej przeszłości spoczywa jego wielkość i siła — w tem tkwi jego prawo do stawania w pośrodku cywilizowanych ludów. A właśnie naszą przeszłością my się szczycić możemy, mieliśmy wielkie dzieje, wielkie czyny i wielkich ludzi, którzy w chwilach stanowczych i ciężkich dla narodu stawali na jego przedzie.

I właśnie tak zdarzyło się, że wśród największych gromów, jakie w nas uderzały, przyszło nam święcić największe tryumfy naszej przeszłości dziejowej i cześć wielkich ludzi w narodzie, dzięki którym naród nasz może śmiało stać w rzędzie tych narodów, które kulturę ludzkości na wyżyny wznoszą.

Czcił więc nasz naród we wszystkich zaborach wielkiego geniusza i pieśniarza narodu, Juliusza Słowackiego, o którym już w poprzednich rocznikach mieliśmy sposobność pisać.

Szczególnie odbyły się liczne uroczystości w naszej dzielnicy. Święcił wspaniałym obchodem stuletnią rocznicę urodzin Juliusza Lwów, — nie mniej wspaniale uczcił ją Kraków, który teatr miejski nazwał jego imieniem, oraz w murach Krakowa zawiązało się pierwsze towarzystwo im. J. Słowackiego.

Czciły tego wielkiego piewcę narodu, miasta i miasteczka, uczciły go skromnie, ale nie mniej gorąco, Poznańskie, a nawet Królestwo, choć tam rząd rosyjski obchodów ku czci Słowackiego zakazał.

A znów z początkiem r. 1910 przypadła rocznica wielkiego muzyka pol-

skiego Szopena. A choć jego sława nie dosięgła jeszcze najszerszych warstw, to jednak godna jest, by o tym wielkim mistrzu wspomnieć, którym nie tylko Polska może się poszczycić, ale i cały cywilizowany świat, bo dał takie wspaniałe utwory muzyczne, że dziś je po całym świecie grają, uznając je jako jedne z najpiękniejszych.

Ale poza temi uroczystościami najgłośniejszem echem odbiła się 500-letnia rocznica Grunwaldu, którą obchodzono najuroczyściej w prastarej stolicy Jagiellonów w Krakowie. Przeszło sto tysięcy ludzi przybyło z różnych stron Polski na obchód Grunwaldzki. Ze wszystkich dzielnic Polski, z Królestwa, Żmudzi i Litwy, z Rusi, z Poznańskiego i Śląska pospieszyły liczne rzesze delegatów. Od ognisk fabrycznych niemieckiej Westfalii oderwał się robotnik polski, z dalekich miast rosyjskich na wschodzie zebrali się wychodźcy, z za oceanu przybyli bracia amerykańscy, których surowy los wygnał tam szukać chleba.

Można powiedzieć, iż cała Polska stanęła w tych prastarych murach, by zaświadczyć, że pamięć o wielkiej rocznicy żyje w sercach polskich, że wszystkie klasy, wszystkie warstwy narodu rozumieją i odczuwają naszą wspaniałą, świetną przeszłość.

Żaden obchód w Krakowie w ostatnich czasach nie może dorównać temu. Nigdy jeszcze nie zgromadziły się w stolicy Jagiellońskiej tak liczne tłumy pątników, co przyszły złożyć hołd świętościom narodowym.

Obchód rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w kościele N. P. Maryi. Mszę św. w asystencyi licznego duchowieństwa odprawił ks. prałat Krzemiński, poczem wystąpił z bardzo pięknem kazaniem ks. biskup Bandurski.

„Lat temu 500 — mówił ks. biskup — w tem samem świętem miejscu, Jan z Kluczborga, mistrz Akademii krakowskiej, rozpoczął kazanie dziękczynne po bitwie Grunwaldzkiej w roku 1410, wielbiąc męstwo polskie zwłaszcza króla Jagiełły.

„Radbym mieć wymowę św. Ambrożego i św. Augustyna, ażebym sławił rycerzy polskich, tryumf polski i wielkiego króla". — Tak powiedział przed 500 laty mistrz Jan.

Rodacy! A co ja mam dziś powiedzieć, kiedym stanął w tem miejscu?

Widzę tu całą Polskę, która zbiegła się, ażeby zaczerpnąć sił do dalszego życia. Co ja mam Wam rodacy najmilsi powiedzieć? Łatwiej było mówić mistrzowi Janowi, bo byli tu wtedy rycerze, rajcowie, mieszczaństwo i król. Łatwiej mu było może, bo mówił w tryumfie, a dziś, po 500 latach, trudno to samo powtarzać.

Widzę tu dziatwę Polski z trzech dzielnic skupioną, wsłuchaną w słowa pieśni dawnej „Boga Rodzico" i mówię w chwili rozpaczy, nieszczęścia, w chwili upadku i gromów, które ze wszystkich stron, nawet od naszych najbliższych, w nas biją, gdy nas wszyscy odbiegają.

Wspomnienie Grunwaldu to znak, że jesteśmy, wspomnienie to odczuwają wszędzie, w całym kraju.

Przed kilkudziesięciu laty obchodzono w Krakowie również uroczyście rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem. Ale o tem nie wiedziano w kraju, po miasteczkach i wsiach.

Czy lud był wtedy uświadomiony w kartach dziejów naszych, które znać był powinien?

Teraz możemy powiedzieć na swoją pociechę, że uroczystość dzisiejsza zatoczyła ogromne kręgi, dziś wszystkie stany, młodzi i starzy, wczytują się w te piękne karty naszych dziejów.

Jak Grunwald był początkiem uświadomienia siły narodowej, tak wspomnienie Gruwaldu jest początkiem uświadomienia ludu i robotnika.

Być — albo nie być — tak mogą

mówić tylko złamani i zrozpaczeni, bez Boga w sercu i bez nadziei. Chrześcijanin tych słów nie wyrzeknie. On mówi: byłem, jestem i będę. Jesteśmy, bo wspominamy, bo się nie wstydzimy tych kart, bo się przyznajemy, jako spadkobiercy, do tych bohaterów i rycerzy. Jesteśmy, bo nie tylko wspominamy, ale się uczymy z tych kart".

stkich sił do jednego celu można zwyciężyć!

Zakończył swoje kazanie ks. biskup Bandurski następującemi słowami:

„Gdy Jagiełło ujrzał w czasie walki grunwaldzkiej, jak jedna z chorągwi polskich chwieje się i pada, zawołał: „Stać murem, nie dać się ruszyć". To hasło nasze. Stać murem, nie dać się

Pomnik grunwaldzki w Krakowie.

Rozpatrywał dalej ks. biskup, jakie były najważniejsze przyczyny, które zadecydowały o zwycięstwie.

Jedną przyczyną była ofiara wielkiego serca królowej Jadwigi, która związała Polskę z Litwą. Drugą zaś zespolenie sił dotąd rozstrzelonych, połączenie Polski i Litwy do jednego celu. Stąd nauka na przyszłość, że wielką ofiarą tylko i skupieniem wszy-

ruszyć z ziemi, wiary, religii, mowy i z chałupy. Nie dać się ruszyć, stać murem, bo przyjdzie odrodzenie — widzę je — jest ono blisko".

Po skończonem nabożeństwie, deputacye w liczbie kilkuset, z wieńcami ruszyły na plac Matejki, przed pomnik Jagiełły. Przybyli delegaci węgierscy z posłem Nagym na czele, i wszystkich narodów słowiańskich, z wyjąt-

kiem Rusinów. Porządek utrzymywała straż obywatelska i akademicka.

O godzinie 12 w południe odezwała się pieśń „Boga Rodzico“. Gdy ucichły tony pieśni, nagrodzone oklaskami, na trybunie ustawionej przed pomnikiem, zasłoniętym płótnem, stanął powitany oklaskami i okrzykami, marszałek kraju Stanisław hr. Badeni w uroczystym stroju narodowym.

W mowie swej najwyższy dostojnik w kraju przedstawił znaczenie bitwy pod Grunwaldem, bez której nie byłoby państwa Jagiellonów i potężnej Polski, oraz wskazał na wpływ, jaki ta rocznica na nas wywiera.

W tej samej chwili rozdzierają się skłębione dotąd chmury, ukazuje się słońce, spada zasłona i wśród gorących okrzyków i dźwięków hymnu muzyki wyłania się w słonecznych blaskach pomnik Jagiełły...

Czujesz dreszcz, przebiegający po tłumie; twarze błyszczą radością, ręce do oklasków się składają; z piersi wyrywają się dziękczynne okrzyki, w oczach błyszczą łzy... A przytem ani jednego słowa pomsty, ani jednego okrzyku nienawiści przeciwko tym, których przodkowie leżą oto pohańbieni u stóp Jagiełły...

Tylko naród szlachetny, naród, który czuje swą niespożytą moc, w ten sposób święcić będzie pamiątkę swego zwycięstwa nad najokrutniejszym wrogiem!

Wśród niemilknących oklasków wstąpił na trybunę fundator pomnika, Ignacy Paderewski. Kilka minut trwającą, burzliwą owacyę zakończył chór pieśnią „Niech żyje nam“!

Gdy ucichły oklaski, Paderewski zabrał głos, oddając w pięknych słowach pomnik miastu.

Odpowiadał mu prezydent Krakowa, dr. Leo. Dumny jestem — mówił on — z chwały przodków, którzy nie krzywdą i krwią ludzką, lecz miłością państwo polskie budowali, ale dumą również mogą napełniać dowody takiej ofiarności w narodzie naszym, jaką wykazał Paderewski.

Przemawiali dalej Rosyanin prof. Pogodin po polsku, poseł do Dumy Rodiczew i działacz rosyjski Stachowicz po rosyjsku, przepraszając, że nie umieją po polsku i życząc Polsce wolności i swobody. Mowy swe zakończyli okrzykami „Niech żyje Polska“. Ogromnie gorąco przemawiał przedstawiciel Węgier, poseł Nagy, który zapewniał o wielkich sympatyach, jakie Węgrzy czują dla narodu polskiego i wzniósł okrzyk na cześć Polski.

Następnie otwarto wystawę pamiątek po Jagielle w gmachu Tow. Przyjaciół sztuk pięknych. Po południu przybywały drużyny sokole nadzwyczajnymi pociągami. Każdy pociąg przywoził ich setki z różnych stron kraju i z za kordonu. I miasto nasze, przybrane odświętnie chorągwiami o barwach narodowych, festonami, kwiatami i wieńcami z zieleni, przedstawiało dziwnie barwny widok. Na ulicach snują się rzesze przejezdnych, a wśród nich przechodzą miarowym krokiem wśród odgłosu muzyki i trąbki lub bębna przybywające drużyny sokole, dążąc do swych kwater. A patrząc na te karne drużyny mimowoli szły myśli dziwne do głowy, czuło się, że jesteśmy w przededniu zlotu — ale zlotu na dzień wielki, dzień wolności — na nowy Grunwald.

Wieczorem Kraków zajaśniał wspaniałą iluminacyą. Całe miasto było zalane poprostu potokami światła. Odblaski tego światła pozostaną jako jasne wspomnienie w duszach tysięcy, które snuły się wtedy po ulicach Krakowa. Przy takiem oświetleniu wprost cudownie wyglądały dekoracye miasta i poszczególnych domów. Każda ulica posiadała swoją barwę i była przybrana flagami i wstęgami jednego koloru.

Zwarta masa publiczności zaległa obydwa brzegi Wisły od Wawelu do

mostu Podgórskiego, przyglądając się „Wiankom“. Po Wiśle uwijały się łodzie, oświetlone z brzegu płonącemi smolnemi beczkami.

Wesele panowało w całem mieście, wszędzie rozlegały się: muzyka, śpiew i okrzyki.

W sobotę o godzinie 12 w południe odbyło się uroczyste posiedzenie krakowskiej Rady miejskiej. Państwo Paderewscy przybyli do sali obrad, powitani długotrwałymi oklaskami i okrzykami, prowadzeni przez prezydenta dra Lea i wiceprezydenta dra Szarskiego, poczem zabrał głos dr. Leo:

Dostojni goście! Drogi mistrzu! Spełniamy pragnienie naszych serc, widząc Ciebie dziś, przezacny mistrzu, w naszym grodzie, chcielibyśmy Ci jeszcze raz prostemi, lecz z głębi serca i duszy płynącemi słowy, wyrazić uczucia naszej niewygasłej pamięci i wdzięczności za to, co dla Krakowa i całego narodu uczyniłeś.

Jesteś chlubą, ozdobą i sławą narodu naszego. Gdziekolwiek się pojawisz, jak gwiazda błyszcząca świecisz swoim genialnym talentem i tem też tak chwalebnie wyróżniasz się od wielu innych, że nie zapomniałeś ani na chwilę, gdzie stara Twa kolebka, że nie zapomniałeś o swojej mowie i zawsze byłeś duszą obecny wśród swoich, chociaż ciałem byłeś daleko od nas za oceanem. Nie tylko jako genialny artysta wyróżniałeś się wśród swego otoczenia, ale dałeś przykład tak wielkiego patryotyzmu i wielkiej obywatelskiej mądrości, że zaliczać Cię będą wszyscy do najzasłużeńszych synów Ojczyzny naszej w ostatniej dobie naszych dziejów.

Wspaniałym swoim darem uczciłeś cały naród, bo odczułeś jego przeszłość i podniosłeś to święto do tej wysokości i godności, jaką dziś odczuwamy. W znacznej części to, co odczuwamy, Tobie Panie, zawdzięczamy. Będziemy nie tylko o darze Twoim,

Odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego.

ale i o tych złotych Twoich myślach, które w mowie poruszyłeś, — zawsze pamiętali i oświadczam Ci, że dochowamy tego, co wczoraj w mowie, w imieniu miasta wygłoszonej, przyrzekłem, t. j. strzec będziemy tej pamiątki.

Niestety, prawa, któremi się rządzimy, t. j. statut nasz, nie pozwala nam dać Ci najwyższej godności, jaką miasto rozporządza, t. j. obywatelstwa honorowego. Chcieliśmy to z głębi serca uczynić, aby Ci choć w drobnym zakresie złożyć małą ofiarę i mały dowód wdzięczności. Nie mogąc tego uczynić, prosimy Cię, abyś przyjął obywatelstwo honorowe wśród serc naszych i obywatelstwa naszego!“

W odpowiedzi Ignacy Paderewski rzekł:

„Głęboko jestem wdzięczny za Waszą wielką dobroć dla mnie, która przenosi moje skromne zasługi i ofiarę, którą jako wierny syn Ojczyzny złożyłem. Będzie ona miała pewną doniosłość i znaczenie, o czem nie wątpię. Ale czy należy za czyn, który sam spełniłem, a który jest sam wielką nagrodą i istotnem szczęściem, dawać taką nagrodę?

Dla wielu braci naszych, rozsianych po zakątkach świata, obywatelstwo Krakowa jest niedoścignionem marzeniem, a Wyście mi to ofiarowali. Przyjmuję dobrą chęć za rzecz dokonaną. Przyjmuję te piękne, serdeczne słowa z głęboką wdzięcznością, bo one za wszystkie starczą godności, zaszczyty i dostojeństwa.

Przyjmuję je nie z żądzy zaszczytów i godności, lecz w nadziei, że ten wielki dowód Waszej łaski będzie podnietą i zachętą dla innych do czynów ofiarnych w miarę sił“.

Burzliwe oklaski i okrzyki: Niech żyje! — rozległy się po jego mowie.

Zakończeniem uroczystości był zlot sokołów i ćwiczenia sokolskie na boisku na wprost parku Jordana.

Blisko 10 tysięcy druhów zgromadziło się na ten wspaniały zlot, jakiemu równego żadne chyba miasto nie widziało. Ciągnęło sokolstwo z całej Galicyi, z Poznania i Śląska — ba, z za oceanu — z Ameryki. Przybyli goście z Chorwacyi i Czech. Było kilkuset gimnastyków z Królestwa..

Po południu odbyły się popisy sokołów, które budziły ogromny entuzyazm. We wspólnych ćwiczeniach wzięło udział około 4.000 druhów. W końcu wkroczyło na boisko około 200 gimnastyków z Królestwa. Witano ich z nieopisanym zapałem. Sokoli galicyjscy pochwycili ich na ręce, każdego po dwóch i obnieśli dokoła boiska.

Przy każdym popisie z trybun, zapełnionych szczelnie publicznością, rozlegały się grzmiące okrzyki i oklaski, radość błyszczała na wszystkich twarzach, nadzieja tryskała z oczu. Szczególniej z zapałem przyjmowała publiczność i sokolstwo galicyjskie gości z Królestwa oraz sokołów z Poznania i Ameryki.

Słońce zachodziło, gdy ostatnie zastępy sokole wkraczały na boisko. I znów rozwarły się chmury i z pośród nich zabłysła złocista tarcza słoneczna, oświecając żywy wieniec publiczności i oddziały sokołów, wykonywujących ostatnie ćwiczenia. Z trybuny rozległy się tony pieśni — a zdala, jak z nieba, patrzał na promieniejący radością naród kopiec Kościuszki.

Jeśli odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego i wielki zlot sokolstwa dały obraz piękny i wspaniały — to wszelkie oczekiwania przeszedł olbrzymi pochód narodowy na Wawel, stanowiący istotne zakończenie uroczystości grunwaldzkich.

Pochód naznaczony był na godzinę 9-tą zrana w niedzielę z Błoni krakowskich przez ulice: Wolską, Basztową, koło pomnika Jagiełły, dalej Floryańską na Rynek dla oddania hołdu

Kościuszce, Grodzką na zamek królewski na Wawelu, gdzie na grobowcu Władysława Jagiełły delegacye złożyć miały przywiezione wieńce.

Już od 7-mej rano szły ku Błoniom delegacye i grupy publiczności, które wziąć miały udział w pochodzie. Organizacya pochodu była świetną. Każda grupa miała wyznaczone sobie podług numerów miejsca na Błoniach, odświętne stroje Miechowiaków, szare świtki Podlasian i Płocczan, bure sukmany Lubliniaków i białe płótnianki het od Krasnegostawu. Dziesiątki tysięcy ludu zalegały plac. Gdzieniegdzie widziałeś bogaty strój staropolski z karabelą u litego pasa, z czaplem piórem u czapki. Pamiątki to nasze po hetmańskich prapradziadach, lecz dziś służą tylko do ozdoby. To znów wi-

Ignacy Paderewski.

gdzie ustawiała się ze swymi sztandarami, wieńcami i delegatami.

Przed 9-tą Błonie wyglądało już jak wielkie obozowisko, na którem szeregami, niby chorągwie, stały, oczekując sygnału, setki tysięcy ludzi... Pstrzyło się od mundurów i czapek sokolich, od kurtek robotniczych i kobiecych strojów; biły w oczy, „jakby nasiał maku“, czerwone chłopskie krakuski, jaskrawe suknie, korale i paciorki kobiet wiejskich; przewijały się dać poważne ubiory panów radnych z miast Krakowa, Lwowa i innych, przedstawicieli cechów, związków rzemieślniczych i t. d. i t. d. Żydów tylko niewielu — i to wyłącznie prawie w grupie socyalistycznej, która ze swym sztandarem czerwonym, z przywódcami stronnictwa i przedstawicielami różnych grup przyciągnęła na Błonia, aby wziąć udział w obchodzie narodowym grunwaldzkiego zwycięstwa.

Przez Błonie coraz to przeleci na-

czelnik pochodu p. Nowotny, na pięknym koniu, w mundurze oficera wojska polskiego z 1831 roku; to znów, niby adjutant, przemknie jak wicher, Krakus z chłopskiej banderyi. Coraz zagrzmi inna orkiestra, ku niebu wzleci hymn lub wionie piosnka... Odkrywają się głowy, pochylają tysiące sztandarów — a w stutysięcznym tłumie czujesz duszę jedną, „jedno serca bicie“...

Miała odbyć się na Błoniach msza polowa — ale zabronił jej biskup krakowski, kardynał Puzyna, ten sam, który nie zezwolił na sprowadzenie na Wawel zwłok wielkiego Juliusza Słowackiego... Zapomniano jednak o ks. Puzynie w obec wielkości chwili. Pobłogosławił naród w odpowiedniej przemowie biskup Bandurski; dano sygnały, zagrały orkiestry i rozpoczęło się wyruszenie pochodu.

Była godzina 11-ta, gdy zaczął się pochód najpierw banderyi chłopskiej, straży krakowskiej, delegatów i gości; za nimi dziesiątki tysięcy sokołów, którzy maszerowali grupami, każda ze swym dowódcą i sztandarem. Widzieliśmy wśród tej dziarskiej młodzieży kilkudziesięciu starych, marsowych brodaczy; widzieliśmy dwunastoletnie pacholęta, wyciągające w takt marsza swoje krótkie nogi... Szli sokoli i sokolice; ciągnęły chłopskie sokolskie oddziały, maszerowali górale z sokolemi piórami u kapeluszy, a wszystkich spotykały po całej drodze radosne okrzyki: „czołem! niech żyją!“

I ciągnęło szeregami w poważnym ładzie 118 grup delegacyi, deputacyi, towarzystw galicyjskich i innych, cechów, rad miejskich, posłów sejmowych, szkół, ochron, związków robotniczych i instytucyi społecznych. Szli bracia ze Śląska, Poznania, z Królestwa i Ameryki. Szli goście obcy z Francyi, Czech i Chorwacyi...

Po obu stronach ulic, któremi przeciągał pochód, stały zwarte szeregi publiczności, akademicy utrzymywali ład; wszystkie okna, balkony nawet dachy zapełniały tysiące widzów. Przez całą długą, blisko milową drogę z piersi zgromadzonych wyrywały się grzmiące okrzyki i oklaski; z okien i balkonów sypały się kwiaty, rzucane przez piękne do kwiatów podobne Krakowianki.

Jednym wielkim tryumfem był ten uroczysty, a zdawało się nieskończony pochód na Wawel. Dla widza, kochającego swoje społeczeństwo, był on niejako przeglądem mocy duchowej narodu; dla uczestnika był żywem odczuciem, że się jest choć drobną cząstką tej niespożytej mocy... To też nie dziwota, że nie można było być tylko widzem pochodu.

Idąc wciąż miarowym krokiem, zrzadka tylko zatrzymani po drodze krótką przemową lub oddaniem czci członkowi lub instytucyi, zasługującej na to — dopiero po godzinie 3-ciej po południu znaleźli się wszyscy przed katedrą na Wawelu. Do kościoła wchodziły tylko deputacye z wieńcami, które składały na grobowcu Jagiełły, uczestnicy zaś pochodu drugą bramą kierowali się ku miastu. Wszyscy wracali zmęczeni upałem i ośmiogodzinnym pochodem, zakurzeni, spragnieni i głodni — lecz na wszystkich twarzach błyszczała radość, ramiona przy spotkaniu wiązały się braterskim uściskiem, — a z piersi leciały ku niebu gorące westchnienia do wolnej i niepodległej Ojczyzny.

Ale nie tylko Kraków święcił wspaniałą rocznicę zwycięstwa grunwaldzkiego, lecz cała Polska. W Galicyi w bardzo wielu wsiach odbył się obchód grunwaldzki, już to wspanialszy, już to skromniejszy, według miary sił czczono wielką rocznicę. Gdzieniegdzie wznoszono pomniki — gdzieindziej instytucyom, bursom, ulicom nadawano nazwy Grunwaldzkich. To znów szkołom nadawano imię wielkiego króla — Władysława Jagiełły.

We Lwowie wmurowano ku pamięci obchodu w dzień święta grunwaldz-

kiego tablicę z czerwonego marmuru w nawę katedry.

Nie mogły się odbyć tak wspaniałe i liczne uroczystości grunwaldzkie za kordonem. Szczególnie wzbroniono wszelkich uroczystości w Poznańskiem, gdzie zabroniono nawet odprawić uroczystych nabożeństw.

Mimo to kościoły zapełniły się licznemi rzeszami w Poznaniu i innych miastach w dniu 15 lipca, a wieczorem odbyły się w zamkniętem gronie się w katedrze św. Jana, gdzie ks. biskup Ruszkiewicz odprawił dziękczynne nabożeństwo dla upamiętnienia rocznicy grunwaldzkiej. Zarówno tutaj, jak i w innych kościołach odśpiewano po mszy hymn „Te Deum laudamus“ (Ciebie Boga chwalimy), który zawsze u nas jest śpiewany podczas wielkich uroczystości. Na zakończenie ks. biskup udzielił wszystkim zebranym błogosławieństwa pasterskiego.

Co do przystrojenia zewnętrznego,

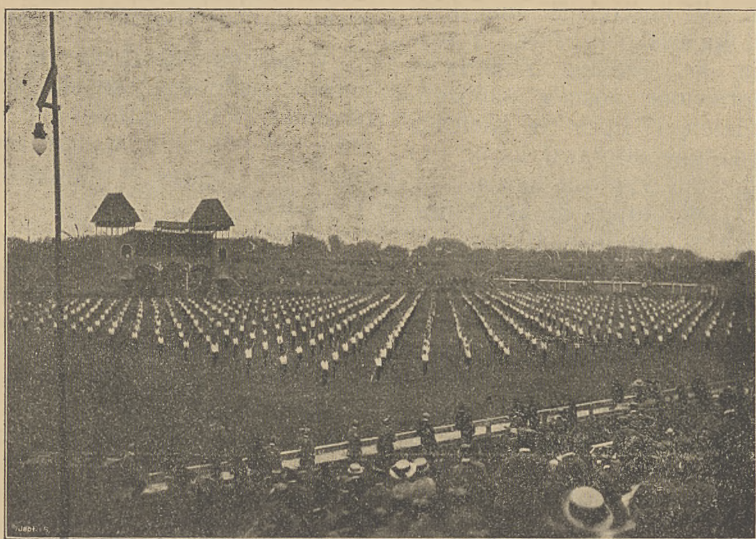

Ćwiczenia sokole: wolne w odstępach.

członków skromne obchody w Towarzystwach.

W Królestwie prawie we wszystkich miastach odbywały się skromne obchody. Odprawiono w świątyniach nabożeństwa i śpiewano hymn „Ciebie Boga chwalimy“. W wielu kościołach wygłoszone były odpowiednie kazania. W miastach polskie sklepy pozamykane były do południa. Wiele polskich fabryk świętowało. Warszawa nie mogła należycie wystąpić tak, jakby chciała. Obchód głównie zześrodkował się w kościołach. Najliczniej zgromadzono to tylko niektóre domy miały balkony poubierane dywanami i kwiatami. Lepiej już, choć również nieświetnie, wypadła iluminacya wieczorem.

Towarzystwo „Zachęty Sztuk Pięknych“ ozdobiło pięknie zielenią słynny obraz Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“, który jest własnością Towarzystwa, i pozwoliło bezpłatnie go oglądać. Koło 20 tysięcy osób zwiedziło dnia tego „Zachętę“. Niektóre grupy składały przed obrazem wiązanki kwiecia. Wszystkie sklepy polskie były zamknięte od godziny 10

do 12 rano, sporo też zakładów rzemieślniczych i fabryk wstrzymało się od zajęć, gazety popołudniowe nie wyszły. — W Łodzi wszystkie cechy zjawiły się na nabożeństwa ze sztandarami. W Płocku oprócz nabożeństwa, które w starożytnej katedrze odprawił ks. biskup płocki, na obchód złożyły się także odczyty o „Grunwaldzie“. Orkiestra Towarzystwa muzycznego wykonała szereg utworów polskich, chóry zaś odśpiewały pieśń „Boga Rodzica“. W całej ziemi płockiej odbyły się uroczyste nabożeństwa we wszystkich świątyniach. W kościołach miejskich w dyecezyi kujawsko-kaliskiej, z rozporządzenia ks. biskupa Zdzitowieckiego odprawione zostały nabożeństwa w niedzielę 17 lipca. W Kielcach pontyfikalną sumę odprawił ks. biskup Łosiński, kazanie wygłosił ks. kanonik Obuchowicz, nawołując do wypełniania obowiązków narodowych i poświęcenia się dla dobra ogólnego.

Podobne obchody odbyły się we wielu miejscach.

W Wilnie z powodu 500-letniej rocznicy zwycięstwa grunwaldzkiego administrator dyecezyi ks. Michalkiewicz odprawił w katedrze wileńskiej uroczyste nabożeństwo. Podczas nabożeństwa wszystkie sklepy polskie były zamknięte. Pisma wileńskie wydały specyalne numery, poświęcone rocznicy. W teatrze wystawiono dramat Szujskiego pod tytułem „Królowa Jadwiga“.

Bardzo uroczyście obchodzili rocznicę grunwaldzką Polacy w Ameryce.

W Chicago po nabożeństwie ruszył uroczysty pochód z przed sali Pułaskiego do parku. Tam na świeżem powietrzu odbyła się uroczystość jubileuszowa z mowami, śpiewem chóru, obejmującego przeszło tysiąc głosów, ćwiczeniami sokolstwa i towarzystw wojskowych. Wieczorem odegrano dramat Słowackiego „Mindowe“.

W Bostonie wszystkie towarzystwa polskie zjednoczyły się dla wspólnego obchodu. Rano odbyło się nabożeństwo, po południu manifestacyjny pochód, a następnie wielkie zgromadzenie z mowami.

W Nowym Jorku odprawiono mszę polową, poczem wygłosił mowę ks. biskup Rode. Po kazaniach, wypowiedzianych przez paru duchownych, wręczono medale pamiątkowe wybitniejszym uczestnikom. Po południu wszystkie towarzystwa wojskowe i cywilne maszerowały przez miasto z orkiestrami. Odbyła się dalej musztra towarzystw wojskowych i ćwiczenia sokołów. Wreszcie uroczystość zakończył wiec grunwaldzki.

CZĘŚĆ II.

A teraz przejdziemy do poszczególnych zaborów.

W Galicyi rok ubiegły nie zaznaczył się żadnem ważniejszem zdarzeniem. Cały rok miniony upłynął na ciągłej, cichej pracy nad odrodzeniem kraju i uświadomieniem narodowem. Szczególniejszej pieczy doznała w ostatnich czasach sprawa uprzemysłowienia Galicyi. Myśl ta tak dawno znana, tak popularna u nas, myśl, której życie i majątek poświęcili tacy ludzie, jak Szczepanowski i inni, nigdy faktycznie w czyn nie została wprowadzona. Boć to wszystko, co dotychczas w Galicyi na polu przemysłowem zdziałano — to w porównaniu z sąsiednimi krajami jest niczem. A jeśli jeszcze zauważymy, że większa część fabryk i kopalń pozostaje w rękach obcych, przeważnie żydów pruskich, to otrzymamy jako rezultat kilkanaście choćby kilkadziesiąt fabryk słabo idących, niejednokro-

tnie obcą konkurencyą i bezwzględnym fiskalizmem rządowym niszczonych.

A mimo wszystko, że warunki składały się tak dla nas nieprzyjaźnie, to jednak znaleźli się ludzie, którzy szli przebojem, aż przecież wypłynęli na wierzch i wątpiącym ludziom słabej wiary okazali, że Galicya może być krajem przemysłowym. I dzięki właśnie tej wytrwałej pracy jednostek, musiano dać wiarę i w naszym Zarządzie krajowym, i młodemu, z całą siłą pragnącemu się rozwinąć przemysłowi uznano za konieczne przyjść z pomocą.

W tym też celu na ostatniej sesyi sejmowej uchwalono założyć choć pod kiepską gwiazdą i do spółki z Niemcami Bank przemysłowy, instytucyę, która może kiedyś krajowi niesłychane oddać usługi, a która ma szerokie pole do działania, gdyby tylko dla dobra kraju chciała i pragnęła działać tak, jak to ogół społeczeństwa pojmuje. A czas najwyższy jest rozpocząć pracę w kierunku przemysłowym w naszym kraju, bo nas już obcy uprzedzają, bo na naszej ziemi poczynają na dobre gospodarzyć, szczególnie u granic zachodnich, gdzie znajdują się bogate pokłady węgla, już wiele kominów dymi, lecz niestety kominy te należą do właścicieli pruskich i to tak kopalnie, jak i fabryki.

Właśnie minionego roku wybuchł w Zagłębiu węglowem strejk górników i robotników, który zwrócił baczniejszą uwagę na stosunki tam panujące.

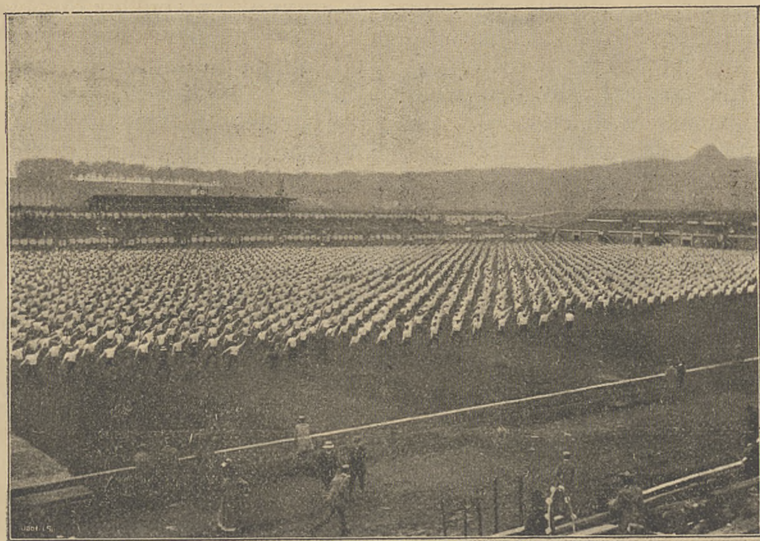

Ćwiczenia sokole: maczugami.

Robotnik polski na własnej ziemi zawisły od dyrektorów i właścicieli kopalń obcej narodowości, szykanowany i nie nagradzany odpowiednio podjął pierwszy walkę i tem wskazał całemu społeczeństwu tę grozę, jaka od zachodu idzie, jakie niebezpieczeństwo grozi nietylko przemysłowi polskiemu, ale i całemu społeczeństwu. Wszak na Śląsku pruskim i cieszyńskim i w Zagłębiu w Królestwie polskiem jest tylko robotnik polski — właściciele są obcy, czyż to nie drugi zabór, kto wie, czy nie gorszy od politycznego.

Zachodnich tych kończyn nie powinniśmy z oka spuszczać, gdyż jeśli tak dalej będą stosunki się układać, to wnet niebezpieczeństwo, które i tak już jest groźne, może ogromne przybrać rozmiary i staniemy wobec stokroć gorszych warunków niż nasi bracia w Poznańskiem, — gorszych i bardziej hańbiących, — bo wywłaszczą nas z ziemi i jej bogactwa nie ustawami, ale dobrowolnie.

A równocześnie od wschodniej ściany naszego kraju żarzy się od lat wielu łuna bratobójczej walki, jaką podjęli Rusini i którą prowadzą bezwzględnie, zda się, na oślep.

I ten rok zapisał się krwawemi zgłoskami na karcie dziejów ruskiego społeczeństwa, tych dziejów, którego karty zresztą tak często krwią się broczą.

Oto w ubiegłym roku, chcąc rzekomo wywalczyć sobie uniwersytet ruski, uderzyli znów bez żadnego bezpośredniego powodu Rusini na uniwersytet polski we Lwowie i wtargnęli doń zbrojno, strzelając po korytarzach i salach, a owocem tej strzelaniny była ofiara w ich własnych szeregach, niejaki akademik Kocko, — który wysunąwszy się za daleko naprzód, padł ugodzony kulą swych własnych towarzyszy.

Mimo iż był widoczny przypadek, który powinien otrzeźwić umysły gorące, — mimo iż komisye sądowe skonstatowały, że ze strony polskiej nie strzelano stanowczo, gdyż ani broni, ani kul w odnośnych miejscach nie znaleziono — zresztą na uniwersytecie była tylko garstka przypadkowych słuchaczy, Polaków, — Rusini z całą bezczelnością ogłosili, że mordu dokonali Polacy.

Jak widać z tego, stosunki panujące wśród społeczeństwa ruskiego są w wysokim stopniu niezdrowe i jak niejednokrotnie zaznaczyć mieliśmy sposobność, Rusini obrali fałszywą drogę, — bo droga krwawych zbrodni nie prowadzi do kultury, do dobrobytu i swobody, lecz właśnie je cofa wstecz.

Aby Rusini byli więcej kulturalnym narodem, obchodzi nas to dlatego, bo nasze losy wiążą się dość ściśle z nimi, gdyż wśród nich mieszka 1½ miliona naszych rodaków. Tych naszym obowiązkiem jest nietylko zachować dla polskości, ale i ustrzedz przed zdeprawowaniem. A przecież ten czyn w uniwersytecie lwowskim nie jest odosobniony, gdyż prawie co dzień donoszą pisma o różnych wypadkach w kraju, i to nietylko z Polakami, — ale i Rusini między sobą wywołują starcia, niejednokrotnie kończące się smutnie.

Niestety nie ma u nas dziś w kraju wyrobionej i ustalonej opinii, nawet na terenie parlamentarnym zachodziły starcia między stronnictwami w Kole polskiem, których przyczyny szukać należy w tem, że nie wszyscy posłowie stoją na wysokości zadania i dobro ogólne zdolni są odróżnić od dobra klasowego. Lecz te wewnętrzne starcia bynajmniej nie powinny solidarności Koła osłabiać na zewnątrz, gdyż już chyba aż nadto zrozumieliśmy dobrze, czem dziśby dla nas była niezgoda i brak solidarności wobec obcych.

Dziś właśnie tylko jednolita postawa Koła polskiego w Wiedniu utrzymuje nas na wyżynie parlamentarnej i każe się z nami liczyć nawet wrogom naszym.

Obecnie Koło polskie toczy bój o „kanały“, które już dawno uchwalone, miały być obecnie budowane, jednak rząd się wymawia brakiem pieniędzy. Jak się ta sprawa skończy, nie wiadomo.

* * *

Natomiast sąsiednia nasza dzielnica Śląsk przeżyła w ubiegłym roku ciężką walkę o prawa narodowe, i to z naciskiem zaznaczyć należy, że trzeba

było walczyć przeciwko tym, którzy mienią się przyjaciółmi Słowian, a w rzeczywistości są dla nas wrogami. Mowa tu o walce ludności polskiej na Śląsku przeciw Czechom, o szkoły polskie. Czesi, dzięki swej rzutkości i zaborczemu charakterowi, który wytworzyli sobie w walce z Niemcami, mimo mniejszości, zdołali zawładnąć całym szeregiem gmin polskich w całym zachodnim krańcu Śląska Cieszyńskiego, zaprowadzając wszędzie szkoły czeskie. Większość polska nieuświadomiona nie umiała o swe prawa walczyć należycie, ale kiedy napór czeski był coraz to gwałtowniejszy, gdy robotnik polski poznał, że mu się krzywda dzieje, zaczął się dopominać o szkołę polską, a wreszcie gdy Czesi nietylko okazali się głuchymi na wszystkie te żądania ludności polskiej, to ta zniecierpliwiona chwyciła się ostatniej broni: strejku. W Ostrawie Polskiej, Michałkowicach i Dziećmorowicach dzieci polskie przestały do szkół uczęszczać, aż dopiero rząd przyrzekł zaspokoić żadania ludności polskiej.

Wielki wiec ludności polskiej odbyty w Ostrawie Polskiej w dniu 17 kwietnia 1910 r. stwierdził słuszność praw ogółu ludności polskiej i w powziętych rezolucyach zaznaczył, że ludność polska nie przestanie dotąd o szkoły walczyć, aż je otrzyma.

Również w ostatnich czasach wzmógł się napór Niemców na Śląsku, którzy nie mogąc trafić wprost do ludu polskiego, usiłują to czynić przy pomocy kilku zaprzedańców, a między innymi i Koždonia, którego nawet wybrano na posła do Sejmu, utrącając ks. Londzina, zasłużonego działacza..

Ćwiczenia sokole: kobiet.

Ludność polska na Śląsku walczy o swe prawa narodowe, ale sama nie może się oprzeć naporowi czeskiemu i niemieckiemu, gdyż obie te narodowości siły do walki materyalne i moralne czerpią od swego całego społeczeństwa — to też całe nasze społeczeństwo powinno spieszyć z pomocą rodakom naszym na Śląsku.

* * *

Ta silna rozbieżność myśli politycznych, jaka ujawniła się w Galicyi, cechowała też tak Poznańskie jak i Królestwo Polskie. Ale szczególnie w Poznańskiem doszła rozbieżność polityczna do jawnego rozdźwięku i nader przykrem echem odbiła się w całej Polsce. Stało się to przy wyborach do parlamentu niemieckiego w mieście Poznaniu, gdzie po złożeniu mandatu przez posła Chrzanowskiego stanęły do walki przeciw sobie obozy polskie: zachowawczy i demokratyczny. Jakkolwiek na przedwyborczych zebraniach zwyciężył kandydat demokratyczny p. Nowicki, wyborczy komitet prowincyonalny polecił wyborcom kandydaturę zachowawczą p. Sosińskiego. Wobec tego ogół wyborców wyłamał się z pod rozkazu komitetu wyborczego i głosował na Nowickiego, który jednak przy pierwszem głosowaniu nie przeszedł, lecz dopiero przy wyborach ściślejszych, wskutek odpadnięcia kandydata zachowawców, który otrzymał niewielką ilość głosów.

Jak wielkie musiało być podrażnienie z obu stron, świadczy chyba ten fakt, że obaj kandydaci pochodzili ze sfer robotniczych, a więc szło w tym wypadku już nie o przekonania, ani osoby, ale o partyjne spory, na które w zaborze pruskim nigdy miejsca być nie powinno.

Oczywiście gdybyśmy pragnęli oderwane fakty oceniać, to przedewszystkiem musimy z jednej strony potępić lekceważenie sobie woli wyborców przez komitet prowincyonalny i odwrotnie lekceważenie sobie głosu komitetu przez ogół wyborców, które da się usprawiedliwić tylko podraźnieniem, wywołanem przez stanowisko komitetu wyborczego.

Ale tu nie chodzi o poszczególne fakty. Wybór poznański był tylko jednym z epizodów, z przebiegu których dostrzedz można pewien rys dokonu-

Banderya włościańska w pochodzie.

jący się wśród społeczeństwa polskiego, a przyczyny tego rozdziału, tego rozdźwięku nurtującego w społeczeństwie szukać należy poza niem, w ustawie o wywłaszczeniu. Rzecz jasna, ustawa o wywłaszczeniu dotknęłaby przedewszystkiem w pierwszym rzędzie polskie ziemiaństwo, które w Poznańskiem jest jeszcze wcale liczne. Otóż obawa przed wywłaszczeniem zmusza sfery ziemiańskie do polityki zachowawczej, która jednak w swem założeniu jest najzupełniej błędna, bo musi ona zawieść wyznawców jej aż pod but pruski, który zresztą jak każdy but z niczem się nie liczy, co przygniecie. A przecież pewien kres w tej polityce być musi — musi być punkt godności, jeśli już nie narodowej to ludzkiej. Inaczej zapatrują się na stanowisko społeczeństwa polskiego sfery demokratyczne, które rekrutują się przeważnie z miast; jakkolwiek pozbawione udziału w zarządach miast, są więcej uniezależnione od środków wywłaszczenia, a skupiając się w swych stowarzyszeniach, z natury rzeczy bardziej są uświadomione. Oczywiście, że dziś gdy za jednem pociągnięciem pióra ministra pruskiego, mogą całe szmaty ziemi polskiej dostać się w ręce niemieckie, chyba aż nadto zrozumiałe jest, czem może być u nas stan kupiecki, przemysłowy po miastach. Groźna polityka Prus względem nas, która przejmuje strachem o los Poznańskiego, która robi liczne szczerby i wiele jeszcze szkodzić może, według zgodnej teraz opinii tak polskiej, jak i części niemieckiej, poważniejszej — bankrutuje.

Sokoli w pochodzie.

Oto komisya kolonizacyjna rozparcelowała ogółem dotąd około 700 tys. hekt. ziemi, — a z tego tylko około 300 tys. z rąk polskich, reszta była już oddawna w rękach niemieckich. Niema szkół polskich, nie wolno urządzać zebrań, odczytów i t. p. w języku polskim, a przecież ten język istnieje, całe społeczeństwo nim mówi,

i przynajmniej pisma polskie w Poznańskiem, które tysiące mają czytelników, nie wyrażają obawy, aby się społeczeństwo zgermanizowało.

* * *

W zaborze rosyjskim stosunki nasze ułożyły się w ubiegłym roku jeszcze smutniej, niż po inne lata. Co prawda anarchia i bandytyzm nieco przycichły, ale wzbudzony prąd rusyfikacyi ziem naszych nietylko nie osłabł, ale owszem spotęgował się znacznie.

Szczytem zuchwałości bandytyzmu było świętokradzkie targnięcie się na obraz M. B. Częstochowskiej na Jasnej Górze.

Oto w nocy z 3 października 1909 r. niewyśledzeni sprawcy wdarli się pokryjomu do kaplicy Matki Boskiej i zrabowali cały obraz ze wszystkich ozdób i kosztowności, jak złotych koron, sukienki okrytej perłami, oraz różnych wotów, zawieszonych w około obrazu.

Obok wielkiej wartości ceny, miały dla nas te rzeczy i wartość historyczną, gdyż były między niemi i dary królów polskich.

Złoczyńców nie złapano, a papież Pius X. dotknięty tą smutną wieścią, jaka okryła całą Polskę, ofiarował nowe złote korony, któremi w b. roku ukoronowano powtórnie obraz Królowej Polski. Tysiące zbiegły się z całej Polski na tę uroczystą chwilę na Jasną Górę, a tak wielkiej i podniosłej chwili dawno nie widziało Królestwo Polskie.

Sokół włościański i góralski.

Marzenia o uzyskaniu jakichkolwiek koncesyi czy swobód politycznych rozwiały się zupełnie, obrady Dumy rosyjskiej budzą mniej zainteresowania niż pierwszy lepszy wypadek światowy, — wtedy tylko chwilowo zwracają uwagę — gdy kwestya polska wynurza się na porządek dzienny.

Po rozwiązaniu Macierzy szkolnej i innych związków, mających na celu utrzymanie szkół, rozwiązano niedawno Tow. wpisów szkolnych, udzielające

ubogim uczniom zapomóg na opłaty do szkół polskich prywatnych, których i tak już niewiele zostało.

Młodzież, która w ubiegłych latach rozpoczęła walkę o szkołę polską, w walce tej nie ustaje, owszem wiedzie ją dalej, nie zapisując się wcale do szkół rosyjskich.

Roku ubiegłego młodzież akademicka odbyła zjazd w Zakopanem, na którym podtrzymano dalej akcyę bojkotu uniwersytetu warszawskiego, a za stwie, sprowadziła rewizyę senatorską z Petersburga. Zjechał na długi czas z całym zastępem urzędników, senator Neuhardt, który znalazł dostateczne dowody kradzieży, ale też znalazł wiele jeszcze nieprawomyślności w „Kraju Przywiślańskim", gdyż z jego odjazdem pojawił się cały szereg okólników, na mocy których wprowadzono do wielu instytucyi, towarzystw i t. p. urzędowy język rosyjski. Tak n. p. nakazano duchowieństwu poro-

Drużyny Bartoszowe.

temi uchwałami poszły i inne szkoły w Królestwie.

Tak w Królestwie jak też i na Litwie i Rusi ciężko dziś o uzyskanie zezwolenia na założenie towarzystwa, już nie kulturalnego, ale wprost ekonomicznego. Te nawet towarzystwa, które istnieją, już mają nader ograniczone pole do działania lub też i one ulegają zamknięciu.

Skandaliczna gospodarka urzędników w Królestwie, wzorowana na zwyczajach panujących w całem pań- zumiewać się tylko w tym języku. Wiecznie rozszerzająca się Rosya, gdy nie może już dziś z żadnej strony powiększyć swego terytoryum przez zabory, zagarnia te kraje, które już do niej należą od dawna — choć w ten sposób wynagradzając sobie klęski zewnętrzne.

W ten sposób przyłączono z pogwałceniem konstytucyi Finlandyę, w ten sposób przygotowują projekt przyłączenia Chełmszczyzny, choć przecież nietylko Chełmszczyzna, ale i ca-

łe Królestwo Polskie faktycznie do Rosyi należy.

W zamian za to pragnie rząd rosyjski obdarować Królestwo samorządem miejskim i wiejskim. Będzie to właściwie jakiś cień samorządu, w którym zresztą ogromne przywileje będą posiadali Rosyanie.

Mimo to wszystko praca tak w Królestwie, jak i w innych prowincyach nie ustaje wcale, choć ją tamuje rząd na każdym kroku. Dźwiga się przemysł, rolnictwo, powstają organizacye zawodowe, wystawy i pokazy rolnicze.

Nic więc dziwnego, że wobec tych represyi rządu rosyjskiego, wobec zamknięcia całego szeregu Towarzystw, jak n. p. Towarzystw robotniczych „Jedność“ i w. in., wobec zamknięcia ostatnich oświatowych Towarzystw na Litwie i Rusi, — zupełnie zanikła uwaga na działalność Dumy rosyjskiej. Jeszcze baczniej śledzono dyskusyę w sprawie chełmskiej, z której dowiedzieliśmy się, że Chełmszczyzna i kraj cały po Sandomierz, to rdzennie rosyjskie ziemie, które Polakom należy odebrać. Również bardzo charakterystyczna była dyskusya o kościół w Opolu, który zagarnęli prawosławni i mimo wszelkich prawnych podstaw rząd im go przysądził a nie katolikom.

Delegacye kraju i miast.

To też społeczeństwo nasze, straciwszy wszelką możność uzyskania jakiegokolwiek swobodniejszego rozwoju, chwyta się pracy nad wewnętrznem uświadomieniem i podniesieniem ekonomicznem, organizując z powrotem swe rozpierzchłe minionymi wypadkami siły.

CZĘŚĆ III.

Spisując przejawy życia polskiego w ubiegłym roku, trudno nie wspomnieć o Czwartej dzielnicy Polski t. j. o Polakach, mieszkających w Ameryce. Polaków zamieszkałych w Ameryce żyje około 4 miliony, z tego około

$2^1/_2$ milionów w Stanach Zjednoczonych, gdzie dzięki swej liczbie jak też i pracy odgrywają wcale poważną rolę.

Że Polacy w Ameryce nie zerwali łączności z krajem, świadczą o tem liczne obchody narodowe n. p. Grunwaldzki, oraz wielka uroczystość polska, jaką w ubiegłym roku urządzili Polacy amerykańscy, a w której brał udział rząd Stanów Zjednoczonych, jako też liczni goście. Uroczystość ta

Pomniki obu bohaterów polskich stanęły na obszernym placu państwowym.

Pomnik Pułaskiego jest podarunkiem rządu amerykańskiego, pomnik Kościuszki (dłuta ś. p. Antoniego Popieła z Krakowa) — darem narodu polskiego, mianowicie fundacyą rozmaitych polskich związków, przedewszystkiem Polskiego Związku narodowego w Ameryce. Na kilka godzin przed ceremonią park zaległy olbrzymie tłumy

Uroczystość grunwaldzka na wsi w Damienicach.

odbyła się w stolicy państwa w Waszyngtonie, a przybyło na nią około 1000 delegatów potężnej organizacyi Związku Narodowego Polskiego, tysiące uczestników z całej Ameryki oraz przedstawiciele Polaków z Europy.

Uroczystość rozpoczęto we środę 11 maja odsłonięciem pomników Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego — bohaterów polskich, którzy na dalekiej ziemi Waszyngtona walczyli o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

publiczności, zarówno amerykańskiej jak i polskiej ze wszystkich stanów Ameryki północnej.

Na rozległym placu Lafajetta minister wojny dokonał przeglądu wojsk, w którym brały udział pułki regularne, konsystujące w Forcie Mejera i gwardya narodowa stanu Kolumbia.

W szyku wojskowym stały też polskie Związki sokole z Chicago, Detroit, Buffalo i innych miast, zamieszkałych liczniej przez Polaków.

Akt odsłonięcia rozpoczęła modli-

twa biskupa z Waszyngtonu, poczem rozległy się salwy działowe. Nadało to odsłonięciu nastrój uroczysty.

Przy pomniku Pułaskiego prezydent Stanów Zjednoczonych, Wiljam Taft przemówił w te słowa: „Daremną rzeczą byłoby snuć jakiekolwiek przypuszczenia, co mogłoby spotkać Amerykę, jaki byłby ostateczny rezultat wojny, jaką prowadziła o wywalczenie sobie niepodległości, gdyby nie pogo koniecznego warunku naszego świetnego postępu, rozwoju sił i zasobów kraju.

„A więc takim mężom, jak Lafajet, jak Roszambo, von Stejben, de Kalb, Pułaski, Kościuszko i inni, należy się od nas cześć za ich zasługi, należą się im od nas pomniki, jak ten oto, — aby świat wiedział, że Ameryka umie być wdzięczną i wiernie zachowuje w pamięci tych, co spieszyli jej z po-

Sypanie Kopca grunwaldzkiego w Niepołomicach

spieszyły jej z pomocą inne narody i szlachetni mężowie z obcych krajów.

„Wystarczy nam w zupełności wiedzieć, że ci, co nam skuteczne usługi w tej wojnie świadczyli, przyczynili się w ogromnej mierze do naszego powodzenia i do naszego postępu.

„Jest rzeczą wskazaną, ażebyśmy zaświadczyli widomym i trwałym znakiem o naszej wdzięczności względem tych, co współczuli z nami w tej walce i czynną nam nieśli pomoc w naszych potrzebach i wysiłkach do zdobycia i utrwalenia niepodległości, temocą w chwili niebezpieczeństwa i troski“.

Następnie prezydent podał krótki życiorys bohatera, zaznaczając, że oddawał świetne usługi wojskowe swej ojczyźnie i pochodził z rodziny, której ojciec Józef Pułaski był duszą Konfederacyi Barskiej. W walce tej brało chwalebny udział trzech jego synów i kuzyn. Pięciu było razem Pułaskich, walczących wtenczas za kraj. Czterech znalazło śmierć bohaterską na polu bitwy, a jeden tylko Kazimierz zdołał zbiedz do Turcyi i Francyi. Potem,

gdy rozpaliła się rewolucya w Ameryce, by zrzucić gnębiące jarzmo niewoli angielskiej, przybył do Ameryki i oddał usługi świetne, głównie na polu zreorganizowania kawaleryi, której był mistrzem doskonałym.

„Rycerz to polski z krwi i kości, szlachetny i nieustraszony, a łagodny i miły jak kobieta, miły i uprzejmy w pożyciu towarzyskiem. Cała romantyczność dawnego rycerstwa wiąże się z jego pamięcią. O! gdyby był przewidział, że do tego kraju, za którego wolność śmierć poniósł, pójdą za nim 3 miliony jego rodaków, gdyby wiedział, jak godny udział biorą w życiu tego kraju, gdyby wiedział z jaką gościnnością zostali przyjęci, jak dobrobyt tego kraju wraz z całym narodem budują, jak siły jego przysparzają i jakie szczęście tu znaleźli pod gwiaździstym sztandarem, który dzięki jego bohaterskiej pomocy teraz tryumfuje, — jakżeby się naprawdę cieszył, że jego prace nie były daremne.“

Przemawiał też naczelnik rządu republiki.

Oprócz nich przemawiali jeszcze przy pomniku Pułaskiego: ks. Rhode, biskup polski w Ameryce, p. Jan Smółski z Chicago i p. Franciszek Pułaski z Warszawy historyk, przedstawiciel i potomek rodu Pułaskich.

Po odsłonięciu pomnika Pułaskiego uczestnicy uroczystości podążyli do pomnika Kościuszki.

Tu przemówił minister wojny, Dikinson. Wypowiedziawszy gorące słowa uznania dla obu wodzów polskich, oświadczył Dikinson, że Kościuszko był jednym z najgodniejszych towarzyszów Waszyngtona.

„Od początku swej działalności — mówił minister amerykański — aż do pola walki, na którem Kościuszko padł okryty ranami, nie masz ani jednej skazy na jego chwale!

Jego miejsce jest wśród bohaterów świata, a imię jego na zawsze jest złączone z Jerzym Waszyngtonem.“

Strejk górników i hutników w pow. Chrzanowskim: Grupy strejkujących.

Przy pomniku Kościuszki przemawiali nadto pp. Antoni Szreiber ze Związku narod. polskiego i Stęczyński prezes tego Związku. Ostatni odczytał też depeszę b. prezydenta Stanów Zj. Teodora Rosewelta, nadesłaną z Berlina pod adresem Związku narodu polskiego, która brzmiała:

„Przyjmijcie panowie moje życzenia dla wszystkich Amerykanów polskiego urodzenia czy pochodzenia, z okazyi odsłonięcia pomników obu wielkich bohaterów, Kościuszki i Pułaskiego, których imiona na zawsze zapisane są na honorowych kartach amerykańskiej historyi“.

Na zakończenie uroczystości odmówiono modlitwę.

Cały Waszyngton ozdobił się na ten dzień flagami, a wogóle stolica Stanów miała nastrój świąteczny.

Wieczorem odbył się bankiet, na którym było 300 osób, a między niemi około 50 wybitnych mężów stanu.

Przemawiali tu Polacy ze wszystkich dzielnic Polski.

Na zakończenie przeczytano list otrzymany od H. Sienkiewicza z Krakowa.

Treść listu tego była następującą:

„Serce moje jest przy Was i cieszy się razem z Wami chwałą naszych narodowych bohaterów. Walczyli oni za wolność Stanów Zjednoczonych, przez co zapewnili Polakom prawo moralne do tej ziemi i umiłowawszy ten kraj swobody, a zarazem przechowując wielką i niewygasłą miłość do Polski, zostawili Wam przykład, jak pogodzić i połączyć z sobą te uczucia.

Jesteście przedstawicielami Polski-Macierzy w najwolniejszym na świecie kraju i korzystając z wielkich jego instytucyi w prawy, szlachetny i legalny sposób, składacie tem samem świadectwo, że Polak dojrzał do wolności, że potrafi z niej korzystać i że przywrócenie jej polskiemu narodowi

Strejk górników i hutników w pow. Chrzanowskim: Komitet strejkowy.

leży w interesie ludzkości. Przy spełnianiu tego posłannictwa wobec ludu amerykańskiego, będą przyświecały wiecznie — Wam i Waszym potomkom — dwa wielkie i drogie imiona, należące zarówno do historyi Stanów Zjednoczonych, jak i do polskiej. Posągi obu bohaterów nie mogły stanąć dotychczas na ojczystej ziemi, — tem bardziej zatem chwalebną i tem słuszniejszą jest rzeczą, że postanowiliście wznieść je Wy, którym nie związano rąk. Nieliczni tylko przedstawiciele Ojczyzny mogli się stawić na tę uroczystość, ale duch Polski jest w tej chwili z Wami, drodzy Rodacy, a wszystkie usta polskie powtarzają słowa, któremi kończę ten list: Cześć pamięci Pułaskiego i Kościuszki!“

Sekretaryat Komitetu obyw.
dla sprawy F. Kurasia
w Tarnobrzegu (ul. Kościuszki) poleca:

Kuraś Ferdynand: Z pod chłopskiej strzechy. Poezye. K. —·50.
Kuraś Ferdynand: Wiązanka z chłopskiej niwy. Poezye. K. —·50
Kuraś Ferdynand: Tatarzy z Sandomierza. Dwie leg. Z przedmową Z. Kolasińskiego. K. —·50.

40% z rozprzedaży przeznaczone na Dar Narodowy w postaci zagrody dla poety F. Kurasia.

Pierwsza krajowa odlewarnia metali i żelaza, fabryka maszyn i pomp
S. ZWEIGA W RZESZOWIE
Rok zał. 1830. **przedtem Sz. Gelbglesser.** Rok zał. 1830.

Księgarnia
K. WOJNARA
w Krakowie, ul. Szewska L. 20
poleca w wielkim wyborze **dzieła powieściowe, historyczne, naukowe, wydawnictwa ludowe, kalendarze i t. p.**
Katalogi darmo i opłatnie.

BANK dla ZIEMIAN
w Kopyczyńcach

ma na sprzedaż, na wieczystą własność kupujących doskonałe czarnoziemy I-szej klasy.

NA PODOLU

udają się tam zboża i okopowizny wszelkiego rodzaju. — Morg wydaje przeciętnie po 120 korcy ziemniaków, 12 korcy pszenicy, 12 korcy żyta. — Dla wygody parcelantów Bank dla Ziemian ma na składzie drzewo materyałowe, cegłę i t. d.

W majątkach parcelowanych Bank zakłada szkoły polskie i kościoły.

Ceny gruntów przystępne. — 1/3 część ceny kupna pokrywa Bank 4 1/2% pożyczką Banku Krajowego na dłuższe lata.

Adresować wprost
Bank dla Ziemian w Kopyczyńcach.

CZĘŚĆ IV.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA.

W dziejach świata po większych wzruszeniach w 1909 r., ubiegły rok minął stosunkowo dość spokojnie, — gorączka wojenna, jaką odznaczał się poprzedni rok, opadła, a następstwem tej chłodniejszej atmosfery były liczne zjazdy, porozumienia się i usiłowania wyrównania wszelkich rozterek międzynarodowych. Mimo to do powrotu spokoju dawnego daleko, owszem, wyłaniają się coraz to nowsze zawikłania, które znów inne mocarstwa starają się usuwać.

Kierując podług zwyczaju swe oczy najpierw na stolicę św. Piotra, zauważyć musimy, że obecnemu papieżowi Piusowi X. nie szczędzą losy przykrych wypadków. Przedewszystkiem uwydatnia się to w stosunku Watykanu do państw. Między kościołem a Francyą niema najmniejszego zbliżenia, również encyklika (list papieski) św. Karola Boromeusza do katolików niemieckich wznieciła kampanię protestantów niemieckich, — wskutek czego nawet rząd niemiecki widział się zmuszony wdać się w tę sprawę i zażądać wyjaśnienia od Stolicy Apostolskiej. Również w ostatnich czasach przyszło do zerwania układu między Stolicą apostolską a Portugalią i arcykatolickim krajem Hiszpanią. Rząd hiszpański nie działał wprost przeciw religii i kościołowi, lecz wobec ekonomicznego przesilenia kraju, pragnął odjąć niektóre przywileje bogatego duchowieństwa i zakonów.

Wyjaśnić należy, że Hiszpania była niegdyś krajem bogatym, ale bogactwa jej leżały w zamorskich koloniach, wtedy duchowieństwo odegrało w pracy kulturalnej ogromną rolę — nic więc dziwnego, że kościół hiszpański przyszedł do znaczenia i powagi, a nadewszystko do wielkich bogactw i majątków, gdyż rząd popierał, zresztą we własnym interesie, zabiegi duchowieństwa. Skoro Hiszpania utraciła kolonie, i wyniszczona została częstemi wojnami zewnętrznemi i wewnętrznemi, rząd zwrócił się w tę stronę, gdzie był dobrobyt, t. j. ku dobrom kościelnym. Wszystkie dobra kościelne uwolnione tam są od podatków, klasztory posiadają fabryki itp., z których też podatków nie płacą itd. Otóż przeciw tym przywilejom wystąpił rząd, i pragnął je znieść. Ponieważ na czele rządu stał liberał Canelejas, który działaniem za radykalnem wzbudził podejrzenie w sferach katolickich, że to jest początek walki z Kościołem, stąd kwestya cała stanęła na ostrzu miecza i spowodowała nadzwyczaj silne poruszenie w Hiszpanii, które mogło zakończyć się nawet rewolucyą. Dziś jakkolwiek sprawa nie jest ukończona, jednakże jest nadzieja pomyślnego jej załatwienia.

Z naszej strony my dla papieża Piusa X możemy żywić jak najlepsze uczucia, gdyż tylko dzięki jemu, stolica arcybiskupia w Gnieźnie nie jest obsadzona Niemcem, którego tak pragnie usadowić na tronie św. Wojciecha cesarz Wilhelm II. Również dzięki temuż Papieżowi, zdołano obsadzić w Królestwie i na Litwie szereg biskupstw opróżnionych — nowymi pasterzami.

Przechodząc z kolei do spraw słowiańskich, musimy zauważyć, że ruch słowiański, który przed trzema laty powstał tak potężnie, zmarniał prawie zupełnie, a zjazd z r. 1910 w Sofii, stolicy Bułgaryi, był potwierdzeniem tych słów. Nie brali w nim udziału przedstawiciele narodu polskiego, gdyż przyszli oni do przekonania, że nie można jeszcze z przedstawicielami wszystkich narodów słowiańskich wspólnie pracować.

Wiec o szkoły polskie w Ostrawie Polskiej.

Idea wszechsłowiańska, którąby w imię walki i obrony przed wspólnym wrogiem niemczyzną, mogła mieć racyę bytu, okazuje się jeszcze niezrozumiałą i przesadną w pojęciach poszczególnych narodów słowiańskich.

Przechodzimy następnie do trzech państw tych, z któremi łączą nas węzły koniecznej przynależności.

Austro-Węgry po zajęciu Bośni i Hercogowiny popadły w pewne przesilenie ekonomiczne wskutek wydatków olbrzymich na mobilizacyę. To też cały rok 1910 zbiegł na walce rządu z Izbą posłów o nowe podatki, do uchwalenia których Izba nie była tak skłonną. Nadto wybujały też i spory narodowościowe, wskutek połączenia się kilku słowiańskich grup poselskich w jeden silny blok słowiański, który udaremniał wszelką pracę w parlamencie. Polacy do tegoż bloku nie należeli, lecz prowadzili przez prezesa Koła polskiego dr. Głąbińskiego układy z poważnionemi stronami, celem przywrócenia zgody w parlamencie. Ale okazało się, że najgorszymi przeciwnikami parlamentu są sami Niemcy, którzy woleliby obywać się bez niego, aby przy pomocy urzędniczych rządów módz rządzić państwem podług swej woli.

Jak stosunki się ułożą, nie wiadomo, gdyż o jakiejś konkretnej i realnej pracy dziś w parlamencie ani marzyć nie można, jedynie możliwa jest praca z dnia na dzień, bez odległych programów.

Również i na Węgrzech nie lepiej się działo, jak w Austryi. Partye nie-

podległości nie chciały się godzić na propozycye rządu, aż zniecierpliwiony rząd tem położeniem, rozwiązał Sejm, a zarządziwszy wybory, przy swych staraniach uzyskał większość, która jego żądania spełni bez opozycyi.

W przyłączonej Bośni i Hercogowinie urządzono już stosunki polityczne, nadając krajom tym pewną autonomię i konstytucyę przez wprowadzenie Sejmu krajowego. — Kraj ten zwiedził w r. 1910 cesarz Franciszek

w parlamencie niemieckim, ani w sejmie pruskim, a tem mniej w państwie, przedewszystkiem wskutek wniesienia do sejmu reakcyjnego projektu rządowego reformy wyborczej, który zresztą przez sejm obecny został odrzucony.

W tem też tkwi przyczyna, dla której rząd pruski objawił pewne wahanie się w kwestyi polskiej, spowodowane zapewne interwencyą Austryi.

Poza tem tak samo jak Austrya, zbroją się i Niemcy, zaopatrując się

Strejkujące dzieci w Ostrawie Polskiej.

Józef, witany wszędzie przez władze i ludność owacyjnie.

Również i w Niemczech stosunki wewnętrzne uległy pewnej zmianie. Odpadł reakcyjny i znienawidzony kanclerz Bülow, prawdziwa karykatura Bismarka, a jego miejsce zajął Bettman-Holweg, który tem się różni od poprzednika, że o ile Bülowowi zdawało się, że ma własne zdanie, to ten ostatni jawnie już okazuje, że jest ślepym wykonawcą cesarza.

To też nie ma on sympatyi ani

w najnowszego rodzaju broń, oraz budując nowe okręty wojenne.

Rosya po tylu klęskach otrzymanych na Wschodzie, zwróciła się na zachód i dalej prowadzi swą politykę zaborczą. Ale ponieważ nie ma odwagi rzucić się ani na Niemcy, ani na Austryę, przeto poprzestaje na zdobywaniu własnych krajów. Może wydawać się to śmieszne, a jednak jest prawdziwe i świadczy to tylko o braku zmysłu politycznego kierowników rządu rosyjskiego, którzy nie mogą

zdobyć się na prawdziwe reformy dla państwa pławiącego się w bezładzie, idącego z dołu i góry, bo i od proletaryatu i od rządu i jego urzędników. Kto wie, czy nie gorszy jest ten bezrząd uprawiany przez urzędników, czy to przez utrzymywanie całej zgrai agentów-prowokatorów, których zadaniem jest odkrywanie spisków antypaństwowych, a którzy właściwie sami planują spiski i zamachy, aby swe dochody powiększyć, czy też przez niszczenie kraju, powodowane niezwykłemi i milionowemi malwersacyami urzędników, począwszy od najwyższych aż do najniższych, których zresztą nawet żadne rewizye senatorskie wykorzenić nie zdołają.

Zamiast więc leczyć zbutwiałego kolosa od wewnątrz, rosyjski rząd stara się go odnawiać od zewnątrz, będąc zapewne zdania, że spruchniały słup dobrze i pięknie pomalowany odda tę samą usługę, co i zdrowy.

W tym celu wzmacnia się państwo przez wyłączenie z Królestwa Polskiego ziemi Chełmskiej i przyłączenia jej do Rosyi, tak jakby ona należąc do Królestwa Polskiego, do Rosyi o połowę mniej trwale należała. Również przyłącza rząd rosyjski od stu lat do Rosyi należącą Finlandyę, która dotychczas miała jaki taki, już i tak przez carów mocno nadwerężony samorząd, dzięki któremu mogła się pomyślniej rozwinąć, a z chwilą dostania się pod rządy różnych gubernatorów i urzędników moskiewskich, którzy kraj będą okradali i wyciskali zeń ostatnie soki, tak jak się to działo i dzieje na naszych ziemiach, zubożeje, jak i inne tego rodzaju „pobite prowincye“.

Ale choć nie przybędzie w zasadzie ani piędzi ziemi, ani jednego mieszkańca, to jednak zapiszą dzieje Rosyi pod rokiem ubiegłym rozszerzenie się państwa rosyjskiego przez przyłączenie Finlandyi, zamienionej na gubernię.

Oczywiście posłuszna Duma rosyjska wszystko na życzenie rządu uchwala, wobec tego, że składa się z samych żywiołów oddanych rządowi.

Macierz szkolna na Śląsku Cieszyńskim.

Przechodząc do innych państw, zatrzymać się musimy przy Anglii, w której wrzała cały rok prawie walka między lordami a Izbą posłów. Możnaby to porównać do naszej walki demokratów z konserwatystami. Walka zakończyła się wyborami, w których jednak liberali nie uzyskali należytej większości, w dodatku prawie nagle zachorował król Edward VII. i po krótkiej chorobie zmarł.

Na tron wstąpił nowy król Jerzy V., i pewne przeciwności wobec zmiany tronu na chwilę przycichły. Oczywiście, że śmierć króla Edwarda, który był bystrym politykiem i całe swe panowanie poświęcił usiłowaniom odosobnienia Niemiec, zmieniła położenie polityczne w Europie. Zachwiane i na poły rozbite trójprzymierze przez Edwarda, przy pomocy cara rosyjskiego, który w roku zeszłym urządził iście błyskawiczną podróż do Włoch, gdzie w miejscowości Raccogni spotkał się z Wiktorem Emanuelem II., ożyło obecnie na nowo, tem więcej, że młody król angielski Jerzy, zdaje się pragnie dobrze rozglądnąć się w sytuacyi, nim zacznie działać. To też na Anglię oczy wszystkich skierowane, w jakim kierunku potoczy się nowa jej polityka. To tylko pewne, że na korzyść Niemcom ona nigdy nie wyjdzie.

Zato w południowych państwach rok 1910 był rokiem zawieruch i burz. W Portugalii wybuchła walka między stronnictwem rządowem a republikanami, która przemieniła się w rewolucyę. Król Manuel uciekł do Anglii, a w kraju utworzył się rząd republikański.

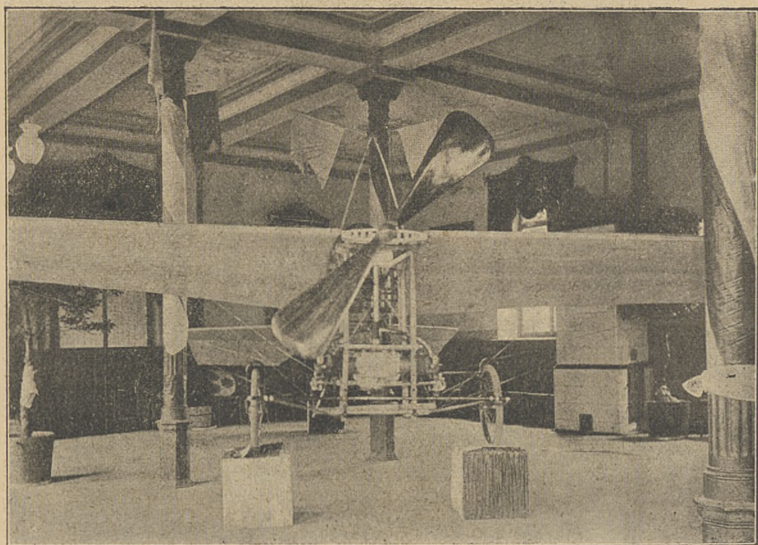

Aeroplan.

W Hiszpanii stosunki układają się podobnie, a nawet o tyle gorzej, że obecnie rząd przez swe radykalne reformy względem majątków kościelnych zwrócił przeciw sobie też i katolików.

Natomiast wrzało jak w kotle cały rok na Bałkanie. Roznamiętnione i usposobione wojowniczo żywioły albańskie, spostrzegłszy, że nastaje spokój, nie mogąc wyrównać inaczej swych nadziei, porwały się na własną rękę na bój. Długi czas nie mógł stłumić rząd turecki powstania albańskiego, które utrudniało mu wszel-

ką akcyę na wewnątrz i zewnątrz kraju. A tymczasem z tych wewnętrznych wywrotów, jakie w ostatnich latach przechodziła Turcya, skorzystali sąsiedzi. Skorzystała Austrya przez ostateczne zajęcie Bośni, która zresztą od 30 lat do niej należała. Skorzystał lenny książę bułgarski Ferdynand, który ogłosił się udzielnym panującym i przybrał tytuł cara, odmawiając daniny Turcyi, — wreszcie do godności królewskiej podniósł swe państwo książę Mikołaj czarnogórski.

Nic na tem tylko nie skorzystała Serbia, jakby za karę za swe groźby wojenne względem Austryi, i na tem polega cała porażka Rosyi na Bałkanie. Ale spokój na Bałkanie nie został rozstrzygnięty, albowiem Turcya, uspokoiwszy powoli kraj i utrwaliwszy wewnątrz rządy, a zewnątrz pozawierawszy z sąsiadami umowy, zwróciła uwagę przeciw, zdaniem jej, największemu nieprzyjacielowi, Grecyi.

Oto bowiem podczas tych zamieszek w Turcyi, Kreta, będąca kością niezgody między oboma państwami, o którą już przed 10 laty przeszło toczono nieszczęśliwą wojnę — uchwaliła przyłączyć się do Grecyi. Rząd turecki nie chciał zgodzić się na postradanie tego pięknego kawałka ziemi i zagroził Grecyi wojną, o ile się Kreteńczyków nie wyrzeknie.

Grecya oczywiście — jakkolwiek biernie się zachowywała — o żadnych zobowiązaniach słyszeć nie chciała. Wtedy wybuchł bojkot towarów greckich w Turcyi, który sprawił nieobliczalne straty Grecyi. Jednak państwo to niestety swym braciom, którzy od stu lat walczą o połączenie się ze swą ojczyzną, pomódz nic nie może, gdyż samo znajduje się w rozkładzie. Krajem rządziła liga wojskowa, złożona tz oficerów armii, narzucając parlamenowi swą wolę.

Wreszcie, gdy zdawało się, że wszystko skończy się rewolucyą, król za zgodą parlamentu, podpisał dekret zwołujący zgromadzenie narodowe, celem naradzenia się nad środkami zaradczymi dla naprawy państwa.

Kreteńczycy usiłowali obesłać swymi przedstawicielami to zgromadzenie greckie, ale rząd turecki na to nie zezwolił. Jedynie naczelnik rządu kreteńskiego Venizelos, wejdzie w skład zgromadzenia jako poddany grecki.

Sprawa bałkańska nie przycichła wcale. Państwa wszystkie widząc osłabienie Grecyi, i obawiając się by bądź co bądź potężniejsza Turcya jej nie zajęła, ciągle godzą obie strony, trzymając na wodzy Turcyę, która wielką miałaby ochotę na Grecyę.

Poza Europą nie zaszły żadne donioślejsze wypadki, któreby odbiły się żywszem echem u nas. To, że w Ameryce poważniły się ze sobą dwie drobne republiki, lub że w innej wybuchła rewolucya, która zakończyła się obaleniem jednego prezydenta, a wybraniem drugiego, — są rzeczy za drobne, by europejskiemu pokojowi zagrażały.

Poważniejszym wypadkiem było zagarnięcie Korei przez Japończyków. Ale cała Europa niema ochoty w obronie państwa, — które choć piękną i starą ma przeszłość, lecz rządzić się nie umie, — narażać się na niebezpieczeństwo wojny, tem bardziej, że ostatnia wojna z Rosyą, okazała w całej pełni siłę Japonii. Nic więc nie pomogły wszelkie starania o pomoc i osłonę posłów koreańskich po dworach europejskich, nic nie pomogły przedstawienia ich delegatów na kongresie pokojowym.

Ten świeży los Korei jest tylko żywym obrazem naszych dziejów i naszej niedoli, i tylko nowem przypomnieniem i nauką, że tylko własną pracą i własną siłą ostać się i bronić się musimy, — i to są jedyni i najlepsi nasi sprzymierzeńcy. Pomnąc więc na los Korei, łączmy swe siły do wspólnej i wielkiej pracy odrodzenia narodowego.

FILIA WE LWOWIE

GALICYJSKIEGO BANKU ZIEMSKIEGO

ul. Batorego L. 32

poleca włościanom, chcącym zakupić gospodarstwa w Galicyi wschodniej, następujące majątki:

OTTYNIĘ, miasteczko w powiecie tłumackim, gdzie jest kościół i parafia rzymsko-katolicka, szkoła polska, Sąd powiatowy, poczta i stacya kolejowa; OLESZĘ w powiecie buczackim koło Monasterzysk i BRYŃ w powiecie stanisławowskim koło Bednarowa, gdzie są już liczne kolonie polskie.

FILIA sprzedaje najlepszą rolę, począwszy od ceny

600 koron za mórg,

tudzież las, począwszy od ceny

400 koron za mórg.

FILIA wyrabia pożyczki Banku krajowego do wysokości jednej trzeciej ceny kupna albo włości rentowe, przy których trzeba złożyć tylko jedną czwartą część ceny kupna. **FILIA** ułatwia nabycie materyałów budowlanych i tworzy w parcelowanych majątkach szkoły i czytelnie.

Filia przyjmuje wkładki

które oprocentowuje na 5%, a za półrocznem lub dłuższem wypowiedzeniem także i na 6%.

Poradnik praktyczny.

Tabelka rozpłodowa.

Rodzaj zwierząt	Popęd płciowy			Zwykły czas ciężarności	Ilość samic na jednego samca	Wiek użycia do rozpłodu	Do ilu lat służą do rozpłodu		Czas ssania młodych
	trwa	Powraca w razie niezapłod.	Pojawia się po porodzie				Samce	Samice	
Konie	5-8 dni	3-4 tyg.	5-9 dni	336 dni	50—80	3-4 lat	12—18	12—15	12-20 t.
Bydło	1-2 „	3-4 „	6-12 tyg.	280 „	60—80	1½-2 „	4—6	12	4-8 „
Owce	2-3 „	3-4 „	6-28 „	150 „	30—40	1½-2½	6—8	6—8	10-16 „
Świnie	2-4 „	9-18 dni	4-8 „	115 „	30—40	¾-1 „	4—5	5—6	6-8 „

Przyśpiesza i pobudza popęd płciowy: silne żywienie (polecają dla bydła i koni 2 fl. siemienia konopnego), w zimie ciepłe budynki, umieszczanie obok siebie zwierząt obojga płci, pojenie krów mlekiem od latujących się krów.

Powstrzymuje i osłabia popęd płciowy: zatycie, skąpe żywienie, środki przeczyszczające, zimne budynki lub wygnanie w zimie na dwór, w lecie oblewanie wodą ze studni.

Kalendarzyk brzemienności zwierząt domowych.

Czas brzemienności trwa średnio:

u klaczy 48½ tygodnia czyli 340 dni (zdarza się od 330 do 419 dni);
u krów 40½ tygodnia czyli 285 dni (zdarza się od 240 do 321 dni);
u świń 17 tygodni czyli 120 dni (zdarza się od 109 do 133 dni);
u owiec i kóz prawie 22 tygodnie czyli 154 dni (zdarza się od 146 do 158 dni);
u królików 30 dni;
kury siedzą na jajach 19 do 24, zwykle 21 dni; indyczki 26 do 29 dni; gęsi 28 do 33 dni; kaczki 28 do 32 dni; gołębie 17 do 19 dni.

Ilość wysiewu główniejszych roślin gospodarskich na mórg.

Nazwa rośliny	Od posiewu do zbioru upływa dni	przy siewie rzutem		Przy siewie rzędowym				Głębokość przykrycia nasienia w cm.
		garncy	kilogr.	garncy	kilogr.	Odległość rzędów w centymetrach	Odległość roślin w rzędach w cm.	
Pszenica ozima . . .	294—350	24—36	72—108	18—28	54—84	12—25	—	2—5
„ jara . . .	126—140	30—36	86—112	25—32	72—100	10—15	—	2—5
Żyto ozime	280—315	28—36	75—100	28—40	60—85	10—25	—	2½—6
„ jare	112—140	35—45	90—135	25—35	70—100	10—15	—	2½—6
Jęczmień ozimy . .	280—322	32—40	78—100	25—30	60—80	15—25	—	3—7
„ jary . . .	70—126	32—40	78—100	28—32	70—80	10—15	—	2½—7
Owies	112—154	45—60	80—120	30—45	60—100	10—20	—	2½—7
Proso	98—112	4—6	12—18	3—5	7—13	15—25	—	1—2½
Kukurudza na ziarno .	140—182	nie sieje się		8—16	28 45	40—60	20—30	3—8
„ pastew. drob.	98—126	20—28	60—80	10—20	25—50	30 40	—	2⅛—6
„ koński ząb .	98—126	—	—	—	40—50	30—50	—	3—8
Hreczka	84—112	20—25	40—70	15—22	30—45	20—3		2½—5
Sorgo cukrowe . . .	—	12—16	35—50	8—12	25—35	25—35	—	2—3
Groch	112—140	36—48	100—150	22—32	65 95	30—40	—	3—8
Bobik	154—196	40—50	110—155	30—38	90—125	20—45	—	4—8
Wyka na ziarno . .	130—150	24—32	70—105	18—24	52—78	25—30	—	3—6
„ „ paszę . . .	—	27—38	80—120	—	—	—	—	3—6
Łubin niebieski i żółty	112—168	25—40	75—125	20—26	60—80	30	—	3—6
„ na zielony nawóz	90—120	32—38	115—155	28—42	88—130	20—30	—	3—6
Soczewica	98—154	14—28	46—92	10—20	35—70	25—30	—	2—5
Fasola	112—140	nie sieje się			70—100	30 60	15—30	4—8
Rzepak ozimy . . .	322—350	3—4½	12—18	2—3	4·5—7·5	40 60	—	1—3
Len na ziarno . . .	98—126	28—36	70—90	24—36	58—80	10—12	—	2—4
„ „ włókno . . .	84—105	48—64	120—160	—	—	—	—	2—4
Konopie na ziarno .	112—140	28—32	55—65	25—30	45—60	40—50	—	2·5—5
„ „ włókno .	—	48—60	80—120	45—50	70—100	30—40	—	2·5—5
Mak	112—126	1—1½	3—5	¾—1	⅖—3	40—50	—	0·5—2
Rośliny okopowe.		korcy		korcy				
Ziemniaki średnie . .	112—182	—	—	8—12	800—1200	60	30—45	3—6
Bulwa	168—196	—	—	9—11	900—1100	60	20	2·5—5
		garncy		garncy				
Buraki pastew. ręcznie	182—210	—	—	2—3	6—9	50	25—40	2—4
„ „ siewnik.	—	—	—	5—6	12—18	—	—	—
„ cukrowe ręcznie	182—210	—	—	3½ 5	10—16	40	15—20	2—4
„ „ siewnik.	—	—	—	7—8	15—22	—	—	—
Marchew pastewna .	182—196	—	—	—	7—8	40	20	0·5—1·5
Rzepa ścierniskowa .	70—84	—	1·5—2·5	—	1—2	30—45	20—30	1 3
Kapusta głowiasta . .	na rozsadę		0·3—0·6	—	—	60	40	½—1
Cykorya	112—140	—	—	—	5—7	40	20	0·5—2
Słonecznik	140—196	—	—	3½	6—8	80	60	2·5—5
Lucerna francuska .	—	—	20—24	—	15—18	10—15	—	0·5—2
„ chmielowa .	—	—	15—20	—	—	—	—	0·5—2
Koniczyna czerwona .	—	—	12—15	—	—	—	—	0·5—2
„ biała . .	—	—	6—9	—	—	—	—	0·5—2
„ szwedzka .	—	—	7—10	—	—	—	—	0·5—2
„ inkarnatka	—	—	8—18	—	—	—	—	0·5—3
Esparceta nieobłusk. .	—	—	100—125	—	—	—	—	1·5—3
Seradela	—	—	20—30	—	—	—	—	1·5—3
Przelot obłuskany . .	—	—	9—15	—	—	—	—	1—3
Sporek	—	—	12—18	—	—	—	—	1
Gorczyca na paszę .	—	—	9—15	—	—	—	—	2—4

Tabelka wysiewu warzyw.

Nazwa gatunku	Ilość ziarn w 1 gramie	Średni % kiełkowania	Siła kiełkowania trwa lat	Wschodzi w dniach	Odległości rzędów cm.	Odległości w rzędach cm.	Czas wysiewu
Kapusta	280	70	4—5	4—6	45—60	40—60	koniec marca kwiecień
Fasola	2	90	3—4	4—6	30—40	40	maj
Groch	4—5	90	4—5	5—6	30—40	15—20	od marca
Cebula	240	70	2—3	10—12	15—20	10—15	marzec
Marchew tarta . . .	1000	60—70	3—4	10—12	30	10—20	„
„ nietarta . .	370	60—70	3—4	10—12	30	10—20	„
Pietruszka	640	60	3	12-14	20	8—10	„
Ogórki	40	70	6—8	13—15	100	20	maj
Kalarepa	250	70	4—5	4—6	25—30	20—40	od marca
Karpiele	250	70	4—5	4—6	40	30—40	kwiecień
Dynie	10—20	70	5—6	5—6	200	200	maj
Buraki ćwikłowe . . .	—	180—200	5—6	8—10	30—40	30—40	„
Pomidory	290	60	6—8	6—8	60	60-80	marzec w insp.

Melioracye czyli ulepszenia rolne.

Począwszy od r. 1896 udziela Wydział krajowy, w miarę przyzwolonych przez Sejm funduszów zgłaszającym się właścicielom gruntów bezpłatnej pomocy krajowego Biura molioracyjnego do projektowania i wykonania melicracyi, czyli ulepszeń rolnych pod tym jednak warunkiem, że projektowane roboty faktycznie zostaną wykonane.

Właściciele gruntów, chcący uzyskać tę bezpłatną pomoc, powinni wnieść najpóźniej do końca lutego każdego roku do Wydziału krajowego ostemplowane podanie, które ma zawierać następujące daty*):

1. Obszar gruntu meliorować się mającego (w hektarach lub morgach).
2. Rodzaj melioracyi zamierzonej (osuszenie rowami otwartymi lub drenami, nawodnienie łąk, kultura torfowa, gospodarstwo stawowe).
3. Najodpowiedniejszą, ze względu na zagospodarowanie porę roku, w której pomiary potrzebne do opracowania projektu mogą być wykonane.
4. Deklaracyę, mocą której właściciel gruntu zobowiązuje się na wypadek, gdyby do trzech lat, licząc od dnia otrzymania planów, nie przystąpił do

*) Wzór podania jest następujący:

Stempel za 1 K.

Do Wysokiego Wydziału krajowego

we Lwowie.

„Podpisani właściciele gruntów w gminie. . . . . powiatu . . . . . . zamierzają przystąpić do osuszenia drenami . . . . . . morgów ról, bezpośrednio do siebie przylegających (lub położonych w . . . . kawałkach), upraszają więc Wysoki Wydział krajowy o zarządzenie zdjęć i opracowanie projektu na koszt funduszu krajowego.

Porą odpowiednią do zdjęć ze względu na zagospodarowanie gruntów jest miesiąc . . . .

Po otrzymaniu projektu technicznego wniosą podpisani prośbę o udzielenie zasiłków ze skarbu krajowego i rządowego.

Zarazem zobowiązują się podpisani dostarczyć delegowanemu inżynierowi podwód, figurantów, palików i map katastralnych, potrzebnych do pomiarów w myśl § 10 instrukcyi z dnia 9. maja 1893 Dz. u. i rozp. kraj. Nr. 67., oraz zwrócić funduszowi krajowemu koszta zdjęć i taksę za projekt, oznaczoną w § 11. wymienionej instrukcyi, gdyby w przeciągu lat trzech po otrzymaniu projektu nie przystąpili do wykonania projektowanych robót“.

Pod tem zamieszcza się miejscowość, datę i podpisy interesowanych, poświadczone przez wójta.

wykonania zaprojektowanych robót, zwrócić funduszowi krajowemu koszta opracowania planów t. j. koszta komisyjne delegowanego do tej czynności urzędnika technicznego, oraz taksę za opracowanie projektu, obliczoną stosownie do obszaru, na którym melioracya zaprojektowaną została.

Na skutek takiego podania Wydział krajowy deleguje na koszt funduszu krajowego jednego z urzędników technicznych krajowego biura melioracyjnego, który w ciągu pory letniej wykonywa pomiary, na podstawie których w ciągu zimy opracowuje plan i kosztorys.

Natomiast interesowany właściciel gruntu obowiązany jest dostarczyć delegowanemu inżynierowi potrzebnych do wykonania pomiarów palików, figurantów, podwód, oraz map katastralnych.

Podobnie udziela Wydział krajowy bezpłatnej technicznej pomocy kraj. biura melioracyjnego do wytyczenia i kontroli zaprojektowanych robót, do wykonania których zostaje przydzielony jeden z krajowych dozorców drenarskich.

Pobory jednak służbowe takiego dozorcy przez czas zajęcia u siebie, zarówno jak i jego koszta podróży pokrywa interesowany właściciel. Pobory te wynoszą stosownie do rangi dozorcy, tytułem płacy od 2·0 do 3·34 koron dziennie, tytułem zaś dyet od 1·0 do 2·50 koron dziennie, nie wyłączając niedziel, dni świątecznych i słotnych.

Na częściowe pokrycie kosztów robót udziela Wydział krajowy spółkom wodnym, przez władze uznanym, gminom lub większej liczbie włościan, których grunta bezpośrednio do siebie przylegające tworzą obszar kilkudziesięciu morgów w jednej całości, 25% zasiłku na drenowanie, a 33⅓% zasiłku na osuszenie rowami otwartymi z funduszu na ten cel przez Sejm krajowy uchwalonego; na wniosek zaś Wydziału krajowego przyznaje c. k. Ministerstwo rolnictwa z państwowych funduszów na drobne melioracye subwencyę w tej samej wysokości, tak, że właściciele gruntów pokrywają z własnych funduszów tylko 50% względnie 33⅓% kosztów robót.

W celu ułatwienia interesowanym spłaty przypadającego na nich 50% względnie 33⅓% datku konkurencyjnego, ustanowiony został przez Sejm kraiowy fundusz pożyczkowy dla spółek wodnych, powiatów i gmin, z którego udziela Wydział krajowy 3% pożyczek, zwrotnych do 30 lat.

Obok tego udziela Wydział krajowy na osuszanie i drenowanie gruntów spółkom wodnym, gminom i poszczególnym właścicielom ziemi bezprocentowej pożyczki zwrotnej w 10 latach w wysokości całych kosztów robót pod warunkiem, jeżeli ta pożyczka znajdzie pokrycie hipoteczne w ⅔ częściach wartości oszacowanej realności.

Z korzystania jednak z tej pożyczki wyłączone są te spółki wodne, gminy i ci właściciele, którzy uzyskali zasiłki z funduszu krajowego i państwowego na wykonanie robót.

O pouczenia wszelkie w sprawie melioracyi zwracać się należy pod następującym adresem: Krajowe Biuro melioracyjne Wydziału krajowego we Lwowie.

Zcalanie gruntów czyli komasacya.

Zcalanie gruntów czyli komasacya jest u nas bardzo ułatwiona, ponieważ istnieje ustawa komasacyjna, zapewniająca wielką pomoc w tej sprawie ze strony Komisyi rolniczej we Lwowie. Niestety, z ułatwień tych nie starali się dotychczas korzystać włościanie, a działo się to może w pewnej części dlatego, że o ułatwieniach tych nie wiedzieli.

Pragnąc więc przyczynić się do jak najszerszego rozpowszechnienia wiadomości w tej sprawie, pomieszczamy tu odpowiednie pouczenie według „Przewodnika Kółek rolniczych“.

Aby do komasacyi gruntów przystąpić, trzeba uzyskać na to zgodę znaczniejszej ilości gospodarzy wsi. Trzeba więc tę rzecz omówić np. na zebraniu Kółka rolniczego i tak pomiędzy gospodarzami prowadzić agitacyę, aby jak najwięcej chętnych zebrać.

Gdy to już zrobiono, można przystąpić do złożenia podania o komasacyę. Podanie takie jest ważne, jeżeli podpisze się na nim przynajmnniej połowa członków gminy. Jeżeliby na razie nie można było pozyskać tak wielkiej ilości gospodarzy, to można napisać podanie od mniejszej nieco ilości np. od trzeciej części, z nadmienieniem, że podpisani będą starali się o zjednywanie innych członków gminy, tak, by w końcu uzyskać potrzebną połowę wszystkich gospodarzy.

Podania takie składa się albo na ręce Starostwa, albo też przesyła się do Komisyi agrarnej we Lwowie, gmach Namiestnicwa. Kółka rolnicze mogą przesyłać te podania na ręce Zarządu głównego.

Skoro wniesione zostało takie podanie, posyła Komisya agrarna tak zwanego komisarza komasacyjnego na miejsce do wsi, który ma tę rzecz przeprowadzić. W pierwszym rzędzie komisarz ten żąda od gminy wyboru specyalnych pełnomocników, którzyby pomagali mu przy jego pracy. Pełnomocnicy to muszą być gospodarze stateczni, znani ze swych dobrych obyczajów i rozumu. Wybierani oni są po to, aby oszacować grunta całej wsi, co jest koniecznie przy komasacyi potrzebne, a prócz tego pomagają przy układaniu nowego planu podziału ziemi.

Szacowanie czyli taksowanie gruntów to rzecz bardzo trudną, boć trzeba dokładnie określić, co każda parcela jest warta. Wybrani więc pełnomocnicy obchodzą wraz z komisarzem lub innym odpowiednim urzędnikiem wszystkie pola i łąki po kolei, każdą parcelę badają i każdą szacują i zapisują jej wartość do osobnej książki

Gdy już tak wszystkie pola są otaksowane, przystępuje się do obliczenia, ile też warte są grunta każdego gospodarza. Niech np. ma który gospodarz 12 morgów ziemi, z tego komisya taksacyjna, czyli owi pełnomocnicy wraz z komisarzem uznali, że dwie morgi najlepsze warte są po 1500 koron, 3 morgi nieco gorsze po 1200 koron, a 7 morgów ziemi lichszej po 800 koron. Obliczają więc, ile jest warte wszystko razem, a więc:

2 morgi po 1500 K — 3000 kor.
3 „ „ 1200 „ — 3600 „
7 „ „ 800 „ — 5600 „

Razem wartość gruntów wynosi 12200 kor.

W ten sposób każdemu gospodarzowi wypisują, ile jego grunta są warte, każdy też może cyfry te kontrolować.

Teraz można już przystąpić do ułożenia planu nowego podziału ziemi. Ponieważ grunta są zawsze nie jednakowe: tu lepsze, a tu gorsze, przeto komisarz komasacyjny zbiera wiadomości, ktoby chciał dostać grunta gorsze, za to więcej, a ktoby zgodził się wziąć mniej, a lepszych. Np. niech wybrany dla przykładu gospodarz, mający 12 morgów, powie, że chciałby mieć grunta nieco lepsze od swoich, takie np., które otaksowane zostały na 1200 kor. za mórg. Jeżeli nic temu nie stanie na przeszkodzie, to komisya komasacyjna wydzieli mu z tych gruntów, ale już nie 12 morgów, ale tylko 10 1/6, boć wartość jego gruntów wynosiła razem 12000 K. Dostanie więc za każde 1200 koron jeden mórg, razem więc 10, a za 200 koron jeszcze szóstą część morga.

Wogóle podział gruntów robi się w ten sposób, aby wszędzie był dobry i łatwy dojazd. Stare więc niepotrzebne drogi kasują się, a zakładają się nowe. Każdy gospodarz ma przytem otrzymać grunt w jednym kawałku. Jeżeli jednak są łąki naturalne, albo jakieś bagnisko, to każdy gospodarz dostanie w osobnym kawałku pole, w osobnym łąkę, a jeszcze w innym kawałek tego bagniska. Oczywiście, jeżeli kto nie miał na tem bagnisku przedtem wcale gruntów, to i przy komasacyi nie dostanie nic.

Po obmyśleniu dokładnem, gdzie któremu z gospodarzy wydzielić pole, rysuje się plan komasacyi, to znaczy, projekt nowego podziału gruntów. Plan ten wystawia się w urzędzie gminnym na parę tygodni, aby każdy z gospodarzy mógł go dokładnie obejrzeć i zbadać, czy nie dzieje mu się krzywda. Jeżeli ktoś uważa, że źle mu nowe pola wyznaczono, albo, że zaszła jakaś inna omyłka, to wnosi odrazu do komisarza komasacyjnego rekurs. Komisarz obowiązany jest rekurs ten zbadać, naradzić się z gospodarzem, który czuje się poszkodowanym i niedomaganie — jeżeli jest — naprawić. Jeżeliby kto nie był zadowolony z orzeczenia komisarza, może jeszcze wnieść zażalenie do komisyi agrarnej we Lwowie.

Gdy już plan podziału wyleżał się w gminie przez oznaczony w ustawie termin, zwołuje komisarz agrarny ostatnie ogólne zgromadzenie gminne, na które każdy interesowany przybyć powinien, aby bez niego nie zapadła uchwała.

Zgromadzenie to ma przyjąć lub odrzucić plan komasacyi. Jeżeli za przyjęciem opowie się tyle gospodarzy, że razem mają oni conajmniej dwie trzecie całego dochodu katastralnego, to plan zostaje zatwierdzony. Wtedy już przystępuje się do nowego rozmierzenia gruntów, do założenia nowych dróg, rowów itp., słowem robi się już właściwa komasacya.

Koszt całej sprawy jest dla gospodarzy bardzo mały, bo za pracę komisarza, pomiary i zdjęcia płaci rząd i kraj. Gospodarze płacą tylko za pracę wybranych przez siebie pełnomocników, dostarczają palików i figurantów, a prócz tego swoim kosztem budują nowe drogi i mosty, o ile są potrzebne. Koszt tych wszystkich czynności zwykle jest niewielki. Żadnych stempli i opłat przy komasacyi się nie opłaca.

Sprawą komasacyi zajmuje się komisya agrarna, której adres jest następujący: Krajowa Komisya agrarna Lwów, Namiestnictwo.

„GŁOS POLSKI"

Tygodnik narodowy dla Podola

Wychodzi w Tarnopolu.

Prenumerata kwartalna 2 kor.

JEDYNE PISMO POLSKIE, WYCHODZĄCE NA PODOLU GALICYJSKIEM.

Materye

półwełniane

na damskie spódnice i kostiumy

tanie, ciepłe, trwałe, w barwach ciemniejszych, w prążki lub kratki, 120 cm. szerokie w dobrym gatunku 1 metr po **75 gr.** wysyła

dom ekspedycyjny

ALOIS HUSAK

w Jimramowe Morawa.

Próbek nie wysyłamy. Przesyłka pocztowa 14 m. (można wziąć z kimś do spółki) kor. 10·70.

Bardzo wiele osób jest chorych na przepuklinę a nie wiedzą o tem, co im jest i czem się wyleczyć lub uchronić, aby można zdrowo pracować.

BANDAŻE na przepuklinę i rupturę

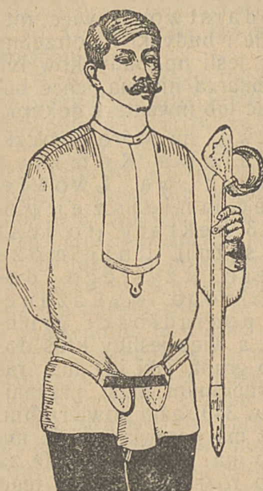

(Bruchbänder) jedno i dwuboczne dla mężczyzn, kobiet i dzieci, 2, 3, 4, 5, 6 koron, z angielskimi aparatami i sprężynami 8 kor. Przy zamówieniu należy podać miarę t. j. objętość osoby w centimetrach lub nitką przesłaną w liście, dalej z którego boku to jest czy **na lewy** lub **prawy bok** a może **na obydwie strony**, od jakiego czasu cierpi na przepuklinę i czy już nosił jaki bandaż. Wysyła za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy.

Wysyła się dyskretnie.

M. L. POLACZEK, SAMBOR, GALICYA.

TOWARZYSTWO

Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie

założone w roku 1860

przyjmuje ubezpieczenia od ognia, gradu i na życie.

Fundusze gwarancyjne z końcem roku 1909

55,008.354 Koron.

Siedziba Dyrekcyi Towarzystwa w Krakowie.

Reprezentacye: we Lwowie, Czerniowcach i Bernie — **Sekcye:** w Przemyślu, Rzeszowie, Stanisławowie i Tarnopolu — ponadto przeszło **400 Agencyi** w różnych miejscowościach kraju.

O pożyczce rentowej.

Pożyczkę rentową może uzyskać tylko rolnik, który ma lub nabywa gospodarstwo, a więc nietylko goły grunt ale i budynki i potrzebny inwentarz, albo też, jeśli np. budynków lub dostatecznego inwentarza nie ma, chce budynki te wybudować lub inwentarz dokupić.

Gospodarstwo, na które pożyczki rentowe daje krajowa Komisya włości rentowych we Lwowie, nie może mieć mniejszej powierzchni jak 3 hektary (to jest 5 morgów 340 sążni), i nie może mieć mniejszego czystego dochodu katastralnego, wykazanego w arkuszu posiadłości gruntowej, jak 50 K, a więc jeśliby ktoś dokupywał gruntu, to grunt, jaki już ma, razem z gruntem dokupionym musi przynajmniej mieć 5 morgów 340 sążni powierzchni. Taksamo, jeśli ktoś ma gotówkę, a nie ma swego gruntu, albo ma swój grunt, ale za mały, albo zanadto rozrzucony i dla tego chce go sprzedać, a kupić nowy grunt i na tym nowym gruncie założyć gospodarstwo i na to chce zaciągnąć pożyczkę rentową, to grunt ten musi być o powierzchni przynajmniej 5 morgów 340 sążni i musi wykazywać czysty dochód katastralny przynajmniej 50 K.

Jeśli ktoś ma gospodarstwo o powierzchni większej i dochodzie katastralnym większym, to oczywiście tem łatwiej pożyczkę może uzyskać.

Grunta, stanowiące gospodarstwo, na które ma być udzielona pożyczka rentowa, muszą być położone w jednej gminie katastralnej, bo muszą być złączone w jedno ciało hipoteczne, w jeden wykaz hipoteczny a to jest możliwe tylko, jeśli grunta są położone w granicach jednej gminy katastralnej. Gospodarstwo winno być własnością nieograniczoną gospodarza lub współwłasnością gospodarza i jego żony. Jeżeli gospodarstwo jest współwłasnością kilku członków rodziny, np. kilku braci i sióstr, natenczas pożyczkę rentową otrzymuje się tylko w takim razie, jeśli oddzielenie da się w hipotece przeprowadzić i część oddzielona ma dostateczną powierzchnię gruntu i własne budynki, albo jeśli ten, co zaciąga pożyczkę rentową, z niej spłaci resztę rodzeństwa. Gospodarstwo, które jest współwłasnością nietylko męża i żony, ale także innych członków rodziny — nie może otrzymać pożyczek.

Jeśli gospodarz nie jest nieograniczonym właścicielem, a więc: jeśli na jego gospodarstwie ciąży np. dożywocie użytkowania, otrzymuje pożyczkę rentową tylko w takim razie, jeśli uprawniony dożywotnik zezwoli na wykreślenie swego prawa z hipoteki.

Gospodarstwo, na którem pożyczka rentowa ciąży, nie może być ani za życia, ani testamentem podzielone, dopóki pożyczka nie jest spłacona całkowicie.

Spłata pożyczki rentowej rozłożona jest na 56 lat, czyli 112 rat półrocznych. Jeżeli ktoś spłaca przez 10 lat regularnie rentę, to po zapłaceniu 20 rat, może spłacić całą resztę pożyczki jeszcze nie spłaconą od razu i bez procentu.

Raty, zwane rentami, płaci się co pół roku. Są one właściwie opłatą tylko procentu $4^1/_2$ od pożyczonej sumy i w ten sposób spłaca się cały kapitał. Jeśli więc ktoś pożyczy np. 10.000 koron, to roczna renta czyli rata wynosić będzie 450 K — czyli wypadnie mu spłacać co pół roku po 225 K.

O bliższe wyjaśnienia i wzory podań na pożyczkę rentową pisać należy pod adresem: Krajowa Komisya włości rentowych we Lwowie, gmach Sejmowy.

Publiczne biura pośrednictwa pracy w Galicyi.

Publiczne Biura pośrednictwa pracy zostały wprowadzone ustawą sejmową z r. 1903, celem ochrony robotników od wyzysku agentów prywatnych.

Biuro pracy jest urzędem, który zajmuje się pośrednictwem pracy, to znaczy każdemu, kto szuka jakiejkolwiek pracy, zarobku, służby i t. d., udziela pomocy, ra-

dy, wskazówek, gdzie i na jakich warunkach może pracę dostać. Z drugiej strony przyjmuje Biuro zgłoszenia pracodawców, poszukujących robotników i sług, a mając zgłoszenia jednych i drugich, łączy ich ze sobą, czyli pośredniczy. Od szukających pracy nie pobiera Biuro **żadnych opłat**, zaś od pracodawców tylko bardzo małe opłaty, jest bowiem urzędem utrzymywanym z funduszów publicznych, któremu nie chodzi o zysk, tylko ma na oku dobro ogólne. Takie Biura postanowiła zakładać u nas w kraju przy Wydziałach powiatowych i Magistratach wspomniana ustawa sejmowa.

Obecnie istnieją Biura publiczne w następujących miejscowościach:

1. Okręgowy urząd pośrednictwa pracy w Krakowie, ul. Jabłonowskich 19, (n. b. dla m. Krakowa i powiatów Kraków i Wieliczka).
2. Miejski urząd pośrednictwa pracy we Lwowie, ul. Ossolińskich 15.
3. Pow. Biuro pośr. pracy w Brodach
4. „ Urząd „ „ w Cieszanowie (n. b. dla powiatów Cieszanów i Jaworów).
5. Pow. Urząd pośr. pracy w Dąbrowie
6. „ Biuro „ „ w Drohobyczu
7. „ „ „ „ w Gorlicach
8. „ „ „ „ w Kałuszu
9. „ „ „ „ w Kolbuszowej
10. „ „ „ „ w Kołomyi
11. „ „ „ „ w Kosowie
12. „ „ „ „ w Limanowej
13. „ „ „ „ w Łańcucie
14. „ „ „ „ w Mościskach
15. „ „ „ „ w Myślenicach
16. „ „ „ „ w Nisku
17. „ Urząd „ „ w Nowym Sączu
18. „ Biuro „ „ w Nowym Targu
19. „ „ „ „ w Oświęcimiu (dla powiatów: Biała, Wadowice, Żywiec).
20. Pow. Biuro pośr. pracy w Podhajcach
21. „ „ „ „ w Sanoku
22. „ „ „ „ w Tarnobrzegu
23. „ „ „ „ w Tłumaczu.

Na czele wszystkich publicznych Biur ustanowionem jest Krajowe Biuro pracy przy Wydziale krajowym we Lwowie, które udziela rady i wyjaśnień w sprawach pośrednictwa pracy wszystkim, którzy się doń zgłaszają.

Pragnęlibyśmy, aby z publicznych Biur pośrednictwa korzystało jak najwięcej ludzi. Podajemy następujące wskazówki:

1. Nie dajcie się wyzyskiwać agentom, zgłaszajcie się do publicznych Biur pracy.

2. Biura nie pobierają od szukających pracy w żadnym wypadku opłat, są zupełnie bezpłatne.

3. Biura pośredniczą w uzyskaniu **wszelkiej pracy**, w kraju i zagranicą, czasowej i stałej, pracy przy robotach rolnych, lasowych, ziemnych, służby domowej i gospodarczej, pracy w fabrykach, rzemiośle, handlu i t. d. Umieszczają też uczniów, czyli terminatorów.

4. Biura nikogo nie zmuszają do przyjęcia pracy lub służby, jeżeli się zgłaszający dobrowolnie na ofiarowane warunki nie zgodzi.

5. Kto zgłasza się w Biurze powinien być cierpliwym, jeżeli zaraz pracy nie otrzymuje. O pracę nie zawsze łatwo, a kto później się zgłasza, musi czekać, aż ci, co przed nim się zgłosili, pracę otrzymają.

6. Jeżeli w powiecie jest Biuro, należy się zgłosić w tem Biurze. Jeżeli nie ma, można się zgłosić albo w najbliższem Biurze w sąsiednim powiecie, albo w Krajowem Biurze pośrednictwa pracy (Lwów, Wydział krajowy), które o takiem zgłoszeniu daje znać wszystkim Biurom w kraju. Nie potrzeba zgłaszać się naraz do **kilku** Biur, bo Biuro, jeżeli nie może samo dać pracy, doniesie o tem wszystkim innym Biurom.

7. Można się zgłaszać ustnie albo pisemnie, wprost albo przez Urząd gminny. Urząd gminny obowiązanym jest zgłaszających się zapisać i posłać pismo do Biura. Kto zgłasza się pisemnie, niech poda wyraźnie swoje nazwisko, adres, wiek i rodzaj pracy, jakiej poszukuje i od kiedy. Pisać krótko i bez wszelkich tytułów. Można napisać i na karcie korespondencyjnej.

8. Jezeli z jednej gminy wybiera się większa ilość ludzi do takiej samej roboty, najlepiej niech zrobią wspólne zgłoszenie i podadzą adres jednego z pwśród siebie, z którym Biuro będzie się porozumiewać. Oczywiście można i pojedynczo się zgłaszać.

9. Kto zgłosił się w Biurze, a tymczasem później rozmyślił się, albo dostał pracę w inny sposób, niech zaraz o tem Biuro zawiadomi ustnie lub kartką, bo tego wymaga porządek.

Kto wybiera się na roboty do Niemiec, albo jedzie do Ameryki, niech wie, że w Oświęcimiu (naprzeciw stacyi) istnieje schronisko dla wychodźców w tym samym domu, gdzie biuro pracy. Można tam za małą opłatą i taniej niż gdzieindziej otrzymać nocleg i strawę.

To są wskazówki dla szukających pracy.

Kto szuka robotników, czeladników lub sług wszelkiego rodzaju, niech zgłasza to w Biurach publicznych, które pobierają od pracodawców bardzo niskie opłaty, a kto szuka uczniów (terminatorów), nie płaci nic.

Szkoły zawodowe.

Krajowe niższe szkoły rolnicze

są następujące: **w Bereźnicy p. Stryj, w Dublanach pod Lwowem, w Horodence, w Jagielnicy, w Kobiernicach p. Kęty, w Miłocinie p. Rzeszów, w Suchodole p. Krosno.**

Krajowa szkoła mleczarska w Rzeszowie. Ma następujące kursy: a) Kurs niższy (mleczarnie ręczne) 5-miesięczny, b) Kurs wyższy (mleczarnie parowe) 6-miesięczny, c) Kurs serkarski roczny. Chcąc być przyjętym na kurs wyższy i serkarski, trzeba wpierw ukończyć niższą szkołę rolniczą.

Zakłady naukowe i Towarzystwa naukowe, służące celom rolnictwa.

1. Krajowa stacya doświadczalna botaniczno-rolnicza. Lwów, Zyblikiewicza 32.
2. Krajowa stacya doświadczalna chem.-rolnicza. Dublany koło Lwowa.
3. C. k. Zakład doświadczalny rolniczy w Krakowie, ul. Łobzowska 24.
4. Sekcya rolnicza komisyi fizyograficznej Akademii Umiejętności w Krakowie.
5. Towarzystwo dla popierania polskiej nauki rolnictwa. Kraków, Grodzka L. 53. Prezes prof. dr. Godlewski.

Niższe szkoły przemysłowe

krajowe i subwencyonowane przez kraj:

Szkoły koszykarskie.

Krajowa szkoła koszykarska w Dynowie
" " " " Gdowie
" " " " Leżajsku
" " " " Niżniowie
" " " " Zatorze
" " " " Brzezowcu ad Brzesko
Subwenc. szkoła koszykarska w Czerwonej Woli
" " " " Albigowej
" " " " Bilince
" " " " Chyszewicach
" " " " Milczycach
" " " " Przewrotnem
" " " " Rudkach
" " " " Sickierczycach
" " " " Tarnobrzegu.

Szkoły kołodziejskie.

Krajowy naukowy warsztat kołodziejski w Grybowie,
Krajowy naukowy warsztat kołodziejski w Grzymałowie,
Krajowy naukowy warsztat kołodziejski w Tłumaczu,
Krajowa szkoła kołodziejska i ciesielska w Kamionce Strumiłowej.

Szkoły stolarskie.

Krajowa szkoła stolarska w Kalwaryi
" " " " Stanisławowie.

Szkoły szewskie

Krajowa szkoła szewska w Dobczycach
" " " " Kołomyi
Krajowy warsztat szewski w Witkowie
" " " " Starym Sączu.

Szkoły tkackie

Krajowa szkoła tkacka w Krośnie.
Naukowy warsztat tkacki w Glinianach
" " " " Gorlicach
" " " " Łańcucie
" " " " Kosowie
" " " " Rychwałdzie.
Subwenc. szkoła tkacka w Korczynie
" " " " Wilamowicach
" " " " Budzanowie

Szkoły koronkarskie.

Krajowa szkoła koronkarska w Zakopanem
" " " " Bobowej.
Subwenc. szkoła koronkarska w Jaworowie
" " " " Kańczudze
" " " " Przeworsku
" " " " Rudkach

Szkoły garncarskie.

Krajowa szkoła garncarska w Kołomyi
Subwenc. " " " Toustem.
Krajowa **szkoła sukiennicza** w Rakszawie.
" **szkoła hafciarska** w Makowie.
Krajowe **kursa dla przemysłu keramicznego** w Podgórzu.
Krajowy **naukowy warsztat dla wyrobu zabawek** w Jaworowie.
Subwenc. **szkoła powroźnicza** w Stryju.

Warunkiem przyjęcia do niższych szkół krajowych przemysłowych jest ukończenie 14 lat życia oraz szkoły ludowej z dobrym wynikiem, względnie udowodnienie odpowiadającego temu wykształcenia. Uczniom pilnym a ubogim daje Wydział krajowy stypendya.

W subwencyonowanych szkołach są warunki podobne — nie ma tylko krajowych zasiłków stypendyjnych dla uczniów.

Wszelkich bliższych wiadomości udzielają Dyrekcye wymienionych szkół.

Szkoły przemysłowe państwowe.

Prócz krajowych szkół przemysłowych są jeszcze szkoły przemysłowe państwowe, niższe i średnie.

Niższe szkoły są następujące:

Szkoła ślusarska w Swiątnikach.
Szkoła kowalska w Sułkowicach
Szkoła przemysłu drzewnego w Zakopanem i w Kołomyi.

Do tych niższych szkół przyjmują podobnie jak do krajowych, po ukończeniu szkoły ludowej.

Towarzystwa krajowe.

Do najwięcej rozpowszechnionych u nas Towarzystw, istniejących po wsiach, należą:

Czytelnie,
Kółka rolnicze,
Straże pożarne,
Teatry i chóry włościańskie.

Należą tu też różne spółki włościańskie, o których mowa w następnym ustępie.

Towarzystwa te powinny istnieć i działać w każdej wsi polskiej, one bowiem w wielkiej mierze przyczyniają się do wzrostu oświaty, dobrobytu, moralności i szczęścia. Można śmiało powiedzieć, że wtedy dopiero nastaną u nas lepsze czasy, gdy zakwitnie między nami życie stowarzyszeniowe i działanie łączne. Więc łączmy się w stowarzyszenia!

Pomieszczamy tu wskazówki do zakładania wymienionych Towarzystw, pragnąc przez to ułatwić zakładanie ich tam, gdzie ich dotąd niema.

* * *

Czytelnię najłatwiej jest założyć przy pomocy i pod opieką jednego z dwóch Towarzystw oświatowych, istniejących w naszym kraju, to jest przy pomocy Towarzystwa Szkoły Ludowej albo Towarzystwa Oświaty Ludowej. Zakładanie Czytelni samoistnej połączone jest z wieloma korowodami, bo trzeba układać osobne statuty i posyłać je do zatwierdzenia do Namiestnictwa.

Chcąc założyć Czytelnię np. pod opieką Tow. Szkoły Ludowej, należy odnieść się w tej sprawie pisemnie lub ustnie do Zarządu Głównego tego Towarzystwa w Krakowie, albo najbliższego Koła Tow. Szkoły Ludowej, jeżeli Koło takie w okolicy się znajduje i rozwija działalność oświatową. Każde zgłoszenie o zawiązanie nowej Czytelni Towarzystwo to przyjmuje bardzo chętnie i stara się je jak najspieszniej załatwić. Pomaga ono w załatwieniu formalności urzędowych, połączonych z założeniem Czytelni, a także ułatwia sprowadzenie odpowiednich książek i czasopism.

W Towarzystwie Szkoły Ludowej są już gotowe biblioteki do Czytelń ludowych, podzielone na 4 stopnie. Pierwszy stopień zawiera książki najłatwiejsze, dalsze stopnie coraz trudniejsze. Ceny tych bibliotek są następujące:

Biblioteka stopnia					
I.	zawierająca	100 dzieł	kosztuje	43 K	16 h,
II.	„	100 „	„	53 „	94 „
III.	„	120 „	„	103 „	75 „
IV.	„	150 „	„	363 „	49 „

Należność za pobrane książki można spłacać ratami, niekiedy można je otrzymać nawet bezpłatnie.

W sprawie założenia Czytelni można się też odnieść do Tow. Oświaty Ludowej.

Adresy tych dwóch głównych w Galicyi Towarzystw oświatowych są następujące:

1) Zarząd Główny Tow. Szkoły Ludowej w Krakowie, ul. Floryańska 15.

2) Zarząd Główny Tow. Oświaty Ludowej w Krakowie, ul. Kanonicza.

* * *

Przy zakładaniu Kółek rolniczych, Straży pożarnych, Teatrów i chórów włościańskich formalności urzędowe są te same.

Kto chce w jakiejś miejscowości zawiązać jedno z wymienionych Towarzystw, powinien dla tej myśli pozyskać grono ludzi chętnych, gotowych do przystąpienia do Towarzystwa. Żeby Towarzystwo mogło powstać, trzeba pozyskać przynajmniej 10 osób.

Następnie należy napisać do Zarządu Głównego danego Towarzystwa list z oznajmieniem, że w tej a w tej miejscowości zawiązuje się takie a takie Towarzystwo; trzeba przytem załączyć spis tych osób, które godzą się na przystąpienie do Towarzystwa. Adresy Zarządów Głównych są następujące:

1) Zarząd Główny Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie, ul. Kopernika 11.

2) Krajowy Związek Ochotniczych Straży pożarnych we Lwowie, ul. Piekarska 26.

3) Zarząd Główny Związku teatrów i chórów włościańskich we Lwowie, ul. Chodorowskiego 5.

Zarząd Główny wysyła bezzwłocznie statuty, wzory podań do władz rządowych i szczegółowe wskazówki, jakie formalności należy wykonać przy zawiązywaniu Towarzystwa.

Po otrzymaniu tych papierów należy wysłać odnośne podanie do c. k. Namiestnictwa we Lwowie w liście poleconym. Podanie powinno być należycie ostemplowane, to jest podanie samo stemplem na 1 K, zaś dołączone 5 egzemplarzy statutu i inne załączniki — o ile potrzebne — stemplami po 30 h. Jeżeli w ciągu 4 tygodni nie nadejdzie odpowiedź z Namiestnictwa, należy to w myśl ustawy o stowarzyszeniach uznać za przychylne załatwienie sprawy i uważać Towarzystwo za legalnie istniejące.

Po tym 4-tygodniowym terminie należy

zwołać członków na Walne Zgromadzenie i wybrać Zarząd miejscowy. Zgromadzenie to zagaja i prowadzi z początku jeden ze zwołujących, a po wyborze Zarządu obejmuje natychmiast kierownictwo obrad przewodniczący Zarządu. O Walnem Zgromadzeniu zawiadamia się c. k. Starostwo najmniej na 24 godzin przed zgromadzeniem. Uwiadomienie to wnosi się bez stempla. (W myśl ustawy o zgromadzeniach należy o każdem Walnem Zgromadzeniu uwiadamiać Starostwo, podać porządek obrad, miejsce i czas). O dokonanym wyborze Zarządu należy znowu w przeciągu 3 dni uwiadomić Starostwo, podając nazwiska członków Zarządu i adresy ich. I to uwiadomienie pisze się bez stempla. Takież zawiadomienie wysyła się także do Zarządu Głównego Towarzystwa z wyszczególnieniem programu najbliższej pracy.

Uwaga. Podobne formalności są przy zawiązywaniu Kół Tow. Szkoły Ludowej, z tą tylko różnicą, że do powstania Koła potrzeba przynajmniej 20 osób. Co do Straży pożarnych, to mogą one też istnieć przy Kółkach rolniczych; gdzie więc znajdują się już Kółka rolnicze, tam niema potrzeby tworzyć oddzielnego Tow. Straży pożarnej, opartego na osobnym statucie, ale należy zawiązać straż przy Kółku.

Spółki włościańskie
pod patronatem Wydziału krajowego.

Z pomiędzy Spółek włościańskich, rolniczych, pozostających pod opieką czyli patronatem Wydziału krajowego, wybijają się na pierwszy plan pod względem rozwoju Spółki oszczędności i pożyczek systemu Rajfajzena, czyli krótko Spółki kredytowe, a następnie Spółki mleczarskie.

Prócz tego znajdują się jeszcze pod patronatem w mniejszej już liczbie Spółki rolniczo-handlowe, Spółki dla kultury torfów, Spółka przemysłowo-rolnicza, Spółka dla chowu i sprzedaży drobiu oraz jaj, wreszcie Spółka sadownicza.

Prawie wszystkie Spółki patronackie rozwijają się dobrze i mają wielką zasługę w pracy nad rozwojem dobrobytu po wsiach. Wprawdzie poza Spółkami kredytowemi inne są nieliczne, ale w niedalekiej przyszłości liczba ich znacznie się powiększy, skoro Spółki kredytowe, jako najpilniejsze, obejmą już swoją działalnością wszystkie gminy w kraju i na inne Spółki rolnicze będzie zwrócona większa uwaga.

Pomieszczamy tu krótkie wskazówki do zakładania wymienionych Spółek.

* * *

Chcąc założyć jakąś Spółkę rolniczą pod opieką Wydziału krajowego, należy przedewszystkiem rzecz dobrze na miejscu przygotować, rozejrzeć się, czy w danej miejscowości są warunki do rozwoju Spółki, a w szczególności czy znajdą się tam ludzie do kierowania Spółką jako jej zarząd i rada nadzorcza. W tym celu wypadnie urządzić niejedno zebranie przy udziale interesowanych włościan, aby sprawę dokładnie wyjaśnić, usłyszeć zdania interesowanych, w danym razie sprostować błędne mniemania, a przeciwnie zużytkować trafne uwagi. Gdy te wstępne kroki wypadną pomyślnie, wtedy można się zwrócić do Biura patronatu z przedstawieniem stanu sprawy i prośbą o dalszą potrzebną pomoc.

Pomoc patronatu w sprawach Spółek rolniczych jest bardzo wydatna. I tak:

Na żądanie przysyła patronat wszelkie pouczenia i druki w sprawach Spółek, także wzory podań do władz;

w razie potrzeby wysyła swego delegata do zawiązania Spółki;

pomaga w załatwianiu formalności z władzami;

daje Spółkom zapomogi na urządzenie się, co np. w Spółkach mleczarskieh wymaga dużych wydatków (na lokal, maszyny mleczarskie);

w razie potrzeby wyrabia Spółkom bardzo dogodne pożyczki, na nizki procent;

kiedy już Spółka jest czynną, patronat sprawuje nad nią zawsze ojcowską opiekę i pomaga jej w rozwoju.

Tak więc Spółka doznaje zawsze, na każdym kroku troskliwej i wszechstronnej pomocy patronatu, i wtedy, kiedy powstaje, i później, gdy już prowadzi swoje czynności.

W sprawie zakładania Spółek rolniczych pod patronatem Wydziału krajowego zwracać się należy po wszelkie bliższe pouczenia i pomoc pod adresem: Biuro patronatu dla Spółek oszczędności i pożyczek przy Wydziale krajowym we Lwowie.

INFORMACYE PRAKTYCZNE.

Przepisy pocztowe.

Dział niniejszy ma na celu zapoznać czytelników z urządzeniami i przepisami pocztowymi w obrębie Austro-Węgier i z zagranicą.

Do zakresu działania Zakładu pocztowego należy przyjmowanie, przewożenie (transportowanie) i doręczanie przesyłek pocztowych.

Do przesyłek pocztowych zaliczają się: **listy, kartki korespondencyjne, druki, gazety, pisma peryodyczne, próbki towarów, przekazy, przesyłki listów z pieniądzmi i papierami wartościowymi.** Dalej wysyłki pijawek, pszczół, królików i małych zwierząt ssących, dziczyzny niekrwawiącej, ptactwa żywego (śpiewaków i ozdobnego pokojowego), ptactwa domowego i dzikiego (z wyjątkiem łabędzi i pawi oraz ptaków drapieżnych), w końcu przesyłki innego rodzaju, jak butle plecione i blaszanki z płynami, corpora delicti, pudła, skrzynki z wiktuałami — masłem, kosze z owocami lub bitym drobiem, przesyłki raków, drożdży i t. p.

Warunkowo to jest na odpowiedzialność nadawcy przyjmuje Zakład pocztowy przesyłki z płynami, przedmioty z natury łatwo łamliwe i podlegające szybkiemu zepsuciu i zgniliźnie.

Nie mogą być wysłane pocztą przedmioty łatwo wybuchające, eksplodujące i łatwo zapalne, jako to: proch strzelniczy, dynamit, bawełna strzelnicza, kollodium, zapałki, ognie sztuczne, wyroby fosforowe i szerlakowe, dalej tłuszczona wełna, nafta, eter, nitro-gliceryna, kwas siarkowy, kwas saletrzany, kwas solny i t. d.

Poczta listowa.

Adres przesyłek powinien być dokładny, mianowicie: zawierać ma imię i nazwisko adresata (odbiorcy), miejsce jego pobytu i ostatnią pocztę, prowincyę (powiat) i kraj, w którym dana miejcowość leży.

W adresie przesyłki do miast większych musi być podaną nazwa ulicy i numer domu. Gdy nadawca listu nie może podać dokładnie ulicy i liczby domu, wtedy powinien przynajmniej bliżej określić charakter (zatrudnienie) odbiorcy i w ten sposób ułatwić poczcie doręczenie przesyłki, względnie usunąć możliwość mylnego jej doręczeuia.

Listy „poste restante“. Często tak bywa, że dokładny adres osoby, do której mamy wysyłać list, kartkę korespondencyjną lub i inną przesyłkę, nie jest nam na razie znany, wiemy jednak to, że po pewnym czasie osoba owa będzie w tej lub owej miejscowości. Zdarza się to naprzykład, gdy rolnik, lub ktoś z jego rodziny, bądź ze znajomych, wyjedzie za zarobkiem do innego miejsca, do Prus, Ameryki lub innych krajów zagranicznych. Wtedy z ową osobą odjeżdżającą można się umówić, że po przybyciu na miejsce swego pobytu, zgłosi się na pocztę z zapytaniem, czy niema dla niej listu lub posyłki zwanej „poste restante“. Do każdej poczty bowiem można wysyłać listy, korespondentki i inne przesylki, które czekają na odbiorcę, póki się sam po odbiór nie zgłosi. Adresuje się je jak zwykłe listy z tą różnicą, że podawszy miejscowość, nie wymienia się ani ulicy, ani liczby domu, lecz zamiast tego dopisuje się „poste restante“. Można także zamiast imienia i nazwiska wypisać tylko umówione litery lub znaki (n. p. zamiast Jan Brzoza, tylko J. B. albo 7—25, albo B—40). Odbiorca musi się zgłosić w urzędzie pocztowym i zapytać, czy pod jego adresem lub pod umówionymi znakami (szyframi) niema do niego listu. Listy „poste restante“ zwykłe mogą być oznaczone tylko pojedyńczemi literami lub liczbami, przy listach poleconych i przesyłkach pieniężnych „poste restante“ musi być podane imię i nazwisko adresata. Zaleca się, aby na odwrotnej stronie listu poleconego „restante“, podać imię i nazwisko i miejsce zamieszkania nadawcy. Listy „poste restante“ (bez zaliczki) mogą zalegać 1 miesiąc w urzędach pocztowych.

Waga listu zwykłego nie może przekraczać 250 gramów czyli pół funta.

Opłata listów. Za list zwykły w obrębie Austro-Węgier i do Niemiec płaci się:
do wagi 20 gramów . . . . . 10 h.
od 20 gramów do 250 gramów . 20 „
Za list za granicę państwa płaci się:
do wagi 20 gramów . . . . . 25 h.
za każde następne 20 gramów . 15 „

Za listy nieopłacone płaci odbiorca podwójną należytość; za listy niedostatecznie opłacone podwójną brakującą należytość. Adresat jednak może odmówić opłaty podwójnej należytości, a tem samem listu nie przyjąć.

Za listy urzędowe niefrankowane, (jeżeli one nie są wolne od opłaty pocztowej) opłaca nadawca pojedyncze porto, to jest 10 względnie 20 h.

Za uchwały sądowe miejscowe opłaca się bez względu na wagę 10 h.

Jeżeli zaś uchwała sądowa pochodzi z innej miejscowości, to jest z innego urzędu pocztowego, to opłata wynosi za uchwałę sądową do 50 gramów 10 h., nad 50 gramów 20 halerzy.

Co to są recepisy zwrotne. Przy wszystkich przesyłkach nadawanych za rewersem nadawczym (potwierdzeniem nadania) może nadawca przy nadaniu żądać recepisu zwrotnego. Recepis ten podpisany przez adresata zwraca urząd oddawczy odwrotnie do stacyi pocztowej nadawczej. Recepis zwrotny wydaje się nadawcy za zwrotem recepisu nadawczego. Za recepis zwrotny opłaca się 25 hal.

Karty korespondencyjne nakładu Zakładu pocztowego są 14 ctm. długie i 9 ctm. szerokie. Pojedyncza karta korespondencyjna kosztuje do wszystkich miejsc austryacko-węgierskiej monarchii i do Niemiec 5 h.

Oprócz kart korespondencyjnych pojedynczych są w użyciu karty korespondencyjne z odpowiedzią. Karta korespondencyjna z odpowiedzią do wszystkich miejscowości austryacko-węgierskiej monarchii i do Niemiec kosztuje 10 halerzy. Do innych miejscowości zagranicznych opłata karty korespondencyjnej pojedynczej wynosi 10 halerzy, a karty korespondencyjnej z odpowiedzią 20 halerzy.

Można także używać kart korespondencyjnych własnego lub prywatnego nakładu, jednak muszą one być tej samej wielkości jak rządowe.

Kwity na odpowiedź. Na międzynarodowym kongresie poczt. w Rzymie 1906 zaprowadzono pożyteczną nowość, mianowicie kwity na opłacenie odpowiedzi listowej z zagranicy. Obecnie jeżeli ktoś chce osobie, przebywającej zagranicą, opłacić odpowiedź listową, kupuje w urzędzie pocztowym kwit za 28 h. na opłacenie tej odpowiedzi i wkłada go do listu. Urząd pocztowy zagraniczny w miejscu zamieszkania adresata wymieni taki kwit na markę odpowiedniej wartości i tą marką opłaca się odpowiedź. W stosunkach z zagranicą polecamy czytelnikom korzystanie z tej nowości. Z państw europejskich nie przystąpiły do obrotu tymi kwitami tylko Rosya, Portugalia, Serbia, Czarnogóra i Turcya.

Co to jest przesyłka polecona? Listy karty korespondencyjne, próbki i druki można rekomendować (nadawać za recepisem).

Za rekomendowane przesyłki ma nadawca oprócz zwykłej należytości pocztowej zapłacić należytość rekomendacyjną 25 h.

Listy polecone muszą być frankowane. Wyjątek stanowią Niemcy, do których można posyłać listy i karty korespondencyjne polecone niefrankowane.

Druki. Jako druki są dozwolone do przewozu gazety, pisma i dzieła peryodyczne, papiery z nakłutem pismem dla ślepych, broszurowane i oprawne książki, nuty, karty wizytowe, arkusze przeznaczone do korekty, manuskrypta, sztychy, fotografie, albumy fotograficzne, rysunki, plany i wogóle druki sporządzone drukiem. sztychem, litograficznie, autograficznie lub maszynowem pismem na papierze, pergaminie lub tekturze.

Do przesyłek druków nie można dołączać listów i prywatnych korespondencyi. Druki muszą być tak opakowane, aby łatwo zbadać można było zawartość przesyłki. Najlepiej wysyłać druki pod opaską. Opaski na druki są do nabycia po 4 hal. za sztukę.

Druki muszą być frankowane przy nadaniu, a opłata wynosi do wszystkich miejscowości państwa austryackiego i do Niemiec:

do	50 gramów . . .			3 h
od	50 do	100	gramów	5 h
„	100 „	250	„	10 „
„	250 „	500	„	20 „
„	500 „	1 klgr.		30 „

Do innych państw zagranicznych druki mogą być wysłane do wagi 2 klg. a opłata wynosi za każde 50 gramów lub część ich 5 halerzy.

Wielkość druków nie powinna przekraczać 45 cm. tak co do szerokości, jakoteż długości; jeżeli zaś mają być nadane w formie zwojów, długość ich nie może być większą jak 75 cm., zaś szerokość 10 cm.

Próbki towarów tylko do wagi 350 gr. w monarchii austryackiej, do Niemiec i innych krajów zagranicznych muszą być wysyłane w woreczkach lub skrzyneczkach i wogóle w takich osłonach, aby zawartość łatwo można było zbadać.

Wielkość przesyłek próbek towarów nie powinna przekraczać 30 cm. w długości, 20 cm. w szerokości, 10 cm. w wysokości. Jeżeli próbki towarów wysyła się w rolce, to wysokość jej nie może przekraczać 30 cm. a średnica 15 cm. Próbki towarów nie mogą przedstawiać zadnej wartości.

Opłata za próbki towaru wynosi do wszystkich krajów austryackich i do Niemiec:

do wagi 250 gramów . . 10 h
nad 250 do 350 gramów 20 h

Do innych krajów zagranicznych do 100 gramów 10 h, a za każde następne 50 gr. 5 h

Co to są listy polecone za zaliczką? Nadawca listu poleconego może obciążyć go zaliczką. Polecone listy za pobraniem są dozwolone wewnątrz państwa austryackiego do 1000 koron.

Na liście poleconym za zaliczką umieszcza nadawca dokładny swój adres i oznacza go mianem „zaliczka“, zaś do krajów zagranicznych słowem „Rembours-ment“. Obok tego oznaczenia na stronie adresowej musi być podana wysokość zaliczki w słowach i liczbach, w walucie, którą się posługuje kraj, do którego przesyłkę wysyłamy.

Listy polecone za zaliczką podlegają takiej samej opłacie jak listy polecone.

List zaliczkowy może być wykupiony do 7 dni, przyczem dzień nadejścia i przypadająca w ten okres czasu niedziela lub święto nie wlicza się. W obrocie z krajami zaeuropejskimi termin wykupna listu poleconego za zaliczką wynosi 15 dni.

Nadawca może żądać częściowego lub całkowitego zniesienia zaliczki ciężącej na poleconym liście zaliczkowym a to opłacając w urzędzie 25 h, jeżeli to zarządzenie ma nastąpić pisemnie, lub uiszczając należytość telegraficzną, jeżeli to zarządzenie ma nastąpić telegraficznie.

Co to są listy expressowe (pilne). Listy i kartki korespondencyjne, listy polecone i inne przesyłki w powyższych ustępach wymienione mogą być doręczone adresatowi natychmiast po nadejściu na miejsce przeznaczenia przez umyślnego posłańca. Takie listy nazywają się expressowe.

Nadawca musi oznaczyć taki list słowem „posłańcem“ lub „Expres“. Za listy expressowe pobiera Zakład pocztowy oprócz należytości listowej, ewentualnie rekomendacyjnej, także należytość ekspressową 30 hal., którą nadawca uiszcza przy nadaniu, lub nalepiając na liście markę za 30 hal.

Jeżeli adresat mieszka po za siedzibą urzędu doręczającego, natenczas należytość posłańcza za list ekspressowy wynosi 1 koronę za każdą milę lub część tej odległości. W tym wypadku różnicę należytości posłańczej dopłaca odbiorca.

Co to są przekazy pocztowe?

Do wysłania pieniędzy można użyć asygnat pocztowych czyli przekazów. Blankiet przekazowy kostuje 3 hal. Są dwa formularze przekazów, a to jedne dla obrotu wewnętrznego czyli dla krajów Austro-Węgier, inne dla krajów zagranicznych.

W obrocie Austro-Węgier musi być kwota podana na przekazie w koronach. Do krajów zagranicznych należy na przekazie podać walutę kraju, w którym leży miejsce przeznaczenia przekazu.

W obrębie monarchii austro-węgierskiej można asygnaty pocztowe nadawać tylko do 1000 kor. Do Niemiec 800 marek. Dla krajów zagranicznych jest podana dopuszczalna wysokość kwot przekazowych w taryfie listowej z roku 1907 na stronie 96 do 110.

Przekazy telegraficzne i expressowe. Na życzenie nadawcy może być kwota przekazu przekazana w drodze telegraficznej, ale to tylko w tych i do tych urzędów pocztowych, w których jest stacya telegraficzna.

Tak jak dla listów, jest dozwolone nadawanie przekazów ekspressowych, których doręczenie uskutecznia się przez umyślnego posłańca.

Każdy przekaz musi być dokładnie według druku wypełniony, to znaczy, musi być podany dokładny adres odbiorcy oraz kwota przekazowa w słowach i cyfrach. Wszelkie przekreślenia lub wycierania na przekazie są zabronione. Na odcinku przekazu nadawca podaje dokładny swój adres i może tego odcinka użyć do prywatnej korespondencyi.

Na odcinkach przekazów do niektórych państw zagranicznych, jak n. p. do Anglii, Ameryki, Rosyi i t. d. nie można umieszczać prywatnej korespondencyi.

Należytość jaką nadawca musi opłacić przy nadaniu przekazu przez nalepienie marek pocztowych po prawej stronie blankietu wynosi w Austryi i do Węgier:

do 20 koron	. . . . .	10 h
nad 20 do 100 koron	.	20 h
„ 100 do 300	„ .	40 h
„ 300 do 600	„ .	60 h
„ 600 do 1000	„ .	1 kor.

Za przekazy zagraniczne są opłaty różne, więc ich tu nie podajemy. Ile one wynoszą do poszczególnych państw, można dowiedzieć się w razie potrzeby na poczcie.

Za przekazy telegraficzne musi nadawca opłacić:

1) zwykłą należytość przekazową;
2) należytość za telegram;
3) należytość ekspressową (posłańczą).

Przy przekazach telegraficznych „poste restante“ nie oplaca nadawca należytości expressowej.

Przekazy telegraficzne wraz z przekazaną kwotą doręcza się adresatowi, jeżeli mieszka w siedzibie urzędu doręczającego; adresata po za okręgiem doręczeń uwiadamia się tylko o nadejściu przekazu telegraficznego.

Dla przekazów telegraficznych używa się umyślnie w tym celu przeznaczonych blankietów, które urzędy pocztowe wydają bezpłatnie, są dwa formularze, jeden dla Austro-Węgier, drugi za granicę.

Za granicę można także wysyłac pieniądze w drodze telegraficznej, ale nie do wszystkich

państw. Które państwa przyjmują przekazy telegraficzne, pouczy każdy urząd pocztowy. Przekazy telegraficzne za granicę wystawia się w monecie kraju przeznaczenia, a opłata wynosi jak za przekazy zwykłe i za telegram.

Listy pieniężne.

Listy z pieniądzmi. W obrocie wewnętrznym monarchii austryacko-węgierskiej i do Niemiec są dozwolone listy pieniężne do 250 gramów.

Do innych krajów niema ograniczenia ciężaru dla listów wartościowyc .

W razie większej wagi, wysyła się przesyłki wartościowe jako skrzynki i pakiety wartościowe za dodaniem adresu przesyłkowego.

Listy pieniężne wysyła się w silnej kopercie, pięcioma pieczęciami zamkniętej. Jeżeli się do listów pieniężnych używa kopert urzędowych, to wystarcza zamknięcie z dwóch lakowych pieczęci. Koperty nie mogą być kratkowane i nie powinny być na nich żadne podkreślenia.

Listy pieniężne mogą zawierać banknoty, papiery wartościowe i t. p.

Monety kruszcowej wolno włożyć do listu pieniężnego 9 K. 99 h., ale tylko w obrębie monarchii austro-węgierskiej i do Niemiec; do innych państw zagranicznych monety takiej przesyłać nie można. Przy wysyłaniu należy ją w papier owinąć i przymocować lakiem wewnątrz koperty, ażeby się w kopercie nie rozsypała.

W A u s t r y i i w obrocie z Węgrami można, jeżeli wartość listu pieniężnego przenosi 1000 koron, nadać go pod kontrolą urzędową, to znaczy nieopieczętowany tak, aby urzędnik mógł sprawdzić kwotę znajdującą się w nim. Po sprawdzeniu zawartości, opieczętowuje urzędnik list czteroma lub dwoma pieczątkami nadawcy i pieczęcią urzędową. Taki list nazywa się przeliczony.

Przy listach pieniężnych przeliczonych opłata musi być przy nadaniu uiszczona i wynosi więcej niż zwyczajna.

Skrzynki wartościowe nie mogą przekraczać 1 klg. i wymiaru 30 cm. długości, 10 cm. wysokości i szerokości.

L i s t y p i e n i ę ż n e z a g r a n i c z n e mogą być wysyłane w kopertach z napisem „*Lettre de valeur*“ lub jako skrzynki wartościowe „boite de valeur“ i muszą być na miejscu nadania opłacone. Listy pieniężne, tak jak inne przesyłki można nadawać per express.

Ponieważ posyłanie pieniędzy w listach jest bardzo kłopotliwe, a przy dochodzeniu o odszkowanie jest wiele zachodu i często można nic nie dostać, dlatego lepiej jest posyłać pieniądze za pomocą przekazów tak wewnątrz kraju jak i zagranicę.

Poczta wozowa.

Pakiety jakoto pudła, skrzynki, kosze i t. d., należy dobrze opakować i osznurować, a podając wartość posyłki opieczętować. Opakowanie pakietów powinno być mocne i pewne.

Przedmioty mniejszej wartości, którym przyciśnięcie nie szkodzi i które ani tłuszczu ani wilgoci ze siebie nie wydzielają, mogą być zawinięte w mocny i gruby papier pakunkowy i obwiązane sznurkiem. Przesyłki większej wartości, a szczególnie takie, które mogą być uszkodzone przez wilgoć, tarcie lub ciśnięcie (n. p. jedwabie), winny być pakowane w ceratę, pudełka kartonowe lub skrzyneczki, stosownie do wartości i odległości, jaką mają przebyć. Dziczyznę, jeżeli nic już nie krwawi, można pojedynczo posyłać (n. p. jedna sarna, zając), także bez opakowania. Więcej sztuk, dziczyzny i bite ptactwo, musi być opakowane w koszu, sitowiu lub chruście z jodły lub świerka.

Płyny i łatwo topliwe tłuszcze można wysyłać w blaszankach lub w butlach plecionkowych.

Flaszki, blaszanki i butle z płynami itp. należy opakować w skrzynki wypełnione wiórami lub trocinami z drzewa. słomą itp.

Beczułki z płynami powinny być mocne i dobrze obite obręczami. Owoce i raki można wysyłać w koszach. Pieczątki na przesyłkach powinny być dokładnie odbite i tak umieszczone, aby bez popsucia pieczątki wewnątrz przesyłki dostać się nie było można. Pudła mogą być zamknięte winietami. Skrzynki zabite gwoździami, kufry zamknięte, jeżeli wartość nie jest podana, mogą być bez opieczętowania nadane.

Niedostatecznie nadane przesyłki są od transportu wykluczone, względnie nadawcy celem sporządzenia należytego opakowania oddane. Jeżeli nadawca mimo złego opakowania domaga się przyjęcia przesyłki, czyni się zadość jego żądaniu, jednak pod warunkiem, gdy na adresie przesyłkowym zrobi dopisek „na własną odpowiedzialność“.

Każdy pakiet winien być dokładnie i czytelnie zaadresowany. Adres pakietu ma zawierać imię i nazwisko adresata, miejsce przeznaczenia, prowincyę i kraj. Oprócz tego należy na pakiecie podać zawartość przesyłki.

Pakiety, tak jak listy, mogą być wysłane „poste restante“. Wtedy muszą mieć napis „poste restante“.

Adres musi być trwale do pakietu przymocowany (całą powierzchnią) lub bezpośrednio na pakiecie napisany.

Przyczepianie adresu lakiem, nie jest dozwolone.

Do każdej przesyłki pieniężnej ponad

250 gr. i do pakietów musi nadawca dołączyć adres przesyłkowy. Adresy przesyłkowe nabywa się po 12 hal

W obrocie wewnętrznym monarchii austro-węgierskiej używa się adresów przesyłkowych koloru zielonego. Dla krajów zagranicznych listy przesyłkowe są koloru różowego.

Adres przesyłkowy musi zawierać te same równobrzmiące znamiona, które zawiera przesyłka. Na jeden adres przesyłkowy można wysłać do tego samego odbiorcy 3 pakiety, ale bez zaliczki i żadna z nich nie może mieć wartości ponad 100 K. Wartość każdej posyłki podaje się osobno, a nie wszystkich razem.

Wolne miejsce na odcinku adresu przesyłkowego służy do podania dokładnego adresu nadawcy i do prywatnej korespondencyi.

Do przesyłek za granicę musi być dodaną oprócz listu przesyłkowego wymagana ilość deklaracyi cłowych (deklaracye cłowe nabywa się po 1 hal. za sztukę) i deklaracya statystyczna.

Posyłki za pobraniem (za zaliczką) w obrębie monarchii do 1000 koron przyjmują i wydają wszystkie urzędy pocztowe. Przesyłając pakiet za zaliczką, musi się go zaopatrzyć w zaliczkowy adres przesyłkowy, który jest barwy niebieskiej, a za granicę barwy różowej i kosztuje 12 h.

Oprócz opłaty przewozowej, uiszcza się przy pakietach zaliczkowych jeszcze prowizyę zaliczkową, a mianowicie za każde 4 korony zaliczki po 2 hal. najmniej jednak 12 hal.

Pobraną należność doręcza urząd pocztowy nadawcy, jak pieniądze przesłane przekazem.

Opłata za posyłki. Opłata za posyłki jest obliczana według wagi, odległości i wartości, a nadto wysokość opłaty zależy od zawartości posyłki lub jej gatunku. Na przykład za posyłki zawierające szkła, płyny i przedmioty ulegające łatwo uszkodzeniu i wymagające ostrożnego obchodzenia się z nimi, lub też zajmujące zbyt wiele miejsca, dolicza się połowę należytości, przypadającej od wagi i odległości.

Taryfa pakietowa jest obliczana na podstawie specyalnych podręczników, więc jej tu nie podajemy. Zaznaczamy tylko, że najtaniej wypada przesyłka pakietów 5-kilogramowych, bo opłaca się za nie na odległość do 10 mil 30 hal., a na dalszą odległość 60 hal.

Przesyłki można nadawać nie opłacając ich, a wówczas dopłaca odbiorca do zwykłej należytości (przy nadaniu do 5 klg.) jeszcze 12 hal. dodatku. Tylko pakiety za granicę (z wyjątkiem Niemiec) muszą być przy nadaniu opłacone.

Za doręczenie pakietu zwykłego do wagi 5 klg. płaci się 10 hal., powyżej 5 klg. 20 hal.

Za pakiety doręczane przez umyślnego posłańca (per express) uiszcza nadawca przy nadaniu oprócz innych należytości 50 hal.

Jeżeli pakiet expressowy ma być doręczony poza siedzibą urzędu, (poza miejscowym okręgiem doręczeń) opłaca odbiorca dodatkową należytość, a mianowicie za każdą milę lub część tej odległości 1 koronę.

Jeżeli do jednego adresu przesyłkowego należy kilka pakietów expressowych, pobiera się opłatę posłańczą od każdego pakietu z osobna.

Przesyłki zwykłe jakoteż za pobraniem muszą być najdalej w ciągu 7 względnie 14 dni od dnia doręczania awiza przez adresata podjęte; przesyłki poste restante bez zaliczki w ciągu 30 dni; przesyłki z żyjącemi zwierzętami natychmiast, adresowane „poste restante“ do 48 godzin.

Czekl. Każdy może przystąpić do tak zwanego obrotu czekowego pocztowej kasy oszczędności, czyli stworzyć sobie konto czekowe w tej kasie.

Każdy posiadacz konta czekowego otrzymuje blankiety zielone, za pomocą których może ktokolwiek w jakimkolwiek urzędzie pocztowym złożyć na rzecz jego sumę nieograniczoną.

Sposobu tego używają wszystkie instytucye bankowe i handlowe, a jest on o tyle wygodniejszym od przekazów, że kosztuje taniej jak przekaz i można za pomocą czeku posłać sumę nieograniczoną. Na blankiecie takim, który na przykład jakiś bank wydaje bezpłatnie swemu dłużnikowi, pisze się kwotę, którą posyłamy, nadto imię i nazwisko płacącego. Blankiet ten oddaje się wraz z pieniądzmi na poczcie. Urzędnik potwierdza na kuponie odbiór pieniędzy, odcina go i wręcza nadawcy.

Kupon należy przechowywać, jak recepis, gdyż stanowi on dowód posłania pieniędzy.

Reklamacye.

Jeżeli nadawca chce dowiedzieć się o prawidłowem doręczeniu lub o losie przesyłki, nadanej za recepisem, musi wnieść reklamacyę.

Termin do wniesienia reklamacyi w Austryi i w obrocie z Niemcami wynosi 6 (sześć) miesięcy od dnia nadania przesyłki.

W obrocie z Węgrami i zagranicą wynosi termin reklamacyjny jeden rok.

Reklamacyę można wnieść w każdym urzędzie pocztowym, za okazaniem rewersu nadawczego, lub książki pocztowej nadawczej.

Także można wnieść reklamacyę pisemną lub ustną wprost do c. k. Dyrekcyi poczt

i telegrafów, Przy wniesieniu pisma reklamacyjnego do Dyrekcyi pocztowej, jest wskazanem dokładne podanie znamion i daty nadania przesyłki lub doręczenie dowodu nadania.

Za reklamacyę uiszcza się 25 halerzy.

Po nadejściu odpowiedzi na reklamacyę urząd pocztowy zawiadamia reklamanta osobnem pismem urzędowem o wyniku reklamacyi.

Reklamacye wnoszone do redakcyi czasopism są zupełnie bezpłatne. Można je wnosić na ćwiartce papieru, złożonej we dwoje lub w kopercie niezamkniętej.

Odpowiedzialność Zakładu pocztowego.

W razie zaginięcia listu poleconego przyznaje Zakład pocztowy nadawcy wynagrodzenie 50 koron, względnie za listy polecone zagraniczne 50 franków.

Wypłata odszkodowania następuje po stwierdzeniu zaginięcia listu poleconego do rąk nadawcy, który wykaże się dowodem nadania (recepisem nadawczym lub pocztową książką nadania) i który w przepisanym terminie list reklamował.

Nadawca i odbiorca winni przedłożyć oświadczenie, że listu reklamowanego nie otrzymali.

Wypłata wynagrodzenia za zaginiony list polecony może nastąpić do rąk adresata tylko wtedy, jeżeli nadawca legalną cesyą swe prawa przeleje na odbiorcę.

Ponieważ wypłata wynagrodzenia może nastąpić tylko za zwrotem recepisu nadawczego, zaleca się staranne przechowywanie tych dokumentów.

Zakład pocztowy nie przyjmuje odpowiedzialności za opóźnienia listów w transporcie lub doręczeniu, chociażby to opóźnienie wynikło z winy funkcyonaryuszów pocztowych.

Także nie odpowiada Zakład pocztowy za przesyłane w listach poleconych kwoty pieniężne.

W razie opóźnienia terminu reklamacyjnego traci nadawca prawo do żądania wynagrodzenia za przesyłkę poleconą.

Nadto przyznaje Zakład pocztowy wynagrodzenie za zaginiony, uszkodzony pakiet lub za ubytek zawartości jego i za listy wartościowe, do wysokości deklarowanej wartości.

Nie przyznaje się jednak odszkodowania za opóźnienie w transporcie lub doręczeniu pakietów i listów wartościowych.

W razie zaginięcia, uszkodzenia lub ubytku zawartości pakietu o niedeklarowanej wartości przyznaje za każdy kilogram 5 kor.

Przy wymiarze odszkodowania za zaginiony, uszkodzony lub za ubytek zawartości pakietu zawierającego wyroby masarskie, wiktuały, mięsiwo, bity drób, dziczyznę, raki i t. p., oblicza się odszkodowanie według cen targowych tej miejscowości, w której przesyłka nadana.

Przy uszkodzeniach przesyłek oszacowuje się szkodę przez rzeczoznawców. Strona może się domagać odszkodowania tylko za uszkodzoną część zawartości.

Jeżeli zaginięcie, uszkodzenie lub ubytek zawartości pakietu nastąpi z winy nadawcy, a mianowicie wskutek niedokładnego (nieczytelnego lub niewyraźnego) adresu, niedostatecznego opakowania, lub odpadnięcia nietrwale przytwierdzonego adresu, wtedy Zakład pocztowy nie przyznaje odszkodowania.

Za przesyłki z płynami, przesyłki z natury łatwo łamliwe i podlegające szybkiemu zepsuciu lub zgniliźnie, jak wyroby masarskie, dziczyznę, bity drób i t. p. nie przyjmuje Zakład pocztowy w razie zepsucia lub uszkodzenia ich zawartości, żadnej odpowiedzialności, czyli nie przyznaje odszkodowania.

Niedoręczalne przesyłki z przedmiotami podlegającymi szybkiemu zepsuciu lub zgniliźnie, sprzedaje Zakład pocztowy w drodze publicznego przetargu czyli licytacyi, na rzecz nadawcy.

Wypłata odszkodowania za pakiety następuje do rąk nadawcy, który wykaże się dowodem nadania.

Adresat wtedy tylko może żądać przyznania wynagrodzenia, jeżeli przyjmie uszkodzoną przesyłkę lub z ubytkiem zawartości, z zastrzeżeniem odszkodowania.

Za zaginioną przesyłkę może odbiorca domagać się wynagrodzenia na podstawie cesyi przekazującej prawa nadawcy na odbiorcę.

W razie zaginięcia listu wartościowego przyznaje Zakład pocztowy pełną deklarowaną wartość.

Jeżeli list wartościowy, zaginiony zawierał papiery wartościowe (weksle, książeczki Kasy oszczędności i t. p.) opiewające na pewne nazwisko, winien nadawca bezwłocznie spodować amortyzacyę (sądowe unieważnienie) zaginionych papierów, wtedy zwraca się mu tylko koszta amortyzacyjne.

Przepisy telegraficzne.

Przepisy ogólne. Depesze dopuszczalne są do wszystkich miejscowości. — Gdzie stacyi telegraficznej niema, tam może być depesza z ostatniej stacyi telegraficznej przesłana pocztą lub posłańcem.

Depesze powinny być zwięźle i jasno pisane, oprócz tego należy zachować następujące przepisy:

1. Depesze należy pisać atramentem, o ile możności najczytelniej łacińskiemi literami.

2. Na adresie depeszy wyrazić imię i nazwisko adresata, charakter, miejsce zamieszkania, ulicę i numer domu, w końcu miejsce przeznaczenia.

Taksowanie telegramów. Wszystko, cokolwiek nadawca napisze, bywa do telegramu wliczone i taksowane, z wyjątkiem znaków pisarskich jak: kropka, przecinek, średnik, znak pytania i t. p. Za jeden wyraz liczy się słowo najwyżej o 15 głoskach, powyżej zaś za dwa słowa. Wyjątek stanowią (tylko w adresie) nazwiska miast, krajów i t. p. Liczby w telegramie stanowią każda grupa z 5 cyfr jedno słowo; pojedyńcze głoski dodane do liczb, liczą się również za cyfrę. Taksa za telegram w monarchii austro-węg. składą się z należytości 6 hal. za każde słowo. Opłata oblicza się najmniej za 10 słów.

Telegram z opłaconą odpowiedzią. Nadawca może, jeżeli żąda od adresata odpowiedzi, zaraz ją przy nadaniu opłacić, ilość zapłaconych słów odpowiedzi jest nieograniczona. Przed adresem takiego telegramu należy napisać *RP.* i cyfrę oznaczającą ilość słów zapłaconych n. p. *RP. 8.* Odbiorca otrzymuje równocześnie z telegramem asygnatę (blankiet czerwony) na odpowiedź bezpłatną o zapłaconej ilości słów, ważną przez 6 tygodni i mogącą służyć w którymkolwiek urzędzie telegraficznym do bezpłatnego nadania telegramu. Gdyby odpowiedź zawierała więcej słów, jak opłacono przy nadaniu telegramu pierwotnego, dopłaca się nadwyżkę nieopłaconych słów. W razie nieużycia asygnaty, zwraca się zapłaconą za odpowiedź kwotę, jeżeli ta asygnata przedłożoną zostanie c. k. Dyrekcyi poczt. i tel. w przeciągu 3 miesięcy.

Telegramy z opłaconem zawiadomieniem o doręczeniu. Nadawca może żądać, by mu telegraficznie doniesiono, czy i kiedy nadany telegram adresatowi doręczony został, za co płaci prócz telegramu jeszcze należytość za telegram o 5 słowach. Przed adresem pisze się *PC.*

Telegramy pilne. Nadawca takiego telegramu osiąga tę korzyść, że telegram jego przed wszystkimi innymi telegramami prywatnymi wydanym i doręczonym być musi, chociażby później był nadanym. Należytość za telegram naglący równa się potrójnej należytości zwykłego telegramu. Przed adresem telegramu naglącego pisze się *D.*

Telegramy przesyłane po za obręb urzędu telegraficznego. Telegramy do miejsc nie połączonych siecią telegraficzną, mogą być wysyłane od najbliższej stacyi pocztą lub umyślnym posłańcem, w miarę tego, jak nadawca telegramu zarządził. Za doręczenie telegramu do miejscowości po za siedzibą urzędu telegraficznego umyślnym posłańcem należy się osobna opłata, stosownie do odległości. Opłatę tę uiścić może adresat, albo nadawca. Jeżeli nadawca życzy sobie uiścić należytość posłańczą, winien złożyć odpowiedni depozyt w stacyi nadawczej.

Telegramy takie odznacza się *XPP*, względnie *XPT*, jeżeli zawiadomienie ma nastąpić w drodze telegraficznej. W tym drugim wypadku należy złożyć oprócz depozytu należytość za telegram o 5 słowach (w Austryi 60 hal.).

Za telegramy, które z winy urzędu telegraficznego znacznie spóźnione, lub wcale na miejsce przeznaczenia nie doszły, zwraca zarząd poczt i telegrafów opłaconą należytość, jeżeli odnośna reklamacya w przeciągu trzech miesięcy od dnia nadania telegramu wniesioną zostanie.

Pocztowe Kasy oszczędności.

Urząd pocztowych kas oszczędności ma siedzibę we Wiedniu, lecz wszelkie czynności tegoż załatwiają wszystkie urzędy pocztowe w monarchii austr.-węg.

Kto chce złożyć pierwszą wkładkę do pocztowej Kasy oszczędności, udaje się do urzędu pocztowego, składa tam daną kwotę najmniej zaś 1 K, a urząd pocztowy zapisuje kwotę tę w książeczce wkładkowej, na imię podane opiewającej, potwierdza odbiór złożonej kwoty i wydaje książeczkę. Na książeczkę otrzymaną może właścicciel każdego czasu sam lub przez kogo innego składać dalsze wkładki w każdym urzędzie pocztowym, gdyż książeczka pocztowej Kasy oszczędności nie jest ograniczoną tylko do pewnego oznaczonego miejsca; nikt nie może jednakże posiadać więcej nad jedną książeczkę na swoje imię.

Wkładający otrzymuje po złożeniu wkładki przekraczającej kwotę 100 K najpóźniej do 14 dni potwierdzenie na złożoną kwotę z urzędu poczt. Kas oszczędności z Wiednia, gdyby zaś nie nadeszło lub zaszła

w niem omyłka, powinien włożyciel we własnym interesie natychmiast powiadomić o tem urząd pocztowych Kas oszczędności w Wiedniu. Na książeczce pocztowej Kasy oszczędności nie może nikt nabyć prawa zastawu. Gdyby właścicielowi książeczka pocztowej Kasy oszczędności zaginęła, nikt inny zrealizować jej nie może.

Każdy właściciel książeczki może sobie obrać przy pierwszej wkładce dowolne godło, które własnoręcznie na kontrakwicie zapisuje i które zawsze pamiętać jest obowiązany. Godłem tem może być jakikolwiek wyraz, łatwy do zapamiętania.

Aby ułatwić oszczędzanie kapitału mniejszemi nawet kwotami od 1 K., zaprowadzone są pocztowe karty oszczędności. Są to kartony białe, z wyciśniętą 10-hal. marką pocztową, sztuka po 10 hal.; gdy nalepi się na nim jeszcze dziewięć marek pocztowych po 10 hal., przedstawia karton ten podówczas wartość 1 K. i może być zaraz lub kika razem, najwięcej zaś trzy w jednym tygodniu, złożony w urzędzie pocztowym w celu wpisania kwoty 1 K., a względnie 3 K. do książeczki pocztowej Kasy oszczędności.

Oprocentowanie złożonych wkładek rozpoczyna się od 1. lub 16. każdego miesiąca w miarę tego, czy wkładka przed 1-szym lub 16-tym złożoną została, po 3 procent od sta. Z końcem grudnia każdego roku są procenta obliczane, na które każdy właściciel książeczki otrzymuje najwyżej po roku jego pierwszej wkładki od urzędu poczt. Kas oszczędności czerwoną kartkę, z którą udać się ma w przeciągu dwóch miesięcy do któregokolwiek urzędu pocztowego w celu wpisania procentów do książeczki, lub po upływie tego terminu winien książeczkę odesłać do urzędu pocztowych kas oszczędności do Wiednia, który po wciągnięciu procentów do książeczki, właścicielowi ją zwraca.

Jeżeli książeczką wkładkowa zostanie całkiem zapisaną, powinien ją właściciel wraz z książeczką do wypowiedzeń (żółtą) odesłać do urzędu poczt. Kas oszczędności do Wiednia, a otrzyma bezpłatnie nową.

Jeżeli właścicielowi książka wkładkowa zaginie, powinien natychmiast zawiadomić o tem urząd pocztowy, złożyć kwotę 20 h. w markach pocztowych i podać dokładny adres, godło i o ile możności kwotę na zagubioną książeczkę złożoną.

Wypowiedzenie i wypłata odbywać się może w dwojaki sposób, *a)* wypowiedzenie przez urząd pocztowych Kas oszczędności we Wiedniu, *b)* wypowiedzenie i wypłata do kwoty 40 K. w krótkiej drodze w którymkolwiek urzędzie pocztowym. W każdym wypadku, czy wypowiedzenie następuje przez urząd pocztowych Kas oszczędności w Wiedniu, czy w zwykłym urzędzie pocztowym, odbywa się to bez wielkich formalności i szybko.

Pocztowe Kasy oszczędności zalecają się tem, że ułatwiają składanie nawet bardzo drobnych kwot, bo od 10 hal. począwszy. Na książeczki Kas poczt. mogą składać dzieci: w ten sposób uczą się oszczędności i dochodzą z czasem do większych kwot pieniężnych.

Bliższe pouczenia o pocztowych Kasach oszczędności zawarte są w samych książeczkach składkowych.

Obecnie składanie oszczędności ułatwiają też bardzo Kasy raifeisenowskie, które istnieją po wszystkich niemal parafiach, a od oszczędności płacą procent wyższy, jak kasy pocztowe.

Objaśnienia o telefonach.

Jednym z nowszych a bardzo ważnych i dogodnych sposobów porozumiewania się są telefony. Za pomocą telefonu można się bowiem rozmówić z kimś drugim nawet na bardzo znaczną odległość, wynoszącą nieraz setki a nawet tysiące kilometrów, przyczem na każde zapytanie ma się natychmiastową odpowiedź, telefonem bowiem rozmawia się prawie zupełnie tak samo, jak gdy dwaj ludzie rozmawiają, stojąc obok siebie. Siłą, która przenosi mowę ludzką na odległość, za pomocą odpowiednich aparatów czyli przyrządów, jest prąd elektryczny. We wszystkich większych miastach są urządzone stacye telefoniczne miejscowe, a nadto główniejsze miasta są ze sobą połączone telefonicznie, można więc rozmawiać np. między Krakowem a Lwowem, między Krakowem a Tarnowem, między Lwowem a Wiedniem i t. d. i t. d.

Kto chce być przyjętym do związku uczestników c. k. sieci telefonicznej, musi wnieść ostemplowane podanie do c. k. Dyrekcyi poczt i telegrafów, która rozstrzyga sprawę, ewentualnie może odmówić proszącemu bez podania powodów. Z dniem 1 lipca 1907 zniesiono opłatę należytości budowlanej, natomiast podwyższono roczną należytość abonamentową, robiąc ją zawisłą od miejscowości, jakości stacyi i ilości rozmów. Z galicyjskich sieci telefonicznych przydzielono Lwów i Kraków do grupy 4, a resztę sieci do grupy 6. W grupie 4 wynosi roczny abonament 145 K, 170 K, 215 K. i 2[illegible]0 K, a w grupie 6-tej 115 K, 120 K, 170 K i 180 K, zależnie od ilości rozmów. Najniższa opłata

odnosi się tylko do stacyi urządzanych w ubikacyach, wyłącznie na mieszkania przeznaczonych, a roczna ilość rozmów ograniczona jest do 3000, względnie do 6000 i 12000. Za stacye uboczne w tym samym budynku, co stacya główna, opłaca się rocznie 40 K, w przeciwnym razie opłaca się jeszcze nadto zależnie od długości linii dodatek. Rządowe władze i urzędy opłacają połowę rocznej należytości. Taką samą zniżkę mogą uzyskać na prośbę urzędy autonomiczne i gminne, zakłady zaś i instytucye, służące publicznej użyteczności, mogą uzyskać 30% opustu.

Należytość abonamentowa płatną jest w półrocznych ratach z góry w pierwszej połowie stycznia i lipca. W razie zwłoki wyłącza Zarząd poczt i telegrafów abonamenta ze związku sieci telefonicznej, przypadającą należytość zaś ściąga w drodze egzekucyi. Za pośrednictwem telefonu może uczestnik nietylko komunikować się z innymi uczestnikami, ale nadto nadawać i odbierać telegramy za uiszczeniem odnośnej należytości. Używanie stacyi telefonicznej może być wymówione tylko półrocznie z góry od 1-go stycznia lub 1 lipca. Przyrządy telefoniczne należy chronić od uszkodzenia.

Dotychczas istnieją sieci telefoniczne we Lwowie, Krakowie, Białej, Bochni Borysławiu, Brodach, Czerlanach, Drohobyczu, Gorlicach, Gródku Jagiellońskim, Jarosławiu, Jaśle, Jaworznie, Kalwaryi, Kołomyi, Lubieniu Wielkim, Nisku, Nowym Sączu, Okocimie, Oświęcimie, Podwołoczyskach, Probużnie, Przemyślu, Przeworsku, Rzeszowie, Samborze, Sanoku, Sassowie, Schodnicy, Stanisławowie, Stryju, Szczakowej, Tarnopolu, Tarnowie, Truskawcu, Trzebini, Wieliczce, Zagórzanach, Zakopanem, Złoczowie i Żywcu.

Oprócz dwóch linij międzymiastowych Lwów-Wiedeń, do których są włączone miasta Przemyśl, Jarosław, Przeworsk, Rzeszów, Tarnów, Kraków, wybudowano także między Drohobyczem, Borysławłem a Schodnicą, między Krakowem - Wieliczką, między Żywcem - Bielskiem-Białą, między Lwowem-Gródkiem Jagiell.-Czerlanami a Lubieniem Wielkim, między Drohobyczem a Samborem, między Drohobyczem a Truskawcem, między Oświęcimem a Nowem Beruniem (Śląsk), między Szczakową a Katowicami (Śląsk) i między Trzebinią, Szczakową i Jaworznem międzymiastowe linie telefoniczne. Za rozmowy na międzymiastowych liniach telefonicznych opłaca się osobne należytości, które składa przed rozpoczęciem rozmowy zawsze wołający; wołany rozmawia bezpłatnie.

Pouczenie,

jak najlepiej wysyłać pieniądze z Ameryki do domu.

Wychodzcy, którzy chcą wysyłać pieniądze do swych krewnych, nie wiedzą często w jaki sposób mogliby to uczynić odpowiednio, pewnie i tanio. Często wkładają oni banknoty amerykańskie do listów. Postępowanie takie jest jednak bardzo niepewne, gdyż w razie zaginięcia pieniędzy podczas przewozu nie otrzymują oni żanego odszkodowania. Nie wystarczy także, jeżeli nadają list za recepisem, jako polecony, gdyż poczta płaci wtenczas tylko za zaginięcie listu 50 kor., nie płaci jednak odszkodowania, jeżeli zginą tylko pieniądze z listu i w żadnym wypadku nie płaci więcej jak 50 kor., chociażby zaginiony list zawierał więcej pieniędzy.

Nawet wtedy, gdy krewni w kraju otrzymają amerykańskie pieniądze, muszą je zmienić na austryacką walutę i nie otrzymują wtenczas częstokroć pełnej wartości.

Często też dają wychodźcy pieniądze agentom banków, aby ci wysłali te pieniądze do krewnych wychodźców. Także i ten sposób nie jest ani pewny ani tani. Są bowiem oszuści, którzy biorą od wychodźców pieniądze i zatrzymują je sobie.

Ale gdyby nawet pieniądze zostały rzeczywiście wysłane, to upływa zazwyczaj dużo czasu, zanim się one dostaną do rąk uprawnionych odbiorców a nadto odlicza się przy przeliczaniu amerykańskich pieniędzy na naszą walutę wielką prowizyę.

Tych niedogodności i niepewności może wychodźca uniknąć, jeżeli nada pieniądze przekazem na poczcie amerykańskiej albo za pośrednictwem towarzystwa „American Express Company“.

Nadanie przekazu uskutecznia się w następujący sposób:

1. Przekazy pocztowe za pośrednictwem poczt amerykańskich.

Kto chce nadac przekaz, musi pójść do pocztowego urzędu, który jest upoważniony do wysyłania przekazów do Austryi. Urzędnik najbliższego urzędu pocztowego, pełniący służbę przy okienku, powie mu, czy może tam przekaz nadać, lub do którego urzędu ma się udać.

W urzędzie pocztowym otrzyma nadawca wydrukowaną kartkę, którą musi wypełnić t. j.

musi napisać na tej kartce kwotę, dokładny adres odbiorcy, swoje własne nazwisko i swój adres. Koniecznem jest, ażeby to uczynił bardzo dokładnie i wyraźnie. Jeżeli sam nie umie pisać lub nie jest wprawny w pisaniu, to powinien poprosić kogoś ze znajomych, ażeby za niego wypełnił formularz. Adres musi być bardzo dokładny, ażeby poczta nie omyliła się i nie wypłaciła pieniędzy innej osobie, jak tej, dla której one były przeznaczone.

Gdy formularz zostanie należycie wypełniony, ma go nadawca wręczyć razem z pieniądzmi urzędnikowi pocztowemu, od którego otrzyma potwierdzenie odbioru, które powinien starannie przechować, ponieważ potwierdzenie to jest dowodem, że nadał pieniądze. Amerykańska poczta przelicza dolary na naszą walutę według stałego stosunku $20^2/_5$ cent = 1 K.

Oprócz tego musi nadawca zapłacić tanią należytość przekazową a mianowicie:

do 10 dolarów	8 cent.
ponad 10 do 20 dolarów	10 cent.
ponad 20 do 30 dolarów	15 cent.
ponad 30 do 40 dolarów	20 cent.

i t. d. za każde następne 10 dolarów albo część z tego o 5 cent. więcej.

Poczta amerykańska przyjmuje przekazy tylko do kwoty 100 dolarów.

Jeżeli nadawca chce wysłać większą kwotę, to musi wysłać kilka przekazów, (np. kwotę 190 dolarów, jeden przekaz na 100 a drugi na 90 dolarów).

2. Przekazy za pośrednictwem towarzystwa „American Express Company".

Towarzystwo „American Express Company", które ma we wszystkich większych miastach Ameryki swoje filie, zawarło z austryackim zarządem poczt umowę, mocą której zobowiązało się przesyłać pieniądze natychmiast i pewnie do austryackich poczt. Austryacka poczta wypłaca kwotę adresatowi, jak każdy inny przekaz.

Kto się zwróci do ajencyi towarzystwa „American Express Company", aby tam nadać pieniądze, musi tak samo postąpić, jakby to uczynił, gdyby nadawał przekaz na poczcie. Oprócz tego musi dać ajencyi kartkę, na której ma być wypisany dokładny adres przekazu; jeżeli sam umie pisać, to powinien kartkę tę sam napisać, jeżeli zaś pisać nie umie, to powinien poprosić znajomego, aby mu tę kartkę napisał. Towarzystwo „American Expres Company" przyjmuje przekazy do kwoty 204 dolarów i przelicza je według tego samego stosunku, co poczta a więc $20^2/_5$ = 1 K.

Należytości przekazowe tego towarzystwa są następujące:

do 10 dolarów	5 cent.
ponad 10 do 20 dolarów	10 cent.
ponad 20 do 30 dolarów	13 cent.
ponad 30 do 40 dolarów	15 cent.
ponad 40 do 50 dolarów	18 cent.
ponad 50 do 60 dolarów	20 cent.
ponad 60 do 75 dolarów	25 cent.
ponad 75 do 204 dolarów	30 cent.

a oprócz tego należytość w kwocie 10 cent. za każdy przekaz.

Od towarzystwa „American Express Company" może nadawca żądać, aby mu dostarczyło pisemnego potwierdzenia, że pieniądze wypłacono rzeczywiście adresatowi. Za to potwierdzenie odbioru musi nadawca zapłacić przy nadaniu przekazu osobną należytość w kwocie 5 cent.

Wyciąg z taryfy stemplowej.

(Objaśnienie skróceń: *a.* znaczy arkusz — *k. a.* znaczy każdy arkusz — *sk.* znaczy skala — *n. od p. w.* znaczy należytość od przeniesienia własności).

Adopcya. Dokumenty o adopcyi o ile nie zawierają postanowień majątkowych 1 kor. od k. a.

Alimenta. Układy o ich płacenie, jeżeli z ustawy się należą według skali II., bez ustawowego obowiązku jak darowizny.

Bilanse po 10 gr. od k. a.

Cesye 1. bezpłatne jak darowizny; 2. odpłatne cesye wierzytelności według sk. II., obligów kupieckich, connosamentów, listów bodmeryjnych, warrantów, listów składkowych po 10 gr. od k. a. — innych praw i wierzytelności według sk. II.

Czeki uprawnionych instytucyj po 4 gr. od sztuki.

Czynsz ziemny: umowy o czynsz ziemny według sk. II.

Darowizny: Dokumenty zawierające darowizny między żyjącymi 1 kor. od k. a. — na wypadek śmierci 2 kor. od k. a. Oprócz tego n. od p. w. przy darowiznach między małżonkami nie żyjącymi w separacyi w czasie darowizny, oraz między rodzicami a dziećmi i ich potomstwem 1% i 25% dodatku; między dalszymi krewnymi aż do sióstr i braci stryjecznych, ciotecznych i wujecznych włącznie 4% i 25% dodatku; we wszystkich innych wypadkach 8% i 25% dodatku — przy darowiznach nieruchomości oprócz tego 1½% z 25% dodatkiem.

Dokumenty prawne wogóle, jeżeli nie podlegają opłacie szczegółowo oznaczonej, według sk. II. — Wolne od opłat są dokumenty, które obok właściwych dowodów wręczyć potrzeba publicznym i gminnym kasom, urzędom lub instytucyom zostającym pod zarządem państwa, jedynie tylko w celu manipulacyi, oraz dokumenty, których władze i urzędy wymagają wyłącznie do urzędowego użytku i do których wystawienia strona według prawa cywilnego nie jest obowiązana, dopóki nie użyto ich do innego celu.

Dostawy. Kontrakty o dostawy jak kupna.

Drzewa genealogiczne sporządzone przez osoby prowadzące metryki lub przez nie potwierdzone po 1 kor. od każdego urodzenia, ślubu i śmierci każdej zamieszczonej osoby.

Duplikaty urzędowych dokumentów 2 kor. od k. a.

Dyplomy, przywileje, patenty, licencye, uchwały udzielające obywatelstwo austryackie, wyzwolenia, paszporty dla domokrążców i urzędowe świadectwa uzdolnienia 2 kor. od k. a. — prywatne 1 kor. od k. a.

Działy, protokoły i dokumenty o podziale wspólnej własności, jeżeli nie zawierają przeniesienia własności, po 1 kor. od k. a.

Dzierżawy wieczyste i zwykłe według sk. II.

Ekstabulacye, podania i zezwolenia na ekstabulacye osób uprawnionych, jeżeli nie zawierają poświadczenia odbioru, jak darowizny.

Fundacye, listy fundacyjne po 1 kor. od k. a. — n. od p. w. majątku przeznaczonego na fundacyę, jak od darowizny lub spadku.

Hipoteki, ustanowienie celem zabezpieczenia obowiązku ocennego według sk. II., zresztą po 1 kor. od k. a.

Karty umowne sensali (Schlusszettel) po 50 gr. od sztuki — w razie sądowej skargi należy opłacić należytość od umowy zawartej w karcie.

Kaucyi zapisy, jak zapisy zastawu lub hipoteki.

Kompromisy t. j. zapisy na sąd polubowny po 1 kor. od k. a.

Konta bilansowe, jak bilanse.

Księgi kupieckie główne, contocorrente i saldoconto kupców, przemysłowców i fabrykantów po 50 gr. od k. a., od innych książek z wyjątkiem kopiałów po 40 gr. od k. a. Kopiały wolne od stempli.

Kupna, kontrakty o ruchomościach według sk. III. — o nieruchomości po 1 kor. od k. a., oraz n. od p. w. 3½% i 25% dodatku.

Kwity i potwierdzenia odbioru stwierdzające wykonanie obowiązku lub sumy pieniężnej według sk. II. na rzeczy ocenne odebrane jako zastaw lub w przechowanie po 1 kor. od k. a., a jeśli według sk. II. wypada mniejsza należytość, według tej sk. — kwity na przesyłki wystawione przez przewoźników i zakłady przewozowe: *a)* connesamenty, warranty, ceduły ładunkowe opiewające na zlecenie, po 2 kor.; *b)* wszelkie inne po 10 gr. od sztuki — kwity na pieniądze i inne przedmioty podniesione z depozytu sądowego po 1 kor., a jeżeli według sk. II. wypada mniejsza należytość, według tej sk. — wolne od stempli na sumy i rzeczy poniżej 4 kor. wartości, zresztą pozycya 48 taryfy.

Legalizacye podpisów przez władze rządowe 2 kor., przez notaryusza 1 kor., za równoczesną legalizacyę każdego drugiego

lub dalszego podpisu na tym samym dokumencie przez władze rządowe 1 kor., przez notaryusza 50 gr. — podpisów świadków się nie liczy — na dokumentach do intabulacyi 20 groszy.

Listy rozwodowe izraelitów, jeśli nie zawierają postanowień o majątku, po 1 kor., od k. a., inaczej jak odpowiednie akty prawne.

Losowe kontrakty: *a*) zakłady według sk. II.; *b*) kupno nadziei rzeczy ruchomych według sk. III., — nieruchomości od kontraktu po 1 kor. od k. a. i n. od p. w. $3^1/_2$% wraz 25% dodatku, *c*) od opłat za przyjęcię do Towarzystw zaopatrzenia według sk. II., *d*) kontrakty ubezpieczeń według sk. II., *e*) umowy o rentę dożywotnią w zamian za ruchomości według sk. III., a w zamian za nieruchomości od kontraktu po 1 kor. od k. a. i n. od p. w $3^1/_2$% z 25% dodatkiem.

Małżeńskie kontrakty według sk. II.

Metryki urodzin, ślubu i śmierci po 1 kor. od k. a. i każdej osoby, której urodzenie lub śmierć, albo pary, której ślub potwierdzono.

Najmy, umowy o najem według sk. II.

Oferty do zawarcia kontraktu po 1 kor. od k. a.

Paszporty dla sług, czeladzi, terminatorów, wyrobników, robotników i osób, które nie mają większego dochodu jak dzienny zarobek wyrobnika i wogóle książki wędrowne po 30 gr. — dla innych osób po 2 kor. od egzemplarza — przepustki ośmiodniowe wolne od opłaty.

Pełnomocnictwa, jeżeli nie zawierają umowy o wynagrodzenie, po 1 kor. od k. a., inaczej jak umowy o najem usług.

Podania:

1. podania do władz politycznych, podatkowych i t. d. 1 kor., o ile nie są wolne od stempla lub nie podlegają szczególnej opłacie;
2. o koncesyę przemysłową lub zgłoszenia wolnego przemysłu: *a*) w Wiedniu 12 k., *b*) w miastach o ludności powyżej 50.000 8 koron, *c*) w miastach o ludności od 10.000 do 30.000 6 kor., *d*) w miastach od 5.000 do 10.000 ludności mających 4 kor., *e*) we wszystkich innych miejscowościach 3 kor. od pierwszego arkusza i 1 koronę od każdego następnego arkusza;
3. o udzielenie zezwolenia na muzykę, o pozwolenie trzymania gospód i szynków otworem po zwykłej godzinie, pozwolenie na wystawy, przedstawienia gimnastyczne i teatralne, koncerty za wstępem płatnym, 2 kor. od pierwszego arkusza;
4. w sprawach o nadanie i potwierdzenie szlachectwa, nadanie orderów, pozwolenie na przyjęcie i noszenie obcych orderów, o połączenie lub polepszenie herbów, o pozwolenie na zmianę lub przeniesienie nazwiska, o udzielenie godności, urzędów honorowych, tytułów honorowych i odznaczeń od pierwszego arkusza 10 koron;
5. o udzielenie, uznanie lub potwierdzenie przywilei 6 koron od pierwszego arkusza;
6. o udzielenie lub uznanie obywatelstwa austryackiego, o udzielenie obywatelstwa lub przyjęcie do gminy 4 kor. od pierwszego arkusza;
7. o ogłoszeniu licytacyi, lub podania z którego załatwieniem połączone jest ogłoszenie edyktu, 2 kor od pierwszego arkusza;
8. o paszporty na wywóz, dowóz lub przewóz soli kuchennej, tytoniu, prochu strzelniczego i innych towarów, o ile pozwolenie takie jest potrzebnem, 2 k. od pierwszego arkusza;
9. o pozwolenie na ustawienie, rozszerzenie, zmianę, lub obdłużenie fideikomisu, od pierwszego arkusza 2 kor.;
10. o wpis prawa zastawu dla wierzytelności do 100 kor. — 1 kor. — do 200 kor. 1 kor. 50 gr., powyżej 200 kor. i wszelkie inne podania hipoteczne 3 kor. od pierwszego arkusza;
11. o wpis w rejestrze handlowym nowej firmy, zmian firmy lub zmian we własności firmy, kotraktu spółki i zakładów filialnych 20 kor.; prokury, likwidatorów i praw żony kupca z kontraktów małżeńskich 10 kor. od pierwszego arkusza;
12. wpisy, które zawierają umowę, ulegają nadto należytościom za umowę:
13. wolne od stempli są podania o jałmużnę, przyjęcie do zakładów dobroczynności, o uwolnienie od opłat szkolnych, o nadanie stypendyum, o udzielenie prawa ubogich w sporach lub obrońcy ubogich, podania kuratorów ustanowionych z urzędu, doniesienia i wnioski w sprawach publicznych ze względu na dobro publiczne, podania w sprawach karnych, petycye do panującego, Rady państwa, Sejmów i Rad gminnych w sprawach publicznego dobra, zażalenia na postępowanie urzędników, opiekunów, kuratorów i na nadużycie władzy ojcowskiei, usprawiedliwienia tych osób, w sprawach rozwodowych z powodów iuris publici, w sprawach o wymiar należytości stemplowych i podatków, reklamacye o sprostowanie list wyborczych, sędziów przysięgłych i powołanych do służby wojskowej, w sprawach spadkowych, jeżeli majątek spadkowy bez potrącenia długów 50 kor. nie przenosi, w sprawach z powodu zakładania i prostowania ksiąg

gruntowych, zresztą patrz poz. 44 taryfy.

Poręczenia, jeśli przedmiot nie jest ocennym, po 1 koronie od k. a., zresztą według sk. II.

Poświadczenia hipoteczne po 2 kor. od k. a.

Pozwolenia na noszenie broni (paszporty na broń) 2 kor.

Prenumeracyjne karty wolne od stempli aż do użytku sądowego.

Protokoły spisane zamiast podania stemplować jak podania — zawierające akty prawne ulegają oprócz stempla jako protokoły także stemplowi od aktu prawnego.

Protokoły wolne od stempli spisane przez sąd ze świadkami testamentowymi celem ustalenia rozporządzenia ostatniej woli, ogłoszenia rozporządzenia ostatniej woli, i wogóle protokoły w sprawach niespornych, spisane z urzędu, oraz protokoły o uzdolnieniu kandydata na posadę w jakiejkolwiek gałęzi służby publicznej.

Protokoły licytacyjne według aktu jaki zawierają.

Protesty wekslowe: *a*) sporządzone przez notaryusza po 2 kor. od k. a.; *b*) sporządzone przez sąd do 400 kor. — 4 kor.; powyżej 400 kor. — 6 kor. w. a.

Przekazy kupców lub do kupców na zlecenie lub bez zlecenia, jeżeli opiewają na sumę pieniężną, jak weksle, a jeżeli opiewają na inne świadectwa i jeżeli według sk. II. nie wypada niższa należytość po 1 kor. — służbodawców i mandatów do sług i pełnomocników wolne od stempli — inne przekazy według sk. II.

Punkty przedugodne ulegają tej samej opłacie co stanowcze kontrakty.

Rachunki:

1. osób do ich składania obowiązanych ze względu na stosunek służbowy lub prowadzenie interesów składane osobom do żądania rachnnków uprawnionym — wolne od stempla, dopóki nie powstanie spór o nie lub nie będą użyte jako załączniki. W razie sporu ulegają stemplowi 1 kor., jako załączniki stemplowi 30 gr. od arkusza;
2. z wydatków poczynionych przy sprawowaniu interesów państwa lub publicznych zakładów pod zarządem państwa lub gminy: jak rachunki kosztów podróży, zaopatrywania więźniów i chorych itp., wolne od opłaty stempli;
3. konta, noty, wykazy i książeczki do zapisywania wybranych towarów itp., rachunki kupców i przemysłowców w zakresie ich przedsiębiorstwa z wyjątkiem kosztów bilansowych: *a*) po 10 gr. od k. a. — jeżeli pretensya kwotę 100 kor. przenosi; *b*) od 20 do 100 kor. — po 2 gr. od k. a.; *c*) do 20 kor. wolne od stempla;
4. konta saldowane, jeżeli z nich się czyni użytek sądowy lub przedkłada publicznej kasie zamiast kwitów według sk. II.;
5. rachunki prowadzone dla własnego użytku oraz rachunki, konta, wyciągi itp.; jakie osoba prywatna nie będąca kupcem ani przemysłowcem przesyła osobie trzeciej co do pretensyj, jakie ma do niej, są wolne od opłaty, jeżeli nie zawierają w sobie potwierdzenia odbioru, inaczej ostemplować je należy jak kwity;
6. absolutorya osób prywatnych udzielone składającemu rachunki sądowe lub pozasądowe po 1 kor. od arkusza;
7. uznanie rachunków również po 1 kor. od arkusza.

Skargi do Trybunału administracyjnego po 1 kor. od k. a., zresztą jak podania.

Skład — kontrakty składu za wynagrodzeniem jak kontrakty, o świadczenie u sług, zresztą po 1 kor. od k. a.

Skrypty dłużne według sk. II.

Służebności, ustanowienie tychże: *a*) bezpłatne między żyjącymi jak darowizny, *b*) bezpłatne na wypadek śmierci, jak spadki, *c*) odpłatne użytkowania lub używania nieruchomości oprócz st. po 1 kor. od k. a. kontraktu, $3^{1}/_{2}\%$ z 25% dodatku — wszelkie inne według sk. II.

Spółki, kontrakty spółek nie obliczonych na zysk, 4 kor. od pierwszego arkusza — obliczonych na zysk: *a*) bez wkładek majątkowych, obejmujących jedynie połączenie pracy 10 kor. od pierwszego arkusza, *b*) spółek akcyjnych zawartych na czas dłuższy jak 10 lat według sk. III., *c*) spółek komandytowych na akcye zawartych na czas dłuższy jak 10 lat, od wkładek komandytników według sk. III., od wkładek spólników jawnych według sk. II., *d*) innych spółek według sk. II., jednak nie mniej jak 100 koron.

Świadectwa:

1. wszelkie nie podlegające wyższej lub niższej opłacie wystawione przez rządowe władze administracyjne 2 kor. od k. a., wystawione przez inne władze, urzędy lub prywatne osoby po 1 K. od k. a.;
2. dla sług, czeladników, terminatorów, wyrobników i innych osób z dziennego zarobku żyjących o ich usługach i zachowaniu lub osobistych przymiotach po 30 gr. od k. a.;
3. szkolne z egzaminów półrocznych i świadectwa półrocznej frekwencyi w szkole po 30 gr.;
4. świadectwa egzaminów rządowych na wydziale praw i administracyi, z egzaminu na kursie kucia koni, absolutorya uniwersyteckie 2 kor.;

5. wolne od stempli świadectwa ubóstwa, świadectwa potrzebne do przyjęcia do zakładów dla ubogich, świadectwa z egzaminów w szkołach ludowych, świadectwa lekarskie dla uczniów celem usprawiedliwienia nieobecności w szkole, świadectwa z nauki religii, świadectwa o zgłoszeniu przejścia z jednego wyznania chrześcijańskiego do drugiego, świadectwa szczepienia, świadectwa wpisane do książek służbowych i wędrownych, patrz zresztą poz. 117. taryfy.

Terminatorowie i uczniowie (Lehrlinge) umowy o ich przyjęcie i wyżywienie w zamian za świadczone przez nich usługi bez wynagrodzenia tych usług, po 1 kor. od k. a.

Testamenty i kodycyle po 2 kor. od k. a., należytość płatna po śmierci testatora.

Tłómaczenia urzędowe po 2 kor. od k. a.

Ugody sądowe oprócz stempla do protokołu taki stempel, jaki wypada od aktu zawartego w ugodzie, a więc np. jak od pożyczki, kupna i t. d.

Usługi — nominacye urzędników, oraz osób sprawujących stałe interesa, jeżeli od nominacyi nie należy się taksa według sk. III. — kontrakty o usługi wraz z dostarczeniem materyału jak kupna — zresztą według sk .II.

Ustępstwa pierwszeństwa hipotecznego odpłatne według sk. II., darme po 1 kor. od k. a.

Weksle patrz skale.

Wekslowe nakazy i nakazy w postępowaniu mandatowem do 100 kor. — 2 kor., do 400 kor. — 5 kor., do 1600 kor. — 10 kor., powyżej 1600 kor. — $^1/_2$% i 25% dodatku od pierwszego egzemplarza, każdy dalszy egzemplarz po 2 kor.

Wpisy hipoteczne: *a*) własności użytkowania i używania nieruchomości, jeżeli od ich nabycia należy się n. od p. w. wolne od opłat, zresztą $1^1/_2$% i 25% dodatku; *b*) innych praw ocennych $^1/_2$% i 25% dodatku; *c*) od wpisu praw nieocennych, lub których wartość 200 kor. nie przenosi, nie opłaca się żadnej należytości.

Wyciągi z ksiąg gruntowych i hipotecznych, depozytowych i z rejestrów handlowych, po 1 kor. od k. a.

Wygodzenia kontrakty po 1 kor. od k. a.

Wygrane na loteryi liczbowej do 4 kor. wolne od należytości, powyżej 4 kor. według sk. III. — na innych loteryach 5% od wygranej po strąceniu nominalnej wartości losu — kwity na wygrane wolne od stempla.

Załączniki podań, jeżeli nie są już stemplowane lub jeżeli nie opłacono od nich należytości bezpośrednich: *a)* w sprawach spornych do 100 kor. — 20 gr.; *b*) we wszystkich innych wypadkach po 30 gr. od k. a.; *c)* wolne od stempla zobacz poz. 21. taryfy.

Zamiany, kontrakty, zamiany o nieruchomości według sk. III., a gdyby choć jedna z rzeczy zamienianych była nieruchomą, oprócz 1 kor. od k. a, kontraktu n. od p. w. $3^1/_2$% z 25% dodatku.

Zapisy długu (obligi) na okaziciela według sk. III., zresztą według sk. II.

Zapowiedzi, świadectwa zapowiedzi po 1 kor. od k. a. i każdej pary narzeczonych.

Zastawów ustanowienia jak hipotek ustanowienia.

Zezwolenia na wpis hipoteczny przez osoby obowiązane do ich zeznania osobno wystawione, po 1 kor. od k. a.

Zlecenia do sprzedaży (§ 1086 u. c.) według sk. III.

Zrzeczenia się praw, *a)* odpłatne, jeżeli przedmiot nie da się oszacować, po 1 kor. od k. a., zresztą według sk. II.; *b)* darme jak darowizny.

Ulgi stemplowe.

a) przy wypowiedzeniach drobnych najmów.

Ustawa z 26. grudnia 1893 L. 203 dz. u. p.

§ 1. Sądowe podania zawierające wypowiedzenie mieszkania podlegają stemplowi po 24 gr. od każdego egzemplarza i każdego arkusza, jeżeli termin wypowiedzenia nie przekracza miesiąca. Jeżeli wypowiedzenia tego rodzaju, jak wymienione wyżej, spisano w protokole sądowym, protokół podlega stemplowi po 24 gr. od każdego arkusza. Za sądowe odpisy takiego protokołu opłaca się należytość stemplową po 50 gr. od każdego arkusza.

§ 2. W sporach awizacyjnych przeciw wypowiedzeniom wymienionym w § 1. mają odpowiednie zastosowanie przepisy § 19. i 22. ustawy z 22 lutego 1864 (L. 20 dz. u. p.) o obowiązku opłacania stempli w sprawach, w których rozchodzi się o przedmiot nie mający wartości powyżej 100 koron.

Uwaga. W myśl § 2. w sporach tam wymienionych opłaca się zatem takie stemple jak w każdym sporze drobiazg.

b) w sprawach sług.

Ustawa z 13 czerwca 1896 L. 95 Dz. u p. uwolniono od stempli i należytości:

§ 1. Wszelkie w sprawach sług do władz politycznych wnoszone podania, spisane tam protokoły, intymaty (*Ausfertigungen*) i zawarte ugody.

§ 2. Kwity sług na zadątki, bez względu na to, że kwity te zawierają poświadczenie treści umowy służbowej, dopóki z nich nie uczyniono sądowego lub innego urzędowego użytku, w sprawie nie wchodzącej w zakres spraw służbowych.

§ 3. Książeczki służbowe i wpisane w nich świadectwa.

Skale stemplowe

SKALA I. Na weksle	Należytość K.	h.	SKALA II. Na dokumenta, które ani pod I. ani pod III. skalę nie należą	Należytość K.	h.	SKALA III. Na dokumenta prawne	Należytość K.	h.
do 150 „	—	10	do 40	—	14	do 20 „	—	14
od 150 K. „ 300 „	—	20	od 40 K. „ 80 „	—	26	od 20 K. „ 40 „	—	26
„ 300 „ „ 600 „	—	40	„ 80 „ „ 120 „	—	36	„ 40 „ „ 60 „	—	38
„ 600 „ „ 900 „	—	60	„ 120 „ „ 200 „	—	64	„ 60 „ „ 100 „	—	64
„ 900 „ „ 1.200 „	—	80	„ 200 „ „ 400 „	1	26	„ 100 „ „ 200 „	1	26
„ 1.200 „ „ 1.500 „	1	—	„ 400 „ „ 600 „	1	88	„ 200 „ „ 300 „	1	88
„ 1.500 „ „ 1.800 „	1	20	„ 600 „ „ 800 „	2	50	„ 300 „ „ 400 „	2	50
„ 1.800 „ „ 2.100 „	1	40	„ 800 „ „ 1.600 „	5	—	„ 400 „ „ 800 „	5	—
„ 2.100 „ „ 2.400 „	1	60	„ 1.600 „ „ 2.400 „	7	50	„ 800 „ „ 1.200 „	7	50
„ 2.400 „ „ 2.600 „	1	80	„ 2.400 „ „ 3.200 „	10	—	„ 1.200 „ „ 1.600 „	10	—
„ 2.600 „ „ 3.000 „	2	—	„ 3.200 „ „ 4.000 „	12	50	„ 1.600 „ „ 2.000 „	12	50
„ 3.000 „ „ 6.000 „	4	—	„ 4.000 „ „ 4.800 „	15	—	„ 2.000 „ „ 2.400 „	15	—
„ 6.000 „ „ 9.000 „	6	—	„ 4.800 „ „ 6.400 „	20	—	„ 2.400 „ „ 3.200 „	20	—
„ 9.000 „ „ 12.000 „	8	—	„ 6.400 „ „ 8.000 „	25	—	„ 3.200 „ „ 4.000 „	25	—
„ 12.000 „ „ 15.000 „	10	—	„ 8.000 „ „ 9.600 „	30	—	„ 4.000 „ „ 4.800 „	30	—
„ 15.000 „ „ 18.000 „	12	—	„ 9.600 „ „ 11.200 „	35	—	„ 4.800 „ „ 5.600 „	35	—
„ 18.000 „ „ 21.000 „	14	—	„ 11.200 „ „ 12.800 „	40	—	„ 5.600 „ „ 6.400 „	40	—
„ 21.000 „ „ 24.000 „	16	—	„ 12.800 „ „ 14.400 „	45	—	„ 6.400 „ „ 7.200 „	45	—
„ 24.000 „ „ 27.000 „	18	—	„ 14.400 „ „ 16.000 „	50	—	„ 7.200 „ „ 8.000 „	50	—
i t. d. i t. d.			i t. d. i t. d.			i t. d. i t. d.		
Za każde 3.000 K. wyżej dodaje się stempel po 2 K., suma niższa od 3000 K. za całkowitą wzięta być winna.			Wyżej 16.000 K. za każde 800 K. dodaje się stempel po 2·50 K., suma niższa od 800 K za całkowitą ma być wzięta.			Wyżej 8000 K. za każde 400 K. dodaje się stempel po 2·50 K suma niższa od 400 K. za całkowitą wzięta być winna.		

Skala I. Według tej skali stemplować należy: *a)* weksle wystawione w Austryi lub Węgrzech płatne w ciągu 6 miesięcy i weksle wystawione za granicą płatne w ciągu 12 miesięcy oraz prolongaty takich weksli, o ile przedłużenie terminu nie przewyższa sześciu względnie 12 miesięcy; *b)* indossy (żyra) na wekslach podlegających stemplowi według skali II.; *c)* te kupieckie przekazy z terminem wyżej dni ośmiu i obligi kupieckie, które na równi z wekslami są uważane; *d)* obligi na zaliczki publicznych instytucyj kredytowych, udzielane na papiery wartościowe, państwowe i inne na czas 3 miesięcy.

Uwaga. Kupieckie przekazy z terminem niżej dni 8 ulegają stałej opłacie w wysokości 10 gr., jeżeli termin tak wyrażony jest w treści przekazu. Weksle za granicą wystawione i za granicą płatne ulegają opłacie stemplowej wtedy, jeżeli puszczone zostaną w obieg w kraju. Od takich weksli i od prolongat zamieszczonych na wekslu w czasie, w którym obiegły kraj, należy uiścić należytość w wysokości 4 gr. za każde 200 kor. sumy wekslowej, przyczem każdą resztę niżej 200 kor. za pełną setkę uważać należy. Gdyby następnie weksel taki uczyniono płatnym w kraju albo uczyniono z niego w kraju sądowy użytek, należy przy zmianie płatności wekslu lub przed wniesieniem do sądu opłaconą należytość uzupełnić według skali I. lub II. Wszelkie inne weksle zagraniczne stają się przez wniesienie ich do kraju obowiązanymi do opłaty stemplowej. Należytość powinna być przed puszczeniem w obieg lub przed wniesieniem do sądu takich weksli a w każdym razie przed upływem 14 dni od wniesienia ich do kraju uiszczoną. Należytość stemplową od weksli uiszcza się albo przez zakupienie odpowiednich urzędowych blankie-

tów wekslowych, albo przez przylepienie na wekslu odpowiednich stempli, które w urzędzie podatkowym stemplem urzędowym przed napisaniem odnośnego oświadczenia wekslowego przystemplowane być powinny.

Skala II. Według tej skali ulegają opłacie: *a*) dokumenty prawne, które nie podlegają ani skali I. lub II., ani stałej opłacie 1 kor.; *b*) weksle w Austryi lub Węgrzech wystawione płatne po 12 miesiącach od daty i weksle za granicą wystawione płatne po 12 miesiącach; *c*) poświadczenia odbioru (pour acquit) na wekslach ulegających tej skali. Jeżeli weksel stemplowany według skali I. po upływie 6 względnie 12 miesięcy ma być żyrowanym, należy oprócz należytości za żyro według skali I. uzupełnić należytość od wekslu samego do skali II. Indossy należy datować, gdyż w razie zaskarżenia wekslu po upływie 6 względnie 12 miesięcy, w ł a d z e s k a r b o w e zawsze uważają, że indoss zamieszczony został po upływie właściwego czasu. Stempli od samych weksli przepisywać nie wolno. Stemple na indossach i prolongatach można przepisywać.

Uwaga: Stałej opłacie stemplowej 1 kor. ulegają oprócz dokumentów w ustawie wyraźnie wymienionych także następujące: *a*) zezwolenia na wykreślenie hipoteczne kontraktów dzierżawnych i kaucyj dzierżawnych, jeżeli kontrakt wygasł przez upływ czasu; *b*) dokumenty o zmianach stopy procentowej od pożyczek; *c*) bezpłatne ustępstwa pierwszeństwa hipotecznego; *d*) oświadczenie, że zeznający zadawalnia się zastawem (hipoteką) mniejszej wartości jak pierwotna dla niezmienionego prawa, lub że odpowiedzialność ma być wykreśloną z jednego z ciał równocześnie obciążonych i zezwolenia na przeniesienie odpowiedzialności z obciążonego przedmiotu na inny do tej samej osoby należący; *e*) deklaracye ekstabulacyjne o pretensye, które zgasły w drodze konsolidacyi.

Skala III. Według tej skali ulegają opłacie: *a*) kontrakty kupna i sprzedaży oraz kontrakty od dostawy ruchomości: *b*) opłatne cesye o inne przedmioty jak wierzytelności; *c*) kontrakty o najem usług; *d*) kwity wygrane na loteryi liczbowej; *e*) kupna nadziei; *f*) obligi wymienione w poz. tar. 56 2 a; *g*) kontrakty spółek akcyjnych wymienione w poz. tar. 55 B. 2 e i b.; *h*) zrzeczenie się praw uważanych za ruchomości (z wyjątkiem wierzytelności).

Arkusz papieru z reguły, a więc o ile wyraźnie inaczej nie postanowiono, nie powinien mieć więcej powierzchni jak 1750□ centimetrów. Od arkusza o większej powierzchni należy opłacić podwójną należytość stemplową, jeżeli od zwykłego formatu opłaca się mniej jak 1 kor.; w innych przypadkach nalezy oprócz zwykłej należytości dopłacić 1 kor. Stemple powinny być zupełnie nieużywane. Stemple na dokumentach należy przepisywać pierwszym wierszem tekstu dokumentu. Dokument powinien być ostemplowany przed podpisaniem. Przystemplowywanie stempla prywatnemi stampilami nie jest dozwolonem.

MIARY, WAGI i MONETY.

Miara długości. Jednostkę miary tworzy metr (m), równający się (=) 10 decymetrom (dm) — 100 centymetrom (cm) — 1000 milimetrom (mm).

Tysiąc metrów nazywa się kilometrem (km). Austryacka mila ma $7^1/_2$ kilometra (dokładnie 7.486 metrów).

Miara powierzchni. Jednostkę tworzy metr kwadratowy (m^2). Jako miara powierzchni pół i lasów służy ar i hektar. Ar (a) jest kwadratem, którego bok wynosi 10 m, ma on zatem 100 metrów kwadratowych. Hektar (ha) jest kwadratem, którego bok wynosi 100 m, ma zatem 10000 metrów kwadratowych.

Morg austryacki	— 5755 m^2	(1600 sążni)
„ nowopolski	— 5599 „	(1557 „)
„ pruski	— 2553 „	(710 „)

Dziesięcina — 1 ha 925 m^2 (blisko 2 morgi austryackie).

Miara objętości. Jednostkę tworzy litr (l), 100 litrów nazywa się hektolitrem (hl).

Wagi. Jednostkę tworzy kilogram (kg) =100 dekagramom (dk)=1000 gramom (g). 100 kilogramów nazywa się cetnarem metrycznym, albo krótko: cetnarem. Cetnar metryczny oznacza się znakiem q. Tonna—1000 klg.

Zamiany waluty koronowej austryackiej na zagraniczne pieniądze. Niemieckie (pruskie): 1 Korona—85 fenigom (100 fen. tworzy 1 markę). Rosyjskie: 1 Korona — 39 kopiejkom (100 kop. tworzy 1 rubla). Francuskie: 1 Korona — 1 frankowi i 5 centymom (1 frank ma 100 centym). Amerykański 1 dolar — 4 K. 86 h.

Macierz Polska

i Fundacya im. Tadeusza Kościuszki.

Nr. K. gr.

a) Wydawnictwa:

20. *Królowa Korony Polskiej.* Żywot N. M. P. treściwie opisał Władysław Bełza —·30
23. *O budowie zagród włościańskich*, napisał M. Moraczewski (II wyd.) z licznemi ilustracyami . . . . —·40
40. *Pan Tadeusz*, Adama Mickiewicza, z portretem poety, broszur. . . . . —·20
oprawny . . . . —·60
41. *O Hetmanie Żółkiewskim*, napisał F. Papée (III. wyd.) . . . . —·20
50. *O Stefanie Czarnieckim*, napisał W. Czermak (III. wyd.) . . . . —·25
52. *Uprawa roślin pastewnych.* II. Zielne. Napisał Wład. Szybiński . . . . . —·72
60. *Rady dla utrzymujących buhaje rozpłodowe*, napisane przez M. S. . . . —·30
64. *Pogadanki o hodowli ryb.* Napisał J. Mielnicki . . . . —·20
65. *Spiewy historyczne*, J. U. Niemcewicza, z ilustracyami St. Dębickiego, w broszurze . . . . 1·—
w ozdobnej oprawie . . . . 1·30
69. *Encyklopedya*, zbiór wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy, wydanie drugie, pomnożone i ilustr. w dwóch tomach, w oprawie . . . . 10·—
70. *Pisma poetyczne Adama Mickiewicza.* (Ballady i Romance. — Grażyna. — Konrad Wallenrod. — Wiersze wybrane 1817—1832) w broszurze . . —·30
w oprawie . . . . —·60
74. *Jubileusz, czyli lato miłościwe.* Napisał ks. Wawrzyniec Puchalski . . —·40
76. *Tadeusz Kościuszko.* Napisał Antoni Chołoniewski. Z 40 rycinami, 2 tablicami kolorowanemi, przedstawiającemi wojsko Kościuszkowskie i z autografem Kościuszki, w broszurze. . . 2·—
w kartonie . . . . 2·50
77. *O Maryi Konopnickiej.* Napisał Dr. Falkiewicz . . . . —·20
78. *O wychowaniu.* Napisał Dr. Antoni Danysz . . . . 1·60
79. *Uniwersytet Wileński i jego znaczenie.* 59 rycin i 2 tablice kolorowane przez Ludwika Tura w brosz. . . . 1·—
w kartonie . . . . 1·50
81. *Dobry syn.* Bajka z przed lat tysiąca. Napisał Władysław Bełza z rysunkami St. Dębickiego . . . . —·40
83. *Polska, obrazy i opisy.* Tom I. zawiera: Krajobraz Polski, Geografię fizyczną i Lud (etnografię); Geografię historyczuą i Ustrój społeczny i polityczny Polski, polityczną historyę Polski. — Tom II. zawiera: Historyę literatury polskiej, Dzieje budownictwa i rzeźby, Malarstwo, Muzykę, Rozwój ekonomiczny i społeczny w Polsce. Tom I. w oprawie . . . . 9·—
Tom II. w oprawie . . . . 11·—
85. *Obrona Częstochowy.* Wspomnienie dziejowe w 250 rocznicę. Z 4 rycinami. Napisał Fr. Jaworski . . . . . . —·15
86. *Wyrób win owocowych i powideł* (II. wydanie) z licznemi rycinami. Napisał Józef Froń . . . . —·40
87. *Drobne gospodarstwo wiejskie.* Poradnik dla młodszych gospodarzy i gospodyń. Napisał Sniegocki, w broszurze 1·20
w oprawie . . . . 1·70
88. *Z żołnierki na Kaukazie.* Opowiedział na podstawie pamiętników Karola Kalinowskiego J. Ciembroniewicz . . —·30
89. *Pod trzeciego króla.* Napisał Jakób Bojko, z rycinami . . . . —·40
90. *Opowiadania rozmaite* przez K. Królińskiego . . . . —·40
91. *Puławy*, z licznemi ilustracyami i portretami, przez Wł. Jankowskiego w broszurze . . . . 1·—
w kartonie . . . . 1·50
92. *Za naszą i waszą wolność*, powieść z czasów powstania 1863 r., napisała Jadwiga z Łobzowa . . . . —·50
93. *Władysław Jagiełło, jako opiekun miasteczka.* Wspomnienia z przeszłości Gródka Jagiellońskiego, spisał w rocznicę grunwaldzką Franc. Jaworski . —·40
94. *Księgi gruntowe*, napisał Józef Wilusz —·20
95. *Grunwald*, napisał Wiktor Czermak w broszurze K. 1·—, w oprawie . . 1·50

b) Biblioteka:

3. *O lesie i drzewach przypolnych.* Napisał Józef Brykczyński . . . . . . —·20
4. *O pogodzie.* Z 32 rysunkami. Napisał K. Szulc . . . . —·50
5. *Oko proroka.* Napisał Władysław Lubicz. (II. wydanie) opr. . . . . . . 3·—
6. *Rolnik wzorowy*, czyli przypomnienie, co kiedy i jak w gospodarstwie czynić należy. Napisał Dr. K. Miczyński (III. wyd.) w kart. . . . . 2·10
w oprawie . . . . 2·60

*

Nr.		K. gr.
13.	*Zdrowie dzieci*, przez Dr. Emila Merczyńskiego. Z powszechnych wykładów uniwersyteckich	—·50
14.	*Konstytucya austryacka*. Napisał Dr. Zygmunt Próchnicki	—·60
15.	*O budowie i pielęgnowaniu ciała ludzkiego podczas zdrowia i choroby*. Napisał Dr. H. Kowalski	1·60
16.	*Święty Kazimierz*, królewicz polski. Napisał Fryderyk Papée (II. wyd.)	—.30
17.	*Nad Niemnem*, powieść Elizy Orzeszkowej. Wydała A. Morzkowska (II, wyd.) z rycinami L. Winterowskiego	1·—
20.	*Jan Kiliński*, przez Dra K. J. Nitmana (II. wyd.)	—·30
21.	*O hodowli drzew i krzewów owocowych*, przez J. Fronia (II. wydanie)	—·70
22.	*Za Dunajem* (Bułgarya, Serbia, Czarnogóra) podług dzieła Janka z Grzegórzewic, wydał B. G. z 17 rycinami i mapą	1·60
25.	*Jasiek sierota*. Obrazek dramatyczny w 1 akcie. Napisał Smotrycki	—·20
26.	*Poradnik w sprawach pieniężnych i podatkowych*. Napisał Paweł Ciompa	—·80
28.	*Rok 1863*. Napisał Dr. J. Stella Sawicki. Z 39 rycinami	1·—
29.	*O życiu i dziełach Mikołaja Reja z Nagłowic*. Napisał Czesław Pieniążek	—·50
30.	*Święty Jacek Odrowąż*, patron Polski. Napisała Marya Sandoz	—·30
31.	*Co jeść i pić, aby być zdrowym?* Napisał Bronisław Duchowicz	—·30
32.	*Lirnik Mazowiecki Teofil Lenartowicz i jego utwory*. Napisał A. J. Mikulski	—·60
33.	*O gruźlicy*. Napisał Dr. Stanisław Domański	—·60
34.	*Wiek pary i elektryczności*. Napisał Wł. Żłobicki, w broszurze	1·50
	w oprawie	2·20
35.	*Stanisław Staszic*. Napisał Dr. M. Reiter. Z 5 rycinami	—·40
36.	*Spłacony dług*. Opowieść z 1831 r. Napisała Walerya Szalaj, w broszurze	1·20
	w oprawie	2·20
37.	*Księstwo Warszawskie*. Napisał Bron. Gebert	—·50
38.	*Święty Jan z Dukli*, patron Polski. Napisała Marya Sandoz	—·40
39.	*Choroby zakaźne*, opisał dr. St. Domański	1·—
40.	*Śpiewak „Wiesława“ Kazimierz Brodziński*. Napisał J. Ciembroniewicz. Z 3 rycinami	—·40
41.	*Zbiór powieści i gawęd*. Ułożył Franciszek Krczek. Z 10 rycinami Witwickiego, w broszurze	1·50
	w oprawie	2·10
42.	*Wiersze, piosnki z naszej wioski*. Napisał Jantek z Bugaja	1·—
43.	*O utworze St. Wyspiańskiego p. t. „Wesele“*. Napisała I. Kosmowska	—·20
44.	*Powietrze ze stanowiska chemii i hygieny*, napisał Br. Duchowicz. Z rycin.	—·70
45.	*Juliusz Słowacki*, żywot i wybór pism, przez Dra K. Wojciechowskiego, broszurowany	1·—
	w oprawie	1·50
46.	*Bitwa pod Raszynem*, z rycinami i mapką Księstwa Warszawsk. w setną rocznicę, przez A. M. Skałkowskiego	—·25
47.	*O W. L. Anczycu*, napisał Jan Magiera	—·40
48.	*Hodowla ptactwa domowego*, przez K. Stasiniewiczową z rycinami w broszurze K. 1·60, w oprawie	2·60
49.	*Rodzinny dom*, gawęda na progu chaty, napisała Jadwiga z Łobzowa	—·80
50.	*Śląsk Cieszyński i jego odrodzenie narodowe*, napisał St. Warcholik	—·50
51.	*Wiązanka z chłopskiej niwy*, poezye chłopa z nad Wisły Ferdyn. Kurasia	—·50
52.	*Z walk tatarskich*, napisał M. Niedźwiecki z 11 rycinami	—·30
53.	*Uprawa wierzby koszykarskiej*, zebrał Józef Froń	—.40
54.	*O kometach i komecie Halleya*, napisał Marcin Ernst	—·30
55.	*Dziesięć lat niewoli moskiewskiej*, opowiedział Józef Ciembroniewicz	—·50

Oprawa na „nagrody pilności“: z wydawnictw Nr. 20, 41, 50, 81, 84, 85, 88, 92, 93; z Biblioteki Nr. 29, 30, 31, 35, 37, 38, 40, 46, 49, 52 liczy się 30 groszy za egzemplarz. — Z Biblioteki Nr. 18, 22, 32, 34. 36, 41 liczy się 30 groszy za egzemplarz,

Przy zamówieniu wystarczy podać numer porządkowy ze spisu wydawnictw „Macierzy“ i ilość żądanych egzemplarzy.

Książeczki oznaczone tłustemi cyframi, polecone zostały przez Wysoką c. k. Radę Szkolną krajową na nagrody pilności dla uczniów uczęszczających do szkół ludowych.

Po dzieła adresować należy:

Administracya „Macierzy Polskiej“, Lwów, Gmach sejmowy.

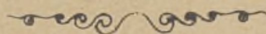

Na Reumatyzm

gościec, postrzał (ischias) i wszelkie łamania, poleca się uśmierzające nacieranie, od wielu lat ogromnie rozpowszechnione,

Linimentum Gaultheriae compositum

z marką ochronną

„NERWOL“

chem. dra Juliusza Franzosa

aptekarza w Tarnopolu.

Cena flakonu 80 hal., 10 flakonów 8 kor. franco nie licząc opakowania. — Do nabycia w każdej większej aptece, względnie w aptece

Dra Juliusza Franzosa

w Tarnopolu.

We Lwowie do nabycia w aptekach: Dewechego, Ehrhara, Haya, Łazowskiego, Mikolasza, Oberharda, Dra Piepes-Poratyńskiego, Sklepińskiego, Pinelesa, Jerzyckiego; w Krakowie: Redyka i Wiśniewskiego.

Rok założenia 1808.

PIERWSZA KRAJOWA FABRYKA DZWONÓW

Ludwika i Michała Felczyńskich

w Kałuszu

(przedtem dziadka Michała i ojca Franciszka)

odznaczony na Wystawie kościelnej we Lwowie złotym medalem

Poleca dzwony w różnych wielkościach i tonach. Przyjmuje pęknięte do przelania, stare wybite obraca przez montowanie nowego systemu, zmieniając miejsce uderzenia serca; największym dzwonem ośmioletni chłopiec dzwonić może.

Ceny najniższe — spłata ratami.

Dostawa bez poprzedniego zadatku, w razie gdyby się nie podobały, zamienia lub zabiera własnym kosztem. Prosimy w adresie do nas podawać imiona i nazwiska nasze, gdyż w przeciwnym razie listy dochodzą do naszych konkurentów.

Poczta i stacya w miejscu.

Naszym rodzinom

polecamy najgoręcej

wyśmienity wyrób krajowy

Kolińską domieszkę do kawy

z nowej fabryki w Sądowej Wiszni.

Dalsze fabryki: Kolin, Prościejów, Lublana, Rzeczany.

Marka ochronna: „Kotwica„ **Richtera** Marka ochronna: „Kotwica“

LINIMENTUM CAPSICI COMPOS.

Zastąpienie

KOTWICZNEGO PAIN-EXPELLERU

jest niezawodnym, bóle uśmierzającym środkiem, który wskutek osobliwego jego przyrządzenia i najstaranniej dobranych materyałów, nawet przez osoby wrażliwe z pożytkiem do nacierań użytym być może. Ten **wieloroko doświadczony środek domowy** używanym bywa z najlepszym skutkiem jako **odciągające** i **zapobiegające**, a szczególnie jako **bóle uśmierzające** nacieranie. Środek ten zaleca się przedewszystkiem tym osobom, które dużo przebywają na wolnem powietrzu, wystawione są na c z ę s t e jego z m i a n y, a przez to też i łatwo na **zaziębienie**, a więc: **ekonomom, leśniczym, myśliwym, rolnikom, rybakom, górnikom, żeglarzom, wychodźcom** i t. d., także **turystom**, przed i po uciążliwych wycieczkach, wogóle wszystkim **podróżnym**, ponieważ w braku pomocy lekarskiej podaje on im w nieszczęśliwych wypadkach i niedomaganiach najczęściej s z y b k ą i p e w n ą p o m o c.

Wielka zaleta Linimentum Capsici comp. z „Kotwicą“, które słusznie uchodzi za **środek zapobiegawczy**, polega na jego prostym sposobie użycia. Naciera się jeden raz lub kilka razy dziennie **bolące, zaziębione, osłabione** lub **sparaliżowane** części ciała, poczem następuje bardzo prędko **przyjemne uczucie ciepła i złagodzenie cierpienia.**

Dalszą zaletą Linimentum Capsici comp. z „Kotwicą“ jest jego niska cena: 80 hal., K. 1·40 i 2·— za butelkę, luźno nie sprzedaje się naszego preparatu; jest więc dla wszystkich osób łatwo dostępny, to też nikt nie powinien zaniedbać, przy **zaziębieniach** zrobić próbę z tym **bóle uśmierzającym** Linimentem.

Kto pragnie nabyć preparat oryginalny, ten niech dokładnie zważa na to, czy na opakowaniu znajduje się prawnie dla nas zarejestrowana jako marka ochronna czerwona **„Kotwica“.** Gdzie n i e m a kotwicy, tam mamy zawsze do czynienia z n a ś l a d o w n i c t w e m. Gdyby Richtera oryginalnego preparatu nie można było dostać na miejscu — to trzeba się u d a ć w p r o s t d o

Dr. Richtera apteki pod „Złotym Lwem“

W PRADZE.

ulica Elżbiety Nr. 5 nowy. **Wysyłka codzienna.**

Dlaczego są

Richtera kotwiczne skrzynki budowlane

jeszcze zawsze najmilszą dla dzieci zabawką?

Bo dzieciom sprawiają zawsze od nowa wielką uciechę, że mogą z kolorowych kamyków ustawiać podług wzorków lub podług własnych planów wspaniałe budowle i ponieważ wiedzą, że po otrzymaniu skrzynki dopełniającej mogą coraz **większe i piękniejsze** ustawiać budowle. Każda bowiem kotwiczna skrzynka budowlana może być przez dokupienie **skrzynek dopełniających** systematycznie powiększoną, co przy żadnej innej zabawce nie jest możliwe; są one przeto **najdoskonalszą** i **najtańszą** zabawką. P r a w d z i w e tylko z **Kotwicą!** Do nabycia po cenie od K. 1·50 do 5·— i wyżej. Najlepiej wybrać podług ilustrowanego cennika skrzynek budowlanych, który chętnie przesyłamy *bezpłatnie i franko.*

Kto lubi muzykę, niech też zażąda cennika sławnych *Imperator-instrumentów muzycznych i aparatów mówiących.*

F. Ad. Richter & Cie.,

król. nadworni i szambelańscy dostawcy, **Wiedeń, I. Operngasse 16.**

Hietzing, Rudolstadt, Norymberga, Olten, Rotterdam, St. Petersburg, New Jork, 215 Pearl Street.

Przybory pszczelnicze

własnego wyrobu

jako to: **ule, miodarki, kurzyska, noże, maski,** prasy do sztucznej węzy, listewki i t. p. poleca

Jan Zygmuntowicz w Krośnie.

Cenniki na żądanie darmo i opłatnie

PIERWSZE GALIC.

TOWARZYSTWO CHOWU DROBIU

w Jarosławiu

istniejące od lat 10-stu ma na celu podniesienie chowu drobiu i królików, pośrednictwo w sprzedaży i kupnie sztuk hodowlanych oraz uszlachetnienie drobiu krajowego. Spełnia swe zadanie przez zakładanie stacyj zarodowych, rozsyłkę jaj wylęgowych i publikacye wiadomości z dziedziny hodowli.

Członkowie płacą 2 Kor. wpisowego i 4 do 6 Kor. rocznej wkładki. — Adres jak wyżej.

Wolne od cła! Wolne od cła!

300 rozmaitych gatunków HARMONII!

Korzystne zakupno wprost z fabryki.

Rękojmia: Przyjmuje się napowrót — pieniądze się zwraca. — Liczne urzędownie stwierdzone uznania.

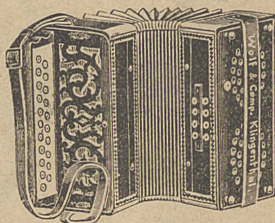

Główna fabryka harmonii zatrudnia przeszło 7.000 robotników. Wysyłka własna pocztowa w fabryce.

Wolf i Sp. Klingenthal (Saksonia) Nr. 258.

Pierwsza fabryka **muzycznych instrumentów** w Niemczech, która wysyła harmonie i inne instrumenta muzyczne do Austryo-Węgier — wolne od cła. — Posyłamy odwrotnie każdemu za zaliczką nasze przez artystów i zawodowych grajków za najlepsze uznane harmonie koncertowe w przeszło 300 gatunkach. — Wielki wybór cytr, skrzypiec, gitar i innych instrumentów muzycznych po niskich cenach. — Wielki wspaniały katalog w języku polskim, niemieckim, czeskim i węgierskim wysyła się każdemu darmo.

„SLAVIA"

BANK WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ W PRADZE

założony w 1869 roku — **w Galicyi od 1874 r.**

ukończył w r. 1909 r. 41 rok swojej działalności i w ciągu tego czasu wzrosły:

Fundusze rezerwowe i gwarancyjne na	K	48,812.797·—
Ubezpieczone sumy we wszystkich działach	„	1.319,622.103·—
Roczna wpłata premij	„	11,128.652·—
Wypłacone kapitały i wynagrodzenia szkód	„	109,356.860·—
W tem za 1909 rok	„	5,755.936·—
Wypłacono zapomogi na przyrządy i straże ogniowe	„	347.260·—

„SLAVIA" PRZYJMUJE:

W dziale życiowym ubezpieczenia kapitłałów na dożywocie pewnego wieku lub na wypadek śmierci, tudzież ubezpieczenia posagów dla dzieci.

W dziale ogniowym ubezpieczenia od szkód wskutek pożarów w budynkach, ruchomościach, towarach, ziemiopłodach, bydle i t. d.

Taryfy „Slavii" są bardzo mierne a warunki nader korzystne.

Taryf i druków na wnioski wszelkiego rodzaju ubezpieczeń ogniowych i życiowych, tudzież wszelkich wyjaśnień udziela jak najchętniej Generalna Reprezentacya „Slavii" we Lwowie ulica Kopernika L. 30 — oraz

Reprezentacya w Krakowie ulica św. Jana L. 1.

„Slavia" przyjmuje zgłoszenia o udzielenie ajencyi na miejscowości i okolice, gdzie niema jeszcze zastępców i bardzo chętnie udziela ajencye inteligentnym rolnikom.

15.000 podziękowań od wdzięcznych uzdrowionych.

1.000 atestów (uznań) ze strony lekarzy, klinik itd.

ŚWIATOWĄ SŁAWĘ

uzyskał w krótkim czasie znany i powszechnie wychwalany środek do nacierania pod nazwą

ICHTYOMENTHOL

który setkom tysięcy cierpiących przywrócił zdrowie i dziś jest prawie u każdego ulubionym **środkiem domowym**, który leczy jak najbardziej zestarzałe i upoczywe wypadki:

Reumatyzmu, Gośćca, Nerwoboli, Bolu głowy lub **zębów, Kłucia w boku, Suchych bólów, Spuchlizn, Zapalenia stawów itp. dolegliwości,** a usuwa je bezpowrotnie w jak najkrótszym czasie nawet w tych wypadkach, w których inne środki nie pomogły.

Skutek nadzwyczajny. Działanie szybkie i pewne.

Jedyna główna fabryka i wysyłka prawdziwego Ichtyomentholu

Laboratoryum chemiczne aptekarza

SZYMONA EDELMANA, w Samborze, Rynek L. 5.

Pocztą wysyła się franko (z opłaconą pocztą) **5 flaszek za 6 kor., 10 flaszek za 10 kor., 25 za flaszek 25 kor.**

UWAGA! WAŻNE! Uprasza się żądać tylko **Ichtyomentholu** w plombowanem opakowaniu i zamawiać prawdziwego **Ichtyomentholu** tylko **ze Sambora,** dokąd fabryka została przeniesioną.

GALICYJSKI BANK ZIEMSKI

z siedzibą w ŁAŃCUCIE

nabywa majątki ziemskie w celu parcelowania ich na mniejsze gospodarstwa. Pośredniczy na rzecz swych członków w parcelacyi i sprzedaży majątków ziemskich. Reguluje majątkowe stosunki członków i dostarcza kredytu na kupno gruntów.

Przyjmuje wkładki oszczędności i na rachunek bieżący począwszy od 50 koron i opłaca od złożonych pieniędzy 5% z półrocznem oprocentowaniem. Od kapitałów złożonych na czas dłuższy jako stałe lokacye opłaca Bank procent wyższy aniżeli 5 od sta, a to stosownie do umowy z Dyrekcyą. Treść umowy zostaje zanotowaną w książeczce jako zastrzeżenie. Wkładki do 100 kor. wypłaca Bank bez wypowiedzenia, przy wkładkach zaś wyższych, zastrzega sobie prawo żądania poprzedniego wypowiedzenia. Od wkładek opłaca Bank podatek rentowy z własnych funduszów, a dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej, zamiejscowym dostarcza czeków pocztowej Kasy oszczędności. — Zarazem podaje się do wiadomości, że działalność Banku ograniczona jest do interesów opartych wyłącznie na własności ziemskiej.

Wkładki oszczędności przyjmuje Bank i wydaje książeczki wkładkowe nietylko w biurach w Łańcucie, ale również w Filii swojej

we Lwowie przy ul. Batorego 32, I. p.

Bank urzęduje codziennie od godz. 9—1 przed i od 4—6 po południu z wyjątkiem niedziel i świąt rzymsko-katolickich.

SPIS RZECZY.

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS

„OJCZYZNA"

Pismo ludowe ▫ organ Stronnictwa demokratyczno-narodowego

wychodzi rok 8-my co czwartek w Krakowie.

Adres: „Ojczyzna", Kraków, Rynek główny, Linia A-B, L. 46, III p.

„OJCZYZNA" głosi hasła niepodiegłości narodowej, żąda samodzielności Galicyi — broni spraw najliczniejszej warstwy w narodzie — spraw ludu włościańskiego — pisze o sprawach narodowych, politycznych, gospodarczych i oświatowych.

„OJCZYZNA" posiada stałych współpracowników wśród wszystkich warstw narodu, we wszystkich częściach Polski, a także pośród wychodźców w Ameryce, Danii, Francyi i na Saksach. — Z posłów piszą stale w „Ojczyźnie": Dr. Józef Praś, Jan Zamorski, Antoni Maślanka, Bartłomiej Fidler, Stanisław Bieniowski, dr. Aleksander hr. Skarbek, Wojciech Wiącek, dr. Józef Buzek, ks. dr. Adam Kopyciński.

„OJCZYZNA" udziela zawsze i chętnie rady i pomocy we wszystkich sprawach.

Każdy prenumerator „Ojczyzny" otrzymuje co roku bezpłatnie **KALENDARZ „OJCZYZNY".**

„OJCZYZNA" powinna być w każdym domu.

„Ojczyzna" kosztuje rocznie:

w Galicyi i całem państwie austryackiem	4 korony	w Ameryce	2 dolary
w Niemczech	5 marek	we Francyi	8 frank.
		w Król. Polskiem	3 ruble.

Zacząć prenumerować „OJCZYZNĘ" można każdej chwili.

Adresować wprost:

Redakcya „OJCZYZNY" w Krakowie, Rynek, A-B, L. 46, III-cie piętro.